

Charlotte

Link

# Dom sióstr

*Das Haus Der Schwestern*

Z języka niemieckiego przełożył

Ryszard Wojnakowski



# PROLOG

## *Yorkshire, grudzień 1980 roku*

Siedzę przy biurku, stojącym przy oknie, i wyglądam na zewnątrz, na szerokie nagie połacie wysokich torfowisk, po których hula lodowaty wiatr grudniowy. Na niebie pełno szarych, wściekle skłębionych chmur. Podobno w święta ma spaść śnieg, ale nie wiadomo, czy te przepowiednie się sprawdzą. Tu, w Yorkshire, nigdy nie wiadomo, co się zdarzy. Żyje się nadzieją, że wszystko będzie lepiej, i czasem ta nadzieja wystawiana bywa na ciężką próbę - zwłaszcza na wiosnę, kiedy zima nie chce odejść jak uciążliwy gość, który zatrzymuje się jeszcze w hallu, zamiast wynieść się wreszcie za drzwi. Powietrze przeszywają przeraźliwe wrzaski głodnych ptaków, zimny deszcz zacina w twarz wędrowca, gdy ten ciepło opatulony podąża błotnistą drogą, niosąc w sobie niczym cenny skarb wspomnienie słońca i ciepła.

Teraz, w grudniu, mamy jeszcze przynajmniej przed sobą Boże Narodzenie. Nie, żeby święta miały dla mnie tak wielkie znaczenie, ale stanowią one jednak świetlisty punkt w okresie ciemności. Dawniej bardzo lubiłam święta. Ale wtedy dom był jeszcze pełen ludzi, pełen głosów i śmiechów, choć także sporów. Ozdabiało się go cały, tygodniami piekło się i gotowało, odbywały się przyjęcia i świąteczne kolacje. Nikt nie potrafił tak dobrze zorganizować świąt jak moja matka. Myślę, że właśnie po jej śmierci Boże Narodzenie przestało sprawiać mi radość.

Laura, poczciwa stara Laura, ostatnia moja towarzyszka, stara się urządzić mi święta jak najpiękniej. Niedawno słyszałam, jak zносиła ze strychu pudełka z ozdobami świątecznymi. Na dole rozbrzmiewają z gramofonu stosowne pieśni, a Laura trzodzi się, próbując zawiesić nad kominkami girlandy z jedliny. Przynajmniej ma zajęcie.

To wzruszające, jak jest przywiązana do mnie i do domu, ale często działa mi nerwy, gdy drepcze za mną jak piesek i spogląda na mnie tymi dziecięcymi, wylęknionymi oczami. Laura skończyła pięćdziesiąt cztery lata, lecz w dalszym ciągu ma wyraz twarzy wystraszonej dziewczynki. I to się już nie zmieni. Podczas wojny, kiedy przeżyła zbyt wiele okropności, była jeszcze młoda, a o psychoterapii w leczeniu traumatycznych przeżyć prawie nic wtedy nie wiedziano. Lekarze mieli nadzieję, że wszystko ułoży się samo, lecz czasami wcale tak nie było.

Na tym polegało również nieszczęście mojego brata George'a. Podobnie jak Laura nie

potrafił uporać się sam z tymi okropnymi przeżyciami. Zdarzają się tacy ludzie. Nie umieją wygrzebać się ze spustoszeń, jakie los wyrządza w ich psychice.

Na dworze powoli się ściemnia. Nagle pojawiło się parę wirujących płatków śniegu. Z radością wyglądam wieczoru. Będę siedzieć przy kominku i popijać starą whisky, Laura będzie siedzieć obok mnie i robić na drutach, i mam nadzieję, że nie będzie się za dużo odzywać. Jest osobą miłą, ale niezbyt bystrą i dowcipną. Ilekroć zaczyna mówić o polityce albo o jakimś filmie obejrzanym w telewizji, siedzę jak na szpilkach. Wszystko w niej jest zawsze takie przeciętne, zresztą Laura potrafi tylko w kółko opowiadać o tym, co inni przewalkowali już dziesiątki razy. A z drugiej strony nie robi nic, żeby podciągnąć się umysłowo. Nigdy nie przeczyta porządnej książki, tylko ciągle te romanse z serii „Miles & Boone”. Wzdycha wtedy z rozkoszy i całkowicie identyfikuje się z przedstawioną na okładce prześliczną bohaterką w różowych fatałaszki, która spoczywa w ramionach silnego mężczyzny o ciemnych lokach i podaje mu do pocałunku nabrzmiałe usta. Laura jest wtedy zawsze taka przejęta, że z jej twarzy znika nawet na krótko wyraz strachu i przerażenia.

Potem naleję sobie może nawet jeszcze jedną whisky, choć ona pewnie znowu spojrzy na mnie z dezaprobatą i powie, że nadmiar alkoholu szkodzi. Dobry Boże, jestem starą kobietą! Co to ma za znaczenie, czy i ile piję?

Poza tym mam powód do świętowania, ale Laurze o tym nie powiem, bo zacznę lamentować. Dopiero co napisałam słowo KONIEC pod tekstem mojej powieści, więc czuję się jakby wyzwolona od ciężkiego brzemienia. Nie wiem, ile czasu mi zostało, zresztą nieznośna była dla mnie myśl, że mogę nigdy nie skończyć. Ale dokonałam tego, zatem mogę spokojnie oprzeć się w fotelu i czekać.

Spisałam dzieje swojego życia. Czteryście stron maszynopisu. Całe moje życie przelane na papier. No cóż - prawie całe życie. Ostatnie trzydzieści lat pominęłam milczeniem. Niewiele się już wydarzyło, kogo by zresztą interesowały kłopoty i zmartwienia wyznaczające rytm codziennego życia starej kobiety? Nie, żebym zamierzała kiedykolwiek pokazać komuś ten tekst! Ale opisywanie własnej starości nawet dla mnie samej nie byłoby przyjemne. Uczciwie musiałabym wspomnieć o reumatyzmie, coraz słabszym wzroku, gościu wykrzywającym moje palce, które z wolna przypominają już szpony, a na takie wyznania nie miałam ochoty. Z niczym nie należy przesadzać, także ze szczerością.

W swoich wyznaniach zachowałam zresztą wystarczającą uczciwość. Nigdzie nie twierdziłam, że byłam szczególnie piękna, szczególnie szlachetna czy szczególnie dzielna. Naturalnie parę razy bardzo mnie korciło. Byłoby to całkiem łatwe. Tu i ówdzie kilka

drobnych poprawek, kilka zgrabnie ukrytych faktów. Pewnie nałożyłabym coś w rodzaju werbalnej nasadki zmiękczającej, uzyskując w ten sposób rozmyte kontury. Gdybym nie powiedziała o pewnych sprawach albo powiedziała o nich inaczej, od razu powstałby upiękuszony obraz. I siłą rzeczy powstałaby inna historia. Naturalnie można kłamać i podbarwić własną historię, lecz wtedy nasuwa się pytanie, po co w ogóle pisać.

Można też trzymać się prawdy. Prawda bywa okrutna, a czasem bolesna, ale przynajmniej jest prawdą. Dzięki niej cała sprawa ma jakiś sens. Pamiętałam o tym podczas zapisywania każdej strony. Zastanawiam się wprawdzie, czy to, że pisałam o sobie, Frances Gray, nie w pierwszej osobie, tylko w trzeciej, wiązało się z tym, iż nieświadomie miałam nadzieję, że w ten sposób mogę jednak wygładzić to i owo. Pisanie w pierwszej osobie zmusza znacznie bardziej do uczciwych analiz niż używanie formy „ona”. Ale jeśli taki był istotnie mój ukryty, niehonorowy motyw, to mogę powiedzieć, iż nie uległam pokusie upiększania brzydoty. Zapewniam, że obchodziłam się bezlitośnie z fikcyjną Frances w trzeciej osobie. I daje mi to przyjemne poczucie własnej odwagi i siły.

Dobrze ukryję swoje zapiski. Choć Laura bardzo mnie kocha, po mojej śmierci natychmiast zniszczyłaby wszystko; tak się boi, że ktoś mógłby się dowiedzieć o pewnych sprawach. Nie potrafi być inna, ale kto tak naprawdę potrafi? Najbardziej sensowne byłoby z pewnością spalenie tego wszystkiego, bo w końcu na jedno wychodzi, czy tych kilkaset zapisanych stron będzie sobie gnić w jakiejś kryjówce, czy też w ogóle przestanie istnieć. Dla mnie zresztą pisanie spełniło swój cel: pisanie zmusza do precyzji. Mgliste wspomnienia przybierają ostre kontury i wyraźne barwy. Naprawdę musiałam sobie przypominać. I dzięki temu się pogodziłam. Pogodziłam się ze sobą, ze swoim życiem, z losem. Wybaczyłam ludziom, a przede wszystkim wybaczyłam samej sobie. To było dla mnie ważne - i udało się. A mimo to...

Nie mogę tak po prostu powierzyć tego wszystkiego płomieniom. Włożyłam w to zbyt wiele pracy, zbyt wiele czasu. Nie zdobędę się na to. Przeczuję, że to błąd, ale popełniłam w życiu tyle błędów, że jeden więcej nie ma już znaczenia.

W międzyczasie ściemniło się zupełnie; od dawna pali się lampka na moim biurku. Na dole Laura, przygotowując kolację, puszcza po raz setny te same kolędy. Ucieszy się, gdy po tak długim czasie znów będę jeść z apetytem. Kiedy człowiek nie rzuca się na jedzenie, Laura zawsze z miejsca uważa, że źle gotuje. W miesiącach pisania żyłam jednak w zbyt wielkim napięciu, żeby odczuwać prawdziwy głód. A człowiek pokroju Laury, której fantazja porusza się w obrębie dość ciasnych granic, nie potrafi sobie wyobrazić czegoś takiego. Dlatego w

pewnym momencie przestałam jej to wyjaśniać. Po kolacji będzie rozpromieniona i uzna, że wreszcie znowu utrafiła w mój smak. I będzie z tego powodu niezmiernie szczęśliwa.

Laura jest niemal chorobliwie uzależniona od opinii innych ludzi, a najbardziej od mojej. Często zastanawiam się, na kogo będzie patrzeć tym swoim dopraszającym się miłości spojrzeniem, kiedy mnie zabraknie. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Laura wtedy nagle osiągnęła suwerenność i niezależność. Ona potrzebuje osoby, o której względy będzie mogła zabiegać, której będzie chciała we wszystkim dogodzić. W pewnym sensie potrzebuje nawet kogoś, kto wywiera na nią presję, w przeciwnym razie zadrećza się i czuje zagubiona na tym świecie.

Znajdzie się coś dla niej. Znajdzie się k t o ś dla niej. Coś lub ktoś. Sprawy się rozwiną. Jak zresztą już wspomniałam: tu, w Yorkshire, nigdy nie wiadomo, co się zdarzy...

*Frances Gray*

## *Niedziela, 22 grudnia 1996 roku*

Ta podróż od początku stała pod nieszczęśliwą gwiazdą.

Ralph od samego rana był małomówny i zamknięty w sobie, lecz jego nastrój stał się jeszcze bardziej posepny, kiedy na lotnisku, śpiesząc się, zwrócili uwagę na zdjęcie Barbary na stronie tytułowej jakiegoś szmatławca, umieszczonego na obrotowym stojaku przed kioskiem z gazetami. Ralph zatrzymał się i przez chwilę wpatrywał w pisemko, a następnie wyciągnął portmonetkę.

- Daj spokój! - zdenerwowała się Barbara. Popatrzyła na zegarek. - Lada chwila odlatuje nasz samolot!

- Mamy jeszcze dość czasu - odparł. Wziął czasopismo i podał monetę sprzedawcy za kontuarem. - Uważam, że to bardzo dobre zdjęcie. Nie powinniśmy go ignorować.

Zdjęcie rzeczywiście było dobre: Barbara miała na sobie czarny kostium, w którym wyglądała zarówno seksownie, jak i poważnie, głowę miała podniesioną wysoko, a usta lekko otwarte. Rozpuszczone jasne włosy rozwiane na wietrze. Nad zdjęciem widniał napis grubymi czerwonymi literami: ZWYCIEŻCZYNI.

- Gazeta jest wczorajsza - wyjaśniła Barbara, rzuciwszy okiem na datę. - Zdjęcie zostało zrobione w piątek w sądzie, po zakończeniu procesu Kornbluma. Nie wiem, dlaczego ta sprawa wzbudziła taką sensację!

Brzmiało to tak, jakby się usprawiedliwiała. Zdenerwowało ją to. Dlaczego ma się tłumaczyć przed Ralphem z tego, że wygrała proces i że prasa tak żywo interesuje się sprawą? Dlatego, że Ralph czuje się zażenowany, gdy jego żona bywa przedmiotem sensacyjnych doniesień w prasie bulwarowej, że spektakularne rozprawy są tak czy owak poniżej jego poziomu, że uważa obrońców w procesach karnych za prawników drugiej kategorii? Ralph ściśle rozróżniał adwokatów i obrońców w sprawach karnych. On był oczywiście adwokatem. Pracował w renomowanej frankfurckiej kancelarii i zajmował się głównie wielkimi procesami w branży ubezpieczeniowej, którymi nie interesował się prawie nikt oprócz samych uczestników. Barbara broniła sprawców ciężkich przestępstw i odnosiła tyle sukcesów, że wciąż proponowano jej nowe sprawy, które opinia publiczna śledziła miesiącami z zapartym tchem. Ralph zarabiał więcej pieniędzy, Barbara była ulubienicą dziennikarzy. Każdemu z nich dwojga przeszkadzało to, co wyróżnia drugie.

Gdy w końcu siedzieli już w samolocie - w ostatniej chwili stawili się przy swojej

bramce - i stewardesy zaczęły rozdawać napoje, Barbara zadała sobie pytanie, które zadawała sobie już nieraz w minionych miesiącach, kiedy w ich małżeństwie pojawił się ten ton wiecznego rozdrażnienia i ta permanentna agresja. Na pewno nastąpiło to niepostrzeżenie, gdyż nie mogła sobie przypomnieć żadnej konkretnej daty. Ona sama z pewnością nie dostrzegła pierwszych znaków ostrzegawczych. Pamiętała, że Ralph już od dłuższego czasu mówił o problemach.

Jej wzrok padł znowu na gazetę leżącą na kolanach Ralpha. ZWYCIEŻCZYNI! Tego rodzaju prasa zawsze przesadzała, lecz faktem było, że Barbara rzeczywiście wygrała sprawę i wyciągnęła Petera Kornbluma z naprawdę poważnej opresji.

Kornblum, burmistrz pewnego miasteczka, nie był wprawdzie grubą rybą, lecz niewątpliwie człowiekiem ambitnym, dbającym o swój wizerunek, toteż starał się być stale obecny przynajmniej na łamach prasy lokalnej. Kiedy niespodziewanie posadzono go o zabicie siekierą swej dziewiętnastoletniej kochanki i porąbanie zwłok, stał się w jednej chwili osobą powszechnie znaną. Przy tej okazji także pani Kornblum dowiedziała się, że jej mąż utrzymywał intymne stosunki z dziewczyną ze środowiska prostytutek, co poważnie zachwiało jej poukładanym dotychczas światem. Peter Kornblum przeobraził się w biednego robaczka błagającego o łaskę i zrozumienie, a poza tym żarliwie zapewniającego o swej niewinności. Jak później wyznał Barbarze, zasięgnął rady najbardziej zaufanych kolegów w partii, kogo wybrać na swego obrońcę. Wybór padł jednogłośnie na Barbarę Amberg. „Ona każdego wyciągnie!”

Oczywiście wcale tak nie było. Miała jednak na swoim koncie szereg sukcesów.

- Jak sądzisz: to jego sprawa? - spytał Ralph, pokazując palcem małe zdjęcie Petera Kornbluma na dole strony.

Barbara pokręciła głową.

- Nigdy w życiu. W ogóle to do niego nie pasuje. Mimo to jego kariera polityczna legła w gruzach. Żona wniosła pozew rozwodowy. On jest skończony. - Wzięła gazetę i wsunęła ją do siatki z tyłu fotela znajdującego się przed nią. - Zapomnij teraz o tym - powiedziała - przecież wyjeżdżamy. A za dwa dni święta.

Uśmiechnął się z przymusem. Po raz pierwszy Barbara zaczęła poważnie wątpić, czy dobrym pomysłem było porywanie męża w samotne miejsce, aby ratować ich małżeństwo.

Od szesnastu lat zawsze to samo. Ilekroć Laura Selley opuszczała Westhill House na kilka dni czy tygodni i wynajmowała dom ludziom, którzy płacili za to, żeby móc się tym przechwalać i zachowywać jak gospodarze, tuż przed wyjazdem udawała się na żmudne i deprymujące, bo

jak zwykle bezowocne, poszukiwanie czegoś, o czym koniec końców nie wiedziała na pewno, czy w ogóle istnieje. Czyżby ściagała wytwór swej wyobraźni? Czy już dawno nie przeszukała każdego zakątka tego starego wiejskiego domu? Czyż nie szukała ciągle w tych samych miejscach, dobrze wiedząc, że w międzyczasie to nie mogło się tam raczej pojawić?

Zasapana wygramoliła się ze ściennej szafy, do której weszła mimo bólu w kościach, żeby po raz setny wywrócić wszystko wewnątrz do góry nogami. Z siedemdziesiątką na karku nie zaliczała się już do najmłodszych, w dodatku od lat dręczyły ją silne bóle reumatyczne, które szczególnie zimą bywały często nie do zniesienia. Zimne ostre wiatry przewalające się przez doliny Yorkshire na pewno nie poprawiały jej samopoczucia. Dobrze jej zrobi spędzenie świąt i sylwestra u siostry w łagodnym klimacie południowo-wschodniej Anglii. Byle tylko w międzyczasie obcy ludzie...

Stojąc przed szafą, wyprostowała się powoli, z cichym jękiem przyciskając dłonią krzyże. Jej wzrok powędrował za okno, omiółtł pagórki Wensleydale, które latem jako pastwiska były zielone i błyszczące, a teraz wydawały się łyse i szare. Nagie konary drzew wyginały się na wietrze. Niskie skłębione chmury pędziły po niebie. W powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu. Tego ranka w radiu mówiono, że tu, w północnej Anglii, w święta może spaść śnieg.

Zobaczymy, pomyślała Laura, pożyjemy - zobaczymy. Tak czy owak zima będzie długa. Tu, na północy, zimy zawsze bywają długie. Powinam sprzedać dom i przenieść się do jakiegoś ciepłego kraju.

Od czasu do czasu nosiła się z tą myślą, lecz równocześnie dobrze wiedziała, że nigdy tego nie robi. Westhill House był jedyną ojczyzną, jaką kiedykolwiek miała, jej ostoją, jej wyspą w świecie. Była przywiązana do tego domu, do tej krainy, choć nienawidziła samotności, chłodu i wspomnień, które towarzyszyły jej w tym więzieniu. Nie było innego miejsca, w którym potrafiłaby żyć.

- Gdzie mogłabym jeszcze poszukać? - zastanawiała się na głos. W domu było mnóstwo szaf ściennych, alkierzyków i rozmaitych zakamarków. Laura знаła wszystkie i grzebała w nich już nieraz, lecz nigdy nie znalazła niczego ważnego. Przypuszczalnie nie było tam nic do znalezienia. Przypuszczalnie w ten sposób doprowadzała się tylko do szaleństwa.

Opuściła pokój i zeszła po stromych schodach na parter, weszła do kuchni. Pod blachą buzował ogień, czuć było zapach świątecznych ciastek, które upiekła przed południem i zamierzała wziąć do siostry. Mimo że od prawie czterdziestu lat w pomieszczeniu stała kuchenka elektryczna, Laura używała najchętniej żelaznej kolubryny z przełomu wieków, na której dawniej gotowano dla całej wielkiej rodziny. Uparcie trzymała się starych rzeczy, tak



bojaźliwie, jakby bała się, że straci część samej siebie, jeśli rozstanie się z czymś, co należało kiedyś do jej życia. Wszystko, co nowe, traktowała z wrogością. Uważała, że świat idzie nadzwyczaj ryzykowną drogą, i każdą myśl o tym starała się stłumić jak najprędzej.

Nastawiła wodę, bo poczuła nieodpartą potrzebę wypicia filiżanki gorącej herbaty. Potem musiała się spakować i powlec pościel dla gości, którzy mieli się zjawić następnego dnia. Małżeństwo z Niemiec. Nigdy dotąd nie miała tutaj Niemców. Dla niej byli oni nadal wrogami z dwóch wojen światowych, ale z drugiej strony Peter też był Niemcem. O nim jednak także nie chciała myśleć, naprawdę wolałaby przyjmować tutaj Francuzów lub Skandynawów. Bardzo jednak potrzebowała pieniędzy, a poza tymi Niemcami nie było nikogo, kto chciałby wynająć Westhill House na święta.

Laura dawała regularnie ogłoszenia w katalogu z ofertami domów do wynajęcia dla wczasowiczów. Ze swej skromnej renty nie byłaby w stanie pokryć kosztów ciągłych koniecznych napraw, a stary budynek musiałby stopniowo popaść w ruinę. Wynajmowanie stanowiło jedyną możliwość dodatkowego zarobku, choć Laura po prostu nie n a w i d z i ła wpuszczania do domu obcych. Teraz na przykład należało pilnie zadbać o nowe pokrycie dachu, najpóźniej przed następną zimą. Znalezienie gości było jednak trudne. Ktoś, kto jechał na północ, wybierał Krainę Jezior albo udawał się od razu do Szkocji. Yorkshire, kraina gór i torfowisk, zimnych wiatrów, masywnych domów zbudowanych z wapienia, nie przyciągało zbyt wielu turystów. Na myśl o Yorkshire ludzie wyobrażali sobie kopalnie ołowiu i węgla, osmalone kominy i posępne osiedla robotnicze w zamglonych dolinach.

Czy ktoś wiedział cokolwiek o przyjemnych, pogodnych dniach wiosennych, kiedy kraj zalewały jaskrawożółte narcyzy? Kto znał jasne szaroniebieskie mgiełki snujące się nad horyzontem w gorące letnie tygodnie? Czy ktoś wąchał kiedykolwiek aromatyczny zapach, który wiatr przynosił jesienią w doliny? Jak zawsze, kiedy Laura myślała o tym wszystkim, miłość do tej krainy wzbierała w niej niczym nagły bolesny skurcz i odbierała jej na chwilę oddech, a ona uświadamiała sobie wtedy znowu, że nigdy stąd nie wyjedzie. Że będzie znosić długie zimy. Samotność. Żyć wspomnieniami. Nie opuszcza się kogoś, kogo się kocha, takie było jej niezłomne przekonanie, choć można się ciągle na niego denerwować. Pewnego dnia można razem z nim zginąć, ale się nie wyjeżdża.

Rozległ się gwizd czajnika. Laura zalała wrzątkiem liście herbaty. Już ten aromatyczny zapach podziałał kojąco na jej nerwy; po pierwszym łyku, wiedziała to z doświadczenia, będzie nowym człowiekiem.

„Laura i jej filiżanka herbaty”, drwiła zawsze Frances, „jako jedyne w świecie

lekarstwo na bóle brzucha, kurcze mięśni łydek, koszmary senne i depresje. Dla niej inne lekarstwa mogłyby nie istnieć”.

Frances też lubiła herbatę, lecz nigdy nie potrafiła z jej pomocą łagodzić problemów. Wołała mocniejsze rzeczy.

„Szkłaneczka dobrej szkockiej z lodem”, mawiała, „a świat wraca do normy!”.

W picciu potrafiła przetrzymać każdego mężczyznę. Wydawało się, że ma wątrobę z gumy, zupełnie niewrażliwą na ból.

Laura zaciągnęła grube wzorzyste zasłony, zabraniając w ten sposób wstępu zapadającym ciemnościom i wiatrowi wyjącemu za oknem. Na myśl o Frances ogarnęła ją z powrotem nerwowość. Ponownie nasunęło się dręczące wyobrażenie, że zjawią się obcy i przez dwa tygodnie dzień w dzień będą mogli szperać w jej domu. Ludzie byli ciekawscy. Lubili odkrywać rzeczy związane z innymi. Laura wiedziała o tym, bo i ona czasami zaglądała do cudzych szuflad. Kiedyś listonosz zostawił u niej omyłkowo list do Leighów z dworu w Daleview. Przez pół dnia krążyła wokół listu, w końcu nie wytrzymała i otworzyła go nad parą. Była gorzko rozczarowana, gdy okazało się, że zawiera tylko zaproszenie na święto powitania wiosny od jakiejś rodziny z Hawes.

Laura przeszła z filiżanką w rękę do jadalni, sprawdziła w kredensach, czy porcelana i kieliszki do wina są ustawione jak należy. Białe lniane obrusy leżały uprasowane i złożone równo kant przy kancie na odpowiedniej półce w komodzie. Srebrne sztuce, podzielone na łyżki, noże i widelce, umieszczono według wielkości w wyłożonych aksamitem przegródkach. Laura z zadowoleniem pokiwała głową. Niemcy nie powinni mieć powodu do marszczenia swych delikatnych nosów.

Także tutaj zasunęła zasłony i ruszyła do wyjścia. Przez cały czas miała jednak wzrok spuszczone, bacząc na to, żeby ani przez chwilę nie wodzić już oczyma po pokoju. Ale gdy wychodziła, jej wzrok zatrzymał się na gzymsie kominka i zobaczyła stojącą na rogu dużą fotografię w pozłacanej ramce. Nie mogła się powstrzymać, musiała się zbliżyć. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało siedemnastoletnią Frances Gray. Dziewczyna miała na sobie strój marynarski, który sprawiał bardzo obyczajne wrażenie, gładkie czarne włosy szesane na boki. Była osobą w typie wybitnie celtyckim, świadczyła o tym blada cera i jasnoniebieskie oczy. Na zdjęciu uśmiechała się dosyć wyniośle: ten uśmiech służył jej nieodmiennie do onieśmiania innych, nie rozstawała się z nim nawet w najcięższych czasach, gdy ludzie mówili, że doprawdy nie ma już chyba rzeczy, do której mogłaby się z dumą odwołać. W rzeczywistości chodziło jedynie o to, że nigdy nie okazała słabości. Jej dzielność doceniło niewielu bliźnich. Większość ludzi uważała, że spokojnie mogłaby być trochę skromniejsza i

trzymać się raczej w cieniu.

Frances i skromność! Laura omal nie wybuchnęła śmiechem. Popatrzyła na młodą dziewczynę na zdjęciu i powiedziała na głos:

- Powinnaś była mi powiedzieć! Po prostu powinnaś była mi powiedzieć, gdzie to ukryłaś!

Ale Frances uśmiechała się tylko i zachowywała milczenie.

Samolot wylądował w Londynie około siedemnastej. Barbara i Ralph zamierzali spędzić noc w hotelu, a następnego ranka wyruszyć do Yorkshire wynajętym wozem. Barbara sądziła, że przyjemnie byłoby pospacerować wieczorem po przystrojonym już świątecznie mieście, a później pójść na kolację do jakiejś przytulnej restauracji. Kiedy jednak wysiedli z samolotu, lało jak z cebra, a wieczorem nastąpiło jeszcze pogorszenie pogody. W takiej sytuacji nawet Regent Street ze swymi neonami i wielką choinką nie zachęcała do dłuższego zatrzymania się.

Zupełnie przemoczeni uciekli w końcu do taksówki i kazali się zawieźć do Covent Garden. Udało im się zdobyć ostatni wolny stolik u Maxwella. Było głośno i tłoczno, ale przynajmniej także ciepło i sucho. Ralph odgarnął z twarzy mokre włosy i marszcząc czoło, przeglądał menu.

- Wybierz sobie coś naprawdę dobrego - powiedziała Barbara. - Przez następne dwa tygodnie będziesz zdany na moją kuchnię, a wiesz, co to znaczy.

Ralph roześmiał się, ale nie wyglądał na wesołego.

- W Yorkshire też będą restauracje - zauważył.

- Z tego co zrozumiałam z opisu domu, wylądujemy mniej więcej pośrodku pełnego pustkowia - wyjaśniła Barbara. - W pobliżu jest wprawdzie jakaś wioska, ale... - Nie dokończyła zdania, tylko wzruszyła ramionami.

Przez chwilę milczeli oboje, po czym Ralph zapytał cicho:

- Uważasz, że to wszystko naprawdę ma sens?

- To ty zawsze zachwycałeś się Anglią! Ty zawsze mówiłeś, że kiedyś chciałbyś pojechać do Yorkshire! To ty...

- Oczywiście, wcale nie o to chodzi - przerwał jej Ralph - tylko o nas. W tym stanie rzeczy... czy koniecznie musimy się tam zagrzebywać we dwoje na dwa tygodnie? Kisić się we własnym sosie i mierzyć ze wszystkim, co...

- Tak jest! Problem polega przecież na tym, że nigdy nie mamy czasu dla siebie. Że oprócz „dzień dobry” i „dobry wieczór” nie mamy sobie prawie nic do powiedzenia. Że każde

z nas żyje tylko własną pracą i nie ma pojęcia, co przeżywa drugie!

- Dobrze wiesz, że chciałem inaczej.

- Owszem - odrzekła z goryczą Barbara - wiem o tym. Moim kosztem.

Oboje zamilkli, a po chwili Ralph zaczął znowu:

- Równie dobrze mogliśmy jednak porozmawiać w domu. Teraz, przez święta.

- Kiedy? Dobrze wiesz, jak mieliśmy rozplanowane całe święta!

Wiedział. W Wigilię mieli być u rodziców Barbary. W pierwszy dzień świąt u jego matki. W drugi dzień u brata Barbary. A następnego dnia, dwudziestego siódmego grudnia, wypadały jego, Ralpha, czterdzieste urodziny. I znowu rodzina. Ta podróż była zresztą prezentem urodzinowym od Barbary. I dlatego też nie mógł odmówić. Wszystko już zaplanowała, zorganizowała, opłaciła. Odbyla rozmowy ze wszystkimi członkami rodziny, udobruchała ich, wyjaśniła sytuację. Nie powiedziała prawdy, to oczywiste! „Wiecie, Ralph i ja, otóż nasze małżeństwo może się lada chwila rozlecieć i dlatego...” Nie, Ralph potrafił sobie wyobrazić, jak tego dokonała: jak złożyła wszystko na karb jego marzeń i własnego życzenia, aby te marzenia się spełniły. „Ralph zawsze marzył o czymś takim. Samotny domek na wsi w północnej Anglii. W Yorkshire, krainie sióstr Bronte. Jego czterdzieste urodziny to przecież godna okazja, nie uważacie? Musicie to zrozumieć. W przyszłym roku znów będziemy świętować Boże Narodzenie razem!”.

Jeśli dla nas dwojga będzie jeszcze jakiś przyszły rok, pomyślał Ralph.

Oni sami w osobliwy sposób zamienili się rolami. Barbara przez długi czas nie zauważała, że coś się między nimi psuje, i bojkotowała każdą jego próbę zdefiniowania i wyartykułowania problemu. Albo nie miała czasu bądź ochoty i była zbyt zmęczona, albo była przekonana, że w ogóle nie ma problemu. Wydawało się, iż nie dostrzega, że widują się praktycznie tylko w biegu.

W trakcie mijającego roku najwidoczniej zdała sobie jednak sprawę, że istnieją pewne poważne trudności, i teraz postanowiła sama je usunąć. Przyzwyczajona do chwytania byka za rogi i pokonywania przeciwności zabukowała wyjazd do odległego zakątka Yorkshire, gdzie przez dwa tygodnie nie powinni im przeszkadzać przyjaciele i krewni, a poza tym będą wolni od obowiązków zawodowych. Tak czy inaczej udało jej się zupełnie zawojować Ralpha, co było absolutnie typowe dla niej - a jego tylko irytowało. Odebrał to w ten sposób, że dała poniekąd sygnał startowy. Cel: uratowanie naszego małżeństwa. Czas: dwa tygodnie.

Czuł się niczym kandydat w quizie telewizyjnym. „Ma pan dokładnie sześćdziesiąt sekund!”. Ostatnimi laty, kiedy ogarniała go coraz większa frustracja, miał wrażenie, że został pozostawiony samemu sobie, i czuł, że zaczyna mu brakować tchu. Może też po prostu

przestał wierzyć w to, że cokolwiek może się zmienić. Teraz to on nie chciał już mówić. Nie chciał prosić o coś, czego i tak by mu nie dała.

Barbara zaczęła studiować menu. Jej ciche pomruki zdradzały, że koncentruje się na tym. Zawsze robiła wszystko maksymalnie skoncentrowana. Kiedy pracowała, obok niej mogła wybuchnąć bomba, a ona nie zauważyłaby tego.

On wiedział, że od pewnego czasu za bardzo skłonny jest do litowania się nad sobą, lecz tak naprawdę nawet nie próbował z tym walczyć. Czasami dobrze mu robiło głaskanie własnej duszy i zapewnianie siebie o tym, że jest mu dosyć źle.

Barbara podniosła wzrok znad menu.

- Znalazłeś już coś? - zapytała w końcu.

Ralph wzdrygnął się.

- Och, przepraszam. Zamyśliłem się.

- Jest tu przekąska dla dwóch osób. Pomyślałam, że moglibyśmy się nią podzielić.

- W porządku.

- Naprawdę? Nie musisz, jeśli nie chcesz. Znajdę też coś innego.

- Barbaro, absolutnie byłbym w stanie powiedzieć, gdybym nie chciał - skontrował dość gwałtownie. - Jest okay!

- Z tego powodu nie musisz od razu tak na mnie wsiadać. Czasem mam wrażenie, że umyślnie pozwalasz mi postawić na swoim, żeby móc później twierdzić, że nie liczyłam się z twoim zdaniem.

- To absurd!

Wpatrywali się w siebie przez chwilę. Było jak zawsze: o wiele za często tłumiona agresja wyładowywała się na jakiejś zupełnie nieważnej sprawie i groziła eskalacją konfliktu: niewinna sytuacja mogła prędko przerodzić się w wielką kłótnię.

- W każdym razie ja nie wezmę tej przystawki dla dwojga osób - oświadczyła Barbara.

- Znajdę sobie coś innego.

Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie. I chciała się tak zachowywać.

- Przypuszczalnie masz rację - odpowiedział. - Dlaczego mamy dzielić się przystawką, skoro w życiu nie dzielimy się niczym.

- Co za głębokie spostrzeżenie! I jakie dowcipne!

- Jak więc mam reagować na twoje dziwne humory?

- W ogóle nie musisz reagować. Po prostu mnie nie słuchaj!

- Sądziłem, że musimy wyjechać na dwa tygodnie właśnie po to, żebym cię słuchał - odparł chłodno.

Barbara nic nie odpowiedziała, tylko ponownie wsadziła nos w menu. Ale tym razem nie udało jej się skoncentrować, ledwo docierało do niej, co czyta. Ralph widział to po gniewnych błyskach jej oczu. On sam stracił apetyt. Kiedy obok nich pojawił się kelner, wyciągnął ołówek i spojrzał na nich wyczekująco, Ralph tylko westchnął.

- Jeszcześmy się nie zdecydowali - oświadczył.

## *Poniedziałek, 23 grudnia 1996 roku*

Była gotowa do drogi. Dwie spakowane walizki stały na dole w hallu tuż przy drzwiach. Oprócz tego torba podróżna i plastikowa reklamówka. W reklamówce był prowiant na drogę. Ostatnimi laty Laura nauczyła się z konieczności oszczędzać na wszystkim, a restauracja w pociągu była na pewno za droga. Zrobiła więc sobie kanapki i napełniła gorącą herbatą dwa duże termosy. Ostatecznie miała przed sobą długą nocną podróż. Za to jutro będzie u siostry w Kent i dostanie prawdziwy, ciepły posiłek. To znaczy, dostanie, jeśli Marjorie będzie miała nastrój do gotowania. Bo przeważnie była w zbyt złym humorze, żeby zajmować się kuchnią, a wtedy można było się cieszyć, jeśli przynajmniej przygrzała konserwę. Marjorie zawsze znajdowała powód, żeby dawać się ponieść ponurym nastrojom: a to pogoda, a to rosnące koszty utrzymania, a to skandale w rodzinie królewskiej. Deprymowała otoczenie swymi czarnymi przepowiedniami i wciąż zapewniała, że ona na szczęście jest już w tak zaawansowanym wieku, iż będą jej oszczędzone wszystkie te tragedie, jakie czekają ziemię i ludzkość. W swym pesymizmie, z jakim odnosiła się do wszystkiego, co wiązało się z postępem i rozwojem, podobna była do Laury, ale jej zachowaniem kierował nie strach, tylko agresja. Marjorie nie dbała w ogóle o względy innych ludzi, natomiast Laura nie robiła nic innego od rana do nocy.

Pewnie znów będzie smętnie u Marjorie, pomyślała Laura. Gdyby co jakiś czas nie musiała opuszczać domu, żeby wynajmować go wczasowiczom, jeździłaby do niej najwyżej sporadycznie na jakiś weekend. Dla przyzwoitości, bo Marjorie była bądź co bądź jedyną jej żyjącą krewną. Może też od czasu do czasu napisałaby do niej list.

Im mniej dzieliło Laurę od momentu wyjazdu, tym gorzej się czuła. O piątej zjawi się Fernand Leigh z Dalview, żeby ją odwiedzić na dworzec w Northallerton. Właściwie prosiła o to Lilian, jego żonę, ale to on zadzwonił poprzedniego wieczoru i powiedział, że się tym zajmie. Pewnie Lilian znów nie może opuszczać domu.

Miała nadzieję, że goście z Niemiec przyjadą wcześniej niż Fernand. W piśmie potwierdzającym ich rezerwację Laura wyraźnie podkreśliła, że to ważne dla niej, aby zjawili się najpóźniej o wpół do piątej. Ta Barbara taka i taka (mimo najlepszych chęci Laura nie potrafiła zapamiętać niemieckiego nazwiska) odpisała, że na pewno da się to zrobić.

Laura nie miała już nic do roboty. Z kubkiem herbaty w ręku wędrowała po pokojach. Za oknami padał śnieg. Podkręciła ogrzewanie w piwnicy i w domu czuć już było rozkoszne

ciepło. Przyjemnie tutaj będzie tym obcym, którzy ją wypędzali, którzy...

Prześtań! - rozkazała sobie. Nie bądź niesprawiedliwa! Nikt cię nie wypędza. Nikt nie zdoła nigdy tego dokonać.

Pieściła oczami każdy przedmiot i starała się zapamiętać jego obraz. Od czasu do czasu jej wzrok zatrzymywał się na jakiejś szufladzie albo na luźnej desce w podłodze. Podchodziła wtedy szybko, badała miejsce, które przyciągnęło jej uwagę, nie znajdowała nic podejrzanego i odwracała się.

Prześtań szukać, napomniła siebie surowo, jeszcze oszalejesz, gdy będziesz ciągle myśleć tylko o tym!

Spojrzała na zegarek. Wpół do trzeciej. Mimo to nie rozjaśniło się tak do końca, a już niedługo grudniowy dzień ustąpi z powrotem miejsca ciemności. Gdyby przynajmniej nie musiała wyjeżdżać!

Podeszła do jednego z okien wychodzących na podwórze przed domem i zaczęła wypatrywać, czy ktoś nie nadjeżdża drogą. Jak dotąd ani śladu gości.

W miarę posuwania się na północ deszcz przechodził w śnieg z deszczem. Barbara i Ralph prowadzili na zmianę. Oboje przyzwyczaili się szybko do ruchu lewostronnego. Przy dużym nasileniu ruchu wokół Londynu mieli jeszcze pewne trudności, ale A1, Autostrada Północna, którą jechali teraz z południa Anglii na północ, nie stwarzała im żadnych kłopotów. Padający śnieg był jednak coraz gęstszy i coraz bardziej nieprzyjemny. Wycieraczki śmigały tam i z powrotem i Barbara, która siedziała akurat za kierownicą, stwierdziła, że widoczność pogarsza się coraz bardziej.

- Mam nadzieję, że wkrótce będziemy na miejscu - powiedziała.

- Chcesz, żebym cię zmienił? - spytał Ralph.

Przez cały czas w milczeniu wyglądał przez okno.

- Poprowadzę jeszcze kawałek, ale potem ucieszyłabym się, gdybyś mnie zmienił. Ta jazda zaczyna być jednak męcząca.

Barbara oderwała na chwilę wzrok od jezdni i popatrzyła na Ralpa. Obserwowała go ukradkiem już od wczesnego ranka. Zachowywała się naprawdę idiotycznie! Przecież знаła tego mężczyznę od piętnastu lat, od jedenastu lat była jego żoną. A teraz posyłała mu takie same spojrzenia jak w wieku kilkunastu lat, gdy oglądała się za przystojnymi chłopcami, którzy byli dla niej nieosiągalni. Ale choć podobne zachowanie wydawało się niestosowne do jej wieku, a w dodatku mogło się odnosić do każdego, tylko nie do Ralpa, to nie potrafiła go zmienić. Tego dnia Ralph wyglądał zupełnie i n a c z e j i było to kolejnym alarmującym



znakiem, że spędzali ze sobą zbyt mało czasu i że za bardzo oddalili się od siebie. Znała go tylko w garniturze i krawacie, znała jedynie wziętego adwokata pod czterdziestkę wychodzącego do pracy, do swej kancelarii, z nieobecny wzrokiem, bo myślą był już przy aktach procesowych, którymi się akurat zajmował. Po prostu ścięło ją z nóg, gdy zobaczyła go nagle w dzinsach i swetrze, z niedbale zaczesanymi ciemnymi włosami, także teraz nieobecnym duchem, ale zatopionego w kontemplacji krajobrazu, który śmigał za oknem, miękkiego i odprężonego.

- Właściwie wyglądasz dosyć młodo jak na faceta, który za kilka dni skończy czterdziestkę - zauważyła.

Ralph zmarszczył czoło.

- Czy to komplement?

- A co innego miałyby być?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Spójrz, przy tej gospodzie możesz zjechać. Zamienimy się miejscami.

Zrobiła, jak powiedział, i zjechała na parking przed barem należącym do sieci Happy Eater. Ralph wysiadł i obszedł auto, a w tym czasie Barbara przesunęła się na jego poprzednie miejsce. Kiedy Ralph wsiadł z drugiej strony, jego włosy były białe od śniegu.

- Nieźle zaczęło sypać - powiedział. - Musimy się przyłożyć, żeby nam ubywało drogi. Jeśli śnieżycą się nasili, utkniemy jeszcze gdzieś w jakiejś zaspie.

- Zawsze myślałam, że w Anglii śnieg prawie nie pada!

- Stosunkowo rzadko na południu. Ale w północnej Anglii i w Szkocji zdarzały się już naprawdę wielkie opady śniegu, przypominające klęskę żywiołową. - Ralph wyprowadził samochód z powrotem na szosę. - Ale tym razem tak nie będzie - dodał uspokajającym tonem.

Około wpół do czwartej dotarli do Leyburn, gdzie zapytali policjanta o drogę do Leigh's Dale.

- Cały czas A 684 - wyjaśnił. - Wensley, Aysgarth, Worton. W Worton proszę skrócić w kierunku Askrigg. Leigh's Dale znajduje się jeszcze kawałek dalej na północ, w kierunku torfowisk Whitaside.

Kiedy zjechali z głównej drogi przecinającej Wensleydale, coraz mocniej opanowywało ich uczucie, że zagłębiają się w odcięte od świata pustkowie. Po obu stronach szosy ciągnęły się pagórkowate, przykryte już warstwą śniegu, poprzecinane niskimi murkami łąki. Drzewa sterczały w niebo niczym czarne kikuty. Tu i ówdzie w obniżeniu terenu kuliły się brązowe mury zabudowań lub jakiś inny dom wznosił się na szczycie wzgórza na przekór zimnemu wiatrowi. W zamieci śnieżnej ziemia zlewała się na horyzoncie

z niebem w szare piekło. Nad rozległym pustkowiem krzyczały czarne ptaki. Kiedy pojawiła się zwietrzała tablica z napisem „Leigh’s Dale, 1 mila”, Barbara wydała głośnie westchnienie ulgi.

- Wreszcie! Myślałam już, że tutaj nic nie ma!

Jak się okazało, Leigh’s Dale składało się z najwyżej tuzina domów, stojących w szeregu wzdłuż wąskiej drogi, a oprócz tego były kościół i cmentarz. Na zewnątrz nie było nikogo, tylko na skraju szosy parkowało parę samochodów. W niektórych oknach paliły się w każdym razie kolorowe żarówki, a na dwojgu drzwi wisiały bożonarodzeniowe wieńce z dużymi czerwonymi wstążkami.

- Ten dom z przodu wygląda na sklep - powiedział Ralph. - Tam z pewnością mogliby nam wyjaśnić, jak dojechać do Westhill House. Poza tym powinniśmy zrobić małe zapasy. Pani Selley na pewno nie czeka na nas z kolacją, a jestem głodny!

- Dobry pomysł - zgodziła się Barbara. - Kupimy teraz to, co najniezbędniejsze, a jutro zaopatrzymy się porządnie na święta. Zaparkuj od razu za tą wytworną bryką!

- To Bentley - stwierdził z uznaniem Ralph. - Wygląda na to, że w okolicy mieszkają dość bogaci ludzie.

Wystarczyło, że przeszli kilka kroków od auta do drzwi sklepu, a oboje wyglądali niczym śnieżne bałwany. W międzyczasie szare jak antracyt niebo rozprysło się na miliony grubych płatków śniegu.

Starsza kobieta, która stała tuż obok drzwi i wyglądała na zewnątrz, obserwując zadymkę, skinęła życzliwie wchodzącym i powiedziała:

- Mnóstwo tego jeszcze nasypie! Mówiłam już w zeszłym tygodniu, ale nikt mi nie wierzył. Przez święta napada mnóstwo śniegu, mówiłam, ale moje wnuki stwierdziły, że nie mogę przecież tego wiedzieć! - Prychnęła pogardliwie. - Młodzi ludzie nie mają o niczym pojęcia! Siadają przed telewizorem i słuchają prognozy pogody, a potem trzymają się tego, bez względu na to, jak często ci tam się mylą. Wiecie państwo, tutejszą pogodę to ja mam we krwi. Poznają ją po kolorze nieba. Wdycham zapachy bijące od ziemi. I wiem, co będzie. - Z dumą pokiwała głową. - Moja matka też tak potrafiła. Przepowiedziała wielkie opady śniegu w 1947 roku. Było go wtedy na ponad dwa metry. Niektóre domy to nawet pod nim zniknęły. A tym razem będzie niewiele lepiej. - Po tej pesymistycznej prognozie uśmiechnęła się i ciągnęła dalej: - Co mogę dla państwa zrobić? Państwo nie stąd, prawda?

- Nie. Jestem Barbara Amberg, a to mój mąż Ralph. Chcemy się dostać do Westhill House.

- Och... do domu siostr! Jestem Cynthia Moore, właścicielka tego sklepu.

- Sióstr? - zapytała Barbara. - Myślałam, że panna Selley mieszka tam sama.

- Ach, to tylko dawna nazwa. Przyjęła się w czasie, gdy z całej rodziny w Westhill pozostały tylko dwie siostry, które nadal tam mieszkały. Obie już nie żyją, ale wszyscy w dalszym ciągu nazywają dom domem sióstr. - Uśmiechnęła się znowu, lecz zaraz zniżyła głos, jakby zadawała nieprzyzwoite pytanie: - Mimo że mówi pani bardzo dobrze po angielsku, wydaje mi się, że...

- Przyjechaliśmy z Niemiec - oświadczył Ralph.

- Z Niemiec? I zapuścili się państwo aż tutaj? Serdecznie witamy w Leigh's Dale! Westhill Farm spodoba się państwu, mimo że mówienie o farmie jest już właściwie nieuzasadnione. Naturalnie Laura sama nie była w stanie hodować nadal owiec i koni. Jest trochę stuknięta, ale to dobry człowiek!

- Stuknięta? - zdziwiła się Barbara.

- No cóż. Stara panna. Trochę dziwaczka, czasami zachowuje się odrobinę histerycznie. Od trzynastego albo czternastego roku życia zna tylko Westhill i Leigh's Dale, jeśli nie liczyć rzadkich wyjazdów do siostry w Kent. A i wtedy obie tylko siedzą w mieszkaniu, Marjorie zrzedzi bez przerwy, no to Laura może trochę dziwaczała.

- Bylibyśmy pani bardzo wdzięczni, gdyby zechciała nam pani opisać drogę do Westhill - wtrącił Ralph, wykorzystując krótką przerwę, jaką zrobiła Cynthia. Miał wrażenie, że przymierza się właśnie do opowiedzenia im historii całego życia Laury, a tym akurat nie był wcale zainteresowany. - Poza tym chcielibyśmy kupić parę produktów żywnościowych.

- Ma się rozumieć - zgodziła się z zapalem Cynthia. - Proszę sobie wybrać, czego państwo potrzebują. Później pokażę państwu drogę!

Sklep ciągnął się w głąb dalej, niż wydawało się z zewnątrz. Długie rzędy regałów dzieliły pomieszczenie na kilka korytarzy. Kiedy Barbara skręciła w drugi korytarz, omal nie zderzyła się z wysokim mężczyzną, który wyrósł przed nią jak spod ziemi, trzymając w rękach stos konserw. Miał na sobie ciemnozieloną sztormówkę i buty z cholewami.

Barbara zatrzymała się raptownie, wskutek czego wpadł na nią Ralph, który szedł tuż za nią. Przez chwilę wszyscy troje patrzyli na siebie zaskoczeni, albowiem zarówno mężczyzna, jak i oni sądzili, że poza nimi nie ma w sklepie nikogo.

- Przepraszam - odezwał się w końcu nieznajomy.

- Nic się nie stało - odparła Barbara.

Mężczyzna przyjrzał się jej uważnie. Oczy miał ciemne, a wzrok przenikliwy. Barbara odwzajemniła to spojrzenie, lecz czuła się nieswojo, wiedziała, że pierwsza spojrzy w bok, jeśli on się teraz nie odwróci.

Na szczęście cofnął się i odwrócił.

- Lil! - Jeszcze przed chwilą uprzejmy ton zupełnie zniknął z jego głosu, który brzmiał teraz twardo i szorstko. - Przyjdiesz wreszcie?

Brzmiało to zresztą bardziej jak rozkaz niż pytanie. Chwilę później zjawiała się młoda kobieta, niepozorna z wyglądu i nieśmiała. Uśmiechnęła się z wahaniem do przybyszów, zaraz jednak speszona wbiła wzrok w podłogę. Mężczyzna wyciągnął jedną rękę spod stosu konserw, który zachwiało się niebezpiecznie, i ścisnął mocno kobietę za przedramię. Kobiecie wyrwał się stłumiony okrzyk bólu.

- Jak długo mam czekać? Nie mam czasu. Muszę jeszcze odwiedzić Laurę Selley na pociąg.

- Jesteśmy wczasowiczami, którzy będą mieszkać u panny Selley - wtrąciła Barbara.

- Och... naprawdę? - Tym razem nie obdarzył jej takim głębokim spojrzeniem jak poprzednio, tylko popatrzył na nią przelotnie, bez zainteresowania. - W takim razie w najbliższym czasie będziemy sąsiadami. Leigh. Fernand Leigh.

- Barbara Amberg. Mój mąż.

Ralph potraktował Fernanda zdawkowym skinieniem głowy. Ten przypomniał sobie o kobiecie, którą w dalszym ciągu ścisnął za nadgarstek tak mocno, że pobieleły mu kostki palców.

- Moja żona Lilian - przedstawił.

Lilian przez cały czas wpatrywała się w podłogę, teraz na chwilę podniosła wzrok. Barbara osłupiała, usłyszała też, jak Ralph za nią oddycha głośno. W mętnym świetle słabej ze starości lampy pod sufitem oboje ujrzeli teraz coś, co nie rzuciło im się w oczy w pierwszej chwili, w momencie przelotnego powitania: lewe oko Lilian szpeciły powoli ustępujące resztki brzydkiego, niebieskozielonego krwaka. Dolna warga była napuchnięta, w kącie ust pozostało trochę zeskorupiałej krwi.

- Cieszę się, że państwa poznałem - rzekł Fernand Leigh. - Może się jeszcze kiedyś zobaczymy!

Skinął im na pożegnanie i ruszył do kasy, ciągnąc za sobą Lilian. Barbara i Ralph popatrzyli na siebie.

- Przypuszczalnie tłumaczyłby się, że żona spadła ze schodów - odezwał się Ralph. - Sądzę jednak raczej...

Nie dokończył zdania, ale Barbara wiedziała, co miał na myśli. Pokiwała głową.

- Widziałam zbyt wiele takich twarzy - stwierdziła. - I mam tu na myśli nie tylko ślady krwi i siniaki. Wiele mówi wyraz oczu kobiety. I w jaki sposób się uśmiecha. Jak pochyła

głowę. Jak na ciebie patrzy, jakby musiała przeproszać za to, że w ogóle żyje. Ta kobieta jest wrakiem, Ralph. A przypuszczalnie nie była nim, zanim go poznała.

Ralph wyrzął przez okno.

- To do niego należy ten Bentley. Właśnie wsiadają.

Niepostrzeżenie podeszła do nich Cynthia.

- Do niego należy praktycznie cała ziemia w okolicy - powiedziała - łącznie z wszystkimi domami w tej miejscowości. Leighowie byli w dawnych czasach prawdziwymi panami feudalnymi. Jedyłą autonomiczną posiadłością była Westhill Farm, która należała do Grayów. Dostyc ich to drażniło. W międzyczasie Fernand wykupił sporą część ziemi należącej do Westhill. Wiele osób zastanawia się jednak, za co. Podobno pije za duzo i robi długi. A w dodatku nagle musiał zafundować sobie to auto! Gdzieś musi mieć jeszcze rezerwy.

- A co z jego żoną? - zapytała Barbara. - Wyglądała okropnie!

- To naprawdę duży problem - westchnęła Cynthia. - Bo wiecie państwo, Fernand Leigh nie jest właściwie złym człowiekiem. Nie wiem, jak się układa między nim a Lil, ale on najwidoczniej regularnie traci panowanie nad sobą. A ona często bywa poturbowaną jeszcze gorzej niż dzisiaj.

- I nikt nic nie robi w tej sprawie? - spytał z niedowierzaniem Ralph. - Faceta można by przecież łatwo wsadzić za uszkodzenie ciała!

- Wtedy musiałyby się włączyć Lil. W przeciwnym razie pograżyłoby ją to jeszcze bardziej - oświadczyła Cynthia. - Do tej pory zawsze go kryła. Jest niezwykle pomysłowa, gdy chodzi o wynajdywanie wytłumaczeń dla swych licznych obrażeń.

- Często się tak zdarza - przyznała Barbara. - Takim facetom jak ten Leigh trudno się dobrać do skóry, dopóki ich żony boją się przeciwko nim zeznawać.

- To naprawdę nie jest zły człowiek - upierała się Cynthia. - Miał trudne dzieciństwo. Jego ojciec też pił, a jego matka, emigrantka z Francji, stąd zresztą jego francuskie imię, z biegiem lat posepniała coraz bardziej, bo nigdy nie przestała tęsknić za krajem. Fernand był między nimi bez szans, jakby mielony przez dwa kamienie młyńskie.

- Mówiąc szczerze, takie wytłumaczenie czyjejś skłonności do używania przemocy już od lat nie robi na mnie specjalnego wrażenia - rzekł Ralph. - Człowiek rodzi się z wolną wolą. Obojętne, co działo się w jego życiu wcześniej, od pewnego momentu sam ponosi odpowiedzialność za to, co zrobi z resztą życia.

Cynthia pokiwała głową.

- W gruncie rzeczy ma pan rację, ale... No cóż, a więc - starała się szybko zmienić temat - mają państwo już wszystko, co potrzebne?

- Na razie tak - odpowiedziała Barbara. - Na pewno zajrzemy znowu jutro i zrobimy właściwe zakupy na święta.

Cynthia wyjrzała z powątpiewającą miną na dwór, gdzie wiatr, wyjąć, miotał na wszystkie strony płatki śniegu.

- Mam nadzieję, że jutro dostaną się jeszcze państwo tutaj. Kiedy mocno posypie, pomagają co prawda żołnierze z garnizonu w Catterick i odśnieżają swoimi czołgami główną szosę, ale o boczne drogi nikt się nie troszczy. A Westhill leży spory kawałek z boku!

- Ach, nie będzie tak źle! - stwierdziła niefrasobliwie Barbara. - W bagażniku mamy też łańcuchy przeciwślizgowe. Jakoś damy sobie radę. Czy zechciałaby pani teraz opisać nam drogę...?

Kiedy przez dom przetoczył się głuchy stukot mosiężnej kołatki, Laura wzdrygnęła się, choć w każdej chwili liczyła się z przybyciem gości. Wydała cichy okrzyk, a odrobina herbaty, jaka została w filiżance, wychlapała się jej na rękę. Co znowu działo się z jej nerwami? Wydawały się zupełnie zszargane tylko dlatego, że leżała jej na wątrobie zbliżająca się podróż i konfrontacja ze światem czyhającym za bezpiecznymi murami Westhill. Odstawiła filiżankę i pośpieszyła do hallu, przechodząc przed lustrem, poprawiła włosy, wyprostowała się i otworzyła drzwi.

Zawieja niemal wyrwała jej drzwi z ręki, a w twarz uderzyła ją fala śniegowych płatków. Było już prawie ciemno, toteż Laura ledwo widziała niewiele więcej niż zarysy stojących przed nią dwóch postaci.

- Dzień dobry, jestem Laura Selley - powiedziała. Musiała głośno mówić, żeby przekrzyczeć wiatr. - Proszę do środka!

Barbara zrozumiała, dlaczego Cynthia określiła Laurę jako „dziwaczkę”. Starsza pani była niewątpliwie miła, ale dosyć roztargniona i nerwowa. Najpierw zaprowadziła przybyłych do kuchni i zaproponowała im herbatę, ale ledwo usiedli z filiżankami w rękę, przypomniała sobie, że na początek musi im koniecznie pokazać cały dom, bo lada chwila przyjedzie auto, którym zostanie odwieziona na dworzec. Odstawili więc filiżanki i ruszyli za Laurą. Na parterze oprócz przestronnej kuchni znajdowały się jeszcze salon i jadalnia. W jadalni wzrok Barbary zatrzymał się natychmiast na zdjęciu wiszącym nad kominkiem.

- Kto to jest?

- Frances Gray. Wszystko tutaj należało do Grayów.

- A pani to od nich kupiła? - spytał Ralph, zastanawiając się, skąd ta prosta z wyglądu

kobieta mogła mieć tyle pieniędzy.

- Ja to odziedziczyłam - odpowiedziała z dumą Laura. - Po Frances. Ona była ostatnia w rodzinie. Nie ma żadnych potomków.

- Czy nie dokuczają tutaj często samotność? - spytała Barbara. Wyobrażenie, że miałyby żyć tutaj sama rok po roku, wydawało jej się dość przygnębiające.

Laura pokręciła głową.

- Mnie nie. Mieszkam tutaj od ponad pięćdziesięciu lat.

Uznała pewnie, że takie wyjaśnienie powinno wystarczyć.

Po pomalowanych na biało schodach weszli na pierwsze piętro. Były tam dwie duże i trzy małe sypialnie oraz staroświecka łazienka, a w niej wanna stojąca na czterech ozdobnie wygiętych nóżkach.

- Pościeliłam państwu łóżko w jednej z trzech dużych sypialni - oświadczyła Laura. - Pomyślałam, że tam będą państwo mieli najwięcej miejsca.

Barbara i Ralph wymienili krótkie spojrzenie. Porozumieli się bez słów, postanowili nie wspominać w jej obecności, że od kilku lat mają osobne sypialnie.

Laura wyczuła jednak, że na chwilę zrobiło im się nieswojo, i właściwie zinterpretowała ten moment dzięki swej intuicji.

- Oczywiście mają też państwo do dyspozycji każdą z trzech małych sypialni - dodała z zakłopotaniem. - Tylko mój pokój powinien...

- Ma się rozumieć - potwierdził prędko Ralph.

Kiedy zstępowali po schodach, Barbara nie oparła się ciekawości i zapytała:

- Była pani przyjaciółką Frances Gray?

Ralph ledwo zauważalnie pokręcił głową. Znał Barbarę i jej zwyczaj wypytywania obcych ludzi bez owijania w bawełnę; nie potrafił tego zrozumieć. Jednak Laura chętnie udzieliła odpowiedzi.

- Tak, można to chyba tak nazwać. Właściwie byłam gospodynią, ale trafiłam tu już jako dziecko i Westhill House stał się po prostu moim domem rodzinnym. Frances i ja miałyśmy tylko siebie.

- Mieszkały panie tutaj zupełnie same?

Po twarzy Laury przemknął cień.

- Kiedy Adeline umarła i Victoria Leigh wyjechała... to owszem!

- Victoria Leigh?

- Siostra Frances.

- Czy ona była jakoś związana z tymi Leighami z... jakże to się nazywa?... z

Daleview?

- Barbaro! - napomniął ją cicho Ralph.
- Była żoną ojca Fernanda Leigha. Ale się rozwiedli.
- Czy on znęcał się nad nią?
- Barbaro! - powiedział Ralph już ostrzejszym tonem.

Barbara wiedziała, co pomyślał: Zachowujesz się skandalicznie!

Laura wydawała się trochę zaskoczona tym pytaniem.

- Nie. Dlaczego?

- Spotkaliśmy Fernanda Leigha i jego żonę w Leigh's Dale - wyjaśniła Barbara - i pani Leigh wyglądała na dosyć mocno poturbowaną.

- No cóż - twarz Laury przybrała zamyślony i nieco smutny wyraz - do czegoś takiego potrzeba zawsze dwojga, nieprawdaż? Czasem zadaję sobie pytanie, czy ktoś staje się ofiarą przez zrządzenie losu, czy sam się do tego przyczynia.

W czasie gdy Barbara, dość zaskoczona, starała się przetrwać tę odpowiedź - nie spodziewała się, że Laura zechce naświetlić sprawę w tak skomplikowanych psychologicznych aspektach - Ralph wyszedł, żeby przynieść bagaż z samochodu. W drzwiach omal się nie zderzył z Fernandem Leighem, który wynurzył się ze śnieżnej zadymki jako duża ciemna sylwetka. Mężczyźni wymienili chłodne pozdrowienia. Fernand cofnął się o krok, żeby wypuścić Ralpha, po czym wszedł do środka w obłoku śniegu i chłodu. Od razu wydawał się wypełniać sobą całe pomieszczenie. Mimo że był niewiele wyższy od Ralpha, w jego zachowaniu i charakterze przebijała taka dominacja, że wszystko wokół niego stawało się na pozór mniejsze.

- Panno Selley - powiedział - musimy ruszać. Pogoda pogarsza się z każdą minutą. Prawdopodobnie wsiądzie pani do ostatniego pociągu, jaki w najbliższych dniach w ogóle zdoła wyjechać.

- Dobry Boże, nie myślałam, że może być aż tak źle - wybąkała Laura i zaczęła gorączkowo biegać po pokoju, szukając rękawiczek, szalika i czapki.

- Chyba nas tu całkiem nie zasypie? - spytała Barbara.

Fernand odwrócił się do niej. W słabym świetle padającym z wąskiego korytarza bardziej czuła jego spojrzenie, niż widziała jego samego.

- Nie liczyłbym za bardzo na to - odpowiedział. - Niewykluczone, że utkniecie tu od jutra na dobre.

- Dosyć nieprzyjemna perspektywa!

Wzruszył ramionami.



- Nie sędę, żeby pogoda stosowała się do tego, co dla pani jest przyjemne, a co nie.

- Sama też bym na to wpadła - odparła sztywno Barbara.

Roześmiał się i niespodziewanie uderzył w zgodny ton:

- Oczywiście. Przepraszam za tę głupią uwagę.

I już się od niej odwrócił, i sięgnął po czekające przy drzwiach obie walizki oraz torbę podróżną Laury.

- Gotowa, panno Selley?

- Gotowa - odpowiedziała Laura.

Naciągnęła na głowę czapkę - niewątpliwie zrobioną przez nią samą na drutach i trochę za małą - a następnie wzięła plastikową reklamówkę z prowiantem i damską torebkę, która wyglądała jak okrągła brązowa pralinka. Odetchnęła głęboko. Dopiero w ostatniej chwili pomyślała o tym, żeby pożegnać się z Barbarą. Następnie opuściła dom z miną bojaźliwego żołnierza, który musi wyruszyć na niebezpieczną bitwę i prawie nie ma żadnej nadziei na to, że wyjdzie z niej zwycięsko.

Młody człowiek siedzący naprzeciwko Laury przy oknie pochrapywał cicho. Opierał się policzkiem o zagłówek, usta miał lekko otwarte. Wyglądał jak niemowlę, miękkie i różowitkie. Wydawało się, że śni jakiś przyjemny sen, gdyż na jego twarzy malowało się odprężenie i spokój.

Zasnęła także studentka przy drzwiach przedziału. Ściśle biorąc, Laura tylko p r z y p u s z c z a ł a, że w przypadku młodej kobiety chodzi o studentkę. Po prostu na taką wyglądała: dzinsy i bawełniana bluzka, inteligentna twarz, okulary w niklowanej oprawce, krótkie, trochę rozczochrane włosy. Przed zaśnięciem cały czas czytała książkę, o ile Laura zdołała stwierdzić, było to coś z dziedziny matematyki.

Pociąg dudnił wśród nocy i Laura nie mogła zasnąć. W przedziale paliło się jedynie słabe światło; za szybą widać było płatki śniegu. Fernand odwiózł ją na dworzec swoim jeepem, innym autem by nie dojechał. W Yorku musiała się przesiąść i długo czekać, bo cały rozkład jazdy był już postawiony na głowie. Ze wszystkich stron docierały do niej alarmujące informacje o pogodzie. Ludzie liczyli się już chyba z tym, że w północnej Anglii i Szkocji opady śniegu mogą spowodować prawdziwą klęskę żywiołową.

Zasypie tych dwoje na amen i będą mieli mnóstwo czasu, żeby szperać w mieszkaniu, pomyślała ponuro Laura. Żałowała już, że w ogóle wybrała się w tę podróż, najchętniej wysiadłaby na następnej stacji i natychmiast wróciła pociągiem jadącym w przeciwnym kierunku. Ale pominąwszy to, że swoim pojawieniem się w domu złamałaby warunki umowy

i sprawiła niemały kłopot, wydawało się rzeczą wysoce wątpliwą, czy w ogóle zdołalaby dotrzeć do Westhill.

„Od tej pory nic już nie pojedzie”, powiedział Fernand na dworcu w Northallerton, po czym dodał, spoglądając w niebo na szalejącą zawieruchę: „Niech pani trzyma za mnie kciuki, żeby udało mi się jeszcze dotrzeć do domu!”.

Myślała o Barbarze. Ta kobieta wydawała jej się podejrzana. Nie, żeby niesympatyczna, ale też nie można było powiedzieć, że niegroźna. Świadomie dążąca do celu i bezpośrednia w sposobie zadawania pytań. Co dziwne, Laura nie uważała jej wcale za ciekawską; nadmierna ciekawość miała według niej nieprzyjemny posmak, a w Barbarze nie było nic nieprzyjemnego. Nadmiernej ciekawości towarzyszy zwykle żądza sensacji, a u Barbary nie wyczuwało się nic takiego. Sprawiała wrażenie człowieka opętanego autentyczną pasją, zainteresowanego wszystkim, co dzieje się wokół niego, i każdym, kto staje na jego drodze. To zainteresowanie kazało także poznawać tło, wcześniejsze dzieje jakiejś sprawy, nie bacząc na ryzyko, że w ten sposób sensacja zostanie oswojona i straci swój dramatyczny wymiar. Barbara nie zaglądała przez dziurkę od klucza, tylko wchodziła prosto do pokoju i pytała o to, co chciała wiedzieć.

Jak Frances, pomyślała Laura i w następnej chwili pojęła, że właśnie to skierowało jej sympatię ku Barbarze, a równocześnie wzbudziło w niej strach i nieufność:

Barbara była taka sama jak Frances Gray.

## *Wtorek, 24 grudnia 1996 roku*

Barbara nie wiedziała, co ją zbudziło: wyjąca zawieja czy przerażenie własnym postępkiem, które musiało przeniknąć w głąb jej snu, bo kiedy usiadła w łóżku, jej twarz płonęła wstydem. Na zewnątrz szalała burza śnieżna. Wydawało się, że śnieżnica chce ruszyć z posad cały świat, miotła się wokół domu jak zawzięty wróg, łomotała szybami w oknach, wypełniała stare wysokie kominki straszliwymi odgłosami. To, co rozgrywało się na zewnątrz, miało w sobie coś z piekła, lecz w tym momencie wydawało się Barbarze tylko w połowie tak groźne jak to, co działo się w jej wnętrzu. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miała erotyczny sen.

- To absolutnie śmieszne - powiedziała na głos w ciemności, po czym padła na brzuch, wciskając twarz w poduszki i czekając, kiedy uspokoi się to łagodne, w dziwny sposób bolesne kołatanie w jej ciele.

Właśnie pozwoliła Fernandowi Leighowi, by ściągnął jej rajstopy na tylnym siedzeniu auta, kiedy na szczęście się obudziła, pamiętała też, że wprost szalała z podniecenia. Jeśli jęczała we śnie lub może nawet wypowiadała obsceniczne słowa, pozostanie to, dzięki Bogu, jej tajemnicą, bo była w pokoju sama. Ralph zostawił do jej dyspozycji duże pomieszczenie, które Laura przygotowała pierwotnie dla obojga, i przeniósł się z kołdrą i poduszką do jednego z małych pokoi. Załatwili to sprawnie, bez zbędnych słów.

„Przypuszczalnie tak wolisz”, powiedział jedynie Ralph, a ona odparła: „Po prostu będzie tak, jak jesteśmy przyzwyczajeni”.

Ponownie usiadła na łóżku i szukając wyłącznika nocnej lampki, zastanawiała się, czy był to sen kobiety, która już nazbyt długo obywała się bez życia seksualnego. Rok? A może nawet dłużej? Nigdy nie miała wrażenia, że czegoś jej brakuje. Zresztą z powodu ciągłych stresów zawodowych łóżko i tak wydawało jej się jedynie miejscem, w którym wykorzystywała do ostatniej sekundy krótkie godziny snu, na jakie mogła sobie pozwolić. Nie przyszłoby jej do głowy marnować choćby jednego z tych cennych momentów na coś innego. Prawie co wieczór miała dodatkowe spotkania zawodowe lub zobowiązania towarzyskie, toteż do domu przychodziła zazwyczaj dopiero wtedy, gdy Ralph już spał. Za to on wstawał rano wcześniej i nie było go już w domu, kiedy ona zaspana człapała do łazienki. W końcu uzgodnili, że będą spać w oddzielnych pokojach, bo lepiej dało się to pogodzić z ich różnymi porami snu.

Znalazła wyłącznik, ale światło się nie zaświeciło. Miała nadzieję, że to awaria lampki, a nie na przykład brak prądu w całym domu.

Wstała z łóżka i niepewnym krokiem - bardzo wolno i potykając się w obcym pokoju - podeszła do drzwi, gdzie znajdował się jeszcze jeden wyłącznik. Również tutaj nic. Tak samo było na korytarzu.

- O cholera - mruknęła. Podeszła do drzwi sypialni Ralpha i zapukała cicho. - Ralph! - szepnęła.

- Wejdz. - Jego głos brzmiał wyraźnie i czysto jak głos człowieka rozbudzonego. - I tak nie mogę spać. Zawieja jest zbyt głośna.

Barbara weszła do środka. Usłyszała kliknięcie, po czym zdziwiony głos Ralpha:

- Nie ma światła!

- To właśnie chciałam ci powiedzieć! - Barbara, marznąc, przestępowała z nogi na nogę, podłoga była lodowata. - Nigdzie nie ma!

- Na dole też?

- Tam nie próbowałam. Co to jest, jak sądzisz?

- Może tylko wyskoczył bezpiecznik. Zajmę się tym jutro rano.

- A może zawieja uszkodziła linię elektryczną. Wtedy nie moglibyśmy nic zrobić.

- Coś takiego na pewno szybko naprawiają.

Oczy obojga przyzwyczajały się stopniowo do ciemności, od biedy widzieli się nawet nawzajem. Ralph zauważył, że Barbara dygocze.

- Wracaj szybko do łóżka - powiedział - bo się przeziębisz. Albo... - zawahał się chwilę - albo chodź do mnie. Tylko już tak nie stój!

Pamiętając o swoim śnie, Barbara miała odczucie, że w żadnym wypadku nie powinna zbliżać się do Ralpha.

- Już znikam - powiedziała. - Miejmy nadzieję, że ta przeklęta śnieżycza osłabnie do rana. Dostanę szalu!

Po ciemku odnalazła drogę do swego pokoju i z powrotem do łóżka, ale nie mogła już zasnąć, tylko przewracała się niespokojnie z boku na bok. Dopiero we wczesnych godzinach rannych zapadła w płytki sen.

Obudziło ją szarpanie za ramię. Stał nad nią Ralph. Był już ubrany, lecz jeszcze nieogolony, wyglądał na dosyć skonsternowanego.

- Barbaro, wstawaj! Musisz to zobaczyć!

- Co takiego?

- Podejdz do okna!

Przewyciężyła jakoś senność i postąpiła zgodnie z jego życzeniem. W następnej chwili nie mogła się jednak powstrzymać i wydała cichy okrzyk.

- Na miłość boską! To niemożliwe!

Świat za oknem tonął w śniegu. Jak okiem sięgnąć, śnieg, nic, tylko śnieg. Nie było różnicy między łąkami, drogami, podjazdem przed domem, ogrodem. Wszystko zniknęło przykryte grubą warstwą śniegu. Drzewa wzdłuż podjazdu wydawały się dziwnie małe, bo ich pnie ledwie do połowy wystawały ze śniegu, a gałęzie prawie załamywały się pod białym ciężarem. Wichura powaliła dwa drzewa, ich olbrzymie korzenie sterczały w górę, będąc świadectwem siły żywiołu, który nawiedził okolicę w nocy. Wiatr ustał, ale śnieg padał bez przerwy. Nad samotnym domem zaległa głęboka, tajemnicza cisza.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć! - zawołała Barbara zupełnie wytrącona z równowagi. - Czegoś takiego jeszcze nie widziałam!

- Nie mamy prądu w całym domu - zakomunikował Ralph. - Na dole też. Bezpieczniki są w porządku. A więc śnieżycza uszkodziła przypuszczalnie linię energetyczną.

- Ale coś takiego na pewno szybko naprawią, prawda? Moim zdaniem okolica jest trochę opuszczona, ale przecież nie całkiem odcięta od cywilizacji!

- Pytanie tylko, czy komuś uda się w ogóle przedrzeć tak daleko przez śnieg, żeby móc coś naprawić. Obawiam się, że nie pomogą nawet łańcuchy przeciwslizgowe.

- A propos łańcuchów przeciwslizgowych - podjęła Barbara. Wyglądała przez okno, jakby czegoś szukając. - A gdzie jest auto? Stało przecież przed drzwiami!

- I nadal tam stoi - odparł Ralph. W jego głosie słychać było rozbawienie z domieszką paniki. - Pod śniegiem!

- W takim razie nie możemy nawet pojechać do Leighów!

- Nie. Nie ma szans. Moim zdaniem śnieg sięga już na ponad metr i ciągle go przybywa. Nie damy rady.

Barbara skuliła się z zimna i skrzyżowała ramiona. Miała na sobie tylko majteczki oraz T-shirt i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że w pokoju jest dosyć zimno.

- Czy ja jestem z samego rana taka wymarznęta - zapytała - czy wczoraj rzeczywiście było cieplej?

- Wczoraj wieczorem rzeczywiście było cieplej - potwierdził z przygnębieniem Ralph - bo działało jeszcze ogrzewanie.

- Co? - Wytrzeszczyła na niego oczy.

Pokiwał głową.

- Byłem w piwnicy. Bez prądu pompa nie działa. A agregatu awaryjnego nie ma.

- W takim razie nie mamy też ciepłej wody! Nie możemy uruchomić kuchenki. Ani...

- Poza tym nie działa telefon. Po prostu nie ma połączenia.

Barbara podeszła powoli z powrotem do łóżka, usiadła na nim i podparła dłońmi głowę.

- Niech to wszyscy diabli! - zakląła z pasją.

Ralph próbował się uśmiechnąć, żeby jej dodać otuchy.

- To nie koniec świata, Barbaro. Chodzi mi o to, że nie siedzimy przecież gdzieś na śnieżnej pustyni, bez dachu nad głową, albo w aucie znikającym z wolna pod masami śniegu. Mamy solidny, suchy dom wyposażony w kilka kominków, w których możemy rozpalić ogień. Przez kilka dni będziemy odcięci od świata, ale przecież śnieg nie będzie padał wiecznie i sytuacja się unormuje. No bo pomyśl - dodał, ponieważ miał przeczucie, że może to zabrzmieć pocieszająco. - Nie jesteśmy przecież jedynymi ludźmi, których to spotkało. Wszyscy dookoła mają taki sam problem i oni też sobie z nim poradzą.

Barbara wstała i zdecydowanym ruchem sięgnęła po szlafrok.

- Przede wszystkim muszę się napić mocnej kawy - powiedziała. - Wcześniej nie potrafię myśleć. Idziesz ze mną do kuchni?

Przytrzymał ją za ramię.

- Jak chcesz...?

- Ten stary żelazny piec. Tak czy inaczej muszę go uruchomić. Choćbym miała rozpalić ognisko pośrodku salonu, muszę się teraz napić kawy!

W salonie przy kominku leżały jeszcze trzy szczapy, ułożone jedna na drugiej w mosiężnym koszu. Przypuszczalnie było to całe drewno, jakie znajdowało się w domu, lecz Ralph oświadczył, że jest przekonany, iż w pobliżu musi być większy zapas.

- Za domem znajduje się szopa, zauważyłem ją jeszcze wczoraj wieczór - wyjaśnił. - Panna Selley na pewno trzyma tam zapas drewna. Muszę się jakoś tam dostać. Ciekawe, czy jest tutaj łopata do odgarniania śniegu!

Zszedł do piwnicy, żeby się rozejrzeć, a tymczasem Barbara usiłowała uruchomić stary żelazny piecyk. Szybko stwierdziła, że samo drewno nie chce się palić. W jadalni leżało czasopismo z programem telewizyjnym, i tak zresztą niepotrzebne ze względu na brak prądu. Wyrwała kilka kartek i zmiąwszy je, wcisnęła między szczapy. Wkrótce zapłonął ogień i mogła nastawić wodę na kawę. Czuła się jak osadniczka w niecywilizowanym kraju. W jednej z szafek znalazła dzbanek na kawę i papierowe filtry. Postawiła na blaszanej płycie patelnię i usmażyła dwa jaja sadzone, a następnie wzięła dwie kromki z opakowania krojonego chleba. W kuchni zrobiło się trochę cieplej, świeża kawa roztaczała ożywiający

aromat.

- Śniadanie gotowe - powiedziała Barbara, kiedy Ralph wrócił.

Miał brudną plamę na policzku i pajęczynę we włosach. Kichnął.

- Ta piwnica jest totalnie zakurzona i brudna. Ale jest przynajmniej kilka łopat do odgarniania śniegu, więc będę mógł się przekopać do szopy. - Podszedł do piecyka, otworzył drzwiczki i trzymał zgrabiałe dłonie przed ogniem. - Tam, na dole, jest zimno jak w grobie. Nawiasem mówiąc, przyjemnie tutaj pachnie!

- Kawa i jaja sadzone. Przynajmniej nie musimy rezygnować z ciepłego jedzenia.

Siadając przy stole, zauważył ostrożnie:

- Powinniśmy oszczędnie gospodarować zapasami. Możliwe, że będą nam musiały wystarczyć na jakiś czas.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy dotrzeć pieszo do Leigh's Dale i zrobić zakupy?

- Wykluczone. Śnieg sięga mi do bioder, a jestem dosyć wysoki. Zajęłoby nam to zbyt wiele czasu, bo po każdym kroku musielibyśmy praktycznie odkopywać się ze śniegu na nowo. Poza tym prawdopodobnie zgubilibyśmy kierunek. Nie widać przecież żadnej drogi, której moglibyśmy się trzymać, a my w ogóle nie orientujemy się w okolicy.

- W takim razie czekają nas sute święta - stwierdziła przybita Barbara. - Wiesz co, po śniadaniu zrobimy inwentaryzację, żeby wiedzieć, co mamy, okay?

Inwentaryzacja wypadła deprymująco. Pozostały im cztery jaja i sześć kromek chleba. Napoczęta kostka masła, mniejszy od pięści kawałek miejscowego sera. Do tego mały słoik marmolady pomarańczowej, opakowanie mielonej kawy, puszka mleka skondensowanego, torebka soli oraz torebka cukru. Poprzedniego wieczoru jedli spaghetti, została połowa, a ponadto resztką sosu. Jedno i drugie mogli odgrzać, ale raczej by się tym nie najedli.

- Trzeba było posłuchać Cynthii Moore! - powiedziała Barbara. - Od razu nam radziła, żebyśmy wzięli więcej zapasów.

- Zajrzyjmy jeszcze do spiżarni - zaproponował Ralph. - Może Laura Selley trzyma tam kilka puszek konserw. Przecież później możemy jej odkupić.

Najwidoczniej jednak Laura Selley nie miała wysokiego mniemania o magazynowaniu zapasów, a z pewnością zwłaszcza konserwy były w jej oczach, jak przypuszczała Barbara, nowomodnym wynalazkiem, więc odnosiła się do nich nieufnie. W sąsiadującej z kuchnią spiżarni też nie znaleźli nic do jedzenia z wyjątkiem czterech małych ziemniaków i kilku robaczywych jabłek. Jedynym produktem występującym w nadmiarze była herbata. W słoikach, puszkach, woreczkach. Herbata czarna, zielona, herbatki owocowe i lecznicze na różne dolegliwości. Wszelkie egzotyczne gatunki, jakie tylko można sobie

wyobrazić. W tę niewiarygodną kolekcję na pewno zainwestowano sporą sumkę. Prawdopodobnie herbata była jedynym luksusem, na jaki pozwalała sobie Laura Selley.

- W każdym razie nie umrzemy z pragnienia - stwierdził Ralph. - Możemy pić herbatę do upadłego. Poza tym sytuacja wygląda jednak niewesoło.

- Nawet lodówka ziele pustką! - zawołała z oburzeniem Barbara. - Wiesz, sędzę, że ta kobieta należy do gatunku starych skąpców, którzy w ostatnich dniach lub tygodniach przed wyjazdem żywią się wyłącznie resztkami potraw sprzed wielu dni, byle tylko nie kupować nic nowego, z czego na końcu musiałoby jednak coś pozostać! A jeżeli rzeczywiście coś pozostaje, to zawijają te resztki w papier i jedzą w pociągu, bo tam nie pozwalają sobie nawet na małe ciastko w wagonie restauracyjnym!

Utrafiła dość dokładnie w sedno, pomyślał Ralph, odniósł jednak wrażenie, że Laura Selley faktycznie ma mało pieniędzy i utrzymanie Westhill właściwie przekracza jej możliwości.

- Popatrz, to wszystko, co znalazłam w jej rozmrażającej się powoli lodówce - ciągnęła Barbara z wściekłością. Wyjęła szklaną litrową butelkę, w jednej czwartej napełnioną mlekiem. - Czy to nie fantastyczne? Dzięki temu oprócz odrobiny naszego skondensowanego mleka do kawy i jej zapomnianych herbat mamy więc przynajmniej trochę świeżego mleka!

- Barbaro! - napomniął ją Ralph. Nagle jakby całkiem uszło z niego powietrze. - To my jesteśmy głupcami, nie ona. Powinniśmy byli zrobić wczoraj porządne zakupy. Poza tym takie gderanie nie ma teraz sensu.

- Na jak długo wystarczy to, co mamy?

Wzruszył ramionami.

- To się okaże. Najpierw muszę się postarać o trochę drewna. Ty się ubierz, a potem pobieraj wszystkie świece, jakie znajdziesz w domu. Pamiętaj, że o piątej robi się ciemno.

Barbara szybko stwierdziła, że świec w domu jest więcej niż dosyć. Osadzone były w niezliczonych świecznikach, które stały we wszystkich pomieszczeniach. Barbara zaniósła kilka z nich do jadalni i umieściła je na stole oraz na gzymsie kominka. Jadalnia była mniejsza od salonu i zapewne szybciej się ogrzewa, dlatego uznała, że w następnych dniach powinni najwięcej przebywać właśnie w tym pomieszczeniu i oczywiście w kuchni. Przez przeszklone drzwi do ogrodu widziała Ralpa, który odgarniał łopatą swego rodzaju korytarz prowadzący do szopy. Rzuciwszy okiem na jego twarz, tę szczupłą, zawsze trochę zbyt bladą twarz intelektualisty, zauważyła, że jest wykrzywiona z wysiłku. Okropnie się męczył, bo był zupełnie nieprzyzwyczajony do pracy fizycznej. Barbara postanowiła wyjść i mu pomóc; w



przeciwnym razie gotów jeszcze dostać zawału.

W południe dotarli do szopy. Oboje byli kompletnie wypompowani, u kresu sił. Barbara czuła, jak pot spływa jej po plecach. Ponieważ śnieg nadal padał, włosy miała całkiem mokre, w dodatku śnieg z cudowną obojętnością bez przerwy niszczył efekt ich żmudnej pracy.

- Rozumiesz teraz - mówił Ralph, oddychając ciężko - że nigdy nie dotarlibyśmy do Leigh's Dale na piechotę?

Barbara oparła się zdyszana na swojej łopacie.

- Czyżbym mówiła jeszcze potem coś w tym stylu?

Słaniając się na nogach, zrobiła ostatni krok w kierunku drzwi szopy i otworzyła je. Z wdzięcznością przyjęła do wiadomości to, że nie są zamknięte na klucz. Na pewno nie miałyby już siły na żmudne poszukiwanie klucza.

- Chodź - powiedziała. - Przeniesiemy drewno do domu. Przez resztę dnia nie kiwnę już palcem!

Wewnątrz szopy czekała ich jednak nieprzyjemna niespodzianka. Drewno wprowadzić tam było - ale najwidoczniej nie znalazł się jeszcze nikt, kto by porąbał złożone na stos, przepołowione pnie na szczapy mieszczące się w kominku. Ralph jęknął cicho i popatrzył na pniak do rąbania, w którym tkwiła wielka siekiera.

- Tego jeszcze nigdy nie robiłem. Naprawdę nie wiem, jak...

- I nie będziesz tego robił - podchwyciła szybko Barbara. - Nie masz pojęcia, jak to się robi, a gdybyś się przy tym zranił, nie moglibyśmy nawet wezwać lekarza. Słyszałam kiedyś o mężczyźnie, który wbił sobie w nogę siekierę, a potem nie mógł wyjąć.

Spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

- Możesz mi więc zdradzić, co dalej. Czy ty zamierzasz rąbać drewno?

- Nie. Nie potrafię tego tak samo jak ty. Ale nie chcę też, żebyś ty to robił. Dom był ogrzewany przez wiele tygodni. Pomieszczenia na parterze są co prawda wychłodzone, ale to jeszcze nie lodownia. Jeśli będziemy się ciepło ubierać i owijać w koce, na pewno nie zamarzniemy.

- Barbaro, to wszystko tutaj może potrwać nawet tydzień, a wtedy szybko robi się bardzo nieprzyjemnie. Abstrahując od tego, bez ognia nie możemy nawet zagotować kawy lub herbaty, a nie mamy nic innego do picia. Nie możemy nawet wykorzystać jaj ani ziemniaków. Nie pozostaje mi nic innego, jak spróbować.

Przyciągnął najmniejszy z przepołowionych pni, wyszarpnął siekierę z pniaka i położył na nim kloc. Barbara cofnęła się kilka kroków. Ledwo mogła na to patrzeć. Ralph był

znakomitym prawnikiem, ale człowiekiem okropnie niepraktycznym, nie potrafił nawet wbić gwoźdźcia w ścianę. Kiedy tak stał tutaj, w tej mrocznej szopie, z toporem w ręku i z wyrazem absolutnej determinacji na twarzy, wyglądał tak niedorzecznie, że można było tylko zamknąć oczy.

Zamachnął się - zbyt nieśmiało, pomyślała Barbara, zbyt słabo - więc wstrzymała oddech. Rozległ się głośny trzask, a gdy ponownie spojrzała w tamtą stronę, kłoc, który ślizgając się po ziemi, przeleciał przez całą szopę, leżał nietknięty w kącie, a siekiera tkwiła znowu w pniaku. Ralph próbował właśnie z zawziętą miną wyciągnąć ją z niego.

- Słuchaj, może powinniśmy... - zaczęła Barbara, ale gdy Ralph odwrócił się gwałtownie, w jego oczach płonąła taka złość, że zamilkła.

- Bądź tak miła i zostaw mnie samego! Sądysz, że potrzebuję widzów tego żalosego spektaklu, jaki tutaj daję? Pewnie wydaję ci się bardzo śmieszny, prawda? Może trzeba było wybrać sobie na męża m ę ż c z y z n ę, a nie wymoczka nadającego się tylko do pracy przy biurku!

- Jediną rzeczą, jaka mnie w tej chwili u ciebie śmieszy, są twoje teksty! Naprawdę sądysz, że mężczyzna jest dla mnie męski wtedy, gdy potrafi porąbać głupi kawałek drewna?

Jego twarz, przed momentem jeszcze zaróżowiona z zimna, stała się trupio biała.

- Przy okazji - powiedział cicho, ale ostrym tonem - mogłabyś mi zdradzić, co twoim zdaniem powinien mieć w sobie mężczyzna, żeby był męski. Wtedy ewentualnie miałbym u ciebie szansę...

Urwał.

- Na co? - zapytała Barbara.

- Na to, że kiedyś odnajdziesz znowu drogę do mojego łóżka. A teraz znikaj, zostaw mnie samego!

Czytała kiedyś, że mężczyźni w każdej sytuacji myślą o seksie, ale nie mogła tego pojąć.

- Naprawdę uważasz, że to właściwy moment, żeby...

- Dla ciebie to właściwy moment, żebyś zostawiła mnie w spokoju i znalazła sobie jakieś zajęcie - ofuknął ją.

Odwróciła się bez słowa i wypadła z szopy, zamykając za sobą drzwi z taką siłą, że z dachu zsunęła się śniegowa czapa. Niech więc sobie robi, co chce! Niech sobie odrąbie nogę, wywichnie ramię albo dostanie udaru serca! Te wielkie opady śniegu zdarzyły się nie z jej winy, więc nie pozwoli, żeby wyładowywał na niej zły humor z tego powodu. Po prostu nie mógł panować między nimi pokój - chyba że schodzili sobie z drogi. Przymuszczałnie ostatnią

rzeczą, jakiej mogliby sobie teraz życzyć, było to, że zostaną zasypani i na dobre i na złe będą musieli wytrzymać ze sobą pod jednym dachem - w dodatku marznąc i coraz bardziej głodni.

Przystanąła na moment wśród śnieżycy na wąskiej ścieżce, którą odgarnęli wspólnymi siłami. Wciąż jeszcze było jej ciepło - od pracy i z wściekłości. Spojrzała w górę, na dom. Ciemne bryły wapienia o nieregularnych kształtach tworzyły masywne ściany. Białe drewniane okna szczeblinowe sprawiały przyjemne, swojskie wrażenie. Między dwoma oknami pierwszego piętra Barbara odkryła pozostałości drewnianej kraty, przypuszczalnie na dzikie wino. W przeszłości dom, a przynajmniej jego tylna strona, musiał być nim zarośnięty po sam dach. Na tyłach znajdował się też duży ogród. Barbara przypomniała sobie, że poprzedniego dnia tuż przed zapadnięciem ciemności widziała kamienny murek, który teraz całkowicie zniknął pod śniegiem.

Nagle przed jej oczami pojawiła się wizja: obraz ciepłego letniego wieczoru, dzieci bawiących się w ogrodzie między drzewami owocowymi, młodej kobiety siedzącej na murku z zamkniętymi oczami, zanurzającej palce w mchu, który rósł między kamieniami, i czującej na twarzy ciepły powiew wiatru. Dom pełen był głosów i życia, a nie milczenia i samotności starej kobiety, zbyt skąpej, żeby zostawić przy wyjeździe jakiegokolwiek zapasy, na którą nikt nie czekał, gdy powróci. Dom miał swoją historię i Barbara była przekonana, że często wyglądał przyjemniej niż dzisiaj.

- A może czasem także gorzej - mruknęła do siebie.

Obraz letniego wieczoru zniknął. Znowu padał śnieg, a nad nieskończonymi śnieżnymi połączeniami nisko zwisały ciężkie ciemne chmury. Dwudziesty czwarty grudnia. Tymczasem oni tkwili tutaj, nie mieli prawie nic do jedzenia, a Ralph przechodził kryzys, bo nie potrafił rąbać drewna i przypuszczalnie czuł się zdyskwalifikowany jako mężczyzna. Wyglądał na bardzo udręczonego.

Gwałtownie pokręciła głową, jakby nie mogła się otrząsnąć z tego obrazu męża.

Wesołych świąt, pomyślała.

## *Środa, 25 grudnia 1996 roku*

„...a liczne miejscowości i pojedyncze gospodarstwa są zupełnie odcięte od świata” - przeczytał na koniec obojętnym tonem prezydent wiadomości. Laura, która siedziała przy stole nad talerzem z nietkniętą jajecznicą, wstała i wyłączyła radio w momencie, gdy rozległy się pierwsze dźwięki „Cichej nocy”. Nie była w nastroju do świętowania. Za bardzo się martwiła.

Wyjątkowo raz była wdzięczna siostrze Marjorie za to, że jest taka prozaiczna. Prawie nic w małym mieszkaniu nie wskazywało na to, że jest właśnie dwudziesty piąty grudnia. Na parapecie stała wypalona do połowy zielona świeca w kształcie choinki, obok na tekturowym talerzyku leżały ciastka upieczone i przywiezione przez Laurę. Poza tym nie było żadnych świątecznych dekoracji.

„To tylko kosztuje - zwykła mawiać Marjorie - a po co mam się trudzić, robić kule, układać gałązki i urządzać tutaj cały ten kram? Chyba tylko po to, żeby parę tygodni później musieć wszystko rozbierać i usuwać. A świat od tego wcale nie będzie lepszy!”.

W poprzednich latach Laura zawsze się gryzła z powodu takiego nastawienia swojej siostry, nie znajdowała jednak nigdy przekonującego kontrargumentu. Realistycznie patrząc, Marjorie miała rację: dekoracje świąteczne były drogie i wymagały wiele trudu, a nic nie zmieniały w deprymującym stanie ogólnym świata. Dodawały jednak na jakiś czas trochę blasku i ciepła, a tego, zdaniem Laury, każdy potrzebował od czasu do czasu, by czerpać siłę do zmagania z codziennością.

Wiedziała, że Marjorie miała taki szorstki, cierpki charakter już od najwcześniejszej młodości, później doszło jeszcze ciągle zrządzenie. Była młodszą z siostr, lecz zawsze wydawała się starsza niż nieśmiała Laura o dużych oczach. Po śmierci ojca, którego pielęgnowała do samego końca, sama się przy tym wykańczając - a to należało jej poczytać za wielką zasługę, myślała często Laura - zniechęciła każdego mężczyznę, jaki odważył się do niej zbliżyć, nie było ich zresztą zbyt wielu. Potem przeprowadziła się do tego okropnego bloku pod Chatham, w którym mieszkała już od trzydziestu lat i który był tak posepny, że wpędziłby z czasem w depresję nawet najradośniejszego człowieka. Laura nigdy nie zrozumiała jej decyzji o przeniesieniu się do tego okropnego szarego betonowego pudła. W Kent było tyle ślicznych wiosek, w których Marjorie mogła wynająć mały domek i zapewnić sobie choć trochę wygody. Ponieważ jednak we wszelkich jej rozważaniach liczyły się

zawsze tylko względy praktyczne, wybrała ten silos mieszkalny, szpecący okolicę niczym brzydki wrzód, przede wszystkim dlatego, że miała stamtąd tylko kilka minut drogi do firmy, w której do niedawna pracowała, małej fabryki produkującej tekturowe talerzyki i kubki oraz papierowe serwetki.

Mieszkanie składało się z trzech pokoi, kuchni i łazienki, był też mały balkon, który wychodził jednak na północną stronę i nigdy nie oglądał słońca. Laury nie dziwiło więc, że Marjorie staje się coraz bardziej zgryźliwa. Większość ludzi spotykanych na klatce schodowej wyglądała na zrędy i ponuraków.

Tym razem jednak Laura była zbyt zajęta własnymi troskami i kłopotami, ażeby rozmyślać tak często o losie Marjorie. Od poprzedniego dnia śledziła w napięciu wszystkie audycje informacyjne w radiu i telewizji. Wszędzie głównym tematem były wielkie opady śniegu w północnej Anglii. Telewizja pokazywała zdjęcia zrobione z helikopterów: można było odnieść wrażenie, że to rejony w pobliżu bieguna północnego. Nieskończone śnieżne przestrzenie, a pośród nich pojedyncze czarne punkty - domy albo wioski.

Laura, która oglądała te zdjęcia w napięciu i z biciem serca, zastanawiała się, skąd bierze się to narastające w niej ciągle poczucie zagrożenia. Czowała się jak ktoś, kto w chwili niebezpieczeństwa zostawił to, co ma najdroższego. Westhill. Ale co miałyby się przytrafić budynkowi? Od ponad stu lat stał w jednym miejscu i przetrwał wszystkie mniejsze i większe katastrofy, jakie nawiedziły okolicę. Może jednak Laura nie dostrzegała zagrożenia dla domu. Może chodziło o ludzi, którzy przebywali w nim teraz. Ta młoda kobieta o chłodnym, badawczym spojrzeniu...

Laura westchnęła głęboko. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatnio tam, na północy, przytrafiła się równie sroga zima. Było kilka takich. Najgorszą przeżyli wkrótce po wojnie, w 1947 roku. Adeline, stara gospodyni, była już wtedy ciężko chora i musiała regularnie zażywać leki przeciwbólowe. Frances bała się, że wyczerpie się zapas preparatów zawierających morfinę, zanim śniegi stopnieją i znów będzie mógł dotrzeć do nich lekarz. Jednak w porę przestało padać i pługi śnieżne oczyściły w końcu dojazd do farmy. Wtedy to po raz pierwszy i ostatni Laura widziała Frances zdenerwowaną: istny kłębek nerwów.

- Moim zdaniem dzieci są obecnie za bardzo rozpieszczone - zauważyła kwaśno Marjorie, która niepostrzeżenie weszła do kuchni.

Miała na sobie stary, wyświechtany niebieski szlafrok, który należał jeszcze do jej matki, a na nogach wytarte futrzane pantofle. Nie zdążyła się uczesać do tej pory. Wyglądała na więcej niż sześćdziesiąt siedem lat. Zwłaszcza skóra wokół ust była obwisła i zwiędła.

Laura, pogrążona we wspomnieniach, wzdrygnęła się.

- Co mówisz?

- Chłopiec z mieszkania nade mną dostał pewnie na Gwiazdkę rower - wyjaśniła Marjorie. - Jeździ na nim przed domem. Rower z wszelkimi szykanami. Dla młodych ludzi wszystko musi być teraz w najlepszym gatunku. Tymczasem ojciec jest bezrobotny i cała rodzina żyje na koszt opieki społecznej!

Podeszła do okna i popatrzyła w dół, aby przyjrzeć się po raz drugi dowodowi niesłychanego zuchwalstwa. Z niezadowoleniem stwierdziła, że chudy, a poza tym zawsze bardzo poważny chłopiec rzeczywiście wygląda na uszczęśliwionego.

- Chyba jest poważny kłopot z tym śniegiem w Yorkshire - zauważyła z przygnębieniem Laura.

- Tutaj śnieg pada rzadko - odparła Marjorie. W dalszym ciągu wyglądała przez okno.

- Wkrótce będzie padał deszcz.

- Może więc pójdziemy wcześniej na spacer? Żeby się trochę ruszyć z domu.

- Ty możesz wyjść, jeśli chcesz. Ja nie mam ochoty. - Marjorie odwróciła się od okna, podeszła do stołu i usiadła ciężko na swoim miejscu, po czym bez żadnych wstępów zaczęła znowu mówić: - No, ci ludzie, którym wynajmujesz, postawią ci pewnie dom na głowie. Mam nadzieję, że dobrze zamknęłaś swoje listy miłosne!

Zaśmiała się złośliwie, wiedząc, że Laura nigdy w życiu nie dostała listu miłosnego.

Laura pobladła.

- Myślisz, że naprawdę szperają w całym domu?

Marjorie sięgnęła po dzbanek z herbatą, nalała sobie i skrzywiła się, zauważywszy, że jest zimna.

- Nie mam pojęcia. Ale co innego mieliby robić?

- To dziwne - zauważyła Barbara. Siedziała w salonie przy małym sekretarzyku; na kolanach trzymała stos papierów, które wyjęła właśnie z szuflady. Ze zmarszczonym czołem studiowała różne pisma. - Od 1986 roku Laura Selley sprzedała po kawałku dosyć dużo ziemi należącej do Westhill Farm temu niesympatycznemu Fernandowi Leighowi. W dodatku - co dziwi mnie najbardziej - za wręcz śmiesznie małe pieniądze!

Ralph wszedł akurat do pokoju, miał czerwone z zimna policzki i brudne ubranie. Wyglądał na zupełnie skonanego.

- Uważasz, że to ładnie szperać w dokumentach, które cię w ogóle nie dotyczą? - zapytał. - Sądzę, że powinnaś...

- Potrzebujemy papieru - przerwała mu Barbara - bo bez niego nie rozpalimy ognia.

Szukałam wszędzie, Ralph. Udało mi się znaleźć słownie jedną starą gazetę. Z gazety telewizyjnej nic już nie zostało, a książek, rzecz jasna, nie możemy wziąć na podpałkę. Myślałam, że może w sekretarzyku znajdę coś, co dałoby się spalić. Ale oczywiście nie te umowy sprzedaży!

Wsunęła z powrotem papiery do szuflady i wstała. W tym pomieszczeniu było zimno jak w psiarni. Barbara miała na sobie dwa grube swetry założone jeden na drugi, na nogach skarpety z owczej wełny, a mimo to marzła. Poza tym czuła dojmujący głód. Poprzedniego dnia, w Wigilię, zjedli resztę spaghetti, po łyżce dla każdego, co wystarczyło tylko do zaspokojenia na chwilę największego głodu. Jediną radosną niespodzianką wieczoru było odkrycie pełnej do połowy butelki brandy, która stała w najodleglejszym kącie kredensu w jadalni i stanowiła pewnie cały skromny zapas trunków Laury Selley, najwidoczniej zdeklarowanej przeciwniczki alkoholu. Brandy napelniła trochę ciepłem ich ciała i nadała wieczorowi przynajmniej w małej części świąteczną oprawę.

Następnego dnia każde dostało na śniadanie kromkę chleba, podzielili się ugotowanym na twardo jajkiem i zjedli trochę sera. Postanowili w ciągu dnia nic nie jeść, wieczorem ugotować cztery ziemniaki, a do tego pozwolić sobie jeszcze raz na kawałek sera. Ale Barbara już teraz czuła się osłabiona z głodu.

Ralph ściągnął rękawiczki.

- Narąbałem jeszcze trochę drewna - oświadczył. - Powoli dochodzę do wprawy. Nawiasem mówiąc, śnieg znowu pada!

Barbara wyrzała przez okno, za którym wirowały płatki śniegu.

- O, nie! W ogóle nie zauważyłam!

Kiedy wstali o dziewiątej rano - żadne z nich nie paliło się do opuszczenia łóżka i zjedzenia skąpego śniadania - na zewnątrz ukazał się ich oczom porywająco piękny widok. Na niebie nie było ani jednej chmurki, jawiło się w zimnym, arktycznym błękicie, wysoko sklepienie i rozległe niczym ogromna kula z barwionego szkła. Poranne słońce oświetlało niezmiernie, jak się wydawało, śnieżne przestrzenie, które migotały i skrzyły się w jego blasku, rozsiewając różową poświatę. Ralph i Barbara zapomnieli na wiele minut o swych burczących żołądkach. W milczeniu wyglądali przez okno, wzruszeni i na chwilę wynagrodzeni za wszelkie trudy.

- Zajrzę jeszcze na strych - powiedział Ralph. - Może znajdę trochę wełny drzewnej. Bardzo by się nam przydała.

- Wygląda na to, że to niesamowita pedantka - rzekła Barbara. - Taka, która na pewno regularnie robi porządki. Na strychu były tylko cztery tekturowe pudełka i dokładnie jedna

gazeta. Chciałabym, żeby w moim gabinecie panował kiedyś taki porządek jak tutaj w rupieciarni!

- Mieliśmy już ogromnego pecha - mruknął Ralph. - Mój Boże, jak ja tęsknię za działającym ogrzewaniem!

- Chciałeś właśnie trochę odpocząć - przypomniała mu Barbara. - Dlaczego nie poszukasz sobie jakiejś książki i nie położysz się w łóżku? I tak w tej chwili niewiele więcej możemy zrobić.

Ralph skinął głową i odwrócił się do drzwi.

- Obiecuj mi, że nie będziesz grzebać w zbyt wielu szufladach. To po prostu nie uchodzi.

- Tu i tak nie ma nic specjalnie interesującego - oświadczyła Barbara, opuszczając klapę sekretarzyka. Według niej Ralph żywił w każdej kwestii zbyt wiele skrupułów, lecz nie miała ochoty robić z tego tematu zasadniczej debaty. Generalnie nie miała już ochoty rozmawiać z nim o ich wzajemnych relacjach, choć przecież po to właśnie zdecydowali się na tę podróż.

Było już ciemno, kiedy Barbara wyruszyła w drogę do szopy. Potrzebowała znowu drewna do kuchni, żeby ugotować na kolację te cztery śmieszne ziemniaki. Z tego, które Ralph przyniósł w południe, nic nie zostało. Barbara zużyła je, paląc przez całe popołudnie w kominku w jadalni. Usiadła blisko płomieni, trochę czytała, pozwoliła sobie też na małą brandy. W pomieszczeniu zrobiło się całkiem ciepło, więc w połączeniu z widokiem szybujących płatków śniegu za oknem i powoli zapadającego zmierzchu miejsce naprawdę stało się przytulne. Po jakimś czasie Barbara poszła na górę, żeby zobaczyć, co z Ralphem. Zastała go w łóżku: spał głębokim snem. W świetle świecy przyglądała się przez chwilę jego dobrze znanej twarzy. Oddychał głęboko i równomiernie, miał w sobie coś wzruszającego, jak ścięte drzewo, i wydawał się dziwnie bezbronny. Barbara oparła się pokusie, żeby pochylić się nad nim i pogłaskać go po włosach. Ten gest mógłby go jednak zbudzić; wystarczy, że pozwoli mu później wstać na kolację.

Po cichu wyszła z pokoju. Na dole włożyła buty i płaszcz, żeby przygotować się na drogę do szopy. Dom skrzypiał i jęczał, bo wraz z zapadnięciem ciemności zadymka znowu przybrała na sile, uderzając z wyciem w okna i mury. Barbara znalazła w piwnicy latarnię zbudowaną na wzór staroświeckiej latarni olejnej. Umocowała w środku świecę i miała nadzieję, że zawieja jej nie zgasi. Na wszelki wypadek wsunęła do kieszeni płaszcza pudełko zapalek.



Zawieja wyrwała jej najpierw drzwi, potem omal nie wyrwała jej z ręki latarni. Zacinający śnieg walił jej w twarz grubymi puszystymi płatkami. Wprawdzie była jeszcze ścieżka, którą odgarnęli razem z Ralphem w jakże wielkim trudzie, ale nawet na niej Barbara zapadała się niemal po kolana. Spuściwszy głowę, przedzierała się powoli do przodu. Latarnia kołysała się dziko na wszystkie strony, płomień świecy migotał i zaraz zgasł, lecz Barbara nie zauważyła tego, ponieważ oczy i tak miała zamknięte i posuwała się do przodu po omacku. Dotarła do drzwi szopy, otworzyła je, a kiedy znalazła się w końcu pod osłoną murów, odetchnęła głęboko. Na jej płaszczu było pełno śniegu, we włosach pewnie też. Wyciągnęła z kieszeni zapalki i zapaliła ponownie latarnię. Na kamiennych murach zatańczyły upiorne cienie, jakaś wystraszona mysz przemknęła po podłodze i zniknęła za stosem narzędzi ogrodniczych. Wzrok Barbary padł na stojący w kącie duży wiklinowy kosz. Uznała, że dobrym pomysłem byłoby wykorzystanie go do transportu drewna, bo w ten sposób będzie mogła przenieść do domu o wiele więcej bierwion. Odstawiła latarnię i zaczęła układać drewno w koszu. Bierwiona były różnej wielkości i miały pełno drzazg, ale Ralph naharował się pewnie jak wół, gdyż faktycznie powstał całkiem spory zapas. Barbara załadowała do kosza, ile tylko się zmieściło, po czym rozejrzała się za jakimś przykryciem, kocem albo plandeką, w przeciwnym razie drewno zamokłoby błyskawicznie i tylko gorzej się paliło. W najodleglejszym kącie pomieszczenia odkryła stary wełniany pled złożony w kostkę na regale.

Barbara ruszyła ostrożnie w jego kierunku, balansując między kłodami drewna, różnymi rupieciami i narzędziami do prac w ogrodzie. Szopa była jedynym miejscem, którego nie obejmowało zamiłowanie do porządku Laury Selley. Przypuszczalnie prawie w ogóle tu nie wchodziła. Drobną staruszką z pewnością nigdy sama nie rąbała drewna do swoich kominków, prawdopodobnie utrzymanie wielkiego ogrodu również przekraczało jej siły. Może robił to za nią, za drobną opłatą, jakiś młody człowiek z Leigh's Dale.

Zahaczyła nogą o gwóźdź wystający ze ściany, usłyszała, jak drze się materiał, z którego uszyte były jej dzinsy. Zakłęła cicho, zrobiła krok w bok - i jej lewa stopa ugrzęzła w podłodze. Barbara straciła równowagę i poleciała do przodu, uderzając przy tym podbródkiem w kant stołu i rozdrapując sobie policzek o mosiężne pręty bezużytecznej już klatki dla chomika, która stała akurat na tym stole. Ze strachu i bólu krzyknęła głośno. Odczekała chwilę, po czym uniosła dłoń i ostrożnie obmacała szczękę. Najprawdopodobniej nie straciła zęba, niczego też sobie nie złamała, ale na pewno zostanie jej widoczny ślad w postaci krwiaka.

- Cholera! - zakłęła, lecz zaraz się pozbierała, odwróciła i przyjrzała bliżej dziurze w

podłozu, która spowodowała jej upadek.

Jak się okazało, jedna z długich desek złamała się w połowie. Drewno było już dosyć spróchniałe, ale to nie wszystko: akurat w tym miejscu dwie deski nie leżały jak reszta podłogi na twardej glinie, tylko zakrywały prawie dziesięciocentymetrowe zagłębienie. To dlatego nie mogły udźwignąć ciężaru Barbary. A nikt nie wpadł tam wcześniej pewnie z tego powodu, że drewno dopiero od niedawna było takie wilgotne i nadgniłe i że bardzo rzadko ktokolwiek wchodził do tej szopy, a jeszcze rzadziej ktoś, kto by szperał w głębi pomieszczenia.

- Naturalnie to ja muszę być znowu tym biednym głupcem, któremu przytrafi się to w pierwszej kolejności - mruknęła do siebie.

Zastanawiając się, czy ta jama w gliniastym podłozu powstała sama, czy ktoś ją utworzył celowo, wsadziła dłoń w głąb otworu. Ponieważ zostawiła latarnię blisko wejścia do szopy, w tylnej części ledwo było coś widać. Ku zaskoczeniu Barbary jej palce natrafiły na jakiś przedmiot. Coś twardego, zimnego... Wyciągnęła to coś: trzymała w ręku stalową kasetkę. Kiedy ją otworzyła, ujrzała gruby plik kartek: biały papier maszynowy gęsto pokryty drukowanymi literami.

Musiało być tego blisko czterysta stron.

Kiedy przyszedł Ralph, siedziała przy stole kuchennym i czytała. Nie słyszała go, więc się przestraszyła, gdy nagle się pojawił.

- A, to ty - powiedziała. Wstała, podeszła do pieca i uniosła pokrywkę stojącego na nim garnka. - Ziemniaki są prawie ugotowane. Jeszcze pięć minut.

Popatrzył na nią i zmarszczył czoło.

- Co ty zrobiłaś ze swoją twarzą?

Chwyciła się za podbródek, lecz Ralph pokręcił głową.

- Wyżej. Na prawym policzku!

Skaleczyła się mocniej, niż sądziła. Wyczuła płacami skrzepniętą krew.

- Och - powiedziała.

Ralph przejechał dłonią po zmierzwionych włosach. Cień, jaki dawał nieogolony siwy zarost, stał się jeszcze intensywniejszy. Wyglądało na to, że sen go nie odświeżył. Wydawał się zmęczony i był ewidentnie w złym humorze.

- Poszłam po drewno do szopy i tam się przewróciłam - wyjaśniła Barbara. - Najpóźniej jutro moja broda powinna się mienić wszystkimi kolorami tęczy. Będę wyglądać jak biedna pani Leigh!

Ralph usiadł przy stole i popatrzył zdezorientowany na stos kartek.

- Co to jest?

- To jest właśnie to, o co się potknęłam, Ralph, to absolutnie fascynujące. Nadzwyczaj interesujące. Maszynopis. Był ukryty w kasetce w szopie pod dwiema deskami w podłodze. Autobiograficzna powieść Frances Gray. Kobiety, do której ten dom...

- Wiem. Co to znaczy: autobiograficzna powieść? Czyli dziennik?

- Nie. To jest naprawdę napisane w formie powieści. Ale to zarazem dzieje życia Frances Gray lub przynajmniej ich część. Ona pisze o sobie w trzeciej osobie.

- Zaczęłaś już czytać?

- Owszem. Po trochu w różnych miejscach. Ale teraz chcę przeczytać porządnie, od początku do końca.

- Nie możesz tego zrobić! Ten... maszynopis, czy jak to nazwiesz... nie jest przecież twoją własnością!

- Ralph, kobieta, która to napisała, nie żyje. A ona nie zniszczyła tego przed śmiercią. To przecież...

- Ale przypuszczalnie ukryła rzecz bardzo starannie. Naprawdę uważam, że nie masz prawa tego czytać.

Barbara również usiadła przy stole i porządnie złożyła rozsypane na blacie kartki.

- Przeczytam to - powiedziała - bez względu na to, czy mnie za to potępisz czy nie. Przeczytam to, ponieważ znalazłam te kartki i ponieważ ogromnie mnie to wszystko interesuje. Nie oczekiwałam od ciebie, że to zrozumiesz. Ty nie interesujesz się otaczającymi cię ludźmi i dlatego nie czujesz potrzeby dowiedzenia się czegoś o historii tego starego domu.

Roześmiał się krótkim ironicznym śmiechem.

- Och, oto znów mamy przed sobą znakomitą obrończynię w sprawach karnych w swej najlepszej formie! Przechodzenie za każdym razem od obrony bezprawnego czynu do kontrataku to przecież twoja dewiza. Twój ograniczony, a w dodatku pozbawiony temperamentu mąż oczywiście nie interesuje się otaczającymi go ludźmi. W przeciwieństwie do swej otwartej, zaangażowanej żony. Czy wiesz, Barbaro, jak można by nazwać twoje zachowanie? Ciekawskim i niedyskretnym. To określenia, które ci się na pewno nie spodobają, ale oddają dokładnie twój charakter!

Jego głos miał ostre brzmienie. To co mówił, było zbyt mocne, wiedział o tym, ale chciał Barbarę zranić, i uległ temu pragnieniu po raz pierwszy, odkąd się znali, zamiast zachować się jak zwykle grzecznie i kulturalnie, odbierając w ten sposób ostrze swoim słowom. W minionych dwóch dniach głód i walka z przeciwnościami wymęczyły go i

sprawiły, że złagodniał, teraz natomiast ogarnęła go wściekłość na całą tę paskudną sytuację, w jakiej się znalazł, i poczuł gwałtowną agresję wobec Barbary. Nie była ona winna zaistniałej sytuacji tak samo jak on, ale potrzebował wentyla, zarówno za te dwa dni, jak - i to głównie - za minione lata, w których zbyt wiele rzeczy nie zostało wypowiedzianych, w których jak mu się wydawało, zbyt wiele jego życzeń i potrzeb zostało zepchniętych na dalszy plan. Historia z odnalezionymi zapiskami doprowadziła go do wściekłości, a zdenerwowała go do tego stopnia dlatego, że było to zachowanie absolutnie typowe dla Barbary. W jej niepokornym interesowaniu się każdym i wszystkim tkwiło źródło braku zainteresowania nim samym i ważnymi dla niego sprawami. Skoro świat był tak kolorowy, ciekawy i oferował tyle ludzkich losów i historii - to dlaczego miałyby jeszcze dostrzegać mężczyznę obok siebie?

Wzdrygnęła się, słuchając jego słów, lecz szybko się opanowała.

- Niezupełnie rozumiem, dlaczego musisz strzelać taką ostrą amunicją. Jeśli określasz siebie jako człowieka ograniczonego, a w dodatku pozbawionego temperamentu, to jest to twój problem. Ja ciebie nigdy tak nie odbierałam.

- Prawdopodobnie w ogóle mnie już nie odbierasz od lat. Gdybyś była uczciwa, musiałabyś przyznać, że stanowię najmniej ciekawą część twego życia. Prawdopodobnie nawet ci specjalnie nie przeszkadzam. Po prostu jestem ci stosunkowo obojętny.

- Zanim zaczniesz znowu użalać się nad sobą, może powinieneś wziąć pod uwagę, że to ja zorganizowałam ten wyjazd, żebyśmy mieli wreszcie czas porozmawiać ze sobą. Czy tak wygląda brak zainteresowania?

Ruchem głowy wskazał stos kartek.

- Myślę, że chcesz czytać, a nie rozmawiać - przypomniał namolnie.

- Niech to szlag! - Jej oczy zabłyśły gniewnie. - Ralph, przestań zachowywać się jak dziecko! Jeśli chcesz porozmawiać, to rozmawiajmy. Jedno nie ma z drugim nic wspólnego!

- Moim zdaniem jednak ma. W s z y s t k o zawsze się z czymś łączy - powiedział, nagle wyczerpany, mimo wielu godzin snu. - Barbaro, to, czy ty ten dziennik...

- To nie jest dziennik!

- Czy to przeczytasz czy nie, jest koniec końców obojętne. Uważam, że to niewłaściwe, ale jesteś panią samej siebie i musisz wiedzieć, co robisz. W całej tej historii denerwuje mnie tylko to, że po raz kolejny unaocznia szczególny rys twojego charakteru, to: „Cześć, jestem Barbara, gdzie tu można odkryć i przeżyć coś nowego, podniecającego, fascynującego?”. Adwokatka prominentów mająca nosa do spektakularnych procesów. Lwica salonowa zawsze w supermodnych ciuchach, fruująca z jednej premiery filmowej na

następną ceremonię rozdania nagród, po czym na wernisaż, a stamtąd do najbliższej modnej restauracji. Kobieta, która zaprzyjaźniona jest z najlepszymi niemieckimi dziennikarzami i zawsze chce mieć tylko informacje z pierwszej ręki. I która czasem zupełnie zapomina o tym, że są w życiu ważniejsze sprawy.

- Ralph, ja...

- Czy wiesz, że tak, jak siedzisz tutaj dziś wieczór, podobasz mi się sto razy bardziej niż w efektownej kreacji, kiedy wybierasz się na jakieś wydarzenie towarzyskie? Wichura rozczochrała ci włosy, a oprócz zadrapania na policzku masz plamę sadzy na nosie, poza tym... Nie! - Wziął do ręki jej dłoń, którą zamierzała właśnie mimo woli potrząsnąć, i ją przytrzymał. - Zostaw, jak jest. Obawiam się, że niezbyt często będzie mi dane oglądać taki widok.

- Ja też nie będę musiała grzebać w opalanych drewnem piecykach przez resztę życia, żeby z praktycznie nieistniejących produktów wyczarować w miarę strawne jedzenie... Och, psiakrew! Ziemniaki!

Zerwała się na równe nogi, ściągnęła garnek z blachy piecyka, uniosła pokrywkę i zajrzała do środka.

- Chyba się trochę rozgotowały - orzekła.

Poczuła, że wzrok Ralpha spoczywa na niej, więc szybko spojrzała na niego. Z jego oczu zniknął wszelki gniew.

- Ach, Ralph! - powiedziała. - Myślałeś, że wszystko się ułoży zupełnie inaczej, prawda?

- Byłaś inna, kiedyśmy się poznali.

- Byłam...

- ...nawet w połowie nie byłaś taka piękna jak dzisiaj. Nawet w połowie taka szczupła. Ale miałaś w sobie dużo ciepła, które ulotniło się gdzieś w międzyczasie.

- Nie chcę rozmawiać o tym, co było wtedy - stwierdziła krótko. Kiedy zaczynał o tym mówić, zaraz bolała ją głowa.

- Ja też nie chcę rozmawiać o tym, co było wtedy - oświadczył Ralph. - To tylko... Czasami czuję, że zostałem sam ze swoimi pragnieniami. Czasami marzę o kobiecie, która jest w domu, kiedy wracam z pracy. Która chce wiedzieć, jaki miałem dzień, i która mnie wysłucha, kiedy będę narzekał na stres, albo od czasu do czasu powie mi, że jej zdaniem jestem fantastyczny, gdy przedstawię jej jakiś szczególnie skomplikowany przypadek, który rozwiązałem, bo przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. - Przerwał na chwilę. - To samo zresztą ja chciałbym dać tobie - ciągnął dalej. - W każdym razie mam nadzieję, że to

naprawdę to, czego chcę. Że za moją frustracją nie kryje się w rzeczywistości to, że nie potrafię się uporać z twoją popularnością i sukcesami.

Właśnie to ciągle dążenie do uczciwości wobec samego siebie Barbara zawsze cenila u niego najbardziej. Nigdy nie próbował chować się przed prawdą.

- Po prostu masz trochę mniej sukcesów niż ja - powiedziała - ale zajmujesz się też innymi rzeczami. Sam wiesz, jakie masz poważanie!

- A ty jesteś znana i lubiana.

Barbara usiadła z powrotem przy stole, rozgotowane ziemniaki zostawiła w garnku na blasze.

- Ralph, taką specjalizację wybrałam po studiach. Ty równie dobrze mogłeś podjąć taką samą decyzję, dlatego nie jestem lepsza od ciebie. Każde z nas kierowało się własnymi upodobaniami. I ty znacznie częściej atakowałeś mnie za mój wybór niż ja ciebie za twoją decyzję. Ściśle biorąc, ani razu nie zaatakowałam cię z tego powodu.

- A ja zawsze uważałem, że jako prawniczka jesteś za dobra, aby dać się wykorzystywać w nagłówkach taniej prasy bulwarowej.

- To tylko jeden aspekt sprawy, w dodatku nie najważniejszy. Ważne jest tylko to, że praca daje mi tyle satysfakcji. Lubię ludzi. Lubię z nimi rozmawiać. Zaglądać w otchłanie ich losów. Potrzebuję tego. Na przykład sprawa Kornbluma, którą wygrałam w zeszłym tygodniu. Oczywiście, że mam ambicję wygrywania procesów, taki jest każdy adwokat, ty też. Ale największym napędem dla mnie podczas całej historii jest ustalenie, z jakiego pokroju człowiekiem mam do czynienia. Jak wygląda i jak wyglądało jego życie? Co doprowadziło do tego, że znalazł się w sytuacji, w której potrzebował mnie, adwokata? Kornblum nigdy nie zrobił kariery poza miasteczkiem, w którym był burmistrzem. Tam był dobrym chłopcem, który coś osiągnął. Ludzie byli z niego bardzo dumni. Ale on sam miał ogromne problemy. Chciał się wspinać dalej, wyżej - choć wiedział, że do tego brakuje mu formatu. Zawsze byłby kimś znacznym tylko w skali lokalnej, spędzałby wieczory na spotkaniach bractwa kurkowego, hodowców królików, gwardii księcia karnawału. Potrzebował głosów tych ludzi, ale nienawidził ich. To, że zdarzyła mu się przygoda z prostytutką z frankfurckiej dzielnicy czerwonych latarni, nie miało moim zdaniem najmniejszego związku z jakimiś życzeniami seksualnymi. Ta dziewczyna była dla niego wentylem. Ubierała jego życie, które on uważał za żalosne, w podniecającą szatę zewnętrzną. Dodawała mu siłę, by mógł codziennie schlebiać na nowo dobrem obywatelom. Dawała mu pewność, że jest kimś innym, że tylko prowadzi grę. - Barbara zrobiła przerwę. Jej blade policzki nabrały kolorów. - Rozumiesz?

Z jednej strony rozumiał, z drugiej jednak nie. Cokolwiek znaczyło dla niej to zanurzanie się w cudzych losach, nie pojmował, dlaczego miałyby to stanowić przeciwieństwo tego wszystkiego, czego pragnął dla siebie.

- Uważam, że za dużo wkładasz w tę historię własnych interpretacji - powiedział. - W przypadku Kornbluma masz do czynienia ze zwykłym drobnomieszczaninem odznaczającym się przypuszczalnie paroma perwersyjnymi upodobaniami, których żona nie chce lub nie potrafi zaspokajać. Idzie więc do dziwki, ale ma pecha, bo ta pewnej nocy zostaje porąbana na kawałki przez jakiegoś klienta i na niego pada podejrzenie, przez co on sam trafia później na nagłówki gazet. Jego kariera polityczna i małżeństwo są zrujnowane. To wszystko.

- Kryją się za tym dzieje całego życia.

Wytrzeszczył na nią oczy, po czym nagle oświadczył:

- Chciałbym mieć dzieci, dopóki nie jest za późno.

Gestem bezradności i rezygnacji przejechała rękami po twarzy.

- Wiem - powiedziała, wzdychając.

## *Czwartek, 26 grudnia 1996 roku*

Laura obudziła się o szóstej rano i natychmiast uzmysłowiła sobie, że nie zdoła już zasnąć. Deszcz młócił głośno o szyby okna w jej pokoju. Laura zastanowiła się przez moment, czy wstać i zrobić sobie herbaty, bo to przywróciłoby jej na trochę spokój duchowy, lecz zaraz pomyślała, że mogłaby wtedy obudzić Marjorie. Nie miała jednak ochoty oglądać już teraz niezadowolonej miny siostry i wysłuchiwać jej ciągłego zrzędzenia. Pozostanie więc w łóżku. Wzdychając, obróciła się na drugi bok.

Przypomniała sobie, że śniła jej się Frances, choć nie potrafiłaby już powiedzieć, o co chodziło w tym śnie. Pozostało - jak zawsze, kiedy chodziło o Frances - niewyraźne uczucie smutku i złości. Laura nie potrafiła myśleć o Frances bez rozdrażnienia. Bez rozdrażnienia i tęsknoty. Nigdy nie przestanie myśleć o tym, żeby wróciły tamte wspólnie spędzone lata, i nigdy nie pozbędzie się tego tłącego się w jej wnętrzu gniewu, kiedy wspominała swoje skazane na niepowodzenie starania o względy Frances i jej chłodną reakcję na nie. Zabiegała o uznanie, sympatię, miłość i wszystkiego dostawała po trochu, ale zawsze o tę odrobinę za mało, która sprawiała ból. Frances zbliżała się do niej, by niespodziewanie zatrzymać się w pewnej odległości i nie ruszyć się już dalej do przodu. Nie dopuszczała do tego, by powstała między nimi prawdziwa przyjaźń. A już na pewno nie chciała przejąć wobec niej roli matki, choć Laura pragnęła tego z całego serca. Ostatecznie była pracodawczynią, a Laura pracownicą.

W pewnym momencie Laura pojęła, że nie zdoła już tego zmienić, tym bardziej więc walczyła o status osoby niezastąpionej, żeby Frances nigdy nie miała powodu do odprawienia jej. I Frances faktycznie nigdy jej nie odprawiła, ale też nigdy nie padły z jej ust słowa w rodzaju: „Nikt, Lauro, nie potrafi tego lepiej od ciebie”. Laura mogła stawać na głowie - i tak nie dostawała tego, na czym jej tak bardzo zależało.

Nagle przypomniała sobie pewne zdarzenie, które miało miejsce pod koniec lat siedemdziesiątych. Listopad w Westhill, dzień był cichy, zimny i mglisty. Właśnie zabrała się do pracy w ogrodzie, usunęła obumarłe pędy i gałązki na krzakach róż, obłożyła rośliny jedliną, żeby zabezpieczyć je przed zbliżającymi się nocnymi przymrozkami. Widziała własny oddech, ale było jej ciepło od pracy, policzki jej płonęły. Kochała ogród, otaczała go opieką i pielęgnowała niestrudzenie, i wiedziała, że może być dumna z rezultatów.

Tego dnia tak była pogrążona w pracy, że w ogóle nie zauważyła zbliżającej się



Frances. Przestraszyła się więc, gdy usłyszała za plecami jej głos.

- Nawet w listopadzie ogród jest piękny - powiedziała Frances, wodząc dokoła przenikliwym orlim spojrzeniem jasnoniebieskich oczu. - Bardzo zadbany!

Laura wyprostowała się i stłumiła jęk wywołany rwącym bólem w krzyżach.

- No cóż - odparła skromnie, podczas gdy jej policzki pokraśniały z dumy i szczęścia.

- Ale nigdy już nie będzie taki jak wtedy, kiedy żyła moja matka - ciągnęła Frances. - Miała nieprawdopodobne podejście do roślin. Nawet z nimi rozmawiała... z tym swoim okropnym dublińskim akcentem, którego nikt z nas nie rozumiał. Czasami wydawało się, że musi tylko przekonać jakiś kwiat, a ten zaraz zaczynał kwitnąć. Jej ogród był sławny w całej okolicy.

Radość zgasła. Rozsypała się, jakby ktoś podeptał ją butami. Pozostała w sercu głęboka rana.

Dlaczego nigdy nie potrafisz być naprawdę miłą? - krzyknęłaby najchętniej Laura. Dlaczego nigdy nie mogę ci dogodzić? Dlaczego nie widzisz nawet tego, kiedy zadajesz mi ból?

Mruknęła coś i szybko się odwróciła, żeby Frances nie zobaczyła łez, które stanęły jej w oczach. Ukrywanie zmartwienia przed Frances nie było trudne. Rzadko zauważała, kiedy komuś wiodło się źle.

Tylko dlaczego ta rana tak piecze do dzisiaj! Laura wstała, sięgnęła po szlafrok i podeszła do okna. Na dole paliły się latarnie uliczne. W ich świetle widziała deszcz, który szumiał za oknem. Podłoga była zimna, więc podkurczyła palce u nóg.

Nagle przypomniała sobie, że tego samego dnia przyszła Lilian Leigh z Daleview. Po prostu wparowała do kuchni, gdzie Frances i Laura siedziały przy kolacji. Frances nigdy nie zamykała drzwi domu, co Laura uważała za lekkomyślność. Lilian była blada jak ściana. Przyciskała do ust poplamioną krwią chusteczkę i zanosila się histerycznym płaczem. Miała pękniętą wargę i straciła ząb. Jak się okazało, była to sprawka Fernanda, któremu Lilian sprzeciwiła się w jakiejś błahej kwestii.

- Za każdym razem to samo - szlochała. - Za każdym razem. Kiedy nie wszystko idzie tak, jak on chce. Wtedy zupełnie traci panowanie nad sobą!

- To dlaczego, na miłość boską, godzi się pani na to? - spytała osłupiała Frances, a tymczasem Laura wzięła czystą serwetkę i zmoczywszy ją, obmywała ranę Lilian.

- A jak mam się bronić? - łkała Lilian. - Jest dziesięć razy silniejszy ode mnie!

- No cóż, w ostateczności pozostaje przynajmniej to jedno rozwiązanie, że rozwiedzie się pani i odejdzie od niego - rzekła Frances - a przy tej okazji oczywiście uderzy go

porządnie po kieszeni.

- Nie mogę odejść od niego - wyszeptała Lilian.

- Dlaczego?

- Bo go kocham.

Frances zamurowało, tymczasem Laura pomyślała, że ona sama potrafi to zrozumieć. Dla Frances takie sprawy były jasne i proste. Ona nigdy nie potrafiłaby wnikać w tak skomplikowany splot psychiczny jak stosunek zależności. I zawsze odnosiłaby się do niego jedynie z pogardą.

Laura była wstrząśnięta, słysząc o Fernandzie takie okropności. Widziała, jak dorastał, gotowała mu ulubione potrawy, kiedy przychodził z wizytą, i pakowała mu ciasto, kiedy po feriach musiał wracać do internatu. Lubiła go, był częścią jej małego świata, który tak bardzo starała się zawsze zachować w spokoju. Jako dorosły Fernand był tak atrakcyjnym mężczyzną, że Laura czasami czuła budzące się w niej odruchy, których natychmiast sobie zabraniała. Była kobietą o osiemnaście lat starszą, a poza tym niepozorną, szarą myszką. Dla Fernanda nie była niczym więcej jak sympatyczną, przyszywaną ciotką Laurą, która w dalszym ciągu gotowała mu ulubione potrawy. Pewnie nigdy nie znaczyła dla niego nic więcej. A on nie mógł być dla niej nikim innym, jak miłym chłopcem, miłym mężczyzną z sąsiedztwa.

Tamtego dnia pokazał swą inną twarz, o której Laura nie miała pojęcia. Wydawało się, jakby zatruty kolec przebił idyllę - albo obraz idylli, którego Laura trzymała się tak uparcie.

Do dzisiaj, pomyślała teraz, do dzisiaj...

Kiedy tak stała przy oknie i patrzyła na deszcz, poczuła, jak w górę jej ciała wspina się lodowaty chłód. Jednak robi sobie teraz herbaty, bez względu na to, czy Marjorie się obudzi czy nie. Wspaniałej gorącej herbaty. To jedyna obrona przed dreszczami, które wypełzły z jej wspomnień.

O wpół do siódmej rano Barbarę zbudził głód. Dręczące poczucie pustki w brzuchu prześladowało ją nawet we śnie. Śniło jej się, że zabłądziła w jakimś wymarłym wielkim mieście, błąkała się między niekończącymi się rzędami domów, ale nigdzie nie odkryła światła za czarnymi, martwymi szybami, nie widziała żadnych ludzi ani nie słyszała żadnych głosów. Wysoko w górze, między dachami drapaczy chmur, wypatrzyła wąski skrawek nieba, szarego, nieruchomego, nieprzystępnego nieba. Męczyło ją bolesne poczucie samotności, ale mocniej doskwierał jej głód. Samotność miała w sobie coś abstrakcyjnego, głód był uchwytny i realny. Jej żołądek kurczył się gwałtownie co chwila, a pomiędzy tymi atakami ogarniała ją

panika, bo bała się, że już nigdy nie dostanie nic do jedzenia.

Kiedy się przebudziła, przez sekundę myślała z ulgą, że tylko jej się śniło, lecz po chwili poczuła znowu ból żołądka i wiedziała, że przynajmniej fragmenty snu zgadzają się całkowicie z rzeczywistością. Zamiast w opuszczonym mieście utknęła na śnieżnej pustyni, ale miała przynajmniej Ralpa przy sobie, nie była więc całkiem sama. Mimo oszczędnego gospodarowania ich zapasy jednak drastycznie się kurczyły i jeśli wkrótce nic się nie zmieni w ich sytuacji, znajdą się w poważnych tarapatkach. Pomyślała o czekającym ją śniadaniu - kawa, po kromce chleba dla każdego, jajko na twardo do podziału na dwoje - i westchnęła. Za oknem słychać było wycie wichury, widziała też, jak pada śnieg. Koniuszek nosa miała lodowaty; w międzyczasie temperatury we wszystkich pomieszczeniach z wyjątkiem kuchni i jadalni wyraźnie spadły. Mury dawno oddały ciepło zmagazynowane w ciągu minionych tygodni. Wkrótce będzie musiała przykrywać się pięcioma kocami jeden na drugi, żeby móc zasnąć.

Pomyślała, co ją czeka tego drugiego dnia świąt: skąpe śniadanie, które na pewno nie uśmierzy burczenia w żołądku, rozpalenie w kominku i podtrzymywanie ognia, odgarnianie śniegu, wciąż na nowo odgarnianie śniegu, żeby nie zasypało z powrotem ścieżki do szopy. Przyniesienie drewna z szopy do domu. Ugotowanie kolacji, która nie wystarczy nawet na przekąskę. Zmywanie w zimnej wodzie, stojąc przy tym w jeszcze zimniejszej łazience...

Postanowiła zostać jak najdłużej w łóżku.

Po omacku znalazła leżące na nocnym stoliku zapalniczki i zapaliła wszystkie osiem świec w dużym miedzianym świeczniku, który zabrała na górę. Obok świecznika leżał stos kartek z szopy. Nie zdążyła zabrać się do czytania; razem z Ralphem przegadali pół nocy i w końcu oboje byli kompletnie wyczerpani. Kiedy potem zerknęła w lustro, patrzyła na nią stamtąd wydłużona blada twarz o bardzo dużych, czerwonych ze zmęczenia oczach. Padła na łóżko i w następnej sekundzie zasnęła.

Nie miała takich skrupułów jak Ralph, ale gdy wzięła do ręki plik kartek z samego wierzchu, ogarnęło ją jednak na moment dziwne uczucie. Oto trzymała w rękach coś bardzo osobistego. Możliwe, że Frances Gray będzie niekiedy w swoich opisach bardzo szczera. Z drugiej strony ona sama, Barbara, była w tym wypadku osobą zupełnie neutralną. Gdyby Frances była jej matką lub babką, powstrzymałoby ją od czytania to, że może dowiedziałyby się przy okazji rzeczy, których nie chce się wiedzieć o bliskich osobach. A tak wydawało jej się, że zajmuje się relacją o życiu klientki, że studiuje akta procesu.

Zaczęła czytać prolog, który Frances Gray napisała w grudniu 1980 roku, poprzedzając nim swoje zapiski.

„Siedzę przy biurku, stojącym przy oknie, i wyglądam na zewnątrz, na szerokie nagie polacie wysokich torfowisk, po których hula lodowaty grudniowy wiatr. Na niebie pełno szarych, wściekle skłębionych chmur. Podobno w święta ma spaść śnieg, ale nie wiadomo, czy te przepowiednie się sprawdzą. Tu, w Yorkshire, nigdy nie wiadomo, co się zdarzy. Żyje się nadzieją...”

Kiedy skończyła prolog, przeskoczyła do roku 1907, do młodej, czternastoletniej Frances Gray, dziewczyny, która nosiła w sobie zwątpienie i wściekłość.

## *Czerwiec 1907 roku*

Siedziała nad brzegiem rzeki Swale i bawiła się drobnymi kamyczkami, które pokrywały plażę. Od czystej wody bił przyjemny chłód, a pobliskie wysokie drzewa dawały cień. Przez most przechodziła powoli stara kobieta, obrzuciła dziewczynę krótkim spojrzeniem, ale nie poświęciła jej większej uwagi, i zaczęła z trudem wspinać się drogą do miasta.

Richmond wznosiło się wysoko ponad rzeką, strome kręte uliczki prowadziły pod górę. A na samej górze rozsiadł się zamek, ponury i ciężki pod błękitnym czerwcowym niebem. Na ulicach zawsze było głośno, rozbrzmiewał stukot końskich kopyt na kocich łbach i turkot kół dorożek. Ale nad rzekę w dole nie docierały żadne dźwięki. Tutaj słychać było tylko szum dobiegający ze Swale Falls, pobliskich wodospadów, oraz śpiew ptaków.

Przyglądała się gałęziom wierzb, które zwisały do samej wody i tańczyły w nurcie. Uwielbiała Swale, uwielbiała siedzieć nad jej brzegiem. Tutaj było jak w rodzinnych stronach, nad brzegiem rzeki Ure. Kiedy tu siedziała, potrafiła zapomnieć, że jest w Richmond. Potrafiła sobie wyobrazić, że jest w rodzinnym Wensleydale i gdy wstanie, pobiegnie przez łąki do domu.

Tego dnia nie udało jej się uciec w marzeniach od rzeczywistości. Co chwila podnosiła wzrok, patrząc na zamek. I co chwila stawały jej łzy w oczach. Łzy wściekłości, rozczarowania i smutku.

Stara kobieta dawno znikła jej z oczu, gdy na moście ponownie pojawił się jakiś cień. To był John. Wstała, obciągnęła spódnicę i przetarła oczy i nos rękawem białej sztywnej lnianej bluzki, która była częścią mundurka szkolnego. Żałowała, że wcześniej nie wzięła się w garść, wówczas nie musiałaby teraz iść na spotkanie z Johnem Leighem z taką zapłakaną twarzą.

On również ją zauważył i ruszył w jej kierunku. Nie widziała się z nim od dłuższego czasu i dlatego odniosła wrażenie, że znowu urósł i wydoroślał jeszcze bardziej. Dawniej różnica wieku między nimi, sześć lat, nie odgrywała roli. Teraz ta rozbieżność stała się widoczna: John miał dwadzieścia lat i był już młodym mężczyzną, ona miała czternaście i wyglądając tak jak dzisiaj, była małą dziewczynką.

Podbiegła do niego i padli sobie w ramiona. Przytulona do niego zaczęła jednak znowu płakać, nie mogła się powstrzymać.

- Ależ Frances - usłyszała jego głos - nie jest przecież aż tak źle! Nie ma powodu tak

rozpaczać!

Odsunął ją od siebie odrobinę, zmierzył zatroskanym spojrzeniem i odgarnął jej z czoła zmierzwione czarne włosy. Próbowala przestać płakać, zaciskając usta i przełykając ślinę.

- Teraz już jestem - powiedział John. - Teraz już wszystko jest w porządku!

Frances próbowała odpowiedzieć na jego uśmiech, czuła jednak, że jej się nie udało.

- Jak długo możesz zostać? - zapytała.

- Niestety, tylko do jutra - odparł z żalem. - W niedzielę wieczór muszę być z powrotem w Daleview. Ale dla ciebie też zacznie się nowy tydzień.

Uniosła rękę, żeby ponownie otrzeć dłonią łzy, lecz opamiętała się w porę i wyciągnęła chusteczkę do nosa.

- Wiedziałaś, że przyjedziesz - powiedziała.

- Kiedy dostaję od ciebie telegram z pilnym wezwaniem, zawsze przyjeżdżam. Co znowu zbroiłaś?

- Ach, uderzyłam koleżankę z klasy po głowie rakieta tenisową. Uchwytem rakiety. Trzeba było zszywać ranę!

- Dobry Boże! Dlaczego to zrobiłaś?

Frances wzruszyła ramionami.

- Na pewno był jakiś powód - naciskał John.

Frances popatrzyła na rzekę, omijając go wzrokiem.

- Opowiadała głupoty...

Westchnął.

- Znowu o twojej matce?

- Owszem. Dokładnie powiedziała tak: „Twoja matka to irlandzka flądra”. Miałam po prostu przyjąć spokojnie taką zniewagę?

- Oczywiście, że nie. Ale bicie to też nie jest rozwiązanie. Sama widzisz, koniec końców to ty masz kłopoty.

- Pięć tygodni! Przez pięć tygodni nie będę mogła wyjeżdżać na weekend do domu! To dłużej niż miesiąc!

John wziął ją za rękę.

- Chodź. Przejdziemy się kawałek wzdłuż brzegu. Najpierw musisz się uspokoić. Miesiąc to wcale nie tak dużo czasu.

- Może dla ciebie. Ale w szkole Emily Parker to cała wieczność!

- Przestań wreszcie tak strasznie nienawidzić tej szkoły - rzekł John, odginając

zwisającą gałąź, żeby mogli iść dalej. - Spróbuj dostrzec w niej także coś dobrego. Uczysz się tam wielu rzeczy i...

- A niby czego takiego się tam uczyć? Prowadzić dom, gotować, robić na drutach... Same okropne rzeczy! Zachowywać się j a k n i e w i a s t a! To wszystko jest takie...

- Nieprawda. Macie też inne przedmioty: matematykę i literaturę... I uczysz się grać w tenisa. To chyba sprawia ci frajdę! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Nawet jeśli czasami używasz swojej rakiety tenisowej do innych celów!

- O wiele bardziej wolałabym jazdę konną niż tenisa. Ale tego tutaj też nie mogę!

- Możesz jeździć konno w weekendy w domu. Tak, wiem - dodał szybko, gdy otwierała już usta, by zaprotestować. - Na razie nie możesz jeździć do domu. Ale ten zakaz nie będzie przecież trwał wiecznie.

Frances zatrzymała się. W krzaku dzikiego jaśminu obok ścieżki brzęczały pszczoły. W powietrzu unosił się słodki i uwodzicielski zapach lata.

- Vicky pojechała do domu - powiedziała.

- To jasne. Jest wzorową uczennicą. Ale nie przejmuj się tym.

- Jest młodsza ode mnie o dwa lata. Wciąż jednak stawia mi się ją za wzór. „Frances, weź przykład z młodszej siostry!”. Nie wiem, jak to się dzieje - rzekła Frances, patrząc po sobie, patrząc na granatową spódnicę do kostek i białą bluzkę, w której prawie nie można było poruszyć głową, bo wysoki kołnierzyk tak sztywno obejmował szyję - ale Vicky wygląda prześlicznie nawet w tym okropnym mundurku!

- Ty też wyglądasz prześlicznie - pocieszył ją John.

Frances wiedziała, że to nieprawda. Nigdy zresztą nie była taka słodka i urocza jak mała Victoria, jednak od pewnego czasu już żadną miarą nie mogła się z nią równać. W ciągu ostatniego półrocza podrosła wprawdzie dosyć sporo, lecz była przy tym nadal chuda jak szczapa. Wydawało się, że nie ma w jej ciele nic, co choćby w przybliżeniu pozostawało wobec innej jego części w jakiegokolwiek proporcji. Włosy, o które dawniej prawie w ogóle nie musiała się troszczyć, zwisały w strąkach, więc je ostatnio upięła - ale stwierdziła przy okazji, że jej głowa wygląda teraz jak jajo. Nie podobały jej się także własne stalowoniebieskie, jasne oczy. Oczy Vicky miały barwę ciemnego bursztynu. Frances oddałaby majątek za takie oczy.

- Wynająłeś pokój w Richmond? - zapytała, żeby przestać myśleć o swoim wyglądzie. Zajmowanie się tym tematem deprimowało ją zawsze do głębi.

- Owszem. A myślałaś, że sypiam w aucie?

Leighowie należeli do bardzo nielicznego grona znanych Frances osób, które były

dostatecznie bogate, aby posiadać już auto.

- Nie mogłabym tam pójść dzisiaj z tobą na noc? - zapytała. - Nie mam najmniejszej ochoty wracać do szkoły!

- Wiesz przecież, że to niemożliwe - odparł szybko John. - W ten sposób tylko byś pogorszyła swoją sytuację. Nie sądzisz, że wtedy dopiero miałabyś prawdziwe kłopoty? Że nie wspomnę o kabale - dodał - w jaką ja bym się wpakował, nawet gdybym całą noc naprawdę tylko przesiedział w fotelu.

- Przecież nie powiedziałabym, że byłam u ciebie!

- No a co byś powiedziała? - Stał przed nią, ujął jej obie dłonie i popatrzył jej poważnie w oczy. - Posłuchaj, Frances. Wiem, że według ciebie tutaj jest okropnie. Czujesz się więziona i gnębiona, a jesteś człowiekiem, który bardzo źle to znosi. Ale musisz wytrzymać. Zostały ci jeszcze tylko trzy lata. Zaciśniesz zęby i dasz radę!

Odetchnęła głęboko. Te trzy lata, które były jeszcze przed nią, wydawały jej się wiecznością.

- Dla mnie zacznie się teraz uniwersytet - oświadczył John. - To też nie jest sam miód. Ale tak musi być.

- Uniwersytet! - rzekła z goryczą. - Widzisz chyba różnicę!

- Jaką różnicę?

- Między tobą a mną. Między mężczyznami a kobietami. U ciebie to wszystko ma sens. Twoje lata szkolne też nie były piękne, ale ty wiedziałeś, po co to wszystko robisz. Żeby potem pójść na uniwersytet. Żeby jak najlepiej pokierować swoim życiem. Żeby poznać swoje zdolności i nauczyć się z nich właściwie korzystać.

- W twoim wypadku jest przecież tak samo.

- Nie jest! - zawołała ze złością. - Nie, nie jest! Muszę przejść przez to wszystko tutaj bez żadnego prawdziwego celu. Nie będę mogła pójść na uniwersytet. Przecież prawie żaden uniwersytet nie dopuszcza do studiów kobiet. Mój ojciec chodziłby po ścianach, gdybym powiedziała mu, że myślę o czymś takim.

- Ale może znajdziesz jednak jakiś sposób - rzekł John.

Wyglądał na zdziwionego. Frances odniosła wrażenie, że nie ma pojęcia o problemach, z jakimi ona musi się zmagać. Pamiętała, że parę razy napomknęła o tym, ale pewnie jej nie zrozumiał.

Albo nie potraktował poważnie, pomyślała z goryczą.

- Tak, może znajdę jakiś sposób - podchwyciła - ale wtedy moje kłopoty wcale się nie skończą. Potem będzie mi się rzucać kłody pod nogi przy wyborze zawodu. Ostatecznie



wszyscy oczekują ode mnie, że po prostu wyjdę za mąż i urodzę wiele dzieci!

- A ty nie potrafisz sobie tego w ogóle wyobrazić?

Odwróciła się i ruszyła dalej.

- Nie wiem - powiedziała. - Naprawdę nie wiem, co sobie wyobrażam.

Pobiegł za nią, chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- Ja będę się cieszył, kiedy za trzy lata wrócisz po szkole do Leigh's Dale - rzekł. Jego wzrok obejmował ją czule. - Naprawdę będę się cieszył. Proszę, pomyśl też o tym.

To była obietnica przyszłości, tyle mogła wyczytać w jego oczach. Zastanawiała się tylko, dlaczego nie czuje się ani odrobinę lepiej z tego powodu.

## *Maj 1910 roku*

Nikt nie pamiętał, żeby maj był kiedykolwiek taki ciepły jak ten w 1910 roku. Na południu Anglii, jak pisały gazety, upał musiał być prawie nie do zniesienia, zwłaszcza londyńczycy jęczeli i się skarżyli. Na ulicach wystawiano beczki z wodą, żeby przechodnie mogli się odświeżyć. Sezon wakacyjny jeszcze się nie zaczął, a ludzie bogaci uciekli już do swych wiejskich siedzib.

W Yorkshire zawsze było chłodniej niż w południowych hrabstwach, ale ten maj także tam, na północy, okazał się niezwykle ciepły i suchy. Dzień w dzień słońce prażyło z błękitnego nieba. Chłopi już przepowiadali dłuższą suszę i krakali, że będą gorsze zbiory. Wydawało się jednak, że nie ma jeszcze powodu do zmartwień. W kwietniu dużo padało, łąki błyszcząły świeżą, soczystą zielenią. Owce żarły trawę, jakby nie mogły się nasycić, a kiedy człowiek im się przyglądał, czuł już na języku smak wspaniałego aromatycznego sera, który będzie robiony z ich mleka. Jednak jeszcze bardziej sławny od sera owczego był ser z krowiego mleka, Wensleydale Cheese, chętnie jedzony w całej Anglii.

Tego niespodziewanie wczesnego lata Frances Gray była niespokojna i podminowana jak nigdy dotąd. W marcu skończyła siedemnaście lat, uważała się za dorosłą, a mimo to miała odczucie, że wielkie wydarzenie, które miało stanowić wstęp do dorosłości, każe na siebie czekać niepomiarowo długo. A przy tym nie wiedziała nawet, jak to wydarzenie miałyby wyglądać. Miała wrażenie, że w jej życiu nic się dotychczas nie zdarzyło i że tak monotonicznie jak dotąd nie może się ono toczyć.

Na początku kwietnia opuściła wreszcie zniechęconą szkołę Emily Parker w Richmond. W pierwszych tygodniach wolności myślała, że nic złego nie może jej już w życiu spotkać. Że to, co naprawdę złe, ma już za sobą. Nienawidziła szkoły do samego końca. Wychowała się na Westhill Farm w zielonej, pagórkowatej Wensleydale, bez żadnych przymusów; latem biegała boso, jeździła konno bez siodła i uzdy, siedziała po turecku na stole kuchennym i słuchała opowieści babki. Nie mogła znieść tego, że jest uwięziona w mieście w ponurym domu, że dzieli sypialnię z dziewięcioma innymi dziewczętami, w milczeniu, bo mówienie było zabronione. Podczas wycieczek musiały chodzić parami, jedna za drugą, ale nie mogły biegać - z wyjątkiem lekcji sportu - nie wolno było śmiać się głośno ani opowiadać nieprzyzwoitych dowcipów, jakie Frances słyszała czasem od robotników na farmie. Pewnego dnia panna Parker, dyrektorka szkoły, zaskoczyła Frances siedzącą po

turecku na łóżku. Zupełnie wyszła z siebie, nazwała Frances dziewczyną rozwiązłą i zepsutą i przepowiedziała jej, że źle skończy, gdyż dama nietrzymająca nóg z a w s z e złączonych prowokuje mężczyzn do myśli, których nie godzi się wymawiać na głos, a których konsekwencją w najgorszym razie mogą być nawet czyny. Panna Parker zdenerwowała się chyba jeszcze bardziej niż z powodu tamtego pamiętnego incydentu z rakieta tenisową - a przecież w całej szkole nie było ani jednego osobnika płci męskiej, a tym samym nikogo, komu mogłyby się nasunąć jakiegokolwiek niebezpieczne myśli. Frances nie była zresztą specjalnie ciekawa zdania, jakie ma na jej temat stara Parker, lecz ponieważ następstwem złego sprawowania bywał nieuchronnie zakaz wyjazdu na weekendy do domu, w końcu jednak starała się zachowywać w miarę poprawnie. Na zakończenie nauki w szkole dostała zaskakująco dobre świadectwo. Jej myśli zdominowało uczucie ulgi: Koniec! Już po wszystkim! Teraz wreszcie zaczęć żyć!

Po latach dręczącej tęsknoty za domem Westhill musiało być dla niej rajem. Coś jednak się zmieniło - i musiało upłynąć kilka tygodni, by Frances zrozumiała, że to ona nie jest już tą samą osobą. W ciągu minionych lat niepostrzeżenie dla niej nastąpiło pożegnanie z dzieciństwem, niepostrzeżenie dlatego, że w swej tęsknocie i smutku strzegła go jak jakiegoś skarbu i nigdy nie brała pod uwagę, że może się ono skończyć. Teraz nie odnalazła już bosej dziewczyny, która słuchała opowieści babki i jeździła konno. Zmieszana uświadomiła sobie, że nie przygotowała się do życia, które oto otwierało się przed nią.

Niezwykle ciepły maj wydawał się jedną wielką obietnicą i niepokój Frances jeszcze się nasilił.

- Zastanawiam się, co dalej ze mną będzie - powiedziała pewnego ranka do matki. Był piątek, szósty maja, data, którą później miała pamiętać z wielu powodów. - Przecież nie mogę wiecznie siedzieć w domu i nic nie robić!

Jej matka, Maureen Gray, szukała właśnie nut fortepianowych w swojej sypialni: lada chwila miała przyjść jej nauczycielka muzyki, a chciała wcześniej przegrać jeszcze raz zadane utwory.

- Skarbie, to samo się ułoży - rzekła trochę roztargniona. - Dlaczego po prostu na razie nie cieszysz się latem?

- Jak mam się cieszyć? Nic się nie dzieje! Każdy dzień mija tak samo jak dowolny inny!

- Ale kiedy jeszcze chodziłaś do szkoły w Richmond, wciąż powtarzałaś, jak bardzo brakuje ci Westhill i tutejszego życia. W weekendy narzekałaś, że musisz się uczyć i nie możesz robić tego, na co masz ochotę. Teraz możesz. Chciałaś wreszcie znowu leżeć na

kwiecistej łące i patrzeć w niebo, chciałaś...

- Mamo, nie mogę przecież robić tego przez cały dzień - przerwała jej Frances rozdrażnionym głosem. - To po prostu... Nie mogę zaczynać od nowa tam, gdzie skończyłam. Nie mam już dwunastu lat! Tylko siedemnaście!

Maureen wynurzyła się z szafy i poprawiła ręką włosy. Była w przededniu swoich trzydziestych siódmych urodzin, wydała już na świat czworo dzieci, z których jedno nie przeżyło pierwszych tygodni, i nadal wyglądała jak młoda dziewczyna. Frances, celtycką urodą przypominająca ojca, zazdrościła matce złocistożółtych włosów i bursztynowych oczu. Wszystkie barwy Maureen miały złocisty odcień, były ciepłe, łagodne i harmonijne.

Barwy Frances były natomiast chłodne i cierpkie. Nawet słaby odcień różowości nie ożywił bieli jej skóry, nawet jeden jasny kosmyk nie przeplatał głębokiej czerni jej włosów. W szkole panny Parker dziewczęta mówiły o niej, że wygląda „interesująco”. Słowo „ładny” nie padło ani razu.

- W przyszłym tygodniu odbędzie się przecież u Leighów święto wiosny - powiedziała Maureen. - Nie cieszysz się?

- Jasne, że się cieszę. Ale nie mogę przecież tylko tańczyć i myśleć o następnej okazji. To nie jest treść życia!

- Frances, to już niedługo, na pewno któryś z młodych ludzi z okolicy zacznie się starać o twoją rękę. Wyjdiesz za męża, będziesz miała dzieci, będziesz prowadzić dom. I będziesz zła na siebie, że zepsułaś sobie ponurymi rozmyślaniami to piękne lato, zamiast naprawdę się nim cieszyć. Bo gdy już założysz własną rodzinę, to nie będzie już zbyt wiele wolnego czasu!

- Czuję się o wiele za młoda, żeby wychodzić za męża i mieć dzieci.

- Ja też miałam siedemnaście lat, kiedy urodziłam swoje pierwsze dziecko!

- Za twoich czasów było inaczej. Ty byłaś inna. Ja w tej chwili po prostu nie wyobrażam sobie tego, że mogłabym zdecydować się na człowieka, z którym miałabym spędzić całe życie!

Maureen westchnęła. Frances wiedziała, że według jej matki takie rozmowy do niczego nie prowadzą. Matka była przekonana, że Frances nagle się zakocha, z dnia na dzień radykalnie zmieni swój pogląd na temat dzieci i małżeństwa i nie będzie już w stanie pojąć, dlaczego tak długo była niezadowolona.

- A jak właściwie wyglądają sprawy między tobą a Johnem Leighem? - drażyla ostrożnie. - Praktycznie jesteście ze sobą zaręczeni od dziecka!

Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech tylko zirytował córkę.

- Ach, mam, przecież wtedy to było... to było dawno temu. Nigdy więcej mnie już nie pytał.

- Prawdopodobnie dlatego ciągle robisz takie nadaśane miny, że on nie ma nawet śmiałości zapytać - rzekła Maureen. Wzdrygnęła się, gdy na zewnątrz rozległ się klakson. - O Boże, jest już pani Maynard, a ja jeszcze nie znalazłam nut! Pobiegnij na dół i powiedz jej, żeby już poszła do salonu. Zaraz tam przyjdę!

Pani Maynard, nauczycielka muzyki, była znana ze swej nietaktowności. Frances zdawała sobie sprawę, że wygląda dziś na mrukliwą, więc nie zdziwiła się, gdy pani Maynard natychmiast zrobiła uwagę na ten temat.

- Co znowu popsulo ci humor? - zapytała. - Zmartwienia miłosne?

- Nie - odpowiedziała ze złością Frances. Zastanawiała się, dlaczego w przypadku młodej dziewczyny ludziom nigdy nie przychodzi do głowy, że można mieć inne problemy niż zmartwienia miłosne.

- Mam coś, co poprawi ci humor! - oświadczyła pani Maynard i zaczęła grzebać w swojej torebce. Wydobyła z niej kopertę i wachlowała się nią tuż przed nosem Frances.

- Właśnie jadę od Leighów. Stara pani Leigh ubzdurała sobie ostatnio, że koniecznie musi grać na pianinie. John Leigh poprosił mnie, żebym ci przekazała ten list!

Wręczyła go Frances.

- Czyżby John był w domu? - zdziwiła się dziewczyna. John studiował w Cambridge i rzadko przyjeżdżał do domu.

- Jego ojciec nie czuje się dobrze - wyjaśniła pani Maynard. - Nie wiem dokładnie, co mu jest, w każdym razie John przyjechał z tego właśnie powodu.

Musi to być coś poważnego, pomyślała Frances. John na pewno nie przyjechał z Cambridge do Leigh's Dale tylko z powodu przeziębienia ojca.

- List jest zaklejony - dodała pani Maynard, mrugając do niej. - Możesz sprawdzić. Naturalnieomal mnie nie rozerwało z ciekawości, bo chętnie bym się dowiedziała, co jest w środku, ale po drodze nie udało się dostać pary wodnej! - Roześmiała się głośno i minąwszy Frances, pomaszerowała w głąb domu, gdzie wkrótce potem dało się słyszeć jej wołanie: - Maureen! Halo, Maureen! To ja, Dorothy!

Frances wzniosła oczy ku niebu, zastanawiając się, gdzie by się tu ulotnić, żeby spokojnie przeczytać list. Odkąd wróciła z Richmond, tylko raz widziała się krótko z Johnem, w Wielkanoc, podczas mszy. Otaczało ich wielu ludzi, więc ledwo zamienili ze sobą dwa słowa.

Rozejrzała się więc i jak zawsze, kiedy świadomie chłonęła widok Westhill Farm i jej

otoczenia, wezbrało w niej uczucie spokoju i wdzięczności za to, że może tutaj żyć. Jak okiem sięgnąć same zielone pagórkowate łąki oraz pasące się krowy i owce, między łąkami niewielkie ciemne laski, tu i ówdzie strumyk wijący się w dół wzniesienia. Pastwiska były poprzecinane niskimi kamiennymi murkami, nierównymi i porośniętymi mchem lub małymi fioletowymi kwiatkami. Od domu do krętego bitego gościńca prowadziła w dół zbrocza szeroka polna droga: gościńcem można było dojechać w jednym kierunku do Leigh's Dale i dalej do Askrigg, w drugim zaś do Daleview, rezydencji rodziny Leighów. Do Leighów należała od pokoleń cała ziemia w okolicy z wyjątkiem - stosunkowo skromnej pod względem powierzchni - Westhill Farm. Co najmniej od dwustu lat Leighowie próbowali w każdym pokoleniu na nowo wejść w posiadanie ziemi należącej do Westhill. Nie udało im się tego dokonać i także Charles Gray, ojciec Frances, odrzucał bez najmniejszego wahania wszelkie, nawet najbardziej kuszące propozycje starego Arthura Leigha.

Frances obeszała dom i przez małą furtkę wkroczyła do ogrodu. Wrażenie kwitnącej i pachnącej dziczy, które ją zaraz ogarnęło, było mylące o tyle, że nic tutaj nie rosło czy pienieło się przypadkowo. Każdy kwiat, każdy krzak, każde drzewo Maureen posadziła z należytą rozważą i pieczołowitością. Chodziło się ścieżkami między dzikimi różami i olbrzymimi rododendronami, można było marzyć w cieniu drzew owocowych lub pod zwisającymi melancholijnie gałęziami wierzb płaczących. Jeszcze tylko kilka tygodni, a zaczną kwitnąć róże i cały ogród wypełnią różowe i fioletowe kwiaty fuksji.

Jak daleko Frances sięgała pamięcią, najbardziej typowy był widok matki klęczącej gdzieś między krzewami lub drzewami i grzebiącej w ziemi. Kiedyś powiedziała, że to zajęcie to dla niej sposób radzenia sobie z problemami i troskami dnia powszedniego. „Kiedy czuję ziemię między palcami, kiedy widzę, że rozwinął się nowy pąk kiedy wdycham zapach róż, moje zmartwienia rozplývają się w powietrzu tak szybko, że w ogóle nie rozumiem, dlaczego jeszcze chwilę wcześniej byłam taka przygnębiona!”.

Frances nie potrafiła dorównać matce pod tym względem, gdyż nienawidziła pracy na klęczkach i walki z chwastami okupywanej bólem krzyża. Mimo to rozumiała, co czuje Maureen, gdyż ziemia dodawała jej tyle samo sił co matce, chociaż w inny sposób.

Usiadła na pomalowanej na biało ławce pod jedną z wiśni i otworzyła list. Na kolana wypadła jej kartka pokryta zamaszystym pismem Johna z wiadomością dla niej.

„Kochana Frances - przeczytała - chciałbym koniecznie porozmawiać dziś z Tobą późnym popołudniem. Wybierzemy się razem na przejażdżkę konną? Będę u Ciebie około piątej”.

- Naprawdę chciałabym wiedzieć, czego on chce - mruknęła do siebie. Podniósłszy

głowę, ujrzała swoją siostrę Victorię, która zbliżała się do niej dróżką ogrodową. W ostatniej chwili zdążyła schować list Johna w kieszeni spódnicy.

- Cześć, Frances! Szukałam cię! Dlaczego tu wysiadujesz? - zawołała.

- A ty w ogóle skąd się tu wzięłaś? - odpowiedziała pytaniem Frances. - Od kiedy to wypuszczają was od panny Parker tak wcześnie na weekend? Za moich czasów, Bóg mi świadkiem, było inaczej!

- W szkole panuje epidemia krztuśca - wyjaśniła Victoria. - Co najmniej przez dwa tygodnie mamy się nie pokazywać!

- Dlaczego ja nigdy nie miałam tyle szczęścia - zauważyła z zazdrością Frances. - U nas nigdy nie było krztuśca ani niczego takiego. Mam nadzieję, że nie zdążyłaś się zarazić!

- Też tak sędzę. Ach, to naprawdę wspaniale mieć znowu ferie!

- Wierzę ci na słowo - rzekła Frances, lecz była przekonana, że ten nieoczekiwany prezent nie znaczy dla Victorii tyle samo, ile wcześniej znaczył dla niej, Frances. O Victorii nie można było powiedzieć, że nie lubi uczęszczać do szkoły panny Parker. Uwielbiała paplać i chichotać z innymi dziewczętami, bardzo chętnie chodziła w sztywnym lnianym mundurku szkolnym, w którym Frances czuła się zawsze jak więzień. Nie była szczególnie wybitną uczennicą, brylowała jednak na lekcjach śpiewu i podczas szycia. Panna Parker nazywała ją „Jedną ze swoich najulubieńszych uczennic” i przyznała jej szereg przywilejów. Frances potrafiła czytać w myślach starej nauczycielki, która zawsze miała wręcz wypisane na czole: Jak to możliwe, że dwie siostry tak się różnią!

I gdyby ktoś zobaczył teraz obie w ogrodzie, byłby tego samego zdania. Niespełna piętnastoletnia Victoria przypominała z wyglądu śliczną lalkę. Ani śladu nieforemności, która była przyczyną cierpień Frances w tym wieku. Była bardzo podobna do matki, miała jej złote barwy, jej śliczny uśmiech i taki sam aksamitny głos. Zawsze była słodka, zawsze uroczą, wszyscy ją rozpieszczali i dogadzali jej, spełniali każde jej życzenie. Jako małe, różowe, pulchne niemowlę wzbudzała u ludzi zachwyty, którym dawano wyraz w ekspresyjnej formie. Każdy chciał ją trzymać, głaskać, przytulać. Frances, która w chwili narodzin Victorii miała dwa lata, była dzieckiem o żywym umyśle i dostatecznie inteligentnym, by w pełni zdawać sobie z tego sprawę i obserwować wszystko z bolesną zazdrością. Maureen opowiadała jej później, że ona sama była zupełnie innym dzieckiem, zastraszająco chudym, ale bardzo wytrwałym i niesamowicie zdecydowanym, żeby wszystkiego nauczyć się szybciej i wcześniej od innych dzieci. Chwywanie, raczkowanie, chodzenie - wszystko to zaczęła robić niezwykle wcześnie i ćwiczyła zawzięcie tak długo, aż się nauczyła.

Maureen nigdy nie wypowiedziała tego całkiem wyraźnie, ale i tak dla Frances było

jasne, że ludzie nie zachwycali się nią nigdy tak jak Victorią. Ojciec nadał swej najmłodszej córce imię królowej Wiktorii, ale Frances uzmysłowiła sobie dopiero dużo później, jakie to dziwne, że to nie ona jako pierworodna została ochrzczona tym imieniem. Najwidoczniej ojciec nie pomyślał jednak o tym na widok chudego niemowlęcia o nazbyt jasnych niebieskich oczach, które Maureen wydała na świat w marcu 1893 roku. Dopiero rozkoszną, okrągłą na twarzy córeczkę, którą dwa lata później dano mu do potrzymania, uznał za godną noszenia imienia wielkiej władczyni.

Tego dnia Victoria miała na sobie granatowy strój marynarski z sięgającą do kostek spódnicą, granatowe sznurowane buty oraz jasnoniebieską kokardę wplecioną w długie ciemnoblond włosy, które błyszczały w słońcu jak miód i lekko falowały.

Jeszcze dwa albo trzy lata, pomyślała Frances, a mężczyźni będą z jej powodu walić do nas drzwiami i oknami!

- Nawiasem mówiąc, George też przyjechał - powiedziała Victoria - pięć minut temu. Dorożką wynajętą w Wensley.

- George? A czego on znowu chce?

Ich brat chodził do szkoły w Eton i przyjeżdżał do domu tylko na ferie.

- Przywiózł kogoś.

- Przyjaciela?

- Kobieta! - rzekła z naciskiem Victoria. - Jest całkiem przystojna, ale wydaje się jakaś dziwna.

Kobieta. Brzmiało to interesująco. Ze wszystkich ludzi na świecie Frances najbardziej kochała i podziwiała chyba właśnie swego starszego brata George'a. Był on zresztą jedyną osobą, do której odnosiła się praktycznie bezkrytycznie.

George był przystojny, mądry, delikatny, szarmancki... Mogłaby go właściwie ozdabiać nieskończenie wieloma pochlebnymi atrybutami. W tym roku miał skończyć swoją szkołę w Eton. Jeśli jednak w trakcie przygotowań do egzaminów jechał aż do Yorkshire, przypuszczalnie na nie dłużej niż dzień lub dwa, a w dodatku wziął ze sobą kobietę, to Frances potrafiła powiązać jedno i drugie. Na pewno chciał przedstawić dziewczynę rodzinie. A więc wyglądało to na poważną sprawę.

- Dlaczego od razu tak nie mówisz? - zapytała, wstając. - Gdzie oni teraz są? Chcę się przywitać z George'em!

I wziąć tę kobietę pod lupę, dodała w myśli.

George stał przed domem i ledwo mógł się opędzić od dwuletniej suki Molly, mieszańca



zresztą, która krążyła wokół niego na znak burzliwego powitania i głośno szczekając, próbowała nań wskoczyć, zachwycona ponad wszelką miarę jego powrotem. Wydawało się, jakby wiedziała dokładnie, że zawdzięcza George'owi życie. George znalazł półżywe zwierzę, wówczas kupkę nieszczęścia, na skraju drogi przed dwoma laty w ciemny i zimny jesienny wieczór. Miał ferie i w ciągu tych dwóch tygodni wstawał co noc, żeby karmić szczenię mlekiem z żółtkiem. A potem ilekroć musiał wyjechać, dochodziło do rozdzierających scen pożegnania, a kiedy wracał, Molly traciła niemal rozum ze szczęścia.

- George! - zawołała Frances już z daleka, po czym podbiegła do niego i padła mu w szeroko rozłożone ramiona. Zamknęła oczy. Pachniał tak przyjemnie! I był taki przyjemny w dotyku!

Usłyszała jego śmiech, cichy i delikatny.

- Czasami nie wiem, kto bardziej cieszy się na mój widok, ty czy Molly? W każdym razie bardzo mi to pochlebia.

Cofnęła się o krok i przyjrzała mu się.

- Zostaniesz dłużej?

Pokręcił głową z ubolewaniem.

- Właściwie nie powinienem był w ogóle się ruszać. Powinienem przeznaczać każdą minutę na zakuwanie. Ale...

Przestał mówić i popatrzył w bok. Frances, która śledziła jego wzrok, dostrzegła młodą kobietę, która stała do tej pory przy samochodzie pani Maynard, opierając się o niego, a teraz podeszła do rodzeństwa.

- Alice, pozwolisz, że ci przedstawię moją siostrę Frances? - zapytał George. - Frances, to jest panna Alice Chapman.

- Dzień dobry, Frances - rzekła Alice. Miała głęboki, ciepły głos. - Wiele słyszałam o pani. Cieszę się, że panią poznałam.

Frances podała jej z wahaniem rękę.

- Dzień dobry - powiedziała.

Obie kobiety otaksowały się wzrokiem. Frances stwierdziła, że Victoria miała rację: Alice rzeczywiście była atrakcyjną kobietą. Miała subtelne, proporcjonalne rysy twarzy, ciemnozielone oczy i kształtny nos. Była niewysoka i drobnej budowy i emanowała wyczuwalną niemal energią. Biła od niej jakby niezwykła dynamiczność. Pewnie to miała na myśli Victoria, mówiąc o jej „dziwności”.

- Wiesz, George - podjęła Alice - może powinienes najpierw wejść sam i przygotować swoją matkę na moją obecność. Ja jeszcze się tu trochę rozejrzę. Może twoja siostra będzie

tak miła i dotrzyma mi towarzystwa?

- Możemy pójść do ogrodu - zaproponowała Frances.

George skinął głową.

- W porządku. Zresztą mama i tak ma chyba akurat lekcję fortepianu. Zobaczymy się później.

Uśmiechnął się. Frances dostrzegła w jego oczach czyste uwielbienie. Miała smutne przeczucie, że z nich dwojga to on jest bardziej zakochany i dlatego słabszy w tej parze. Alice Chapman trzymała go w garści.

Victoria ulotniła się, w każdym razie nie było jej nigdzie w pobliżu. Alice usiadła na kamiennym murku na końcu ogrodu. Westhill położone było na pagórku, toteż z góry roztaczał się wspaniały widok na otwierające się po drugiej stronie doliny oraz na stajnie i domy pracowników farmy należące do Westhill.

Alice rozejrzała się dookoła i odetchnęła głęboko.

- Jak to dobrze posiedzieć na zewnątrz. Jazda koleją ciągnęła się bez końca. Wreszcie w Wensley, czy jak tam nazywa się ta miejscowość, George wynajął dorożkę. - Uśmiechnęła się. - Jak tu idyllicznie!

- Czasami bywa też nudno - zauważyła Frances. Usiadła obok Alice. - Skąd pani zna mojego brata?

- Poznaliśmy się podczas demonstracji. No cóż, to za mało powiedziane. To była raczej regularna bitwa. - Roześmiała się. - Frances, wygląda pani na zupełnie zszokowaną! Coś mi się zdaje, że próbuje pani właśnie wyobrazić sobie swojego brata jako uczestnika demonstracji. Ale niech pani będzie spokojna. On nie ma z tym nic wspólnego. To my wtargnęliśmy na lekcję w Eton i rozwinęliśmy swoje plakaty. Zrobił się niezły tumult!

- Co za my?

- WSPU. Na pewno słyszała już pani o tej organizacji!

Naturalnie Frances słyszała o WSPU, Women's Social and Political Union\*. Była to partia bojowniczek o prawa kobiet skupionych wokół Emmeline i Christabel Pankhurst, które domagały się prawa wyborczego dla kobiet - i to coraz bardziej radykalnymi metodami. Wiele o nich mówiono, zazwyczaj nieprzychylnie. Mężczyźni szydzili z nich w niewybrednych słowach - mowa była o „herod-babach”, o „niezaspokojonych fładrach”, „brzydkich wronach” i „biednych świruskach”.

Frances nie za bardzo rozumiała, dlaczego niektórzy mężczyźni zachowują się tak,

---

\* Społeczno-Polityczna Unia Kobiet (przyp. tłum.).

jakby imperium miało przestać istnieć w wypadku, gdyby kobiety otrzymały prawa wyborcze. „Niedługo nawet mój pies będzie współdecydował o politycznych losach Anglii!” - oburzał się niedawno w towarzystwie stary Arthur Leigh, sam warcząc przy tym jak rozdrażniony pies. Wszyscy obecni śmiali się i bili brawo, również kobiety. Frances wiedziała, że nawet jej ojciec, wprawdzie wyborca torysów, lecz jeśli chodzi o poglądy, to w zasadzie liberał, zajmował negatywne stanowisko wobec sufrażystek - jak je nazywano od ich celu, jakim było wywalczenie prawa wyborczego, „suffrage”.

„Polityka to nie jest rzecz dla kobiet” - mawiał zawsze. Maureen nigdy nie wypowiadała się na ten temat, co Frances interpretowała jako milczącą zgodę. Teraz jednak postanowiła zapytać matkę jeszcze raz o te sprawy w cztery oczy.

- Do tej pory nie poznałam nikogo, kto by należał do WSPU - powiedziała do Alice.

- Przypuszczam, że pani rodzice przywiązują dużą wagę do tego, w którym towarzystwie się pani obraca - zauważyła kąśliwie Alice - a w takim wypadku bojowniczeki o prawa kobiet nie są raczej pożądane.

- Moi rodzice przywiązują też dużą wagę do tego, w którym towarzystwie obraca się George.

- O, tak - podchwyciła Alice - domyślam się. Na pewno nie będą zachwyceni, kiedy George mnie im przedstawi.

Frances też się tego obawiała. Poza tym dziwiła się, dlaczego George zakochał się akurat w tej dziewczynie. Alice była atrakcyjna i na pewno bardzo mądra, ale Frances nie wyobrażała sobie, żeby George nie miał bardzo poważnych zastrzeżeń co do jej poglądów.

- George... - zaczęła ostrożnie.

Alice roześmiała się znowu.

- Wiem. On absolutnie nie zgadza się z tym, co robię. Prawdopodobnie ma nadzieję, że opamiętam się, kiedy będę starsza, ale jestem prawie pewna, że się myli. Może to on zmądrzeje.

- Czy on chciałby się z panią ożenić? - spytała z ciekawości Frances.

Alice zawahała się.

- Tak - odpowiedziała w końcu - chciałby. Tylko że nie wiem jeszcze, czy ja też tego chcę.

Podczas gdy Frances zastanawiała się nad niestosownością tego wyznania - kobieta, która nie uważała się za szczęśliwą, kiedy George Gray chciał się z nią ożenić - Alice pogrzebała w swojej torebce i wyciągnęła płaskie brązowe pudełko, z którego wyjęła cygaro.

- Chce pani też? - zapytała.

Frances rzecz jasna nigdy nie paliła, a ponadto nauczyła się, że dama i tak nigdy tego nie robi. Ale ponieważ nie chciała wyjść na małą dziewczynkę, więc mruknęła obojętnym tonem:

- Owszem, chętnie.

Zakrztusiła się od razu przy pierwszym pociągnięciu i przez kilka minut musiała walczyć z gwałtownym atakiem kaszlu. Alice poczekała cierpliwie, aż jej przejdzie, po czym stwierdziła:

- To pani pierwsze cygaro, prawda?

Ponieważ zaprzeczanie nie miało sensu, Frances skinęła głową i otarła łzy z oczu.

- Tak. Nigdy jeszcze tego nie robiłam.

Spodziewała się kąśliwej uwagi, lecz Alice popatrzyła tylko na nią spokojnie.

- Ile ma pani lat? - zapytała.

- Siedemnaście - odpowiedziała Frances i ostrożnie zaciągnęła się po raz drugi. Cygaro miało ohydny smak, lecz tym razem przynajmniej nie musiała kaszleć.

- Siedemnaście, aha. Ja mam dwadzieścia, a więc też niewiele więcej, ale mnóstwo już przeżyłam. Wyobrażam sobie, że na to też miałyby pani ochotę. Wygląda mi pani na dziewczynę dość dobrze strzeżoną, która chętnie poznałaby życie. A może po prostu chce pani robić to, czego się od pani oczekuje? Wyjść za męża, urodzić dzieci, prowadzić dom otwarty i organizować herbatki dla dam?

- Ja... nie wiem... - wyjąkała Frances. Paliła trochę zbyt szybko i teraz nagle z najwyższym trudem koncentrowała się na słowach Alice. Zrobiło jej się okropnie niedobrze, żołądek się zbuntował, czarne plamy migotały jej przed oczami.

O nie, pomyślała z przerażeniem. Ja zwymiotuję. I to w obecności obcej osoby!

- Niech mnie pani odwiedzi kiedyś w Londynie - ciągnęła Alice. - Mogłabym panią poznać z paroma bardzo ciekawymi ludźmi.

Frances zsunęła się z murku. Miała wrażenie, że drżące nogi nie są w stanie jej udźwignąć. Z daleka docierał do niej głos Alice:

- Frances? Co się z panią dzieje? Jest pani blada jak trup!

Silne ręce schwyły ją w talii i trzymały. Nigdy w życiu nie czuła się tak źle. Zaczęła się dławić.

- Dobry Boże, to moja wina - usłyszała słowa Alice. - Nie powinnam była dawać pani cygara!

Frances pochyliła się nad gęstą kępą paproci i zwymiotowała śniadanie.

John Leigh się nie zjawił. Ani o piątej, jak zapowiedział w swoim liście, ani o szóstej, także o wpół do siódmej się nie pokazał.

- Naprawdę już pora, żebyśmy sobie sprawili telefon - oświadczyła matce wściekła Frances. - Wtedy w takiej sytuacji mogłabym przynajmniej zadzwonić do Johna. Mam nadzieję, że posiada dobre wytłumaczenie swego zachowania.

- Jestem pewna, że je posiada - odparła Maureen.

Wyglądała na bardzo spiętą. Godzinę wcześniej George oświadczył jej oraz ojcu, że zamierza poślubić pannę Chapman. Charles Gray chciał się dowiedzieć czegoś więcej o młodej kobiecie i przy tej okazji wyszło na jaw, że jest członkinią WSPU. Charles tak się wściekł, że nawet Maureen miała trudności i ledwo zdołała go uspokoić.

- Ale dlaczego wspomniałeś akurat o tym? - spytała Frances później, kiedy George zdał jej relację z rozmowy i wyglądał przy tym na bardzo zdeprymowanego.

W goście rezygnacji wzruszył ramionami.

- W przeciwnym razie ona by to powiedziała. Wcześniej czy później dziś albo jutro ojciec by ją zapytał, co porabia w życiu.

- A ona odpowiedziałaby mu zgodnie z prawdą?

George zaśmiał się, lecz jego śmiech nie brzmiał radośnie.

- Możesz być tego pewna! Wytworna powściągliwość nie jest niestety mocną stroną Alice. Pewnie wyłożyłaby mu szczegółowo swoje cele, starając się go przekonać o konieczności walki o nie. Wyobrażasz sobie, jak ścięliby się ze sobą!

W ten sposób tylko on odczuł na własnej skórze wściekłość ojca. W końcu Charles oświadczył kategorycznie, że nie będzie tolerował w swoim domu „tej osoby”. Tylko dzięki sztuce przekonywania Maureen zgodził się w końcu gościć Alice Chapman pod swoim dachem w Westhill jedynie do ponownego wyjazdu obojga na studia.

Maureen, która akurat nakrywała w jadalni do kolacji, oderwała się na moment od swych ponurych rozmyślań nad przyszłością syna i nieoczekiwanymi problemami. Przyjrzała się bacznie starszej córce.

- Jesteś smutna, bo John nie przyjechał? - zapytała. - Bo nie wiem, dlaczego miałabyś być taka blada? Naprawdę źle wyglądasz!

Frances nie doszła jeszcze do siebie po wypaleniu cygara.

- Niezbyt dobrze się czuję - powiedziała - ale nie ma to nic wspólnego z Johnem. Szczerze mówiąc, jest mi on dosyć obojętny. Nie sądzę jednak, że bym mogła coś zjeść.

- Usiądź z nami i spróbuj. Wieczór będzie dostatecznie ciężki i bez tego, że może zabraknąć jeszcze ciebie. O Boże, czy George nie mógł sobie wybrać jakiejś innej

dziewczyny?

Stopniowo zjawiali się członkowie rodziny. U szczytu stołu siedział Charles Gray, jak zawsze na kolację ubrany w ciemny garnitur, popielatą kamizelkę i jedwabny krawat. Utracił status, który mu przysługiwał z racji pochodzenia, tym bardziej jednak starał się podtrzymywać pewne konwencje. A do tych konwencji należał elegancki strój, wieczorem świece i gromadzenie się rodziny w komplecie przy stole - jeśli akurat wszyscy byli na miejscu. Bardzo go gryzła świadomość, że do wszelkich prac, jakich w domu nie brakowało, Maureen ma tylko jedną pomocnicę, czyli energiczną gospodynię Adeline. Więcej osób nie był w stanie zatrudnić, jeśli równocześnie chciał posyłać dzieci do dobrych szkół.

Na drugim końcu stołu siedziała Kate Lancey, matka Maureen. Kate miała na sobie długą do samej ziemi czarną suknię, czarny czepek przykrywający siwe włosy, a z biżuterii nosiła jedynie na szyi cienki złoty łańcuszek z krzyżykiem. Była osobą drobnej budowy, ale tak chudą, że sprawiała wrażenie, jakby najłżejszy podmuch wiatru mógł ją przewrócić. W rzeczywistości była niezniszczalna i miała więcej zdrowia niż reszta rodziny razem wzięta. Zahartowały ją długie twarde lata w slumsach Dublina, spędzone u boku powoli zapijającego się na śmierć męża, i ciężka walka o zachowanie od śmierci głodowej siebie oraz dziecka. Babka Kate przeszła w życiu już tak wiele, że prawie nic na świecie nie było w stanie nią wstrząsnąć.

George i Alice wrócili ze spaceru. George z przygnębioną miną, Alice w znakomitym humorze. Nazrywała kwiatów, które wręczyła Maureen. Zjawiała się Victoria, z zaczerwienionymi policzkami, jasnymi włosami i błyszczącymi oczyma śliczna jak obrazek. Jej widok wydobyl przelotny uśmiech na twarz pogrążonego w lodowatym milczeniu Charlesa. Wyraźnie widać było, że Victoria jest jego ulubienicą. Przypominała z wyglądu Maureen i jeszcze nigdy nie przysporzyła mu zmartwień.

Atmosfera nadal była napięta i sztuczna. Charles spoglądał nieruchomo przed siebie i nic nie mówił. Frances grzebała widelcem w tym, co miała na talerzu, w dalszym ciągu nie mogła przełknąć nawet kęsa i również nic nie mówiła. George wyglądał tak, jakby najchętniej wyszedł z pokoju. Nawet Victoria zamilkła; zauważyła, że coś się nie zgadza, nie znała jednak przyczyny, a nie chciała popaść w niełaszkę, wyrывая się z jakąś niezręczną uwagą.

- Kolacja jest znakomita - odezwała się w końcu Alice. - Czy należy pochwalić za to gospodynię czy panią, pani Gray?

- Niestety, nie mogę sobie rościć prawa do tego zaszczytu - odparła Maureen, siląc się na wesołość. - Należy się on Kate. To ona dzisiaj gotowała.

- Podziwiam panią, pani Lancey - powiedziała Alice. - Ja sama w ogóle nie umiem

gotować, nie mam żadnej zręczności w sprawach kulinarnych.

- Można się nauczyć - odparła Kate. - To tylko kwestia wprawy.

Charles uniósł głowę znad talerza.

- Przypuszczam, Kate, że panna Chapman nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana nauką gotowania. To pewnie koliduje z jej zasadami. Według niej miejscem kobiety nie jest ostatecznie kuchnia, tylko lokal wyborczy!

- Charles!

- Ojczy! - syknął George.

Victoria otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

Alice obdarzyła Charlesa słodkim uśmiechem.

- Nie uważam, żeby kuchnia i lokal wyborczy nawzajem się wykluczały - powiedziała.

- Chyba że pan, panie Gray, potrafi mi podać przekonujący powód, że tak jest istotnie?

- Czy ktoś chciałby jeszcze trochę warzyw? - spytała szybko Maureen.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy wpatrywali się w twarz Charlesa.

- Kobieta, panno Chapman - rzekł powoli - z racji całej swej natury, swoich naturalnych predyspozycji nie myśli politycznie. Dlatego nie jest też w stanie ogarnąć struktury, celów i wyobrażeń partii politycznej. I oddawałaby swój głos, kierując się rozproszonymi emocjami i zupełnie irracjonalnymi ideami. Moim zdaniem składanie politycznej przyszłości kraju w ręce mniej więcej połowy ludności, która nie ma najmniejszego pojęcia, o co w ogóle chodzi, jest nadzwyczaj niebezpieczne!

Frances zauważyła, że George'a prawie zatkało. Słowa Charlesa musiały być dla Alice nieznośną prowokacją, ale zachowała pełną kontrolę nad sobą.

- Ile razy prowadził pan już dyskusje polityczne z kobietami, panie Gray? - zapytała. - Musiało ich być wiele, skoro z takim przekonaniem odmawia pan kobietom jakiegokolwiek świadomości politycznej!

- O polityce nie dyskutowałem jeszcze z żadną kobietą! - zaciętrzewił się Charles. - I dlatego właśnie wiem, że...

- Czy nie doszło do tej dyskusji z winy kobiet, czy też z pańskiej winy? Chodzi mi o to, czy nie spotkał pan nigdy kobiety, która byłaby gotowa lub zainteresowana rozmową z panem o polityce, czy może p a n u zawsze brakowało tej gotowości?

W oczach Charlesa pojawiły się niebezpieczne ogniki. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że musi się mitygować, aby nie wybuchnąć.

- Nie sędzę - odparł z naciskiem, usiłując zachować spokój - żeby to nicowanie słów zaprowadziło nas daleko.

- A ja sędę, że tu jest pies pogrzebany - oświadczyła Alice. - Kobiety nie dyskutują z mężczyznami o polityce, bo mężczyźni nie słuchaliby ich nawet przez chwilę. Kobiety nie wypowiadają się w tych kwestiach, bo nie widzą sensu w wyrażaniu swej opinii. Wyciąganie z tego wniosku, że kobiety nie potrafią wypowiadać się rozsądnie na tematy ogólne, uważam, delikatnie mówiąc, za nikczemność.

Jej twarz nadal miała uprzejmy wyraz, ale głos się zmienił, przybierając ostry ton.

Charles odłożył sztucę.

- Sędę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli opuści pani ten dom, panno Chapman - powiedział.

- Czyżby tak bardzo obawiał się pan nas, bojowniczek o prawa kobiet, że nie zniósłby pan nawet rozmowy o naszych żądaniach? - spytała kąśliwie Alice i wstała.

George rzucił swoją serwetę na talerz.

- Jeśli ona wychodzi, ja, ojczu, też wychodzę - zagroził.

Charles skinął głową.

- Z pewnością. Ktoś musi ją w końcu odwieźć na dworzec w Wensley.

George zerwał się z miejsca. Zrobił się biały jak kreda.

- Jeśli teraz odejdę, to nie wrócę - powiedział.

- George! - zawołała z przerażeniem Frances.

Charles się nie odezwał. Patrzył niewzruszenie na syna. George odczekał chwilę, po czym oświadczył głosem drżącym z oburzenia i podniecenia:

- Po tobie, ojczu, się tego nie spodziewałem. Właśnie po tobie! Powinieneś wiedzieć, co czuję. Po tym, jak twój własny ojciec zerwał kontakty z tobą, ponieważ ty i mama...

Tym razem gwałtownie podniósł się z krzesła Charles. Przez chwilę wydawało się, że chce uderzyć George'a w twarz.

- Precz! - zawołał. - Precz! I nigdy nie waż się porównywać swojej matki z tą... tą nieznośną sufrażystką, która nie jest mężczyzną ani kobietą, tylko jakimś biednym stworzeniem, czymś pośrednim między jednym a drugim!

George wziął Alice za rękę.

- Chodźmy! Wyośmy się stąd, póki czas, bo nie wiem jeszcze, co zrobię!

Pociągnął ją za sobą w stronę drzwi. Tam omal się nie zderzyli z Johnem Leighem, który właśnie wszedł i zaskoczony patrzył na scenę, jaka ukazała się jego oczom. Na nogach miał sztylpy i był trochę zdyszany.

- Dobry wieczór - powiedział. - Przepraszam, że...

- Właśnie wychodziliśmy - odpowiedział George i wypchnął Alice z pokoju.



Charles stał w dalszym ciągu przed swoim miejscem przy stole, ręce mu dygotały.

- Dobry wieczór, panie Leigh - rzekł, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- John Leigh! - zawołała uszczypliwie Frances. - Naprawdę nie liczyłam na to, że się jeszcze zjawisz!

John posłał jej krótkie spojrzenie. Frances zauważyła, że jest popielatoblady na twarzy i wygląda na ogromnie zdenerwowanego.

- Co się stało? - zapytała.

- Usiądzie pan z nami? - spytała Maureen. - Podam panu nowe nakrycie...

Uniósł dłonie w odmownym geście.

- Nie, dziękuję. Zaraz muszę jechać dalej. Chciałem tylko państwu... Jeszcze państwo nie wiedzą, prawda?

- Czego? - spytał Charles.

- Krewni z Londynu dzwoniли do nas - wyjaśnił John. - Jego Królewska Mość zmarł dziś po południu.

Wszyscy spojrzeli po sobie, zszokowani i przerażeni.

- O, nie - powiedziała cicho Maureen.

- To zła wiadomość - mruknął Charles. - Bardzo zła wiadomość.

Nagle wydawało się, jakby się zapadł w sobie, raptem sprawiał wrażenie kogoś starszego i mocniej posiwiąłego.

- Muszę wracać do domu - rzekł John. - Ojciec jest bardzo chory i okropnie się denerwuje. Frances... naprawdę mi przykro z powodu dzisiejszego popołudnia!

- Już dobrze. W takiej sytuacji...

Maureen podniosła się z miejsca.

- Odprowadzę pana do drzwi, panie Leigh - zaoferowała się. - Bardzo jesteśmy panu wdzięczni, że specjalnie przyjechał pan do nas.

Frances wiedziała, że matka przede wszystkim ma nadzieję spotkać jeszcze na zewnątrz George'a i Alice i porozmawiać z nimi. Choć Maureen bardzo ubolewała nad śmiercią króla, tego wieczoru o wiele ważniejsze dla niej było spięcie między jej mężem a synem.

Po wyjściu Maureen i Johna w pokoju zrobiło się bardzo cicho. W końcu Charles powiedział półgłosem:

- Król nie żyje... Pewna epoka dobiegła końca.

Popatrzył przez okno, za którym nastał ciepły wieczór. Możliwe, że przemknęła mu przez głowę myśl, iż czasy mogą się dramatycznie zmienić. Król Edward stanowił ostatnie

ogniwo łączące z Anglią, w której wychował się Charles Gray, która go ukształtowała i ucieleśniała jego obraz świata. W okresie postępującej liberalizacji, okresie zamieszania, walk klasowych, głośnej krytyki zdradzonych tradycji król Edward był nadal elementem epoki wiktoriańskiej, uosabiał jej wartości i ideały. Wraz z jego śmiercią umarła pewna era, a to, co miało przyjść, wydawało się niepewne i groźne.

Charles wziął do ręki kieliszek z winem. Ręka mu nadal drżała.

- Boże, chroń Anglię - powiedział.

Długo trwało, zanim Frances naprawdę pojęła, że jej rodzina różni się od innych rodzin i dlaczego tak jest. W latach dzieciństwa świat, w którym się wychowywała, był dla niej tak swojski i przyjemny, że nigdy nie śmiałyby podać jakiegokolwiek jego części w wątpliwość. Bynajmniej nie mieli tyle pieniędzy co Leighowie czy ludzie bywający regularnie w Daleview, ale zawsze mieli dość jedzenia, ładne rzeczy do ubrania, duży stary dom, w którym wszyscy czuli się dobrze i bezpiecznie. Czasami Frances przyglądała się pani Leigh z pewnym respektem, gdyż nosiła zawsze prześliczne stroje, uszyte według najnowszej mody i całe ozdobione falbankami, koronkami i tasiemkami, a służąca co rano układała jej starannie fryzurę. Mówiła cicho, ciągle siedziała u siebie w salonie z filiżanką herbaty albo z robótką w rękę i dyrygowała całą gromadą służących, okazując surowość i twardość, o którą nikt nie posądzałby tej delikatnej osoby o subtelny uśmiech. Pani Leigh miewała często migreny lub odczuwała inne niedyspozycje, a wtedy nikt w domu nie miał prawa odezwać się głośniej - trzeba było skradać się na palcach oraz zamykać i otwierać drzwi bezszelestnie.

Dla Frances, wychowanej w domu, w którym troje dzieci biegało nieustannie po schodach i szalało w ogrodzie, było to nader niezwykle i po okresie fascynacji panią Leigh, kiedy uważała ją pomimo jej ciągłego kwękania za osobę bardzo elegancką, zaczęła znów wyraźnie preferować własną matkę.

Maureen, jak daleko sięgały pamięcią jej dzieci, nigdy nie chorowała i nigdy nie siedziała blada w salonie z filiżanką herbaty w rękę. Nosiła znacznie skromniejsze stroje niż pani Leigh, a włosy rano upinała sama. Kiedy pracowała w swym ukochanym ogrodzie, często śpiewała mocnym, nieco chropawym głosem irlandzkie pieśni ludowe. Niewiele było rzeczy, których zabraniała własnym dzieciom; poza tym w takich wypadkach brakowało jej za grosz konsekwencji i znosiła swoje zakazy, skoro tylko dzieci zaczynały ją molestować.

John Leigh, jedyny syn właścicieli Daleview, wiódł natomiast bardzo uregulowany tryb życia, wiedział, czego mu nie wolno, a każde „nie” jego matki miało wagę nienaruszalnego prawa. W pewnym momencie Frances straciła wszelką ochotę, żeby

zamienić się z nim miejscami, nadal jednak lubiła chodzić do Daleview. Pomimo sześciu lat różnicy między nimi był taki okres, kiedy często bawili się ze sobą. Frances uwielbiała Johna, a on, choć niekiedy uważał spędzanie czasu z małą dziewczynką za nudne, i tak nie miał wyboru: niespecjalnie znajdował wspólny język z George'em Grayem, a z dziećmi z Leigh's Dale i dziećmi pracowników majątku oczywiście nie wolno mu się było bawić. Jednak pewnego razu Frances była świadkiem rozmowy między panem a panią Leigh i usłyszała wtedy po raz pierwszy, że wcale nie uważają jej tutaj za osobę odpowiadającą ich przynależności stanowej.

Miała wówczas osiem lat. John chodził już do szkoły z internatem, ale zaczęły się właśnie ferie. Chciała go od razu odwiedzić, lecz on nie miał czasu i po wymianie paru grzeczności odesłał ją z powrotem. Zazwyczaj przemykała się po schodach na palcach, bo nigdy nie było wiadomo, czy pani Leigh akurat nie śpi lub nie cierpi na ból głowy. Kiedy przechodziła obok salonu, do którego drzwi nie były zamknięte, tylko lekko uchylone, usłyszała swoje imię. Zaciekawiona zatrzymała się.

- Naprawdę uważam, że ta mała Frances bywa tutaj zbyt często - powiedziała pani Leigh. Jej głos miał jak zwykle miłe brzmienie, lecz przebijał w nim ton lekko uszczypliwy. - Naprawdę powinniśmy to ograniczyć, Arthurze.

- Tak przecież jest tylko podczas ferii! Potem...

- Ferie są długie.

- A jak mam to zrobić? - spytał Arthur. - Nie mogę przecież powiedzieć wnuczce lorda Graya...

- Nie powinieneś tak od razu uważać jej za jego wnuczkę. W końcu odciął się całkowicie od rodziny syna.

- Z tego powodu Frances nie przestaje przecież być jego wnuczką. To nie jest prosta dziewczyna z ludu czy ktoś w tym rodzaju!

Szczęknęła cicho filizanka. Pewnie pani Leigh postawiła ją trochę energiczniej niż zwykle.

- Na w p ó ł to jest dziewczyna z ludu, Arthurze. Musimy to sobie jasno uświadomić. Mój Boże, ja po prostu nigdy nie zrozumieję tego, jak Charles Gray mógł się aż tak zapomnieć i poślubić tę małą Irlandkę! Po prostu zastanawiam się, co on widzi w tej kobiecie!

Arthur Leigh, którego ciągle bóle głowy żony już dawno popchnęły w ramiona i do łóżka pewnej jasnowłosej mieszczki o bujnych kształtach - pól hrabstwa o tym wiedziało, również Frances dowiedziała się później - rozumiał oczywiście w pewnej mierze powody, dla

których Charles Gray związał się ze zmysłową i mającą pozytywny stosunek do życia Maureen Lancey z Dublina, jakkolwiek i on nie do końca pojmował, dlaczego Charles nie poszedł na podobny układ jak on - co zresztą przyjęło się nawet w najwyższych kręgach: w domu miało się wytworną żonę z dobrej rodziny, kobietę o nieposzlakowanej opinii, a dla zaspokajania wszelkich tych potrzeb, jakie miewa czasem mężczyzna, a które tylko szokowałyby jego żonę, utrzymywało się na boku mały romans. Chodziło się do łóżka z dziewczętami niższego stanu, ale nigdy się ich nie poślubiło. Możliwe, że Charles Gray zachował się nad wyraz honorowo, ale w oczach innych mężczyzn należących do stanu szlacheckiego był po prostu głupcem.

W głosie Arthura pobrzmiwało pewne skrępowanie.

- To trudna sytuacja. Nie mogę tak po prostu pójść do Charlesa Graya i powiedzieć mu, że jego dzieciom nie wolno odtąd zadawać się z moim synem!

- Tak wprost, rzecz jasna, nie możemy tego wyrazić. Ale będziemy coraz bardziej ograniczać te kontakty, stosując różne wymówki, dopóki nie zrozumieją. I w końcu zrozumieją. - Powiedziała to nieustępliwym tonem, którym zaskakiwała już wielu ludzi niedoceniających początkowo jej zdecydowania. W jej głosie słychać było niemal wrogość, kiedy dodała: - Gray będzie musiał ponosić nieprzyjemne konsekwencje tego mezaliansu do końca życia. A my, Arthurze, i nasza rodzina nie jesteśmy po to, żeby ułatwiać mu życie.

- Z pewnością, kochanie - potwierdził z przygnębieniem Arthur, a grzechotanie kostek lodu, które chwilę później wpadły do jego szklaneczki, zdradziło, że po tej rozmowie potrzebuje drinka.

Frances zbiegła po schodach i biegiem pokonała całą drogę do domu. Raz się przewróciła i rozbiła sobie kolano, ale natychmiast się pozbierała, prawie nie zważając na ból. Wpadła do domu jak burza i natychmiast zaczęła przywoływać matkę.

Zastała rodziców w salonie, obydwoje stali przy oknie, trzymając się za ręce, i patrzyli sobie w oczy. Blask zachodzącego słońca wpadał przez szyby jako szerokie płomiennie czerwone pasmo i oświetlał twarz Charlesa. Frances, choć jeszcze mała i niedoświadczona, zrozumiała wyraz, jaki malował się w jego rysach. Patrzył na żonę z czułością i oddaniem.

- Mamo! - Nie wiedziała, że krew z rozbitego kolana przesiąkła przez materiał sukienki i że jej policzki powalane są ziemią. - Mamo, czy nie będę już mogła bawić się z Johnem?

Maureen i Charles wzdrygnęli się i wytrzeszczyli oczy na córkę. Maureen wydała okrzyk strachu.

- Coś ty znowu robiła? Masz całą twarz w błocie! A co to jest? Krew?

- Przewróciłam się. To nic groźnego. Mamo, pani Leigh powiedziała, że Johnowi nie wolno już się ze mną bawić. Bo jestem na wpół dziewczyną z ludu. I ona nie rozumie, dlaczego tata cię poślubił!

- Powiedziała to do c i e b i e? - spytał z niedowierzaniem Charles.

Frances spuściła głowę w poczuciu winy. Wiedziała, że nie wypada podsłuchiwać.

- Słyszałam, jak mówiła to do pana Leigha.

- To niewiarygodne! - Twarz Charlesa aż poczerwieniała z gniewu. Szybkim krokiem ruszył do drzwi. - Natychmiast odwiedzę Arthura i powiem mu, co o nim myślę!

- Nie, Charles! - Maureen chwyciła go za ramię. - Niczego w ten sposób nie zmienisz. Dobrze wiemy, że wszyscy ci ludzie tak o nas mówią. Nie powinniśmy w ogóle przyjmować tego do wiadomości!

- Nie chcę, żeby dzieci cierpiały z tego powodu!

- Wcześniej czy później zostaną postawione wobec tego faktu, nie możesz temu przeszkodzić. - Maureen pogłaskała Frances po włosach. - Jedyne co możemy zrobić, to dać im dość wiary we własne siły, żeby zawsze były dumne z siebie i ze swojej rodziny.

Maureen miała trzynaście lat, kiedy jej matka opuściła Dublin i wywędrowała razem z nią do Anglii. Kate Lancey już dawno przejęła rolę żywiciela rodziny, gdyż jej mąż stracił pracę, a kiedy nawet od czasu do czasu znajdował gdzieś posadę, to wylatywał z niej najpóźniej po dwóch dniach z powodu notorycznego pijaństwa. Kate była salową w szpitalu, pracowała od rana do wieczora, a w weekendy najmowała się jako kucharka u bogatych rodzin, które potrzebowały pomocy podczas wystawnych przyjęć i kolacji.

Mimo to, jak daleko Maureen sięgała pamięcią, pieniędzy nigdy nie starczało. Lanceyowie mieszkali w małym wilgotnym mieszkaniu w dublińskich slumsach, smętnej okolicy, którą tworzyły ulice pełne kałuż i nieczystości oraz monotonne, brudne rzędy domów. Mieszkania składały się zazwyczaj z zaledwie dwóch pokoi, czasem wyposażone były także w maleńką kuchnię, lecz na ogół również gotowanie odbywało się w pomieszczeniach mieszkalnych. Takie ciasne lokum zajmowały niejednokrotnie rodziny sześć lub siedmioosobowe. W porównaniu z nimi Lanceyom, którzy mieszkali tylko we troje, było jeszcze całkiem dobrze. Rodzice mieli własną sypialnię, mały pokój z krzywą podłogą i oknem wychodzącym na północ, więc wewnątrz nigdy tak naprawdę nie było jasno. Maureen miała w nocy salon tylko dla siebie, a posłanie przygotowywano jej na wysiedzianej sofie. Czasami czuła się dosyć samotna i chciała mieć rodzeństwo, ale Kate natychmiast zdecydowanie odrzucała wszelkie prośby w tym zakresie.

„Największym błędem w moim życiu było poślubienie twojego ojca - mawiała zawsze - ale nie popełnię jeszcze większego błędu, rodząc teraz jedno dziecko po drugim. Możesz mi zdradzić, czym mielibyśmy je wszystkie nasycić? Poza tym tylko deptalibyśmy sobie tu po piętach!”

Kate mówiła zawsze z wielką pogardą o ludziach z sąsiedztwa, którzy mnożyli się jak króliki i według niej w ten sposób tylko powiększali swoją nędzę. Ona sama trzymała męża energicznie na dystans, ale Dan Lancey i tak wracał przeważnie do domu zbyt pijany. W rzadkich przypadkach, kiedy był trzeźwy i czuł się dostatecznie silny, by chcieć uszczęśliwić żonę pod względem seksualnym, ta odprawiała go tak ostro, że wystraszony usuwał się w kąt. Był człowiekiem słabym i dobrodusznym, całkowicie oddanym nałogowi pijaństwa, w najmniejszym stopniu niebędącym w stanie zadbać o rodzinę - ale nigdy nie zachowywał się brutalnie ani wobec Kate, ani wobec Maureen. To dlatego Kate wytrzymała z nim tak długo. Docierało do niej, co działo się w rodzinach w sąsiedztwie, więc nie miała wątpliwości, że wychodząc za Dana, nie trafiła najgorzej.

Często jednak nie spała po nocach, bo troski i zmartwienia nie dawały jej zasnąć. Trzeba było zapłacić czynsz, kupić jedzenie, potrzebowali drewna, żeby palić w piecu. Maureen wyrastała z ubrań, a jej buty prawie się rozleciały, na zimę będzie musiała mieć nowe. A obok niej leżał Dan, który odsypiał upojenie alkoholowe...

Dan wychodził do pubu z samego rana i wracał dopiero wieczorem. Naturalnie potrzebował pieniędzy na alkohol, który konsumował w niewyobrażalnych ilościach. Od Kate nie dostawał ani grosza, a ona baczyła też na to, żeby w mieszkaniu nigdy nie leżały pieniądze, które sam mógłby sobie brać. Brał za to i zanosił do handlarzy rzeczy nieprzymocowane na stałe, za które dostawał mniej niż połowę tego, co te przedmioty kosztowały kiedyś. Ale na kolejny dzień w pubie zawsze mu wystarczało.

Pewnego zimnego listopadowego poranka zniknął razem z zimowymi butami, które Kate kupiła dla Maureen, dosłownie odejmując sobie od ust; żeby uzbierać dość pieniędzy, brała nocne zmiany w szpitalu. Dan dostał za buty całkiem jeszcze sporą sumę, toteż zachowywał się w pubie jak krezus i stawiał kompanom jedną kolejkę za drugą. Kate dowiedziała się o tym wieczorem od sąsiadów. Nie powiedziała ani słowa, ale następnego dnia z samego rana, gdy było jeszcze ciemno, stanęła całkowicie ubrana i z torbą w ręku przed sofą, na której spała Maureen.

- Wstawaj i ubieraj się - rozkazała. - Odchodzimy stąd.

Zaspana i dygocąca z zimna Maureen pozbierała swoje rzeczy i ubrała się. Słyszała, jak ojciec chrapie w sąsiednim pokoju.

- Dokąd idziemy? Co będzie z tatą?

- Staniemy teraz na własnych nogach - odpowiedziała Kate - bo po nim nie możemy się już spodziewać niczego dobrego. A on będzie musiał sam dbać o siebie i jakoś dawać sobie radę.

Maureen płakała dwa dni i dwie noce, bo mimo wszystko bardzo była przywiązana do ojca i naprawdę bała się o niego. Nie śmiała jednak nic mówić, twarz matki wyrażała bowiem taką determinację i nieprzejednanie, że dziewczynka wiedziała, iż wszelka dyskusja zupełnie mijałaby się z celem.

Za ostatnie pieniądze Kate kupiła bilety na statek z Irlandii do Anglii. Dwudziestego drugiego listopada 1886 roku przyплыnęły do Holyhead. Stamtąd pojechały dalej do Sheffield, a potem do Hull, gdzie Kate znalazła pracę w fabryce sukna. Musiała pracować wcale nie mniej ciężko niż przedtem w Dublinie, ale przynajmniej nie było już nikogo, kto ciągle próbował uszczknąć dla siebie część zarobionych przez nią pieniędzy lub zabrać jeden czy drugi z zakupionych przedmiotów. Udało jej się wynająć w miarę porządną pokój dla siebie i Maureen, a nawet mogła posłać córkę do szkoły, małej szkoły dla dzieci robotników, zresztą jednej z niewielu, gdzie prowadzono nauczanie tylko w najniezbędniejszym zakresie. Maureen okazała się pilną i ambitną uczennicą. Zaczynała czytać każdą książkę, jaka wpadła jej w ręce, toteż Kate, która popierała ze wszystkich sił ten głód wiedzy u swojej córki, rezygnowała często przez wiele dni z kawałka chleba w południe, by móc kupić Maureen nową książkę. W ten sposób Maureen przyswoiła sobie wiedzę znacznie wykraczającą poza to, czego zazwyczaj mogła w ogóle nauczyć się dziewczyna o takim jak ona pochodzeniu.

To był piękny okres, w którym z każdym dniem pogłębiał się intensywny związek między Kate i Maureen. Dla Maureen matka była najsilniejszą kobietą na świecie, pragmatyczną, mającą jasny cel przed sobą, twardą i zdecydowaną w realizowaniu tego, co sobie postanowiła. Prawie nigdy nie pozwalała sobie na luksus spojrzenia wstecz i rozpamiętywania minionych dni, godzin i wydarzeń. Bardzo rzadko pozwalała ożywać w swej pamięci wspomnieniom; wtedy opowiadała czasem córce o swojej młodości w małej wiosce w pobliżu Limerick, całkiem na zachodzie Irlandii, tam gdzie ziemia była zielona i wilgotna i często całymi tygodniami tonęła w deszczu. Opowiadała o Atlantyku, którego fale rozbiły się z hukiem o brzeg, i o ciemnych spiętrzonych chmurach, jakie ze sobą przynosił.

„Godzinami biegałam po skałach i patrzyłam na morze, a kiedy szłam do domu, niebo odbijało się w kałużach na wiejskich drogach, wydawało mi się, że w połyskującej wodzie dostrzegam cudowną przyszłość...”

Maureen myślała o latach nędzy spędzonych w Dublinie, po czym rozglądała się po

małym pokoiku, który zajmowały w Hull, i w skrytości ducha stwierdzała, że nie spełniła się ani jeden ze snów o przyszłości, jakie śniła pewnie wtedy Kate. Dla siebie wyciągała z tego konkretne wnioski - a nie piękne obrazy przyszłości, nie wyobrażenia o lepszym życiu. Ciężko pracować i jak najlepiej wykorzystywać każdą chwilę życia. Dewiza ta stała się prywatną filozofią Maureen.

A potem - miała wtedy szesnaście lat - spotkała Charlesa Graya.

Charles Gray był trzecim synem lorda Richarda Graya, ósmego earla Langfield. Grayowie byli bogaci i snobistyczni, wiedli bujne, urozmaicone życie właściwe swemu stanowi: uprawiali politykę, brali udział w polowaniach i balach, grali w polo i bywali w operze. Lord Gray zasiadał w izbie wyższej i żywił niezłomne przekonanie, że posiadanie dóbr ziemskich jest nierozdzielnie związane ze sprawowaniem funkcji rządowych. Grayowie mieszkali w Londynie w ozdobionym kolumnami domu przy Belgravia Square, a ponadto posiadali dobra rodzinne w Sussex oraz majątek w Devon. Należały do nich także duże posiadłości w Wensleydale w Yorkshire: farma owcza z przestronnym budynkiem mieszkalnym, nazywanym lekceważąco „chatą myśliwską”. To tutaj, na Westhill Farm, przyjeżdżali polować na pardwy pod koniec sierpnia i na lisy w październiku. Polowania te celebrowano jako wielkie wydarzenia towarzyskie, tygodniami odbywały się co wieczór zabawy, które trwały do białego rana.

Przy takiej właśnie okazji jesienią 1889 roku Charles Gray, który miał dziedziczyć wprawdzie nie tytuł hrabiowski, ale za to znaczne posiadłości ziemskie, spotkał młodzieńką Maureen Lancey z dublińskich slumsów.

Kate nie czuła się wtedy dobrze i Maureen poszła do pracy, żeby zarobić trochę pieniędzy. Znalazła posadę pomocy kuchennej u pewnej zamożnej rodziny w Leeds i pani domu poniekąd wypożyczyła ją lady Gray na tydzień, jako że ta z okazji wrześniowych polowań na lisy urządzała co wieczór wielkie przyjęcia. Tym sposobem Maureen trafiła po raz pierwszy do Westhill. Z inną dziewczyną dzieliła zimne, pozbawione okien pomieszczenie w piwnicy, gdzie spały, a poza tym od wczesnego ranka do późnej nocy musiała stać w kuchni, żeby dbać o przyjemności należące do „prostego życia na wsi”, jakiego zażywało eleganckie towarzystwo.

Miłość dopadła ją i Charlesa bez ostrzeżenia. Charles był wtedy po trzydziestce i w jego rodzinie martwiono się już, bo wciąż jeszcze nie wybrał kandydatki na małżonkę. Miał ciemne włosy i jasne niebieskie oczy, toteż uchodził za przystojnego mężczyznę, lecz będąc nieporadny i nieśmiały, miał zbyt duże zahamowania, by odpowiednio zabiegać o względy jednej czy drugiej kobiety. Przez całe życie cierpiał z powodu porywczego i popędliwego



charakteru ojca, brakowało mu więc zupełnie poczucia własnej wartości. Ładne dziewczęta z bogatych domów, z którymi próbowała go swatać matka, wystraszały go swoją kokieterią i ciętym językiem. Zamiast na zabawach towarzyskich wolał spędzać czas na długich wędrówkach pieszych po okolicy. Im większą więc czuł presję rodziców, aby się ożenił, tym bardziej zamykał się w sobie.

Pierwszy raz zobaczył Maureen w sposób świadomy pewnego ranka podczas owego tygodnia polowań, kiedy obudził się o niezwykle wczesnej porze i - na długo jeszcze przed oficjalnym śniadaniem - zajrzał do kuchni w Westhill, i poprosił o kawę. Maureen była akurat sama. Wyglądała na zmęczoną, ale uśmiechnęła się i powiedziała:

„Dzień dobry, sir. Już wyspany?”.

Charlesa zelektryzował przypuszczalnie jej głęboki głos i delikatny irlandzki akcent, a następnie złocisty kolor włosów, kocie oczy i miękki uśmiech.

Później Maureen zawsze chętnie i bardzo szczegółowo opowiadała własnym dzieciom o swoim wyjeździe z Dublina, latach spędzonych w Hull i pierwszym spotkaniu z Charlesem w Westhill. Relacje o tym, co nastąpiło potem, były bardziej zwięzłe. Najwidoczniej Charles szybko nawiązał z nią romans, jednak, co niezwykle, nie miał żadnych doświadczeń seksualnych i Maureen była przypuszczalnie jego pierwszą partnerką. Z tego powodu uzależnił się od niej całkowicie i w krótkim czasie obudziło się w nim zapewne przeświadczenie, że nie wyobraża sobie życia bez tej irlandzkiej dziewczyny.

Przez jakiś czas udawało im się utrzymywać romans w tajemnicy. Maureen musiała wrócić do Leeds i odtąd spotykali się po kryjomu w wiejskich zajazdach między Leeds a Leigh's Dale. W końcu Charles nie mógł już dłużej przeciągać swego pobytu w Westhill i znowu pojechał do Londynu, nie zaznał tam jednak spokoju i prawie chory z tęsknoty podróżował ciągle tam i z powrotem między Londynem a Yorkshire. To naturalnie rzuciło się w oczy jego rodzinie i ojciec wszczął z miejsca dochodzenie.

Szybko odkrył, że Charles ma romans ze służącą, lecz to odkrycie w pierwszej chwili nie wstrząsnęło nim wcale. Przeciwnie, rozproszyło szereg zmartwień, jakie żywił już w skrytości ducha z powodu powściągliwości Charlesa wobec kobiet. A więc chłopak stał się wreszcie mężczyzną. Niech się wyszaleje, a potem ożeni się z dziewczyną z własnej warstwy społecznej.

W maju 1890 roku przerażona Maureen poinformowała Charlesa, że jest w ciąży. Dziecko powinno przyjść na świat w grudniu.

- Nic nie szkodzi - odparł Charles - i tak zamierzałem cię zapytać, czy zechcesz zostać moją żoną.

Maureen, choć skończyła właśnie dopiero siedemnaście lat, stąpała po ziemi zdecydowanie mocniej niż naiwny Charles i wiedziała, że zbliża się do nich nieunikniony dramat.

- Zastanów się dobrze - ostrzegła go. - Twoja rodzina na pewno nie będzie zachwycona z tego powodu.

- Będą się musieli przyzwyczaić - odrzekł Charles.

Burza, która wybuchła, była tak gwałtowna, że rozdzieliłaby każdą parę związaną ze sobą nie tak mocno jak Maureen i Charles. Stary Richard Gray dostawał jednego napadu szału po drugim, a jego żona, tylko szlochając, zamknęła się w swoim pokoju, nie życząc sobie, żeby ktokolwiek był przy niej.

- Chyba całkiem ci już rozum odebrało! - wrzeszczał Richard na syna. - To, co zamierzasz, nie wchodzi w rachubę! To absolutnie wykluczone!

- Ożenię się z Maureen, ojcze. Powziąłem decyzję i ty nie możesz już tego zmienić - odpowiedział Charles z nieznaną dotąd u niego nieustępliwością w głosie.

Richard żywił pewne podejrzenie, więc zapytał:

- Czy ona... Znaczą się, czy ona jest...?

- Owszem. Spodziewa się dziecka.

- No cóż, chłopcze, to jeszcze nie tragedia! - Richard próbował odzyskać panowanie nad sobą i spokojnie mówić dalej. - Wiem, co czujesz. Chcesz się zachować jak człowiek honoru. To bardzo przyzwoite zachowanie, ale odrzucając własną przyszłość, nie wyświadczysz przysługi ani jej, ani sobie. Nie zostawimy jej na lodzie, obiecuję ci to. Dostanie pieniądze. Wystarczająco dużo pieniędzy, żeby móc spokojnie wychowywać dziecko i nie musieć przy tym żyć w nędzy. W porządku? To znacznie więcej, niż kiedykolwiek mogłaby oczekiwać.

Charles popatrzył na ojca z odrazą.

- Ona wcale nie przyjęłaby naszych pieniędzy - rzekł pogardliwie. - Rzuciłaby ci je pod nogi. A poza tym ożenię się z nią nie z przyzwoitości, tylko dlatego, że ją kocham!

Richard spurpurowiał na twarzy.

- Nie ożenisz się z nią! - krzyknął. - Ta dziewczyna to służąca! A co gorsza, jest Irlandką! A najgorsze, że katoliczką!

- Wiem to wszystko.

- Twoja noga nie postanie więcej w dobrym towarzystwie, jeśli to zrobisz!

- Chętnie zrezygnuję z dobrego towarzystwa.

- Wydziedziczę cię. Nic nie dostaniesz! Nic! I nie będziesz już moim synem!

Charles wzruszył tylko ramionami. Później Maureen mawiała czasem, że do końca życia będzie się wstydzić za to, że w tamtym okresie nie wierzyła w Charlesa. Sądziła, że nie wytrzyma presji, że koniec końców zabraknie mu sił, by zerwać z własną rodziną.

W rzeczywistości Charles nie zniosłby tylko rozstania z Maureen. Pozostał niezłomny, nawet gdy ojciec faktycznie pozbawił go prawa do dóbr ziemskich i majątku. Zgodnie z prawem Charlesowi przysługiwała jednak odprawa, której wysokość uzależniona była od szacunkowej wartości całego majątku. Otrzymał zatem Westhill Farm w Yorkshire oraz pewną sumę, którą natychmiast ulokował w banku, aby mieć stały miesięczny dochód z procentów od kapitału. Pierwotnie nie zamierzał przyjmować pieniędzy, lecz Maureen przypomniała mu, żeby miał też na uwadze przyszłość ich dzieci. Tylko dzięki tym pieniądzom mogli zresztą później wysłać George'a do tak ekskluzywnej szkoły jak Eton.

Kontakty między Charlesem a jego rodziną urwały się całkowicie. Jego rodzice i dwaj bracia nie dawali znaku życia. Jedyne jego niezamężna siostra Margaret, która zawsze była mocno z nim związana i mieszkała w Londynie, pisała doń regularnie i odwiedziła go kilka razy. Dobrze rozumiała się także z Maureen. Obie kobiety starały się usilnie nakłonić Charlesa do próby pojednania się z ojcem, ale Charles wzbraniał się uparcie. Margaret opowiadała, że wszelkie ustępstwa odrzucał również Richard, którego też wielokrotnie namawiała do podania ręki synowi.

Jedyny jego komentarz brzmiał: „Zaczekam, aż pewnego dnia przyczołga się do mnie, a jestem absolutnie przekonany, że będzie się czołgał”.

Frances nigdy nie żałowała, że nie wychowała się w luksusie, z jakiego korzystał jej ojciec. Wiedziała, że jej dzieciństwo i młodość nigdy nie przebiegałyby tak swobodnie i beztrudnie. Doliny Yorkshire, które tak kochała, nie byłyby wówczas jej stronami rodzinnymi, tylko celem sporadycznych wyjazdów podczas wakacji. Nigdy nie mogłaby biegać bosą lub jeździć konno w męskim siodle. Nie miałyby matki, która klęczała w ogrodzie i grzebała w ziemi, śpiewając przy tym irlandzkie pieśni. I nigdy też nie odczuwałyby owego przyjemnego dreszczu, z jakim obserwowała babkę Kate, kiedy ta siedziała wieczorem w kuchni i odmawiała różaniec, przesuwając szybko paciorki między palcami, mrucząc przy tym tajemnicze łacińskie słowa.

Był dwudziesty maja 1910 roku, dzień wyjątkowo skwarny, w powietrzu brzęczały syte, ociężałe pszczoły, a z lasów i ogrodów napływał odurzający zapach kwiatów. Krowy i owce na pastwiskach wyszukiwały sobie zacienione miejsca i czekały cierpliwie na to, że godziny wieczorne przyniosą trochę chłodu.

Dom spoczywający w południowym słońcu pogrążył się w ciszy, zbyt wielkiej ciszy, jak uznała Frances. Chociaż dwór w Daleview, mroczny i tchnący spokojem, często sprawiał wrażenie grobowca, to jednak przeważnie coś przypominało o tym, że mieszkają w nim ludzie. Tego dnia wydawało się jednak, jakby nic nie ruszało się za wysokimi oknami, jakby stare mury wstrzymały oddech.

Tego dnia zaplanowany był u Leighów wielki bal wiosenny, lecz został odwołany ze względu na żałobę po królu Edwardzie. Zwłaszcza że akurat tegoż dwudziestego maja, w dwa tygodnie po jego śmierci, odbywały się w Londynie uroczystości pogrzebowe. Jednak wcześniej europejscy monarchowie nie mogliby przyjechać, żeby oddać ostatnią posługę zmarłemu królowi. W Londynie zgromadziło się tysiące ludzi, którzy stali po obu stronach trasy przejazdu konduktu pogrzebowego. Z powodu niezwykłego na tę porę roku upału mdleli masowo, wiele osób dostało udaru słonecznego. Głęboka żałoba panowała w całym kraju. Naród wydawał się znowu na krótko zjednoczony, pomimo wielu trudności w polityce wewnętrznej i rozmaitych tendencji buntowniczych oraz nurtów walki klasowej, które wszędzie co chwila torowały sobie drogę.

Frances i John umówili się na spacer, ale Frances miała nadzieję, że tym razem John nie zapomni o niej. Przestraszyła ją spowijająca dom grobowa cisza. Nikt nie podbiegł jak zwykle, żeby zatroszczyć się o jej konia. Żaden dźwięk nie dochodził nawet ze znajdujących się w niewielkiej odległości budynków, w których mieszkali robotnicy rolni.

Frances zeskoczyła z konia, obciągnęła długą brązową spódnicę i podprowadziła wierzchowca do kamiennych schodów zewnętrznych, gdzie ten znalazł trochę cienia i mogła go przywiązać do poręczy. Z wahaniem weszła po schodach i zastukała kołatką z brązu, która miała kształt głowy lwa. Żadnej reakcji. Zdecydowanym ruchem nacisnęła klamkę, drzwi otworzyły się i weszła do środka.

W hallu powitał ją przyjemny chłód, ale panujący tu jak zawsze półmrok podzielał na Frances przygnębiająco. Ściany pokrywała boazeria z ciemnego drewna, a zdobiły je liczne portrety przodków w złożonych ramach. Do pomieszczeń na piętrze prowadziły szerokie zakręcające schody z kunsztownie rzeźbioną poręczą. Pod sufitem wisiał potężny żyrandol, ale Frances nie widziała, żeby był kiedykolwiek używany, z wyjątkiem uroczystych przyjęć wieczornych. Osadzono w nim prawdziwe świece, które musiały być zapalane każda z osobna, a ta żmudna i mozolna praca zajmowała kilku służącym wcale nie tak mało czasu.

Nie wiem, czy mogłabym mieszkać w takim domu, pomyślała Frances.

Skuliła z zimna ramiona. Wtem usłyszała na schodach jakiś odgłos i podniosła wzrok.

John zstępował powoli po stopniach. Nawet w mrocznym hallu Frances dostrzegła, że

jest błydy i wygląda jak po nieprzespanej nocy. Był nieogolony, jego policzki pokrywał cień zarostu. Miał na sobie czarne spodnie i buty do konnej jazdy, a koszulę pomiętą. Znużonym gestem odgarnął włosy z czoła.

- Frances - powiedział - właśnie chciałem zobaczyć, czy już jesteś. Tym razem nie zapomniałem.

Zatrzymał się przed nią i Frances wzięła w swoje ręce jego dłonie. Były zimne jak lód.

- Coś się stało? - zapytała. - Wszędzie tutaj tak cicho! I ty, John... jesteś błydy jak ściana!

W jego ciemnych oczach widniał strach, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziała.

- Mój ojciec - odpowiedział cicho. - On umiera.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił trzecią. Jakies drzwi otworzyły się i zamknęły cicho.

- O, nie - rzekła Frances.

Dreszcze, jakie ogarnęły jej ciało, nasiliły się. Ledwo opanowała pragnienie, żeby opuścić ten ciemny dom i wybiec na gorące słońce, jak najdalej od stęchłego zapachu zalegającego w starych murach. Tęskniła do słodkiej woni bzu, który kwitnął przy podjeździe do Westhill Farm.

Wzięła się w garść. Nie mogła tak po prostu wybiec.

- John, to straszne. Bardzo mi przykro. Wiedziałam, że jest chory, ale nie sądziłam, że jest aż tak źle.

- Chorował na serce już od dawna. To dlatego ściągnęli mnie nawet z Cambridge już dwa tygodnie temu. Jego stan w pewnym sensie pogorszył się od dnia, w którym zmarł król.

Frances pomyślała o swoim ojcu. Również jego boleśnie dotknęła śmierć króla. Zamknął się w sobie i przez cały czas oddawał własnym, niewesołym rozmyśleniom.

- Ojciec okropnie się zdenerwował - ciągnął John. - Tak bardzo niepokoi go wszystko, co dzieje się w tym kraju. Dla niego król był ostatnim bastionem. Mam wrażenie, że obawia się, iż teraz będzie spadać na Anglię jeden cios losu po drugim. Ciągle opowiada o inwazji Niemców, o rewolucji robotniczej i zwycięstwie socjalizmu. A w międzyczasie chwytą rozpaczliwie powietrze, bo prawie już nie może oddychać. Dziś rano myśleliśmy już... Nie sądzę, żeby przeżył więcej niż dzień albo dwa.

- A jak trzyma się twoja matka?

- Jest na górze u niego. Chciała zostać z nim sama na jakiś czas.

Frances nadal trzymała jego zimne ręce w swoich ciepłych dłoniach.

- Chodźmy! Musisz wyrwać się stąd na chwilę. Na dworze jest tak pięknie. Przejdźmy

się kawałek!

Ruszył za nią. Frances odetchnęła głęboko, kiedy wyszli na zewnątrz i otoczyło ich ciepłe powietrze, dające swoistą pocięchę.

Szli przed siebie polną drogą. Po obu jej stronach rozciągały się świeże zielone pastwiska. Pasło się na nich parę krów, niektóre leżały sennie na łące lub próbowały odganiać muchy, leniwie i bez przekonania machając ogonem.

- Cieszę się, Frances, że jesteś tutaj ze mną - przerwał milczenie John. - Tyle rzeczy chodzi mi dzisiaj po głowie, przede wszystkim myśli, które wiążą się z moją przyszłością. I z tobą.

- Ze mną?

- Pamiętasz list, który napisałem do ciebie dwa tygodnie temu? Chciałem się z tobą spotkać.

- Pamiętam.

- Napisałem, że koniecznie muszę z tobą porozmawiać.

- Owszem.

John zatrzymał się. W jego kasztanowych włosach roz błysło kilka jasnych refleksów słońca. Rysy twarzy wyrażały napięcie. Wydawało się, jakby w ciągu minionych godzin postarzał się o całe lata.

- Chciałem cię wtedy zapytać, czy wyjdiesz za mnie. I dziś chcę cię zapytać o to samo.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Frances odnotowała w pamięci, że gdzieś w oddali klóca się, skrzecząc, dwa ptaki. Był to jedyny dźwięk, jaki słyszała. Popołudniowej ciszy nie mącił nawet szelest liści.

- Nic nie odpowiadasz - podjął po chwili John - albo dlatego, że wzruszenie odebrało ci mowę, albo dlatego, że rozpaczliwie zastanawiasz się, jak wyciągnąć głowę z tej pętli, tak żeby mnie nie zranić.

- Jestem dość zaskoczona, to wszystko.

- Kocham cię, Frances. Tak jest i nigdy się to nie zmieni. A więc - niemal ze złością zerwał parę listków z krzaka przy skraju drogi - powiedz po prostu „tak” albo „nie”. Tylko nie stój dłużej taka zszokowana!

- Nie jestem zszokowana. Ale nie mogę też tak po prostu powiedzieć „tak” albo „nie”. Ty miałeś czas zastanowić się nad wszystkim. Ja nie. Muszę pomyśleć przynajmniej chwilę!

Popatrzyła na niego z boku. Był przystojny i zresztą wyglądał na mężczyznę, który o tym wie. W rzeczywistości - było to dla niej oczywiste - wcale nie rozumiał, dlaczego Frances

chce się zastanawiać. Także on przejął sporą część snobistycznej postawy właściwej jego rodzinie i oczekiwał, że każda dziewczyna, otrzymawszy od niego propozycję małżeństwa, powinna być zachwycona.

- Co zamierzasz zrobić w następnej kolejności? - zapytała.

- W następnej kolejności chciałem się z tobą ożenić. Abstrahując od tego...

- Tak?

- Nie będę mógł wrócić do Cambridge, kiedy ojciec... kiedy nie będzie już ojca. Nie mogę przecież zostawić matki samej z tym wszystkim na głowie. Muszę spróbować znaleźć jakiegoś dobrego zarządcę. A potem chętnie bym zaczął urzeczywistniać swoje dawne marzenie.

Znała go wystarczająco długo, by wiedzieć o jego marzeniach.

- Polityka?

Skinął głową.

- Teraz, kiedy król umarł, odbędą się nowe wybory do parlamentu. Chciałbym kandydować w naszym okręgu wyborczym z ramienia torysów.

- Będzie ci trudno - rzekła Frances, mając przy tym na myśli nie tylko jego młody wiek. Konserwatyści nie byli dobrze notowani na północy Anglii, gdzie panowała bieda i napięcia społeczne przybierały ostre formy. Od poprzedniego roku w izbie niższej zasiadał nawet fanatyczny socjalista jako reprezentant zachodniej części Yorkshire.

- Oczywiście, że będzie mi trudno - przyznał John. Ponownie się zatrzymał. Na jego twarzy malowało się zmęczenie pomieszane z determinacją. - Mam dopiero dwadzieścia trzy lata. Z drugiej strony Leighowie są najbogatszą i najbardziej wpływową rodziną w naszym okręgu wyborczym. Może dopnę swego. Kiedyś zasiądę w izbie niższej, zobaczysz. Chodzi mi o to... że i to powinnaś wziąć pod uwagę. Może odstrasza cię perspektywa spędzenia całego życia w Daleview, ale tak nie będzie. Przez wiele miesięcy w roku mieszkalibyśmy w Londynie. Moglibyśmy chodzić do teatru i do opery, i na wielkie przyjęcia. Będziemy podróżować, gdybyś chciała. Paryż, Rzym, Wenecja... Dokąd zechcesz. Będziemy mieć dzieci i...

- John! Nie musisz mnie przekonywać, że u twego boku byłoby mi w życiu dobrze. Sama to wiem.

- Więc dlaczego się wahasz?

Popatrzyła w dal, żeby nie widzieć jego pytającego, bezradnego wzroku. Dziś szczyty pagórków nie tonęły w chmurach, odcinały się wyraźnie od nieba. Dlaczego się wahała? W tym momencie nie potrafiła udzielić jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie ani sobie, ani

jemu. W pewnym sensie nie była też szczerą, gdy powiedziała, że jest zaskoczona pytaniem Johna i dlatego potrzebuje czasu do namysłu. Nie spodziewała się oświadczyć w tym momencie, ale zawsze wiedziała, że John pewnego dnia poprosi ją o rękę. W jakimś sensie było to oczywiste od czasów dzieciństwa, gdy uczył ją jeździć konno i oboje galopowali po łąkach - i pewnego razu próbowała pracować w strumieniu jego spodnie zielone od trawy i powalane ziemią, kiedy spadł z konia i obawiał się załamania nerwowego u swej pedantycznej matki. Oboje o tym wiedzieli i wszyscy wiedzieli, i przypuszczalnie dlatego pani Leigh próbowała ich rozdzielić, lecz się jej to nie udało.

W ciągu długich lat, które Frances musiała spędzić w zniechęcającej szkole w Richmond, to właśnie John łagodził jej tęsknotę za domem i powstrzymywał ją od niewłaściwych zachowań, gdyby próbowała sprowokować wyrzucenie jej ze szkoły. I jak tamtego czerwcowego dnia przyszedł nad brzeg rzeki Swale, żeby ją pocieszyć, tak zawsze gotów był jej pomagać. Pisał do niej całe góry listów, czułych, pogodnych, ironicznych i dowcipnych listów, które pobudzały ją do śmiechu. Oprócz członków rodziny był dla niej najbliższym człowiekiem na świecie.

Co więc stało nagle między nimi? Nie rozumiała tego, ale czuła, że musi to mieć coś wspólnego z ciągłym stanem utajonego niezadowolenia, w którym żyła od powrotu ze szkoły. Ten niepokój, to czekanie na coś, o czym nawet nie wiedziała, co to jest.

Wtem przypomniała sobie, co powiedziała Alice Chapman tamtego dnia, kiedy siedziały razem w ogrodzie i paliły cygara. „A może po prostu chce pani robić to, czego się od pani oczekuje? Wyjść za mąż, urodzić dzieci, prowadzić dom otwarty i organizować herbatki dla dam?”

- Teraz nie mogę - powiedziała Frances na głos.

John wytrzeszczył na nią oczy.

- Co?

Ciemny dom, w którym mieszkaliby razem, w którym zawsze się marzło, w którym nigdy nie było wolno głośno mówić, ponieważ panią Leigh zaraz by rozboleła głowa...

- Potrzebuję czasu - oświadczyła. - Nie mogę tak bez żadnego okresu przejściowego przeprowadzić się z domu rodziców do twojego domu. Bo kiedy w ogóle stanęłabym na własnych nogach? Jak mam się przekonać, czy poradziłabym sobie także w pojedynkę?

- Dlaczego miałybyś się o tym przekonywać? Po co?

- W ogóle mnie nie rozumiesz, prawda?

Wziął ją za rękę. Ostatnie tygodnie i ten dzień przyniosły zbyt wiele okropności, a żeby miał w tym momencie dość siły na walkę z Frances.



- Nie - przyznał znużonym głosem. - Nie rozumiem cię. Chcę być blisko ojca.

Powoli ruszyli z powrotem tą samą drogą. Znow pojawiły się ciemne mury Daleview.

Nagle Frances zadała mu pytanie:

- Co sądzisz o prawie wyborczym dla kobiet?

- Skąd ci to teraz przyszło do głowy? - spytał zaskoczony.

- Akurat chodziło mi po głowie.

- Dziwnymi rzeczami zaprzątasz sobie umysł!

- No więc, co o tym sądzisz?

Westchnął. Wyglądało na to, że temat nie interesuje go ani trochę, w każdym razie nie w tym momencie. Jego ojciec był umierający. Kobieta, którą kochał, odrzuciła jego oświadczenia. Czuł się podle i sam jak palec.

- Po prostu myślę, że czas na to jeszcze nie nadszedł.

- Gdyby to zależało od mężczyzn, nigdy by nie nadszedł.

- Nie jestem przeciwnikiem prawa wyborczego dla kobiet. Odrzucam jednak metody, jakimi bojowniczkami o prawa kobiet starają się osiągnąć swoje cele. Uciekając się podczas swoich akcji do przemocy, odbierają sobie wiarygodność i tracą wszelką sympatię.

- Czasem myślę, że są rzeczy, które da się przeprowadzić tylko siłą - rzekła Frances. - Dopóki kobiety przedstawiają swoje żądania grzecznie i uprzejmie, nikt ich nie słucha. Dopiero kiedy krzyczą i wybijają szyby, przyjmuje się w ogóle do wiadomości ich istnienie.

Doszli już prawie do domu. John przez cały czas trzymał Frances za rękę. Teraz ją wypuścił. Wziął jej twarz w dłonie i pocałował ją w czoło, po czym cofnął się o krok.

- Myśli, którymi zaprzątasz sobie głowę, są niebezpieczne - powiedział. - Tylko nie wplataj się w coś, Frances.

Pozostawiła jego słowa bez odpowiedzi. John wpatrywał się w nią z niepokojem. Wiele lat później opowiedział jej, że w tym momencie ogarnęło go tak mocne przeczucie grożącego niebezpieczeństwa, że poczuł, jak mimo upału przenika go lodowaty chłód. Wydawało mu się, jakby rozpadało się coś cennego, co należało do nich obojga. Nie wiedział jeszcze o wojnie, która miała wybuchnąć dopiero za cztery lata, ani o otchłaniach, w jakie ich ta wojna porwie - przeczuwał jednak, że przyjdą gorsze czasy. Powiedział, że tamtego popołudnia miał wrażenie, że wzbraniając się wyjść za niego, przegrała raj, który oboje mogli sobie stworzyć. Przyznał też, że nigdy tak naprawdę nie zdołał jej wybaczyć.

- Ale d l a c z e g o chcesz wyjechać do Londynu? - spytała Maureen już po raz trzeci.

Wyglądała na wzburzoną i wystraszoną. Cała była na czarno, gdyż rodzina wróciła

właśnie do Westhill z pogrzebu Arthura Leigha. W jadalni Frances zakomunikowała rodzicom, że postanowiła wyjechać na jakiś czas do Londynu.

- A co chcesz tam robić? - spytał Charles. - Nie możesz przecież tak po prostu gdzieś pojechać, nie mając pojęcia, czym tam właściwie zamierzasz się zajmować!

- Pomyślałam, że mogłabym mieszkać u ciotki Margaret i po prostu poznawać Londyn.

- Uważam, że to zbyt niebezpieczne dla młodej dziewczyny - orzekła Maureen. - Londyn to zupełnie inny świat niż Leigh's Dale. I inny niż Richmond. Nie jesteś przyzwyczajona do czegoś takiego.

- Dlatego właśnie chcę tam pojechać. Mam powoli zaśnieść na wsi?

- Mogłabyś spędzać dużo czasu w Londynie, gdybyś wyszła za Johna Leigha - przypomniała ostrożnie Maureen - ale wtedy byłabyś przynajmniej...

Frances popatrzyła surowo na matkę.

- A skąd ty to wszystko wiesz?

- Jedna ze służących z Daleview coś o tym napomknęła. Najwidoczniej doszło do ostrej wymiany zdań między Johnem a jego matką. W trakcie sprzeczki John musiał jej powiedzieć, że poprosił cię o rękę, a ty odmówiłaś.

- Czyżby coś umknęło zupełnie mojej uwagi? - spytał zdziwiony Charles.

- John oświadczył się Frances, a ona powiedziała „nie” - powtórzyła Maureen.

- Powiedziałam, że t e r a z nie mogę za niego wyjść. Nie tak o d r a z u.

- Od razu nie mogłabyś wyjść za niego choćby z powodu żałoby po Arthurze Leighu. Miałabyś więc dość czasu, żeby oswoić się z tą myślą.

- Pragnę wyjechać do Londynu - upierała się Frances. - I w tej chwili nie chcę podejmować żadnych innych wiążących decyzji.

Maureen zrobiła bardzo zatroskaną minę.

- Taki mężczyzna jak John Leigh nie będzie wечно czekał na ciebie. Jeśli zbyt długo będziesz się wahać, to inna sprzątnie ci go sprzed nosa.

- Oczywiście są też jeszcze na świecie inni mężczyźni, nie tylko John Leigh - wtrącił się Charles. - I Frances dostanie jeszcze wiele propozycji małżeństwa.

- Ale ona kocha Johna. Teraz robi ceregiele, ale gdy potem będzie za późno, zacznie się dramat - orzekła Maureen.

- Mamo, ja nie wiem, czy Kocham Johna. Nie wiem, czy chcę za niego wyjść. Mam w głowie taki zamęt, że nie mam nawet pojęcia, co chciałabym zrobić z własnym życiem. Potrzebuję dystansu do tych spraw. Po prostu muszę zobaczyć coś innego. Chcę wyjechać do

Londynu - powtórzyła.

- Naprawdę trudno dojść z tobą do ładu - utyskiwała Maureen. - Przez cały czas jęczałaś, bo musiałaś być w Richmond i nie mogłaś wytrzymać z tęsknoty za Westhill. A teraz jesteś tutaj i znowu chcesz wyjechać!

- To coś innego.

- Nie wiem też, czy ciotka Margaret jest odpowiednią osobą. Nigdy nie miała dzieci i jest dosyć oderwana od życia. Kto wie, czy potrafi dopilnować młodej dziewczyny!

- Margaret na pewno nie będzie lekkomyślna - rzekł Charles.

Maureen podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Dzień rozpoczął się słonecznie, ale teraz, pod wieczór, nadciągnęły z zachodu ciemne chmury, a z oddali dochodziły ciche pomruki grzmotów. Podniecone ptaki wrzeszczały. W powietrzu czuć było już zapach deszczu i wypełniała je ciężka, słodka woń kwiatów.

- Wreszcie - powiedział Charles. - Susza trwała już za długo.

Maureen odwróciła się do nich. Frances wyczytała w jej oczach, że matka nie będzie już stawiać oporu. Tak było zawsze. W ostatecznym rozrachunku Maureen nigdy nie potrafiła zabronić niczego swoim dzieciom.

- Ojcze? - spytała Frances.

Charles również przyjął do wiadomości cichą zgodę żony. Potrafił być twardy wobec własnych dzieci, ale z trudem przychodziło mu zajmowanie innego stanowiska niż Maureen. Z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Skoro musisz jechać, to jedź - powiedział.

W pokoju babki unosił się zawsze zapach lawendy. Kate używała jej, odkąd sięgała pamięcią. Nawet w najgorszych dublińskich czasach, czasach największego głodu, potrafiła zdobyć się raz do roku na kupno flakonika i codziennie rozcierała kropelkę olejku za uszami. Nikt nie wyobrażał sobie Kate inaczej niż otoczoną delikatnym zapachem lawendy.

Kiedy Frances weszła tego wieczoru do pokoju z tapetami i zasłonami w tym samym wzorze, odebrała ten swojski zapach jako niezwykle pocieszający. Podjęła decyzję i zamierzała zrealizować swe postanowienie, odkąd jednak rodzice ustąpili, czuła w gardle kluchę. Dopóki zgoda rodziców nie była pewna, wszystko wydawało się takie odległe. Teraz odczuwała niemal fizycznie bliskość pożegnania. Podczas kolacji była milcząca i słuchała jednym uchem paplaniny Victorii, która opowiadała o jakimś wesołym zdarzeniu w szkole.

Maureen pogrzebała trochę w swoim talerzu i nagle powiedziała:

- Od przeszło dwóch tygodni nie mamy żadnych wieści od George'a. A teraz na

dodatek wyjeżdża Frances. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce nie będę wiedzieć, gdzie są moje dzieci i co robią.

Twarz Charlesa spochmurniała, kiedy wymieniła imię George'a.

- George nabierze rozumu i skontaktuje się z nami - burknął pod nosem - a gdzie wyjeżdża Frances, to dobrze wiesz. U Margaret będzie pod dobrą opieką.

- Gdybyśmy mieli telefon! Wtedy przynajmniej...

- Kupię ci ten telefon - zniecierpliwiał się Charles. - W przeciwnym razie oszaleję przez ciebie w ciągu najbliższych tygodni. Kupię ci telefon, żebyś mogła dzwonić do Margaret dziesięć razy na dzień i pytać, czy Frances jeszcze żyje.

Kiedy Frances weszła do pokoju, Kate siedziała przy oknie w swoim fotelu na bieżunach. W międzyczasie na dworze zrobiło się ciemno, szum deszczu odgradzał pokój od świata na zewnątrz niczym ściana.

- Babciu, chciałaś ze mną rozmawiać? - spytała Frances.

Kate odłożyła książkę, którą czytała, i skinęła głową.

- Chciałam ci powiedzieć, że pochwalam twoją decyzję. To co zamierzasz, jest słuszne. Nie daj się przekabacić, choć twoja matka w najbliższych dniach będzie jeszcze sporo jęczeć.

Frances usiadła na łóżku babki. W głowie miała wcale nie mniejszy chaos i nie mniej wątpliwości niż przed podjęciem decyzji o wyjeździe do Londynu.

- Mam nadzieję, babciu, że robię to, co trzeba. John Leigh zapytał mnie, czy wyjdę za niego. Odpowiedziałam mu, że teraz jeszcze nie mogę się zdecydować.

- Prawdopodobnie faktycznie nie możesz. W takim razie postąpiłaś słusznie, mówiąc mu to.

- Myślę, że nie ma to nic wspólnego z nim. Tylko ze mną. Gdybym wyszła teraz za mąż, moje życie byłoby z góry ustalone. Miałam wrażenie, że wcześniej chcę poznać inną stronę życia. Tę, o której jeszcze nic nie wiem, w której nic nie da się przewidzieć. Cała reszta... jakby mnie dusiła. Uważasz, że to normalne?

- Normalne czy nie - odrzekła Kate - ty w każdym razie musisz zrobić to, czego pragniesz. Czego n a p r a w d ę pragniesz. Nie to, co dyktują ci określone normy społeczne. Rozumiesz? - Uśmiechnęła się - Pod tym względem masz już pewne obowiązki dziedziczne. Twoi rodzice, pobierając się, zignorowali wszelkie dobre obyczaje. Ty Wychowałaś się w atmosferze swobody, jeśli nie liczyć okresu, kiedy posłali cię do tej okropnej szkoły, ale to, dzięki Bogu, nie mogło cię już skrzywić. Prawdopodobnie nigdy nie nauczysz się żyć w warunkach skrepowania i będziesz miała z tego powodu kłopoty - ale tak

to już bywa. Musisz się z tym pogodzić.

- A jeśli John ożeni się z inną...

Kate przyjrzała się jej surowo.

- Kochasz go?

Frances wykonała bezradny ruch ręką.

- Tak, myślę, że tak. Ale...

- Ale nie dość, żeby chcieć wyjść za niego już teraz. Frances, może się zdarzyć, że go stracisz. Ta obawa nie może jednak wpłynąć na twoją decyzję. Może John jest ceną, którą będziesz musiała zapłacić. Widzisz, ja... - Kate urwała. - Nigdy nie opowiedziałam tego twojej matce - ciągnęła - gdyż obawiam się, że nie udźwignie tego ciężaru. Ale ty jesteś twardsza od niej.

- W czym rzecz?

- Chodzi o twojego dziadka Lanceya. O Dana, tego irlandzkiego lumpa, za którego wysłałam pół wieku temu. - W głosie Kate pojawiła się nuta czułości i rezygnacji. - Twoja matka sądzi, że już nigdy potem nie mieliśmy od niego znaku życia. Moim zdaniem Maureen uczyła się wyobrażenia, że on albo jeszcze żyje, albo umarł kiedyś łagodną śmiercią.

Frances przyjrzała się babce uważnie.

- Ale ty wiesz, że było inaczej?

Kate skinęła głową.

- Pięć lat po tym, jak wyjechałam z Maureen z Dublinu, nawiązałam kontakt ze znajomymi w Irlandii. Chciałam się dowiedzieć, co się stało z Danem. - Jej oczy pociemniały. - Okazało się, że nie żyje. I że umarł nędzną śmiercią. W samotności, na ulicy, obszarpany i głodny, a na koniec nawet bez kropli alkoholu w ustach, bo nikt mu już nie dawał. Wyrzucano go z mieszkania, bo nie było go stać na czynsz. Od tego czasu był bezdomny, błąkał się po dublińskich ulicach, żywił się rozgniecionymi i rozdeptanymi odpadkami pozostawianymi przez przekupniów na targu, kiedy zwiłali swoje stragany. Czasem udawało mu się pewnie wyżebrać trochę pieniędzy, za które od razu kupował alkohol. Zimą litościwi sąsiedzi z naszego osiedla brali go czasem do siebie i pewnie dlatego w ogóle przetrwał wiele chłodnych miesięcy. Ale wiesz, ludzie żyją tam w takiej ciasnocie, w takiej nędzy, i mają tyle problemów - że wcześniej czy później odsyłali go zawsze z powrotem na ulicę, gdzie panowały chłód i wilgoć. Nie masz pojęcia, jakie wilgotne bywają noce w Dublinie.

- To straszne, babciu - wtrąciła cicho Frances.

- Pewnie był oblepiony brudem i robactwem i cuchnął jak wszyscy diabli - ciągnęła Kate - i prawdopodobnie dosłownie rzucał się ludziom pod nogi, kiedy żebrał o łyk alkoholu.

A najgorsze... najgorsze było to, że kiedy mu wypominano, że nie może przecież zapłacić, zawsze odpowiadał: „Kate to ureguluje. Kate wyjechała, ale wróci i wtedy da wam pieniądze. Kate przyjedzie!”. Ale Kate już nie przyjechała. Nigdy.

- Babciu... - zaczęła Frances, lecz Kate natychmiast jej przerwała.

- Nie. Nie musisz mnie pocieszać. Nie opowiedziałam ci tego po to, żeby sobie ulżyć. W ten sposób chciałam ci coś powiedzieć. Kiedy opuściłam twojego dziadka, żeby rozpocząć nowe życie w Anglii, wiedziałam, że mogę pójść tylko tą jedną drogą. Nie dlatego, że w przeciwnym razie poszłabym na dno. Mogłam przecież nadal troszczyć się o Maureen i o siebie w Dublinie i jakoś ciągnąć za sobą Dana. Powinnam była po prostu jeszcze bardziej niż poprzednio zwracać uwagę na to, co posiadałam, żeby nie zamieniał tego ciągle na ten przeklęty fuzel, bez którego, jak sądził, nie mógł żyć. W pewnym sensie poszłabym jednak na dno. Coś we mnie obumierało kawałek po kawałku, codziennie. Straciłam radość życia, szacunek dla siebie, optymizm. Coraz bardziej traciłam tę Kate, którą byłam kiedyś. Wiedziałam, że muszę odejść, więc odeszłam. Ceną jest... - odetchnęła głęboko - ceną jest wiedza o tym, jak umarł, i to, że muszę z tym żyć.

Frances wstała. Podeszła do Kate, przykucnęła obok jej fotela i wzięła ją za rękę.

- Jestem dumna z tego, że jestem twoją wnuczką, Kate - powiedziała.

## *Czerwiec - wrzesień 1910 roku*

Lato 1910 roku było gorące i suche, nie było prawie dnia, w którym Frances nie żałowała, że wyjechała do Londynu i teraz musi tu wytrzymać. Dzień w dzień z bezchmurnego nieba prażyło słońce, ale gdy na północy, w Wensleydale, nawet w największe upały wiał jeszcze od pagórków leciutki wietrzyk, duszne powietrze w Londynie wisiało nad miastem niczym ołowiany dzwon i utrudniało każdy ruch. Takie dni nadawały się w sam raz do tego, by leżeć sennie w ogrodzie w Westhill i marzyć o niebieskich migdałach, brodzić w zimnych strumykach albo wieczorem, kiedy nastał chłód i zmierzch, osiodłać konia i pędzić kłusem polnymi drogami.

W pięknym, eleganckim domu ciotki Margaret przy Berkeley Square, w którym nie było nic do roboty i gdzie upał dobijał, gdy tylko człowiek zrobił krok poza drzwi, Frances czuła się niczym ptak w niewoli. Tęskniła za tym, by siedzieć z matką w kuchni w Westhill, pić maślanek i gawędzić; zawsze jednak, kiedy już miała spakować walizki i jechać do domu, zaciskała zęby i mówiła sobie, że skompromitowałyby się zupełnie przed rodziną, kończąc przedwcześnie przygodę, o którą tak walczyła.

Najgorsze, że przygoda wcale nie była przygodą. Ciotka Margaret wiodła zazwyczaj, jak mawiała, bardzo towarzyski żywot, ale jak każdego lata jej przyjaciele i znajomi, należący bez wyjątku do wyższych sfer, wyjechali ze stolicy i przenieśli się na wieś. Kto nie musiał, nie zostawał w Londynie, a spośród bogaczy zostało niewiele.

- Zaczekaj, aż nastanie jesień - pocieszała ją Margaret - wtedy co wieczór będziemy chodzić gdzie indziej na przyjęcie.

Margaret nigdy nie wyszła za mąż; w rodzinie krążyły słuchy, że w bardzo wczesnej młodości złamał jej serce pewien wielbiciel, wybierając inną dziewczynę, ale Margaret opowiadała Frances, że nie ma w tym ani słowa prawdy.

- Po prostu nie miałam ochoty wychodzić za mąż. Do końca życia być związaną z mężczyzną, który staje się coraz grubszy, który dręczy mnie, kiedy jest w złym humorze, a w końcu zdradza mnie z jakąś młodą kobietą. Nie, zdecydowałam się wybrać wolność i spokój ducha!

Poza tym Margaret kazała sobie w porę wypłacić swoją część spadku, co umożliwiło jej beztrudne życie bez żadnych ograniczeń. W swoim wielkim domu zatrudniała kucharkę, lokaja, dwie podkuchenne i dwie pokojówki. Frances dostawała co rano do łóżka herbatę i

dwa tosty posmarowane masłem, a później zjawiała się spokojna i sympatyczna Peggy, żeby pomagać jej w ubieraniu się i układaniu włosów. Frances miała więc pełne wyobrażenie o tym, jak wyglądałoby życie jej ojca, gdyby nie wytrwał w swym postanowieniu i nie ożenił się z Maureen. Ojciec zrezygnował z szeregu przyjemności i w owych miesiącach spędzonych w Londynie Frances żywiła dla niego coraz większy szacunek.

Szybko stwierdziła, że garderoba, jaką przywiozła ze sobą, nie przyda się jej w Londynie, nie zabrakło jej więc wspaniałych atrakcji w ciągu następnych kilku tygodni, które spędziła na wybieraniu fasonów i materiałów, a potem na przymiarkach u krawcowej ciotki Margaret. W domu wciąż jeszcze nosiła gorset przy uroczystych okazjach, lecz w dużych miastach kobiety pozbyły się już tego niewygodnego reliktu dawnych czasów. Zresztą talia w sukniach zaczynała się obecnie tak wysoko, że gorset stał się zbędny. Frances kupiła sobie kostium i dwie spódnice, elegancki, rozszerzany u dołu płaszcz oraz zgrabne sznurowane buciki w kolorze piaskowym. Była zachwycona nowymi modelami kapeluszy - kapelusze miały teraz ogromne rozmiary i były kunsztownie zdobione kwiatami i wstążkami - oraz zupełnie nowym wynalazkiem: pulowerami. Wygodnymi, luźnymi sweterkami z wełny lub jedwabiu, które wkładało się po prostu przez głowę. Frances kupiła sobie jeden pulower z granatowego jedwabiu i jeden z brązowej wełny.

O mały włos nie zdecydowała się nawet na najnowszy krzyk mody, czyli spódnicę-spodnie. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że kobieta ma na sobie spódnicę, gdyż materiał służył szerokimi, miękkimi fałdami aż do kostek. Ale gdy tylko owa dama zaczynała biec, nie było już żadnych wątpliwości, że w rzeczywistości są to spodnie. Frances uważała ten strój za ogromnie praktyczny, lecz ciotka Margaret odradziła jej ów zakup. Spódnica-spodnie wzbudzały sensację i zaniepokojenie; całkiem niedawno, jak opowiadała ciotka Margaret, dwie młode kobiety w takim właśnie stroju zostały zwymyślane, a w końcu nawet pobite przez gromadę pań domu oburzonych tym przekroczeniem granic przyzwoitości.

- Te rzeczy potrzebują jeszcze trochę czasu - stwierdziła Margaret. - Ludzie przyzwyczajają się do wszystkiego stopniowo, ale najwidoczniej muszą się najpierw okropnie denerwować z powodu każdej nowości.

Tak mijały tygodnie. Frances chodziła na spacer do Hyde Parku i wzdłuż „plaży”, napisała do Johna dwa listy, które pozostały bez odpowiedzi; parę razy była z ciotką Margaret w teatrze i raz na operetce, słynnej „Mikado” Gilberta. W biblioteczkę w salonie ciotki Margaret, w drugim rzędzie, za dziełami zebranymi Szekspira, odkryła kilka ukrytych tam książek o dziwnej dla niej treści: była to literatura erotyczna. Kiedy ciotka szła spać, Frances zaczynała czytać „Pamiętniki Fanny Hill” Clelanda albo „Rozmowy kurtyzan” Pallavicina.



To, co znajdowała w owych książkach, szokowało ją w pierwszej chwili i przez jakiś czas gratulowała sobie codziennie na nowo decyzji o odrzuceniu oświadczeń Johna. Najwidoczniej w małżeństwie trzeba było robić ze sobą bardzo krępujące i dziwne rzeczy.

Kilka razy Margaret wydała kolację dla nielicznych przyjaciół, jacy zostali w Londynie. Frances stwierdziła wtedy po raz pierwszy, że nudzą ją rozmowy dam, i jednym uchem próbowała zawsze pochwycić, o czym mówią panowie. Odkąd coraz bardziej wchodziło w modę robienie na drutach, kobiety dyskutowały już nie tylko o dzieciach i kłopotach ze służbą, ale także o ściegach oraz prawych i lewych oczkach. Frances uważała takie konwersacje za śmiertelnie nudne. Wprawdzie rozmowy mężczyzn też obracały się ciągle wokół pewnych tematów, ale przynajmniej były ciekawsze.

Owego parnego lata 1910 roku dyskusje koncentrowały się głównie na trzech tematach. Przede wszystkim mówiono o Parliament Bill, czyli ustawie, która miała znieść prawo weta przysługujące izbie wyższej; w kwietniu została ona przyjęta przez izbę niższą, teraz jednak, wobec konieczności rozpisania nowych wyborów, znów stała pod znakiem zapytania.

Po drugie, była możliwa inwazja Niemców, która stała się tematem sztuk teatralnych, artykułów prasowych i książek oraz zaciętych dyskusji prowadzonych na rogu każdej ulicy i przeradzała się stopniowo w ogólnokrajową histerię (w tym kontekście pojawiały się czasem zupełnie absurdalne wyobrażenia o tym, co wymyślą Niemcy, żeby wkroczyć do Anglii).

Po trzecie, chodziło o sufrażystki, „herod-baby”, które praktycznie toczyły wojnę z imperium, starając się w ten sposób kompensować swoje liczne frustracje. Wśród gości ciotki Margaret byli przeważnie zwolennicy torysów, którzy w ruchu feministycznym dostrzegali straszliwe wynaturzenie i bez tego nadzwyczaj niebezpiecznego postępującego liberalizmu, a bojowniczkami o prawa kobiet podejrzewali o to, że popierają światowy socjalizm.

Frances rzadko wtrącała się do tych dyskusji, ale za to przysłuchiwała się uważnie. Gdy późnym wieczorem wino coraz bardziej rozwiązywało języki, panowie zaczęli opowiadać sobie pikantne dowcipy lub recytowali szeptem określone fragmenty rubasznych erotycznych ballad zmarłego w poprzednim roku Swinburne'a, który za życia energicznie popierał tak mocno potępiany w kręgach konserwatywnych liberalizm. Ci sami panowie, którzy przedtem opowiadali się za wtrącaniem do więzień wszystkich bez wyjątku bojowniczek o prawa kobiet i komunistów, wydawali się absolutnie gotowi wybaczyć komuś takiemu jak Swinburne niewłaściwe przekonania polityczne z uwagi na pewne, chyba naprawdę podniecające, wiersze. Twarze zaróżowiały się, nosy zaczynały błyszczeć, a w ich śmiechu pobrzmiwały lubieżność i żądza.

Frances, która dzięki swej aktualnej potajemnej lekturze reagowała nad wyraz drażliwie na wszelkie dwuznaczności, nierzadko uznawała mężczyzn za osobników raczej godnych pogardy i coraz częściej zadawała sobie pytanie, dlaczego uważają oni, że lepiej od kobiet nadają się do kontrolowania politycznych losów kraju. Najróżniejsze myśli chodziły jej po głowie, ale choć nieraz się złościła, to owe wieczorne spotkania towarzyskie stanowiły dla niej pożądane urozmaicenie pośród monotonii tego lata.

Było bowiem gorąco i później też było gorąco, i nic się nie wydarzyło aż do września.

Spotkała Alice Chapman tego samego dnia, kiedy Phillip Middleton wprowadził się do ciotki Margaret.

Był początek września i choć również późne lato okazało się ciepłe i nadzwyczaj suche, to uciążliwe upały się skończyły i życie w mieście stało się już znośne.

Margaret dostała rano telefon od przyjaciółki, która zaaferowana poprosiła ją, żeby przyszła do niej, bo ma do rozwiązania bardzo poważny problem.

- Poczciwa Anne ma pewną skłonność do hysterii - rzekła Margaret, wkładając na głowę i poprawiając kapelusz przed lustrem w hallu swego domu. - Sądzę jednak, że od razu do niej pójde. Mogę cię zostawić samą?

Odwróciła się do Frances, zmierzyła ją badawczym spojrzeniem, po czym pogłaskała lekko po policzku.

- Jesteś taka blada, dziecino. Powinnaś się trochę przejść.

- Zawsze jestem blada - odpowiedziała Frances - ale masz rację. Pójde na spacer.

Przechadzała się po Hyde Parku. Na trawie siedzieli mężczyźni w okrągłych kapeluszach na głowach, którzy urządzili sobie tutaj południową przerwę. Drózkami spacerowały w małych grupkach damy, gawędziły i szeptały między sobą, a czasem się śmiały. Dwa młode psy szalały, goniły się, powiewając uszami i głośno szczekając. Dzieci bawiły się bączkami. Czubki liści na drzewach zabarwiły się już w różnych kolorach. Tego dnia Frances nie czuła po raz pierwszy bolesnej tęsknoty za domem, która zatrula jej lato. Nagle pomyślała, że także w Londynie życie może być przyjemne.

Zauważyła, że w pewnej odległości od niej utworzyło się większe zbiegowisko. Zaciekawiona przyspieszyła kroku. Oszacowała tłum na mniej więcej sto osób, które gdy podeszła bliżej, okazały się prawie bez wyjątku kobietami. Większość wydawała się należeć do wyższych kręgów społecznych, były dobrze i starannie ubrane. Dwie z nich trzymały w górze transparent, na którym napisano grubymi czarnymi literami hasło WSPU: VOTES FOR

## WOMEN!\*

Kobiety zgromadziły się wokół - zbudowanej ad hoc - drewnianej platformy, na której stała i przemawiała młoda kobieta. Miała na sobie granatową, zapiętą pod szyją suknię, była bardzo szczupła, jej delikatne rysy twarzy zdradzały dużą wrażliwość. Nie miała pewnie nawet trzydziestu lat, lecz mimo zewnętrznej kruchości wyróżniała się zaskakująco energicznym głosem.

- My, kobiety, wspieramy mężczyzn od wieków. Dbamy o nich, słuchamy ich, pocieszamy, dodajemy im otuchy. Troszczymy się o dzieci i odsuwamy od nich wiele drobnych problemów dnia powszedniego. W ten sposób pomagamy im w ich pracy, w ich karierze. Myślę, że pora już, byśmy zrobiły użytek z siły inwestowanej dotąd w sukcesy i awanse naszych mężczyzn i użyły jej do zapewniania sobie w ł a s n y c h sukcesów i awansów!

Rozległy się oklaski. Młoda dama, która przemawiała, wzięła do ręki podaną jej przez inną damę szklankę i pociągnęła łyk wody.

- Kobiety zawsze udowadniały, że mają dość siły, odwagi i rozumu i w niczym nie ustępują mężczyznom - ciągnęła mówczyni. - Dlatego nikczemnością jest całkowite wykluczenie ich z ważnej, być może n a j w a ż n i e j s z e j sfery życia publicznego: mam na myśli sferę polityczną. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie potrafił podać przekonującego powodu, dla którego kobiecie nie przysługiwałoby takie samo jak jemu prawo do bezpośredniego wpływu na politykę!

Frances stanęła całkiem z tyłu. Niedaleko niej zebrała się grupka mężczyzn, w bezpiecznej odległości od kobiet, ale wystarczająco blisko, żeby Frances usłyszała, co mówią.

- Słuchajcie, słuchajcie! - rzekł jeden z nich. - Wpływ na politykę! Czyżbyśmy mieli niebawem dożyć czasów, kiedy także kobiety będą zasiadać w parlamencie?

- Dlaczego nie chce od razu zostać panią premier? - spytał inny.

- W najbliższym czasie koniecznie kobieta powinna zająć ten urząd!

Wszyscy się roześmiali. Otyły mężczyzna, który przez cały czas ocierał chusteczką pot z czoła, zauważył:

- Ta mała jest całkiem niezła! Mogłaby spokojnie wyjść za mąż, a wtedy nie musiałaby wystawać w publicznych parkach i wygłaszać głupich przemówień!

- Chyba jest za chuda - stwierdził inny. - Ten, kto ją dostanie, zawsze będzie stał z pustymi rękami!

---

\* Prawa wyborcze dla kobiet! (przyp. tłum.).

Ponownie śmiechy.

- Wszystkie te kobiety potrzebują tak naprawdę jednego - rzekł grubasek. - Mężczyzn, którzy im naprawdę...

Jego spojrzenie napotkało spojrzenie Frances. Natychmiast umilkł zmieszany. Także inni mężczyźni uświadomili sobie, że mają słuchaczkę, a ich śmiech wydawał się trochę nieporadny. Frances popatrzyła na nich z tak wielką pogardą, na jaką tylko potrafiła się zdobyć, po czym precyzyjnie się między dwiema kobietami dalej do przodu.

- Przez stulecia kobiety walczyły bronią, jaką pozwolili im walczyć mężczyźni - powiedziała właśnie mówczyni. - Bronią, która nie stanowiła żadnego niebezpieczeństwa. Zasadniczo zawsze były skłonne się dostosować, podporządkowywały swoje pragnienia życzeniom mężczyzn i starały się nie artykułować niestosownych postulatów większego równouprawnienia. Nieliczne, które się wyłamały, musiały zazwyczaj drogo za to zapłacić. Pozostałe osiągały swoje cele - zazwyczaj były to nader skromne życzenia - za pomocą owej słynnej, popieranej życzliwie przez mężczyzn kobiecej broni, a mianowicie: pochlebstw, dziecięcych zachowań oraz prostytucji!

Słowa te zasiały wśród słuchaczek pewien niepokój.

Mówczyni podniosła głos.

- Tak jest, prostytucji! Jakże często próbowaliście wskórać coś w ten sposób! A jeśli byliście przy tym, moje panie, miłe i chętne, nagroda zazwyczaj nie kazała na siebie długo czekać. Mężczyźni okazywali wówczas gotowość wyjścia wam naprzeciw - ale tylko tak daleko, jak sami chcieli. Nie tak daleko, jak wy, moje panie, żądaliście tego!

Jedna z kobiet, stojąca parę kroków od Frances, wybuchnęła nagle płaczem. Inna objęła ją i wyprowadziła powoli poza szereg zgrupowanych.

- WSPU przez całe lata walczyło metodami powszechnie akceptowanymi w odniesieniu do ruchu kobiecego. Byłyśmy spokojne i nie sprawiałyśmy trudności. Argumentowałyśmy, dyskutowałyśmy, apelowałyśmy. Za to nas wyśmiewano i ani przez chwilę nie traktowano serio.

Frances precyzyjnie się jeszcze kawałek do przodu, wbijając przy tym łokieć w plecy stojącej przed nią damy.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie ma sprawy - odparła kobieta, odwracając się do niej. Była to Alice Chapman, która na jej widok zawołała cicho: - Frances Gray! To niemożliwe!

- Alice! Co za przypadek.

Alice się uśmiechnęła.

- Dziewczyna o delikatnym żołądku. Daleko od domu, w samym środku manifestacji WSPU. Jestem pod wielkim wrażeniem!

- Szczerze mówiąc, na tę manifestację trafiłam przypadkiem - wyznała Frances. Wskazała ruchem głowy kobietę na mównicy. - Kto to jest?

- Nie zna jej pani? To Sylvia Pankhurst!

- Och - szepnęła z czią Frances. Sylvia Pankhurst była córką Emmeline Pankhurst, współzałożycielki WSPU. - Podoba mi się - dodała szeptem.

- Dbamy teraz o to, żeby traktowano nas poważnie - ciągnęła Sylvia Pankhurst - i tak samo będziemy robić w przyszłości. Oczywiście są rzeczy, których powinniśmy nauczyć się od mężczyzn: choćby przyjąć do wiadomości, że radykalnych przeobrażeń w większości przypadków można dokonać tylko siłą. W całej historii ludzkości to mężczyźni sięgali po broń, by urzeczywistnić swoje cele. I robili to skutecznie. A teraz my udowodnimy, że wyciągnęliśmy z tego naukę. Teraz i my sięgniemy po broń. Nie będziemy już prosić, będziemy walczyć. Nadal będzie dochodzić do walk ulicznych i będzie płynąć krew. Będą nas zamykać w więzieniach, a mimo to będziemy kontynuować swoje dzieło. I zwyciężymy!

Po tych słowach nastąpiła wielominutowa owacja. Alice wzięła Frances pod ramię.

- Chodźmy. Będą jeszcze następne przemówienia, ale w tej chwili wołałabym z panią porozmawiać. Przejdźmy się kawałek, dobrze?

Przepychając się, wydostały się z tłumu. Frances zauważyła kilku policjantów, którzy uzbrojeni w hełmy i pałki, przyglądali się bacznie demonstrantkom.

- Niech pani tylko spojrzy! - prychnęła pogardliwie Alice. - Jakby polowali na przestępców! Powiadam pani, oni wręcz tylko czekają na pretekst, żeby interweniować. To niewiarygodne, ile agresji wobec buntujących się kobiet wyzwalają w sobie mężczyźni.

Oddaliły się już dostatecznie, by nie słyszeć panny Pankhurst, i ruszyły biegnącą w cieniu wąską dróżką. Słońce świeciło z ukosa przez liście nad ich głowami i rysowało na suchej ziemi filigranowe wzory.

- Co u George'a? - spytała Frances. - Od tamtego wieczoru nie mieliśmy od niego żadnego znaku życia.

- Skończył szkołę z bardzo dobrym wynikiem - odpowiedziała Alice - a teraz przygotowuje się do egzaminu wstępnego w Sandhurst. Ma nadzieję, że dostanie stypendium, bo nie chciałby już przyjmować żadnych pieniędzy od ojca.

W Sandhurst mieściła się akademia wojskowa. Frances pokiwała głową.

- Na pewno zda. Mieszka obecnie z panią?

- Tak. Chwilowo. - Alice zmierzyła Frances przenikliwym spojrzeniem. - A pani? Co

pani robi w Londynie?

- Mieszkam u siostry ojca. Już od czerwca. Spodziewałam się po Londynie jakichś wspaniałych wrażeń, ale do tej pory cierpiałam tylko z powodu upałów i próbowałam walczyć z tęsknotą za domem.

- Dlaczego nie przyłączy się pani do nas? - spytała bez ogródek Alice. - Jest pani przecież za prawem wyborczym dla kobiet?

Nie czekając na odpowiedź, pogrzebała w swojej torebce i wyciągnęła ołówek oraz bloczek na notatki. Szybko napisała coś na znajdującej się na wierzchu kartce, następnie wyrwała ją i wręczyła Frances.

- To mój adres. Proszę po prostu zajrzeć kiedyś. Bardzo się ucieszę. I George tak samo.

Zaskoczona Frances wzięła do ręki karteczkę.

- Kiedy wcześniej tam stałam i słuchałam przemówienia, paru mężczyzn obok mnie prowadziło rozmowę - powiedziała. - Robili złośliwe uwagi na temat panny Pankhurst i innych kobiet. Ale to nie było po prostu tak, że byli innego zdania albo myśleli inaczej o tych sprawach. Najgorsze było to, że mówili z taką pogardą, z taką nienawiścią. To było prymitywne i odrażające. I w tym momencie czułam się jakoś poniżona.

Alice się uśmiechnęła.

- Jest pani jeszcze bardzo młoda. Zahartuje się pani i nie będzie już odczuwać w ten sposób. Zrozumie pani, że tacy ludzie kalają nie nas, tylko siebie. Frances, obiecuję pani, że zgrubieje pani skóra i przestanie się pani interesować tym, co inni o pani myślą!

Gdy późnym popołudniem ruszyła do domu - z poczuciem winy, bo Margaret na pewno już się martwiła - zastanawiała się po drodze, czy kiedykolwiek zdobędzie taką niezachwianą pewnością siebie jak Alice Chapman. Czasem miała wrażenie, że odpowiedzi oddalają się od niej tym bardziej, z im większą niecierpliwością zadaje pytania. Uciekła przed Johnem, bo obawiała się zamknięcia w ciasnych ramach małżeństwa. Przyjechała do Londynu, żeby uświadomić sobie, czego naprawdę chce. Czuła jednak w głowie większy zamęt niż kiedykolwiek przedtem.

Alice ją fascynowała. Ta młoda kobieta dążyła do celu z żelazną konsekwencją, nie troszcząc się o to, co rozbiła i zostawiła na swej drodze. Frances miała wrażenie, że niespecjalnie przejęła się tym, iż poróżniła George'a z ojcem. Ale nie zrobiłoby jej też wielkiej różnicy, gdyby George stanął po stronie ojca, a przeciwko niej. To były ofiary, jakie należało ponosić, więc je ponosiła. Miała w sobie coś z niesentymentalnego pragmatyzmu,

który Frances poznała już u Kate. „Jakaś cenę zawsze trzeba zapłacić”.

Szła pieszo i bardzo się śpieszyła, więc gdy dotarła do Berkeley Square, była lekko zdyszana. Zapadły już ciemności i mimo początku września czuć było powiew jesienny, wilgotny i aromatyczny, niezwykajny po letnich miesiącach. Dom był jasno oświetlony, w każdym oknie błyszczało światło. Mimo że szła bardzo szybko, Frances poczuła dreszcz. Wieczory bywały już chłodne.

Drzwi otworzył jej pan Wilson, lokaj. Ale również Margaret pośpieszyła czym prędzej na jej spotkanie, błada i dosyć zdenerwowana.

- Gdzież ty się podziewałaś? - zawołała. - Już się o ciebie martwiłam!

- Spotkałam dawną znajomą - wyjaśniła Frances, po czym, chyba za podszeptem diabła, dodała: - Byłam też na manifestacji WSPU. Przemawiała Sylvia Pankhurst.

- Dobry Boże! - wystraszyła się Margaret i nawet pan Wilson z trudem zachował właściwy sobie stoicki wyraz twarzy.

- Przykro mi, że się o mnie martwiłaś - rzekła przeprasząc Frances. - Po prostu nie zwracałam uwagi na czas. - Nagle poczuła głód. - Jadłaś już, ciociu?

- Obawiam się, że nie przełknę ani kęsa. Za bardzo jestem zdenerwowana. Miałam dzisiaj okropny dzień!

Frances stwierdziła zszokowana, że Margaret wypowiedziała ostatnie zdanie łamiącym się głosem. Otoczyła ciotkę ramieniem.

- Nie chciałam tego. Naprawdę nie chciałam cię aż tak niepokoić. Na tę manifestację trafiłam zupełnie przypadkiem. Nie powinnaś się więc w ogóle denerwować!

Powoli przeszły do salonu, gdzie Margaret klapnęła na sofę. Frances naląła jej brandy, którą ciotka wypila jednym haustem.

- Dobrze mi to zrobiło - westchnęła Margaret. Odstawiła kieliszek. - Frances, kochanie, przepraszam cię! Pewnie uważasz mnie za okropną histeryczkę. Zdenerwowałam się tak bardzo wcale nie z twojego powodu. Tylko tak się zastanawiam...

- Nad czym się zastanawiasz?

- Ach, ta Anne! Ta Anne Middleton! No wiesz, ta przyjaciółka, którą musiałam dzisiaj odwiedzić. Ludziom wydaje się chyba, że mogą mnie obarczać wszelkimi swoimi kłopotami. Zwłaszcza gdy mają problemy z dziećmi. Prawdopodobnie myślą sobie, że taka stara panna nie ma własnych zmartwień, więc mogą spokojnie zostawić u niej swoje dzieci i poprosić ją, żeby... - Urwała, gdy zauważyła, że Frances mogłaby to także odnieść do siebie, po czym dodała śpiesznie: - Naturalnie nie mam tu na myśli ciebie! Ty przecież nie masz problemów!

- Kogo więc masz na myśli, ciociu Margaret? - spytała Frances trochę już

zdezorientowana.

- Mam na myśli tego Phillipa - syknęła Margaret. - On jest tutaj! Nie chciałam tego, ale Anne jest u kresu sił i wygląda na to, że może dojść do tragedii, jeśli Phillip pomieszka dłużej pod jednym dachem ze swoim ojcem!

Frances zmarszczyła czoło.

- A kto to jest Phillip?

- Syn Anne. Bardzo sympatyczny młody człowiek, naprawdę. W pierwszej chwili pomyślałam, do licha, a co ja mam z tym wspólnego? Ale potem stwierdziłam, że mogłabym jednak wyświadczyć jej tę przysługę z uwagi na dawną przyjaźń i dlatego, że naprawdę wyglądała na bardzo zrozpaczoną. A teraz wydaje mi się, że nie sprostam tej sytuacji, bo jeśli potem coś się zdarzy, to będzie moja wina!

Podczas gdy Frances daremnie próbowała jeszcze doszukać się sensu w nieco chaotycznych słowach ciotki, rozległo się pukanie do drzwi i po wypowiedzianym przez Margaret „wejść” do pokoju wszedł młody człowiek. Spostrzegłszy, że Margaret nie jest sama, zatrzymał się wystraszony.

- Och, ma pani gościa...

Już chciał wyjść, ale Margaret dała mu ręką znak, by został w pomieszczeniu.

- Nie trzeba, już dobrze. Proszę podejść bliżej, Phillipie. Frances, to jest Phillip Middleton. Phillipie, to jest moja bratanica Frances Gray z Yorkshire. - Wstała z sofy; może była to zasługa brandy, w każdym razie Margaret wydawała się znowu całkiem spokojna. - W najbliższych tygodniach my troje będziemy musieli jakoś tolerować się nawzajem - dodała.

Phillip podszedł bliżej, pochylił się nad ręką Frances i ucałował ją. Kiedy się wyprostował i spojrział na nią, Frances pomyślała, że rzadko widywała równie atrakcyjnych mężczyzn jak Phillip Middleton, nigdy zaś nie widziała oczu, w których można było wyczytać tyle rozpacz i taką wielką samotność, taką zabójczą beznadziejność jak u niego.

- Trzy razy próbował odebrać sobie życie - opowiadała Margaret - i za każdym razem uratowano go tylko przypadkiem. Jego matka odchodzi od zmysłów, bo się boi, że mógłby znów spróbować.

- Powinien być pod opieką lekarza - stwierdziła Frances. - Dlaczego jego matka sądzi, że ty dasz sobie radę?

- Anne obawia się, że jak już raz dostanie się w tryby psychiatrii, to może na zawsze zniknąć za bramą jakiegoś zakładu - odparła Margaret. - Zasięgnęła informacji w wielu miejscach i z tego, co wie, w wielu szpitalach psychiatrycznych dzieją się okropne rzeczy.



Wiele obiecuje sobie po tym, że Phillip nie będzie już codziennie widywał się z ojcem, który podobno traktuje go bardzo źle.

Siedziały przy śniadaniu w jadalni. Frances zrezygnowała z herbaty w łóżku, bo nie mogła się doczekać rozmowy z Margaret. Phillip nie przyszedł na śniadanie. Margaret wysłała na górę pana Wilsona, żeby zobaczył, czy wszystko w porządku, a ten po powrocie zakomunikował, że Phillip stoi ubrany w swoim pokoju przy oknie i wygląda na zewnątrz. Wtedy również Margaret udała się na górę, lecz po chwili wróciła z bezradną miną.

- Powiedział, że nie jest głodny. Chce tylko wyglądać przez okno. Jest uprzejmy, ale zupełnie nieprzystępny.

- Dlaczego chciał się zabić? - spytała Frances; wcześniej podeszła do kredensu i wzięła sobie kilka kiełbasek oraz nałożyła jajecznicę. Tego ranka była naprawdę głodna.

- Nie wiem, czy i bez tego nie ma skłonności do depresji, w każdym razie to się zaczęło u niego podobno w latach szkolnych. - Margaret najwidoczniej nie była głodna tego ranka. Napila się tylko herbaty, była blada i miała zatroskaną minę. - Ojciec posyłał go od małego do szkoły z internatem o bardzo surowym rygorze. Phillip był dzieckiem ogromnie wrażliwym i skłonnym do marzycielstwa, a ponadto bardzo nieśmiałym i powściągliwym. Ojciec zaś koniecznie chciał mu to wybić z głowy. Inni chłopcy, gdy tylko odkryli, że jest najsłabszy w grupie, natychmiast zaczęli mu dokuczać. Od rana do wieczora drwili z niego i go dręczyli.

- Czy rodzice nie mogli mu znaleźć jakiejś innej szkoły?

- Ojciec uparł się, że to ma być ta szkoła. Tyle że pewnie wszędzie działałoby się to samo. Przynajmniej jeśli chodzi o innych uczniów. W przypadku małego Phillipa sytuacja okazała się jednak o tyle gorsza, że dyrektor szkoły był wyjątkowym sadystą. Bił uczniów za najmniejsze przewinienia - i bił ich naprawdę brutalnie. Na dodatek miał na nich w zanadrzu szereg złośliwych metod, niemal tortur, na przykład zamykanie na trzy dni i trzy noce w ciemnej piwnicy. Niektórzy uczniowie musieli się rozbierać do naga, po czym wylewano na nich kilka wiader lodowatej wody. Albo szmatę zlaną moczem wyżymano i wpychano do ust biednego stworzenia, które zdaniem dyrektora zasłużyło na tę karę.

Frances poczuła dławienie w gardle. Odsunęła swój talerz. Teraz również ona straciła apetyt.

- Ale Phillip oczywiście nic nie przeszkrobał, prawda?

- Świadomie na pewno nie. Wręcz przeciwnie. On był ledwie żywy ze strachu i starał się za wszelką cenę nikomu nie podpaść. Ale oczywiście zwykle akurat wtedy spotyka człowieka jedno nieszczęście za drugim. Poza tym, jak mówiłam, inni chłopcy też go

dręczyli, więc często karano go za coś, czego nie zrobił, tylko zrobiono jemu: wylany atrament na pulpicie jego ławki, niepościelone łóżko, dziury w ubraniu.

- Ciociu Margaret, to naprawdę straszne!

Margaret z z troskaniem pokiwała głową.

- Także dyrektor szkoły pewnie szczególnie upatrzył sobie właśnie jego. I znalazł sojusznika w osobie ojca Phillipa, który uważał, że dokładnie w taki sposób powinno się zrobić z jego syna mężczyznę.

- Zastanawiam się, jak można być tak okrutnym wobec własnego dziecka! Czy Phillip już wtedy próbował odebrać sobie życie?

- Jako dziecko jeszcze nie. Tylko parę razy uciekł z domu, ale zawsze odprowadzano go z powrotem i potem musiał płacić wysoką cenę za te swoje ucieczki. Później, w szkole średniej, w której było niewiele lepiej, podciął sobie żyły, lecz w porę go znaleziono. Miał wtedy piętnaście lat.

- A ile ma teraz?

- Dwadzieścia cztery. Jego ojciec obstawał przy tym, żeby studiował w akademii wojskowej. Koniecznie miał być wyższym oficerem. Naturalnie w ogóle nie był w stanie sprostać panującemu tam drylowi. Po raz drugi usiłował popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły. Po czymś takim musiał opuścić akademię: nie chcą tam samobójców.

- I co robi od tej pory? - spytała Frances.

Margaret wzruszyła ramionami.

- W zasadzie nic. Siedzi w domu, zupełnie apatyczny. Ojciec przy każdej okazji robi mu wymówki, nazywa go tchórzem i nieudacznikiem. Na początku roku chciał się otruć.

- A jego matka? - spytała porywczo Frances. - Dlaczego godzi się na to? Dlaczego godziła się przez te wszystkie lata? Powinna była przekonać ojca!

- Ale jak? On jest jej mężem - stwierdziła Margaret takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

Frances zastanawiała się jeszcze nad odpowiedzią, gdy drzwi się otworzyły i do jadalni wszedł Phillip. Uśmiechnął się nieśmiało.

- Dzień dobry, lady Gray. Dzień dobry, panno Frances.

- Jak to miło, że zdecydował się pan jednak dotrzymać nam towarzystwa - zawołała Margaret z nieco zbyt demonstracyjnym ożywieniem. - Proszę bliżej, niech pan siada!

Usiadł naprzeciwko Frances.

- Chciałbym tylko się napić herbaty - powiedział.

- Jest pan zbyt szczupły jak na swój wzrost - orzekła Margaret. - Powinien pan jednak

coś zjeść!

- Rano nigdy nie jestem głodny - odparł.

Frances zlustrowała go ukradkiem.

Phillip miał bardzo delikatne rysy, zmysłowe wąskie usta, gęste ciemnoblonde włosy. Jego oczy, zielone i osłonięte długimi rzęsami, mogły być pewnie tym, co w nim najpiękniejsze, gdyby nie wypełniał ich ów przerażający bezbrzeżny smutek. Również tym razem Frances wzdrygnęła się, tak samo jak poprzedniego wieczoru.

Nagle Phillip podniósł oczy. Oparła się pierwszemu odruchowi, by szybko popatrzeć w bok. Ich spojrzenia się spotkały. Frances się uśmiechnęła, a po chwili zaskoczenia Phillip odwzajemnił jej uśmiech.

- Powinniśmy zafundować sobie dzisiaj jakąś przyjemność - zaproponowała Margaret.

- Kto wie, jak długo jeszcze utrzyma się piękna pogoda! Moglibyśmy pojechać do Helmsley i urządzić piknik nad brzegiem Tamizy.

- Naturalnie. Jeśli ma pani takie życzenie - rzekł uprzejmie Phillip.

Margaret westchnęła głośno.

- Bardzo przepraszam! - To pan Wilson, lokaj, wszedł niezauważony do pokoju. - Telefon do panny Gray.

Przy aparacie była Alice Chapman, która zaprosiła Frances na popołudniowe spotkanie WSPU.

Frances zgodziła się, a Margaret miała dodatkowy uzasadniony powód, aby jeszcze raz westchnąć w głębi duszy.

Uzmysłowiła sobie, że gości pod swoim dachem nie tylko młodego mężczyznę, nad którym wisi groźba samobójstwa, ale także sufrażystkę.

## *Czwartek, 26 grudnia 1996 roku*

W trakcie czytania dłonie Barbary stały się zimne jak lód. Odłożyła kartki i pod kołdrą pocierała jedną rękę o drugą, żeby pobudzić krążenie i je rozgrzać. Pokój zamieniał się powoli w lodową jaskinię. Przez chwilę zastanawiała się, kto też dawniej tu sypiał. Charles i Maureen? Babka Kate? Któraś z dzieci, może Frances? Próbowwała sobie wyobrazić, jak wyglądał wtedy w tym domu chłodny zimowy poranek. Trzaskający ogień w kominkach. Zapach kawy i smażonego boczku wpełzający schodami na górę. Ubrana choinka w salonie. Głosy sześciu osób - siedmiu, jeśli doliczyć Adeline, gospodynię - które wołały jedna przez drugą, rozmawiały, śmiały się i kłóciły. Dom pełen ciepła i życia. Na moment ogarnęło Barbarę uczucie tęsknoty; coś drgnęło w niej, coś, co nie objawiło się do tej pory w postaci pragnienia.

Tak też można żyć, pomyślała, w domu na wsi, z rodziną.

Potem jednak starsza córka wyjeżdża i przyłącza się do ruchu bojowniczek o prawa kobiet, czemu obecnie odpowiada mniej więcej przystąpienie do organizacji terrorystycznej. Co jeszcze czekało Grayów? Pierwsza wojna światowa stała za progiem, a mieli syna w wieku poborowym.

Będzie czytać dalej. B e z w a r u n k o w o będzie czytać dalej. Ale wcześniej musi coś zjeść. Przez ostatnie godziny po prostu nie pamiętała o głodzie, teraz jednak z coraz większym naporem docierał do jej świadomości. Zdziwiło ją, że dwa dni postu mogą doprowadzić do takiego osłabienia.

- Mogę wejść? - spytał głos z korytarza.

To był Ralph. Wszedł do pokoju, przynosząc z sobą powiew mroźnego powietrza. Policzki miał zaróżowione od chłodu.

- Śniadanie gotowe - zameldował.

- Mój Boże - stropiła się Barbara, która poczuwała się do winy - a ja wyleguję się jeszcze w łóżku! Bardzo przepraszam! - Spostrzegła, że jego włosy są mokre. - Jaka pogoda?

- Pada śnieg. Odśnieżyłem drogę do szopy i przyniosłem drewna. Wygląda na to, że śnieg nie zamierza przestać padać. - Podszedł bliżej i dotknął ostrożnie jej podbródka. - Prezentuje się fantastycznie!

- Ten siniak? Trochę boli.

- Można by pomyśleć, że przez pomyłkę trafiłaś na ring bokserski. Prawdopodobnie

powinnaś była od razu zrobić sobie okład z lodu. Tego surowca mamy ostatecznie pod dostatkiem!

Spuściła nogi z łóżka.

- Byłam zbyt zaaferowana znalezieniem tej kasetki. Co jest na śniadanie?

- Herbata w dowolnych ilościach - odparł lakonicznie Ralph - pół jajka na twardo i kromka chleba dla każdego. A zostaną nam dwa jajka i dwie kromki chleba, trochę sera, masła i marmolady. I na tym koniec.

- W każdym razie w tym roku nie będziemy mieć typowych dla świąt kłopotów - zauważyła Barbara. - Nie będziemy musieli się martwić, jak zrzucić kilogramy, których zawsze jakoś człowiekowi przybywa przy stole!

- Wrócimy smukli i zahartowani - uzupełnił Ralph. - Głodowanie, odgarnianie śniegu i rąbanie drewna nie może przecież pozostać bez następstw.

Oboje roześmiali się z lekkim przymusem. Ralph wskazał głową stos kartek na nocnym stoliku Barbary.

- Aha. A więc naprawdę to czytasz!

- Owszem. Nadzwyczaj interesujące. Ta Frances Gray, której zdjęcie stoi na dole na kominku, należała do kobiet walczących o prawa wyborcze dla kobiet w Anglii.

- No, to wspaniale! - Podobnie jak wielu mężczyzn Ralph żywił ukrytą niechęć do feministek, choć wcale nie był przeciwnikiem ich celów. - Zejdiesz na śniadanie?

Barbara włożyła szlafrok.

- Potrafisz sobie wyobrazić, że kiedyś mieszkała tutaj sześciuosobowa rodzina wraz z gospodynią? - zapytała, schodząc za Ralphem po stopniach. - Troje dzieci, rodzice, babka. I pies. Ogród był pewnie latem przepiękny, przez jakiś czas wszyscy byli bardzo szczęśliwi.

Ralph przystanął i odwrócił się do niej. W półmroku panującym w klatce schodowej ledwie dostrzegła rysy jego twarzy, ale tym wyraźniej usłyszała delikatny ton gorczy w jego głosie.

- Dziwne - zauważył - ale bardzo mi to przypomina mój opis tego, co rozumiem przez szczęście. U ciebie jednak natrafiałem zawsze na zupełne niezrozumienie i natychmiastową odprawę. A teraz pewnie sama jesteś zaskoczona, gdy odkrywasz, że może to mieć swoje uroki!

Nic nie odpowiedziała.

Później, po skąpym śniadaniu, które bardziej podrażniło, niż uspokoiło ich żołądki, Ralph oświadczył:

- Sądziłem, że to niemożliwe, ale wygląda na to, że ta przeklęta śnieżycyca nigdy się nie skończy. Jak tak dalej pójdzie, możemy mieć problemy.

- Masz na myśli jedzenie?

- Tego, co nam zostało, wystarczy jeszcze na jutrzejsze śniadanie. A i to tylko pod warunkiem, że przez resztę dnia nie będziemy nic jeść, co może być trudne. Wtedy pozostanie nam wbić zęby w ścianę.

Barbara skinęła głową. Po raz pierwszy, odkąd tu przyjechali, w jej umyśle zakiełkował autentyczny strach. Widziała gęsty śnieg sypiący się bez przerwy z nieba, całymi dniami i tygodniami, ona i Ralph siedzieli w tej kuchni przed filiżankami kawy, później przed filiżankami herbaty, kiedy zapas kawy się wyczerpał, a ich myśli krążyły tylko wokół jedzenia, niczego na świecie oprócz jedzenia...

Przestań, rozkazała sobie, nie wmawiaj sobie takich bzdur!

- Wydaje mi się - podjął po chwili Ralph - że wcale nie tak szybko umiera się z głodu, ale ten stan jest po prostu nieprzyjemny, a raczej nie mam ochoty znosić go zbyt długo.

Odsunął swój talerz, na którym leżało parę kawałków rozbitej skorupki jajka, żalodne resztki żalosego posiłku.

- Zaczyna mi to działać na nerwy. Jutro kończę czterdzieści lat, a urodzinowa uczta znów będzie się składać z jajka na twardo i kromki chleba. W nocy miałem już wizje obficie napelnionych talerzy i misek!

Barbara dołała sobie kawy.

- Ze mną jest podobnie. Obawiam się jednak, że niewiele możemy zrobić.

- W piwnicy widziałem narty. Mógłbym spróbować dotrzeć na nich do Leigh's Dale.

- To zbyt niebezpieczne. Trzy dni temu przyjechaliśmy tutaj o zmierzchu, właściwie już prawie po ciemku. Tylko mniej więcej orientujemy się, w którym kierunku znajduje się Leigh's Dale, a nawet co do tego możemy się mylić. Załóżmy, że zabłądzisz. W taki chłód podczas burzy śnieżnej możesz to przypłacić życiem!

- Zastanawiałem się nad tym, Barbaro. Naturalnie istnieje ryzyko i można nie znaleźć wioski. Ale jeśli nawet tutejsza okolica rzeczywiście jest odludna, to przecież nie całkiem wymarła! Nawet gdy człowiek zabłądzi, to na pewno od czasu do czasu napotka jakąś farmę albo budynek mieszkalny!

- A jeśli będzie miał pecha, może nie znaleźć.

- Jesteśmy w Wensleydale, w północnym Yorkshire - rzekł Ralph - a nie pośrodku bezkresnej Syberii, choć w tej chwili takie można odnieść wrażenie, gdy człowiek wyjrzy przez okno. Tutaj nie wędruje się całymi dniami, nie spotykając nikogo.

- W takim razie przynajmniej wyruszmy razem - zaproponowała Barbara.

Pokręcił głową.

- Jest tylko jedna para nart.

- Niezbyt mi się podoba ten pomysł. Ale wygląda na to, że już się zdecydowałeś.

Wysunął rękę ponad stołem i uściśnął jej dłoń: gest, który między nimi zdarzał się już rzadko i który Barbara odebrała jako specyficzny objaw czułości.

- Nie wybieram się przecież już dzisiaj. Myślę tylko, że powinniśmy ułożyć plan na wypadek, gdyby rzeczy dziejące się za oknem nie zamierzały się uspokoić.

Skinęła głową i ponownie sięgnęła po dzbanek z kawą, choć z dawnych lat, kiedy przestrzegała swoich radykalnych diet, pamiętała, że rozboli ją brzuch od picia tak dużych ilości kawy na prawie pusty żołądek.

W tym momencie było jej jednak wszystko jedno.

Odgarnęli śnieg i narabiali drewna. Barbara opatrzyła Ralpha, któremu w czasie pracy porobiły się na dłoniach wypełnione krwią pęcherze, mimo że założył rękawiczki. Oboje byli zmęczeni i głodni, usilnie starali się nie myśleć o jedzeniu ani o takich luksusowych przyjemnościach, jak kąpiel w wannie z dużą ilością piany. Ralph zaoferował się, że będzie grzał na piecu i nosił na górę wodę dla Barbary, dopóki nie napelni się wanna stojąca na staroświeckich, ozdobnie wygiętych nóżkach, Barbara stwierdziła jednak, że nakład pracy będzie niewspółmierny do faktycznej korzyści.

Ralph, umęczony pracą, przyjął jej słowa z widoczną ulgą. Odkrył na regale kryminał z Herkulesem Poirot i usiadł z książką przed kominkiem w jadalni. Tymczasem Barbara parzyła w kuchni herbatę ziołową z nieprzebranych zasobów Laury, gdyż miała ostre bóle żołądka. Na dworze zrobiło się ciemno, kaskady płatków śniegu sypały się z nieba. Barbara zasunęła z wściekłością zasłony w oknie kuchennym. Nie mogła już patrzeć na ten przekłęty śnieg.

Na stole leżała książka Frances Gray. Barbara podczytywała ją przez cały dzień, w przerwach między uciążliwymi pracami, które musiały być wykonane. Jesienią 1910 roku Frances Gray spotykała się często z Alice Chapman i brała udział w imprezach organizowanych przez WSPU. Zobaczyła się znowu ze swoim bratem George'em, który poróżniwszy się z ojcem, bardzo cierpiał z tego powodu, ale duma i szacunek dla samego siebie nie pozwalały mu uczynić pierwszego kroku. Frances napisała jeszcze raz do Johna Leigha, ale ten ponownie nie odpowiedział. Kilkakrotnie starła się z Margaret, która bynajmniej nie pochwałała tego, że jej bratanica związała się z bojowniczkami o prawa

kobiet.

Margaret przeżywała w owych tygodniach poważny konflikt wewnętrzny, który rozdzierał jej serce. Z jednej strony czuła się w obowiązku powiadomić rodziców Frances o niebezpiecznych ambicjach córki, z drugiej obawiała się, że będzie nielojalna, jeśli zdradzi Frances i narazi ją w ten sposób na kłopoty. Nerwy miała zresztą i tak zszarpane, bo starała się ani na chwilę nie spuszczać z oczu Phillipa, podejrzewając, że czeka tylko na okazję, aby ponownie targnąć się na życie. Nie spała po nocach, zadreęczając się myślami o tym, jakie nieszczęścia mogą się przydarzyć obojgu młodym ludziom powierzonym jej pieczy.

Phillip ze swej strony próbował zacieśnić kontakty z Frances, która jednak raczej niechętnie tolerowała te próby, zbyt wiele czasu poświęcała bowiem znajomości z Alice, ażeby troszczyć się o melancholijnego młodego człowieka ze zranioną duszą.

Pisał dla niej wiersze i dawał jej kwiaty, ale Frances, zupełnie nieobecna myślą, w tym okresie nie rozumiała, że Phillip już od dawna kocha się w niej beznadziejnie. Interesowały ją tylko dwie rzeczy: prawo wyborcze kobiet i pewien nieświadomiony do końca smutek z powodu Johna.

Phillip nie miał pojęcia, że Frances kocha innego mężczyznę i dręczą ją obawy, czy nie podjęła niewłaściwej decyzji, odrzucając jego oświadczenia. Sądził, że niecierpliwość, z jaką go traktuje, i jej roztargnienie wiążą się jedynie z jej zaangażowaniem w ruch feministyczny. W kwestii prawa wyborczego kobiet stał całkowicie po jej stronie i wciąż dodawał jej otuchy; robił to jednak w tak nieśmiały i powściągliwy sposób, że Frances prawie nie dostrzegała tego, iż ma do czynienia ze współbojownikiem. Czasem chodziła z nim na spacer albo do teatru na jakieś przedstawienie, ale robiła to raczej z litości, bo raz i drugi stwierdzała w poczuciu winy, że powinna bardziej troszczyć się o kogoś, kto przeżył tyle złego.

Barbara usiadła przy stole i spróbowała herbaty. Napar miał okropny smak, ale według napisu na opakowaniu powinien pomagać na bóle żołądka. Barbara grzała dłonie o gorącą filiżankę i popijała płyn małymi ostrożnymi łykami.

Z powrotem pogrążyła się w lekturze.



## *Listopad - grudzień 1910 roku*

- Frances, mogę ci na chwileczkę przeszkodzić? - zapytała Margaret, wtykając głowę do pokoju.

Frances siedziała na łóżku z szyją owiniętą wełnianym szalem, trzymając w ręku szklankę mleka z miodem. Była blada, jej oczy błyszczały gorączkowo.

- Nie najlepiej wyglądasz - stwierdziła Margaret. Położyła dłoń na czole bratanicy. - Masz gorączkę!

- Czuję się też dosyć kiepsko - przyznała Frances. Od kilku tygodni walczyła z ostrym przeziębieniem, ale jej stan nie poprawiał się.

- Naprawdę mi cię żal - powiedziała Margaret - ale muszę przyznać, że ulżyło mi, bo nie pójdziesz chyba dzisiaj na tę... Jak nazywa się ta impreza?

- Women's Parliament.

- No właśnie. Bardzo bym się niepokoiła. Nigdy nie wiadomo, jak skończy się coś takiego. Chyba... chyba mogę liczyć na to, że zostaniesz w domu?

Dopiero w tym momencie Frances zauważyła, że Margaret ma na sobie płaszcz i rękawiczki.

- Wychodzisz jeszcze?

- Herbatka przy brydżu u lady Stanhope. Z początku chciałam odmówić, bo myślałam, że muszę być tutaj, gdyby coś ci się stało, i naturalnie także z powodu Phillipa, ale... no cóż, mogłabym przecież spotkać się znowu z przyjaciółkami...

Poczuwając się do winy, Frances uświadomiła sobie, jak bardzo ciotka musiała zmienić swój zwykły tryb życia i zrezygnować z niektórych przyjemności w trosce o dwoje młodych ludzi mieszkających pod jej dachem.

- Koniecznie idź - powiedziała - i nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie. Przez resztę dnia będę siedzieć w swoim pokoju, próbując wyzdrowieć. Żadnych bitew ulicznych, ciociu Margaret!

- To mnie uspokoiłaś - stwierdziła z ulgą Margaret. - Zatrósz się też trochę o Phillipa, dobrze? Moglibyście razem zjeść kolację!

- Mówiąc szczerze, obawiam się, że nie będę głodna. Ale mogę mu dotrzymać towarzystwa. Zrób sobie przyjemny dzień i nie myśl bez przerwy o nas. Nie jesteśmy już dziećmi!

- Wiesz - powiedziała Margaret - bardzo często żałowałam, że nie mam dzieci, ale stopniowo zaczynam dostrzegać w tym także dobre strony. - Poglaskała Frances po włosach. - Jesteś uroczą dziewczyną, naprawdę, bardzo też lubię Phillipa. Ale chyba nigdy - odwróciła się już do drzwi - nie można uwolnić się całkiem od trosk, prawda?

Frances przespała kilka godzin, a w tym czasie listopadowy deszcz na zewnątrz bębnił w jej okno i szybko zapadły wczesne jesienne ciemności. Kiedy się obudziła, była piąta. W domu panowała cisza.

Wstała. Czowała się lepiej, sen ją wzmocnił, także głowa nie bolała jej już tak bardzo jak rano. Poczwała nawet lekki głód.

Postanowiła zejść do kuchni i omówić z kucharką sprawę kolacji. Przechodząc obok pokoju Phillipa, zawahała się, po czym zapukała.

- Proszę - powiedział Phillip.

Stał przy oknie, jak przez większość czasu, i wpatrywał się w ciemność i deszcz. Paliła się tylko mała lampa, która słabo oświetlała jego twarz. Na widok Frances jego napięte rysy rozjaśnił uśmiech.

- Frances! - Podszedł do niej. - Jak się pani czuje? Już pani lepiej?

Wydawało się, jakby idąc za jakimś impulsem, chciał pochwycić jej dłonie, lecz przeszkodziła mu własna nieśmiałość. Zatrzymał się więc przed nią z opuszczonymi ramionami.

- Wygląda pani lepiej niż dzisiaj rano - stwierdził.

- Lepiej się też czuję. Właśnie zamierzałam porozmawiać z kucharką o kolacji. Oczywiście zje pan ze mną?

- Naturalnie!

Z zapalem skinął głową. Jak zawsze coś w jego zachowaniu wprawiło Frances w zakłopotanie.

- No tak - powiedziała. - W takim razie zobaczymy się później.

Wyciągnął rękę, ale znów jej nie dotknął.

- Frances!

- Tak?

- Ja... To bardzo głupie, co powiem, ale bardzo się cieszę, że panią poznałem!

O Boże, pomyślała Frances, głośno natomiast rzekła:

- Mnie też miło, Phillipie, że znam pana.

- Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek powiem coś takiego kobiecie. Mam na myśli

to, że cieszę się, że ją znam. - W dalszym ciągu nie wiedział, co począć z rękami. Za to jego zazwyczaj zgaszone, smutne oczy błyszczą. - Nigdy nie sądziłem, że będę odczuwał coś takiego do kobiety - dodał.

- Phillipie, pan przecież ledwo mnie zna - odparła Frances i zaśmiała się niepewnie.

- Znam panią. Znam panią o wiele lepiej, niż pani sądzi. Wie pani, często o pani rozmyślałem.

Frances nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała.

Phillip naturalnie miał wrażenie, że posunął się za daleko, więc i on zamilkł. W końcu, jękając się, wydusił z siebie:

- Chyba nie... To znaczy, mam nadzieję, że nie wprowadziłem pani w zakłopotanie?

- Bynajmniej - zapewniła Frances. Zastanawiała się rozpaczliwie, jak wybrnąć z sytuacji, nie raniąc uczuć Phillipa. - Ja... Chyba powinniśmy pomyśleć o kolacji, prawda?

Jednak go uraziła, zdradzały to jego wrażliwe, pełne wyrazu rysy twarzy. Starał się nie dać tego po sobie poznać, lecz jego uśmiech wydawał się teraz przyklejony i wymuszony.

- Dobrze - powiedział. - Zejdźmy na dół.

Dotarli do połowy schodów, gdy rozległo się dzikie łomotanie do drzwi domu; oboje aż się wzdrygnęli.

- Niemożliwe, żeby to była ciotka Margaret - zdziwiła się wystraszona Frances.

Do drzwi pośpieszył pan Wilson. Jego mina zdradzała oburzenie na niestosowne zachowanie nieznanego gościa. Ledwo otworzył drzwi, do hallu wtargnęła, minawszy go, jakaś młoda kobieta. Mokry płaszcz lepił się do jej ciała jak ścierka, zmierzwił włosy, z których kapłała woda, opadały jej na ramiona. Z rany pod prawym okiem spływała krew.

- Czy tutaj mieszka Frances Gray?

- Zechce się pani przedstawić? - napomniął ją oburzony Wilson.

- To ja jestem Frances Gray!

Frances zeszła po schodach. Zdażyła jeszcze przytrzymać młodą kobietę, żeby nie osunęła się na podłogę. Razem z Wilsonem podprowadzili ją do krzesła i pomogli jej usiąść.

- Przepraszam - wyszeptała nieznajoma. Wargi miała białe jak śnieg. - Trochę mi się tylko zakręciło w głowie.

Frances wyciągnęła chusteczkę do nosa i zaczęła osuszać ranę.

- Panie Wilson, proszę przynieść coś do dezynfekowania ran - rozkazała - a pan, Phillipie, niech przyniesie brandy ciotki Margaret. Na pewno przyda się coś na pobudzenie krążenia.

Phillip pośpieszył natychmiast posłusznie po brandy, Wilson natomiast się zawahał.

- Nie wiemy nic o tożsamości tej... - zaczął.

- Louise Appleton - przedstawiła się nieznajoma słabym głosem. - Przychodzę od Alice Chapman.

- Od Alice? - Frances natychmiast poczuła się zaalarmowana. - A pan niech wreszcie zrobi to, co panu powiedziałam! - ofuknęła Wilsona. Następnie kucnęła obok Louise i wzięła ją za rękę. - Co z Alice?

- Została aresztowana. Jest ranna. Zdążyła jeszcze podać mi pani nazwisko i adres. Ma pani poinformować narzeczonego Alice. - Młoda kobieta walczyła ze łzami. - To było takie straszne!

- Policja was zaatakowała?

Louise nie dała rady dłużej powstrzymać płaczu.

- Nigdy dotąd nie widziałam, żeby mężczyźni tak brutalnie obchodzili się z kobietami - zaszlochala. - Zapędzali je do bram domów i tam bili. Rzucali na ziemię i kopali, nie patrząc gdzie. Szarpali za włosy i celowo wymierzali ciosy w piersi. Miałam wrażenie, że chcą nas zabić.

Przybiegł Phillip z brandy. Frances napełniła kieliszek i wcisnęła do ręki Louise.

- Proszę. Niech pani wypije. Dobrze to pani zrobi.

Louise wzięła kieliszek w drżące palce. Wypiła brandy małymi łykami i jej policzki nieco się zaróżowiły.

- Nigdy tego nie zapomnę - wyszeptała. - Nigdy, dopóki żyję. Domagamy się prawa wyborczego. Domagamy się prawa, które od wieków przysługuje mężczyznom. A oni za to traktują nas jak przestępców.

- Zabrano Alice do więzienia? - spytała Frances. - Czy do szpitala? Mówiła pani, że jest ranna.

- O ile dobrze zrozumiałam, miała być zawieziona do więzienia Holloway. Mam nadzieję, że jakoś zatroszczą się tam o nią. Była zalana krwią...

Głos Louise załamał się znowu. Frances nalała jej szybko jeszcze trochę brandy, po czym powiedziała:

- Pojadę do więzienia Holloway. Muszę zobaczyć, czy mogę coś dla niej zrobić.

- Nie powinna pani tam jechać! - zaprotestował wystraszony Phillip.

Pojawił się pan Wilson, który udał się do pomieszczeń gospodarczych w suterenie, za nim szła kucharka. Przynieśli butelkę jodyny i opakowanie gazy opatrunkowej.

- A cóż to się stało? - zawołała kucharka.

- Policja pobila bojowniczkę o prawa kobiet i wiele z nich aresztowała - wyjaśniła

Frances. - Panna Appleton też trochę ucierpiała.

Zarówno pan Wilson, jak i kucharka, panna Wentworth, byli głęboko przekonani, że bojowniczką o prawa kobiet wyznaczają niewłaściwe cele i stosują nieodpowiednie metody, i stanowczo je odrzucali. Jednak na widok bladej, przemoczonej do suchej nitki kobiety, która miała zaschniętą krew na policzku i dygotała na krześle niczym osika, kucharka się wzruszyła, a w jej sercu zbudziła się matczyzna wręcz tkliwość.

- W tych mokrych rzeczach gotowa jeszcze zaziębić się na śmierć! - oświadczyła panna Wentworth. - Powinna jak najszybciej wziąć gorącą kąpiel i trzeba wpakować ją do ciepłego łóżka.

- Pani się tym zajmie, panno Wentworth - zdecydowała Frances. - Proszę jej napuścić wody do wanny i przygotować dla niej pokój gościnny. Ja teraz jadę do więzienia Holloway!

- Nie! - zawołali niemal równocześnie pan Wilson, panna Wentworth i Phillip, lecz Frances biegła już po schodach na górę, żeby wziąć płaszcz.

Phillip pośpieszył za nią.

- Nie wie pani nawet, gdzie to jest!

- Wezmę dorożkę.

- Pojadę z panią.

- To nie wchodzi w rachubę! Ktoś musi tutaj zostać i wyjaśnić wszystko ciotce Margaret. I tak wystraszy się pewnie jak nigdy w życiu.

- Jest Wilson. I panna Wentworth. Powiedzą jej, co się stało!

- Phillipie, niechże pan będzie rozsądny! - Frances wyszarpnęła z szafy swój płaszcz i szal, którym zamierzała owinać włosy. - Proszę tu zostać i uspokoić moją ciotkę!

Phillip stał w drzwiach. W tym momencie Frances nie była w stanie naprawdę tego zauważyć, lecz później przypomniała sobie, że po raz pierwszy miał wyraz twarzy mężczyzny, a nie skrzywdzonego dziecka.

- Frances, nie pozwolę pani o tej porze jeździć samej po Londynie. Albo pojadę z panią, albo nie wypuszczę pani z domu!

Zaśmiała się krótko.

- Sądzi pan, że potrzebuję pańskiego pozwolenia?

Phillip stał jednak w drzwiach niczym skała, toteż Frances uświadomiła sobie, że straciłaby mnóstwo czasu, gdyby zaczęła się z nim spierać.

- Niech pan więc jedzie ze mną, do wszystkich diabłów - powiedziała. - Nie mogę się teraz z panem kłócić!

Skinął głową. W pięć minut później śpieszyli już co tchu w deszczu i mgle.

Błyskawicznie przemokli do suchej nitki.

Był osiemnasty listopada 1910 roku, który miał przejść do historii angielskiego ruchu feministycznego jako „czarny piątek”. Tego dnia aresztowano 115 kobiet, a policja potraktowała demonstrantki z niespotykaną dotąd brutalnością. Christabel Pankhurst obwiniała później ministra spraw wewnętrznych Winstona Churchilla, że to on zarządził tak bezwzględną akcję przeciwko kobietom. Zarzut ten oburzył Churchilla do tego stopnia, że nosił się z myślą oskarżenia Christabel Pankhurst o zniesławienie.

Faktem jednak było, że mnóstwo osób zostało rannych, że więzienie Holloway pękało w szwach od feministek i że dla wielu kobiet zaczęła się tam istna gehenna.

Phillip, ten sam skłonny do depresji Phillip, o którym Frances sądziła dotąd, że potrafi niewiele więcej, niż gapić się przez okno albo pisać melancholijne wiersze, zdołał nawet złapać dorożkę, i to jeszcze przez Bond Street. Byli już wprawdzie zupełnie przemoknięci, ale niedługo potem dotarli do Islington w północnej części Londynu, gdzie znajdowało się więzienie. Dorożkarz odmówił jednak podjechania pod samą bramę, bo gdy tylko wjechali w Parkhurst Road, widać było, że przed więzieniem toczy się bitwa uliczna.

- Ale w ten tumult nie wjadę! Bo jeszcze zrobią złom z mojej dorożki!

- Wsiądziemy tutaj - rzekł szybko Phillip i otworzył portfel, żeby zapłacić.

- Znowu te cholerne baby - burknął dorożkarz. - Ciekaw jestem, kiedy rząd wreszcie się z nimi rozprawi! Powiadam panu, w wyborach za cztery tygodnie mój głos dostanie ta partia, która obieca zrobić porządek z tą hołotą!

Phillip wcisnął mu do ręki parę banknotów funtowych i powiedział śpiesznie:

- Tyle powinno wystarczyć!

Następnie pociągnął za sobą Frances i wysiedli z pojazdu.

Stanęli w deszczu pośrodku ulicy. Mina Phillipa wyrażała pełne zwątpienie, pewnie już żałował, że dał się wplątać w tę nieszczęsną historię. Przed bramą więzienia około stu pięćdziesięciu kobiet demonstrowało na rzecz uwolnienia aresztowanych towarzyszek. Policjanci próbowali rozpędzić demonstrację, bijąc kogo popadnie i wybierając z tłumu kobiety, żeby je aresztować.

Phillip, któremu zęby dzwoniły z zimna, przytrzymał Frances za ramię.

- Frances, nie może pani teraz tam wejść! Nie przejdzie pani przez ten tłum! Jedźmy do domu. Jutro spróbujemy...

Rozgniewana strząsnęła jego rękę.

- Chcę zobaczyć, co z Alice, i za chwilę tam wejdę. Nie musi pan przecież iść ze mną!

Otuliła się mocniej mokrym płaszczem i pobiegła wzdłuż ulicy. Usłyszała, że Phillip zaklął cicho, lecz podążył za nią. Przeciskała się między demonstrującymi kobietami, słyszała krzyki i przekleństwa, a wściekłe głosy policjantów docierały do niej jak przez mgłę. W zdenerwowaniu nie zauważyła, że pakuje się właśnie w sam środek kotłowiska, że grozi jej już bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Tuż przed nią jeden z policjantów włókł za włosy starszą kobietę, inny kopał czubkiem buta w żebra jakąś postać leżącą nieruchomo na ziemi. Bardzo elegancko ubrana kobieta, która miała na sobie płaszcz obszyty futrem i kolczyki z dużymi szmaragdami w uszach, obejmowała słup latarni i pluć krwią do rynsztoka.

To jej widok wyrwał Frances z transu. Podeszła do niej - ktoś wpadł na nią, ktoś inny kopnął ją mocno w piszczel, ale nie zważała na ból - i wyciągnęła do niej rękę.

- Mogę pani pomóc?

Kobieta, która stała pochylona do przodu, wyprostowała się powoli i otarła grzbietem dłoni krew z ust.

- Już mi lepiej - powiedziała ochryple. - Wybili mi tylko dwa zęby.

Frances wpatrywała się w nią przerażonym wzrokiem i wreszcie do niej dotarło, co się wokół dzieje. Słyszała krzyki, widziała, jak kobiety próbują uciekać i jak mężczyźni je gonia, żeby je bić gołymi rękami. Widziała też jednak kobiety walczące jak dzikie koty, kopiące i bijące na oślep, i dosłownie wczepiające się w policjantów pazurami. Pod więzieniem paliło się niewiele latarni ulicznych, a mgła i deszcz dopełniały obrazu, nadając scenerii upiorny, nierealny wygląd.

Odwróciła się i zapytała:

- Phillip?

Ale zgubiła go gdzieś w tłumie. Potrzebowała chwili, żeby odzyskać orientację, i w tym momencie to się stało: gdzieś z ciemności, od strony małego kościoła stojącego naprzeciwko więzienia przy rozwidleniu Parkhurst Road i Camden Road, nadleciał kamień. Duży, kanciasty, brzydki kamień. O milimetry minął głowę Frances i ugodził w skroń policjanta, który stał zaledwie kilka kroków od niej. Trafiony kamieniem mężczyzna osunął się na kolana, a następnie padł jak długi, twardo uderzając głową o ziemię. Nie wydał przy tym żadnego dźwięku.

Frances przekonana, że nie żyje, krzyknęła głośno. W następnej chwili rzuciło się na nią i przytrzymało ją kilku policjantów. Gdy jeden wykręcił jej rękę na plecy, krzyknęła ponownie, tym razem z bólu. Policjant kopnął ją kolanem w krzyż, więc przechyliła się do przodu. Drugi chwycił ją za włosy i tak mocno szarpnął jej głowę w bok, że łyzy stanęły jej w

oczach. Trzeci stanął przed nią, widać było, że zamierza właśnie uderzyć ją w twarz; bezskutecznie próbowała się schylić. Powstrzymał go czwarty policjant.

- Nie. Puść ją!

- Ale ona go zabiła! Ona zabiła Billy'ego!

- Mimo to. Wystarczy. Niech sędzia zadecyduje.

Mężczyzna, który wykręcił Frances rękę na plecy, puścił ją, podobnie uczynił drugi, który trzymał ją za włosy. Frances usiadła na mokrej od deszczu ulicy, przyciskając do ciała zmaltretowaną rękę. W ramieniu czuła piekielny ból, zastanawiała się, czy nie jest zwichnięte. Policjant, który obronił ją przed brutalnością swoich kolegów, pochylił się nad nią.

- Proszę wstać. Jest pani aresztowana.

Pomógł jej się podnieść. Ramię Frances przeszył szarpiący ból. Ujrzała leżącego na ulicy mężczyznę: zajęło się już nim kilku kolegów. Kiedy uświadomiła sobie, co jej się zarzuca, ogarnęła ją panika.

- To nie ja - powiedziała. - To naprawdę nie ja.

- Wszystko się okaże. Pójdzie pani teraz ze mną.

Udręczona bólem nie znalazła już w sobie siłę, żeby się bronić. Policjant pociągnął ją za sobą. Później zdała sobie sprawę, że miała szczęście, bo przynajmniej nie stosował przemocy.

Kiedy zamknęły się za nimi wysokie bramy więzienia, powtórzyła jeszcze raz słabym głosem:

- To nie ja!

Nie wyglądało jednak na to, żeby ktokolwiek jej wierzył.

Zamknięto ją w celi, w której siedziały już cztery kobiety. Pomieszczenie miało mniej więcej pięć kroków długości i tyleż szerokości, naprzeciwko drzwi, tuż pod sufitem, znajdowało się małe zakratowane okno, przez które można by wyglądać, gdyby stanęło się na krześle lub skrzynce. Ściany były z czerwonej cegły, posadzkę stanowił zimny beton. Były tylko cztery łóżka, a dokładnie dwa podwójne piętrowe z cienkimi wygniecionymi materacami i wytartymi wełnianymi kocami, po których widać było, że są twarde jak deska i drapiące. W kącie stało wiadro.

Pozostałe cztery kobiety wyglądały na równie wymęczone, przemoczone i zrozpaczone jak ona. W każdym razie chyba żadna nie miała poważniejszych obrażeń. Tylko jedna trzymała się za brzuch, jęcząc cicho, powiedziała, że w każdej chwili może zwymiotować i że przykro jej, jeśli będzie musiała to zrobić w obecności innych. Wysoka



kobieta o siwych włosach i stanowczym wyrazie twarzy podeszła do Frances, która zatrzymała się tuż przy drzwiach.

- Nazywam się Carolyn - przedstawiła się. - Jestem pielęgniarką. Mogę obejrzyć pani ramię? Wygląda na to, że bardzo panią boli.

- Owszem - potwierdziła Frances tak ochryłym głosem, że ledwo ją było słyhać. Odchrząknęła. - Owszem - powtórzyła. - Okropnie mnie boli.

- Proszę zdjąć płaszcz - poprosiła Carolyn. - Ostrożnie! Tak. Bardzo powoli!

Mokry płaszcz upadł na ziemię.

- Niech pani rozepnie sukienkę - poprosiła znowu Carolyn.

Frances zawahała się. Wiedziała jednak, że wstydlivość jest nie na miejscu wobec powagi sytuacji. Carolyn zsunęła jej z ramion materiał.

- Wybita nie jest - oświadczyła, obmacawszy staw barkowy i poruszywszy ostrożnie jej ręką tam i z powrotem. - Jest tylko zwichnięta. Przez jakiś czas jeszcze poboli, ale potem będzie w porządku.

- Bardzo dziękuję - wyszeptała Frances i zaczęła się z powrotem ubierać.

Mokry materiał sukienki, zimny i ciężki, lepił się do ciała, lecz dopiero teraz zauważyła, że także skórzane trzewiki do kostek są zupełnie przemoczone, a jej stopy przypominają w dotyku bryłki lodu. Wystraszona zastanawiała się, co wyniknie z jej przeziębienia, jeśli nie założy szybko suchych rzeczy. Ponieważ zmarznięcie, ból głowy i gorączka były rzeczywistością dostępną bezpośrednio, niebezpieczeństwa grożące jej z tej strony absorbowały ją o wiele bardziej niż problemy, z którymi miałyby do czynienia, gdyby w dalszym ciągu uważano, że to ona rzuciła kamieniem w policjanta. Groziło jej oskarżenie o ciężkie uszkodzenie ciała lub nawet - jeśli policjant zmarł lub miałby umrzeć później - o zabójstwo.

- Jak pani się nazywa? - spytała Carolyn.

Podniosła przemoczony na wylot płaszcz Frances i powiesiła go do wysuszenia na jednym z górnych łóżek, obok okryć pozostałych kobiet.

- Frances Gray - odpowiedziała.

Carolyn zmierzyła ją zatroskanym wzrokiem.

- Ma pani gorączkę. Widzę to po pani oczach. - Położyła dłoń na jej czole i pokiwała głową. - Tak. Jest pani chora.

Do drzwi podeszła inna kobieta. Była młoda i atrakcyjna; jej ubranie, mimo że mokre i pomięte, zdradzało robotę pierwszorzędnego krawca. Jak się okazało, nazywała się Pamela Cooper i była córką profesora Oksfordu.

- Już trzy razy pytałam o suche ubrania - powiedziała. Głos jej drżał z ledwo tłumionej złości. - To niepojęte, co oni z nami robią. Nie mają prawa zamykać nas tutaj, a tym bardziej nie wolno im nas maltretować!

Zaczęła szarpać za okratowane drzwi i krzyczeć.

- Do diabła, nikt się tu nie pokaże? Chcę, żeby natychmiast ktoś tutaj przyszedł!

W końcu zjawiła się strażniczka, gburowata osoba z cieniem zarostu nad górną wargą.

- Niech pani się tak nie wydziera - zgromiła Pamelę. - Nie jest pani tu w hotelu, a ja nie jestem tu po to, żeby tańczyć, jak mi pani zagra!

Pamela w ogóle nie zważała na jej słowa.

- Poskarżę się - powiedziała - jeśli nie dostaniemy natychmiast suchych rzeczy na zmianę i dodatkowych koców. Ta pani - wskazała Frances - ma gorączkę. Jest mocno przeziębiona i jeśli poważnie się rozchoruje, to pani zostanie pociągnięta do odpowiedzialności i pani będzie mieć nieprzyjemności, mogę to pani obiecać!

- Czyżby? - Strażniczka nie dała się tak łatwo zastraszyć. - Jak widać, jest wystarczająco zdrowa, żeby w taką pogodę włóczyć się po ulicy i rozrabiać. A kto jej powiedział, że tak ma robić? Może ja jej powiedziałam? To ci dopiero, ja miałabym być teraz pociągnięta do odpowiedzialności za wasze bzdury!

- Domagamy się suchych ubrań - obstawała Pamela - oraz koców. I to natychmiast!

Strażniczka pokręciła głową i zniknęła, lecz Pamela zaczęła natychmiast znów szarpać za kraty i krzyczeć. W końcu osiągnęła bądź co bądź tyle, że po godzinie zawziętych pertraktacji ze strażniczką przyniesiono im do celi pięć dodatkowych koców. O ich mokre ubrania nie troszczył się nikt.

- Za pół godziny zostanie wyłączone światło - powiedziała strażniczka - więc postarajcie się być już wtedy w łóżkach.

Pamela natychmiast przeszła znowu do ofensywy.

- Mamy tu tylko cztery łóżka! A jest nas pięć, jak może pani zauważyła. Potrzebujemy jeszcze jednego łóżka!

W oczach strażniczki pojawiły się szydercze błyski.

- Podobno jesteście takimi dobrymi koleżankami! Więc dwie z was będą chyba mogły przespać się w jednym łóżku, prawda?

I zniknęła ze złośliwym uśmiechem na ustach.

- Wiedźma! - zawołała za nią Pamela. Ochrypla już od krzyku. - Obawiam się, że dzisiaj nic więcej nie wskóramy. Rzeczywiście powinnyśmy być w łóżkach, kiedy zgaśnie światło.

Zaczęły się naradzać, jak najlepiej podzielić miejsca. Lucy, kobieta dość sporej tuszy, miała dostać łóżko tylko dla siebie, tak samo Frances, bo była chora i mogła kogoś zarazić. Carolyn też mogła spać sama, a Pamela miała dzielić łóżko z piątą kobietą, młodą osobą o imieniu Helen. Helen również pochodziła z Oksfordu i znała się z Pamelą od dawna, choć tak naprawdę nie były zaprzyjaźnione.

- Mam nadzieję, że przynajmniej nie ma tu pluskiew ani pcheł - rzekła Pamela. Sceptycznie poddawała oględzinom swoje posłanie. - O Boże, na pewno nigdy dotąd nie leżałam w takim okropnym łóżku!

Kobiety pozbyły się mokrej garderoby, co było uciążliwym zajęciem w ciasnej celi, a następnie rozwiesiły swoje rzeczy, gdzie tylko się dało, żeby wyschły. Kolejno skorzystały z wiadra w kącie, każda musiała bardzo się przemóc, żeby to zrobić. W niedosuszonej bieliźnie położyły się w łóżkach i naciągnęły na siebie wełniane koce, które jednak prawie nie chroniły ich przed zimnem. Dająca światło nieosłonięta żarówka wisząca u sufitu zgasła. Cella pograżyła się w zupełnych ciemnościach.

Frances przez całą noc nie zmrużyła oka. Okropnie marzła, a głowa z każdą minutą bolała ją coraz bardziej. Formalnie czuła, jak gorączka rośnie. Chaotyczne myśli chodziły jej po głowie. Co się stało z Phillipem? Czy zorientował się, że ją aresztowano? Biedna ciotka Margaret na pewno przeżyła szok. Jej bratanica w więzieniu! Teraz będzie musiała zawiadomić brata, przyznając przy tej okazji, że Frances już od dłuższego czasu brała udział w demonstracjach feministek. Mimo że w całej historii w ogóle nie ponosiła winy, Charles będzie na nią zły z tego powodu.

Myślała także o Alice. Czy i ona znajduje się w tym samym więzieniu? Czy może przewieziono ją do szpitala? Czy była ciężko ranna? Czy ktoś zawiadomi George'a?

Co zrobię, zastanawiała się, jeśli poważnie zachoruję, na przykład na zapalenie płuc? Czy mi pomogą, czy pozwolą mi tutaj zamarznąć?

Bez przerwy szczękała zębami, nie wiedziała, czy to z zimna, czy z gorączki. Starła się zachować spokój, nie chciała budzić innych - jeśli pozostałe kobiety w ogóle spały.

Szczelniej otuliła się kocami i pomyślała z zazdrością, że Pamela i Helen trafiły jednak lepiej: przynajmniej mogły się ogrzać nawzajem.

W pewnym momencie, na dworze było jeszcze całkiem ciemno, zapaliło się światło, zalewając całą celę nagą, brzydką jasnością. Jednocześnie w całym budynku rozległy się różne dźwięki: trzask otwieranych i zamykanych drzwi, szcęk naczyń, głosy, nawoływania i brzęk misek.

Kobiety podniosły się na łóżkach. Pamela i Lucy były zupełnie zaspane, inne,

podobnie jak Frances, tylko leżały, nie śpiąc. Schodząc ze swojego łóżka, Frances miała wrażenie, że w jej głowę wwiercają się setki igieł. W nocy włosy jej wyschły, lecz teraz były na pewno zupełnie skołtunione.

W lodowatej celi nie wyschła naturalnie nawet jedna sukienka. Ponowne ubieranie się okazało się tak nieprzyjemne, że wszystkie uznały, iż lepiej by było, gdyby poprzedniego wieczoru nie rozbrajały się w ogóle. Przyniesiono im miskę zimnej wody; umyły w wodzie twarze i pomogły sobie nawzajem doprowadzić z grubsza włosy do porządku. Nie było grzebienia ani szczotki, upłynęło więc sporo czasu, nim uporały się z czesaniem. Potem usiadły na dolnych łóżkach i czekały, zmarznęte i zmęczone.

Po chwili zjawiała się nowa strażniczka; ta wydawała się sympatyczniejsza od swej koleżanki, która miała służbę poprzedniego wieczoru. Przyniosła śniadanie, które ku zaskoczeniu Frances okazało się obfitsze, niż się spodziewała. Była kawa, chleba pod dostatkiem, masło i marmolada. Strażniczka postawiła tacę w kącie i wyszła. Lucy chciała natychmiast wstać, pochłaniała już jedzenie oczami.

Jednak Pamela wcisnęła ją z powrotem na łóżko.

- Nie! - oświadczyła z mocą.

Wszystkie wytrzeszczyły na nią oczy. Tylko Carolyn od razu skinęła głową.

- Ma pani rację, Pamela - powiedziała. - Zareagujemy na swoje aresztowanie tak, jak zawsze to robią i robiły nasze współbojowniczki.

- Strajk głodowy - domyśliła się głośno Frances.

Pamela popatrzyła po twarzach pozostałych kobiet.

- Zgoda?

Pytanie było formalnością, brzmiało zresztą jak rozkaz. Wszystkie wyraziły milczącą zgodę.

- Po jednym albo dwóch dniach będzie ciężko - ostrzegła Carolyn - ale musimy wytrzymać. Może zresztą szybko nas wypuszczą.

- W takim razie każda z nas pozwala sobie teraz na kubek kawy - zarządziła Pamela. - Ale to wszystko. Poza tym nie przyjmujemy żadnego pożywienia.

Gorąca kawa wzmocniła siły życiowe wszystkich. Ale popijając ją małymi łykami, Frances przypominała sobie nagle, co Alice opowiadała o strajku głodowym, w którym brała kiedyś udział. Otóż wtedy na koniec wprowadzono przymusowe karmienie aresztantek.

I to, według relacji Alice, było najgorszą rzeczą, jaka się jej kiedykolwiek przytrafiła.

U Frances wprowadzono przymusowe karmienie czwartego dnia po aresztowaniu. Podobnie

jak jej towarzyszy z celi pozostała nieugięta, mimo że przynoszono im naprawdę dobre jedzenie. Kiedy zabierano potrawy, małe pomieszczenie jeszcze przez wiele godzin wypełniał ich zapach. Frances nie była pewna, czy wytrzymałaby, gdyby była sama, ale w grupie nie miała wyboru.

Co dziwne, wcale nie gruba Lucy najgorzej znosiła głodówkę, choć nierzadko narzekała, ale energiczna Pamela. Wydawała się bledsza z każdą godziną, często musiała nagle usiąść, bo robiło jej się czarno przed oczami, a dwa razy po prostu zwała się na ziemię bez ostrzeżenia jak ścięte drzewo. Frances próbowała ją przekonać, żeby zjadła przynajmniej trochę zupy, bo sól pomogłaby jej ustabilizować krążenie, lecz Pamela odmówiła bez ogródek i w dalszym ciągu od rana do nocy zmagiała się z omdleniami.

- Jesteś nieźle stuknięta! - mówiła mocno zbudowana strażniczka, ta, którą poznały pierwszego wieczoru. - Wszystkie jesteście nieźle stuknięte. Jeszcze się przekonacie, do czego to prowadzi! Dobry Boże, jak można być tak głupim!

I zabrała tacę z nietkniętymi potrawami, a aresztantki patrzyły za nią głodnym wzrokiem.

Choć Frances miała czasami wrażenie, że jej żołądek przypomina bolesną otchłań, to zimno dawało jej się o wiele bardziej we znaki niż głód. I tak zresztą nie miała apetytu. Jej przeziębienie nasiliło się jednak, przez cały czas gorączkowała, a przez to marzła jeszcze bardziej. Dygotała z zimna o każdej porze dnia i nocy, czasami nawet obawiała się, że wyobrażanie sobie gorącej kąpieli skończy się jeszcze obłędem, tak intensywnie, z taką przemożną siłą nawiedzała ją ta wizja.

Wystarczyły cztery dni w wyjątkowej skrajnej sytuacji, żeby spojrzała na swoje dotychczasowe życie innymi oczami i z zupełnie nieznaną jej do tej pory wdzięcznością. Duży, ciepły dom, piękny pokój, czyste, suche ubranie, do jedzenia i picia ile tylko chciała, a gdy była chora, dbały o nią matka i babka, parzyły jej ziółka, dotrzymywały towarzystwa i wciąż dopytywały się o jej samopoczucie. Nikt dotąd nie traktował jej tak brutalnie i grubiańsko, jak robiły to teraz strażniczki, nikt w rodzinie, nikt w znienawidzonej szkole, a John naturalnie to już wcale.

Ilekcję pomyślała o Johnie, czuła w sercu bolesne ukłucie. Obawiała się, że przypadnie jej w życiu coś ważnego, jeśli wyjdzie za niego za mąż, nie zbadawszy wcześniej innych możliwości, a teraz uważała, że są też możliwości, których wcale nie trzeba wypróbować. Po raz pierwszy życie pokazało jej swoje naprawdę brzydkie oblicze. Oblicze, które składało się z zimna i głodu, małej celi, twardego łóżka, śmierdzącego wiadra w kącie i uciążliwej bliskości czterech innych kobiet, z którymi łączyła ją wspólna

idea, ale nic poza tym. A wspólna idea to za mało, żeby siedzieć sobie na głowie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zresztą właśnie co się tyczy tej idei, Frances dręczyły nieraz wątpliwości. Nie chodziło wcale o treść. Zastanawiała się jednak, jak silny i trwały jest w rzeczywistości płomień, który w niej płonie. Czuła się jak ktoś, kto rozumem pochwycił, rozważył i uznał za dobrą jakąś myśl. Ale do serca myśl nie przeniknęła, więc i ono nie mogło pomóc w tej krytycznej sytuacji. Ze wszystkim, co ją spotykało, musiała się uporać rozumowo, nie pomagał jej w tym żaden ogień wewnętrzny. Czasami dręczyło ją pytanie, czy jest w ogóle zdolna do autentycznej namiętności: namiętności żywionej do człowieka lub do ideału. U Alice wyczuwała zawsze coś z tego płomiennego zapału, teraz odkryła go znowu u Pameli. Pamela żyła dla swojej walki. I w ostateczności była gotowa za nią umrzeć.

Pamelę zabrano pierwszą, aby poddać ją przymusowemu karmieniu. Kiedy ją przyprowadzono z powrotem, wyglądała okropnie: miała pogryzione do krwi, mocno spuchnięte wargi oraz siniaki na przegubach dłoni i kostkach u nóg, czyli w miejscach, gdzie ją przytrzymywano. Zdyszane strażniczki, które przyprowadziły ją do celi, twierdziły, że jeszcze nikt nie bronił się z taką pasją. Sama Pamela nie była w stanie nic powiedzieć. Od gumowej rurki, którą wprowadzono jej do żołądka, gardło bolało ją tak bardzo, że nie mogła wydobyć słowa.

Potem przyszła kolej na Frances.

Przez cały czas miała nadzieję, że będzie już za bramą więzienia, zanim to spotka również ją. Była przekonana, że rodzina już dawno poruszyła wszystkie sprężyny, aby jej pomóc. Może nawet znaleźli kogoś, kto mógł zaświadczyć, że to nie ona rzuciła kamień. Irytowało ją wprawdzie, że nikt się jeszcze nie pokazał, lecz Pamela uważała, że na razie to chyba niedozwolone; było tak wiele aresztowań, że nikt się nie orientował w panującym chaosie.

Około południa przyszło po nią dwóch mężczyzn. Potężnie zbudowanych, silnych jak tury, od pewnego czasu takich właśnie wyznaczano na ogół do tego rodzaju zadań, co było reakcją na gwałtowny opór, jaki stawiały bojowniczkami o prawa kobiet. Starszy z nich zapytał Frances, czy nie wolałaby przerwać strajku głodowego i w ten sposób oszczędzić wszystkim, a zwłaszcza sobie, mającej teraz nastąpić procedury, ale Frances odpowiedziała, że nie ma takiego zamiaru. Rozśmieszyło ją tylko, kiedy ci dwaj silni mężczyźni wzięli ją w środek, każdy z nich trzymał ją pod ramię, jakby się obawiali, że w każdej chwili może im uciec albo wręcz rzucić się na nich. Miała gorączkę, z głodu i choroby była zupełnie wycieńczona, więc z całą pewnością nie stanowiła w tej chwili żadnego poważniejszego zagrożenia.

- Wytrzymaj! - zawołała za nią Carolyn. - To nic przyjemnego, ale od tego się nie umiera!

Ze strachu miała nogi jak z waty. Zastanawiała się, jak mogła znaleźć się w takim okropnym położeniu. Musiała wyteńczyć całą energię, żeby się nie poddać, nie poprosić swojej eskorty o zawrócenie i nie obiecać, że będzie odtąd jeść dobrowolnie.

Muszę teraz wytrzymać, powiedziała sobie, Alice wytrzymała i Pamela też. Nie będę tą, która się załamie.

Ciemnymi schodami o wydeptanych stopniach dotarli do piwnicy budynku więziennego. Poszli długim wąskim korytarzem, po którego obu stronach znajdowały się zamknięte stalowe drzwi. Frances zastanawiała się z niepokojem, co też może się za nimi kryć.

Ostatnie stalowe drzwi na końcu korytarza były otwarte. Weszli do pozbawionego okien kwadratowego pomieszczenia o gołych ścianach, w środku nie było żadnych mebli z wyjątkiem rozklekotanego krzesła.

- Proszę usiąść - powiedział jeden z mężczyzn.

Frances usiadła ciężko na krzeselku. Marsz zmęczył ją, czuła, że jest bardziej chora, niż sądziła. Miała wrażenie, że nad jej głową wisi klosz, który osłabia wszelkie dźwięki docierające do jej uszu i spowija ją w głucho otępienie.

Wiedziała, że nie będzie się bronić. W ogóle nie miała siły, żeby stawiać opór. Jediną formą jej oporu była odmowa przerwania strajku głodowego. Poza tym pozwoli zrobić ze sobą wszystko.

Mężczyźni w dalszym ciągu stali przy niej niczym wartownicy. Rozmawiali ze sobą, ale gdy do Frances starali się zwracać zrozumiałą od biedy angielszczyzną, to między sobą posługiwali się tak mocnym cockneyem, że Frances prawie nic nie rozumiała. Nie próbowała nawet słuchać, o czym mówią, miała jedynie nadzieję, że szybko będzie po wszystkim.

Po kilku minutach weszło do pomieszczenia kolejnych dwóch mężczyzn, a razem z nimi dwie strażniczki dorównujące mężczyznom wzrostem i posturą. Wyglądało na to, że do przymusowego karmienia aresztantek oddelegowano najsilniejszych ludzi, co wyraźnie świadczyło o tym, jakie doświadczenia wyniesiono już ze stosowania tej metody.

- Przywiążcie ją - rozkazała flegmatycznie jedna ze strażniczek.

Frances poczuła, jak szorstkie sznury oplatają jej przeguby rąk, kostki nóg i tułów, a węzły zaciskają się z mocnym szarpnięciem. Z trudem stłumiła jęk bóleści. Dlaczego to robili? Czyżby ten środek ostrożności okazał się w przeszłości konieczny, czy też upokorzenie ofiary było po prostu częścią strategii? Pewnie bardzo dobrze wiedziano, jak

czuje się człowiek, którego całkowicie pozbawiono możliwości poruszania się, przywiązany do krzesła, bezsilny, zdany na łaskę i niełaskę.

Banda, pomyślała i mimo gorączki, całej nędzy jej położenia i głodu zawrzał w niej nagle gniew. Cholerna banda!

Wtem zobaczyła gumową rurkę. Czarną i grubą. O wiele za grubą! Chyba nie sądzili poważnie, że jest w stanie połknąć coś takiego. Nie sądzili też chyba, że po prostu wcisną jej taką rurkę do gardła i dalej, w głąb przełyku, bo przecież udusiłaby się, nie przeżyłaby tego. I nie sądzili...

Wiedziała jednak, że są do tego zdolni. I wiedziała, że to zrobią.

Teraz zrozumiała wszystko: po co te sznury, gromada ludzi i dlaczego wybrano najsilniejszych. Rzut oka na gumową rurkę by wystarczył, żeby zmobilizować w niej siły, o które już siebie nie posądzała.

Zaczęła szarpać sznury, próbowała wyprężyć ciało, walczyła jak dzikie zwierzę miotające się w matni. Usłyszała, jak ktoś powiedział:

- Tylko trzymajcie ją mocno! To też taka dzika kocica!

A ktoś inny dodał:

- Łajdackie nasienie!

W przekleństwie tym bardziej pobrzmiewało zmęczenie niż złość, toteż Frances przemknęło przez głowę, że mówiący te słowa mężczyzna przeprowadza pewnie przymusowe karmienie aresztowanych kobiet od rana do wieczora i prawdopodobnie serdecznie nienawidzi swojej pracy.

Silne ręce przycisnęły jej przeguby do poręczy krzesła. Czyjeś dłonie w skórzanych rękawiczkach chwyciły ją pod brodę i odchyliły jej głowę do tyłu. Widziała nad sobą wykrzywione twarze, wahała czyjś gorący oddech, który muskał jej twarz. Walczyła ze wszystkich sił, lecz nie zdołała wykonać żadnego ruchu, jej ciałem wstrząsały tylko konwulsyjne drgawki.

Inne dłonie, również w rękawiczkach, chwyciły ją brutalnie za usta i mocnym szarpnięciem rozwarły jej szczękę. Oburzona próbowała zamknąć usta, kiedy łyzy stanęły jej w oczach i narastała w niej wściekłość na upokarzające traktowanie, lecz bez najmniejszej nadziei na jakikolwiek efekt: była unieruchomiona niczym w imadle.

- A teraz wsadźcie go jej jak się da najgłębiej! - powiedział ktoś, któryś z mężczyzn, a jedna z kobiet roześmiała się obleśnie.

Frances poczuła nagle obrzydliwy smak gumy na języku, gorzki i w pewnym sensie chemiczny, a w następnej chwili uświadomiła sobie prawie nieodparty odruch wymiotny.



Ogarnęła ją panika, bo zdała sobie sprawę, że jeśli teraz zwymiotuje, to się udusi. Językiem, dosłownie jedynym mięśniem swego ciała, którym mogła jeszcze swobodnie poruszać, walczyła z gumową rurką jak szalona, choć bez najmniejszych szans na zwycięstwo. Gwałtowne dławienie, jakim reagowała na wdzieranie się rurki w głąb gardła, brzmiało w jej uszach głośno i przerażająco. Chropowata gruba rurka w przełyku sprawiała jej okropny ból, jeszcze gorsze były jednak nudności; gorsze było to, że zdawało jej się, że się dusi; gorsze było to, że wszystko w jej wnętrzu ścisnęło się konwulsyjnie i stawiało opór, powiększając tylko torturę. Wyrzucała z siebie urywane chrapliwe dźwięki, próbując powiedzieć swoim dręczycielom, że m u s z ą ją wypuścić, bo za chwilę zwymiotuje i się u d u s i. Nikt jednak nie reagował, nikt nie zwracał uwagi na jej mękę.

Pompowali jej płynne pożywienie do żołądka, a gdy skończyli, wyciągnęli rurkę, z większą brutalnością i pośpiechem, niż powinno się to odbyć. Bolało ją przy tym jak wszyscy diabli, paliło jak ogień, a potem czuła się zupełnie obolała i rozbita.

A mimo to, mimo paniki, zwątpienia i okrutnego bólu, który wypełniał jej wnętrzności, po raz drugi, odkąd usiadła na tym krześle, Frances zawrzała gniewem, żywiołowym, nieopanowanym gniewem, którego nic nie było w stanie uśmierzyć.

Pech jej dręczycieli polegał na tym, że nie zachowali do końca należytej ostrożności. Gdy zelżał uścisk mężczyzny, który siłą rozwierał jej szczęki, i rurka wyslizgnęła się z ust, Frances ugryzła. Z całej siły, jakiej dodała jej udreka, wbiła się zębami w jego rękę, a ponieważ dręczono ją po bestialsku, więc i ona ugryzła bestialsko. Czuła, że przegryzła skórzaną rękawiczkę, usłyszała trzask rozpryskującej się kości. Mężczyzna ryknął z bólu i cofnął maltretowaną dłoń. Frances zdążyła jeszcze spojrzeć mu w twarz, która pobieliała jak kreda. W następnej chwili spadła z krzesła i straciła przytomność.

Następnego dnia pozwolono jej zostać w łóżku, choć zwykle było to zabronione. Ale strażniczka, która przyniosła rano śniadanie - żeby je potem zabrać, znowu nietknięte - zerknęła tylko na nią, a potem skinęła głową na znak zgody, gdy Frances ledwo słyszalnym głosem poprosiła, by nie musiała wstawać.

Była rozpalona od gorączki, przy każdym oddechu z jej piersi wydobywało się rżenie. Miała wrażenie, że jej ciało jest jedną wielką raną, a skórę ma zdartą do krwi. Mówienie i przełykanie przychodziło jej z ogromnym trudem. Miała skurcze żołądka i co chwila musiała się wlec do wiaderka w rogu. To było chyba najgorsze. Udreka było już korzystanie z wiadra, kiedy się nie chorowało, ale piekłem było, gdy człowiek cierpiał na nudności i biegunkę.

Na śniadanie nie chciała już nawet pić, bo przełykanie sprawiało jej zbyt wielki ból, lecz pozostałe kobiety uparły się, żeby to zrobiła.

- W przeciwnym razie za bardzo pani osłabnie - oświadczyła Carolyn. - No, już! Przynajmniej trochę wody!

Podtrzymały jej głowę i przytknęły kubek do ust. Frances zrozumiała, że nie ustąpią, więc wypila, choć nawet zimna woda paliła ją niczym ogień w zmasakrowanym przełyku i łzy same stały jej w oczach.

Po śniadaniu zabrano ponownie Pamelę, choć w dalszym ciągu ledwo mogła mówić i wyglądała bardzo kiepsko.

- To niesprawiedliwe! - wydusiła Lucy, kiedy Pamela wyszła pod eskortą. - Dlaczego znowu ona?

- Oni wiedzą, że prędzej złamią wolę człowieka wtedy, gdy nie zostawiają mu czasu na to, by w przerwach doszedł do siebie - wyjaśniła Carolyn z ponurą miną. - Ale nie martwcie się. Na nas, pozostałe, też przyjdzie kolej!

Po jej słowach zapadło przygnębiające milczenie. Frances pomyślała, że jeśli Carolyn ma rację, to także ona zostanie tego dnia powtórnie poddana przymusowemu karmieniu. Jęknęła cicho. Nie wiedziała, skąd wziąć siły, żeby jeszcze raz wytrzymać tę mękę.

Pamela po powrocie osunęła się bez słowa na łóżko i ukryła twarz w poduszce. Żadna nie miała odwagi odezwać się do niej. Minęło kilka godzin, w trakcie których nic się nie wydarzyło, ale późnym popołudniem zjawiała się strażniczka i krzyknęła na Frances, że ma wstać i pójść z nią.

Pamela po raz pierwszy, od kiedy wróciła, uniosła głowę. Wargi tak jej spuchły, że twarz miała zupełnie zniekształconą.

- Ona jest chora - wyszeptała niewyraźnie.

- Proszę się nie wtrącać! - warknęła strażniczka.

Frances pozbierała się mimo bólu i wstała. Kręciło jej się w głowie, gardło ją bolało, ale skończyły się przynajmniej skurcze żołądka. Obciągnęła spódnicę, rozpalonymi od gorączki dłońmi próbowała rozczesać zmierzwione włosy. Wiedziała, że wygląda marnie, miała jednak nadzieję, że odzyska odrobinę swej godności, gdy doprowadzi się choć trochę do porządku. Panicznie się bała, ale starała się, żeby nikt tego nie zauważył. Chyba wiedziano, jak bardzo osłabła w międzyczasie, w przeciwnym razie oddelegowano by zapewne do eskorty znowu dwóch mężczyzn, a nie tylko jedną kobietę.

Pewnie wyglądam dość żałośnie, pomyślała, wlokąc się korytarzem.

Ku jej zaskoczeniu nie zaprowadzono jej tym razem do więziennej piwnicy, tylko do

pomieszczenia na parterze, przedzielonego pośrodku kratą sięgającą sufitu. Po jednej i po drugiej stronie kraty znajdowało się drewniane krzesło.

- Proszę usiąść - rozkazała strażniczka. Sama zatrzymała się w drzwiach i zaczęła obgryzać paznokcie.

Frances usiadła i wzięła głęboki oddech. Nadal była zdenerwowana, lecz panika zelżała. Najwidoczniej nie zamierzano jej ponownie dręczyć tak jak poprzedniego dnia. W napięciu wpatrywała się w drzwi znajdujące się po drugiej stronie pomieszczenia. Było jasne, że ktoś przyszedł do niej w odwiedzinach. Ciotka Margaret? Phillip? A może jej rodzice?

Drzwi otworzyły się i wszedł John.

Frances była tak zaskoczona, że mimo woli wstała. Choć liczyła się z wizytą różnych osób - to na pewno nie Johna. Kiedy podszedł do niej, z jego przerażonej twarzy wyczytała, jak ona sama musi wyglądać - a mianowicie: nad wyraz żałośnie.

- Mój Boże, Frances, jesteś... - powiedział i urwał, po czym dodał bardziej rzeczowym tonem: - Co ty wyprawiasz?

Próbował dotknąć jej rąk przez kraty, ale jego gest wywołał tylko natychmiastową reakcję strażniczki:

- Dotykanie zabronione! Niech każde cofnie się o krok!

John spełnił polecenie, ale Frances nie przejęła się jej rozkazem, nadal stała przy kracie wczepiona w nią palcami.

- John! - Wychrypiała jego imię z wielkim trudem. - John, jak miło, że przyszedłeś!

Uświadomiła sobie, jak wielki musi być kontrast między nimi: John w ciemnym garniturze, zadbane i czysty, elegancki i pachnący dobrą wodą po goleniu. A ona - obdarta i zaniedbana, w pomiętej, poplamionej sukience, śmierdząca potem, ze zmierzwionymi, splątanymi włosami. Dużo później John opowiedział jej, że wyglądała jak głodne, parszywe zwierzę i że rzadko w życiu był tak wystraszony jak wtedy.

Przełknął głośno ślinę.

- Co oni z tobą zrobili? - zapytał.

Frances stwierdziła, że łatwiej będzie, jeśli zacznie szeptać.

- Poddali mnie przymusowemu karmieniu - wyszeptała - a poza tym mam grype.

John poblądł.

- Dobry Boże - powiedział.

- Jakoś mi przejdzie - uspokoiła go Frances.

John popatrzył na nią wzrokiem pełnym troski i czułości i nagle się uśmiechnął.

- Wiesz, że jesteś tutaj sławną osobą?

- Dlaczego?

- Udało mi się już dowiedzieć tyle, że jesteś tematem rozmów w całym więzieniu. Odgryzłaś strażnikowi palec, a przynajmniej niewiele brakowało, żebyś odgryzła. Każdy, kto wypowiada twoje nazwisko, jest zszokowany, i słyhać to w jego głosie.

- Dręczyli mnie. To dlatego...

Również John zapomniał o poleceniu strażniczki i ponownie podszedł bliżej, wyciągnął rękę i dotknął przez kraty twarzy Frances.

- Ten strażnik cię dręczył? - zapytał cicho.

- On też, tak.

- Szkoda, że nie odgryzłaś mu całej ręki - rzekł z pasją.

Była wzruszona wściekłością, którą dostrzegła w jego oczach, lecz w chwilę później niemile zaskoczona zauważyła, że jego wściekłość ustępuje miejsca bezradności i bezsilności.

- Ale dlaczego? - zapytał. - Dlaczego?

Wiedziała, że chodzi mu o udział w demonstracji i jej lekkomyślność, wszak to spowodowało, że znajdowała się teraz w tej sytuacji i w tak opłakanym stanie.

- Najdziwniejsze jest to - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem - że ja właściwie nie brałam w tym udziału. Byłam chora i zamierzałam zostać w domu.

- Ale przecież...

- Dowiedziałam się, że moja przyjaciółka została ranna, a w dodatku aresztowana. Chciałam się do niej dostać. Chciałam zobaczyć, czy mogę coś dla niej zrobić. Dlatego wylądowałam tutaj. - Wzruszyła ramionami. - To był naprawdę pech!

John mimo woli zniżył głos, dopasowując się do jej szeptu.

- Ciężko zraniłaś policjanta. Trafiłaś go kamieniem w skroń. Masz wielkie szczęście, że nie umarł!

- To nie ja! Ktoś za mną rzucił kamieniami. - Zdała sobie sprawę, że głos odmówi jej wkrótce posłuszeństwa. Znużonym tonem dodała jeszcze: - Przysięgam ci, naprawdę tego nie zrobiłam!

- Trudno będzie to udowodnić. Zostaniesz oskarżona o ciężkie uszkodzenie ciała, w dodatku policjanta. Mój Boże, Frances - przeczesał wszystkimi palcami włosy w geście wzburzenia, a zarazem rezygnacji - po prostu nie potrafię tego zrozumieć. Dlaczego w ogóle związałaś się z tymi kobietami? Przecież ci mówiłem, wtedy w Daleview, że to może być niebezpieczne i żebyś raczej trzymała się od tego z daleka!

Wtedy w Daleview... Ile czasu minęło od tego ciepłego, niemal letniego dnia w maju? Pół życia, tak czuła teraz Frances, dzieliło ją od dziewczyny, którą była wtedy.

- Nie zawsze można trzymać się z daleka - wybąkała, a równocześnie uświadomiła sobie, że może to szybko pociągnąć za sobą szereg poważnych problemów w jej życiu.

- Frances, jak wiesz, nie jestem przeciwnikiem prawa wyborczego dla kobiet - powiedział John - ale w ten sposób po prostu nie można. Tak się tego nie robi. Powybijane szyby i rzucone kamienie to nie są argumenty!

- Ale to jest coś, co zmusza do wysłuchania - wyszeptała Frances. Uśmiechnęła się przeprasząco. - Niedługo nie będę już mogła mówić. Potwornie boli mnie gardło.

- Frances - rzekł John zaklinającym tonem - może uda mi się Cię stąd wyciągnąć. Nie wiem jeszcze, co powinniśmy zrobić w sprawie podejrzenia o uszkodzenie ciała, ale może przez znajomości zdołam załatwić przynajmniej tyle, że przeniosą cię do szpitala. Naprawdę źle wyglądasz i myślę, że...

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo... - Jak miała mu to wyjaśnić? - Nie mogę tego uczynić. Pozostałe musiałyby przecież pozostać w więzieniu.

- Ale one demonstrowały. A ty nie. Sama mi właśnie powiedziałaś, że w zasadzie wpakowałaś się w tę kabałę zupełnie przypadkowo!

Powieki ją piekły. Wydawało się, że gorączka rośnie z każdą minutą.

- To był przypadek, że nie uczestniczyłam w demonstracji. Wzięłabym w niej udział, gdyby nie dopadło mnie to przeziębienie. Popieram cele tych wszystkich kobiet. Nie mogę więc teraz skorzystać z takich czy innych przywilejów i się ulotnić. Innym też jest źle, a muszą zostać.

Na twarzy Johna, na której walczyły dotychczas ze sobą różne odczucia, malowała się już tylko irytacja.

- Chcesz przez to powiedzieć, że po tym wszystkim tutaj... - wykonał ręką gest, którym objął zimne, gołe pomieszczenie, a odniósł go do całego więzienia - zamierzasz nadal angażować się w tę historię? Że w dalszym ciągu solidaryzujesz się z tym ruchem?

- Tak.

Wytrzeszczył na nią oczy. Strażniczka omal nie zwichnęła sobie uszu, próbując podsłuchać, o czym rozmawiają.

- Jesteś szalona - rzekł John. - Przypuszczalnie nie masz pojęcia, że tkwisz po szyję w bagnie. Musisz odciąć się od tego wszystkiego. Tylko wtedy będziesz mieć szansę uwiarygodnienia swoich zeznań, że to nie ty rzuciłaś kamieniem. Frances, proszę, nie bądź teraz głupia!

- Nie mogę tego uczynić. Nie rzuciłam kamieniem i tak zeznam. Ale pod całą resztą się podpisuję.

W jego oczach zabłyśły iskry gniewu, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziała.

- Przegrasz wszystko, Frances. Naprawdę masz talent do tego. Przegrasz to, co mogłoby być między nami, a to bardzo niedobrze, ale co gorsza, przegrasz także swoją przyszłość. I to już jest idiotyzm. W imię czego? Prawo wyborcze dla kobiet nie zależy przecież od ciebie. Zmiana w ustawie nie nastąpi ani o dzień wcześniej tylko dlatego, że ty będziesz tu siedzieć i cierpieć. Twoja walka zresztą i tak wkrótce się skończy, bo zamkną cię w więzieniu na długie lata. Zupełnie niepotrzebnie robisz z siebie męczennicę!

- Ja należę do nich. I nie mogę podwinąć ogona i uciec już za pierwszym razem, gdy znajdę się w niebezpiecznej sytuacji. Ty też byś tego nie zrobił.

- Ja na pewno w ogóle bym się nie wdawał w takie bzdury! - odpalił impulsywnie. - Frances - zerknął na strażniczkę i zniżył głos - w dalszym ciągu chcę się z tobą ożenić. Naprawdę, zasmakowałaś już życia poza Leigh's Dale. Chciałbym, żebyś...

- A więc o to chodzi! - wychrypiała Frances. Przywołała uśmiech na znużoną twarz, która wyrażała pogardę i bolesną ironię. - Naturalnie! Obiecujący polityk John Leigh! Chcesz dostać się do Izby Gmin, w dodatku z ramienia torysów. A do kariery potrzebujesz oczywiście odpowiedniej kobiety u swego boku. Nie takiej, która była w więzieniu i przyłączyła się do tych hultajskich sufrażystek. Chcesz się ze mną ożenić, ale przedtem, rzecz jasna, mam się dać szybko nawrócić na twoje poglądy. John, ależ z ciebie głupiec! Czyżbyś nie znał mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że teraz tym bardziej tego nie zrobię?

- Proszę, pozwól sobie...

Ale ona już się odwróciła.

- Chciałabym wrócić do swojej celi - powiedziała do strażniczki, wydobywając z siebie głos ostatkiem sił.

- Frances! - zawołał John. - Popelniasz błąd!

Jeszcze raz popatrzyła na niego. Obraz Johna stojącego za oddzielającą ich kratą wrył się w jej pamięć głębiej niż wszystkie inne obrazy, jakie nosiła w sobie. John tak bardzo nie pasował do tego otoczenia. Ale zjawił się, bo zawsze pojawiał się wtedy, gdy miała kłopoty. W tym momencie jednocześnie kochał ją i jej nienawidził.

Nagle uświadomiła sobie, że już nigdy jej nie zapyta, czy zechce wyjść za niego; prędzej odgryzie sobie język. Gdyby chciała teraz od niego czegokolwiek, musiałaby prosić o to na kolanach. Łzy stanęły jej w oczach, więc szybko odwróciła się, żeby tego nie zauważył. Odprawiała go po raz drugi, lecz teraz utraciła go ostatecznie. Czowała przy tym, że owa strata to

coś więcej niż utrata tego mężczyzny: obejmowała ona wszystko, co było dotychczas jej życiem. Podjęła decyzję, która odsunęła ją od wszystkiego, co kochała.

Wyszła z pomieszczenia i nie popatrzyła już na Johna.

Któregoś dnia nawet już jej nie spytano, tylko przeniesiono ją po prostu do szpitala. Miała ciężkie zapalenie płuc i tak wysoką gorączkę, że prawie nie docierało do niej, co się dzieje. Dopiero dużo później dowiedziała się, jak bliska była śmierci w tamtych tygodniach.

W szpitalu odwiedziła ją Margaret, Margaret, która straciła mnóstwo na wadze i z byle powodu wybuchała płaczem. Phillip siedział przy łóżku Frances, ilekroć mu tylko pozwalano. Zjawił się George; miał na sobie mundur szkoły wojskowej w Sandhurst, ale Frances, mając w gorączce, nie poznała go w pierwszej chwili. Opowiadał, że Alice zwolniono z więzienia, jednak i ona była poddawana przymusowemu karmieniu i czuje się psychicznie bardzo źle. Informacja ta dotarła do świadomości Frances dopiero po jakimś czasie. Nie wiedziała też, że ciągle wzywała matkę ani że Maureen jednak nie przyszła. Czasami widziała nad sobą pocziwą szczupłą twarz siwego mężczyzny i przez kilka sekund myślała wtedy z radością, że to jej ojciec. Ale mimo otaczającej ją ciągle mgły za każdym razem poznawała jednak, że to nie Charles, tylko lekarz, który się nią opiekował.

No cóż, ojciec też przyjdzie, wkrótce, myślała z niezłomną nadzieją dziecka, które jeszcze nie wie, jak często życie bywa mało skłonne do spełniania gorących pragnień.

Jej ojciec faktycznie przyszedł, ale nie było tak, jak Frances wyobrażała sobie w swoich marzeniach. Zjawił się zaraz po Bożym Narodzeniu, w dniu, w którym Frances mogła po raz pierwszy opuścić łóżko i jeszcze na nogach jak z galarety, uczepiona ramienia pielęgniarki, podjęła pierwsze próby chodzenia. Dziesięć dni wcześniej jej stan był tak poważny, że jak powiedział jej lekarz, nie sądził wtedy, że przeżyje. Wychudła całkiem, sama skóra i kości, podkrążone oczy schowały się w oczodołach, twarz miała upiornie bladą. Czuła się zbyt słaba, żeby wstać, ale pielęgniarka powiedziała, że jeśli jeszcze dłużej będzie leżeć, może to być niebezpieczne. Wlokła się więc długim szpitalnym korytarzem tam i z powrotem i choć czuła się bardzo podle, uświadamiała sobie przecież, jak pierwsze siły nieśmiało torują sobie drogę. Zbudziła się w niej na nowo wola życia, która wydawała się już niemal złamana przez chorobę. Zaciśnęła zęby: będzie chodzić. Będzie jeść. Wyzdrowieje. Potem zobaczy, co dalej.

Nie wierzyła własnym oczom, gdy zobaczyła w korytarzu Charlesa, który się do niej zbliżał. Wypuściła podtrzymujące ją ramię pielęgniarki i niepewnym krokiem wyszła mu na spotkanie.

- Ojcie!

Zdołał ją złapać w ostatniej chwili, zanim nogi się pod nią ugięły. Spoczywała w jego ramionach, wdychała pocieszająco swojski zapach - trochę wody po goleniu, trochę cygara, trochę whisky - i czuła, że po bardzo długim czasie wróciła do domu.

- Mama też jest? - zapytała w końcu i podniosła głowę.

Dopiero teraz z pełną świadomością spojrzała mu w twarz, ale przestraszył ją obcy, pełen dystansu, niemal wrogi wyraz jego oczu. Mimo woli cofnęła się o krok, lecz nie doceniła swojego osłabienia. Natychmiast zachwiała się znowu. Ojciec chwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Rozmawiałem z lekarzem - powiedział. - Zgadza się, żebyś opuściła szpital. Uważa, że najszybciej wrócisz do sił w swojskim otoczeniu.

- Masz na myśli Westhill Farm, w domu?

Charles pokręcił głową.

- W chwili obecnej taka podróż byłaby o wiele za długa. Margaret gotowa jest przyjąć cię znowu - mimo tego wszystkiego, co jej zrobiłaś.

Kiedy wypowiadał to ostatnie zdanie, w jego głosie pojawiła się surowość i wtedy nagle Frances zauważyła, że jego chłód i rezerwa są udawane. W rzeczywistości kłębiła się w nim gwałtowna wściekłość i musiał się pilnować, żeby zachować przynajmniej uprzejmość.

Podeszła do nich pielęgniarka, która dyskretnie trzymała się z tyłu. Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Wiedziałam, że pani ojciec przyjedzie dzisiaj i zabierze panią - powiedziała - ale myślałam, że zrobimy pani niespodziankę. I myślę, że nam się udało.

Cała promieniała. Frances wzięła się w garść.

- Rzeczywiście - odpowiedziała, siląc się na uśmiech - nie liczyłam się z tym.

- Chodźmy, pomogę pani się ubrać i spakować rzeczy - rzekła pielęgniarka, biorąc ją pod ramię.

Wyglądało na to, że Charles poczuł ulgę, gdy mógł wreszcie wypuścić córkę z ramion.

- Zaczekam tutaj. - On nie silił się na uśmiech. - Nie musisz się śpieszyć - dodał.

Frances z wysiłkiem wróciła do swego pokoju i ubrała się z pomocą pielęgniarki. Kilka dni wcześniej Margaret przyniosła jej parę rzeczy do ubrania na czas rekonwalescencji. Długa wełniana spódnica owinęła się wokół nóg Frances jak worek kartofli, a pulower wisiał na jej kościstych barkach niczym przebranie stracha na wróble.

- Proszę uważać na siebie, najgorsze już minęło - rzekła pielęgniarka. - Teraz musi pani tylko jeść w domu jak należy, prawda? Wkrótce wróci pani do sił.



Przyglądając się sobie w lustrze, Frances pomyślała, jakie to okropne, że będzie musiała stanąć przed rozgniewanym ojcem nadal chuda jak szczapa i blada jak śmierć. Jeśli uważał, że zrujnowała swoje życie, to jej obecny wygląd mógł go tylko utwierdzić w tym przekonaniu. Gdyby choć trochę mogła ożywić twarz jakimś kolorem! Wyglądając tak jak teraz, czuła się zupełnie przegrana - ktoś, kto wyglądał jak półtora nieszczęścia, wzbudzał najwyżej litość. Nie miała jednak tutaj różu ani pudru, więc nie mogła niczego upiększyć. Uszczypnęła się w oba policzki, żeby nadać im przynajmniej odcień świeżości, ale w niewielkim stopniu zmieniło to ogólne wrażenie, które było druzgocące.

- Sądzę, że możemy iść - powiedziała do pielęgniarki.

Musiała jeszcze pożegnać się z innymi pielęgniarkami i lekarzami. Widząc, jakim wzrokiem wszyscy na nią patrzą, zorientowała się, że była pewnie dzieckiem specjalnej troski całego szpitala. Dopiero teraz uświadamiała sobie z wolna, jak poważny był wcześniej jej stan.

Pielęgniarka zniosła jej torbę na dół przed bramę, gdzie czekała zamówiona przez Charlesa dorożka. Był dziewiętnasty grudnia, padał deszcz i w ogóle było bardzo zimno. Nad miastem zapadały ciemności. Frances marzła, skuliła więc ramiona i objęła dłońmi swe wychudzone ciało.

- Co za ponury, ciemny dzień - powiedziała i oboje, zarówno ojciec, jak i córka, wiedzieli, że nie chodzi tylko o pogodę.

Kiedy siedzieli już w dorożce i zostawili w tyle szpital, Frances, która omal nie szczękała z zimna zębami, wcisnęła się głębiej w miękkie siedzenie. Popatrzyła z boku na ojca. Charles spoglądał prosto przed siebie nieruchomym wzrokiem. Wargi miał mocno zaciśnięte.

- Ojczy... - odezwała się cicho Frances.

Odwrócił się do niej. Jego twarz wyrażała nieskrywany gniew.

- Tak?

- Ojczy, czy muszę... czy będę musiała potem wrócić do więzienia? No wiesz, z powodu...

- Z powodu tej historii z policjantem? Tak, poinformowano mnie. Nie - ponownie odwrócił od niej wzrok. - Możesz być spokojna. Wycofano oskarżenie.

Musiało minąć kilka sekund, żeby to do niej dotarło.

- Och - powiedziała zaskoczona. Charles milczał. Niemal przekornie dodała: - Poza tym to nie ja, ojczy, rzuciłam kamieniem. Tobie bym się przyznała. Ale to naprawdę nie byłam ja.

- Nie miałabyś żadnych szans - rzekł Charles. - Mam nadzieję, że to dla ciebie jasne. Należysz do tych... do tych sufrażystek. Byłaś w samym środku tumultu. Kamień nadleciał dokładnie z tej strony, gdzie stałaś. Policjant był bardzo ciężko ranny. Wszystko przemawiało przeciw tobie.

Uzmysłowiła sobie, że ojciec ma rację. Jej położenie było rozpaczliwe. Było, a nie jest?

- Ojczy, dlaczego więc nie wnieśli oskarżenia?

W dalszym ciągu nie patrzył na nią.

- To przecież obojętne - odparł.

- Nie, to nie jest obojętne. Chcę wiedzieć.

Znowu milczał przez chwilę, po czym odwrócił się do niej gwałtownie.

- To twój dziadek - powiedział. - Jemu to zawdzięczasz. To ci wystarczy?

Z powodu dawnej waśni rodzinnej Frances nigdy nie widziała swego dziadka. Dla niej był on mglistą postacią, wyobrażała go sobie jako sędziwego patriarchę o siwych włosach i gniewnych rysach twarzy, który z poirytowaną miną siedział w swojej wiejskiej rezydencji, w niezgodzie ze sobą i z całym światem. Zastanawiała się, dlaczego miałby się wstawić za wnuczką, której nie znał, a która była w dodatku córką irlandzkiej katoliczki.

- Skąd w ogóle wiedział o tej sprawie? - spytała zmieszana.

- Ja mu powiedziałem - odrzekł krótko Charles.

- Ty mu powiedziałaś? Myślałam, że od dwudziestu lat z nim...

- To prawda. Od dwudziestu lat nie zamieniłem z nim słowa. I byłem z tego dumny. Dumny z tego, że go nie potrzebuję. Że z lekkim sercem zrezygnowałem z wszystkiego, czego odebranie mi, jak sądził, dotknie mnie do żywego. Bóg mi świadkiem, że nigdy więcej nie chciałem go widzieć. Nie miałem już ojca.

Przejechała dłonią po czole. Jej skóra była w dotyku wilgotna i zimna.

- Poszedłeś do niego - wyszeptała.

- Poszedłem? Miałem wrażenie, że pełzam do niego na czworakach. Musiałem zapukać do jego drzwi i prosić go o pomoc. Mógł więc triumfować. I dał mi to odczuć. Rozkoszował się swoim triumfem.

Co jeszcze miała powiedzieć? Wszystko, co by teraz powiedziała, zabrzmiałoby głupio i pusto.

- Tylko on mógł pomóc - ciągnął Charles. - Earl Langfield, członek Izby Lordów. Człowiek posiadający wpływy i władzę. Twoja matka i babka opowiedziały się kategorycznie za tym, żebyśmy do niego poszedł. Dla niego to nie było nic trudnego: wyjaśnić, że jego

wnuczka nie mogła rzucić owego kamienia i że w młodzieńczym zagubieniu wplątała się w sprawy, których w zasadzie wcale nie popiera. Dziadek zrobił bez zarzutu, co do niego należało. Dostyć szybko została oczyszczona z wszelkich podejrzeń...

W młodzieńczym zagubieniu...

Sprawy, których nie popiera...

W ten sposób nie chciałam się z tego wyplątać, pomyślała Frances, ale była zbyt chora, zbyt rozbita, żeby wdawać się w kłótnię - i tak, jak stwierdziłaby potem, pozbawioną sensu.

- Nie wiem, gdzie popełniłem błąd - mówił Charles - że dwoje moich dzieci robi mi coś takiego! Najpierw George, który zadaje się z tą niemożliwą osobą, a w dodatku ośmiela się przywieźć ją do mojego domu. A teraz ty! Przyłączasz się do tego ruchu, toczysz po nocy bitwy uliczne z policjantami i...

- Ja nie...

- Mówiłem o podejrzaniach, prawda? Nie udawaj takiego niewiniątka. Nawet jeśli rzeczywiście nie ty rzuciłaś ten kamień, podejrzewano właśnie ciebie, bo zadajesz się z wiadomą hołotą. Zresztą mniejsza o to, która z was była sprawczynią, ty nie jesteś wcale lepsza od niej!

To nie ma sensu, pomyślała, nie ma sensu się z nim kłócić. On wydał wyrok. I już go nie zmieni.

- Że też musiałaś mi to zrobić - jęknął Charles jeszcze raz.

Frances chętnie by mu wyjaśniła, że walka o prawa wyborcze kobiet nie jest atakiem na jego osobę. Miała wrażenie, że zarówno on, jak i wielu mężczyzn odbiera ją jednak właśnie w ten sposób.

- Że też zrobiłaś to swojemu krajowi! - ciągnął Charles. - Ty i twoje... współbojowniczki! Akurat teraz! Anglia przeżywa trudny okres. Wszędzie bunty społeczne! Niekończące się strajki. Socjalistyczne knowania. Na dodatek wzbudzają niepokój zewnętrzne zagrożenia. Alarmująca polityka zbrojeniowa Niemców. Wszystko się zmienia! Obowiązkiem każdego z nas powinno być... - Umilkł. - Ach, co ja gadam - rzekł po chwili. - Co ja próbuję wyjaśnić akurat tobie!

Jak staro wygląda, pomyślała Frances, i pewnie jest bardzo zmęczony!

Uświadomiła sobie z bólem, jak głęboki jest już rozłam, jak szeroka rana otwiera się między nimi. Przypomniała sobie dzień, kiedy John odwiedził ją w więzieniu. I co wtedy pomyślała: Odsuwam się od wszystkiego, co kocham.

Wyciągnęła rękę ponad siedzeniem i dotknęła lekko ramienia ojca, wdzięczna, że go

nie cofnął od razu.

- Ojciec... - poprosiła.

Popatrzył na nią. Wydawał się poważny, bynajmniej nie chciał sprawiać wrażenia, że chwilowe rozdrażnienie podpowiada mu właściwe słowa.

- Nigdy ci tego nie wybaczę, Frances - rzekł spokojnie. - Nawet gdybym chciał, nie mogę. Może mógłbym ci jeszcze wybaczyć, że wzięłaś udział w tej demonstracji, choć dla mnie niepojęte jest, jak mogłaś to zrobić. Ale nigdy nie przeboleję tego, że z twojego powodu musiałem pójść do swojego ojca.

- Rozumiem - odpowiedziała Frances równie spokojnie jak on. Czowała kluchę w gardle, ale walczyła z nią energicznie. Żadnych łez! Nie teraz, nie tutaj! Może później, gdy będzie sama.

Dorożka zatrzymała się przed domem Margaret przy Berkeley Square. Wszystkie okna w domu były jasno oświetlone, błyszczały ciepło i powitalnie wśród otulającej już wszystko ciemności. Woźnica wysiadł i uruchomił dzwonek przy drzwiach. Zaraz pośpieszy usłudze do drzwi pan Wilson.

- Byłoby lepiej - rzekł Charles - gdybyś przez jakiś czas nie przyjeżdżała do Westhill. Rozmawiałem z Margaret. Możesz u niej mieszkać, jak długo zechcesz.

- Rozumiem - powtórzyła Frances. Klucha w gardle powiększała się. Nie płakać, nie płakać, tłukło się jej po głowie.

Przez szybę w oknie zobaczyła pana Wilsona w blasku światła padającego z domu. Dorożkarz podawał mu właśnie torbę podróżną Frances. Za nim pojawił się Phillip.

Phillip. W pewnym sensie był dla niej pociechą w tym okropnym momencie.

- Nie wysiądziesz już ze mną? - zapytała Frances, choć z góry znała odpowiedź.

Charles pokręcił głową.

- Chcę jeszcze złapać nocny pociąg do Yorkshire. Margaret jest poinformowana.

Sztywno podał rękę córce, a ta pochwyciła ją. Oboje mieli dłonie zimne jak lód.

- Do widzenia - powiedział.

Pan Wilson otworzył drzwiczki pojazdu. Podszedł Phillip, gotów pomóc Frances przy wysiadaniu. Do wnętrza dorożki wdarło się wilgotne i zimne powietrze.

- Pozdrów ode mnie mamę - poprosiła Frances - i babcię. I Victorię. Ach tak, i Adeline.

Wypowiadanie wszystkich tych imion było niebezpieczne. Łzy natychmiast stanęły jej w gardle.

Przytrzymała się ramienia Phillipa. Ta przeklęta słabość w nogach! Gdyby mogła

przynajmniej teraz odejść wyprostowana od ojca i wejść do domu! A tak musiała usunąć się cicho i powoli, podpierana przez Phillipa. Wściekłość z tego powodu zatrzymała energicznie łyżę w gardle i Frances znalazła w sobie jeszcze siłę, by dodać:

- I proszę, pozdrów też ode mnie Johna!

- Ach tak - przypomniał sobie Charles - przecież jeszcze tego nie wiesz. John zdobył najwięcej głosów w naszym okręgu wyborczym i wreszcie dostał się do Izby Gmin. Mówi się, że ma przed sobą wspaniałą karierę.

## *Styczeń - czerwiec 1911 roku*

Każdy człowiek, jak wyczytała gdzieś Frances, powinien raz w życiu przejść naprawdę ciężki kryzys. I nie chodzi tutaj po prostu o trudny okres, jakieś niepowodzenia czy chybione przedsięwzięcia. Ale o głęboki wstrząs, który stawia pod znakiem zapytania wszystko, co stanowiło do tej pory treść życia. O utratę trwałych podstaw.

Frances przeżyła kryzys w wieku siedemnastu lat. Rok 1910 dobiegł końca szary i smutny, 1911 nie przyniósł poprawy. Wydawało się, że zdrowotnie nie stanie już na nogach, pozostała blada i chuda i czuła się często tak słaba, że z tego powodu wybuchła płaczem. Ogarnęła ją głęboka depresja; nierzadko na całe godziny pogrążała się w rozmyślaniach, w nocy nie mogła spać. Wyglądała tak źle, że Margaret co kilka dni wzywała lekarza, który za każdym razem badał Frances od stóp do głów, stwierdzał anemię i niedożywienie i przepisywał tran.

- To kwestia duszy, prawda? - zapytał, wsadził jej palec pod brodę, podniósł jej głowę i w ten sposób zmusił Frances, żeby popatrzyła na niego. - Zadręcza się pani, nie znajduje pani sił. Nie ma w tym absolutnie nic niezwykłego po ciężkiej chorobie. O mały włos pani nie umarła. Walcząc ze śmiercią, dała pani z siebie wszystko. Nie ma już pani żadnych rezerw. Potrwa to jakiś czas, moje dziecko.

Puścił ją i się uśmiechnął.

- Wszystko musi trwać. A ponieważ tak jest, ludziom czasem się wydaje, że jakiś stan trwa wiecznie. Ale to nieprawda, wszystko się zmienia. Gdy my widzimy jeszcze stagnację i z jej powodu ogarnia nas zwątpienie, toruje już sobie drogę zmiana. Proszę mi wierzyć, kiedy pani tutaj siedzi i nie czuje nic oprócz słabości i zwątpienia, budzą się już w pani nowe siły, które pewnego dnia zauważy pani ze zdumieniem.

Odwiedził ją George; był oburzony tym, że Charles zerwał stosunki także z nią.

- Dobry Boże, co za ojciec! - zawołał z wściekłością. - On naprawdę nie jest ani trochę lepszy od własnego ojca. Kiedy robimy coś, co mu nie odpowiada, zatrząskuje wszystkie drzwi. Tylko nie zadręczaj się z jego powodu. Rób jak ja. Żyj własnym życiem.

Także Alice zaglądała od czasu do czasu, ale tym razem i na niej więzienie odcisnęło piętno. Paliła więcej niż dawniej, wydawała się nerwowa i niespokojna. Frances próbowała się przed nią usprawiedliwiać; w dalszym ciągu miała wrażenie, że zdradziła inne, gdy pozwoliła, by dziadek wyciągnął ją z więzienia.

Alice powiedziała jednak, że nie musi się wstydzić.

- Bardzo dzielnie przetrzymałaś wszystko. Ale teraz, Frances, musisz wyzdrowieć. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, kiedy ci powiem, że naprawdę wyglądasz okropnie. Byle podmuch wiatru gotów cię przewrócić!

Ani George, ani Alice, ani Margaret nie byli w stanie dodać jej otuchy lub choćby dotrzeć do niej swoimi słowami. Przeciwnie, po każdej rozmowie miała wrażenie, że czuje się jeszcze bardziej wyczerpana - a w dodatku winna, bo nie potrafiła być wdzięczna za trud i troskę innych. Jedynym człowiekiem, w którego towarzystwie czuła się lepiej w tym okresie, był Phillip.

- Opowiedz mi coś - prosiła go niekiedy - albo przeczytaj. Masz bardzo ładny głos.

W końcu, kiedy Phillip był przy niej od rana do wieczora, okazało się, że w takiej samej mierze, jak jego depresje ustępowały, nasilały się stany depresyjne u Frances. Później zdała sobie sprawę, co musiał wtedy czuć: nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji. Inny człowiek potrzebował go, pragnął, żeby był blisko. W dodatku była to kobieta, w której się zakochał. Przekonał się już nieraz, że kobiety dostrzegają jego atrakcyjną powierzchowność, ale kiedy poznawały go bliżej, nadchodził nieuchronnie moment, gdy uświadamiały sobie, że mają do czynienia z chorym mężczyzną, i zawsze potem trzymały się już na dystans.

Wyglądało na to, że Frances lubi go takiego, jaki jest, ale on nie zdawał sobie sprawy, że dziewczyna znajduje się w wyjątkowej sytuacji, w której uchwyciłaby się kurczowo każdego, kto ofiarowałby jej zainteresowanie i współczucie. Phillip ze swoją zranioną do głębi duszą i złymi wspomnieniami zrujnowanego dzieciństwa i młodości znał się na udzielaniu pociechy lepiej niż ktokolwiek inny. I dlatego stał się dla Frances taki ważny. Jego euforia z powodu tego, że nagle poczuł się silny, opierała się na błędnym przekonaniu. Wcale nie stał się silniejszy, znalazł jedynie człowieka, który był słabszy od niego, i dzięki temu układ sił uległ przesunięciu. Nie zastanawiał się nad tym, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Frances dojdzie do siebie.

Jak napisał do niej później w jednym z listów, już wtedy układał plany wspólnej przyszłości, widział ją jako swoją żonę i matkę swoich dzieci. Lęki i troski mieli dzielić wspólnie i dzięki temu sprawiać, żeby stawały się mniejsze. On zawsze będzie żył dla niej, a ona dla niego. Gdzieś za nimi znajdował się szeroki pas ciemności, a w nim leżały pogrzebane strachy minionych lat. Przed nimi było światło, które czekało na nich.

Na osiemnaste urodziny Frances czwartego marca podarował jej złoty medalion ze swoim zdjęciem, a na załączonej do prezentu karteczce zamieścił, jako miłośnik Haggarda i Langa, cytat z „The World’s Desire”: „...and in the next moment, he held the world’s desire in

*his arms, and the bitterness of the long years fell away from them and was forgotten*”\*

Po raz pierwszy naszło wtedy Frances przecucie, że zbliża się do niej coś, co raczej powinna zakończyć, zanim będzie za późno. Ale akurat tego dnia wydawało się, że ma jeszcze mniej siły niż zwykle. Obchodziła swoje osiemnaste urodziny, a czuła się zmęczona życiem jak stara kobieta. Babka Kate przysłała jej list, ale od Charlesa i Maureen nic nie przyszło.

Czwarty marca wypadł w sobotę. Margaret zaprosiła Alice i George’a na urodzinową herbatkę. George mógł istotnie przyjść, bo miał akurat weekend wolny od służby. Kucharka upiekła tort, placek i ciasteczka w wystarczającej ilości, by nasycić całą armię. Była herbata i kawa, a także gorąca czekolada z bitą śmietaną.

Prawie wszystko zostało nietknięte. Frances tak czy owak nie miała apetytu, a Phillip nigdy nie potrafił zjeść więcej. Alice i George przypuszczalnie pokłócili się właśnie, bo nie zamienili ze sobą ani słowa, z rzadka podnosili do ust filiżankę z gorącym napojem lub podziabali w kawałku ciasta na talerzyku. Frances podejrzewała, że poszło o to samo co zawsze: temat „małżeństwo”. Nie rozumiała, dlaczego Alice tak uparcie się wzbrania, żal jej było brata, widziała bowiem, że cierpi.

Tym sposobem jedynie Margaret rzuciła się ze zdrowym apetytem na wszystkie te wspaniałości, w pewnym momencie zauważyła jednak, że oprócz niej nikt chyba nie rozkoszuje się jedzeniem. Odłożyła łyżeczkę i rzekła ze smutkiem:

- Najwyraźniej w ogóle wam nie smakuje.

- Ależ smakuje, ciociu Margaret - zapewnił uprzejmie George. Widać było po nim, że zachodzi w głowę, jak znaleźć jakieś wyjaśnienie swojej powściągliwości. W końcu stwierdził dosyć nieprzekonująco: - Przez jakiś czas powinienem jeszcze mieścić się w swoim mundurze, prawda?

- Wszyscy przeżywamy akurat kiepski okres - wyznała szczerze Alice. - Margaret, niech pani nie odnosi tego do własnej osoby. Wiem, że zadała sobie pani wiele trudu.

- Gdybym potrafiła was trochę rozruszać! - westchnęła Margaret. - Frances, kochanie, nie zamierzasz chyba być zawsze taka szczupła? Co byś powiedziała na piękny, duży kawałek ciasta czekoladowego?

- Dziękuję. Naprawdę nie dam rady już nic zjeść - odpowiedziała z przymusem Frances.

---

\* „...w tej właśnie chwili wziął w ramiona tę najbardziej pożądaną na świecie i poczuł, jak gorzyc lat rozłąki odpływa w dal i popada w niepamięć” (przyp. tłum.).



Wyrzała przez okno. Padał deszcz, po ulicach Londynu hulał zimny wiatr. Chciałabym, żeby wreszcie znowu było lato, pomyślała, choć nie miała pewności, czy sprawy będą wtedy wyglądały lepiej. Ale może przestanie marznąć. Ciągle bowiem marzła, nawet gdy tak jak teraz siedziała w pobliżu kominka, w którym płonął duży ogień. Zimne dreszcze zagnieździły się w jej ciele niczym wirus i nie dawały się przepędzić.

Nikt się nie dziwił, gdy George o dość wczesnej porze oświadczył, że musi iść. Alice natychmiast odstawiła filiżankę, żeby wyjść razem z nim; dla wszystkich obecnych było oczywiste, że oboje przez cały czas tylko czekali na to, by kontynuować swoją kłótnię, i że dokładnie to będą teraz robić.

Alice objęła Frances i powiedziała z roztargnieniem:

- Do zobaczenia wkrótce, moja mała. Postaraj się wreszcie powrócić do sił!

To zdanie od miesięcy powtarzali Frances wszyscy ludzie, w pewnym sensie wypowiedano je już mechanicznie. Frances przez chwilę zastanawiała się, czy ludzie mówiliby do niej: „Powracaj do sił!” także wtedy, gdyby od dawna była tłustą matroną o różowych policzkach, siedzącą w fotelu na biegunach i żyjącą jak u Pana Boga za piecem. Ale myśl ta wcale nie wywołała na jej twarzy uśmiechu.

- Wkrótce się zobaczymy - obiecał George. - Uważaj na siebie!

Udało jej się odpowiedzieć coś stosownego i podziękować za wizytę. Powiedziała Margaret, że dzień był naprawdę piękny, ale teraz chce pójść na górę i położyć się na chwilę, bo boli ją głowa. Niemal chorobliwie tęskniła do swojego pokoju, do ciszy i ciemności.

Być sama, pomyślała, nic, tylko być sama. Daleko od tych wszystkich zatroskanych spojrzeń i męczących pytań.

Poszła do swojego pokoju i ostentacyjnie zamknęła za sobą drzwi. Jej spojrzenie wybiegło na zewnątrz, popatrzyła na niebo za oknem; zapadał zmierzch, ale niebo jaśniało jeszcze lodowatym błękitem, deszcz ustał i wiatr porozrywał chmury. Na zachodzie płonął ostatni czerwony blask słońca.

Frances wpatrywała się przez chwilę w przeciągające śpiesznie chmury, po czym energicznym krokiem podeszła do okna i zasunęła zasłony. Burzliwy wieczór i szkliste niebo za bardzo przypominały jej Wensleydale, a zbyt wielu wzruszeń w tym momencie nie mogłaby wytrzymać. Czasami myślała, że w takich chwilach trawi ją także tęsknota za domem.

Położyła się w łóżku tak, jak stała, nie ściągając nawet butów. Tak była wyczerpana, że zasnęła już po kilku minutach. Kiedy się obudziła, w pokoju było zupełnie ciemno, zniknęła nawet wąska smuga światła sączącego się między zasłonami. Trochę odurzona snem

usiadła na łóżku; miała wrażenie, że coś ją zbudziło, lecz nie wiedziała, co to było. Dopiero gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi, uświadomiła sobie, że to właśnie ten odgłos musiał wedrzeć się do jej snów.

- Proszę - powiedziała.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Phillip.

W pierwszej chwili widziała tylko cień odcinający się wyraźnie na tle oświetlonego korytarza. Phillip zatrzymał się w drzwiach, jeszcze się wahał, czy wejść.

- Frances? - zapytał w końcu.

Włączyła stojącą na nocnym stoliku lampkę z fioletowym abazurem, która rozsiewała przyćmione światło.

- Ach, Phillip! Która właściwie jest godzina?

- Dochodzi północ. - Mówił ściszym głosem. - Chciałem tylko... chciałem tylko zobaczyć, jak się pani czuje. Przez cały dzień miałem wrażenie, że wcale nie czuje się pani dobrze.

Odgarnęła włosy z czoła.

- A kiedy ja czuję się dobrze? - spytała zrezygnowana. - Czasem wydaje mi się, że ta okropna niemoc nigdy się nie skończy.

Phillip wszedł wreszcie dalej i ostrożnie zamknął drzwi.

- Nie chcę, żeby Margaret się obudziła - wyjaśnił.

Margaret nigdy nie zaaprobowałaby jego obecności w pokoju swej siostrzenicy o tej porze, Frances wiedziała o tym, ale jej samej nakazy przyzwoitości już od pewnego czasu stały się obojętne.

- Słusznie - skinęła głową. - Ja też nie chciałabym na dodatek odbierać jej snu. Dość ma kłopotów ze mną.

- Nie może pani tak patrzeć na te sprawy. Ona panią kocha. I nie uważa pani za ciężar.

- No cóż - skwitowała Frances.

Phillip stał nieporadnie pośrodku pokoju.

- Czy karteczka... chciałem zapytać... czy przeczytała ją pani?

- Oczywiście. - Usiłowała sobie przypomnieć, co jej napisał. Coś o „tęsknocie świata” i o dwojgu ludziach, którzy się odnaleźli.

- Haggard i Lang - powiedział Phillip. - Cudownie piszą, nie uważa pani? Uwielbiam zwłaszcza ten fragment, który dla pani przepisałem. Menelaos błąka się po płonącej Troi i spotyka w końcu Helenę. Targają nim sprzeczne i mieszane uczucia. Dziesięć lat... Co on wie

o tym, co się dzieje w jej wnętrzu? Może ona kocha innego. Może kocha Parysa, który ją porwał.

Frances wygrzebała z pamięci całą swą skromną wiedzę na temat greckiej mitologii. Niezbyt wiele tego pozostało z czasów szkolnych.

- Ale wtedy - ciągnął Phillip - Menelaos widzi tylko, że to jego Helena. Mniejsza o to, co było, liczy się jedynie moment odnalezienia. Oboje przeżyli wiele złego, a wokół nich dzieją się rzeczy przerażające, po prostu piekło. Ale zatriumfują nad nimi.

Frances zadawała sobie pytanie, dlaczego Phillip jej to opowiada. Według niej brzmiało to zbyt romantycznie i wydawało się oderwane od życia. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, jak skończyła się historia Menelaosa i Heleny, lecz nie mogła sobie przypomnieć. Czy w ogóle była jeszcze o tym mowa?

Phillip pogрузzył się w rozmyślaniach, rozpamiętując własne słowa. Właśnie wracał do rzeczywistości. Wydawało się, że dostrzega znowu Frances oraz tonący w słabym świetle pokój pełen cieni i tajemnic i pachnący lawendą, którą Frances, pamiętając o zwyczajach Kate, umieściła w szafie w małych woreczkach. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz, którego Frances nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

Nagle podszedł do łóżka, usiadł na skraju i ujął dłonie Frances.

- Mógłbym ci pomóc - powiedział. - Mógłbym ci pomóc poradzić sobie z tym wszystkim. Przeżyłaś okropne rzeczy. Wiem, co czujesz. Dlatego mogę...

- N i e wiesz - przerwała mu. Chętnie wyjęłaby dłonie z jego rąk, ale trzymał je zbyt mocno. - Nie możesz w ogóle tego wiedzieć. Nikt nie może.

Mimo woli westchnęła cicho, kiedy znów nasunęły jej się wspomnienia. Mroczna piwnica. Krzesło. Ludzie, którzy ją trzymali, którzy całym swoim ciężarem przyciskali jej ręce i nogi, żeby się nie wyrwała. Sznurek, którym była związana. Brutalne dłonie, którymi chwymano ją za usta, żeby je rozewrzeć. Okropna rurka, którą wpychano jej w głąb gardła. Znów poczuła dławiące mdłości i paniczny strach przed tym, że się udusi.

- O Boże - wyszeptała. Łzy napłynęły jej do oczu, spływały po policzkach. - To było coś strasznego. I taki straszny ból.

Przyciągnął ją do siebie.

- Wiem o tym.

- Myślałam, że umrę.

- Tak. Rozumiem cię.

- Myślałam, że mnie zabiją i nikt mi nie pomoże. Nikt mi nie pomoże!

Uspokajająco pogłaskał ją po włosach. Jego dłonie były delikatne i przynosiły

pocieszenie.

- Czułam się taka bezbronna. Nie mogłam się poruszyć. Chciałam walczyć, nie chciałam tak po prostu godzić się na to. Ale nie mogłam nic zrobić. Nie mogłam w ogóle nic zrobić!

Łzy puściły się strumieniami. Po raz pierwszy od tamtego dnia płakała naprawdę. I nie było to jedynie kilka łez bezsilności z powodu podłego samopoczucia lub choroby. Ten szloch wydobywał się z samego jej wnętrza. Ustąpiło zdrętwienie, które trzymało ją w swoich szponach. Wydawało się, jakby otworzyła się rana i ze środka wypływała trucizna, która w niej zalegała.

- Ale najgorszy nie był wcale ból. I nawet nie strach przed śmiercią ani mdłości. Najgorsze było to, że oni to r o b i l i. Że mnie trzymali i mi... To było jak gwałt. Tak właśnie się czułam. Tak czuję się teraz. Powalana i poniżona.

Znajdowała się już całkiem w jego ramionach. Jej łzy przemoczyły mu koszulę, ale w tym czasie drzenie ciała powoli ustępowało pod głaszczącymi dłońmi Phillipa.

- Już dobrze - powiedział łagodnie. - Wszystko będzie dobrze.

- Nigdy nie zdołam o tym zapomnieć. Możliwe, że nigdy tego nie przeboleję.

- Przebolejesz to. Bo będę ja. Zawsze będę przy tobie.

Gdzieś w głębi jej świadomości rozległ się dzwonek alarmowy. Co on chciał przez to powiedzieć? Jest dobrym przyjacielem. Ale nigdy nie będzie nikim więcej, i powinnam mu to powiedzieć.

Jednak w następnej chwili zdała sobie sprawę, że zachowałaby się głupio, bo przecież może i jemu chodzi tylko o przyjaźń, a ponadto nie miała teraz ochoty na rozmowę na ten temat. W ostatnich miesiącach czuła się jak chore, samotne dziecko. Znajdowała upodobanie w tym, że ktoś ją trzyma, głaszcze, pociesza.

- Należę do ciebie - szepnął, przysuwając usta tuż do jej ucha. Jego ciepły oddech muskał jej twarz. Później nie wiedziała, jak to się stało, że ich wargi się dotknęły. Poczuli smak własnych, słonych łez.

Jakie to przyjemne, pomyślała.

Jego dłonie wślizgnęły się pod jej pulower, i to zakłóciło bieg jej myśli. Odsunęła się.

- Phillipie...

Miał przyspieszony oddech. Przyciskał głowę do jej piersi.

- Kocham cię, Frances - wydusił. - Muszę cię... chcę cię posiadać, Frances!

Frances miała dosyć dokładne wyobrażenie o tym, do czego Phillip zmierza. Wychowała się na wsi i zdołała wiele zaobserwować. Ostatnie luki w jej wiedzy wypełniła

literatura erotyczna z biblioteczki Margaret. Miała wrażenie, że powinna go powstrzymać przed kontynuowaniem podboju.

- Phillipie, puść mnie! - powiedziała.

Coś w jej głosie przywiodło go do opamiętania. Raptownie podniósł głowę, cofnął dłoń. Jego policzki zaczerwieniły się.

- Mój Boże, Frances, wybacz mi, proszę. Ja...

- Już dobrze - rzekła. Wstała, podeszła do komody, wyciągnęła chusteczkę i otarła twarz, po czym oczyściła nos. - Muszę poprosić o wybaczenie - powiedziała - że usiadłam na łóżku i zaczęłam beczeć...

Phillip stał pośrodku pokoju z opuszczonymi rękami.

- Na pewno myślisz, że chciałem wykorzystać sytuację...

- Bzdura. Naprawdę, wszystko jest w porządku.

- Nie chciałbym, żebyś sądziła, że ja... że szukałem tylko przelotnej przygody...

Mimo woli uśmiechnęła się. Myśl o tym, że akurat Phillip mógłby szukać przelotnych przygód, wydawała jej się zbyt niedorzeczna.

- Nie sądzę, Phillipie, z całą pewnością tak nie sądzę. Nie zaprzataj sobie tym głowy.

- Ja... - Wyglądało na to, że chce jeszcze coś dodać, lecz najwidoczniej nie miał odwagi. - W takim razie wychodzę - rzekł w końcu. - Dobranoc, Frances.

- Dobranoc, Phillipie.

Popatrzyła za nim, jak wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi. Odetchnęła głęboko.

Pora już, powiedziała sobie w duchu, naprawdę już pora, żebyś stanęła na nogi.

W niespełna tydzień później dokonczyli to, co rozpoczęli tamtego wieczoru. Frances pamiętała później ten dzień również dlatego, że w kraju panowała wtedy niespokojna atmosfera. Gazety prześcigały się w specjalnych relacjach. Angielski minister spraw zagranicznych podał do wiadomości, że nie ma żadnego układu zmuszającego Anglię do udzielenia Francji pomocy wojskowej. Zaalarmowany tym oświadczeniem rząd francuski przypomniał o umowie, zgodnie z którą Anglia zobowiązała się przyjąć jej z pomocą w wypadku niemieckiej agresji. To z kolei wywołało reakcję rządu niemieckiego, który zapewnił o swym pokojowym nastawieniu i oświadczył, że Niemcy nie mają zamiaru nikogo atakować. Jednak przez całe to zamieszanie pojawił się znowu temat ewentualnej wojny zaczepnej wywołanej przez Niemcy, na rogach ulic przestraszeni ludzie snuli przypuszczenia, co w takim wypadku może się stać i jak dalece Anglia zaangażuje się w konflikt.

Margaret spędzała popołudnie poza domem na swej obowiązkowej herbatce przy brydżu, mimo że w pierwszej chwili oświadczyła, że w tych smutnych czasach nie w głowie jej towarzyskie przyjemności, a w dodatku teraz, kiedy grozi wybuch wojny...

- Ciociu Margaret, wojna na pewno dzisiaj nie wybuchnie - uspokajała ją Frances. - I jutro na pewno też. Jeśli zamartwiasz się z takiego powodu, to lepiej już, żebyś poszła między ludzi, w ten sposób oderwiesz się trochę od tych spraw.

Margaret polamentowała jeszcze chwilę, lecz w końcu wybrała się w drogę, bo zwyciężyła naturalnie radość życia.

Frances i Phillip pili razem w salonie herbatę, ale choć pomoc domowa podała świeżo upieczone ciasto, żadne z nich nie przełknęło ani kęsa. Powstało między nimi napięcie, które rosło z dnia na dzień, i nie mogli go już ignorować. Przeszali być bratem i siostrą lub po prostu dwojgiem młodych ludzi, którzy przypadkiem mieszkają w tym samym domu; teraz byli mężczyzną i kobietą.

Dla oderwanej od życia Margaret było zresztą typowe, że wprawdzie przejmowała się i martwiła wszystkim i każdym z osobna, lecz zupełnie nie dostrzegała punktów zapalnych, problemów, jakie mogły wyniknąć z mieszkania pod jej dachem młodego mężczyzny i młodej kobiety.

Później, jeszcze tego samego popołudnia, pocałowali się znowu, a potem poszli na górę do pokoju Frances. Kiedy stanęli tam naprzeciw siebie, oczy Phillipa płonęły miłością, Frances zaś na chłodno zadawała sobie pytanie, jak to będzie i czy później będzie miała poczucie, że jest wreszcie naprawdę dorosła. Stwierdziła, że to nieprzyjemne i nieestetyczne, i zmieszana dziwiła się, co ludzie w tym znajdują. Całą sprawę otaczano zawsze wielką tajemnicą, ostrzegano przed nią młodych ludzi, szeptem lub półgłosem wymieniano uwagi i chichotano; wydawało się, że chodzi o rozrywkę podniecającą umysły i często praktykowaną.

Frances bardzo podniecił dotyk dłoni i warg Phillipa, ale była zbyt zdenerwowana, a Phillip zbyt niedoświadczony, żeby to podniecenie mogło trwać dłużej. W jednej chwili zupełnie opadło, a w jego miejsce pojawił się jakby paraliż: każdy mięsień w jej ciele zeszywniał. Była zbyt napięta, lecz postanowiła wytrzymać do końca. Ze zdumieniem przyglądała się twarzy Phillipa, całkiem teraz zmienionej, dawno przestała być tak atrakcyjna jak zwykle, błyszczała od potu, a jego oczy miały pusty wyraz. Frances zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni wyglądają podobnie w tego rodzaju sytuacjach, są tacy nieobecni duchem i otepiali.

Czy John też tak wygląda? Na myśl o nim poczuła niespodziewanie bolesne ukłucie. Nagle zdała sobie sprawę, że robi tutaj coś zupełnie niedorzecznego, miała jedynie nadzieję,

że Phillip szybko skończy. Naprawdę spodobało jej się tylko leżenie potem w jego ramionach, gdy czuła na plecach jego ciepłe ciało i jego równomierny oddech muskający jej włosy. Natychmiast zasnęła, co jednak Frances wcale nie przeszkadzało, bo mogła przynajmniej spokojnie porozmyślać.

W końcu się obudził i najwidoczniej nagle pojął, co się stało. Wciągnął z przestraczem powietrze, po czym objął ją mocniej.

- Naturalnie pobierzemy się - szepnął. - Kocham cię, Frances. Chciałbym, żebyś została moją żoną.

Miała nadzieję, że nie zinterpretuje jej milczenia jako znaku zgody.

W następnych tygodniach Frances zdrowiała - z każdym dniem, co było widoczne dla wszystkich. Jadła znowu, spała, robiła długie spacery. Jej blade policzki zaróżowiły się, a oczy odzyskały trochę dawnego blasku. Znowu uśmiechała się częściej, a czasem nawet śmiała się z całego serca. Margaret obserwowała to z rosnącym zadowoleniem. Pewnego ranka, pod koniec maja, kiedy siedziały same przy śniadaniu, uśmiechnęła się promiennie do bratanicy i mrugnęła do niej.

- Już wiem, dlaczego lepiej się czujesz!

- No, dlaczego? - spytała Frances, niczego nie podejrzewając. Margaret zniżyła głos, mimo że w pobliżu nie było nikogo.

- Phillip zwierzył mi się wczoraj. Powiedział, że zamierzacie się pobrać. Och, Frances, tak się cieszę!

Frances czym prędzej podniosła filiżankę i dużymi łykami wypić jej zawartość, usiłując zyskać na czasie. Sprawa stała się śliska. W minionych tygodniach wytrwale unikała zalotów Phillipa, myślała o czymś innym, kiedy zaczynał z zapalem opowiadać o przyszłości. Teraz zrozumiała, że nie może stosować bez końca swojej taktyki zamykania oczu i uszu. Przespała się z nim, a on odebrał to jako obietnicę; najwyższy czas, żeby powiedziała mu szczerze, czego ma się trzymać. Ostatecznie zaczął już opowiadać o tym osobom trzecim - przy czym to, że wtajemniczył akurat Margaret, znaczyło tyle samo co podanie tej informacji do publicznej wiadomości.

- To wszystko nie jest jeszcze przesądzone - powiedziała, gdy filiżanka była pusta i nie mogła się już za nią ukrywać. - Wolałabym, ciociu Margaret, gdybyś zachowała to dla siebie!

- Będę milczeć jak grób - zapewniła natychmiast Margaret. - Możesz być tego pewna!

Frances westchnęła. Jeśli mogła być czegoś pewna, to właśnie tego, że Margaret nie

będzie milczeć.

- Taka jestem dumna, że spotkaliście się w moim domu - ciągnęła Margaret. - Można by rzec, że jestem swatką, nieprawdaż? Po tych wszystkich strasznych wydarzeniach... wreszcie coś, z czego można się cieszyć!

- Ja... - zaczęła z wahaniem Frances, ale Margaret machnęła ręką.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać! Cieszę się, że dzięki niemu rozkwitasz na nowo!

Poczuwając się do winy, Frances pomyślała, że rzeczywiście tak jest, ale w sumie sytuacja wygląda inaczej, niż sądzili Phillip i Margaret. Oboje uważali, że to miłość Phillipa wyrwała ją z depresji, sprawa była jednak bardziej skomplikowana. Phillip przyzwyczał się do wygłaszania niekończących się monologów, w których przywoływał tragiczne dzieje ich obojga w przeszłości, charakteryzując ich przy tym jako dwoje samotnych dzieci, ofiary wrogo do nich nastawionego otoczenia, rozbitków kurczowo trzymających się siebie, aby przeżyć.

Frances, która coraz bardziej nienawidziła takiego obrazu samej siebie, ofuknęła go już kiedyś:

- Przestań opowiadać takie bzdury! Nas nie da się przecież w ogóle porównać!

Popatrzył na nią zupełnie oszołomiony.

- Chodziło mi tylko o to...

- Po prostu nie chcę już o tym słyszeć - przerwała mu z rozdrażnieniem. Widać było po nim, że czyni sobie wyrzuty za to, że przypomniał jej o czymś, o czym przypuszczalnie chciała zapomnieć.

Paradoksalnie jedno mu się faktycznie udało: wyrwał ją z marazmu. Podkreślając ciągle, że jest taka jak on, drażnił tylko jej ambicję, żeby za żadną cenę nie być podobną do niego. Czyż nie była niebezpiecznie bliska tego, by stać się takim samym ponurakiem jak on? Zszokowana, pozbawiona radości życia, pełna strachu przed światem i niebezpieczeństwami, jakie się w nim kryją?

Nie chciała iść przez życie z miną zastraszonego dziecka. Nie chciała spędzać dni przy oknie, wyglądając na zewnątrz, rozmyślając, czekając na coś, co nie przychodzi. Nie chciała tego i na pewno do tego nie dopuści. Ze wszystkich sił walczyła z ciemną potęgą, która pragnęła ją usidlić i spętać, z każdym dniem zrzucała z siebie kolejny jej kawałek.

Ale z Phillipem prowadziła nieczystą grę i zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała, co do niej czuje, jej obowiązkiem było więc wygarnięcie mu całej prawdy, jeśli chodzi o jej uczucia wobec niego.

Po śniadaniu z Margaret podjęła dwie próby doprowadzenia do wyjaśniającej



rozmowy, ale widząc, jak Phillip uczepia się jej spojrzeniem, raz i drugi urwała, zanim rzeczywiście zaczęła mówić, bo czuła się niemal potworem. Nie śpiąc często po nocach, przeklinała tamtą chwilę słabości, kiedy poszła z nim do łóżka - nic jej to nie dało, postawiło ją zaś w przymusowej sytuacji, musiała bowiem jakoś wyjaśnić Phillipowi, że oddanie mu się wtedy nie było równoznaczne z obietnicą małżeństwa.

W dostatecznej mierze była dzieckiem swoich czasów, żeby płomienny rumieniec oblewał jej policzki na samą myśl o tym, iż mogłaby wypowiedzieć tak frywolne słowa. Kobieta nie pozwalała sobie na intymności z mężczyzną, dopóki nie została jego żoną, a jeśli jednak to zrobiła, to przynajmniej wychodziła za niego możliwie jak najszybciej. W każdym razie nie łądowała w łóżku z mężczyzną, którego w ogóle nie kochała, i nie pozwalała mu się dotykać na chłodno i zachowując przytomność umysłu. Do przyjęcia było tylko jedno wytłumaczenie tego, co zrobiła, a mianowicie wielka namiętność. Jednak nawet przy najlepszej woli Frances nie potrafiła sobie serio wmówić, że czuła wtedy choćby iskrę namiętności. Jak swego czasu w więzieniu, gdy obserwowała z podziwem Pamełę, która z fanatycznym oddaniem dąży do swoich celów, tak również teraz zastanawiała się niekiedy z lekkim zdziwieniem, dlaczego ona sama nie jest zdolna do tego i nie daje się ogarnąć uczuciu, unoszona siłą upojenia. Cokolwiek robiła, zawsze miała wrażenie, iż jakaś jej część stoi obok i analizuje jej poczynania zupełnie chłodnym umysłem i całkiem bez emocji.

Może mi czegoś brakuje, myślała, czegoś, co mają inni ludzie.

Koniec końców nigdy jednak nie dojdzie do tego - i ta myśl przeraziła ją naprawdę - c z e g o jej brakuje; jak bowiem ostatecznie miałyby zdefiniować w wyobraźni coś, czego nie czuła?

A potem, pewnej jasnej, ciepłej czerwcowej nocy, kiedy leżała w łóżku i nie mogła zasnąć, uświadomiła sobie nagle, co zamierza zrobić, co rozwiąże jej problemy i pomoże jej odzyskać spokój: wróci do domu. Do Leigh's Dale, do Westhill, do swojej rodziny. Do wszystkiego, co było jej drogie i znane.

Usiadła na łóżku, serce waliło jej jak młotem. Tęsknota za pagórkami i dolinami, przejrzystymi strumieniami i wysokim niebem nad Wensleydale była wręcz obezwładniająca. Jak najdalej od Londynu z jego zatłoczonymi ulicami, hałasującymi dorożkami i automobilami, odorem zgnilizny nad brzegami Tamizy i pochmurnym niebem nad kominami fabrycznymi we wschodniej części miasta. Jak najdalej od Phillipa ze wszystkimi jego oczekiwaniami i błagalnymi spojrzeniami. Jak najdalej od poczucia winy, z jakim myślała o ruchu feministycznym, ponieważ prawie nie pokazywała się już na zebraniach, nie wiedząc,

skąd wziąć na to siły.

Do domu. Do Charlesa. Do Maureen. Do Kate.

- Powinam była zrobić to już dawno - powiedziała na głos. - Już dawno!

Naturalnie ojciec był wtedy na nią bardzo zły. Powiedział, że nigdy jej nie wybaczy. Jednak ludzie przeważnie mówili w gniewie rzeczy, których w rzeczywistości wcale nie chcieli powiedzieć.

Frances odsunęła od siebie wspomnienie tamtej chwili, kiedy wyraźnie poczuła, że ojciec mówi z całą powagą, że nie podjął i nie obwieścił jej swojej decyzji w odruchu impulsywnego gniewu. Po prostu zapomniała, bo chciała zapomnieć. Zamiast tego obudził się w niej zdrowy młodzieńczy optymizm. Ojciec ją kochał. I znów będzie ją kochał. I tak samo odzyska Johna. Podobnie jak ojciec kochał ją od dzieciństwa. Na pewno dawno zapomniał o epizodzie w więzieniu.

Siedziała i układała plany, dopiero nad ranem zasnęła i przespała się dwie godziny.

Nigdy w życiu nie była tchórzem, aż do tego dnia, także później nie będzie nim już nigdy. Ale w tej sytuacji nie znalazła w sobie dość odwagi, by porozmawiać z Phillipem. Usiadła i napisała do niego list; piątą wersję uznała wreszcie za zadowalającą, mimo że w dalszym ciągu przeszywał ją dreszcz na myśl o tym, co będzie czuł, czytając jej słowa.

Wieczorem następnego dnia spakowała po kryjomu walizkę; mogła zabrać ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy, resztę Margaret będzie musiała jej kiedyś przesłać. Do ciotki również napisała list, w którym podziękowała za wszelką pomoc i prosiła o wybaczenie z powodu opuszczenia jej domu w nocy. Jako że Phillip i tak wtajemniczył Margaret w swoje plany matrymonialne, Frances mogła otwarcie oświadczyć, że chce wypłatać się z tej zagmatwanej sprawy i dać Phillipowi okazję do ułożenia sobie życia na nowo bez niej.

Przeczuwając to i owo, pomyślała jednak: Zostawię tutaj po sobie całe mnóstwo potłuczonej porcelany.

Poszła wcześniej spać, ale nie zasnęła; wpatrywała się w ciemność i słuchała bicia własnego serca. O czwartej nad ranem wstała, ubrała się, wzięła swoją walizkę i zeszła na palcach na dół. Choć poruszała się bardzo cicho, to jednak nie dość bezszelestnie, nagle bowiem wyrósł przed nią jak spod ziemi pan Wilson, prezentujący się nader osobliwie w szarym szlafroku i grubych, robionych na drutach skarpetach. Trzymał w ręku świecę, którą oświetlił twarz Frances.

- Panna Gray! - powiedział ze zdziwieniem. - Co pani robi na dole o tej porze?

Wtem zauważył, że Frances ma na sobie płaszcz, zobaczył też walizkę.

- Na miłość boską...

Frances oparła się chęci, żeby zasłonić mu usta.

- Panie Wilson, niechże pan nie zachowuje się tak głośno! - syknęła. - Chce pan zbudzić cały dom?

- Dokąd się pani wybiera? - wyszeptał Wilson.

- Jadę do domu. Do Yorkshire. Tu wyjaśniłam wszystko lady Gray i panu Middletonowi! - Wcisnęła osłupiałemu lokajowi do ręki oba listy. Właściwie zamierzała je położyć na stole w jadalni, ale teraz mogła równie dobrze zlecić Wilsonowi, aby przekazał je adresatom. - Proszę im oddać te listy, kiedy wstaną.

- Ale...

- Panie Wilson, proszę mi teraz nie robić trudności. Chcę zdążyć na poranny pociąg do Yorku.

- Nie może pani tak po prostu... Nie wiem...

Biedny Wilson zupełnie nie wiedział, co robić. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nikt nie obarczy pana odpowiedzialnością. Przecież ja nigdzie nie uciekam. Jadę do domu, a powody wyjazdu obszernie przedstawiłam w tych listach.

- A jak pani dotrze do dworca?

Westchnęła. Był taki staroświecki, taki ceremonialny.

- Zaraz złapię dorożkę, najdalej na Grosvenor Street. Proszę się o mnie nie martwić!

Widać było po nim, że już teraz ogromnie się martwi. Mogła mieć tylko nadzieję, że zaraz po jej wyjściu nie zbudzi Margaret, a wówczas ta, przeczytawszy list i pojąwszy związek między faktami, nie spróbuje zatrzymać bratanicy.

Wyszła z domu. Noc była pochmurna i ciemna, ale wiał ciepły wiatr; wdychając go, Frances wyobraziła sobie, że ma zapach jaśminu. Minał prawie dokładnie rok, odkąd przyjechała do Londynu. Czowała, że zaspokoila pałacy głód, który wypędził ją wtedy z domu. Stała się bogatsza o kilka doświadczeń, miała za sobą ciężki okres, ale znów stała pewnie na nogach i trzymała głowę wysoko.

Kiedyś, w pewnym momencie tego minionego roku, pozbyła się dobrze strzeżonej dziewczyny, która w niej mieszkała.

I w ten sposób osiągnęła to, co chciała osiągnąć.

Katedra w Yorku wznosiła się nad miastem, wystrzelając w jasne niebo letniego poranka niczym wysoka, smukła, ozdobiona filigranowymi ornamentami świeca. Słońce kapało ją w promiennym, roztaczającym się szeroko blasku, podczas gdy domy i uliczki u jej stóp spoczywały jeszcze w cieniu. Dla Frances, która do przesiadki miała jeszcze trochę czasu i

wykorzystała go na zwiedzanie katedry, było to jak uroczyste powitanie. Z racji swego spokoju i uroku świątynia miała w sobie coś z matki witającej własne dziecko. Frances nigdy dotąd nie patrzyła z takim ciepłem na tę wspaniałą budowlę w całej jej doskonałości.

Stojący obok i również podziwiający katedrę mężczyzna odwrócił się do niej.

- Naprawdę wielkie przeżycie - powiedział. - Ogląda ją pani po raz pierwszy?

Frances pokręciła głową.

- Nie. Wychowałam się w Yorkshire. Ale przez rok byłam w Londynie i...

Nie dokończyła zdania, ale mężczyzna wiedział, co miała na myśli, i ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Na południu! - rzekł z pogardą w głosie.

„Południe” było dla każdego prawdziwego mieszkańca Yorkshire słowem niemal obraźliwym, gdyż coś takiego jak południe Anglii w zasadzie nie istniało, a przynajmniej nie wspominało się o nim wcale lub mówiło wyłącznie tonem nieprzychylnym. Właściwie i tak było tylko Yorkshire. Reszta Anglii jakoś się wokół niego skupiała.

- No, to już najwyższy czas - powiedział - żeby poczuła pani znowu ojczysty grunt pod nogami, prawda? Rok w Londynie! Trudno w to uwierzyć!

Ostatnią część podróży odbyła, drżąc z niecierpliwości. Czuła się jak koń grzebiący kopytami ziemię, bo poczuł już zapach swojej stajni. Parę razy stanął jej przed oczyma Phillip, który w międzyczasie powinien przeczytać jej list. Natychmiast spróbowała myśleć o czymś innym.

Kiedy dotarła do stacji w Wensley, było południe. Swojski mały dworzec prażył się w słońcu. Frances zauważyła, że powietrze jest tutaj zupełnie inne niż w Londynie, świeższe i bardziej aromatyczne. Wiatr przynosił zapach dzikich ziół i kwiatów, rzadkich lasów jesionowych i chłodnych źródeł.

Frances zaczęła się rozglądać za jakąś możliwością dalszej podróży, okazało się jednak, że będzie trudno. Oprócz niej wysiadło tylko paru wieśniaków, ale na żadnego nie czekał automobil czy choćby powóz. Frances pokonała już spory kawałek drogi pieszo, gdy obok niej zatrzymał się samochód, w którym siedziało jakieś starsze małżeństwo.

- Może panią podrzucić? - spytała dama. - Na pewno trudno się niesie ciężką walizkę!

- Muszę się dostać do Leigh's Dale. To mniej więcej...

- Znamy Leigh's Dale. To po drodze. Jeśli pani chce, możemy panią zabrać.

Frances podziękowała z ulgą. Starsi państwo jechali elegancką limuzyną i byli odświętnie ubrani.

Co za szczęście, pomyślała Frances, najwidoczniej w pobliżu Leigh's Dale odbywa się

akurat dzisiaj jakaś uroczystość, gdyby nie to, na pewno nie znalazłabym nikogo, kto by jechał w tamtym kierunku!

Nieznajomi mówili niewiele. Frances, przycupnąwszy na małym rozkładanym siedzeniu za nimi, oddawała się własnym rozmyślaniom. Wyglądała przez okno. A za oknem było przezroczyście błękitne niebo, poprząkane długimi ławicami chmur, doliny i nagie płaskowyże; była niemal bolesna samotność, w której trwał krajobraz, i były puszyste łąki, które marszczyły się na wietrze i błyszcząły w słońcu srebrzystym blaskiem.

Jak bardzo kocham to wszystko, pomyślała Frances prawie ze zdziwieniem.

Starsze małżeństwo okazało się w końcu trochę małostkowe, gdyż wysadzili Frances u stóp polnej drogi wiodącej do Westhill, zamiast zaproponować jej, że zawiozą ją do domu, co nie zajęłoby im przypuszczalnie więcej niż trzy minuty. A tak Frances musiała iść pieszo z walizką w palącym słońcu. Droga nie była właściwie stroma, ale cały czas prowadziła pod górę, więc Frances szybko się zadyszała. Po obu stronach drogi ciągnęły się jak okiem sięgnąć ogrodzone pastwiska dla owiec. Zwierzęta gromadziły się przeważnie w cieniu drzew i leżały w trawie z zamkniętymi oczami. Prawie żadne nie odwróciło głowy, gdy Frances zatrzymywała się co kilka kroków i ocierała pot z czoła. Walizka, która z początku wydawała jej się taka lekka, okazała się teraz zadziwiająco ciężka. W dodatku dziewczyna za ciepło się ubrała; kiedy wychodziła jeszcze w nocy, było znacznie chłodniej. Czy ta droga zawsze się tak dłużyła?

Ale oto i ostatni odcinek. Szła coraz szybciej i szybciej i w końcu stanęła na podwórzu przed domem, walizkę po prostu wypuściła z ręki i podbiegła do drzwi budynku.

- Mamo! Ojcie! To ja, Frances! Wróciłam!

Drzwi nie były zamknięte, nikt nie zamykał tutaj drzwi. Frances otworzyła je i weszła do hallu. Powitał ją mroczny chłód. I zupełna cisza.

Obeszła wszystkie pomieszczenia na parterze, ale nikogo tam nie było. Tylko Molly, suka, leżała w jadalni na swoim kocu; gdy usłyszała kroki, z zaciekawieniem uniosła łeb, ale zobaczyła, że to nie George, na którego czekała dzień i noc, lecz jedynie Frances, i nadzieja zgasła w jej oczach. Nie wstała, tylko pomachała ogonem, trochę zawiedziona, ale z należytą kurtuazją. Frances podeszła do niej i pogłaskała ją.

- Molly, gdzie reszta? - zapytała. - Wygląda na to, że w domu nie ma nikogo!

Molly uderzyła parę razy ogonem w podłogę i z powrotem położyła łeb między przednimi łapami. Frances wyprostowała się i ruszyła na pierwsze piętro, ale i tam nie udało jej się znaleźć domowników.

- Wszyscy wyfrunęli - mruknęła. - Dziwne. Nie ma nawet babci ani Adeline!

W końcu pozbierała się jakoś, wniosła do środka walizkę, która stała w słońcu przed domem, po czym zataszczyła ją na górę do swego pokoju.

Tutaj nic się nie zmieniło. Na łóżku nadal leżała jasnoniebieska kołdra w różyczki, a na ścianach wisiały kopie obrazów Sisleya. Na biurku odkryła stare zasuszone bukietki kwiatów i swój oprawiony w zielone płótno dziennik, w którym znajdowały się takie ważne zapiski, jak: „Dzisiaj była jagnięcina, panna Parker bardzo ją lubi, ale mnie jak zawsze zrobiło się niedobrze”. Albo: „Moja drużyna wygrała zawody w lacrosse; każdy z nas dostał potem kokardę, którą można sobie przypiąć, ale moim zdaniem wygląda to idiotycznie!”.

Choć wszystko było takie swojskie i znajome, to w jakimś sensie ten pokój, kołdra w różyczki i dziennik niezbyt pasowały już do niej. Te przedmioty należały do innego okresu i Frances stwierdziła, że powracanie i odnajdywanie to dwie zupełnie różne rzeczy. Nie mogła cofnąć zegara. Nie mogła się już czuć bezpiecznie pod kołdrą w różyczki.

Otworzyła okno i popatrzyła w dół na kwitnący ogród. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby niemal dotknąć gałęzi wiśni. W zamyśleniu popatrzyła wzdłuż wąskiej polnej drogi, która zaczynała się za murem ogrodzenia ogrodu i znikła gdzieś za wzgórzem. Można nią było dojść do Daleview, jeśli nie chciało się korzystać z głównej drogi.

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł: skoro z jej rodziny nie ma nikogo, to mogłaby zajrzeć do Daleview i odwiedzić Johna. Jeśli jest w domu. Postanowiła w ogóle nie brać pod uwagę możliwości, że przebywa akurat w Londynie.

Wyjęła z walizki letnią sukienkę z szafirowego muślinu; Phillip powiedział kiedyś, że w niej jej oczy są ciemniejsze i bardziej błyszczące. Sukienka była trochę pomięta, ale Frances nie mogła już nic na to poradzić. Przebrała się i uczesała włosy. Sprawdziła swój wygląd w lustrze. W dalszym ciągu była zbyt chuda, miała mocno wystające kości jarzmowe, a sukienka wisiała na niej jak bezkształtny wór. Ale John widział ją po raz ostatni w więzieniu, wymizerowaną i wyniszczoną; pewnie się zdziwi, jak szybko mimo wszystko doszła do siebie.

Dla ochrony przed słońcem włożyła na głowę duży słomkowy kapelusz ozdobiony długimi niebieskimi wstążkami i wyruszyła w drogę.

Wzdłuż szosy w dole, po obu stronach podjazdu i na dużym placu przed domem stały automobile i powozy. W sumie było ich pewnie około pięćdziesięciu. Szoferzy w odświętnych uniformach opierali się o maski swoich wozów i czytali gazety albo śmiali się i gawędzili, zebrani w grupki pod drzewami. Niektórzy stangreci przynosili właśnie koniom wody i parę wiązek siana. Ocierali przy tym pot z czoła i przeklinali sztywne liberie, które

ograniczały ich ruchy. Zaciekawione spojrzenia powędrowały w stronę Frances, która z wahaniem szła wzdłuż podjazdu.

- Im później dzisiaj, tym ładniejsi goście! - zawołał szofer o czarnych włosach, który miał na sobie uniform z błyszczącego czerwonego sukna ze złotymi, błyszczącymi w słońcu guzikami.

Inni odpowiedzieli na jego uwagę śmiechem. Frances ignorowała spojrzenia i słowa, kierując się ku domowi, którego ciemna, ponura sylwetka odcinała się na tle jasnego nieba. W jej uszy uderzyły strzępy jakichś melodii. Czyżby też gwar głosów? Przyśpieszyła kroku. Ostatnie metry pokonała niemal biegiem.

Drzwi domu były otwarte na oścież i ozdobione dookoła górami kwiatów. Czerwony dywan prowadził po stopniach do również udekorowanego kwiatami hallu. W drzwiach stał służący w liberii, ze zmęczenia trochę oklapnięty, lecz na widok Frances przybrał srogą minę.

- Przepraszam, a pani? - zapytał.

- Ja... - zaczęła Frances, ale nie wiedziała, co dalej. Co miała powiedzieć? Nie wiedziała nawet, co się tu odbywa! Zauważyła, że służący lustruje ją bacznie z góry na dół. Niebieska letnia sukienka, choć ładna, na pewno nie była odpowiednim strojem na uroczystość takich rozmiarów i takiej wagi.

- Ma pani zaproszenie? - zapytał.

Ponieważ nie wiedział, z kim ma do czynienia, zachowywał się na wszelki wypadek bardzo uprzejmie, dawał jednak do zrozumienia, że nie wpuści jej tak po prostu.

Podniosła głowę.

- Jestem Frances Gray - oświadczyła z godnością. - Nie mam zaproszenia, bo wszyscy sądzą, że jestem w Londynie. Niespodziewanie wróciłam dzisiaj.

Muzyka, która na chwilę umilkła, rozległa się znowu. Cichy szcęk talerzy i szkła. A od czasu do czasu głosy i śmiechy.

- No tak... - Służący wydawał się dość bezradny. Nie miał pojęcia, czy wolno mu ją przepuścić czy nie. - Czy jest pani krewną panny Victorii Gray? - zapytał.

- Jestem jej siostrą.

Dlaczego wymienił akurat imię Victorii, najmłodszej w rodzinie?

- No cóż... - wciąż jeszcze się wahał, lecz Frances postanowiła, że dłużej nie da się zatrzymać. Najwyczałniej minęła go i wbiegła do domu, ignorując jego: - Stać! Nie może pani po prostu...

Szła po czerwonym dywanie pomiędzy falującymi kwiatami - dobry Boże, wykupili pewnie kwiaty z wszystkich zakładów ogrodniczych w Yorkshire! - a następnie otworzyła

dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do wielkiej sali na drugim końcu hallu. Zatrzymała się w nich i próbowała pojąć to, co widzi.

Sala była ozdobiona kwiatami równie zbytkownie jak wejście do budynku. Troje wysokich, polakierowanych na biało drzwi wychodzących na ogród było otwartych, odsłaniając widok na ciągnący się na całej szerokości domu kamienny taras; szerokie schody prowadziły z tarasu na dół do położonego niżej parku. Ciepła woń kwiatów napływała do pomieszczenia, o którym Frances wiedziała, że panuje w nim przeważnie lodowaty chłód, a zimą trudno je ogrzać mimo dwóch olbrzymich kominków.

Przy długich stołach siedziała blisko setka gości, panowie w czarnych garniturach lub mundurach wyjściowych, damy w długich, kolorowych jedwabnych sukniach, obwieszone biżuterią. Stoły były nakryte śnieżnobiałymi obrusami z adamaszku, a na nich stała krucha i delikatna porcelana; Frances pamiętała, że matka Johna wniosła ją w posagu do małżeństwa i zawsze była z niej bardzo dumna. W wysokich srebrnych świecznikach płonęły świece. Ulokowana w kącie sali grupa muzyków dyskretnie przygrywała gościom, wybierając wesołe melodie. Służący pomykali bezszelestnie tu i tam, odnosząc puste talerze, podając nowe potrawy i dolewając wina.

Widok, jaki jawił się oczom Frances, był niemal boleśnie intensywny. I zresztą Frances odbierała go jak obraz: jak przedstawienie czegoś, co nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Wydawało się, jakby wszystkie osoby poruszały się pociągane za niewidoczne sznurki przez kogoś w tle, kto nimi dyrygował i kazał im odgrywać sztukę jak na scenie. A sztuka nosiła tytuł „Wesele”.

Główne role grali John Leigh i Victoria Gray.

Siedzieli przy najdłuższym stole, sięgającym od jednego krótkiego boku sali do drugiego. Tronowali dokładnie pośrodku, a przed nimi stał wielki bukiet kwiatów. John ubrany był w ciemny mundur z okresu swego krótkiego pobytu w szkole wojskowej: mundur miał wysoki sztywny kołnierzyk, a zdobiło go kilka odznak pułku i rozmaitych stowarzyszeń, do których John należał. Victoria była w kremowej sukni ślubnej i w welonie z białej koronki, przymocowanym do włosów za pomocą bukiecika kwiatów. Wyglądała prześlicznie, w ciągu minionego roku wydorosła w jakiś tajemniczy sposób. Kiedy Frances wyjeżdżała, skończyła właśnie czternaście lat, teraz miała prawie szesnaście. Piętnasty rok życia wykorzystwała najwidoczniej do tego, by wyzwolić się od strojów marynarskich, postrzępionej grzywki i ciągłego chichotania. Jej widok wywołał u Frances mdłości, więc mimo woli zasłoniła usta dłonią.

Obok Johna siedzieli Maureen i Charles, obok Victorii matka Johna i babka Kate.



Wszyscy byli pogrążeni w rozmowach. W końcu Maureen, przypadkiem podniósłszy wzrok, pierwsza dostrzegła córkę i zastygła w bezruchu. Frances widziała, jak usta matki układają się, by wypowiedzieć jej imię.

- Frances!

W tym momencie również Charles i John podnieśli wzrok. John pobladł. Victoria wzdrygnęła się. Kate, która gawędziła z jakimś panem po swej prawej ręce, przerwała rozmowę. A potem irytacja, która zaczęła się od najważniejszych osób, dziwnym sposobem ogarniała kolejne szeregi. W końcu wszyscy goście umilkli, nawet muzycy, zupełnie zbici z pantałyku, przestali grać. Rozległo się jeszcze tylko kilka dźwięków skrzypiec, po czym w sali zapadła cisza i blisko sto par oczu zwróciło się ku Frances.

Frances stała w swej niebieskiej pomiętej sukience, z policzkami zaróżowionymi od szybkiego marszu i panującego na dworze upału, i w końcu - bardzo wolno, jakby coś w niej bronilo się przed nagłym szokiem - zrozumiała, co się stało.

Trafiła na wesele swojej siostry. Jej siostra i John Leigh właśnie się pobrali. Victoria wyglądała jak mała księżniczka, miała kwiaty we włosach i patrzyła przed siebie jak ciele na malowane wrota.

Nikt jej nic nie powiedział. Nikt nie uznał, że warto sobie zadać trud i ją zawiadomić. Znow poczuła falę nudności.

Muszę się stąd wynieść, pomyślała w panice, do domu, do Londynu, dokądkolwiek...

Jednak mimo całego przerażenia zachowała resztkę przytomności umysłu, która podpowiedziała jej, że jeśli się teraz odwróci i wybiegnie z sali, skompromituje się do końca swoich dni. Wówczas nawet ostatni kiep zdołałby pojąć, jak jej jest na duszy. Wśród obecnych - których twarze rozplywały się przed jej oczyma - na pewno było wielu sąsiadów, którzy dobrze wiedzieli, że John Leigh i Frances Gray praktycznie byli sobie obiecani. Którzy czekali tylko na to, jak Frances poradzi sobie z tym upokorzeniem, że on w końcu zdecydował się poślubić jej siostrę. Za wszelką cenę musi im odmówić tej chwili triumfu, czyli oglądania jej zupełnie wytrąconej z równowagi i biorącej nogi za pas.

Czuła miękkość w kolanach, w uszach jej szumiało, ale zbliżała się powoli do Johna i Victorii, przeszła przez całą salę, dosłownie czując, jak wszyscy wstrzymują oddech. Stanęła przed Victorią, która zdrętwiała niemal ze strachu i nie wiedziała, w którą stronę patrzeć, pochyliła się nad nią i pocałowała ją w policzek. Victoria pachniała konwaliowymi perfumami, a jej skóra miała słodki smak jak u niemowlęcia.

Głos Frances zabrzmiał nieco szorstko.

- Koniecznie chciałam złożyć gratulacje mojej małej siostrze z okazji ślubu -

powiedziała. - Victorio, życzę ci wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję - wybąkała Victoria. W dalszym ciągu nie zdobyła się na to, by spojrzeć Frances w oczy.

Czy i ja wtedy tak n a g l e przestałam być dzieckiem i stałam się młodą dziewczyną? - pomyślała zmieszana Frances. To stworzenie nie było już po prostu tą Victoria, którą znała. I wszystko, co już wcześniej było w niej ładne, nabrało intensywności. Włosy miały teraz złoty połysk, ciemne oczy błyszczały cieplejszym blaskiem. W wycięciu sukienki Frances dostrzegła rozchylenie drobnych, wysoko osadzonych piersi. Nagle poczuła się jak chuda stara kocica. Nigdy nie mogła rywalizować z siostrą pod względem urody, lecz obecnie różnica między nimi musiała niemal boleśnie kłuć w oczy.

John wstał. Jego zimne, blade wargi musnęły czoło Frances. Niewinny, braterski pocałunek.

- Frances - powiedział. Wydawało się, że mówienie kosztuje go wiele wysiłku. - Co za niespodzianka!

- No właśnie, nieprawdaż? Przyjechałam dzisiaj z Londynu pierwszym pociągiem.

Frances miała nadzieję, że inni goście nie dowiedzą się przynajmniej o tym, że siostra panny młodej nie wiedziała w ogóle o weselu. Na myśl o tym ponownie ogarnęła ją fala wściekłości.

Powinni mi przynajmniej powiedzieć, pomyślała z gniewem.

Charles zacisnął usta, gdy podawał rękę starszej córce. Maureen przytuliła ją do siebie, ale unikała jej wzroku. Jedyne Kate spojrzała jej w oczy, lecz Frances niełatwo było odgadnąć, co wyraża jej wzrok. Współczucie? Kate nie okazywała nikomu współczucia, co najwyżej pogardę, a tym razem na pewno nie patrzyła pogardliwie.

Jej oczy wyrażały zrozumienie dla tego, co Frances musi teraz przeżywać, oraz - Frances dostrzegła to dopiero teraz - uznanie dla jej dzielności i postawy, kiedy wmaszerowała do tej sali i pogratulowała siostrze na oczach wszystkich, obserwujących każdy jej gest i łowiących każde słowo. W sposób ledwo zauważalny Kate uśmiechnęła się do wnuczki, a ta odwzajemniła uśmiech.

Matka Johna, starsza pani Leigh, która nigdy nie lubiła Frances, nie odmówiła sobie nietaktownej uwagi. Z pewnością nie odpowiadała jej także Victoria jako synowa, ale jeśli już musiała nią być córka irlandzkiej katoliczki, to Victoria była w każdym razie trochę mniejszym złem.

- Tak to w życiu bywa - rzekła, podając Frances rękę. - Zawsze myślałam, że to pani wprowadzi się pewnego dnia do Daleview. Ale nic nie pozostaje takie, jakie było,

nieprawdaż?

- Mamo! - syknął John.

- Co się stało? Coś się nie zgadza? Dawniej byliście przecież nierozłączną parą. No cóż, przeżyła pani w Londynie to i owo, a poza tym znalazła w swoim życiu inne priorytety.

Frances odwróciła się bez słowa. Zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma tutaj na stojąco.

- Gdzie my panią teraz posadzimy? - zastanawiała się na głos pani Leigh, rozglądając się dokoła.

Frances szybko położyła jej dłoń na ramieniu.

- Proszę nie robić sobie kłopotu, bo będę miała wyrzuty sumienia, że zjawiłam się bez uprzedzenia. Chciałam wszak tylko pogratulować szczęśliwej parze.

- Ale chyba jeszcze pani nie wychodzi? Jako moja prawie synowa musi pani koniecznie zaszczyścić przyjęcie weselne.

Jedyne, czego nie zazdroszczę Victorii, to tej diablicy, z którą od tej pory będzie musiała żyć pod jednym dachem!

Czuła, że nie będzie w stanie uczestniczyć w uroczystości. Całą samodyscyplinę, na jaką potrafiła się zdobyć, zużyła na złożenie życzeń Victorii i przyjęcie tego okropnego, obojętnego pocałunku Johna. Teraz tęskniła już za samotnością, za tym, żeby nie musieć oglądać nikogo, najlepiej do końca życia.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała. - Pół nocy nie spałam i ledwo się trzymam na nogach.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Wreszcie zaczęła dostrzegać poszczególne twarze. Na wesele przyszło pół hrabstwa. Rozpoznała nawet starsze małżeństwo, które ją podwiozło w kierunku Westhill.

- Gdyby nam pani powiedziała, że wybiera się tutaj, mogłaby pani pojechać z nami do końca - rzekła starsza dama, gdy Frances ją mijała. W jej słowach pobrzmiwał wyrzut, jakby Frances obraziła ją osobiście.

Przy drzwiach odwróciła się jeszcze na chwilę. Gwar głosów podniósł się z powrotem. Popatrzyła na Johna w mundurze i Victorię obok niego: istna konwalijka, taka śliczna, taka miła, taka doskonała.

Idealna żona, pomyślała, idealna żona dla posła do Izby Gmin Johna Leigha!

A potem rzeczywiście zrobiło jej się niedobrze i ledwo zdążyła wyjść na dwór. Rozdygotana i zlana potem usiadła na kamieniu i czekała, aż uspokoi się szalone bicie jej serca. Wieczór zachował doskonale piękno przyniesione przez dzień. Noc nie chciała jakoś

zapaść: słońce, mimo że już zaszło za horyzontem, w dalszym ciągu oświetlało niebo, malując czerwone obrzeża na ostatnich drobnych obłokach. Był dwudziesty pierwszy czerwca, najdłuższy dzień, a zarazem najkrótsza noc w roku, i tu, na północy, nie powinno się tak całkiem ściemnić aż do wschodu słońca.

Frances siedziała w najdalszym kącie ogrodu na kamiennym murku, z którego rozciągał się w tym miejscu rozległy widok na dolinę. Przyciągnęła kolana do siebie i otoczyła je ramionami, gdyż powietrze było chłodne, a z trawy i ziemi wypełzała wilgoć. Gdzieś kumkały żaby i parę owiec pobekiwało rozdzierająco, spragnionych miłości w tę bezsenłą jasną noc. Jaśmin w ogrodzie roztaczał swą słodką woń o wiele mocniej niż w ciągu dnia.

Frances nie odwróciła się, gdy usłyszała za sobą kroki; i tak wiedziała, kto nadchodzi. Zdradził jej to delikatny zapach lawendy.

- Już bardzo późno - powiedziała Kate - i na pewno jesteś bardzo zmęczona. Nie chcesz iść spać?

- Nie sądzę, żebym mogła zasnąć. Ciągle muszę myśleć o... - Zacisnęła wargi. Wypowiedzenie tych słów było bolesne.

Kate wiedziała, co wnuczka ma na myśli.

- Myślisz o Johnie i Victorii.

Podeszła jeszcze bliżej, oparła się o murek i popatrzyła na dolinę, w której cienie wydłużały się i mroczniały coraz bardziej, a lekki wietrzyk wywoływał tajemniczy szelest wśród liści drzew.

- Jaka piękna noc - powiedziała. - W takie noce zawsze mi się marzy, żebym znowu była młoda.

- Babciu - zapytała cicho Frances - dlaczego nawet ty nie powiedziałaś mi ani słowa?

Kate milczała przez kilka chwil.

- Byłam zbyt tchórzliwa - odparła w końcu szczerze. - Bałam się, że będzie ci smutno. Powiedziałam sobie, że kiedy wezmą już ślub, pojedę do Londynu i opowiem wszystko Frances. Wiedziałam, że ktoś będzie musiał ci powiedzieć, zanim natkniesz się na któreś z nich.

- Naprawdę byś przyjechała?

- Myślę, że tak. Teraz najchętniej spralabym się po twarzy za to, że zwlekałam tak długo. Wtedy zostałby ci oszczędzony ten szok, który przeżyłaś dzisiaj. Ale żaden lament nie pomoże. Zbyt długo schodziłam z drogi, i teraz mamy za swoje.

Frances pomyślała mimo woli o liście, który napisała do Phillipa, bo nie zdobyła się

na powiedzenie mu prosto w oczy całej prawdy. Nie mogła potępiać Kate. Ona sama wcale nie zachowała się odważnie.

- Nie rozumiem, jak John mógł to zrobić - powiedziała i przestraszyła się tonu zimnej rozpaczki w swoim głosie. - On mnie kocha. Zawsze mnie kochał. Jeszcze pół roku temu...

- Kilka razy go odepchnęłaś. A taki mężczyzna jak John nie będzie wiecznie prosił. Przypuszczam, że małżeństwo z biedną Vicky to z jego strony próba wybicia sobie z głowy właśnie ciebie. Nie mógł przecież przez całe życie usychać z tęsknoty za tobą, prawda? I możliwe, że jest w tym też trochę przekory: Frances mnie nie chciała, w każdym razie nie od razu, to niech się teraz przekona, że mam także inne możliwości.

- Victoria to coś więcej niż osiągnięte z trudem rozwiązanie zastępcze - zauważyła zdeprymowana Frances. - Widziałam ją dzisiaj. Tak bardzo wydorolała. Jest bardzo ładna, babciu. O wiele ładniejsza, niż ja kiedykolwiek byłam albo będę.

- Victoria to laleczka. Reprezentacyjna i umiejająca się dostosować. Ale na dłuższą metę być może też trochę nudna.

- Czułam się dzisiaj taka brzydka. Taka stara. W pewnym sensie taka... zniszczona życiem.

Kate zaśmiała się cicho.

- Nie jesteś jeszcze zniszczona życiem, mając osiemnaście lat. Ale to, co przeżyłaś, pozostawiło naturalnie po sobie parę śladów. Po prostu nie jesteś już młodą niedoświadczoną dziewczyną.

- Prawdziwy cud! - rzekła Frances. W jej głosie pobrzmiewała gorycz. - Siedziałam też przecież w więzieniu i potem przez wiele tygodni leżałam w szpitalu, a w tym czasie Vicky pozwalała się rozpieszczać, dbała o urodę i się stroiła. Naturalnie taką właśnie kobietę pragnie mieć u swego boku młody ambitny polityk.

- Och... czyżbym słyszała w twoim głosie coś na kształt uzalania się nad sobą? Daruj to sobie, Frances! Każdy wybiera własną drogę. Wiedziałaś, że będziesz musiała zapłacić za to jakąś cenę. Rozmawialiśmy o tym rok temu, pamiętasz? W pełni zdawałaś sobie sprawę z tego, że ryzykujesz to i owo!

- Ale nie sądziłam...

- Nie sądziłaś, że będziesz musiała zapłacić za to aż tak wysoką cenę? Frances, takie jest życie. Czasem masz szczęście i wiedzie ci się zadziwiająco dobrze. A czasem życie daje ci się we znaki. Najlepiej nastaw się na to z góry, bo nigdy nie będzie inaczej.

- Nie chodzi mi tylko o Johna - powiedziała Frances znużonym głosem. - Także ojciec i mama. Zauważyłam dzisiaj. Ojciec rzeczywiście mi nie wybaczy. A mama... Wprawdzie

mnie nie odpycha, ale daje mi odczuć, po czyjej jest stronie.

- Maureen i Charles tworzą nierozdzielną całość. Zawsze tak było, Frances. Może dlatego, że na początku rzucono im pod nogi tyle kłód. Cokolwiek się stanie, Maureen zawsze trzyma z Charlesem. Mogę cię jednak zapewnić, że okropnie cierpi z powodu rozłamu w rodzinie. Najpierw George, teraz ty... Nie myśl, że to dla niej łatwe!

- To stało się tak szybko. Nagle ziemia otwiera się pod nami. A wcześniej wszystko było... perfekcyjne. Życie było takie łatwe. Mniejsza o to, że tak bardzo nienawidziłam szkoły... To były fidrygałki. Wydawało się, że żadna burza nie zdoła nigdy zaszkodzić naszej rodzinie. Prawdopodobnie wiodło się nam aż za dobrze. Teraz ktoś chce nam pokazać, że może być inaczej.

Dygocząc z zimna, przyciągnęła nogi jeszcze bliżej do piersi. Dolina poniżej była już zupełnie pogrążona w ciemnościach. Szelest liści stał się głośniejszy. Ale daleko na zachodzie widać było jeszcze szeroki jasny pas nieba.

- To są w dalszym ciągu moje rodzinne strony - mruknęła. - Jeszcze ich nie straciłam. Nikt nie może mi odebrać miłości do tej krainy.

Kate położyła jej na ramieniu swą starą twardą dłoń.

- Masz rację. Naprawdę nikt nie może ci tego odebrać.

Frances odwróciła się do babki. Dając się ponieść naglej niekontrolowanej emocji, powiedziała z przejęciem:

- Babciu, nienawidzę Victorii. Nienawidzę jej i nawet nie wstydzę się tego!

Mimo ciemności zauważyła, że Kate się uśmiechnęła.

- Nie powinnaś jej nienawidzić, Frances. Trzeba jej żałować. Jedno wyczułam dzisiaj całkiem dokładnie: John nadal cię kocha. Tylko ciebie. Victorii nie będzie łatwo z tym żyć.

Następnego ranka miało się odbyć w Daleview śniadanie z szampanem i Maureen oświadczyła, że Frances musi koniecznie wziąć w nim udział.

- Nie jestem przecież w ogóle zaproszona - odpaliła natychmiast Frances, ale Maureen powiedziała, że starsza pani Leigh, żegnając się z nimi poprzedniego wieczoru, wyraźnie im poleciła przyprowadzić rano Frances.

- Przez to, że zjawiłaś się wczoraj tak niespodziewanie, każdy teraz wie, że tutaj jesteś - dodała. - Pani Leigh nie miała wyjścia, musiała cię zaprosić. Dziwnie by więc wyglądało, gdybyś nie poszła tam z nami.

- Ale nikt pewnie nie uznał za dziwne, że nie byłam zaproszona na wesele mojej siostry. Inaczej mówiąc: nikt nie uznał za dziwne, że nawet mnie o nim nie zawiadomiono.

Maureen popatrzyła na nią przenikliwie.

- To ty oddaliłaś się od rodziny, a nie rodzina od ciebie!

- Zrobiłam, co...

- Złamałaś ojcu serce - rzekła cicho Maureen, lecz Frances przestraszyła się gniewu, jaki zabłysł w jej oczach. - Wiedziałaś, co robisz, i zrobiłaś to. Więc teraz nie uskarżaj się na to, że potłukło się mnóstwo porcelany.

I wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Przyjęcie odbywało się w małym gronie, nie w dużej sali, lecz w niewielkiej, znacznie przytulniejszej jadalni z wyłożonymi boazerią ścianami i licznymi portretami przodków z czasów wojny domowej. Około dwudziestu osób zebrało się, by wypić za zdrowie młodej pary. Kiedy przyszli Grayowie, John i Victoria jeszcze się nie pojawili. Rolę gospodyni pełniła więc na razie starsza pani Leigh w ciemnoszarej sukni z koronkowym białym kołnierzem i w starej biżuterii z granatów.

- A gdzież młodzi? - zapytała Maureen, na co starszy pan, który raczył się obficie serwowanym od rana szampanem, zawołał:

- Ależ łaskawa pani, oni na pewno mają lepsze zajęcie niż jedzenie z nami śniadania!

Wyszczrzył zęby w dwuznacznym uśmiechu i Maureen uśmiechnęła się zmieszana.

Co za koszmar, pomyślała Frances, jeden wielki koszmar!

W końcu pojawili się John i Victoria. Victoria wyglądała bardzo świeżo i młodo w bladożółtej sukience z muślinu, na szyi zawiesiła podwójny sznur pereł - prezent ślubny od teściowej. John miał na sobie zwykły, prosty ciemny garnitur, a pod szyją krawat w szare i jasnożółte paski: w dokładnie tym samym żółtym odcieniu co sukienka Victorii. Nie wyglądał na tak szczęśliwego jak jego żona, lecz pewnie tylko Frances, która obserwowała go baczniej niż inne osoby w pomieszczeniu, zwróciła na to uwagę.

Maureen odstawiła kieliszek, podeszła do Victorii, wzięła ją w objęcia i coś do niej szeptała. Victoria uśmiechnęła się, po jej policzkach przemknął delikatny rumieniec.

Frances wciągnęła chciwie powietrze i odwróciła się. Z racji zdobytych niedawno doświadczeń miała aż nazbyt dokładne wyobrażenie o tym, jakiego rodzaju było intymne zbliżenie między Johnem a Victorią minionej nocy; ona sama w ciągu długich bezsennych godzin walczyła z wciąż nasuwającymi się obrazami. Miała gorącą nadzieję, że przynajmniej było to dla Victorii okropne i nieprzyjemne przeżycie, ale nie wyglądało na to. Prawdopodobnie John był lepszym kochankiem niż Phillip, prawdopodobnie...

Przestań o tym rozmyślać, nakazała sobie, natychmiast przestań!

Jej kieliszek był już znowu pusty, ale przechodził akurat służący z tacą, więc wzięła sobie nowy. Wiedziała, że pije na pusty żołądek - ostatecznie także poprzedniego dnia nic nie jadła - za dużo alkoholu, ale przynajmniej zmniejszało to chwilowo wewnętrzne napięcie. Kiedy podszedł John, żeby się z nią przywitać, prawie już opróżniła ten następny kieliszek i była w stanie spojrzeć mu spokojnie w oczy.

Tego ranka nie pocałował jej w czoło, tylko w rękę. Tym razem mógł się przygotować na spotkanie. Wydawał się spokojniejszy niż poprzedniego dnia.

- Słyszałem, że byłaś bardzo chora - powiedział. - Cieszę się, że najwidoczniej czujesz się lepiej. Dobrze wyglądasz.

Więcej było w tych słowach kurtuazji niż szczerości. Frances wiedziała, że źle wygląda po tej nieprzespanej nocy. Rzut oka w lustro wcześniej rano dowiódł jej, że ma wyraźne cienie pod oczami i jest upiornie blada.

- A ja słyszałam, że wygrałeś wybory w swoim okręgu - odparła. - Możesz być z siebie bardzo dumny. Na pewno nie było łatwo.

- Mówiąc szczerze, sam prawie nie wierzyłem, że uda mi się już za pierwszym razem - rzekł John. - Wygrałem zresztą minimalnie. Cieszę się jednak, że wzięłem tę przeszkodę.

- Teraz będziesz często w Londynie?

- Wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj. Pojutrze zaczynają się uroczystości koronacyjne. Jako deputowany muszę w nich uczestniczyć. Przez cały tydzień. Na pewno będzie to dosyć męczące.

- Ach, rzeczywiście, koronacja!

W ogóle nie pamiętała już o tym, że od tygodni trwają w Londynie intensywne przygotowania do koronacji Jerzego V. Wszystkie te sprawy przez długi czas nie miały dla niej żadnego znaczenia. Teraz jednak przypomniała sobie nagle, że przecież ponad rok temu zmarł król Edward. I właśnie mają koronować jego syna. Gdzieś po drodze, między jednym a drugim wydarzeniem, zawałiło się całe jej życie, utraciła ludzi, których kochała, straciła także część siebie. Nagle osłabła gwałtowność jej zranionych uczuć i pozostał cichy, nieokreślony smutek.

Otworzyła usta, żeby go zapytać, dlaczego to zrobił, dlaczego ożenił się z Victorią - lecz gdy spotkało ją zaklinające spojrzenie jego oczu, zrozumiała, że on wie, o co chciała zapytać, i że prosi ją, by tego nie robiła. Powiedziała więc tylko:

- No cóż, może spotkamy się kiedyś w Londynie. Choć nie wybiegam myślą w przyszłość i dokładnie jeszcze nie wiem, gdzie będę mieszkać.

- Życzę ci, żebyś była szczęśliwa - rzekł cicho w ostatniej chwili, zanim stanęła obok



niego Victoria i wzięła go pod ramię. Niepewnie uśmiechnęła się do siostry.

- Powinniśmy rozpocząć śniadanie - powiedziała. - Goście na pewno są już głodni. Twoja matka uważa, że powinnam dać przykład... - Umilkła bez wyraźnego powodu.

- ...jako pani domu powinnaś dać przykład - dokończył John. - I na pewno zrobisz to w sposób czarujący.

W tonie jego głosu dało się wyczuć tklivość.

Babcia nie ma racji, pomyślała Frances. On ją kocha. Dlaczego miałby nie kochać? Jest młoda i ładna, a poza tym go uwielbia. Ma wszystko to, czego ja nie mam.

- Wybaczysz nam? - spytał uprzejmie John.

Skinęła głową.

- Oczywiście.

Śniadanie jakoś minęło. Ciepła i słoneczna pogoda, taka sama jak poprzedniego dnia, wywabiła gości do parku, gdzie stali w małych grupkach, spacerowali albo siedzieli na ławkach w cieniu drzew. John i Victoria poszli na górę, żeby przygotować się do podróży. Stał już samochód, którym mieli być odwiezieni na dworzec w Northallerton. Jeszcze pół godziny i wyjadą.

Frances wycofała się do biblioteki. Było to mroczne pomieszczenie, gdyż okna z oprawionymi w ołów szybami witrażowymi wpuszczały niewiele światła. Oprócz sięgających sufitu regałów stały jedynie dwa fotele i stół. Powietrze miało nieświeży zapach, a w pomieszczeniu panował prawdziwy chłód.

Zostanę tu chwilę, a potem sobie pójdę, pomyślała Frances. Wypiła dużo czarnej kawy, by ukryć, że nic nie jadła, choć nie mogło to osłabić działania szampana. Kręciło jej się w głowie, burczało w żołądku. Jednak półmrok, chłodne powietrze, zapach kurzu i skóry działały kojąco na jej umysł i przywróciły jej po części spokój ducha.

Przypomniała sobie, jak pewnego dnia dawno temu, kiedyś w latach dzieciństwa, bawiąc się z Johnem w chowanego, ukryła się tu, w bibliotece, w małej niszy utworzonej w boazerii. Nisza jeszcze była, lecz trudno było sobie wyobrazić, żeby Frances zmieściła się w niej.

Wtedy John w końcu ją znalazł. Pomógł jej wygramolić się z kryjówki, a gdy potem stali naprzeciwko siebie, popatrzył na nią i powiedział: „W twoich włosach jest pająk!”. Wypowiadając te słowa, jakby wstrzymał oddech. Następnie pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło u nasady włosów, po czym roześmiał się: „Teraz już go nie ma!”.

Uważała, że było to bardzo romantyczne, i przez długi czas pragnęła mieć znowu

pająka we włosach, lecz nie zdarzyło się to już nigdy więcej.

Dziwne, że nic się tutaj nie zmieniło, pomyślała teraz Frances. Jakby czas zatrzymał się w miejscu! Lada chwila drzwi mogą się otworzyć i wejdzie John...

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Victoria.

Zamiast żółtej sukienki, którą włożyła do śniadania, miała na sobie szary kostium podróży, w którym wyglądała o kilka lat starzej. W klapę żakietu wetknęła różową różę; takimi samymi kwiatami ozdobiony był również trzymany przez nią w rękach słomkowy kapelusz pomalowany szarym lakierem. Tak samo jak poprzednio jej wyglądowi nie można było absolutnie nic zarzucić. Najpierw była żoną polityka wydającą śniadanie, teraz była żoną polityka w podróży. Nikt inny nie potrafiłby zrobić tego lepiej.

- Jedna ze służących powiedziała mi, że widziała, jak wchodzisz do biblioteki. Co tutaj robisz sama?

- Potrzebuję chwili spokoju - odparła Frances. - Wiem, że nie powinnam się po prostu...

To j e j dom, nie twój! Nie masz prawa wchodzić do jakichś pokoi i zamykać za sobą drzwi!

- Nie, nie, już dobrze - uspokoiła ją czym prędzej Victoria. Z z troskaniem przyjrzała się siostrze. - Jesteś bardzo błada, Frances.

- Tak się wydaje w tym świetle.

- Może rzeczywiście... - Victoria wyglądała na niezdecydowaną i niepewną. - Wiele przeszłaś - powiedziała w końcu. - Mama opowiadała, że w... więzieniu poddawali cię przymusowemu karmieniu. To podobno bardzo bolesne.

- Nie jest zbyt przyjemne. Ale nie musisz mi współczuć. Zawsze wiedziałam, co robię.

- Tak... oczywiście...

- Na pewno bardzo się śpieszysz - rzekła Frances. - Prawdopodobnie mąż już na ciebie czeka.

- Szuka swojej matki, żeby się pożegnać. Frances... - Wyglądało na to, że Victoria z ogromnym trudem znajduje właściwe słowa. - Frances... przykro mi, że tak wszystko wyszło.

- Przykro ci, że wyszłaś za Johna? Już teraz?

- Nie, nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to... Wiesz przecież, co mam na myśli. Ja... sprawiłam ci ból, a nie chciałam ci sprawić bólu. To... z Johnem i ze mną to po prostu się stało.

- Nie masz mnie za co przepraszać, Victorio.

- Nie? - W jej głosie zabrzmiała nadzieja. - Naprawdę?

- Naprawdę. - Frances modliła się w duchu, żeby Victoria nie wyczuła odrazy, z jaką patrzyła na jej słodką twarzyczkę pod bujnymi włosami w złotym kolorze. Za nic w świecie siostra nie powinna zauważyć jej zranionych uczuć, jej desperacji. - Nie zaprzataj sobie tym głowy. Jestem trochę dotknięta, że mnie nie zaproszono. To wszystko.

Te słowa najwidoczniej sprawiły Victorii głęboką ulgę.

- Bardzo się cieszę. Wiesz, myślałam, że... ty i John...

- O Boże! To było przecież całe wieki temu. Dziecięce historie, nic poza tym.

- Bogu dzięki! W takim razie nic nie stoi między nami, prawda? Naturalnie bardzo chciałam cię zaprosić na nasz ślub i George'a także, ale ojciec... no wiesz... to on nie chciał!

I pewnie przez całe życie będziesz się naginać do tego, czego chcą, a czego nie chcą inni, pomyślała z pogardą Frances.

Uśmiechnęła się jednak i powiedziała:

- Już wiem. Ale pośpiesz się, Victorio, włóż swój śliczny kapelusz i odszukaj męża. Nie chcecie przecież spóźnić się na pociąg.

Victoria czym prędzej pocałowała siostrę leciutko w policzek, po czym odwróciła się i wybiegła szybko z pomieszczenia. Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Frances została sama, jej twarz płonęła. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie obecność konwaliowego zapachu, który wisiał wśród ścian. Konwalia. Słodka i niewinna. Wdzięczna i kusząca.

W tym momencie Frances wydawało się, że ten zapach ucieleśnia wszystko, czego nie miała. I czego nigdy mieć nie będzie.

Kiedy wracali do Westhill, spotkali doręczyciela telegramów, który przyniósł Frances wiadomość z Londynu. Telegram pochodził od Margaret.

W krótkich słowach informowała w nim bratanicę, że po lekturze jej listu Phillip Middleton załamał się zupełnie i wieczorem tego samego dnia ponownie próbował odebrać sobie życie. Tym razem próba się powiodła.

Połknął zbyt dużą dawkę jakichś tabletek i zmarł jeszcze w drodze do szpitala.

## *Czwartek, 26 grudnia - piątek, 27 grudnia 1996 roku*

- O, nie - powiedziała z przerażeniem Barbara, odsuwając nieco od siebie stos papieru, jakby w ten sposób próbowała zyskać dystans do tego, co przeczytała. Oczy ją piekły, gdyż siedziała nad lekturą od wielu godzin. Dopiero teraz zauważyła, że zgasł ogień w kominku i w pomieszczeniu panuje nieprzyjemny chłód. W stojącej przed nią filiżance zostało trochę herbaty. Pociągnęła łyk i skrzywiła się z obrzydzeniem. Herbata była zimna i miała gorzki smak.

- Nie zamierzasz już robić nic innego oprócz czytania tej książki? - zapytał od drzwi Ralph. Wszedł z naręczem drewna na opał, wpuszczając przy okazji do środka lodowate powietrze. Kiedy zbliżył się do pieca i ułożył drewno w koszu obok, na podłodze zostały ślady w postaci podtopionego śniegu. - Nawiasem mówiąc, to ty wołałaś przed chwilą? - zapytał.

- Ja? Nie. Zawołałam tylko „o, nie”, bo czytałam właśnie coś okropnego - wyjaśniła Barbara. Wstała i rozprostowała zdrętwiałe kości. - Przyjaciel Frances Gray odebrał sobie życie. Bardzo młody człowiek. Bo nie odwzajemniła jego uczuć.

- Tylko nie bierz sobie tego za bardzo do serca - ostrzegł Ralph. - To wszystko było bardzo dawno temu. Takie stare domy jak ten zawsze kryją w sobie mnóstwo historii, również takich z tragicznym zakończeniem.

- Wydaje mi się, że wszystko to wcale nie było tak dawno - rzekła w zamyśleniu Barbara. - Frances jest dla mnie bardzo żywa. Wiesz, co mnie chwyta za serce? Sposób, w jaki opisuje swoje strony rodzinne, ten dom i okolicę. Bije się z myślami, bo chce być człowiekiem wolnym od namiętności, ale widać wyraźnie, że takim gorącym uczuciem darzy swoje strony rodzinne. Bardzo kochała to wszystko tutaj. I ja także dzięki jej opisom zaczynam w pewnym sensie to kochać.

- O sobie bym tego nie powiedział.

Ralph równo ułożył przyniesione drewno i podniósł się znowu. Siwy zarost na jego policzkach zgęstniał i przypominał jednolity głęboki cień. Ralph sprawiał wrażenie wykończonego.

- Tęsknię jedynie za tym, żeby się stąd wynieść. Chciałbym znowu słuchać muzyki, oglądać telewizję, a rano brać gorący prysznic. Chciałbym jeść, co chcę i ile chcę. Wiesz, co ciągle mam przed oczami? Pieczoną gęś. Z kluskami ziemniaczanymi. I czerwoną kapustą. I

święteczne ciasteczka, i poncz, i...

- I enzymy, żeby to wszystko strawić - dokończyła Barbara. Uniosła pulower i poruszała luźnym paskiem swoich džinsów. - Ja też jestem okropnie głodna, ale to tutaj to dobry efekt uboczny!

I to bardzo dobry. W dalszym ciągu lubiła to upajające uczucie, kiedy ubrania stawały się zbyt obszerne.

- Spróbuję patrzeć jak ty na te sprawy - rzekł Ralph. Otarł pot z czoła. - No. W każdym razie na jutro mamy pod dostatkiem drewna.

Dopiero w tym momencie Barbara zdała sobie sprawę, że przez cały czas pewnie znowu rąbał drzewo w szopie.

- Która jest właściwie godzina? - zapytała.

Ralph popatrzył na zegarek.

- Za kwadrans dwunasta. A więc prawie północ.

- I ty jeszcze pracujesz o tej porze?

Wzruszył ramionami.

- Tego, co zrobię dzisiaj, nie będę musiał robić jutro rano. A bez drewna nie moglibyśmy nawet zaparzyć sobie kawy na śniadanie.

Spojrzała na jego dłonie. Pęcherze znowu popękały i krwawiły.

- Jutro ja spróbuję narąbać drewna - powiedziała. - Twoje dłonie muszą się zagoić.

- Nie ma mowy. Wreszcie zaczynam dochodzić do jakiejś takiej wprawy. Jak tak dalej pójdzie, do naszego wyjazdu zdobędę jeszcze nowy zawód. Muszę tylko znaleźć gdzieś w domu inne rękawiczki, bo moje się kompletnie rozleciały.

Uśmiechnęła się.

- Wygląd masz prawdziwie awanturniczy.

Ralph odwzajemnił jej uśmiech.

- A myślisz, że ty nie? - Podeszedł do niej i delikatnie dotknął jej spuchniętego podbródka. - To tutaj nabiera coraz intensywniejszych kolorów. Powiedziałbym, że wygląda nadzwyczaj gustownie.

Wzdrygnęła się lekko i cofnęła głowę.

- Poza tym jest dość bolesne. Prawdopodobnie całkiem dobrze się złożyło, że nikt mnie w tej chwili nie ogląda. Oczywiście oprócz ciebie - dodała.

- No tak, a ja się nie liczę - rzekł Ralph i roześmiał się, ale jego śmiech brzmiał niezbyt szczerze.

Stali bardzo blisko siebie i nagle pojawiło się między nimi napięcie, które zbiło

Barbarę z pantalyku: ja, której już od dawna nic nie było w stanie zbić z pantalyku.

Człowiek staje się okropnym neurotykiem, gdy przez wiele dni jest zamknięty z kimś w czterech ścianach, pomyślała i cofnęła się o krok.

- A tak właściwie, to śnieg jeszcze pada? - zapytała, żeby powiedzieć coś wolnego od emocji.

Ralph pokręcił głową.

- Nie pada już od paru godzin. Nie chcę wywoływać wilka z lasu, ale możliwe, że najgorsze mamy już za sobą.

- Skoro śnieg przestał padać, czy sądzisz, że wkrótce doprowadzą wszystko do porządku? Linie energetyczne i to wszystko?

- Na pewno od tego zaczną. Tyle że jeszcze minie trochę czasu, zanim się stąd wydostaniemy. Będziesz musiała wytrzymać ze mną jeszcze chwilę.

- Ach, dlaczego tak mówisz? Niczego nie muszę wytrzymywać. Ja... ja nie mam z tobą problemu.

- Sądziłem, że nasze życie składa się z samych problemów. I dlatego w ogóle znaleźliśmy się tutaj.

- Ale to wszystko w jakimś sensie nie wydaje się teraz wcale takie ważne. Prawdopodobnie to wina tej przeklętej śnieżycy. Byłoby bardzo dziwne, gdybyśmy rozmawiali o trudnościach naszego związku, gdy dzień w dzień nasz główny problem polega na tym, by mieć drewno na opał i coś do jedzenia!

- Te troski są z pewnością znacznie bardziej palące, masz rację.

Barbara niepostrzeżenie cofnęła się jeszcze kawałek.

- Wszystko się ułoży - powiedziała niepewnie.

Ralph pokręcił głową.

- Tak po prostu samo z siebie nic się nie ułoży. Barbaro, nie będziemy tutaj tkwić całą wieczność. Wrócimy do swego dawnego życia i będziemy musieli podjąć decyzję dotyczącą nas dwojga. Mam prawie czterdziestkę na karku. - Uśmiechnął się melancholijnie. - W każdym razie dzieli mnie od niej niespełna dziesięć minut. W wieku czterdziestu lat człowiek definitywnie przestaje wierzyć w to, że sprawy same obrócą się na lepsze. Pojmuje też, że nie będzie lepsze i że czas ucieka w zastraszającym tempie, kiedy czeka się na cud.

- Aż tak źle nasze współżycie chyba nie wygląda.

- Może ty tak tego nie odbierasz. Ale ja nie jestem szczęśliwy z kobietą, którą widuję najwyżej dwa razy dziennie, i to tylko w przelocie. Marzę o prawdziwym życiu rodzinnym. O dzieciach. A nie chcę zostać ojcem jako stary grzyb. Mam wrażenie... że jeśli teraz nie

pomyślę o sobie i własnych pragnieniach, to potem będzie za późno.

Barbara poczuła, że ogarnia ją coś zimnego, ciemnego, coś, co przyprawilo ją o dreszcz.

- Rozszedłbyś się ze mną? - zapytała cicho.

Uniósł ręce w bezradnym geście i opuścił je z powrotem.

- Po prostu nie jestem szczęśliwy - rzekł zwyczajnie.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale! Barbaro, tylko nie próbuj teraz upiększać naszej sytuacji. Popatrz tylko na siebie, dosłownie cofasz się przede mną. Utrzymujesz dystans, od którego robi mi się zimno. Od ponad roku nie spałaś ze mną. Naprawdę nie potrafisz sobie wyobrazić, że jestem sfrustrowany, samotny, a poza tym szczerze dotknięty?

Potrafiła to sobie wyobrazić. Naturalnie. Czy jemu się wydaje, że ma do czynienia z nieczułym i zimnym kawałkiem drewna? Rozumiała jego uczucia, ale nie była pewna, czy może coś zmienić.

Milczeli przez chwilę, omijając się wzrokiem, i oboje wiedzieli, że nie ma już do powiedzenia niczego, co mogłoby złagodzić tę okrutną prawdę, iż decyzji, którą muszą podjąć, nie da się już długo odwlekać. Oboje wzdrygnęli się, kiedy zegar stojący w salonie zaczął wybijać godzinę.

- Północ - powiedziała Barbara.

Poczekala, aż przebrzmi dwunaste uderzenie. Nie mogła tak po prostu nadal stać tam, gdzie stała. Bądź co bądź były to czterdzieste urodziny Ralphi. Dwudziesty siódmy grudnia. Nie mogła zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała cicho, zbliżając twarz do jego twarzy. - Naprawdę, z całego serca wszystkiego najlepszego!

Jego dłonie, zrazu z wahaniem, lecz potem z rosnącą pewnością spoczęły na jej talii. Przyciągnął ją bliżej do siebie. Jego wargi szukały jej warg, ale Barbara szybko wcisnęła twarz w jego ramię, uniemożliwiając w ten sposób kontakt ich warg.

- Zostań dziś u mnie na noc - szepnął w jej włosy. - Proszę, zostań dziś u mnie na noc.

Jego ciało było w dotyku swojskie - a jednocześnie wydawało się czymś pochodzącym z innej epoki. To było tak dawno temu. Zauważyła, jak reaguje jej własne ciało, mimo że nie chciała tego. Błyskawicznie włączył się jednak rozum, zanim zdążyła okazać słabość. Może noc z Ralphem sprawiłaby jej przyjemność, ale mogło z tego wyniknąć zbyt wiele konsekwencji, które najpierw należało gruntownie przemyśleć.

- To niemożliwe - wybąkała. - Teraz po prostu nie mogę.

Zamiast odpowiedzi przywarł do niej jeszcze mocniej. Jego dłonie zsunęły się niżej na jej biodra, a oddech stał się szybszy. Kiedy poczuła, jak bardzo jest podniecony, jak nagle zaczyna się do niej dobierać, gwałtownym szarpnięciem wyzwoliła się z jego objęć i zrobiła krok do tyłu.

- Puść mnie! - syknęła z paniką w głosie, bo obawiała się, że on lub ona mogą w końcu utracić kontrolę nad sytuacją.

W jego oczach, w jego rysach zdążyła jeszcze wyczytać, jak bardzo jej pożąda, zanim górę wzięły złość i konsternacja.

- Miły Boże, co się stało? - zapytał z wściekłością. - Nie zachowuj się tak, jakbym próbował cię zgwałcić!

- Powinniśmy najpierw... - zaczęła Barbara, ale Ralph przerwał jej od razu.

- Proszę, nie zawracaj mi głowy! Jeśli chcesz n a j p i e r w podyskutować o naszym związku, odbyć ze mną jakąś zasadniczą debatę lub poczęstować mnie paroma feministycznymi dyrektywami, jak powinienem się zachowywać, to przyjmij, proszę, do wiadomości, że nie mam na to w tej chwili najmniejszej ochoty! Chciałem po prostu ni mniej, ni więcej, tylko przespać się z tobą. Na cokolwiek innego jestem zbyt zmęczony i zbyt wkurzony!

- Przedtem sam zacząłeś mówić o naszym związku i naszej przyszłości!

- To prawda. Ale niekoniecznie miałem na myśli dyskusję. Istnieją przecież jeszcze inne sposoby, byś mogła mi pokazać, czy trochę ci na mnie zależy czy nie. I rzeczywiście, muszę przyznać, że mi pokazałaś. Twoje zachowanie nie pozostawia żadnych wątpliwości, jak mam je interpretować.

- Wiesz, co jest naprawdę denerwujące? - spytała gniewnie Barbara. - Że w życiu ciągle spotykamy się z tym, że najśmieszniejsze stereotypy mają w sobie cholernie dużo prawdy. Nigdy nie chciałam wierzyć w to, że większość mężczyzn naprawdę sądzi, iż wszystkie problemy najlepiej jest rozwiązywać w łóżku. Muszę przyznać, że mimo wszystko miałam o mężczyznach nie najgorsze zdanie, ale ty dosyć mi utrudniasz podtrzymanie tej opinii!

- Ja wcale nie uważam, że wszystkie problemy da się rozwiązać w łóżku - odparł Ralph, wściekły, bo udało jej się zepchnąć go do defensywy. - Myślałem tylko, że związkowi dwojga ludzi mogłoby dobrze zrobić, gdyby przynajmniej raz w roku poczuli cielesną bliskość. Ale w twoich oczach ma to pewnie coś wspólnego z seksizmem albo z uciskiem, albo służy do manifestacji męskiej żądzy władzy lub czegoś w tym rodzaju!



- To zadziwiające - stwierdziła oschle Barbara - ile bzdur potrafi naopowiadać inteligentny mężczyzna, gdy kobieta nie pozwoli mu na aktywność. Zachowujecie się jak małe dzieci, które tupią nogą, kiedy nie dostają ulubionej zabawki!

Popatrzyła na niego i zobaczyła, że zbladł.

- Lepiej pójdę - rzekł po chwili - zanim powiem lub zrobię coś, czego będę potem żałował. Dobranoc!

W trzech krokach znalazł się przy drzwiach kuchni, które następnie zatrzasnął za sobą.

- Nie uciekaj tak po prostu, gdy z tobą rozmawiam! - krzyknęła Barbara, ale usłyszała już jego kroki na schodach, a w chwilę później trzask drzwi jego sypialni, zamykanych równie gwałtownie jak drzwi kuchenne.

Gotowa była iść o zakład, że dwa razy przekręcił klucz!

- Może byśmy pojechały do Londynu i pochodziły trochę po mieście - zaproponowała Laura po dłuższej chwili wystawania przy oknie kuchennym i wyglądania na zewnątrz. - Wygląda na to, że piękna pogoda jeszcze się utrzyma.

- Piękna pogoda! - mruknęła Marjorie. - Trzeba powiedzieć, że z tego, co widać, jest dosyć zimno!

- Ale jest sucho.

Deszcz padający od kilku dni w nocy faktycznie ustał. Ostry wiatr pędził po błękitnym niebie parę chmur i gwizdał w przejściach między domami. W niezliczonych kałużach odbijało się zimne, blade słońce.

- Jeśli ubierzemy się naprawdę ciepło... - rzekła Laura, ale duchem była już w odwrocie. Zdawała sobie sprawę, że jej siostra, siedząca przy stole z niezadowoloną miną, nie da się namówić na żadne przedsięwzięcie.

- A tak w ogóle to po co? - spytała Marjorie. - Pochodzić po mieście! Nie mam na zbyciu pieniędzy, które mogłabym przepuścić, i ty także. No więc po co?

Laura westchnęła. Mechanicznie postawiła na kuchni czajnik z wodą i nasypała do sitka parę łyżeczek herbaty. Skoro i tak nie ruszą się z miejsca, może spokojnie wypić jeszcze kilka filiżanek; przynajmniej potem nie będzie kłopotu, gdy będzie musiała chodzić co chwila do toalety.

- Niezupełnie cię rozumiem, Marjorie - powiedziała. - Bez przerwy mi opowiadasz, że pewnie kisnę tam u siebie w Yorkshire. Ale kiedy jestem tutaj i chciałabym się wybrać do Londynu, ty nie masz ochoty. Na nic nie masz ochoty! Moim zdaniem kiśniesz o wiele bardziej niż ja. Ja przynajmniej od czasu do czasu mam kontakt z sąsiadami, choć wszyscy

mieszkają daleko, i z ludźmi z Leigh's Dale. A ty...

- Wcale nie mówię, że masz za mało kontaktów. Kontaktów nigdy za mało, kiedy się zważy, jacy źli są ludzie!

Laura pomyślała, że trzeba mieć nie lada odporność na notoryczny pesymizm Marjorie, żeby nie dać się całkowicie zdeprymować.

- Po prostu ja nie wytrzymałabym w tym strasznym domu - ciągnęła Marjorie. - Nie potrafię zapomnieć, jak okropnie było wtedy. Ciągle czułabym się tam przygnębiona.

No, w takim radosnym humorze tutaj też nie bywasz, pomyślała Laura. A głośno zapytała:

- Na tym prawdopodobnie polega różnica. Ja nigdy nie czułam się tam okropnie. Miałam wrażenie, że znalazłam dom rodzinny. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego nie lubiłaś Westhill!

- Bo tam było okropnie - upierała się Marjorie. - Te obie baby. Te ziejące nienawiścią siostry...

- Nie były wcale ziejące nienawiścią. Niezbyt przepadały za sobą, ale to przez Victorię Frances...

- Och, wiem! Święta Frances. Nienawidziła swojej siostry, możesz mówić, co chcesz, i to tylko dlatego, że Victoria kiedyś sprzątnęła jej męża sprzed nosa. Boże! Lepszy wygrywa! Tak to już jest!

- Frances wiele zrobiła dla swojej siostry. Zawsze ją holowała przez życie. To Frances zachowała dla nich dwojga spadek po rodzicach, dom i ziemię. Przecież Victoria wszystko by zapuściła i zmarnowała!

Marjorie uśmiechnęła się złośliwie.

- Prawdę mówiąc, Frances nie zawsze dobrze cię traktowała, ale ty w wątpliwych wypadkach stajesz wciąż po jej stronie. Przede wszystkim, gdy zwraca się to przeciwko Victorii! Wiesz, co myślę? Ty nienawidzisz Victorii do dzisiaj. Ostatecznie wtedy, pod koniec wojny, też starłaś się z nią z powodu jakiegoś mężczyzny i...

Laura pobladła.

- To było bardzo dawno temu!

Rozległ się gwizd czajnika. Energicznym ruchem nalała przez sitko wrzątku do dzbanka. Parę gorących bryzgów trafiło ją w rękę, ale nie wydała nawet jęku bóleści. Nie chciała pokazać Marjorie, jaki ma mętlik w głowie.

- Nie opowiedziałam ci tego wszystkiego po to, żebyś teraz mnie bez przerwy krytykowała! - rzekła urażona.

Marjorie ziewnęła.

- No cóż, w każdym razie ja byłam bardzo zadowolona, kiedy stamtąd wyjechałam.

Ciągle tęskniłam za domem. Po prostu nie chciałam tam być.

- To było lepsze niż bomby tu, w Londynie.

- Według ciebie. Ja pogodziłabym się jakoś z bombami.

Laura mieszała nerwowo zawartość sitka, które wisiało wewnątrz dzbanka.

- Wiesz - powiedziała - spróbuję jeszcze raz zadzwonić do Westhill. Może przywrócili już połączenie telefoniczne.

- Czy to konieczne? Pomyśl tylko, jak dużo kosztuje taka rozmowa z Yorkshire! - zaprotestowała natychmiast Marjorie.

- Zwrócę ci za nią pieniądze, dobrze? Prawdopodobnie i tak się nie dodzwonię.

Laura była już w korytarzu, gdzie na podrabianym biedermeierowskim stoliku stał telefon. Wybierając numer, zauważyła, że ścisza słuchawkę tak mocno, jakby chciała ją zgnieść. Spróbowała rozluźnić trochę mięśnie.

Rozległ się sygnał zajętego numeru - to samo już od dwóch dni. Gdyby Laura nie wiedziała z radia i gazet, że w wielu regionach północnej Anglii nie działa połączenie telefoniczne, wpadłaby w panikę. Słyszac ciągle sygnał, jakby linia była zajęta, wyciągnęłaby wniosek, że doszło do jakiejś tragedii, choć nie wiedziałyby dokładnie jakiej. A tak zdawała sobie przynajmniej sprawę, co się dzieje, i zrezygnowana odłożyła słuchawkę.

- Nigdy nie zrozumieć, jak można tak wariować na punkcie jakiegoś starego domu - rzekła Marjorie, kiedy Laura wróciła do kuchni. - Naprawdę myślisz, że coś się stało? Ostatecznie twoi wczasowicze nie mogą go wziąć na plecy i wynieść, prawda?

- Mogłabym go stracić - odparła cicho Laura. Pociągnęła łyk herbaty, ale napój był tak gorący, że się wzdrygnęła. - A ten dom to wszystko, co mam.

- To znowu kwestia pieniędzy? - spytała Marjorie. - A więc, mówiąc szczerze, nie rozumiem, dlaczego ci nigdy nie starcza. Nie mogę ci znowu...

- Wiem - odpowiedziała Laura.

Usiadła przy stole i podparła głowę dłońmi.

Wczesnym rankiem obudziła się z ciężkiego snu, ale bez marzeń sennych. Wstała i podeszła do okna. Na zewnątrz panowały jeszcze ciemności, które spowijały ziemię, jednak burzliwa noc, pełna chmur i śniegu, już minęła i nastał pogodny, cichutki poranek, bardzo mroźny i z wygwieżdżonym niebem. Kiedy wszędzie słońce, rozległe połacie śnieżne rozblysną cudownym blaskiem, zapierającym dech w piersiach.

Mimo że temperatura w pokoju była tak niska, że Barbara dygotała z zimna, stała przez jakiś czas przy oknie i wyglądała na zewnątrz, choć tak naprawdę nic nie widziała.

Z bolesną wyrazistością przypominała sobie scenę w kuchni o północy, kiedy Ralph trzymał ją w objęciach. Wtedy nie wiedziała, skąd wzięło się uczucie nagłego strachu, lecz teraz, w kryształowej czystości tego zimowego poranka, pojęła, że wystraszyła się intensywności jego uczuć, uświadomienia sobie, że Ralph kocha ją wcale nie mniej niż pierwszego dnia i że do niej należy decyzja o tym, co z nimi będzie dalej.

- Gdybym wiedziała, czego naprawdę chcę - mruknęła do siebie.

Chłód stawał się nie do wytrzymania. Musiała wrócić do łóżka albo się ubrać. Pomyślała o leżącej jeszcze na kuchennym stole relacji Frances Gray i postanowiła zejść na dół.

W kuchni panował taki sam lodowaty chłód jak na górze w sypialni. Mimo golfu, rajstop pod dżinsami i dwóch par skarpet na nogach Barbara marzła okropnie. Zgrabiętymi palcami ułożyła drewno w palenisku, wsadziła między szczapy zmięte ostatnie skąpe resztki papieru i rozpałała ogień. Już niedługo, gdy żelazne ścianki pieca staną się gorące, będzie mogła oprzeć się o niego plecami.

Czekając, aż się zagotuje woda na poranną kawę, przerzucała zapiski Frances. Jakie znaczenie miało dla niej samobójstwo Phillipa? Barbara stwierdziła, że niewiele o tym pisała. Ale uczucia, jakich się można było doszukać między oschłymi słowami, zdradzały, że był to dla niej ciężki cios.

„Frances nigdy nie pogodziła się z tym faktem” - przeczytała w jednym miejscu, potem jednak autorka zmieniła temat, gdyż wszystko było jasne i wszystko zostało powiedziane. Nie było już potrzeby opisywania, jak dokładnie wyglądały owe dręczące myśli, które prześladowały Frances Gray w bezsenne noce.

Wróciła do Londynu - jak wynikało z pobieżnej lektury - bo w Westhill nie mogła znaleźć pocieszenia. Tam wszystko przypominało jej o Johnie. Do tego dochodziło lodowate odrzucenie ze strony ojca, który dotrzymywał swej obietnicy, że nigdy jej nie wybaczy. Nie wypędził jej, gdyż była i pozostała jego córką, a jego dom był jej domem, lecz w jego zachowaniu wobec niej dominowały chłód i nieprzystępność, i okazywana jej obraźliwa w swej powściągliwości uprzejmość. W końcu Frances spakowała swoje rzeczy i wyjechała z powrotem do Londynu.

Barbara szybko przerzuciła następne strony. W kuchni było jeszcze zbyt zimno, żeby tam usiąść i spokojnie czytać. Marznąc, maszerowała więc tam i z powrotem, a w tym czasie jej wzrok ślizgał się po zapisanych kartkach.

Frances nie mogła już mieszkać u Margaret po tym, jak uciekła od niej po kryjomu. Przeprowadziła się do Alice, do jej mieszkanie w Stepney. Biedna dzielnica we wschodniej części Londynu na pewno nie była atrakcyjna, a dosyć ciemne mieszkanie Alice w zasadzie za małe dla dwóch kobiet, ponieważ teraz już żadna z nich nie miała w nim sfery prywatnej. Mała kuchnia, zawsze chłodna i wilgotna, wychodziła na północ, z okna rozciągał się widok na zaniedbane podwórka na tyłach domów. Poza tym były salonik i sypialnia, oba pomieszczenia również bardzo małe i przedzielone tylko parawanem. Alice spała w sypialni, Frances na sofie w salonie. Musiały się myć przy kuchennym zlewie, gdzie tylko zimna woda ciekła bardzo skąpo z zardzewiałego kranu. W każdym razie w domu znajdowała się nawet ubikacja, tyle że na klatce schodowej i wspólna dla wszystkich mieszkańców - przeważnie zajęta.

Był jeszcze dozorca, niepozorny mężczyzna znany z ogromnej nieśmiałości, która wprawiała w zakłopotanie i paraliżowała innych ludzi w jego obecności. Jego przeszłość kryła w sobie pewną budzącą grozę, niejasną historię, którą opowiedział kiedyś Alice, zacinając się i przełykając ślinę, ale w sposób dość jednoznaczny. Według tejże opowieści jego matka zmarła w domu wariatów, w którym umieszczono ją po kilku próbach uśmiercenia na różne sposoby własnego synka. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna ma uraz psychiczny, ale zawsze był uprzejmy i chętny do pomocy i zawsze wykonywał punktualnie i niezawodnie swoją pracę, do której był w zasadzie zbyt inteligentny. Wyglądało na to, że jest beznadziejnie zakochany w Alice, każdego ranka i wieczoru próbował ją spotkać na klatce schodowej - aby potem na przemian czerwienić się i blednąć i nie móc wydusić z siebie słowa.

Sprawa się komplikowała, kiedy zjawiał się George, czasami późnym wieczorem, bo miał akurat przepustkę i mógł zostać na noc. Starszy brat pozostał Frances jako jedyny członek rodziny i zawsze cieszyła się na jego widok; czuła jednak, że jej towarzystwo jest uciążliwe i przeszkadza młodym kochankom, którzy i bez tego mieli siebie bardzo mało. W nocy nie mogła spać na swojej sofie, choć bardzo starała się zasnąć i nie słyszeć, jak George i Alice kochają się za parawanem. Zauważyła, że próbują zachowywać się jak najciszej, i stwierdzała w duchu, że w ten sposób bycie ze sobą sprawia im na pewno tylko w połowie taką przyjemność, jaką by mogło sprawiać.

Poza tym była mimowolnym świadkiem wielu ostrych prowadzonych szeptem sprzeczek, które dotyczyły małżeństwa i za każdym razem kończyły się bez konkretnego rezultatu. George, będąc w głębi duszy zdeklarowanym konserwatystą, uważał „romans na kuchennych schodach”, jak nazwał kiedyś w odruchu wściekłości swój związek z Alice, za

okropny i niczego nie pragnął bardziej niż jego zalegalizowania. Alice uparcie odmawiała.

- Nie jestem do tego stworzona - odpowiadała zawsze i trwała przy swoim zdaniu, choć George zapewniał ją solennie, że nie ma najmniejszego zamiaru robić z niej uległej małżonki.

- Zachowujesz się tak, jakby u mojego boku czekał cię okropny los albo ponura egzystencja! - powiedział któreś nocy z wściekłością i dosyć głośno. Przypuszczalnie zapomniał o obecności Frances w salonie. - Znasz mnie chyba wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy...

- Nie ma to nic wspólnego z tobą. Nie lubię instytucji małżeństwa jako takiej. I nie mów tak głośno! Frances śpi.

Czasami George unosił się gniewem do tego stopnia, że wychodził z mieszkania w środku nocy i przysięgał, że już nigdy nie wróci. Zawsze jednak wracał, nie potrafił rozstać się z Alice. Frances z bólem obserwowała, jak jej brat staje się stopniowo petentem i jak bardzo muszą go boleć kolejne odprawy. W dalszym ciągu się nie wtrącała, ale jej przyjacielskie uczucia wobec Alice chłodziły z każdym dniem. Przez jakiś czas ich stosunki były bardzo napięte.

Gdyby Frances poprosiła ojca o pieniądze, na pewno by jej przysłał, ale nie poprosiła. Znalazła sobie pracę: przepisywała teksty do pracy naukowej dla pewnego profesora zoologii oraz prowadziła korespondencję w imieniu niewielkiej prywatnej szkoły dla niewidomych, której dyrektorce nie przeszkadzało, że Frances mieszka w „złej dzielnicy”, a było na rękę, że znalazła tanią siłę roboczą.

Frances zarabiała niewiele. Była w stanie sama opłacić swoje wyżywienie i dokładać Alice do czynszu, ale w żadnym wypadku nie mogła sobie pozwolić na własne mieszkanie. Nadal była zdana na Alice i z tego powodu była bardzo nieszczęśliwa. Alice dostała w spadku trochę pieniędzy, które ulokowała dosyć zręcznie, lecz zawsze powtarzała, że na długo ich nie wystarczy. Musiały oszczędzać, na czym tylko się dało.

Walka bojowniczek o prawa kobiet wybuchła na nowo i Alice brała w niej udział na pierwszej linii frontu. Wielokrotnie ją aresztowano, uczestniczyła w kilku strajkach głodowych. Dopiero po jakimś czasie Frances zauważyła, że kiedy przyjaciółka wychodzi z więzienia, za każdym razem jakby jej ubywało. Powoli przetręcali jej kręgosłup. Alice utraciła żywotność i właściwą jej bezceremonialność. Wyglądała na znacznie starszą, niż była, a jej ruchy stawały się coraz bardziej zmęczone i ociężałe.

Walka o prawa wyborcze kobiet nakładała się na walkę klasową ruchu robotniczego. W całym kraju wybuchaly rozruchy: wśród górników, kolejarzy, pracowników fabryk. Strajki

i chuligańskie wybryki były na porządku dziennym. Zadowolona i gnuśna Anglia, która tak długo trwała w zenicie swej imperialnej potęgi, w stabilnych warunkach i w nienaruszalnych na pozór strukturach społecznych, owa Anglia chwiała się teraz w posadach. Dawna epoka, w której wiele zasad, praw i tradycji dawno przekroczyło termin ważności, zawaliła się z hukiem i skończyła nieodwołalnie. Pękło zbyt wiele nabrzmiąłych spraw, z którymi już od dawna źle się działo. Niektórzy politycy byli przekonani, że lada chwila wybuchnie wojna domowa.

Wojna domowa - i wojna z wrogiem zewnętrznym. W sierpniu 1911 roku do pewnej londyńskiej agencji informacyjnej nadeszła wiadomość, że między Niemcami i Francją wybuchła wojna. Nowina wywołała panikę i histerię, ale choć Berlin i Paryż po południu tego samego dnia złożyły dementi, widmo wojny odżyło i siało postrach w całym kraju.

W lutym 1912 roku lord Richard Haldane, angielski minister wojny, wybrał się do Berlina na zaproszenie kanclerza Rzeszy Niemieckiej, Bethmanna Hollwega. Szybko okazało się, że niemiecki kanclerz ma bardzo konkretną sprawę: na wypadek wojny z Francją pragnął zawrzeć pakt o nieagresji z Anglią, aby w razie czego nie mieć na karku dodatkowego przeciwnika. Haldane oświadczył, iż gotów jest podpisać taki pakt, ale tylko wtedy, gdy sens sformułowania będzie taki, że Niemcy zostaną **z a a t a k o w a n e**, a nie **w c i ą g n i ę t e** w wojnę, czyli ewentualnie same będą agresorem. Kanclerz odrzucił to ograniczenie i Haldane wrócił do domu, nie wskórawszy niczego.

Piętnastego kwietnia tego samego roku Anglia przeżyła kolejny wstrząs. Podczas dziewiczego rejsu z Southampton do Nowego Jorku uchodzący za niezatapialny luksusowy parowiec pasażerski „Titanic” tuż przed północą zderzył się na Morzu Północnym z górą lodową i zatonął. Podczas tej największej katastrofy w dziejach angielskiej floty cywilnej zginęło ponad półtora tysiąca osób. Na pokładzie „Titanica” było zbyt mało łodzi ratunkowych, poza tym kapitan nie powinien był płynąć kursem prowadzącym tak daleko na północ.

W okresie wzrastających niepokojów i zagrożeń nasuwało się porównanie dumnego „Titanica” z samym imperium - oba uchodziły za niezniszczalne. A teraz statek spoczął na dnie, Anglia zaś wydawała się dryfować ku przepaści. Możliwe, że właśnie ta symboliczna wymowa obrazu statku na morskim dnie tak mocno i tak trwale wstrząsnęła Anglikami. Wraz z „Titanikiem” utonęli nie tylko ludzie, lecz także kolejna duża część angielskiej pewności siebie.

Na dodatek potem rozgorzały na nowo spory polityczne i społeczne, które groziły wybuchem: z nocnej katastrofy statku i lodowatej wody ocaleni przeważnie pasażerowie

pierwszej klasy, nie dopuszczono natomiast do łodzi desperacko walczących o życie podróżnych ze środkowego i dolnego pokładu. Ruch robotniczy i związki zawodowe oraz ich gazety podniosły głośny protest - ale czcigodny „Times” nie odmówił sobie aluzji pod adresem feministek: wszak kobiety i dzieci na „Titanicu” miały pierwszeństwo przy wsiadaniu do łodzi ratunkowych. „Times”, pamiętając o zawołaniu bojowym sufrażystek, napisał więc uszczypliwie, że na tonącym statku nie krzyczano już wcale „*Votes for women!*”, tylko „*Boats for women!*”<sup>\*</sup> - bo kobiety zapomniały nagle o wszelkim równouprawnieniu.

W czerwcu 1913 roku WSPU doczekała się pierwszej męczennicy. Podczas wielkich derbów Anglii bojowa feministka Emily Davidson rzuciła się pod królewskiego konia, aby zwrócić uwagę na kwestię kobiecą. Ciężko ranna, zmarła kilka dni później. Wspomnienie pośmiertne, zaplanowane pierwotnie w „Daily Mail”, nie ukazało się. Nie było wiadomo, jak zareagują na to czytelnicy. Coraz bardziej radykalne metody feministek wywoływały nieraz niezadowolenie wśród ludności.

W lutym 1914 roku ponownie doszło do strac między sufrażystkami a policją. Frances, która była w tłumie maszerującym pod dom ministra spraw wewnętrznych i wybijającym szyby w jego oknach, została aresztowana po raz drugi i trafiła na osiem tygodni do więzienia. Znow rozpoczęła strajk głodowy i wielokrotnie poddawano ją przymusowemu karmieniu, lecz tym razem była daleka od tego, by jak za pierwszym razem przeżywać to jako traumę. Przetrzymała wszystko właściwie spokojnie i opuściła więzienie, stosownie do okoliczności, cała i zdrowa.

W trakcie lektury Barbara dziwiła się nieraz, jak bardzo zmieniła się ta młoda kobieta. Trudno było rozpoznać w niej tamtą dziewczynę, która wymiotowała w zaroślach paproci, bo zapaliła cygaro, którą dręczyły koszmary senne i depresje po tym, jak siedząc w więzieniu, po raz pierwszy w życiu została potraktowana bezwzględnie i brutalnie.

Frances poróżniła się z własną rodziną i straciła mężczyznę, którego kochała. Z jej powodu pewien młody człowiek odebrał sobie życie. Znęcano się nad nią i wpędzono ją w chorobę, która omal nie skończyła się śmiercią, ale Frances wygrzebała się z niej. Od dawna już żyła z dnia na dzień w ponurym otoczeniu, z dala od ukochanych stron rodzinnych. W tym okresie niewiele było rzeczy, które mogły ją jeszcze zaszokować.

Nowa Frances, którą Barbara poznawała, wędrując tam i z powrotem po zimnej

---

<sup>\*</sup> „*Votes for women!*”, „*Boats for women!*” - „Prawa wyborcze dla kobiet!”, „Szalupy (ratunkowe) dla kobiet” (przyp. tłum.).



kuchni w ten mroźny grudniowy poranek, prawie nigdy nie skarżyła się na swój los, nie trwoniła czasu na rozmyślanie czy marzenia o minionych dniach. Nowa Frances próbowała jak najlepiej wykorzystywać to, co miała. Paliła za dużo i nauczyła się pić szkocką whisky, tej namiętności miała zresztą pozostać wierna, jak przewidywała na tych stronach, do późnej starości. Oprócz tego, jak bezlitośnie wywodziła, nie wyglądała już zbyt pociągająco.

„Frances nigdy nie była szczególnie ładna. Ale jej śmiałe, kanciaste rysy i zbyt ostry kontrast między białą skórą, czarnymi włosami i chłodnymi niebieskimi oczami łagodził i upiększał wdzięk, z jakim się uśmiechała, mający swoje źródło w jej niewinności i naturalności. Jedną i drugą już utraciła. Teraz jej uśmiechowi brakowało ciepła, a oczom blasku. Za to jej myśli były bardziej klarowne niż dawniej, jej sformułowania bardziej precyzyjne, a wypowiedziane przez nią słowa mniej upiękzone. Żyła w przekonaniu, że nie ma już nic stracenia i w pewnym sensie nie można jej zranić - co było błędnym mniemaniem, jak się później okazało, ale wtedy to uczucie dodawało jej siły i pewności siebie”.

A świat wokół Frances zmierzał w błyskawicznym tempie, niepowstrzymanie i z morderczą konsekwencją, ku niosącej śmierć wojnie. W marcu 1914 roku, w dwudzieste pierwsze urodziny Frances, pierwszy lord admiralicji, Winston Churchill, wygłosił w Izbie Gmin płomienną mowę, w której bronił polityki gigantycznej rozbudowy angielskiej floty wojennej. Skuteczność armii brytyjskiej, jak głosił, zależy od siły Anglii na morzu. Spotkał się z ostrymi atakami ze strony laburzystów, a jego postawę określono jako zagrożenie pokoju światowego.

Ale pokojowi światowemu nie można było już zagrozić, świat i tak lada moment miał stanąć w płomieniach.

Dwudziestego ósmego czerwca serbski zamachowiec zamordował w Sarajewie austriackiego następcę tronu i jego małżonkę.

W cztery tygodnie później Austria wypowiedziała Serbii wojnę.

Pierwszego sierpnia Niemcy przeprowadziły mobilizację. Do rządu belgijskiego wystosowano żądanie, by pozwolił na przemarsz wojsk niemieckich do Francji, ta oświadczyła bowiem, że nie zamierza zachować neutralności w konflikcie europejskim. Belgia odrzuciła ultimatum. Wtedy Anglia zażądała kategorycznie od Niemców poszanowania neutralności Belgii.

Trzeciego sierpnia wojska niemieckie przekroczyły granicę belgijską.

Czwartego sierpnia 1914 roku Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom.

W związku z tym Frances napisała: „Wybuch wojny czwartego sierpnia zjednoczył naród - w każdym razie chwilowo. Choć w poprzednich dniach odbywały się jeszcze, przede

wszystkim w Londynie, liczne demonstracje wzywające rząd do powstrzymania się od wszelkich działań mogących zagrozić pokojowi, to wiadomość o wkroczeniu Niemców do Belgii wywołała diametralnie odmienne nastroje w całym kraju. Nawet partia laburzystowska obiecała poparcie rządowi Asquitha. Wszelkie spory wokół polityki wewnętrznej umilkły niemal z dnia na dzień. W obliczu wroga zewnętrznego Anglicy przestali zwalczać się nawzajem. Znowu byli dobrymi patriotami gotowymi oddać wszystko dla zwycięstwa swego kraju.

Jednak dla Frances czwarty sierpnia 1914 roku pozostawił niezatarty ślad w pamięci nie tylko z powodu wybuchu wojny. Był to bowiem dzień, w którym babka Kate zamknęła oczy na zawsze. Śmierć spowodowało zbyt późno rozpoznane zapalenie ślepej кишки. W kilka dni później cała rodzina spotkała się po raz pierwszy od wielu lat: George, który dostał już kartę mobilizacyjną i prosto z cmentarza musiał jechać do swojego pułku, zastygła w bólu Maureen, Charles z kamienną twarzą.

Victoria, bardzo elegancko ubrana i prześlicznie uczesana, zjawiła się uwieszona u ramienia Johna, ale Frances tak była smutna z powodu śmierci Kate, że nawet jej to nie drażniło. Zauważyła tylko, że John wydawał się zdenerwowany; w tych dniach wybuchu wojny jego miejsce było w Londynie, toteż pragnął wrócić tam jak najprędzej. Mimo całej urody w wyglądzie Victorii przebijała niezwykła u niej melancholia, która nie powinna aż tak dziwić podczas pogrzebu, lecz Maureen opowiedziała później Frances, że Victoria była w rozpacz, bo trzy lata po ślubie nie zaszła jeszcze w ciążę, mimo że w międzyczasie zasięgała konsultacji wielu lekarzy i odbyła cały szereg różnych kuracji.

Może w innym momencie Frances nie potrafiłaby stłumić pewnej złośliwej satysfakcji, jednak tym razem pozostała obojętna na wszystko, co widziała i słyszała. Chodziło tylko o Kate. Frances czuła się tak, jakby składano w grobie jedyną osobę, która ją naprawdę rozumiała i akceptowała bez zastrzeżeń. Kate zachęciła ją do wyjazdu do Londynu. Kate była przy niej, kiedy John i Victoria się pobrali, i Frances w ogóle nie wiedziała, jak poradzić sobie z własną rozpaczą. Do Kate zawsze mogła przyjść i czuła się bezpieczna, gdy szorstkie dłonie starej kobiety głaskały ją po włosach i gdy czuła delikatny zapach lawendy.

Odtąd była sama”.

Barbara odłożyła kartki na bok i naląła sobie świeżej kawy. Dodała tylko kroplę mleka, ale za to nie pożałowała sobie cukru. Gorący, słodki napój ożywił ją i od razu poczuła się lepiej, choć w kuchni nadal było zimno, a piec nie kwapił się do oddawania ciepła. Objęła dłońmi kubek i rozkoszowała się przyjemnym mrowieniem, jakie ogarniało jej ciało za sprawą

gorąca. Pociągnęła duży łyk, parząc sobie przy tym usta, a mimo to zaraz pociągnęła następny, bo miało to takie dobroczynne działanie.

Wzdrygnęła się, gdy nagle w drzwiach stanął Ralph; nie słyszała jego kroków, więc sądziła, że jeszcze śpi.

- Dzień dobry - powiedział.

Był blady i niewyspany. Zarost, który jeszcze poprzedniego wieczoru nadawał mu seksowny wygląd, teraz sprawiał, że wydawał się jeszcze starszy i bardziej zmęczony.

- Która godzina? - zapytała Barbara. Swoją zegarek zostawiła na górze.

- Dochodzi dziewiąta. Późno wstałem.

- Dlaczego? Mamy ferie. Choć trzeba przyznać, że przebiegają trochę dziwnie. W każdym razie - zmierzyła go zatroskanym wzrokiem - nie wyglądasz na kogoś, kto zasnął. Raczej na kogoś, kto w ogóle nie spał.

Przejechał dłonią po twarzy.

- To prawda. Około siódmej udało mi się jednak zasnąć i tym sposobem po prostu zrobiło się późno.

- Usiądź i napij się kawy. Niestety, nie mam dla ciebie tortu urodzinowego. Ale dostaniesz go, gdy wrócimy do domu. - Wyjęła drugi kubek i łyżeczkę, postawiła cukiernicę na stole. - Chcesz na śniadanie swoją ostatnią kromkę chleba?

- Dziękuję. Zostawię ją sobie na później. Rano jest jeszcze znośnie, ale po południu głód dokucza mi potwornie.

- Ze mną jest tak samo.

Barbara wzięła naczynie z kawą z płyty kuchennej i nałala Ralphowi. Stała przy zlewku i przyglądała mu się, jak pije, a jego policzki powoli nabierają kolorów. W końcu podniósł wzrok.

- Jeszcze raz dziękuję za prezent - powiedział. - Wiesz, że od dawna chciałem tutaj przyjechać.

- Och! - Barbara uniosła ręce obronnym gestem. - Za to naprawdę nie musisz mi dziękować. Wszystko było pomyślane zupełnie inaczej.

- No cóż... ten śnieg to naprawdę nie twoja wina. - Popatrzył na mnóstwo kartek porozkładanych na stole. - Pewnie niedługo skończysz tę książkę!

- Potrwa to jeszcze chwilę. Właśnie wybuchła pierwsza wojna światowa.

- I poznałaś już trochę bliżej Frances Gray?

- Sądzę, że tak - odparła w zamyśleniu Barbara. - Była silną kobietą, mimo że nieraz było jej bardzo ciężko. Chwilowo wiedzie jej się dosyć kiepsko. Rodzina odwróciła się od

niej, bo walczyła razem z sufrażystkami o prawa kobiet. Żyje w wielkim ubóstwie w jednej ze wschodnich dzielnic Londynu. Jej babka, najbliższa powiernica, umarła. A mężczyzna, którego Frances kocha, ożenił się z jej młodszą siostrą.

- Moim zdaniem na tym portrecie w jadalni wygląda na osobę bardzo surową. Wydaje mi się niezbyt sympatyczna.

- Polubiłbyś pewnie jej siostrę. Victorię. Taka przymilna, dająca się lubić mała myszka. Bardzo ładna i pozbawiona najmniejszych ambicji, by chodzić własnymi drogami. Domatorka i całkowicie ukierunkowana na męża. Nie z tych, co sprawiają kłopoty lub mają ambitne plany i same chcą robić karierę.

Głos Barbary nabrał surowości, znanej Ralphowi aż nazbyt dobrze. Uderzała w te tony zawsze wtedy, gdy chodziło o karierę i kwestię, jak pogodzić pracę zawodową na najwyższym poziomie z rodziną i dziećmi. Prowadzili dyskusje na ten temat aż do zupełnego wyczerpania. Wszystko sprowadzało się do tego, że Barbara nie chciała mieć rodziny. Po prostu nie chciała i dlatego, jak z wolna uświadamiał sobie Ralph, nie miało sensu strzepić sobie języka i wciąż próbować ją przekonywać, że on nie ma zamiaru hamować jej kariery i nie dokonają tego także ani dzieci, ani trochę więcej życia rodzinnego.

Nie była to kwestia logiki czy rozumu. Barbara podjęła decyzję. Była przeciw i raczej nie mógł liczyć na to, że zmieni zdanie, w każdym razie zostało na to raczej niewiele czasu. Barbara miała trzydzieści siedem lat. Czas biegł nieubłaganie.

Niekiedy w godzinach zwątpienia Ralph zastanawiał się, czy głębszą, prawdziwą przyczyną nie jest przypadkiem on sam. Czy Barbara boi się związać z nim nierozdzielnie, co - przynajmniej w jego oczach - było warunkiem i konsekwencją przy zakładaniu rodziny? Może uważała, że dzieci stanowiłyby dla niej zobowiązanie do tego, by zostać z Ralphem za wszelką cenę?

Barbara była perfekcjonistką. Nieudane małżeństwo stanowiłoby pewnie wystarczający powód do zmartwień, ale rozpad całej rodziny oznaczałby dla niej wielką osobistą porażkę.

Czy zdecydowałaby się na dziecko z innym mężczyzną?

To zbyt bolesne, uznał, żeby zastanawiać się nad tym jeszcze dłużej.

Opowiedziała mu o Victorii Gray, o jej gotowości do dostosowania się, i czekała na jego odpowiedź.

- Mówiłem ci już setki razy - rzekł - że w ogóle nie zależy mi na kobiecie, która byłaby mi podporządkowana lub kierowała się we wszystkim moim zdaniem. Mam dość powtarzania w kółko tej dewizy. Możesz mi wierzyć lub nie. Zaczyna mi to być obojętne.

Barbara zmarszczyła na chwilę czoło; to był nowy ton, który na moment zbił ją z pantafelku. Myślami była jednak jeszcze przy książce, teraz nie miała ochoty zastanawiać się nad Ralphem.

- Widocznie nie mogła mieć dzieci - powiedziała. - W każdym razie w trzy lata po ślubie wciąż jeszcze nie była w ciąży, choć próbowała wszystkiego. Zastanawiam się, czy właśnie to było powodem rozwodu.

- Kto nie był jeszcze w ciąży? - spytał poirytowany Ralph.

- Victoria Gray. A raczej: Victoria Leigh, bo tak się potem nazywała. Laura mówiła nam przecież, że rozwiodła się z Johnem Leighem. - Barbara zastanowiła się chwilę. - Laura sformułowała to tak jakoś dziwnie... Victoria była żoną ojca Fernanda Leigha, tak powiedziała, a nie: Victoria była matką Fernanda!

- Jego matką była francuska emigrantka - przypomniał Ralph. - Wspominała o tym Cynthia Moore, nie pamiętasz już?

- To prawda. W takim razie później była jeszcze jedna kobieta.

- I ty ustalisz to wszystko. - Ralph wypił ostatni łyk kawy, odsunął kubek i wstał. - A ja wyciągnę narty z piwnicy i sprawdzę, jak będę sobie na nich radził. Jeśli do jutra nie nastąpi jakiś decydujący przełom, muszę postarać się dotrzeć do Leigh's Dale.

Barbara wyjrzała przez okno. Niebo było przejrzyste i błękitne.

- Nadal nie pada. Może spróbują przebić się do nas pługiem śnieżnym.

- To miałem na myśli, mówiąc: „Jeśli nie nastąpi jakiś decydujący przełom”. Ale może nic takiego nie nastąpi. A będziemy musieli coś jeść. Problem robi się z wolna pałący.

- Okay. Ale nie wybieraj się tak po prostu w drogę, nie mówiąc ani słowa, dobrze?

- Naturalnie. Najpierw chcę przecież sprawdzić swoje umiejętności jako długodystansowiec. - Podszedł do drzwi, ale zatrzymał się przy nich jeszcze na chwilę. - Poza tym... chciałem cię przeprosić, jeśli wczoraj w nocy w jakimś sensie byłem zbyt natarczywy. Myślę, że to się już nie powtórzy.

Wzdrygnęła się. Przestraszył ją ton jego głosu: były w nim pewna surowość i nieprzystępność.

- To ja muszę cię przeprosić - powiedziała cicho. - Ja zareagowałam zdecydowanie za ostro. Przykro mi.

Skinął głową i wyszedł z kuchni.

Barbara poczuła się w jednej chwili bardzo podle.

- Ech, psiarew, to także przez całą tę sytuację - mruknęła do siebie. - Siedzimy już tutaj ze sobą prawie od czterech dni, odcięci od świata, marzniemy i głodujemy. W takiej

sytuacji każdy zachowywałby się dziwnie!

Dolała sobie jeszcze kawy i zdecydowanym ruchem usiadła przy stole. Teraz będzie czytać dalej. I tak nie mogła przecież robić nic innego. W najmniejszym nawet stopniu nie była w nastroju do rozmyślań nad problemami natury osobistej.

## *Maj - wrzesień 1916 roku*

Frances spotkała Johna ponownie pewnego majowego wieczoru 1916 roku w Londynie, na ulicy, zupełnie niespodziewanie. Wracała z pracy bardzo zmęczona. Znalazła ją w jednym z wielu zakładów zbrojeniowych, zbudowanych w wielkim pośpiechu na polecenie odpowiedzialnego za zbrojenia ministerstwa i mających poprawić trudną sytuację w zaopatrzeniu żołnierzy brytyjskich we Francji - pracowała przy produkcji naczyń blaszanych. Było to nudne i ogłupiające zajęcie, lecz ponieważ tak czy owak musiała zarabiać jakieś pieniądze, chciała przy okazji przynajmniej spróbować robić coś dla żołnierzy.

Front we Francji nie przesunął się już od roku, tonące w błocie okopy i zaminowane zasieki z drutu kolczastego ciągnęły się na przestrzeni setek kilometrów, nic się nie ruszało. George, który jako porucznik piechoty utknął w tym bagnie, pisał regularnie listy do Alice, a ta chętnie przekazywała je Frances. George oczywiście starał się nie narzekać, mimo to stwierdzały u niego wyraźną huśtawkę nastrojów, przyływy wściekłości, zwątpienia i rezygnacji. Jego kompania poniosła znaczne straty i George, który widział umierających w męczarniach wielu swoich kolegów, cierpiał na stany depresyjne. Nie mówił o tym, ale znając go, można to było wyczytać z każdego jego słowa.

- Jeśli ta wojna potrwa jeszcze długo - wyraziła się kiedyś Alice - grozi mi, że zostanie psychicznym kaleką. Nawet jeśli przeżyje, wróci jako martwy człowiek.

Uwaga ta skłoniła Frances do starania się o pracę w jakimś zakładzie zbrojeniowym.

- W ten sposób będę mieć przynajmniej wrażenie, że trochę mu pomagam - oświadczyła.

Alice wpadła we wściekłość.

- Popierasz w o j n ę! To, co wykańcza George'a. Myślałam, że jesteś po stronie tych, którzy są p r z e c i w k o wojnie!

- Przecież jestem. Ale mamy wojnę, bez względu na to, czy jesteśmy przeciwko niej czy za nią. I teraz powinniśmy przynajmniej pomagać naszym żołnierzom.

Pokłóciły się ostro z tego powodu, ale kłótnie między nimi i tak były od pewnego czasu na porządku dziennym. Alice była rozgoryczona i zawiedziona, ponieważ nic się nie działo w kwestii prawa wyborczego kobiet, ponieważ wojna podzieliła ruch i poniekąd wytrąciła mu broń z ręki. Wyglądało na to, że sprawa utknęła w miejscu i poszła w zapomnienie.

Alice wielokrotnie przebywała w więzieniu, a panujące w nim nieludzkie warunki odcisnęły na niej wyraźne piętno, podkopując zdrowie i przyczyniając się do rozchwiania jej psychiki. Nadal czuła się związana z ideą, o którą walczyła, i z okresem, kiedy płonąła zapalem i nie brakowało jej ducha bojowego. Nie mogła dojść do ładu ze zmianami, jakie wojna wywołała w kraju i w świadomości ludzi. Kiedy musiała patrzeć, z jaką pozorną łatwością Frances dostosowuje się do nowego porządku rzeczy, ogarniała ją złość, a zarazem zwątpienie. Nie rozumiała albo nie zauważyła, ile trudu kosztowało Frances w ostatnich latach przyzwyczajenie się do pragmatycznego stylu myślenia: Nie oglądaj się za siebie, nie patrz za daleko do przodu, troszcz się tylko o wymagania chwili obecnej.

W latach wojny walka o prawo wyborcze kobiet nie miała sensu, toteż Frances uznała, że trwonienie na nią sił mija się z celem. Alice wciąż zarzucała jej, że tak naprawdę nigdy nie zaangażowała się w „sprawę”, ale nie bardzo mogła podeprzeć argumentami to twierdzenie, ponieważ Frances, jak one wszystkie, siedziała i głodowała w więzieniu i biła się na ulicach z policją. Mimo to Alice czuła pewnie, że Frances nie oddała się sprawie bez reszty - tak jak ona. Tyle że ona teraz gonila ostatkiem sił, natomiast Frances zwróciła się ku nowym zadaniom. Nastąpił między nimi poważny rozłam. I ich przyjaźń już nigdy nie miała się podnieść z tego kryzysu.

W wieczór, kiedy spotkała Johna, Frances nie śpieszyło się do domu mimo zmęczenia; Alice była bowiem w złym humorze już rano i Frances przeczuwała, że czeka ją wieczór pełen klótni i sporów. Dlatego postanowiła skorzystać z ładnej pogody i przespacerować się trochę. Dojechała tramwajem do Victoria Embankment i przeszła się kawałek wzdłuż brzegu Tamizy. Powietrze było ciepłe i przejrzyste, woda rzeki rozbłyskiwała w promieniach zachodzącego słońca złocistą czerwienią.

Obraz miasta diametralnie zmienił się od czasu, gdy Frances po raz pierwszy przyjechała do stolicy: gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie żołnierze. Niektórzy wydawali się jeszcze zdrowi i niezużyci. Większość stanowili powracający z Francji, zmęczone, zgarbione postacie, młodzi mężczyźni o twarzach starców i oczach, w których można było wyczytać wszelką zgrozę, jaką oglądały. Wielu straciło nogę i poruszało się mozolnie o kulach, innym brakowało ręki albo oka. Pielęgniarka prowadziła niespełna dwudziestoletniego mężczyznę o jeszcze dziecięcych rysach twarzy; opatrunek zakrywał oczy młodzieńca, który bez przerwy szarpał głową i mruczał do siebie słowa pozbawione jakiegokolwiek związku. Sprzedawca gazet, trzymając nad głową „Daily Mail”, wykrzykiwał:

- Powszechna służba wojskowa! Izba niższa uchwała powszechną służbę wojskową!  
Premier Asquith przegłosowany!



Teraz będą wysyłać do Francji jeszcze więcej naszych chłopców, pomyślała ze zgrozą Frances.

Wygrzebała z kieszeni kilka monet i kupiła gazetę. Kiedy się odwróciła i chciała ruszyć dalej, zderzyła się z jakimś mężczyzną.

- Przepraszam - powiedziała z roztargnieniem, lecz w następnej chwili przyjrzała mu się uważniej. - John! - zawołała zdumiona.

Również on był zaskoczony.

- O Boże, Frances! Co tutaj robisz?

- Spaceruję sobie tylko. A ty?

- Miałem coś do załatwienia w sądzie. - Znajdowali się dokładnie na wysokości Temple. - A teraz też chciałem jeszcze skorzystać trochę ze słońca.

Popatrzyli na siebie niezdecydowanie.

- Przejdźmy się kawałek - zaproponował w końcu.

Dopiero w tym momencie Frances zauważyła, że John ma na sobie mundur.

Dotarli już do Northumberland Avenue, a Frances nie ochłonęła jeszcze ze strachu.

- Jedziesz do Francji? Dlaczego? Jesteś posłem. Nie musisz tego robić!

- Ale chcę. Tu, w kraju, czuję się jak tchórz. Inni nadstawiają głowę, a ja żyję sobie przyjemnie i bezpiecznie. Biłem się z tymi myślami od wybuchu wojny.

- Nie boisz się? Sądząc po tym, co pisze George, musi tam być okropnie.

John uśmiechnął się trochę krzywo.

- Panicznie się boję. Ale byłoby jeszcze gorzej, gdybym nie mógł już spojrzeć sobie w twarz. Odkąd włożyłem ten mundur, czuję się lepiej.

- Rozumiem - rzekła Frances i w jakiś sposób rzeczywiście to zrozumiała, ale zimny strach wspinał się jej po plecach, jeszcze większy niż wtedy, gdy George musiał wyruszyć na wojnę.

Wiadomość o tym, że John będzie wkrótce we Francji i w każdej chwili może umrzeć, wywarła na niej osobliwie głębokie wrażenie. Czy w ogóle dowiedziała się, gdyby coś mu się stało? Zawiadomiono by Victorię, nie ją. Nie miała żadnego prawa do tego mężczyzny: ani do proszenia go, żeby został, ani do przyjmowania wyrazów współczucia, gdyby coś mu się przytrafiło, a w zasadzie nawet prawa do tego, by aż tak bardzo lękać się o niego. W każdym razie nie publicznie. Wszystko, co dotyczyło Johna, musiała załatwiać sama z sobą.

- A co mówi... - z trudem wypowiedziała to imię. - Co na to Victoria?

Wykonał zrezygnowany ruch ręką.

- Oczywiście nie chce, żebym poszedł na wojnę. Mieliśmy ostrą kłótnię z tego powodu. Ona nie rozumie ani trochę... - Urwał. Wyglądało to tak, jakby ugryzł się w język, zły na siebie, że powiedział za dużo. - Jej też nie jest łatwo - podjął po chwili. - Pewnie nie zostanie w Londynie, kiedy mnie nie będzie. Pojedzie do Daleview, tam przynajmniej będzie blisko swojej rodziny.

Biedna mała kobietka, pomyślała złośliwie Frances, kiedy męża nie ma, musi schronić się czym prędzej u mamusi. Szkoda, że nie przeszła tego, co ja przeszłam, wtedy wiedziałyby, jak to jest, kiedy człowiekowi należy się do uszu!

Przestraszyła się tego przyływu nienawiści, ale miała nadzieję, że nie widać tego po niej. Weź się w garść, rozkazała sobie.

Niewiele to pomogło. John wyglądał jeszcze przystojniej niż podczas ich ostatniego spotkania, był starszy, poważniejszy. Twarz mu wyszczupiała. Popatrzyła na jego ręce. Ciekawe, co się czuło, będąc dotykany przez te dłonie, będąc obejmowanym przez te ramiona. Victoria to wiedziała. Victoria miała prawo do jego objęć. Victoria zasypiała wieczorem razem z nim i razem z nim budziła się rano... Na tę myśl Frances poczuła niemal mdłości.

Także John przypuszczalnie coś zauważył, gdyż nagle zapytał:

- Dobrze się czujesz? Całkiem pobladłaś na twarzy!

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Trochę jestem zmęczona, to dlatego.

Przyglądał się jej zatroskanym wzrokiem. Wtedy uświadomiła sobie, jak niepozornie musi wyglądać. Wisząca na niej prosta szara sukienka, pomięta i wygnieciona, nadawała się do pracy w fabryce, ale w czymś takim raczej nie można było się podobać mężczyźnie. Na pewno jest jeszcze bledsza i bardziej bezbarwna niż zwykle. Rano zaciesała włosy byle jak do tyłu, w ciągu dnia pojedyncze kosmyki wymknęły się i teraz opadały jej bezładnie na twarz. Czuła się lepka od brudu, spocona, wyczerpana i nieatrakcyjna. Pomyślała o nienagannie ubranej i wyglądającej małej Victorii. Z pewnością czeka na męża w domu ubrana w piękną sukienkę, chłodna i czysta, i na pewno czuć od niej zapach konwalii, a nie potu.

- Ani razu nie pokazałaś się u nas przez cały ten czas - rzekł John. - Nic o tobie nie wiem. Co robisz? Gdzie i jak mieszkasz?

- Jestem dobrą patriotką. Pracuję w fabryce zbrojeniowej. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Dlatego musisz mi wybaczyć ten wygląd. Przez cały dzień harowałam na akord. Jestem naprawdę wykończona.

Miała nadzieję, że rzeczywiście uzna ją za patriotkę. Nie musiał wiedzieć, że podjęła

pracę, bo potrzebuje pieniędzy. Praca dla Anglii była modna, nawet w najlepszych kręgach. Większość młodych kobiet zatrudniała się jednak w charakterze pielęgniarek, praca w fabryce pociągała nieliczne.

John pokiwał głową, najwidoczniej nie dociekał głębiej, dlaczego wybrała akurat tak nieprzyjemną pracę. Wydawał się pogrążony we własnych myślach, ale gdy Frances zastanawiała się jeszcze, co też dzieje się w jego głowie, powiedział nagle:

- Jeszcze jedno by mnie interesowało, zanim wyjadę do Francji. Jeśli zadam ci pytanie, mogłabyś na nie szczerze odpowiedzieć?

- Zależy od pytania - odparła ostrożnie.

- Ten młody człowiek wtedy - rzekł John - który z twojego powodu odebrał sobie życie: czy to było coś naprawdę poważnego? Chodzi mi o to, czy z twojej strony?

Popatrzyła na niego zaskoczona, nie miała pojęcia, że i on o tym wiedział.

- Wiesz o tym? - zapytała.

Uśmiechnął się.

- Myślałaś, że coś takiego uchowa się w tajemnicy? Nie powiedziałbym, że twoja ciotka Margaret jest uosobieniem dyskrecji. Sądzę, że opowiedziała o tym mniej więcej każdej napotkanej osobie, od pierwszego lorda admiralicji do ostatniej podkuchennej przy Berkeley Square. Przez sezon była ulubionym tematem plotek londyńskiego towarzystwa.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo odgradziła się od świata, gdyż nic nie dotarło do jej uszu. I pomyślała też, że była jednak ogromnie naiwna. Naturalnie Margaret opowiadała każdemu o tragicznym romansie, który rozegrał się w jej domu, świetnie poinformowana dzięki pożegnalnym listom Frances. Na pewno przeczytała jej list do Phillipa tak samo jak adresowany do niej samej. Nie była człowiekiem, który zachowuje dla siebie taki atrakcyjny temat plotek.

- Z mojej strony nie było to nawet w części tak poważne jak z jego - odpowiedziała na pytanie Johna. - I to też jest coś, czego... - Umilkła.

John zatrzymał się.

- Czego?

- Ta historia - mówiła - ta historia to jest coś, czego nigdy sobie nie wybaczę. - Odchrząknęła. - Nie masz przypadkiem papierosa? - zapytała.

Zdziwił się. Dama, jeśli już paliła, nie robiła tego na ulicy. Zaraz jednak, jak się zdaje, przyszło mu do głowy, że Frances już przed kilku laty pożegnała się z wieloma konwenansami i że w mniejszym czy większym stopniu bimba sobie z niewłaściwego zachowania w miejscach publicznych.

Skrzywił usta w uśmiechu, wyciągając i podsuwając jej srebrną papierośnicę.

- Proszę bardzo. W ciągu tych wszystkich lat nie stałaś się wcale mniej samowolna.

Podał jej ogień. Zaciągnęła się głęboko.

- Człowieka omija w życiu zbyt wiele przyjemności - oświadczyła - jeśli ciągle stara się tylko za wszelką cenę przestrzegać każdej zasady.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- A czasami - odpowiedział - omijają też człowieka najważniejsze w życiu rzeczy, jeśli traktuje zasady zbyt luźno.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że Frances nastawiła uszu. To nie był ton utarczki słownej. W jego głosie przebijał smutek, którego nie spodziewała się po nim. Do tej pory była przekonana, że jest jedyną osobą, która wyszła obolała z zawirowań minionych lat. Teraz zrozumiała, że również John nie wyszedł z nich bez szwanku.

Nagle wydało jej się takie bezużyteczne i bezsensowne to, że tak tutaj stoją i są nieszczęśliwi, i przegrali to, co od początku było ich własnością: swą niezłomną, mocno splecioną wzajemną przynależność. To co robili, było marnotrawstwem, najgorszym marnotrawstwem, jakie istniało. Trwonili czas swego życia, trwając w sytuacji, w której znaleźli się za sprawą błędów, nieporozumień i uporu.

Przede wszystkim przez j e g o upór, pomyślała Frances, o wiele bardziej niż przez mój.

Zrozumiawszy, ile lat już stracili, zapomniała o swojej dumie, ostrożności i powściągliwości. Zignorowała wszelkie napomnienia, jakich udzieliła samej sobie. Nie pokazuj mu, jak bardzo jesteś obolała. Nigdy nie pytaj go, dlaczego to zrobił!

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała. - Dlaczego się z nią ożeniłeś?

Na sekundę wytrąciła go z równowagi, ale szybko się opanował.

- To nie jest temat między nami - powiedział oschle i sam też zapalił papierosa.

Mijał ich właśnie oddział śpiewających rekrutów. Od rzeki ciągnął świeży wiatr. Słońce zniknęło za domami.

- Tylko ty masz decydować o tym, co jest tematem między nami, a co nie jest? - zapytała ostro. Nie miała ochoty dać się zbyć. Nagle nie mogła się już powstrzymać, musiała dostać wreszcie odpowiedź na swoje pytanie. - D l a c z e g o? Dlaczego tak nagle? Chodzi mi o to, dlaczego odszedłeś i tak n a g l e się ożeniłeś?

- Dlaczego cię to interesuje?

- A dlaczego cię interesuje, co było między Phillipem a mną?

- Jeden do zera - skwitował John.

- Ty dostałeś ode mnie szczerą odpowiedź. Też chcę dostać taką od ciebie.

- To nie było tak nagle. Spotkaliśmy się na paru przyjęciach. Razem jeździliśmy konno. Interesowała się moją kampanią wyborczą. Ona... - wzruszył ramionami. - Ona nagle nie była już małą dziewczynką, tylko młodą kobietą.

- To jeszcze nie powód, żeby od razu się z nią żenić!

Nagle odezwała się w nim wrogość.

- Ty mnie nie chciałaś. Nie sądzę więc, żebyś miała prawo...

- Chciałeś się na mnie odegrać - przerwała mu Frances piskliwym głosem. - Bądź szczerzy i przyznaj się! Nie mogłeś przeboleć tego, że nie padłam ci natychmiast do nóg, kiedy mnie zapytałeś, czy zostanę twoją żoną. Jesteś przecież taki atrakcyjny. Taki zamożny. Ambitny i odnoszący sukcesy. Nie mieściło ci się w głowie, że jakaś kobieta nie wpada ci sama w ręce jak dojrzały owoc!

Był wściekły, było to po nim widać, ale z trudem się opanował i zniżył głos, przypuszczalnie dlatego, że nie chciał jej sprowokować do podniesienia głosu jeszcze bardziej. Paru przechodniów obejrzało się już za nimi z zaciekawieniem.

- Frances, nie ma najmniejszego powodu, dla którego mielibyśmy analizować przyczyny naszego zachowania wtedy. Jest, jak jest, żadne z nas już tego nie zmieni. Ożeniłem się z Victorią i musisz się z tym pogodzić.

- Jak przekonująco okazujesz znowu swoje wielkie opanowanie! Tylko dlatego, że nie chcesz przyznać, jak dziecinne, a na dodatek wyrachowane i egoistyczne były twoje motywacje. Chciałeś mi zrobić na złość, a przy okazji uświadomiłeś sobie, że taka kobieta jak Victoria nadaje się o wiele lepiej do wspierania twojej kariery. Przyznaj się przynajmniej! Ja z moją przeszłością kosztowałabym cię utratę głosów. Jakże krępujące byłoby pokazywanie się ze mną w dobrym towarzystwie! Natomiast urocza, miłutka Vicky była kobietą na pokaz, prawda? Dziewczyna o nieposzlakowanej opinii z dobrej rodziny - abstrahując od tej drobnej skazy, że bądź co bądź tak samo jak ja jest córką irlandzkiej katoliczki. A właściwie dlaczego ci to nie przeszkadzało? Zazwyczaj przecież wszystko podporządkowujesz zasadzie, żeby tylko nie stracić ani jednego punktu w opinii ludzi!

- Frances, wystarczy! A przede wszystkim nie mów tak głośno! Nie uważam, żeby całe miasto musiało się dowiedzieć, o co się kłócimy.

- A jeśli jest mi to zupełnie obojętne?

Rzucił wypalonego do połowy papierosa na ziemię i rozdeptał niedopałek.

- Rób, co chcesz. Ja odchodzę. Nie dam się uwikłać w taką bezsensowną rozmowę!

- No to idź!

Zabrzmiało to jak strzał z pistoletu. Dookoła zatrzymywali się ludzie.

- Frances, radzę ci, przestań. Ośmieszasz się - ostrzegł.

- To nie ma dla mnie nawet w połowie takiego znaczenia jak dla ciebie - odparła ciszej niż poprzednio, ale nad wyraz popędliwie.

John stanowczym ruchem chwycił ją pod ramię i pociągnął za sobą.

- Weźże się w garść! - ofuknął ją.

Wyrwała ramię z jego uścisku i cofnęła się o krok. Czuła, że musi być zupełnie blada.

- Przestań wreszcie udawać coś przede mną, przed sobą i przed całym światem!

Ludzie wokół nich umilkli i przysłuchiwali się z zainteresowaniem.

- Nie kochasz Victorii! W ogóle nie potrafisz kochać tej bezrozumnej, małej osóбки! Przecież ona nie jest zdolna do samodzielnego myślenia. Jedyna rzecz, jaką potrafi, to wystroić się, trzepotać rzęsami i mówić: „Tak, John” i „Nie, John”. Czy nie boisz się czasem, że sam zgłupiejesz, jeśli spędzisz resztę życia z kobietą, która nie umie policzyć do trzech?

John był już co najmniej tak samo wściekły jak ona. Widziała, że powstrzymuje się ostatkiem sił, żeby nie przejść do rękoczynów. Jego wąskie wargi pobielaly, cerę miał bladą.

- Zabraniam ci mówić w ten sposób o Victorii. Raz na zawsze. To moja żona. I twoja siostra. Tymi podburzającymi słowami dyskredytujesz przede wszystkim siebie. Nie masz najmniejszego prawa osądzać jej w ten sposób i naprawdę ostrzegam cię: nie rób już tego więcej!

Frances nigdy dotąd nie widziała Johna w takim gniewie. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, żeby lepiej się już nie odzywała, lecz nie chciała, by odniósł wrażenie, że może ją zastraszyć.

- To przecież jedna z tych kobiet, które wyciągają kasztany z ognia cudzymi rękami - ciągnęła pogardliwie. - Kiedy ona kupowała sobie nowe stroje, ćwiczyła przed lustrem podnoszenie oczu i łowiła jedną z najlepszych partii w północnych hrabstwach, ja siedziałam w więzieniu i walczyłam o prawa wyborcze kobiet, a bądź co bądź była to walka także w imieniu j e j jako kobiety!

- Może jej wcale tak nie zależy na prawach wyborczych, więc nie próbuj odgrywać wielkiej dobrodziejki. Walka, którą toczyłaś, była wyłącznie twoją sprawą. Nikt od ciebie tego nie wymagał, nikt cię nie zmuszał. A teraz nie użalaj się nad sobą dlatego, że konsekwencje okazały się poważniejsze, niż sądziłaś. A przede wszystkim nie żądaj, by los wynagrodził cię za twoje ofiary, nie domagaj się swego rodzaju odszkodowania. W życiu tak nie jest!

Trafił ją celnie, mówiąc o „użalaniu się nad sobą”, zabrał ją nagle z powrotem z

wyspy gniewu i niepanowania nad sobą. Zawsze gardziła ludźmi, którzy użalają się nad sobą - czyżby teraz dopadło to również ją?

Nagle opuściły ją wszystkie siły. Ręce opadły jej bezwładnie, nie czuła już wściekłości, czuła się tylko podle i była zupełnie wyczerpana.

- Ach, John - powiedziała cicho.

- Muszę już iść - odparł. - Za długo zabawiłem poza biurem. Jak dostaniesz się do domu? Przywołać ci dorożkę?

- Pojadę tramwajem. Ale idź już, ja zostanę jeszcze chwilę.

Zawahał się.

- Jeśli uważasz...

- Oczywiście. Przejdę się jeszcze kawałek.

- No dobrze. A więc... bywaj zdrowa, Frances. Długo nie będziemy się widzieć. Uważaj na siebie.

John skinął głową. Ujął dłoń Frances i na chwilę przyciągnął ją do ust, po czym odszedł szybkim krokiem, który w miarę oddalania się od niej wydawał się coraz lżejszy.

„Wiesz, że Twojego ojca i mnie bardzo smuci rozłam w naszej rodzinie” - pisała Maureen. Na widok jej znajomego kształtnego pisma na białym papierze listowym Frances poczuła bolesny skurcz. Tak długo nie miała żadnej wiadomości od matki!

„Mimo to masz prawo, jak sędzę, dowiedzieć się wszystkiego o zmianach, jakie nastąpiły u nas. Dlatego już dziś pragnę Ci przekazać radosną nowinę: w grudniu będziesz miała siostrzyczkę albo braciszka”.

Frances opuściła rękę, w której trzymała list.

- To niemożliwe! - powiedziała na głos.

- Złe wiadomości? - spytała Alice, która próbowała gotować coś trudnego do zdefiniowania na płycie kuchennej.

- Nie, właściwie nie. Moja matka spodziewa się znowu dziecka.

- Och, to pewnie ostatnia próba wydania na świat udanego potomstwa oprócz kochanej Victorii, bo w przypadku twoim i George'a trochę się to nie powiodło!

Frances ta uwaga wcale nie rozśmieszyła, a w dodatku uznała ją za niesmaczną. Pomięła ją więc milczeniem.

- Nie chciałam cię urazić - dodała pojednawczo Alice.

- Już dobrze. Mój Boże - Frances zastanowiła się chwilę - mama jest już po czterdziestce! Zastanawiam się, dlaczego jeszcze raz musi ponosić takie ryzyko!

- Prawdopodobnie po prostu tak wyszło. I teraz nie może już tego zmienić.
- Uważam, że to niebezpieczne.
- Chyba jest zdrowa, co? Na pewno da radę.

Frances czytała dalej: „Nic jeszcze nie mówiłam Vicky, choć widuję ją prawie codziennie. Przeniosła się już całkiem do Daleview, odkąd John jest we Francji. Czuje się samotna i boi się o męża, ale najbardziej gryzie się tym, że wciąż jeszcze nie zaszła w ciążę. Była już u tylu lekarzy, ale żaden nie potrafił powiedzieć, gdzie leży przyczyna. A teraz ja, jej matka, jeszcze raz będę musiała rodzić! Choć w pierwszej chwili bardzo się ucieszyłam, to zmartwienie Vicky sprawia, że jest mi w tej chwili dość ciężko na duszy”.

Chciałabym wiedzieć, dlaczego wszyscy przez okrągłą dobę żalują biednej Victorii, pomyślała Frances, w której zbudziła się agresja.

„Mam nadzieję, że wiedzie Ci się dobrze”, pisała na koniec Maureen. „Często zastanawiam się, jak i za co żyjesz. Nigdy nie chodziło o pieniądze, przypuszczalnie wiesz o tym. Jeśli czegoś potrzebujesz, to powiedz. Od przyszłego miesiąca będziesz mogła nawet do nas zadzwonić. Charles spełni wreszcie swoją obietnicę sprzed lat. Będziemy mieć w Westhill telefon. Ucieszyłyby mnie wieści od Ciebie”.

Frances jej odpisała. W liście życzyła matce szczęścia w następnych miesiącach i wyrażała radość z rychłych narodzin dziecka.

Istotnie się cieszyła, ale gdyby była całkiem szczerą, musiałaby przyznać, że z tą radością miesza się spora porcja nienawiści. Ciąża Maureen będzie ciężkim ciosem dla Victorii i Frances napawała się tym uczuciem - choć czasami wstydziła się tego przed sobą.

Pierwszego czerwca 1916 roku rozpoczęła się wielka ofensywa Anglików i Francuzów nad Sommą po uprzednim skruszeniu oporu wroga silnym, trwającym tydzień ostrzałem artyleryjskim. Już w pierwszych godzinach ataku Anglicy stracili 21000 żołnierzy. Bitwa nad Sommą przekształciła się w jedną z najstraszliwszych, najbardziej krwawych i bezskutecznych bitew tej wojny. Kiedy przerwano ją w listopadzie tego samego roku, Anglicy i Francuzi doliczyli się łącznie 600000 zabitych, po stronie niemieckiej było ich 450000. Na odcinku frontu o długości pięćdziesięciu kilometrów Anglicy i Francuzi zdobyli mniej więcej dwanaście kilometrów terenu.

Im gorsze wiadomości napływały z Francji, tym więcej rannych i kontuzjowanych widywało się codziennie na londyńskich ulicach i tym bardziej rósł niepokój Frances o Johna. W końcu prawie codziennie dzwoniła do Westhill albo do Daleview. Frances mogła dzwonić z fabryki, w której pracowała, lecz naturalnie musiała za to płacić i te codzienne rozmowy



międzymiastowe siały ogromne spustoszenie w jej portmonetce. Wiedziała jednak, że jeśli Johnowi coś by się stało, jego matka i Victoria, Charles i Maureen dowiedzieliby się o tym pierwsi.

Kiedy po raz pierwszy zadzwoniła do Daleview i lokaj znalazł wreszcie i poprosił do aparatu Victorię, ta zapytała od razu głosem stłumionym przez łyżę:

- Wiesz już? Mama spodziewa się dziecka!

- O mój Boże! - odparła z rozdrażnieniem Frances.

Kiedy usłyszała w słuchawce szloch siostry, była przekonana, że Johnowi coś się stało, i serce omal jej nie zamarło. To było niepojęte! Mąż Victorii po drugiej stronie Kanału dzień w dzień narażał życie w wyniszczających walkach nad Sommą, a ona snuła się po domu i zapłakiwała, bo nie mogła mieć dziecka!

- Powiedziała mi dzisiaj rano - uzupełniła Victoria. Potem nastąpiła przerwa, podczas której czyściła nos. - Och, Frances, nie masz pojęcia, jak podle się czuję!

- Masz jakieś wieści od Johna? - spytała Frances.

Telefonowanie kosztowało zbyt dużo pieniędzy, żeby miała wysłuchiwać lamentów Victorii.

Victoria tak bardzo była zajęta swoim zmartwieniem, że dopiero po chwili dotarło do niej w pełni, o co pytała Frances.

- Nie mam żadnych wieści - odpowiedziała. - Zastanawiam się, czy mu napisać, że mama spodziewa się dziecka - dodała. - Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że w tym bagnie, w którym obecnie tkwi, obchodzi go to tyle, co zeszłoroczny śnieg - odpowiedziała Frances, po czym dodała złośliwie: - Co innego, rzecz jasna, gdybyś mogła mu napisać, że to ty spodziewasz się dziecka.

Wystarczyła ta jedna krótka uwaga, by Victoria powtórnie wybuchnęła płaczem.

- Nie wiem już, co robić! To straszne! Nie potrafię myśleć o niczym innym! Co mam zrobić?

- No cóż, w tej chwili nie możesz w ogóle nic zrobić, skoro John jest we Francji, prawda? Powinnaś się odprężyć i przestać zaprzętać sobie nad tym głowę. Jeszcze doprowadzisz siebie całkiem do szaleństwa - a na dodatek nas wszystkich!

- Wiesz, John jest dla mnie taki dobry. Sam nigdy nie wspomni, że pragnie dziecka. Ale wiem, że ma nadzieję, iż doczeka się dziedzica. Cała ta własność tutaj - co zrobimy, jeśli nie urodzę syna?

- Zachowujesz się ciągle tak, jakby wszystko zależało od ciebie. Może to wina Johna, że nie macie jeszcze dziecka. Nie wmawiaj sobie, że to twoja wina!

- Ale ja...

- Posłuchaj, Victorio, ta rozmowa kosztuje mnie dużo pieniędzy. Muszę kończyć.

Zadzwoń znowu, dobrze?

Żeby zapytać o Johna, dopowiedziała w myśli. Dobry Boże, ależ ona lubi narzekać!

W końcu dzwoniła do Daleview, aby zapytać o Johna, tak często, że zwróciła na to uwagę nawet Victoria, która zawsze myślała tylko o sobie.

- Dlaczego tak cię to interesuje? Zachowujesz się, jakbyś była jego żoną!

I byłabym nią, gdyby wszystko ułożyło się tak, jak powinno się ułożyć, pomyślała Frances. A na głos powiedziała:

- Byliśmy wcześniej dobrymi przyjaciółmi. I naturalnie martwię się o niego.

Ale Victoria zrobiła się czujna. W kilka dni później przycięła siostrze:

- John jest moim mężem! Mam nadzieję, że nie zapominasz o tym!

Tak agresywnie Victoria nie odezwała się nigdy dotąd do nikogo. Nie była już dawną Victorią, zmieniła się w tych latach wojny. W międzyczasie doszła do przekonania, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Poza tym odczuwała boleśnie brak męża i martwiła się o niego. W olbrzymim ponurym domu, w którym musiała mieszkać z pozbawioną poczucia humoru i surową teściową, dokuczały jej chłód i samotność, a w dodatku nie mogła nawet przed tym uciec do swojej rodziny w Westhill, bo nie mogła znieść widoku własnej ciężarnej matki. Narzekała i zrzedziała coraz bardziej i stopniowo traciła czar, jaki dawniej roztaczała, obcując z innymi ludźmi.

Minał wrzesień, a od George'a wciąż nie było listu. Alice była wręcz chora ze strachu, bo George zawsze pisał regularnie.

Ale gdy jeszcze na początku wojny upiększał sytuację i próbował szerzyć optymizm, to najpóźniej od rozpoczęcia bitwy nad Sommą najwidoczniej nie był już w stanie tego robić. Dwa lata wojny złamały go i wyczerpały jego siły. Jego listy, pisane stylem telegraficznym, ukazywały nędzny, ciężki los żołnierzy.

„Obok nas został zasypany tunel. Nie żyją wszyscy ludzie, których wydobyto, oprócz jednego. Te przekłete tunele w ułamku sekundy potrafią zamienić się w masowy grób... Bez przerwy pada deszcz. U nas w tunelu woda sięga na wysokość trzydziestu centymetrów. Wszystko jest mokre: ubrania, buty, koce, prowiant. W okopie prowadzącym do tunelu - lodowate bagno. Kiedy wysłałem ludzi po jedzenie, jeden formalnie zapadł się w błoto, dwaj inni musieli go odgrzebywać...

Przez kilka dni biwakowaliśmy w jamie pod ziemią; wykopano ją dawno temu, a więc

nie stworzyła jej natura. Plutony mieszkają w tej jamie na zmianę, powietrze jest tutaj tak złe, że nikt długo nie wytrzyma. Jest przeraźliwie zimno. Wciąż gasną świece, które mają nam dawać trochę światła, bo mamy tu tak mało tlenu...

...Bez przerwy ostrzał artyleryjski naszych pozycji przez Niemców. Znowu siedzimy w tunelu. Jeden celny pocisk, a zostaniemy żywcem pogrzebani. Jeden wczoraj oszalał, zaczął mówić od rzeczy i dostał gorączki. Później okazało się, że jego brat umarł wczoraj, dostał postrzał w brzuch...

...Boję się, Alice. Nigdy dotąd, w całym swoim życiu tak się nie bałem. Wolałbym dostać kulę w głowę, niż żeby tunel zawalił się na mnie. Nie wiedziałem, że mam klaustrofobię, ale tutaj mnie ona dopadła, mocniej niż większość kolegów...

Alice, kiedy to się skończy? Kiedy to się wreszcie skończy?"

Takie było zakończenie jego ostatniego listu. Potem nie miały od niego żadnych wieści - przez cztery nieskończone długie tygodnie.

- Nie musi to wcale oznaczać nic złego - powtarzała ciągle Frances. - Pomyśl tylko, co się tam dzieje. To cud, że jego listy przychodziły do tej pory tak szybko i regularnie. Teraz to po prostu przestało funkcjonować!

- Nie sądzę. Inni też dostają listy. - Alice zasięgnęła informacji. Doręczanie poczty polowej z Francji funkcjonowało na ogół bez zarzutu. - Pisał praktycznie codziennie! Dlaczego teraz nie pisze?

- Nie wiem. Zadzwoń dzisiaj jeszcze raz do matki, może w międzyczasie dowiedziała się czegoś.

Ale Maureen też nie dostawała już żadnych wieści, tyle że nie była tym zaniepokojona, gdyż George od początku wojny napisał do niej zaledwie cztery razy: karty pocztowe, aby wiedziała, że jeszcze żyje. W pewnym sensie jego kontakt z rodzicami urwał się już dawno. Dzwoniąc do domu, Frances osiągnęła tylko tyle, że Maureen przybył jeszcze jeden powód do zmartwień. Frances stwierdziła, że głos matki brzmi inaczej niż zwykle, wydaje się nie tak świeży i mocny, a gdy zapytała ją o to, Maureen wyjaśniła, że bardzo źle znosi ciążę.

- Po prostu się starzeję. Dawniej nie miałam problemów.

Później dodała jeszcze:

- Może dlatego, że nałożyło się wiele spraw. Wojna, niezgoda między ojcem a tobą. Wiesz, o pewnych sprawach myślę teraz inaczej. Nie powinno się marnować tyle życia na kłótnie i waśnie. Nagle wszystko się kończy i nie można już niczego naprawić.

Coś w głosie matki zaniepokoiło Frances. To co mówiła, i jak mówiła, brzmiało tak, jakby coś przeczuwała. Maureen naprawdę się bała. Bała się końca. Czyjego końca? Tego, że nie można już czegoś naprawić...

Odtąd także Frances zaczęła coraz bardziej niepokoić się o George'a.

W sierpniu przystąpiła do wojny - po zawarciu paktu z Rosją - Rumunia. W połowie września Anglicy użyli we Francji po raz pierwszy wozów pancernych, które stworzyły możliwość pokonywania lejów po granatach i okopów, i faktycznie Anglikom udało się wdrzeć w głąb niemieckich pozycji. Radość w kraju była ogromna, wielu przepowiadało, że potężne pojazdy gąsienicowe rozstrzygną wreszcie losy wojny, która utknęła w martwym punkcie.

W rzeczywistości euforia okazała się przedwczesna: jak już nieraz podczas tej wojny, znów pojawiły się problemy z zaopatrzeniem, dostarczono za mało czołgów, z których sporo zepsuło się już w drodze na front. Pozostałych tanków nie wystarczyło do przeprowadzenia ofensywy na szeroką skalę. Mały promyk nadziei zgasł bardzo szybko.

W deszczowy wieczór pod koniec września Frances wróciła z fabryki i zastała Alice pochłoniętą gorączkowymi przygotowaniami do podróży. W salonie stały dwie otwarte walizki - co oznaczało, że praktycznie nie było w nim już miejsca, gdzie można by stanąć lub przejść - a na sofie, która służyła Frances jako miejsce do spania, leżały porozkładane części garderoby. Alice balansowała między tymi rzeczami, miotając się po pokoju.

- Co ty znowu zamierzasz? - spytała zdziwiona Frances, przechodząc ostrożnie do kuchni, gdzie postawiła na stole gazet mokre kalosze, które ściągnęła w sieni.

- Dostałam wiadomość - odpowiedziała Alice - od dowódcy batalionu George'a. George jest ciężko ranny.

Frances przełknęła głośno ślinę.

- Co?

- Leży w lazarecie w jakiejś cholerniej francuskiej wiosce. Nie nadaje się do transportu - wyjaśniła Alice.

Mimo złej wiadomości nie wyglądała już na tak zdesperowaną i zniechęconą jak w minionych tygodniach. Lepsza już była zła wiadomość niż brak jakiegokolwiek. Skończyła się niepewność. Teraz mogła działać.

Frances poczuła, że ma kolana jak z waty, i usiadła na kuchennym taborecie.

- Mój Boże - wyszeptała.

- Miał przy sobie mój adres, a nie adres rodziców. Dlatego napisano do mnie - rzekła

Alice, a w jej słowach słyhać było pewną satysfakcję.

- A co dokładnie się stało? - spytała Frances. Była zupełnie zszokowana.

- Do jego schronu wpadł granat. Tunel został zasypany ziemią. Wszystkich jego kolegów odgrzebano martwych. Tylko George przeżył. Ma dość poważną ranę głowy i lekką prawej nogi. Major pisze, że jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo.

Zasypany w tunelu. Najgorszy koszmar, jaki prześladował George'a. Czy był nieprzytomny, kiedy go odkopywano? Czy też miał pełną świadomość i w śmiertelnym strachu musiał spokojnie czekać?

- To przerażające - rzekła Frances, lecz zauważywszy spojrzenie Alice, zaraz dodała: - Nie chodzi mi o to, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Tylko o to, że spotkała go najgorsza rzecz, jaka mogła mu się przytrafić. To, czego bał się najbardziej.

- Pewnie jest zupełnie wytracony z równowagi - powiedziała Alice. - To przypuszczalnie o wiele większy problem niż jego obrażenia. Pojadę do niego.

- Do Francji? Na front?

- Lazaret znajduje się naturalnie za linią frontu. Sądzę, że George potrzebuje teraz kogoś, kogo zna, kto jest mu bliski.

Puls Frances uspokoił się z wolna. Z braku doświadczenia nie wiedziała, jakie zmiany mogą wywołać w człowieku traury wojenne, nigdy też o nich nie słyszała ani nie czytała - w przeciwnym razie martwiłaby się bardziej. A tak pomyślała tylko: Bogu dzięki! George nie umrze. Wszystko jest w porządku!

- W zasadzie powinniśmy się cieszyć - rzekła. - Kto wie, czy zdążą posłać go jeszcze raz na tę wojnę. Może ma już wszystko za sobą!

Alice nie podzielała jej optymizmu.

- Może już nigdy nie dojść do siebie pod względem psychicznym. Słyszałam o żołnierzach, którzy wylądowali w zakładzie.

- Ale nie George. On jest silny.

- Może wcale nie taki silny, jak sądzisz - zaprotestowała Alice. Starannie złożyła szal i umieściła go w jednej z walizek. - W każdym razie jadę do niego. I bez niego nie ruszę się stamtąd. Przywiozę go z powrotem do Anglii. Pod jednym względem masz rację: nie poślą go już na wojnę, nigdy więcej. Ja do tego nie dopuszczę.

Frances odkryła ze zdumieniem, jak głębokie jest w rzeczywistości uczucie Alice do George'a. Zawsze sądziła, że Alice nie potrafi tak naprawdę kochać i że George skazany jest na to, by chodzić za nią przez całe życie i w najlepszym wypadku otrzymywać w rewanżu połowę tych uczuć, jakie wnosił w ich związek. Ale myliła się. Nie była w stanie czegoś

zrozumieć w tym związku, w Alice jako człowieka. I nagle znów zaczęła okazywać przyjaciółce większe zainteresowanie i darzyć ją szacunkiem, na który ponownie zasługiwała.

A potem, nie zastanawiając się ani chwili dłużej, powiedziała:

- Jadę z tobą do Francji. Będę ci towarzyszyć.

## *Październik - listopad 1916 roku*

Październikowy dzień był słoneczny, ale chłodny, jednak wewnątrz walącej się stodoły, przekształconej przez Anglików w lazaret, panował duszący upał. Ranni leżeli wzdłuż ścian na łóżkach polowych, lecz z powodu przepełnienia wielu położono także na podłodze, po prostu owinięto ich tylko w koce. Przejścia między łóżkami miały pozostać wolne, ale i tutaj tłoczyli się ranni żołnierze. Sanitariusze przynoszący na noszach kolejne ofiary za każdym razem omal potykali się o wyciągnięte ręce i nogi, a czasem przez nieuwagę zdarzało im się kopnąć jednego czy drugiego z nieszczęśników, który w następnej chwili - jeśli nie był nieprzytomny lub półmartwy - wrzeszczał przeraźliwie lub przeklinał gorzej niż furman. Za pomocą płacht namiotowych powiększono trochę pomieszczenie, lecz tylko przejściowo rozwiązało to sytuację. W międzyczasie bowiem w namiocie tłoczyło się tyle samo rannych co w stodole, a na dużej łące przed nią, na której w lepszych czasach odbywały się wioskowe święta i tańczono w majowe noce, przebywali teraz lekko ranni lub prawie już rekonwalescenci i rozmawiali, niektórzy, zamknawszy z lubością oczy, palili papierosa - rzadki skarb i jakże pożądany. Wielu zaś siedziało tylko apatycznie na trawie pod drzewem lub na ławce i patrzyło nieruchomo przed siebie. Młody mężczyzna, któremu amputowano obie nogi powyżej kolan, siedział w wózku inwalidzkim z bladą jak śmierć twarzą i drżącymi wargami i mruczał do siebie jakieś niezrozumiałe słowa. A wszystko zagłuszał huk artylerii z frontu, który przebiegał całkiem niedaleko. Dym zasłaniał horyzont. Na niebie dominował mocny, nasycony błękit, drzewa tonęły w różnych barwach jesieni.

Umierający krzyczeli.

To koszmar, pomyślała Frances, okropny koszmar, człowiek marzy jedynie o tym, żeby się wreszcie z niego obudzić.

Na ów koszmar składały się krew, ropa, ekskrementy, wymiociny, po których łąziły muchy, lepiące się od brudu opatrunki, rozpalone gorączką twarze, wypełnione zgrozą oczy, szczeciniasty zarost i zapadnięte policzki, ręce, które wyciągały się do każdego, kto przechodził, i błagały o wodę lub odrobinę morfiny na złagodzenie bólu. Ów koszmar uzupełniały krzyki rannego z najcięższymi obrażeniami, któremu lekarz po zupełnie nieprzespanej nocy wyjmował kulę gdzieś z brzucha, a odbywało się to w przerobionej na salę operacyjną dawnej drewni.

Ów koszmar to był także nieustanny huk artylerii i żołnierz, którego dwaj sanitariusze

przynieśli biegiem do stodoły: oszalały z bólu wrzeszczał rozzdzierająco i przyciskał rękami brzuch. Z munduru zostały tylko żalostne strzępy. Coś wypływało spomiędzy jego palców, a gdy Frances, mimo przerażenia przyciągana jakąś dziwną nieprzepartą siłą, przyjrzała się bliżej, stwierdziła, że to wnętrzności mężczyzny.

Po raz pierwszy, odkąd była tutaj - a widziała w tym czasie wiele, nawet za wiele - nie zdołała się opanować. Odwróciła się i zwymiotowała do blaszanego wiadra stojącego przy łóżku innego pacjenta.

- Niech się pani wyrzyga, panienko - powiedział leżący znużonym głosem - to, co się tutaj dzieje, może człowieka wykończyć, prawda?

Wyprostowała się z cichym jęknięciem, otarła usta drżącą dłonią. Kiedy wreszcie odważyła się odwrócić znowu, sanitariusze postawili nosze z rannym w brzuch zaledwie kilka kroków dalej. Ręce mężczyzny zwisały bezwładnie po obu stronach noszy, oczy miał szeroko otwarte i puste, skierowane nieruchomo w sufit. Jego krzyki umilkły.

- Psiakrew - powiedział jeden z sanitariuszy; tymczasem pośpieszyła już do nich energiczna dama w fartuchu pielęgniarki, jednym rzutem oka oceniła sytuację i poleciła sanitariuszom wynieść zmarłego.

- Szybko, szybko! Potrzebujemy miejsca! I tam w głębi, w łóżku w kącie, tamten też nie żyje! Pośpieszcie się z nim, bo trzeba tam położyć operowanego!

Mra jak muchy, pomyślała Frances, i tak niewiele można zrobić.

Front od tygodni nie posunął się do przodu ani do tyłu nawet o milimetr, ale wypływał bez końca zabitych i rannych. Mieszkańcy małej wioski St. Ravill, położonej niedaleko Beaumont nad Ancre, dopływem Sommy, zaopatrywali codziennie lazaret w żywność, niektórzy z własnej inicjatywy gotowali zupę i pomagali przy rozdawaniu. Wszyscy się bali, gdyż stara stodoła znajdowała się kawałek poza St. Ravill i bliżej frontu, a czasem huk był tak głośny, jakby granat uderzył tuż przed drzwiami. Mimo to każdy wykonywał swoją pracę niewzruszenie i obojętnie, jakby to, co działo się kilometr dalej, nie zwiastowało już końca świata.

Również Frances starała się być pożyteczna. Nie miała wprawdzie doświadczenia w pielęgnowaniu chorych, lecz potrafiła trzymać nerwy na wodzy i zdecydowanie interweniować, gdy zaszła potrzeba. Nie patyczkowała się, i to podobało się siostrze przełożonej, rezolutnej starszej damie z hrabstwa Somerset.

„Panno Gray, może pani tu pomóc?”

„Panno Gray, może pani tam posprzątać?”

Takie okrzyki rozbrzmiewały coraz częściej. Załamanie nerwowe, jakie Frances



przeżyła, gdy przenoszono obok niej rannego z postrzałem w brzuch, było jedynym incydentem tego rodzaju. Bynajmniej nie czuła powołania do zawodu pielęgniarki, za mało bowiem miała w sobie idealizmu, a w zasadzie także filantropijnego zacięcia; jednak sama radziła sobie z uczuciami, jakie wzbudzał w niej widok otaczającej ją zgrozy, i nie uciekała od koszmaru wojny.

George leżał najpierw na łóżku polowym, lecz ponieważ obrażenia ciała dobrze się goiły, musiał zwolnić łóżko dla jednego z nowych, ciężkich przypadków i biwakował teraz na kocu tuż przy wejściu. Alice gwałtownie zaprotestowała przeciw temu i za nic w świecie nie chciała się uspokoić, aż w końcu zjawił się lekarz i zrugął ją w tak ostrych słowach, że zamilkła i tylko odwróciła się z twarzą czerwoną jak burak. Dzień i noc czuwała przy posłaniu George'a, sypiała po parę godzin na dobę i jadła tak mało, że już po tygodniu zrobiła się przerażająco chuda. Pomagała George'owi w jedzeniu, myła go, opowiadała mu historyjki i strzegła jego snu.

Frances uważała taką troskliwość za przesadną, choć sama była przerażona, gdy po raz pierwszy zobaczyła znowu brata. Wychudł tak bardzo, że można by uznać, iż rzeczywiście składa się tylko ze skóry i kości. Oczy zapadły się w głąb oczodołów; zgasło w nich wszelkie życie, wszelki blask, wszelkie emocje. Wszystko w nim wydawało się martwe. Włosy matowe i rozczochrane, skóra poszarzała, bezkrwiste wargi. Niewiele zostało z przystojnego młodego mężczyzny o serdecznym uśmiechu i żywych oczach.

Jak to dobrze, że mama nie widzi go w tym stanie, pomyślała Frances, ujrawszy go teraz znowu.

Natychmiast rozpoznał je obie.

- Alice! Frances! Skąd się tutaj wzięłyście?

Mówił monotannie, nie podnosił ani nie zniżał głosu. Nie wydawało się, żeby wzruszył go tak naprawdę widok obu kobiet. Nie pytał o rodziców ani o dom. Wyglądało na to, że nic nie trafia głębiej do jego wnętrza.

Frances zauważyła przede wszystkim, że jego rany dobrze się goją, i od razu poczuła ulgę.

- Naturalnie jest jeszcze w szoku - powiedziała do Alice, która po tym pierwszym spotkaniu nie kryła z troskaniem. - Przez czterdzieści osiem godzin był żywcem pogrzebany. A wokół niego sami martwi koledzy. Nic dziwnego, że jest taki wytrącony z równowagi!

- On jest nie tylko wytrącony z równowagi. Nie widzisz, że jest zupełnie innym człowiekiem? Prawie nic już do niego nie dociera!

- To samo przejdzie.

- Skąd wiesz? Ludzi, którzy przeżyli duży szok, należy poddawać ostrożnej terapii w ściśle określony sposób. Na to oczywiście nikt nie ma tutaj czasu. Boję się, żeby bez reszty nie pogрузzył się w tym swoim własnym, wewnętrznym świecie.

Frances stwierdziła w duchu, że Alice widzi tylko duchy. Dopiero znacznie później miała się przekonać, że Alice widziała tragedię już wtedy, gdy jeszcze nikt nie chciał jej dostrzegać.

Wielu mężczyzn w lazarecie miało nie tylko rany na ciele, ale także cierpiało na urazy psychiczne. Widzieli umierających kolegów i sami żyli miesiącami w ciągłym strachu przed śmiercią. Byli wśród nich żołnierze, którzy musieli wytrzymać w okopach cztery miesiące, bo nikt ich w tym czasie nie zluzował.

Frances często zajmowała się osiemnastoletnim chłopcem, który pochodził z Northumberland, najdalej wysuniętego na północ hrabstwa w Anglii. Okropnie tęsknił za domem, nie mógł przeboleć śmierci najlepszego przyjaciela, który kucając tuż obok niego, dostał śmiertelny postrzał w głowę. Opowiadał Frances, że ciągle śnią mu się po nocach konie.

- Musiałem patrzeć na śmierć tylu koni. Te konie krzyczały. I płakały. Nie wiedziałem, że konie mogą płakać. Leżały na ziemi i walczyły ze śmiercią, ciała miały poszarpane pociskami, z wielu ran płynęła krew. Niektóre się poddały, czekały na koniec spokojnie, z szeroko otwartymi oczami. Tylko od czasu do czasu parskały cichutko. W ich oczach było tyle smutku. Kiedy mi się śnią, zawsze mam wrażenie, że to najbardziej niewinne ofiary tej wojny.

Frances myślała o koniach w Westhill, o ich jedwabistych uszach i ciemnych oczach, o dotyku ich miękkich nozdrzy, które wciskały w ludzką dłoń. Rozumiała chłopca i kochała go za jego wrażliwość. Od tej pory zawsze starała się zdobyć dla niego jakieś smaczne kąski, a kiedy słyszała, jak jęczy przez sen, zaraz go budziła, bo wiedziała, że znowu śnią mu się konie.

Alice okupowała George'a od rana do nocy, toteż Frances tylko z rzadka mogła się nim zajmować. W trakcie wielu rozmów z innymi mężczyznami próbowała dowiedzieć się czegoś o Johnie. Nie miała pojęcia, gdzie stacjonuje jego jednostka, ale wszystkim wymieniała jego nazwisko.

- Porucznik John Leigh? Nie mam pojęcia, proszę pani. Nigdy nie słyszałem o takim.

W głębi ducha pragnęła, żeby coś mu się stało, naturalnie nic groźnego, ale wystarczająco poważnego, żeby trafił do lazaretu, najlepiej do St. Ravill. Poza tym miała to

być dostatecznie poważna rana, by nie musiał wracać na front, lecz zarazem taka, by jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. W bezsenne noce, kiedy leżała w wiejskim domu na wąskiej pryczy, która służyła jej do spania, wyobrażała sobie romantyczne sceny, by równocześnie szydzić z siebie za swoje dziewczęce fantazje. Czyż nie widziała dość brzydoty, by oddawać się tego rodzaju ckliwym marzeniom?

Masz dwadzieścia trzy lata, już nie siedemnaście, napominała się czasem bezlitośnie, nie jesteś już młodą dziewczyną, która wierzy, że należy jej się od życia to, co najlepsze. Po prostu nic ci się nie należy. Parę razy możesz mieć szczęście i spadnie ci z nieba to czy owo, przypadkiem i niezasłużenie, ale większość rzeczy musisz wywalczyć sobie sama i możesz się cieszyć, jeśli dostaniesz połowę z tego, co chciałaś.

Poza tym John jest mężem twojej siostry! Nie powinnaś marzyć o tym, że nagle wyzna ci miłość, ani walczyć o niego. Zostaw go w spokoju.

Ale w dalszym ciągu dowiadywała się o niego, a gdy pytano ją, kim jest dla niej, odpowiadała wymijająco, że to jej bardzo dobry przyjaciel. Nie precyzyjnie jej się przez usta: „To mój szwagier”. W końcu utarło się przekonanie, że jest narzeczoną porucznika Leigha, a ona tego nie protestowała. Każdy żałował, że ta młoda kobieta nic nie wie o losie mężczyzny, którego kocha, i każdy obiecywał natychmiast poinformować ją, gdyby coś o nim słyszał.

W któryś ciepły, słoneczny październikowy dzień Frances poszła na spacer na drugą stronę wioski; miała nadzieję, że przynajmniej na krótko ucieknie od huku bitwy, która od wczesnych godzin rannych toczyła się na nowo z wielką zaciekłością. Niebo na wschodzie w ogóle się nie rozjaśniło, tak gęste były czarne kłęby dymu. Bez przerwy wybuchały granaty, artyleria strzelała śmiercionośnym staccato. Pojedynczy żołnierze, którzy pojawiali się w wiosce, donosili, że front drgnął po raz pierwszy od wielu tygodni, Anglicy i Francuzi zdobyli już kilka metrów terenu, Niemcy opuścili pierwszą linię swoich okopów i musieli się wycofać.

Frances nie potrafiła włączyć się w tę ogólną radość. Z czego oni tak się cieszą? Z tego kawałka błotnistej ziemi, naszpikowanej minami i drutem kolczastym, którą do wieczora uda się może wydrzeć Niemcom?

Trybut krwi znowu był wysoki: w lazarecie już dawno nie mieli takiego napływu rannych. Oddziały sanitarne były bez przerwy w akcji, pojawiały się jedne nosze za drugimi. W pewnym momencie w stodole i w namiocie nie było już nawet skrawka miejsca, więc rannych kładziono po prostu na łące przed stodołą; w krótkim czasie znalazło się tam blisko stu pięćdziesięciu ludzi, którzy leżeli w długich rzędach, krzyczeli, jęczeli, umierali.

- Co zrobimy, kiedy się ściemni? - spytała bezradnie młoda pielęgniarka. - Noce są już

takie chłodne!

Lekarz, który nie spał od czterdziestu ośmiu godzin i wyglądał tak, jakby lada chwila trzeba go było położyć obok jego pacjentów, popatrzył na nią tylko z rezygnacją przemęczonymi oczami.

- Nie ma rady. Jakoś będą musieli wytrzymać na dworze. Proszę się modlić, żeby nie zaczęło padać.

Frances przez całe przedpołudnie pomagała, gdzie tylko mogła, lecz w pewnym momencie pomyślała: Już nie dam rady. Muszę zrobić sobie przerwę. Choćby bardzo krótką. Nie chcę już patrzeć na cierpiących i umierających. Nie wytrzymam tego.

I wymknęła się, chodziła między jesiennymi polami, zostawiając za sobą front i zmarłych, ale nie potrafiąc jednak zapomnieć nawet na sekundę. Ciągłe słyszała za sobą huk dział. Dookoła widziała niewiele ściernisk; większość pól zarosła, zwiędłymi teraz chwastami, od dawna ich nie uprawiano. Mężczyźni byli przeważnie na wojnie, pozostałe w domu kobiety nie mogły podołać wszystkim pracom. Wszystko wydawało się zmarniałe i zaniedbane. Na jednej z łąk rdzewiał zapomniany pług. Czy żyje jeszcze koń, który go kiedyś ciągnął?

Powietrze było jednak czyste i klarowne i Frances po powrocie czuła się trochę lepiej. Przed stodołą panował chaos, nieogarnione kłębowisko rannych żołnierzy, sanitariuszy i pielęgniarok. Ktoś wykrzykiwał niezrozumiałe rozkazy, których nikt nie wykonywał. Rzędy leżących rozsypały się, a przez to zniknęły uliczki, którymi można było się poruszać. Wszelkie siły pomocnicze musiały poniekąd same torować sobie drogę i co chwila zatrzymywały się w miejscach, w których nie było przejścia. Dwóm sanitariuszom zsunął się z noszy żołnierz, który padł ofiarą powszechnego zamieszania: umarł bezgłośnie w kurzu zdeptanej łąki. Młoda pielęgniarok, przezroczyta jak duch i przypuszczalnie kompletnie wyczerpana, zbladła nagle jak kreda i osunęła się na ziemię, gdzie leżała nieruchomo. Czuć było przenikliwy zapach chloroformu. Żołnierz z drewnianą nogą kuśtykał i wykrzykiwał, że ma do sprzedania świeże muszle; naturalnie nie miał niczego na sprzedaż, tylko wyciągał do każdego pustą brudną dłoń, u której brakowało trzech palców.

Trochę z boku tej ciżby siedział na pieńku George i palił papierosa. Sprawiał wrażenie kogoś, kogo zupełnie nie obchodzi to, co się dzieje dokoła, wydawało się, jakby prowadził niemą rozmowę z kimś w swoim wnętrzu. Równie dobrze mógłby siedzieć gdzieś sam w lesie, nad którymś z potoków albo na łące w Wensleydale. Najdziwniejsze, że nigdzie nie było ani śladu wszechobecnej Alice.

Frances podeszła do niego.

- George?

Podniósł wzrok, ale bez specjalnego zainteresowania.

- Ach, to ty. Myślałem już, że Alice wreszcie się obudziła.

- Czyżby w końcu położyła się spać?

- Nie mogła już. Poszła na swoją kwaterę i miała wrócić za godzinę.

- Jeśli zasnęła - rzekła Frances - to nie obudzi się wcześniej niż dziś wieczór. Jest kompletnie wykończona.

Przystanęła niezdecydowana, czekając, aż George poprosi ją, aby usiadła obok niego. On jednak nie patrzył już na nią, palił bez słowa papierosa. Przykucnęła więc u jego stóp w trawie, jeszcze ciepłej i suchej od słońca, które grzało za dnia. Za dwie godziny zapadnie zmierzch, pierwszy zwiastun ciemnego jesiennego wieczoru, który przyniesie z sobą zimne powietrze i bijącą od ziemi wilgoć. To tylko pogorszy krytyczną sytuację mężczyzn leżących na zewnątrz i zmagających się ze śmiercią.

- Jak się dzisiaj czujesz, George? - spytała Frances.

Wpatrywał się w ulatujący dym papierosa.

- Dziękuję, całkiem dobrze - odpowiedział.

Zawsze tak odpowiadał na pytania o samopoczucie. Po chwili spostrzegł, że Frances kuca w trawie.

- Przepraszam - rzekł, z trudem usiłując się podnieść. Jego ciało zazwyczaj nie chciało jeszcze go słuchać. - Usiądź tu na moim...

Łagodnie posadziła go z powrotem na pniaku.

- Nie wstawaj. Aktualnie to ja mam zdrowsze kości.

Pozostał tam, gdzie siedział, i zapytał:

- Chcesz papierosa?

- Ale powiedz szczerze: masz jeszcze?

Skinął głową, wygrzebał trochę pokruszonego papierosa z kieszeni kurtki, a do tego pogięte pudełko zapalek.

- Alice mi zorganizowała. Nie wiem, jak ona to robi, ale codziennie ma dla mnie coś specjalnego.

- Ona cię kocha, nie mam już co do tego wątpliwości. Może ona sama zrozumiała to dopiero wtedy, gdy tygodniami nie było żadnych wieści od ciebie. Naprawdę się bała.

- Nigdy mnie nie chciała - zaprotestował George, ale w jego głosie nie pobrzmiwała uraza ani smutek, tylko rezygnacja. Było to stwierdzenie zupełnie pozbawione emocji. Podał Frances ogień, a ta zaciągnęła się z lubością głęboko, przewyciężywszy pierwsze skrupuły,

że odbiera George'owi taki cenny skarb. Może nie zachowała się jak trzeba, ale odczuwała taki głód działającej uśmierzająco nikotyny. Nie potrafiłaby sobie tego odmówić.

I rzeczywiście od razu poczuła się lepiej, wszystko w niej odprężyło się i udało jej się trochę odgrodzić wewnątrz od tego, co działo się dokoła.

- Teraz jeszcze whisky - zamarzyło jej się - a świat byłby na moment prawie w porządku.

George się uśmiechnął.

- Ależ Frances! Czy dama publicznie pije whisky?

Wzruszyła ramionami.

- Za damę pewnie i tak nie będę już nigdy uznawana. A poza tym, mówiąc szczerze, niezbyt mi na tym zależy.

Pokiwał głową.

- To coś, do czego człowiek dochodzi z wiekiem, prawda? Nie zależy mu już na tylu rzeczach, które dawniej były ważne. Uganiał się za tym i owym... a potem zauważa, jakie to było nieistotne... jakie bezsensowne...

Frances przyjrzała mu się zatroskanym wzrokiem. Jego rezygnacja przeniknęła zbyt głęboko. Ona sama zamknęła już w życiu niejedną rozdział i oceniła na nowo to, co pozostało. Nie określiła jako „bezsensowne” niczego, ani z przeszłości, ani z teraźniejszości. A George... Patrzyła na jego szarą twarz, oczy pozbawione blasku. Wydawało się, że jest w nim tak mało życia, tak mało nadziei...

- Sądzę, że u naszych rodziców też nastąpiły pewne przesunięcia - powiedziała. - Mama zasugerowała mi to podczas naszej ostatniej rozmowy. George, jestem absolutnie pewna, że przyjmą cię z otwartymi ramionami. Tylko jedno będzie dla nich ważne: to, że żyjesz.

- Lekarz powiedział dzisiaj, że nadaję się już do transportu. Alice chciałaby jak najszybciej wrócić ze mną do Anglii.

- To dobrze. Musisz wrócić do domu. Do Westhill. Tam odzyskasz spokój.

- Nie sądzą, żebym chciał wrócić do domu - rzekł George. - I tak już zresztą nie wiem, co i gdzie jest dla mnie domem. Wszystko mi tak zobojętniało.

- Tylko teraz tak myślisz. Byłeś bardzo chory. Przeszedłeś okropne rzeczy. To naturalne, że w tej chwili odczuwasz taką pustkę.

- Nigdy tego nie zapomnę. - Jego spojrzenie znów było skierowane w dal, gdzieś, gdzie widział coś, czego nie mógł dzielić z nikim. - Myślałem, że umieram. Kiedy belki pękały, kiedy słyszałem trzask rozłupywanego drewna, kiedy z góry zaczęła się sypać ziemia

i wszystko stało się czarne, wtedy myślałem, że umieram. Tak się bałem. Przez cały czas się bałem. W okopie, gdy na prawo i lewo ode mnie padali koledzy, krzycząc, umierając, gdy kule gwizdały mi koło uszu i świat zamienił się w piekło... Bez przerwy się bałem. Ale najbardziej na dole w tunelu. Siedzieliśmy tam w wodzie, dygocząc z zimna, a na zewnątrz ponad nami szalała nawałnica; wiedziałem, że to tylko kwestia przypadku, czy granat uderzy w nas, czy gdzie indziej. O wszystkim decyduje przypadek. My nie mogliśmy nic zrobić.

- Wiem. To straszne, co przeżyłeś...

W ogóle jej nie słuchał.

- Doszedłem do siebie, gdy jeszcze leżałem tam, na dole. Wkoło ciemność. Słyszałem, jak ktoś jęczy tuż obok mnie. Niczego nie widziałem. Próbowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Moje ciało było jednym wielkim bólem.

- Rozumiem.

- W pewnym momencie ten kolega obok mnie przestał jęczeć. Choć brzmiało to okropnie, było jednak lepsze niż cisza. Czułem się... tak beznadziejnie samotny. - Dłoń, w której trzymał papierosa, zaczęła drżeć. - Przykryła mnie góra ziemi, trochę wolnego miejsca miałem dzięki kilku belkom, które zaklinowały się nade mną. Wiedziałem, że mogę tylko czekać, dopóki nie skończy mi się powietrze. Mogłem tylko leżeć i czekać, aż umrę.

Frances przytrzymała jego drżącą dłoń.

- Ale nie umarłeś, George. Żyjesz, i tylko to się liczy. O całej reszcie musisz zapomnieć.

- Przecież ci powiedziałem. - Jego głos brzmiał tak, jakby musiał coś wyjaśnić mało pojętnemu dziecku. - Nie mogę zapomnieć.

- Tak tylko myślisz. Zobaczysz, kiedy będziesz w domu...

- Nie ma żadnego domu.

- Musisz przecież gdzieś wrócić!

- Zobaczymy. - Jego papieros był prawie wypalony; ostrożnie trzymał czubkami palców ostatni króciutki koniuszek. - Dziwne - powiedział cicho. - Kiedy leżałem wtedy zasypany, bałem się, że umrę. Okropnie się bałem i jedyną myślą, jaka kołatała się w mojej głowie, było: Mam nadzieję, że jakoś przeżyję. Za nic w świecie nie chciałem po prostu skonać tam, na dole, jak moi koledzy. A teraz... teraz wolałbym, żebym wtedy umarł jak oni.

- Nie wolno ci tak mówić. Nie wolno ci tak myśleć. Wszystko będzie znowu w porządku. Uwierz mi!

Wreszcie spojrział na nią.

Ma takie piękne oczy, pomyślała Frances, złociste jak oczy matki. W świetle słońca

połyskiwały jak dwa czyste topazy. Frances zdawała sobie sprawę, jak chłodne, niemal wodniste muszą wydawać się jej oczy w porównaniu z nimi. Ale podczas gdy Victorii zazdrościła pięknych oczu, oczy George'a mogła tylko podziwiać.

- George - rzekła cicho.

- Czy pomyślałabyś kiedyś? - zapytał. - My dwoje we Francji, w lazarecie, a wokół nas szaleje straszliwa wojna. Nie przygotowano nas na nią. To było najgorsze. Nie potrafię się z tym uporać, bo nic w życiu nie nauczyło mnie, jak mam to zrobić.

- Czegoś takiego nikt nie może cię nauczyć. To się dzieje i każdy musi sobie jakoś radzić.

Jaki dziwny był jego tok rozumowania, w który się uwikłał! Bezsensowny, pomyślała, bezużyteczny.

- To była pełna idylla - ciągnął George, jakby Frances niczego nie powiedziała. - Życie w Westhill. To było nierzeczywiste. Byliśmy odgradzeni od świata takiego, jaki jest. To tutaj jest realne. To jest życie.

- Nie. To tylko jego część. Zła część, przypominająca koszmar senny. To nie jest całe życie.

Jego papieros dopalił się do końca, popiół posypał się z czubków palców na trawę. George zapadł się znowu w siebie, jego wzrok ześlizgnął się z Frances. Gdzie teraz przebywał myślą? Znowu w tunelu? Przeżywał ponownie godziny w ciemności? Słuchał, jak milkną jęki?

Po raz pierwszy Frances pomyślała ze strachem: Koniec końców Alice ma rację. On jest chory. O wiele bardziej, niż sądziłam.

Czuła, jak ogarnia ją chłód - i strach. Z George'em spędziła większą część swego dotychczasowego życia. Dzielili ze sobą najpiękniejsze lata. Był jej starszym bratem, jej podporą, jej kotwicą. A teraz musiała stwierdzić: Straciłam go. Straciłam go takiego, jaki był. Już nigdy nie będę mogła się go przytrzymać. Od tej pory - w dodatku tylko pod warunkiem, że się nie podda - to on będzie się mnie trzymał.

Siedzieli tak przez chwilę, każde pogrążone we własnych myślach, dopóki nie zrobiło się zimno i wokół nich zaczął zapadać zmierzch. Zjawiała się przy nich blada Alice.

- Możemy jutro wrócić do Anglii z transportem rannych - powiedziała. - Mam miejsca dla nas trojga.

George spoglądał nadal obojętnie przez siebie, omijając ją wzrokiem. Frances podniosła głowę.

- Już jutro?



Alice skinęła głową.

- Lekarz pozwolił.

- Mam nadzieję, że się nie myli - rzekła Frances. - Ci tutaj na pewno wysyłają ludzi na transport wcześniej, niż byłoby to dopuszczalne. Ostatecznie potrzebny jest każdy milimetr miejsca.

Jutro! Już jutro do domu, do Anglii! A ona nadal nie wiedziała nic o Johnie! A tym bardziej nie zamieniła z nim nawet słowa. On mógł ją zachować w pamięci tylko taką, jaką widział ją ostatnim razem: stojącą nad brzegiem Tamizy w nieciekawej sukience, spoconą i wyczerpaną pracą, i klóącą się jak przekupka. Jeszcze dziś robiło jej się gorąco ze wstydu, kiedy myślała o tym, jakie wrażenie musiała wtedy sprawiać. Oddałaby majątek za to, żeby mogła uporządkować na powrót to wszystko.

- Ale w przypadku George'a doktor ma rację - oświadczyła Alice. - Nadaje się do transportu, nawet ja to widzę! Im prędzej stąd wyjedzie, tym lepiej. Potrzebuje ciszy i spokoju, a u mnie znajdzie jedno i drugie.

- Chcesz go zabrać do siebie do Londynu? - spytała zaskoczona Frances.

- A dokąd?

- George musi wrócić do Yorkshire. Tam jest jego dom!

- Przecież jego ojciec nie chce go już tam oglądać - syknęła Alice ściszym głosem, gdyż nie chciała przypominać choremu George'owi jeszcze i tej tragicznej okoliczności.

- O mały włos uniknął śmierci. Dla moich rodziców wiele się zmieniło. Matka powiedziała to wyraźnie.

- Londyn będzie dla niego lepszy - upierała się Alice.

- To ciasne, wilgotne małe mieszkanie! - zawołała Frances. - Chyba nie mówisz tego serio!

Patrzyły na siebie z gniewem, jedna równie nieustępliwa jak druga. W końcu Frances powiedziała:

- Wiem, co się za tym kryje. Nie jesteś mile widziana w Westhill. Na tym polega twój problem. Irytuje cię sama myśl o tym, że George może wyzdrowieć dzięki troskliwości matki, a nie twojej. Nie myślisz o nim i o tym, co dla niego najlepsze!

- To był mój pomysł: przyjechać do niego do Francji - rzekła Alice. - Żadne z was nie ruszyło się, żeby go stąd przywieźć. Żeby przy nim być. Ty tylko przyłączyłaś się do mnie, sama nie kiwnęłabyś palcem!

- On jest m o i m bratem!

- On jest... - zaczęła Alice, ale nie dokończyła.

Frances roześmiała się.

- On n i e j e s t t w o i m m ęż e m! Skutecznie broniłaś się przed tym przez te wszystkie lata. Teraz nie zgłaszaj roszczeń, które ci nie przysługują.

- George - powiedziała Alice - może ty powinieneś rozstrzygnąć, dokąd chcesz jechać. Nie wyobrażam sobie, żeby ciągnęło cię do twojego ojca...

Potężna detonacja niedaleko nich zagłuszyła i porwała ostatnie jej słowa. Z lazaretu dobiegały przeraźliwe krzyki, wszyscy byli przerażeni, gdyż nigdy dotąd ziemia nie zatrzęsała się tak mocno. George nawet nie drgnął. Wpatrywał się w sękaty klon rosnący naprzeciwko, jakby był przezroczysty.

Frances, która w dalszym ciągu kuciała w trawie, podniosła się energicznym ruchem, obciągnęła obiema rękami pomietą spódnice i rzekła:

- W jednym punkcie, Alice, na pewno masz rację: on musi stąd wyjechać. Tutaj może tylko całkiem pogрузić się w depresji. Jutro wyjedziesz z nim do Anglii, a mnie pozostaje tylko mieć nadzieję, że tam podejmiesz decyzję, która będzie dla niego dobra.

Alice wytrzeszczyła na nią oczy.

- No dobrze. A ty z nami nie jedziesz?

- Zostanę tu jeszcze trochę. Mam coś do załatwienia.

Chcąc uniknąć następnych pytań, Frances oddaliła się po prostu szybkim krokiem, ale usłyszała jeszcze, jak Alice woła za nią:

- Na miłość boską, co masz t u t a j do załatwienia?

Nie zamierzała już jednak odpowiadać. Weszła do stodoły, nie zważała na smród i krzyki, rozglądała się tylko za siostrą przełożoną, żeby ją zapytać, czy może jeszcze zostać i dobrowolnie pomagać przez parę dni.

Piętnaście minut później dowiedziała się, że John nie wrócił ze zwiadu i od tygodnia uznawany jest za zaginionego.

Ponownie zobaczyła Johna pod koniec października, było to w szpitalu na wybrzeżu atlantyckim, dokąd przeniesiono go na rekonwalescencję. Opłaciło się, że Frances opowiadała o Johnie każdemu żołnierzowi, każdej pielęgniarce, każdemu lekarzowi, gdyż dzięki temu faktycznie dotarła w końcu do informacji, której potrzebowała. Chłopiec z Northumberland, który nie mógł zapomnieć widoku umierających koni, przywołał ją rozgorączkowany do siebie akurat w tamtym dniu, kiedy odbyła długą deprymującą rozmowę z George'em.

- Jest tu nowa pielęgniarka! Ona zna tego Johna Leigha, pani narzeczonego!

Jego oczy błyszczały. Ubóstwiał Frances, bo rozumiała go w sprawie koni, i zawsze

obserwował ze smutkiem, jak martwi się brakiem wieści o „narzeczonym”. Z jeszcze większym zapalem niż wszyscy inni próbował przy każdej okazji zdobyć dla niej jakieś informacje.

- Och, Pete, naprawdę? Gdzie ona jest? Która to?

Pokazał jej nową pielęgniarkę, drobną osobę o ciemnych włosach, bardzo młodą i w widoczny sposób bardzo dbającą o pacjentów. Frances natychmiast podeszła do niej i dowiedziała się, że John jest wśród zaginionych; Pete nic o tym nie wiedział i później był przerażony tym, że akurat on przysporzył sympatycznej Frances Gray nowego zmartwienia.

Młoda kobieta była żoną oficera, który wysłał Johna na patrol. John wyruszył późnym wieczorem razem z innym młodym żołnierzem i nie wrócił. Możliwe, że zapędzili się zbyt daleko za linie nieprzyjacielskie, zwłaszcza że następnego ranka Niemcy przypuścili atak i zyskali dwa kilometry terenu.

Młoda kobieta nazywała się Diane Wilson. Próbowała pocieszyć Frances, mówiąc, że wcale nie jest pewne, czy obaj zginęli.

- Ale jeśli są u Niemców i...

- Niemcy też nie od razu każdego zarzynają. Tylko biorą do niewoli. A to jeszcze nie wyrok śmierci.

W oczach Frances - zgodnie z tym, co twierdziła brytyjska propaganda - Niemcy byli narodem barbarzyńców i wcale nie była przekonana, czy nie należy utożsamiać dostania się do niewoli z egzekucją.

- Możliwe też - powiedziała Diane - że udało im się ukryć przed Niemcami i przebijają się z powrotem do swoich.

- Natychmiast muszę tam jechać! - zawołała Frances.

Diane przytrzymała ją za ramię.

- Rozumiem pani zdenerwowanie, panno Gray. Ale jako osoba cywilna nie może pani tak po prostu podróżować po okolicy. Poza tym d o k a d chce pani jechać?

- Tam, skąd wyruszył.

- Przecież nie wie pani nawet, czy pojawi się z powrotem dokładnie w tym miejscu. Proszę pozostać tutaj. Mój mąż jest przełożonym Johna Leigha, on na pewno się dowie, kiedy John wróci. Powiem mu, żeby mnie natychmiast poinformował. W porządku?

Frances zrozumiała, że to najrozsądniejsze rozwiązanie. Skinęła głową i właśnie zamierzała odwrócić się i odejść, gdy Diane zatrzymała ją, pytając ostrym tonem:

- Panno Gray?

- Tak?

- Ten młody żołnierz, który zrelacjonował mi pani historię, powiedział, że jest pani narzeczoną Johna Leigha. Ale ja go znam przez mojego męża i wiem, że jest żonaty.

Frances nic nie odpowiedziała, wytrzymała bez zmrużenia oka jej badawcze spojrzenie.

- Ach, to tak - rzekła w końcu Diane z odcieniem pogardy w głosie.

Teraz uważa mnie za kochankę Johna, pomyślała Frances, ale nie widziała powodu, by tłumaczyć się przed nią i prostować jej błędne wyobrażenie.

W każdym razie Diane zachowała dyskrecję i Frances nadal uchodziła za narzeczoną Johna. Wkrótce przekonała się, jak korzystne było zdobycie zaufania i uznania lekarzy i pielęgniarek w minionych tygodniach. Normalnie nie pozwolono by jej w ogóle jako osobie cywilnej przebywać tak długo tuż za frontem. Ale w lazarecie potrzebna była do pomocy każda para rąk, a Frances dowiodła, że potrafi ciężko pracować.

- Może pani zostać, dopóki nie dostanie pani wiadomości o narzeczonym - powiedziała siostra przełożona i Frances mogła na razie odetchnąć i nie martwić się przynajmniej o to.

Do tej pory było słonecznie i sucho, ale pogoda się zmieniła; często padał deszcz, powietrze było chłodne, rano gęste, nieprzeniknione kłęby mgły ścieliły się nisko nad ziemią. Front znowu znieruchomiał, krótki wypad Anglików nie pociągnął za sobą trwałego sukcesu; ponosząc ciężkie straty, faktycznie zdobyli ledwie kilka piędzi terenu. W ulewnym deszczu okopy zamieniły się w błotniste doły, a w tunelach ludzie kucali po kolana w wodzie. Już lato było kiepskie, ale teraz sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej. Chłód i wilgoć zniechęcały do reszty znękanych i bez tego żołnierzy. Grasowała dyzenteria, wszy i pchły przyczyniały się do szaleństwa chyba nawet bardziej niż ciągły ostrzał artyleryjski. W lazarecie dosłownie rosły stosy rannych, a u kogo dało się zauważyć choćby minimalne objawy poprawy, ten musiał zwolnić posłanie wewnątrz stodoły i biwakować na zewnątrz pod rozpiętymi prowizorycznie płachtami namiotowymi. Tam ziemia była tak mokra, a powietrze tak chłodne, że można było się tylko cieszyć, jeśli nie przyplątało się zapalenie płuc.

Frances dużo pracowała, żeby nie myśleć bez przerwy tylko o jednym; ale mimo ciągłego fizycznego zmęczenia była tak podminowana, że prawie nie spała po nocach. Ciągłe widziała przed sobą Johna, widziała, jak ginie rozerwany przez minę albo zasypany gradem kul karabinowych. Czyż nie była szalona, mając na serio nadzieję, że on jeszcze żyje?

Przez ten niepokój zrobiła się drażliwa; każdy traktował ją w rękawiczkach, bo natychmiast wybuchała. Kiedyś słyszała, jak siostra przełożona mówi do jednej ze swoich pracownic: „Ta panna Gray na pewno nie wzbudza sympatii. Widziałas kiedyś jej oczy?”

Zupełnie zimne. Nie potrafię jej rozgryźć. Ale jest niesamowicie pracowita, trzeba jej oddać sprawiedliwość. Czasami nie wiem, co bym bez niej poczęła”.

Frances nie zaprzyjaźniła się z żadną z pielęgniarek, ale było jej to obojętne. Najlepiej jeszcze rozumiała się z Diane, choć ta nie pochwaliała jej związku z żonatym mężczyzną. Ale Diane miała taką samą jak Frances niesentymalną, pragmatyczną naturę i w jakiś sposób obie darzyły się nawzajem pewnym respektem.

Diane przekazała mężowi, że chce być informowana o każdym nowym fakcie dotyczącym Johna Leigha. Dwudziestego siódmego października otrzymała telegram: John rzeczywiście ukrywał się na nieprzyjacielskim terytorium przez ponad dwa tygodnie, a w końcu przebił się z powrotem na stronę angielską. Nabawił się ciężkiego wychłodzenia organizmu i omal nie umarł z głodu, ale żyje. Po tych trudach dochodzi do siebie w szpitalu niedaleko Hawru.

Szpital ten pod żadnym względem nie był porównywalny z lazaretem, w którym pracowała Frances. W niczym nie przypominał stodoły tuż za linią frontu przekształconej w ambulatorium, gdzie cały świat wydawał się nurzać we krwi, rozszarpanych kończynach, krzykach i jękach, w dymie i ogniu oraz nieustannym huku artylerii. Tam dostarczano ludzi w takim stanie, w jakim zostali wyciągnięci z okopów, takich, jacy naprawdę byli: podziurawionych kulami, kompletnie wyczerpanych, nie do poznania. Często nie dało się przestrzegać podstawowych zasad higieny, ale też nikt specjalnie nie dbał o to, bo zazwyczaj należało się cieszyć, jeśli w ogóle znalazło się miejsce, gdzie można było położyć rannego; a jeśli koc był jeszcze przesiąknięty krwią poprzednika - kto by się tym przejmował?

Od pewnego czasu chodziło jedynie o to, żeby każdego dnia w miarę możliwości raczej paru ludzi uratować niż stracić, obojętne w jaki sposób.

Do szpitala pod Hawrem żołnierze trafiali po przejściu przez lazarety polowe - wymyści i przynajmniej prowizorycznie połatani. Niedysyjsze prywatne sanatorium dla zamożnych Francuzów mieściło się w dużym parku pełnym krzewów i drzew oraz starannie zagrabionych zwirowanych ścieżek, wijących się między małymi stawami ze złotymi rybkami; przy ścieżkach stały pomalowane na zielono ławki. Tutaj pacjenci byli dostatecznie daleko od działań wojennych, nic nie zakłócało błogiej ciszy. Drzewa utraciły właśnie kolorowe liście, na wypielegnowanych trawnikach ścieliły się szeleszczące dywany. Pomalowane na jasnożółty kolor ściany willi, poza tym całkowicie ukrytej wśród zieleni, połyskiwały między łysiejącymi już o tej porze roku gałęziami.

Wewnątrz budynku przemykały korytarzami ubrane w śnieżnobiałe fartuchy

pielęgniarki i pielęgniarze, i czasami rzeczywiście można było odnieść wrażenie, że nie ma żadnej wojny, która pochłonęła już tysiące ofiar. Po korytarzach nie spacerowały jednak jak w dawnych czasach suchotnicze damy, teraz widywało się tutaj tylko mundurowych: żołnierzy na wózkach inwalidzkich albo poruszających się o kulach, z opatrunkiem na głowie albo z temblakiem na szyi, z opaską na oku albo z twarzą zeszpeconą przez gaz trujący. Gromady mężczyzn, z mniejszymi lub większymi obrażeniami ciała, ale prawie wszyscy z głębokimi ranami na duszy. Ich oczy zdradzały, jak wygląda ich wnętrze: zniszczone i wypalone.

Frances przestraszyła się, gdy zobaczyła Johna po raz pierwszy. Zawsze był wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną, po którym widać było dobre zdrowie i kondycję. Pojęcia choroby nigdy nie kojarzyła z jego osobą. Tak naprawdę chory nie był też teraz. Ale przebyte trudy naznaczyły go bardziej, niż Frances sobie wyobrażała. Wychudł zupełnie, mundur wisiał na nim jak na tycze, oczy cofnęły się w głąb oczodołów, spiczaste wystające kości jarzmowe opinała pergaminowa skóra.

Wygląda jak starzec, pomyślała Frances, starszy o kilkadziesiąt lat od tego, którym był przedtem!

Miał własny pokój, przytulne pomieszczenie pod samym dachem. Kiedy Frances weszła, siedział przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Za oknem rósł przepiękny kasztanowiec, który właśnie stracił liście, i John śledził wzrokiem każdy liść opadający powoli na ziemię.

Nie odwrócił się, gdy weszła, ale domyślił się, kto przyszedł, bo rzekł szyderczo:

- Ach... moja narzeczona!

Pozostała przy tej wersji, bo nie była pewna, czy w przeciwnym razie dopuszczono by ją do niego.

„Jest jeszcze bardzo słaby”, powiedziała kierowniczką sanatorium, patrząc przy tym surowo na Frances. „Właściwie nie powinien przyjmować żadnych wizyt”.

„Przyjechałam z Anglii. Przez wiele tygodni pracowałam w lazarecie polowym, żeby móc zostać tutaj. Muszę się z nim zobaczyć”.

„Hm. Powiada pani, że jest jego narzeczoną? W takim razie... zrobię wyjątek”.

Teraz u niego w pokoju Frances pomyślała, że może jednak popełniła błąd. W końcu się przecież zdenerwował.

- Przepraszam, że musiałam kręcić - powiedziała cicho. - W przeciwnym razie nie dopuściliby mnie do ciebie.

- I to było takie ważne? Koniecznie musiałś do mnie przyjechać?

Odwrócił się gwałtownie. Dopiero w tym momencie Frances zauważyła, że siedzi na wózku inwalidzkim.

- Jesteś ranny? - zapytała.

- Nie. Tylko trochę osłabiony. W zasadzie nie potrzebuję tego.

- Chciałam się z tobą zobaczyć, bo muszę ci wyjaśnić to i owo.

Machnął niecierpliwie ręką.

- Nie musisz mi w ogóle niczego wyjaśniać. Jeśli odbyłaś tę długą drogę tylko po to, żeby udzielać jakichś wyjaśnień - zapomnij o tym! Jak w ogóle dowiedziałaś się, gdzie jestem?

- Po prostu dowiedziałałam się. Znałam kogoś w lazarecie, w którym pracowałam.

- Popatrz, popatrz! Frances Gray w lazarecie polowym! Jak to się stało, że trafiłaś akurat tam?

Frances zauważyła, że wzbiera w niej gniew. Po co ten cynizm? Jakim prawem robił jej wymówki?

- Sądzę, że robiłam tam to, co do mnie należało, dosyć dobrze - oświadczyła chłodno.

- A nie była to lekka praca. Kiedy żołnierze tam trafiają, są w mniejszym lub większym stopniu rozłożeni na części.

- Wiem o tym. Ja też byłem na wojnie. Domyślałam się, że byłaś dobra. Jesteś twarda jak skała, więc na pewno potrafisz przyłożyć rękę tam, gdzie inni mdleją na sam widok.

Zacisnęła wargi.

- Mogę też zaraz odejść, jeśli chcesz się tylko kłócić.

John wzruszył ramionami.

- Możesz robić, co chcesz.

Zawahała się; najchętniej wyszłaby z pokoju, zatraskując drzwi za sobą. Ale potem pomyślała o George'u, o jego tępym zwątpieniu. Stał się kimś innym - i John tak samo. George pograżył się w stanach depresyjnych, John najwidoczniej znalazł ratunek we wściekłości i agresji. Jeśli wojna miała już kogoś w swoich szponach, to nadal targała nim i szarpała, obciążała jego pamięć obrazami niewyobrażalnej zgrozy, odbierała mu zdrowie, spokój i radość życia, a następnie ciskała go w jakiś kąt, gdzie sam musiał zadbać o to, by stanąć z powrotem na nogi.

Muszę być cierpliwa, bo ma za sobą ciężkie przeżycia. Tak jak George. Z nim było naturalnie łatwiej, ale John zasługuje na taką samą wyrozumiałość.

W ten sposób przezwyciężyła impuls, żeby wybiec z pokoju, zamiast tego weszła dalej i zamknęła cicho drzwi za sobą.

- John - powiedziała ostrożnie - było okropnie, prawda?

- Czy okropnie? Owszem, tak pewnie było. Ale nie dla mnie. Ja przecież żyję. Ale ten

chłopak...

Drugi żołnierz, którego wziął ze sobą na zwiad. On nie wrócił.

- Jesteś pewien, że nie żyje?

- Zabity albo wzięty do niewoli, czy ja wiem. Ma niecałe dziewiętnaście lat.

- John...

- To był mój pomysł, żeby zabrać go ze sobą tamtego dnia - powiedział. W jego oczach, jak zauważyła Frances, lśniły łzy, których nie potrafił wypłakać. - Bez przerwy mnie błagał i dopominał się. Chciał dokonać czegoś szczególnego, przeżyć przygodę. I dlatego zaproponowałem, że pójde na ten zwiad właśnie z nim. Był zachwycony.

- Zrobiłeś to, czego chciał.

Dłonie Johna zacisnęły się na oparciach wózka inwalidzkiego.

- Powinienem był wiedzieć, że nie ma silnych nerwów. Był pełen płomiennego idealizmu, ale w zasadzie pozostał dzieckiem. Do dziś nie wiem, jak mogliśmy tak bardzo zabłądzić. Zapędziliśmy się daleko w głąb niemieckiego terytorium. To cud, że nie rozerwał nas jakiś granat albo Niemcy nas nie zastrzelili. Z moim kompasem coś było nie w porządku. Zupełnie zgubiliśmy się.

- Ale to przecież nie twoja wina.

- Ja byłem tym starszym. Ja ponosiłem odpowiedzialność. Po pierwsze, nie powinienem był w ogóle zabierać go ze sobą. A tym bardziej nie powinienem był...

- Czego?

John popatrzył na nią.

- Zostawiłem go na lodzie. Zostawiłem go na lodzie, żeby ratować swoje cholerne, żałosne życie.

Podeszła bliżej do niego, położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie wierzę.

John roześmiał się, w jego śmiechu pobrzmiwała gorycz.

- Ty nie wierzysz? Naturalnie, że nie wierzysz, do końca życia chciałabyś nosić mój wizerunek bohatera, bo tak sobie mnie wyobrażałaś. Niestety, muszę cię rozczarować. Nie jestem tym cudownym mężczyzną, którego chcesz we mnie dostrzegać.

- Kto ci powiedział, że kiedykolwiek chciałam dostrzegać w tobie cudownego mężczyznę? - Uśmiechnęła się, ale nie odwzajemniła jej uśmiechu. - Co się stało? - zapytała rzeczowo.

- Kiedy uświadomiliśmy sobie, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji, Simon - tak miał na imię - stracił głowę. Wpadł w panikę. Dosłownie nie był w stanie zrobić ani kroku. Wszędzie



przeczuwał nadlatujące granaty albo żołnierzy, którzy mieliby do nas strzelać. Usiadł na ziemi i płakał jak małe dziecko.

- I co zrobiłeś?

- Przekonywałem go. Mówiłem, że przeprowadzę nas z powrotem. Mówiłem, że damy radę. Naturalnie nie byłem pewien, przeciwnie, bałem się i dawałem nam niewielkie szanse. Ale wiedziałem, że nie mamy wyboru. Musieliśmy spróbować.

- Ale nie udało ci się go przekonać, żeby poszedł z tobą.

John pokręcił głową.

- Był w panice. Struchlały ze strachu. Chciał tam zostać. Powiedział, że nie może się poruszyć. Opuściła go cała odwaga.

- Poszedłeś więc bez niego - rzekła cicho Frances.

- Tak. Nie widziałem innej możliwości. Nie mogłem nawet wlec go na siłę, bo od razu zaczynał krzyczeć. Pozostała mi tylko nadzieja, że Niemcy, kiedy go znajdą, nie będą strzelać do dziewiętnastoletniego dziecka.

- I na pewno nie zrobili tego. Pewnie wzięli go do niewoli.

John bawił się dłońmi, splatając i rozplatając palce.

- Może. A może jednak zdecydował się uciekać i nadepnął na minę albo został zastrzelony. Nie wiem. Wszystko co wiem, to to, że nie powinienem był odejść bez niego.

- Ale...

- Nie ma żadnych wątpliwości. Po prostu nie powinienem był tego zrobić. Naturalnie myśl o tym, że miałbym tam usiąść i czekać na Niemców, doprowadzała mnie wręcz do szaleństwa. Mimo to nie powinienem był odejść. Byłem starszy rangą i wiekiem. A Simon był u kresu. Zostawiłem go tam...

Pokręcił rozpaczliwie głową i zaczął wyglądać przez okno.

Frances pogrzebała w torebce.

- Chcesz papierosa?

Po raz pierwszy odpreżył się.

- Jeśli masz, to chętnie.

Frances dostała w prezencie pożegnalnym papierosy od kilku żołnierzy z lazaretu i strzegła ich niczym jakiegoś skarbu. Palili teraz razem z Johnem w milczeniu, każde pogrążone we własnych rozmyślaniach. W końcu opowiedziała mu o George'u i o tym, jak Alice walczyła o to, żeby pozwolono jej zabrać go do Londynu.

- Latami kazała jemu prosić i błagać. A teraz nagle ona zaczyna biegać za nim.

John uśmiechnął się. Frances zarumieniła się i szybko wstała.

- Pewnie myślisz sobie właśnie, że tak jest w naszym przypadku, prawda? Że ja zaczęłam zabiegać o twoje względy, kiedy ożeniłeś się z moją siostrą? John, ja nie kazałam ci wcześniej czekać dlatego, że chciałam się tobą bawić. Już wtedy powiedziałam: potrzebuję tego czasu w Londynie. Inaczej się nie dało.

Uśmiech znikł z twarzy Johna, a on sam także nie wyglądał już na odprężonego.

- Daj wreszcie spokój tym starym historiom - rzekł ze złością. - Kogo to jeszcze interesuje? To było tak dawno temu... w innym czasie, w innym życiu. Jest, jak jest, i nie zmienimy tego, kiedy będziemy mówić o tym bez przerwy.

Stał się taki jak George, pomyślała Frances, nie ma już do niego dostępu. Zamknął się w sobie. Żyje wśród obrazów, których nie potrafi zapomnieć, a poza tym nic go nie interesuje.

Z łagodnością w głosie, która poza tym była jej obca, zapytała:

- Dopóki tutaj jesteś, czy nie przeszkadzałoby ci, gdybym i ja została? Mogłabym wynająć pokój w wiosce i...

Wzruszył ramionami.

- Możesz robić, co chcesz.

Wreszcie i w niej obudził się gniew, mimo wszystko. John miał za sobą ciężkie chwile, w porządku, ale ona też je miała. Rozumiała, że jest zdeprimowany, na przemian agresywny i zamknięty w sobie, ale tej obraźliwej obojętności nie będzie znosić cierpliwie i bez słowa.

Zgasiała papierosa w stojącej na stole pustej filiżance po kawie.

- W porządku - powiedziała oschle. - Zrozumiałam. Zresztą wiesz, wcale nie marzyłam o tym, żeby spędzić listopad w jakiejś zapadłej dziurze na francuskim wybrzeżu kanału La Manche. Na pewno szybko się trafi okazja podróży powrotnej z Hawru do Anglii.

Trzymała już rękę na klamce, kiedy usłyszała głos Johna.

- Zostań - powiedział. Jego głos brzmiał ostro i szczerliwie jak rozkaz. Najwidoczniej sam też to zauważył, bo gdy Frances odwracała się powoli, dodał: - Proszę!

Widziała bezbrzeżny smutek w jego oczach, zgrozę, którą znała już aż za dobrze z setek innych twarzy. Przypominał jej ranne zwierzę, podrażnione, a zarazem pełne strachu. Będzie gryzł każdą rękę, jaka wyciągnie się do niego, a jednocześnie tęsknie na nią czekał.

Czasem zastanawiała się, jak opisałyby te listopadowe tygodnie w małej wiosce pod Hawrem w północnej Francji, gdyby prowadziła dziennik - czego już nie robiła, gdyż miała świetną pamięć i dodatkowe utrwalanie wszystkiego na piśmie byłoby zbędne.

O dniach spędzonych w St. Ladune powiedziałyby, że były wypełnione deszczem i

hukiem sztormów, a potem znowu mgliste i spokojne, ciężką ciszę przerywały tylko krzyki mew nadlatujących gdzieś z nieprzeniknionej szarości. Kiedy wiatr odżywał, wiał od morza ku lądowi zimny i mocny, kłęby mgły rozrywały się, a niekiedy spomiędzy chmur wyglądało nawet blade listopadowe słońce; nie było w stanie dawać ciepła, ale na krótkie chwile, zanim schowało się z powrotem za pędzącymi po niebie ciemnoszarymi ławicami chmur, rozbłyskiwały w jego promieniach okoliczne skupiska wody. Kiedy zaczynał padać deszcz, następowało to nagle i niespodziewanie, a dotyk zimnych kropli przypominał ukłucia igieł.

Żeby dotrzeć z wioski na plażę, trzeba było iść około dwudziestu minut. Na plaży znajdowało się kilka drewnianych domków, w których latem i w lepszych czasach sprzedawano słodycze i kawę, na wydmach stał też biały pawilon, w którym pewnie grała muzyka, kiedy kuracjusze spacerowali wzdłuż promenady: elegancko ubrane damy w wielkich kapeluszach i z obszytymi koronką parasolkami dla ochrony przed słońcem, panowie w wyglansowanych butach, a w ramach koncesji na rzecz morza i piasku może z marynarką przewieszoną niedbale przez ramię i podwiniętymi rękawami koszuli.

Teraz małe chaty były zamknięte na cztery spusty, w pawilonie parę mew szukało osłony przed sztormem, plaża była wyludniona i opuszczona, usiana algami, szlamem, kawałkami drewna i wszelkimi możliwymi śmieciami, które morze tu przynosiło i wyładowywało.

Z dniami spędzonymi w St. Ladune wiązał się także maleńki pokoik zajmowany przez Frances w pensjonacie w samej wiosce, wynajmowany poza tym tylko latem, teraz jednak właścicielka ucieszyła się, że znalazła niespodziewanego gościa późną jesienią. Podłoga była z polakierowanych na biało grubych desek; w pokoju stało szerokie wygodne łóżko z grubymi poduszkami wypchanymi pierzem, szafa wyłożona schludnie wzorzystym papierem i pachnąca jeszcze słabo lawendą, co przypominało Frances babkę Kate, oraz umywalka z porcelanową miską i dzbanem z zimną wodą. Na parapecie leżała muszla o żółtym odcieniu, z której gdy ją podniosła, wysypał się cieniutką strużką drobny biały piasek. Takie muszle zbierała jako dziecko w Scarborough, gdy wyjeżdżała z rodziną do nadmorskiego kąpieliska na wschodnim wybrzeżu Yorkshire. Muszla wydawała jej się czymś, co uśmiechało się do niej z innych czasów.

Frances wspomniałaby też na pewno o madame Véronique, właścicielce pensjonatu. Véronique była wdową, ale dopiero od niespełna dwóch lat, i jak zwierzyła się Frances, nad zmarłym mężem nie uroniła nawet jednej łzy. Była ładną, szczupłą kobietą o delikatnej białej cerze i oczach czarnych jak węgiel. Pozwoliła Frances poruszać się swobodnie po całym domu.

- Tylko niech się pani nie zaszywa w tym pokoiku na górze - powiedziała. - Proszę schodzić do mnie i posiedzieć sobie przy kominku. Mnie pani nie przeszkadza. Wystarczająco często jestem sama.

Największą zaletą Véronique było posiadanie niemal niewyczerpanych zapasów whisky i papierosów. I nie była to wcale byle jaka whisky, tylko prawdziwa s z k o c k a. Wiązała się z tym na pewno jakaś tajemnicza historia, gdyż Véronique milczała jak grób, jeśli chodzi o ukryte w piwnicy skarby. Romans z jakimś Szkotem? Współpraca z przemytnikami? Po Véronique poznać było, że są w jej życiu niezbadane głębie, lecz nigdy o nich nie wspomniała. Jednak tym, co miała, wspaniałomyślnie dzieliła się z Frances.

St. Ladune: wielogodzinne spacery po plaży, tylko John i Frances, przeważnie milczący, na przekór pogodzie, mimo deszczu i chłodu. Wracając do wioski, bywali nieraz przemoczeni do suchej nitki i zmarznięci na kość. John odzyskiwał powoli tężyznę fizyczną; jak wyglądało jego wnętrze, tego Frances nie potrafiła powiedzieć.

Czasami, gdy przycupnęli w osłoniętym od wiatru obniżeniu między wydmami, żeby odpocząć, zanim chłód poderwie ich z powrotem na nogi, pytała:

- O czym w tej chwili myślisz?

Przeważnie odpowiadał:

- O niczym.

Jego oczy, w których dawniej mogła czytać jak w otwartej księdze, pozostawały zamknięte.

Anglicy wstrzymali ataki na pozycje niemieckie nad Sommą; bitwa pochłonęła setki tysięcy ofiar, lecz nie przyniosła żadnych rezultatów. Premier Asquit wypowiadał się przeciwko „niehonorowemu kompromisowemu pokojowi”, ale w Anglii robotnicy zaczęli wychodzić na ulicę i demonstrować na rzecz szybkiego zawarcia pokoju. Po drugiej stronie kanału La Manche zdarzały się zawirowania, tyle wiedziano nawet w St. Ladune. Poza tym... może winna była mgła.

A przede wszystkim Frances powiedziałyby o tych tygodniach tak: „Byliśmy jak na wyspie. Wokół nas panowały śmierć i przemoc. Nic z tego nie docierało do nas. Dostaliśmy w prezencie mały kawałek czasu leżący poza rzeczywistością. Byliśmy świadomi tego, że pozostało go nam niewiele. Ale zapędziliśmy się zbyt daleko, by zastanawiać się nad tym, co będzie potem”.

Czasem jednak Frances zadawała sobie pytanie, jaka byłaby kara za cudzołóstwo z mężem własnej siostry. Nie wiedziała dokładnie, skąd miałyby przyjść taka kara, gdyż jej wiara w Boga lub inne moce niebieskie miała kruche podstawy. Choć została wychowana w

wyznaniu anglikańskim w ramach Kościoła Anglii, to jednak katolicka matka i katolicka babka wywarły na nią duży wpływ i pojęcia takie jak „czyścić” i „odpuszczenie grzechów” zawsze odgrywały rolę w jej świadomości. I nigdy nie odważyła się odrzucić tego bezwzględnie jako bzdury.

Teraz myślała, że jeśli w tym wszystkim tkwi choć trochę prawdy, to prawie nie ma dla niej nadziei na przebaczenie i przypuszczalnie przez dłuższy czas będzie musiała smażyć się w piekle. Czasami powtarzała śpiesznie kilka „Zdrowaś Mario” i „Ojcze nasz”, tak jak robiła Kate, odmawiając różaniec, przeczuwała jednak, że nie może to odnieść większego skutku, bo tak naprawdę wcale nie żałowała, tylko bała się kary. Zarówno według prawa boskiego, jak i świeckiego popełniała bowiem niewątpliwie ciężki grzech.

Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby mogli się kochać gdzieś pośród wydm nad morzem; wtedy wmówiliby sobie, że porwała ich namiętność, i w ten sposób przywróciliby całej sprawie chociaż cień niewinności. Ale pogoda nie pozostawiła im tej furtki. Poszli więc do pokoiku wynajmowanego przez Frances u Véronique, a przez to ich bycie ze sobą stało się zaplanowanym z góry aktem, stało się brzydsze i bardziej naganne. Véronique nie robiła im żadnych trudności, mimo że Frances, utraciwszy czujność przy whisky, zrezygnowała z wersji z „narzeczoną”.

- A więc kim on jest? - spytała Véronique.

- Mężem mojej siostry - odpowiedziała Frances.

- Och... - westchnęła tylko przeciągle Véronique, ale jej błyszczące oczy zdradziły, że znajduje wielkie upodobanie w tego rodzaju historiach.

Jeden dzień po drugim przebiegał tak samo: Frances zabierała Johna przed południem z sanatorium, a potem spacerowali godzinami bez względu na pogodę, czy było zimno, czy mglisto, czy deszczowo. Po południu, o wczesnym zimowym zmierzchu, wracali do pensjonatu Véronique, wchodzili na górę do pokoju Frances, zdejmowali mokre ubrania i szli do łóżka.

John był dobrym kochankiem, zresztą Frances tak sobie właśnie to wyobrażała; z nim było zupełnie inaczej niż z biednym, niedoświadczonym Phillipem: bardziej agresywnie i intensywnie, a potem znowu nieoczekiwanie ciepło i delikatnie. Jednak obywająca się bez słów, jednostajna rutyna, z jaką wchodzili do domu, rozbierali się i szli do łóżka, spowodowała rytualizację aktu i w osobliwy sposób uczyniła go bezdusznym. Kochali się bez owych uczuć, o których Frances sądziła, że są nieodłącznym elementem miłostnego zespolenia.

John był przez wiele miesięcy na froncie i miał za sobą traumatyczne przeżycie.

Wydawało się, że nie jest w stanie wzbudzić w sobie i okazać głębszego uczucia. Również Frances wiedziała aż za dobrze, że powodują nią nie tylko uczucie i przyjemność zmysłowa. Przede wszystkim starała się znaleźć plaster na ową ranę, która piekła i bolała nieustannie od tamtego letniego dnia przed pięciu laty, gdy zawitała do Daleview i zastała Johna i Victorię jako parę nowożeńców.

Istotnie znajdowała ukojenie w objęciach Johna, w jego gorącym, przyśpieszonym oddechu tuż obok jej twarzy, w jego pocałunkach, które miały słony smak od maleńkich bryzgów morskiej piany. Zrozumiała, że miłość zna wiele dróg i wiele motywów. I czasami, w bardzo rzadkich, magicznych chwilach, znowu widziała tamtą dziewczynę i tamtego chłopca, którzy trzymając się za ręce, biegli po łące i byli zdecydowani na zawsze zostać ze sobą.

Koniec nastąpił w ostatnich dniach listopada. Za oknem wirowały w powietrzu pierwsze płatki śniegu. John i Frances leżeli blisko siebie pośród skłębionych poduszek i koców, po chłodzie dnia rozkoszując się ciepłem swoich ciał pod miękkim puchem, gdy nagle John powiedział:

- Dostałem dzisiaj list od Victorii.

Frances nie potrafiła się opanować: dźwięk tego imienia przyprawił ją natychmiast o szybsze bicie serca. A to, co powiedział, odebrała jako złośliwe wtargnięcie świata do środka delikatnego kokonu, który ich oplatał.

- Od Victorii? Skąd ona zna twój adres?

- Napisałem do niej, kiedy przyjechałem tutaj.

- Dlaczego?

John roześmiał się, wyglądało na to, że jej pytanie go rozbawiło i uznał owo „dlaczego” za naiwne.

- Przecież poinformowano ją, że jestem wśród zaginionych. A potem naturalnie musiałem do niej napisać, że żyję i obecnie przebywam na rekonwalescencji tu, na wybrzeżu.

- Sądź, że teraz przyjedzie tutaj?

- Na pewno nie. Nie sądzę, żeby Victoria przejechała sama przez całą Anglię, mimo ciągłych sztormów przepłynęła się przez Kanał i udała do Francji, która dla niej, bez względu na region, jest równoznaczna z frontem.

- Ja... - zaczęła Frances, ale jej przerwał.

- Victoria nie jest taka jak ty. W jej wypadku pewne rzeczy nie wchodzi w rachubę.

Frances doszukała się w jego głosie pewnego uznania i respektu dla niej i dzięki temu ochłonęła z przerażenia, w jakie wprawił ją dźwięk imienia siostry.

Równie nagle jak poprzednio John oświadczył w tym momencie:

- Jeszcze tydzień i wracam do swojego pułku.

Frances usiadła na łóżku.

- To niemożliwe - powiedziała.

W jednej chwili wyszło jej zupełnie w ustach.

- Lekarz się na to nie zgodzi.

- Już się zgodził. Jestem w porządku. Nie ma powodu, bym dłużej siedział w sanatorium i udawał chorego.

Frances wstała z łóżka i włożyła szlafrok. W lustrze nad umywalką dostrzegła, że zrobiła się całkiem blada.

- Nikt tego od ciebie nie żąda. Zrobiłeś swoje na tej wojnie. Każdy by zrozumiał...

- Ja chcę tego. Moja decyzja jest ostateczna.

Obowiązkowa butelka whisky i dwie szklaneczki stały przygotowane na tacy. Frances nalała sobie i wypila alkohol jednym haustem. Ręce drżały jej lekko.

- O Boże - rzekła cicho.

- W takiej sytuacji najlepiej będzie, jak wrócisz do Anglii - powiedział John.

Popatrzyła na niego. Usiadł na łóżku. Jego ręce, które obejmowały ją jeszcze przed chwilą, leżały na kocu swobodnie opuszczone. Nic, ani jedna jego cząstka nie należała do niej. Nie miała żadnych praw, żadnego wpływu. Zrobi, co będzie chciał, nie oglądając się na nią.

- Nie zmienisz niczego w historii z tym chłopakiem - rzekła. - Nawet gdy znowu zaczniesz nadstawiać karku.

John odrzucił koc gniewnym ruchem, wstał i zaczął się ubierać.

- Przestań - powiedział. - Nie chcę już o tym słyszeć!

- John, uważam...

- Powiedziałem, że nie chcę słyszeć! - prychnął. Przejechał dłońmi po jeszcze mokrych zmierzwionych włosach, żeby nie sterczały.

- Twoje rzeczy nie wyschły - rzekła Frances. - Zdejmij je, powiesimy je na dole przed kominkiem. Potem wypijesz jeszcze jedną whisky i...

- ...i zmienisz zdanie? Dziękuję, Frances, nie! Chcę wyjść teraz, i to, do diabła, w mokrych rzeczach!

Tylko dlatego, że wspomniałam o tym chłopcu, pomyślała Frances.

John zatrzasnął z hukiem drzwi za sobą. Wkrótce potem ucichł odgłos jego kroków na schodach.

Frances odstawiała z brzękiem swoją szklaneczkę.

- No to się wynoś! - zawołała na głos. - Idź sobie na front! Wyzwij los po raz drugi!  
Rób, co chcesz. Ale wyładuj swoje cholerne humory na innych!

Następnego dnia spakowała walizki i pojechała do Hawru, żeby rozejrzeć się za  
możliwością przeprawy do Anglii.



## *Grudzień 1916 roku*

Londyn powitał ją chłodny, szary i smętny. Nie odczuwało się prawie w ogóle typowej dla grudnia przedświątecznej atmosfery. Wojna pochłonęła już zbyt wiele ofiar, ażeby ludziom chciało się świętować. Niewiele było rodzin, w których nie oplakiwano by co najmniej jednego zabitego.

Rosło niezadowolenie ludności. Prawie nic nie zostało z patriotycznej euforii, jaka panowała na początku. Ludzie chcieli w końcu pokoju, więc gwałtownie atakowano rząd. Ten bronił się, ogłaszając zaklinające apele, żeby zrobić wszystko dla pokonania przeciwnika, ale nie dać się zmusić do przedwczesnego pokoju. Na rogach ulic pojawiły się plakaty agitujące za powszechnym działaniem na rzecz wojny. „Co odpowiecie swoim dzieciom, gdy zapytają was kiedyś, co robiliście na tej wojnie?” - brzmiał przykładowo napis, ale prawie nikogo nie mogło to wyrwać z antywojennych nastrojów. Większość ludzi obawiała się, że ich dzieci nie będą mogły zapytać ich już o nic, jeśli wojna wreszcie się nie skończy.

Frances chciała najpierw odwiedzić Alice, ale w mieszkaniu w Stepney zastała tylko George'a. Była przerażona jego fatalnym stanem. Jeszcze bardziej stracił na wadze, a w wypchanych, o wiele za dużych spodniach i sfilcowanym wełnianym swetrze wyglądał jak stary człowiek, któremu brakuje siły i energii, by się porządnie ubierać, myć i czesać. Rozczochrane włosy były za długie i wydawało się, że w dalszym ciągu cuchną obrzydliwą maścią przeciwko wszom, którą smarowano żołnierzom skórę głowy. Był niedokładnie ogolony, w najróżniejszych miejscach odrastał nierówny siwy zarost - przypuszczalnie dyletancka robota Alice.

Siedział przy oknie i gapił się przed siebie. Jego piękne złocisto-brązowe oczy wciąż jeszcze nie odzyskały dawnego blasku. Wyglądało na to, że odkąd opuścił lazaret, jego stan się pogorszył. W mieszkaniu panował lodowaty chłód i śmierdziało nieświeżym tłuszczem do smażenia.

Frances natychmiast otworzyła wszystkie okna. Zimniej już chyba nie mogło być, a może przynajmniej zniknie zapach zjełczałego tłuszczu. Poszła do kuchni, gdzie piętrzył się stos brudnych naczyń z resztkami jedzenia. Ponieważ nie było ciepłej wody, usunięcie z talerzy lepkiej warstwy stwardniałego tłuszczu zajęło Frances całą wieczność. Wzięła wiadro i zeszła do piwnicy po węgiel, ale pomieszczenie, w którym zawsze leżał, było zupełnie puste. Kiedy spytała dozorcę, popatrzył na nią tylko smutnym wzrokiem.

- Naprawdę bardzo mi przykro, proszę pani - rzekł nieporadnie. - Codziennie próbuję zdobyć jakiś materiał opałowy. Naprawdę. Ale węgiel jest ściśle racjonowany. Może jutro będę miał szczęście. Naprawdę chętnie bym pani pomógł.

- M u s i nam pan pomóc! - odparła z wściekłością Frances. - Na górze można nieomal zamarznąć! Mój brat bardzo źle się czuje. Wrócił z Francji, gdzie został ciężko ranny i przez wiele tygodni leżał w lazarecie.

Szare oczy dozorczy były pełne szczerego współczucia.

- Niedobrze, że tak się męczy. A i pani się męczy, i panna Chapman też. Jak tylko coś wykombinuję, zawsze dostaje panna Chapman, może mi pani wierzyć. Tylko inni mieszkańcy nie mogą niczego zauważyć. Ale wręcz serce mi się kraje, gdy widzę, jaka ona chudziutka, i taka blada, i przemarznięta!

On wciąż jeszcze nie zrezygnował, pomyślała Frances.

- Naprawdę zobaczę, co da się zrobić - obiecał, ale Frances wiedziała, że sama musi wziąć sprawy w swoje ręce. Możliwe, że ten człowiek starał się ze wszystkich sił sprawić Alice przyjemność i zjednać ją sobie, ale był zbyt nieśmiały i nie miał dostatecznej siły przebicia, aby zdobyć tak upragniony opał. Frances wiedziała też, że ludzie często dosłownie biją się o węgiel.

Wróciła na górę, przykucnęła przed George'em, który nadal siedział w takiej pozycji, w jakiej go zostawiła, i powiedziała stanowczo:

- Teraz wychodzę i spróbuję zdobyć drewno albo węgiel, albo coś innego na opał. Niedługo wrócę. Nie będziesz już marzył, obiecuję ci, i ugotuję ci coś, żebyś zjadł wreszcie gorący posiłek, choćbym miała ukraść wszystkie składniki.

Prawie nie miała już pieniędzy. Oszczędności wydała we Francji na życie i czynsz u Véronique, przejazd do Anglii znowu nadszarpnął potężnie jej rezerwy. Mimo to udało jej się kupić w porcie mały worek węgla, pod którego ciężarem omal się nie załamała, ale zataszczyła go do domu, nie zatrzymując się ani razu. Kiedy wreszcie dotarła do mieszkania, była z wysiłku spocona jak mysz.

Poza tym kupiła ziemniaki i rybę; na nic więcej jej nie starczyło, zwłaszcza że w następnych dniach też jeszcze będzie musiała jakoś sobie radzić. Ale gdy Alice wróciła wieczorem do domu, w piecu płonął ogień, mieszkanie było na błysk wysprzątane, ciepłe i przytulne, a w kuchni smażyła się ryba i gotowały ziemniaki.

- Och - zawołała Alice - co tu się dzieje?

Dopiero w tym momencie dostrzegła Frances. Nie potrafiła ukryć, że wcale jej nie uszczęśliwia obecność byłej przyjaciółki.

- Od kiedy jesteś tutaj? - zapytała przeciągle.

- Od południa - odparła Frances. Była wściekła i wiedziała, że widać to po niej. - Jestem przerażona, Alice. Naprawdę przerażona!

- Pst! - szepnęła Alice, wskazując ruchem głowy siedzącego nieruchomo George'a.

- Ach, nie myśl sobie, że jego interesuje, o czym rozmawiamy! - rzekła Frances. - On przecież w ogóle nas nie dostrzega! Czy tak wygląda twoja troska o chorego mężczyznę? Kiedy przyszłam, było tu tak zimno, że widziałam własny oddech, i tak obrzydliwie śmierdziało starym jedzeniem, że robiło mi się niedobrze. George siedział samiutki na krześle i gapił się przed siebie. Alice, w ten sposób popadłby w depresję nawet wtedy, gdyby nie miał za sobą traumatycznych przeżyć!

Alice znużonym gestem ściągnęła z głowy włóczkową czapkę, zdjęła płaszcz, szalik i rękawiczki. Wyglądała na przemarzniętą i bardzo zmęczoną.

- A gdzie w ogóle byłaś przez cały dzień? - spytała Frances.

- W pracy - odpowiedziała Alice.

- W pracy? Ale miałaś przecież zawsze...

- Pieniądze z mojej części spadku bardzo stopniały. Poza tym dwa razy w tygodniu chodzę z George'em do psychologa. To pochłania mnóstwo pieniędzy. A więc poszukałam sobie pracy.

- Co robisz?

- Biuro. W pewnej firmie importującej wina. Praca jest wyczerpująca, ale nieźle płacą. Frances poczuła się zawstydzona.

- O ofiary wojny powinno przecież dbać państwo!

Alice pokręciła głową.

- George'a nie uznaje się za inwalidę wojennego. Przecież fizycznie jest w porządku. Jego dusza nikogo nie interesuje. Musiałby całkiem gadać od rzeczy albo zachowywać się jednoznacznie jak umysłowo chory. A on tego, jak wiadomo, nie robi.

- Zjedzmy najpierw - zaproponowała Frances.

Już wcześniej nakryła stół przed kominkiem i ozdobiła go świecą. Jedzenie pachniało kusząco. Frances i Alice jadły ze zdrowym apetytem, natomiast George sprawiał wrażenie, że je tylko dlatego, że powiedziano mu, iż ma to robić.

W ogóle nie zwraca uwagi na to, co ma na talerzu, pomyślała Frances, nawet by nie zauważył, gdyby to była karma dla psów.

Później Alice i Frances pozmywały naczynia i Frances ponownie poruszyła temat George'a.

- Wiem, Alice, że pragniesz jego dobra, chodząc z nim do psychologa. Ale nie sądzę, żeby to coś dało. Nie wtedy, gdy pozostałe okoliczności są aż tak negatywne. Dziś w południe naprawdę byłam przerażona. George za dużo czasu spędza sam, kiedy ty codziennie chodzisz do pracy. Nic nie wyrywa go z tych jego tępych rozmyślań. Siedzi tutaj w tym chłodzie, w tej ciemnej norze i gapi się na ściany. Przypuszczalnie widzi ciągle przed sobą okropne obrazy, których nikt nie odpędza. Nie zauważyłaś, że coraz bardziej zapada się w sobie?

- Tutaj nie zawsze jest tak zimno - broniła się Alice. - W tym tygodniu pierwszy raz zabrakło nam węgla.

Frances westchnęła.

- To przecież najmniejsze zmartwienie!

- Nie ma innego wyjścia - upierała się Alice, starając się domyć kieliszek.

- Oczywiście, że jest. Westhill Farm.

Alice zaśmiała się szyderczo.

- Znowu zaczynasz? Sądzisz, że George'owi dobrze zrobi, gdy zobaczy się znowu z ojcem? Który go odepchnął i tylko go krytykuje?

- Już kiedyś ci mówiłam, że czasy się zmieniły.

- Ale nie ludzie.

- Ludzie zmienili się o tyle, że po wszystkim, co się stało, uważają teraz za ważniejsze inne rzeczy niż dawniej.

- Nie zgadzam się z tą opinią - rzekła Alice.

Kieliszek się rozprysnął. Na widok krwi kapiącej do zlewu Alice pobladła.

Frances wyciągnęła chusteczkę i owinęła nią skaleczony palec.

- Zaraz przestanie krwawić. - Popatrzyła na bladą jak ściana Alice, starając się w pewnym stopniu okazać łagodność i zrozumienie. - Musisz go oddać. Z tego co widzę, nie potrafisz o niego dbać jak należy.

- Potrafię - zapewniła Alice, ale w następnej chwili rzuciła się do okna, otworzyła je gwałtownie i zaczęła wdychać chciwie świeże, zimne powietrze. Na jej czole pojawiły się kropelki potu. - Przepraszam - powiedziała. - Właśnie miałam uczucie, że zaraz się przewrócę.

Jest zmęczona jak pies, pomyślała Frances, i na skraju załamania nerwowego. To wszystko zupełnie przekracza jej siły.

- Ja to dokończę - rzekła. - Usiądź obok George'a i odpocznij!

Alice posłuchała jej. Gdy Frances w dziesięć minut później weszła do pokoju, Alice siedziała w fotelu; broda opadła jej na piersi, oczy miała zamknięte. Spała głębokim snem.

Skaleczona ręka owinięta chusteczką leżała na oparciu i wyglądała dziwnie dziecinnie i wrzuszająco. Frances nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na to, że Alice ma drobne dłonie jak ośmioletnia dziewczynka.

W następnych dniach omijały się z daleka jak dwa koty. Temat George'a nie był poruszany. Alice chodziła w dzień do pracy, Frances robiła zakupy, sprzątała mieszkanie i spacerowała z George'em po ulicach, a wyglądało to w ten sposób, że prowadziła go pod ramię, on zaś apatycznie dreptał obok niej.

Jednego wieczoru Alice poszła z nim do psychologa. Kiedy wrócili, George czuł się wyraźnie gorzej, był blady jak kreda, ręce mu drżały i oddychał ciężko.

- Za każdym razem tak jest, kiedy tam idziecie? - spytała wystraszona Frances.

- To zupełnie normalne! - Alice natychmiast była gotowa do obrony. - Podczas rozmowy lekarz wciąż odgrzebuje wszystko, co się przytrafiło George'owi. Tylko w ten sposób George może przetrwać i przewyciężyć tę traumę.

- Mam raczej wrażenie, że wpychany jest w nią coraz głębiej.

- Nie będę z tobą o tym rozmawiać! - krzyknęła Alice. - O wszystkim, tylko nie o tym!  
- I trzaskając drzwiami, wybiegła z mieszkania.

Frances wiedziała, że wkrótce będzie musiała podjąć decyzję dotyczącą jej pobytu w Londynie. Była już prawie bez grosza. Albo będzie musiała poszukać sobie jakiejś pracy - co oznaczałoby ponowne pozostawienie George'a samemu sobie - albo pojechać do domu. Nie chciała żyć nie wiadomo jak długo na koszt Alice. Wystarczy, że z nią mieszka.

W dziesięć dni później - było to piętnastego grudnia, nad miastem wisiała zimna mgła - wracając późnym przedpołudniem z zakupów, Frances spotkała George'a siedzącego na schodach przed drzwiami domu. Nie włożył nawet płaszcza, miał na sobie tylko ten sam co zawsze wełniany sweter i stare, zbyt szerokie spodnie. Drżał z zimna na całym ciele, wargi mu posiniały.

Frances postawiła torbę z zakupami i pochyliła się nad bratem.

- George! Czemu, na miłość boską, siedzisz na dworze?

Podniósł głowę. Wydawał się zdezorientowany i bezradny.

- Na dworze?

- Jest koszmarnie zimno! Możesz zaziębić się na śmierć! Wstań, George, proszę. Musimy iść na górę do mieszkania!

- Oni strzelali - powiedział George. Wstał z wysiłkiem. Ten kiedyś silny młody mężczyzna chwiał się niczym źdźbło trawy na wietrze, plecy miał zgarbione. - Bałem się - dodał po chwili. Przejechał dłonią po twarzy. Jego oczy były pełne strachu.

- George, jesteś w Londynie! Jesteś bezpieczny! Nie może ci się już nic przytrafić. Nie musisz się już bać.

Do jednej ręki wzięła torbę, drugą chwyciła George'a za ramię. Na szczęście nie stawiał oporu, dał się spokojnie zaprowadzić na górę. Tam Frances wpakowała go natychmiast do łóżka, położyła mu w nogach gorący termofor, owinęła szyję szalem, napoiła go naparem z szaławii oraz gorącym mlekiem z miodem. Kto wie, jak długo tam siedział? Był okropnie wychudzony, więc zapalenie płuc dopełniłoby reszty. Frances miała nadzieję, że zdoła jeszcze zapobiec chorobie.

Alice była zaskoczona incydentem, ale podtrzymała swój pogląd, że George'owi będzie dobrze tylko tutaj, u niej.

- Wcześniej nigdy nie wychodził na ulicę - oświadczyła. - To był naprawdę wyjątek. Na pewno już się nie powtórzy.

- Miałyśmy szczęście, że nie poszedł dalej, tylko siedział jeszcze na schodach - odparła Frances. - Następnym razem może to zrobić i będzie błąkał się bezradnie po mieście. I na koniec mogłybyśmy go już nie znaleźć.

Alice nic na to nie odpowiedziała. Poszła do sąsiedniego pokoju, gdzie spał George. Frances usłyszała, jak mówi do niego:

- Wszystko się ułoży. Zobaczysz, wszystko znowu będzie dobrze.

Ale nie w ten sposób, że będziesz odsuwać wszelkie problemy, pomyślała Frances, zła na Alice, ale także zła na siebie, bo zwlekała już aż nazbyt długo. Właśnie podjęła decyzję.

W poniedziałek, ledwo Alice wyszła do pracy, Frances zbudziła George'a i pomogła mu się ubrać. Nie było po nim widać ani śladu przeziębienia, więc widocznie jej wysiłki przyniosły skutek.

- Wracamy do Westhill - wyjaśniła mu. - Jeszcze dziś. Co o tym sądzisz?

Jak zwykle nic nie odpowiedział.

- Za tydzień Boże Narodzenie - ciągnęła Frances. - Dom na pewno jest już przystrojony. Będziemy jeść indyka i pudding ze śliwkami przyrządzony przez Adeline, a mama będzie grać na pianinie. Może spadnie śnieg. A ty też wyobrażasz sobie, że będzie pięknie?

- Tak, też - odrzekł George.

Brzmiało to jak odpowiedź posłusznego ucznia.

Frances uśmiechnęła się do niego, by dodać mu otuchy, następnie drżącymi rękami spakowała swoje rzeczy, włożyła płaszcz i kapelusz. Teraz, gdy w końcu wiedziała, co ma robić, nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie wyjadą. Ciasne, ciemne mieszkanie i

obskurna dzielnica budziły w niej wstręt.

Nigdy więcej, przysięgła sobie w duchu, gdy stanęli na ulicy, nigdy więcej moja noga tu nie postanie!

Nagle George zatrzymał się i popatrzył na nią. W jego oczach, które poza tym zawsze wydawały się zasnuwane mgłą, pojawił się błysk zrozumienia.

- A Alice? - zapytał.

Frances mocniej ścisnęła jego ramię.

- Ona chwilowo nie może troszczyć się o ciebie. Wie o tym i zgadza się, żebyś pojechał ze mną do Leigh's Dale.

Opowiedziałyby mu każde kłamstwo świata, byle tylko skłonić go do pójścia z nią.

George szedł dalej; jego nieprzenikniona mina nie zdradzała, czy uspokoiła go informacja udzielona przez Frances, a może Alice zniknęła znowu z jego myśli.

Nigdy nie jechała do domu z gorętszym sercem niż w ten pochmurny, chłodny zimowy dzień, kiedy zmierzch zapadał już wczesnym popołudniem. Na spotkanie z Westhill nie czekała tak tęsknie nawet w okresie, gdy chodziła do szkoły znieawidzonej panny Parker. Na północ od Nottingham wszędzie leżał śnieg. Za oknami pociągu rozciągały się przyprószone białym puchem łąki i pola, po których gwizdał zimny wiatr, czochrając otaczające pastwiska, łyse żywopłoty. Niebo i ziemia zlewały się na horyzoncie w nieprzeniknioną szarość. Mrok wydawał się gęstnieć z każdą minutą.

W pociągu było niewiele osób. Ludzie przeważnie spali lub czytali. Widywało się tylko kobiety i starszych mężczyzn, młodzi mężczyźni przebywali we Francji. Na George'u zatrzymało się niejedno współczujące spojrzenie. Frances ubrała go w kurtkę mundurową, jego rozpaczliwa chudość zdradzała każdemu, że ten człowiek ma za sobą okropne przeżycia.

- Żeby wreszcie zawarli pokój - rzekła jedna z kobiet do swojej sąsiadki. - Nie mogę już patrzeć na tych rannych młodych ludzi.

- Ten ma raczej tutaj. - Jej sąsiadka dotknęła głowy. - Tam pewnie ucierpiał.

Frances wytrzeszczyła na nią oczy, po czym zażenowana spuściła wzrok.

W Yorku mieli przesiadkę, następnym pociągiem nie dojechali jednak do Wensley, tylko wysiedli już w Northallerton, ponieważ tam było większe prawdopodobieństwo złapania taksówki. Było wpół do piątej, a zapadła już noc. Przy dworcu stał tylko jeden pojazd, do którego zamierzało wsiąść jakieś małżeństwo, oboje obładowani koszami pełnymi jaj i warzyw. Frances pociągnęła za sobą apatycznego George'a i energicznie odepchnęła kobietę od drzwi auta, które ta właśnie otworzyła.

- Jestem z inwalidą wojennym. Muszą państwo odstąpić nam taksówkę.

- Jak pani śmie! - oburzyła się kobieta.

Jej mąż obrzucił George'a zatroskanym spojrzeniem.

- On naprawdę wygląda nie najlepiej - rzekł skrepowany.

- Brał udział w bitwie nad Sommą - powiedziała Frances. - I przez dwa dni był zasypany w schronie. Został mu po tym ciężki uraz.

- A co nas to... - zaczęła kobieta, ale mąż jej przerwał.

- Proszę wziąć ten samochód. Znajdziemy sobie coś innego.

- Ken, naprawdę uważam...

- On nadstawiał za nas głowę. Tyle przynajmniej możemy dla niego teraz zrobić, a mianowicie odstąpić mu tę taksówkę.

Uśmiechnął się do Frances. Ta odwzajemniła uśmiech i wepchnęła George'a do środka auta. Słyszała, jak kobieta wymyśla im jeszcze i awanturuje się, ale nie przejmowała się już jej gadaniem. Z westchnieniem ulgi opadła na miękkie siedzenie.

- Do Leigh's Dale - powiedziała do kierowcy, który skinął głową i ruszył.

Wiatr porozrywał chmury i pędził je po ciemnym niebie. Od czasu do czasu padało na ziemię trochę bladego światła księżycowego, rozjaśniając zaśniewony krajobraz. Frances przycisnęła twarz do szyby i wyglądała na zewnątrz. Znała każdą łąkę, każdy pagórek, każde drzewo. Każdą samotną zagrodę. Kraj witał ją - tak jej się wydawało - z szeroko otwartymi ramionami.

Podjeżdżając do Westhill, samochód zaczął się ślizgać i kierowca oświadczył, że nie może dalej jechać.

- Nie dam rady. Przykro mi, ale ostatni kawałek muszą państwo pokonać pieszo.

- W porządku.

Frances, siedząca na tylnym siedzeniu, podała mu swoje ostatnie banknoty funtowe. Nie miała już ani grosza, w jej portmonetce brzęczało tylko parę franków.

Pomogła George'owi wysiąść z auta.

- George! Jesteśmy w domu. Dojechaliśmy.

Skinął głową. Ledwo wysiedli z taksówki, otoczyło ich wilgotne i zimne powietrze. Frances pomyślała o owym gorącym dniu czerwcowym przed pięciu laty, kiedy również szła tą drogą pod górę, zdyszana z powodu piekącego słońca.

A potem w sierpniu 1914 roku, gdy przyjechała na pogrzeb babki Kate. Tamte straszne dni, kiedy wybuchła wojna... Od tamtej pory świat oszalał, nic nie było takie jak przedtem.



Ale złote dni powrócą.

Wojna nie mogła trwać wiecznie. Według prawa, któremu podlegało życie, czasy nie mogły być złe raz na zawsze. Rodzina rozprzęgła się chwilowo, ale odnajdą znowu ciszę i spokój. Już niebawem. Boże Narodzenie za progiem. Będzie znowu Dzieciątko. Będą mogli odetchnąć.

W ciemności pojawiły się światła. Ciepły blask rozświetlał noc: to Westhill House. Frances dostrzegła tylko cień bluszczu pnącego się po ciemnych murach. Światło malowało w śniegu na podwórzu jasne plamy.

Przed drzwiami domu zobaczyła zadaszoną dwukonkę, stojący przed nim koń opuścił łeb i zamknął oczy dla ochrony przed coraz gęściej padającym śniegiem.

Frances zmarszczyła czoło. Wizyta? W taki nieprzyjemny wieczór? Dziwne, że nikt nie zadbał o konia. Jej ojciec miał żelazne zasady, jeśli chodzi o zwierzęta. Gdy jakiś gość przyjeżdżał powozem, to jego koń po odprowadzeniu do szopy dostawał duże wiadro wody i wiązkę siana, zanim jemu samemu zaproponowano drinka.

Może zjawiał się ktoś, kto zamierza zaraz wyjechać, pomyślała.

Kiedy zapukała, w środku nie poruszyło się nic, ale mogli wejść, ponieważ drzwi i tak jak zwykle nie były zamknięte. Hall był jasno oświetlony. Z salonu dobiegały ciche głosy.

George zatrzymał się na schodach. Frances pomogła mu zdjąć płaszcz.

- Musisz od razu ściągnąć buty - powiedziała. - Na pewno są całkiem mokre od śniegu. W żadnym wypadku nie możesz się przeziębic.

George usiadł posłusznie na najniższym stopniu schodów i zgrabiałymi palcami zaczął z wysiłkiem zdejmować buty. Frances zamierzała właśnie ściągnąć rękawiczki, gdy usłyszała kroki na schodach. Podniosła wzrok. Z góry schodziła Adeline, gospodyni. Coś niosła na ręku: całą górę zwiniętych byle jak prześcieradeł i ręczników.

Na widok George'a i Frances zastygła w bezruchu.

- Pan George! Panna Frances! A skąd żeście się tu wzięli?

George nawet się nie odwrócił.

- Przyjechaliśmy właśnie z Londynu, Adeline - odpowiedziała Frances. - Przywiozłam George'a do domu. Przeżył we Francji straszne rzeczy.

- Dobrze, że państwo są - zawołała Adeline, jednak nie bardzo brzmiało to jak powitanie, które wyobrażała sobie Frances. Adeline wydawała się ogromnie spięta. Zawsze uwielbiała George'a. Powinna więc była rzucić się na niego z radosnym okrzykiem. A następnie oświadczyć z oburzeniem, że jest o wiele za chudy i że natychmiast ma z nią pójść do kuchni, żeby zjeść coś porządnego, i że teraz widać, do czego to prowadzi, gdy mężczyźni

idą na tę bezsensowną wojnę...

Adeline nic jednak z tego nie zrobiła. Nadal stała w miejscu, w którym się zatrzymała, wpatrywała się w przybyszów i wcale nie wydawała się przy tym uradowana, raczej jedynie zmieszana.

- Adeline! - Głos Frances miał ochryple brzmienie. Nagle otoczył ją strach niczym zbyt ciężki płaszcz, w którym ledwo można oddychać. - Adeline, coś jest nie tak?

Wodziła uważnie spojrzeniem po hallu, szukając odpowiedzi. Żadnych girland z jedliny nad lustrem. Żadnych gałązek jemioli w wazie pod oknem.

- Dlaczego nic nie jest przystrojone? - zapytała.

- Ach, panno Frances... - zaczęła Adeline.

W następnej chwili usłyszeli szybkie człap-człap-człap po kamiennych płytach. To suka Molly zorientowała się, kto właśnie przyszedł. Czekala cała lata. Nie mogła już skakać tak dziko jak w młodości, więc lizała George'a po rękach, cicho i spokojnie. Jej mądre oczy płonęły ciepłym blaskiem.

Coś we wnętrzu George'a obudziło się. Podniósł głowę. Zmienił się wyraz jego oczu.

- Molly - powiedział. Popatrzyli na siebie, nawzajem zatonęli w sobie wzrokiem. George zaczął głaskać łeb Molly wychudzonymi palcami. - Molly - szepnął jeszcze raz.

Na Frances oboje nie zwracali uwagi.

- Adeline! - rzekła ostro Frances.

Adeline zeszła powoli po ostatnich stopniach. Górę ręczników niosła przed sobą niczym tarczę. I dopiero w tym momencie, gdy Adeline znalazła się na dole i przecisnęła obok George'a i Molly, Frances zauważyła, że wszystkie te ręczniki są całe powalane krwią, świeżą jasnoczerwoną krwią.

Wciągnęła głośno powietrze.

- Na miłość boską! Co to znaczy? Gdzie jest mój ojciec? Gdzie jest moja matka?

- Pan Gray jest w salonie z doktorem - odpowiedziała Adeline. - A pani Gray...

Urwała. Frances chwyciła ją za nadgarstek. Niewiele brakowało, a potrząsnęłyby starą kobietą.

- Co z moją matką? No, gadajże! Urodziła dziecko? - Tylko to mogło tłumaczyć dużą ilość krwi. Ale czy kobieta podczas porodu krwawi tak mocno? Czy to normalne? - Nie słyszę żadnego krzyku dziecka - dodała szybko. - Co się stało?

- Dziecko nie... nie żyje - odpowiedziała Adeline i wybuchnęła płaczem.

- O, nie! - rzekła cicho Frances. - O, nie! Biedna mama! Muszę natychmiast do niej pójść.

- Chwileczkę, panno Gray! - Głos Adeline brzmiał szorstko niczym papier ścierny. - Musi pani wiedzieć... że pani Gray...

Nie dokończyła, ale jej milczenie zgęstniało na kształt straszliwej prawdy, która stała się tak przemożna, że wydawała się wszystko wypełniać.

- To... to nie może być prawda - wykrztusiła z trudem Frances.

Płacz Adeline przybrał na sile.

- Doktor nie mógł nic zrobić. Pani Gray opuściła nas na zawsze razem ze swoją małą dziewczynką.

Ruszyła po schodach na górę, ciężkim krokiem niczym stara kobieta. Wciąż jeszcze była w płaszczu i kapeluszu, ściągnęła tylko wreszcie rękawiczki i położyła jej niedbale u góry na poręczy schodów, z której się zsunęły i leżały teraz na podłodze w hallu. Nie potrafiła zdobyć się na żadną inną myśl oprócz tej jednej: Mama nie żyje. Umarła, a ja nie zdążyłam nawet z nią porozmawiać. Nie żyje.

Słowa „nie żyje” tańczyły i tłukły się w jej głowie. Bezlitośnie i bez końca. Nie zostawiały żadnej furtki. Nie mogła jak zwykle kazać swoim myślom gonić w poszukiwaniu rozwiązania, w szalonym pośpiechu badać możliwości odwrócenia grożącego nieszczęścia albo wybrnięcia obronną ręką z trudnej sytuacji. Nie dało się już nic zrobić, nie można było nic zmienić. Było już po wszystkim.

Z sypialni rodziców uderzył ją w nozdrza zapach choroby i krwi; znała go aż nazbyt dobrze z okresu spędzonego we Francji. W pomieszczeniu było tak gorąco i duszno, że człowiekowi odbierało oddech. Frances weszła do środka cichutko, jakby bała się, że może przeszkodzić śpiącej. Powitało ją przyćmione światło. Paliła się tylko stojąca na stoliku nocnym mała lampka osłonięta ciemnozielonym jedwabnym abażurem, a na komodzie naprzeciwko łóżka płonęły świece umieszczone w trójramiennym złotym lichtarzu, który Maureen zawsze szczególnie lubiła. Przy nogach łóżka stała szczupła postać. Była to Victoria, która ze złożonymi dłońmi patrzyła na matkę.

Frances wzdrygnęła się i cofnęła odruchowo. Sądziła, że jest sama. Jednak Victoria już ją usłyszała i odwróciła głowę. Oczy miała czerwone i spuchnięte od płaczu.

- Ach, Frances - powiedziała tylko. Wydawało się, że w tym momencie nie dziwi jej nawet specjalnie widok siostry.

Frances powoli podeszła bliżej. Wpatrywała się w łóżko. Adeline nie tylko usunęła zakrwawione prześcieradła, lecz także świeżo oblekła kołdrę i poduszkę. Maureen leżała w czystej, bielutkiej pościeli. Kołdra była podciągnięta pod pachy, na niej leżały ręce, dłonie

były złożone. Z biżuterii matka miała jedynie obrączkę ślubną na palcu. Piękne długie włosy były splecione w warkocz, przerzucony do przodu przez ramię.

Jednak dziewczęca fryzura, złożone dłonie i biała pościel tylko na pierwszy rzut oka wzbudzały wrażenie spokoju, który okazał się zwodniczy, kiedy popatrzyło się na twarz zmarłej. Musiała to być długa walka i ciężkie umieranie. Śmierć nie zdołała wymazać śladów strachu i bólu w rysach Maureen. Dwie ostre bruzdy, których wcześniej nie było, przebiegały od nosa ku kącikom ust. Wydawało się, jakby Maureen leciutko ściągnęła brwi, gdyż nad nosem biegła zmarszczka nadająca twarzy niezwykle surowy, a jednocześnie zboląły wyraz. Frances nigdy nie widziała u matki takiej twarzy. Maureen zawsze była dla niej uosobieniem pogody ducha i wesołości, w jej rysach kryła się ciągle jakaś promiennosc. Przeważnie śmiała się do siebie i coś podśpiewywała. Nawet gdy besztala dzieci, co zdarzało się dosyć rzadko, nie potrafiła przybrać na twarz wyrazu prawdziwej złości. Dlatego dzieci nigdy nie traktowały serio jej wyrzutów, jak zresztą miałyby się bać kogoś, kto zawsze skłonny był w następnej chwili mrugnąć okiem? A teraz...

Ależ musiała się nacierpieć, pomyślała Frances. Co umieranie zrobiło z jej twarzy!

- Mamusiu - szepnęła.

Victoria drżała na całym ciele.

- Na końcu mieliśmy już nadzieję, że konanie nie potrwa długo - powiedziała z bezdźwięcznym szlochem w głosie. - Wydawało się, jakby musiała płakać, lecz nie miała już na to sił. To było okropne. W pewnym momencie nie mogła nawet krzyczeć. Pojękiwała tylko. Brzmiało to tak, jakby zdychało małe zwierzę.

Frances obeszła łóżko. Uklękła obok Maureen i ujęła jej dłonie. Były zimne jak lód.

- Mamusiu...

Brzmiało to jak zaklęcie. Jakby istniała jakakolwiek nadzieja na to, że Maureen odwróci głowę, otworzy oczy i popatrzy na córkę.

- Bóle porodowe zaczęły się już przedwczoraj - opowiadała Victoria - w sobotę rano. Ojciec zadzwonił do mnie. Powiedział, że mama czuje się dobrze, jest całkiem spokojna, więc nie muszę przychodzić. Zwłaszcza że na miejscu jest akuszerka, która oświadczyła, że nie będzie żadnych komplikacji.

Żadnych komplikacji! A sześćdziesiąt godzin później Maureen nie żyła. I jej dziecko również.

- Ucieszyłam się, że nie muszę przychodzić - ciągnęła, zacinając się Victoria. - W końcu nie byłam tu od... odkąd dowiedziałam się, że jest w ciąży.

O tak, oczywiście, taka była Victoria! Wiecznie krążąca wokół własnych problemów.

Wolała, żeby matka leżała sama przez pół roku, zamiast się przemóc i wziąć w garść, godząc się z tym, że inna kobieta urodzi dziecko, a nie ona.

Skóra Maureen przybrała żółtawy odcień. Wydawała się znacznie postarzała. Frances nie mogła oderwać od niej oczu. Powoli ogarnęło ją uczucie lodowatego chłodu, rozchodziło się ze środka w każdy zakątek ciała, mimo że pokój był przegrzany, a ona sama miała jeszcze na sobie płaszcz. Czuła obejmujący szyję stalowy pierścień, który zaciskał się coraz bardziej.

- Wczoraj rano ojciec zadzwonił do mnie i powiedział, żebym przyszła. - Głos Victorii był ochryply od ciągłego płaczu. - Że mama źle się czuje, a dziecko po prostu nie może się urodzić. Wczorajem wezwaliśmy doktora. Według niego dziecko było jakoś niewłaściwie ułożone, ale mama miała dać radę.

Frances oderwała palce od zimnych, sztywnych dłoni matki. Powoli wstała. Jej wzrok prześlizgnął się po pokoju i zatrzymał na drewnianej kołysce, w której wszyscy spędzili pierwszy rok życia. Potem przez wiele lat kołyska stała zakurzona na strychu. Teraz ją zniesiono, oczyszczono i z radością, ale i z niecierpliwością postawiono w sypialni rodziców.

Podeszła do niej. Jej mała siostrzyczka leżała w obszytym koronką beciku, przykryta bladozielonym wełnianym kocykiem. Główkę miała lekko obróconą na bok. Nie wyglądała jak noworodek, lecz w jakiś przerażająco absurdalny sposób przypominała starą kobietę, która wiele już w życiu przeszła. Jej skóra miała taki sam żółtawy odcień jak skóra jej matki. Ciemne, zadziwiająco gęste włosy były gładko uczesane. Ktoś - przypuszczalnie Adeline - musiał umyć, uczesać i ubrać dziecko. Ale również tutaj widniał wyraz bólu na małej twarzyczce. Tak samo jak Maureen, dziecko to przez wiele dni walczyło rozpaczliwie o życie, a owa walka pozostawiła na nim ślad.

Mały anioł śmierci, pomyślała Frances. Szukała w sobie jakiegoś uczucia dla tej małej istoty, ale nie mogła nic znaleźć w chłodzie i pustce, jakie panowały w jej wnętrzu.

- Jak ma na imię? - zapytała.

Victoria popatrzyła na nią zmieszana.

- Co?

- Dziecko. Na pewno przewidzieli dla niego jakieś imię.

- Owszem. Chłopczyk miał mieć na imię Charles, jak ojciec. Dziewczynka Catherine. Ma więc na imię Catherine.

- Catherine - powtórzyła powoli Frances, lecz w następnej chwili poczuła nagle zawrót głowy, rzuciła się do okna, otworzyła je i wychyliła się mocno, wdychając głęboko zimne wieczorne powietrze. - Miły Boże - jęknęła. - Tutaj można się przecież udusić!

Zawrót głowy minął. Odwróciła się.

- Nie przyszło ci w ogóle do głowy, żeby otworzyć tutaj okno? - ofuknęła Victorię.

Ta wzdrygnęła się ze strachu i wyglądała na zupełnie wytrąconą z równowagi, toteż Frances od razu pożałowała, że nie powściągnęła języka.

- Przepraszam cię. Ja... - Przejechała dłonią po czole, które pokrywała cienka warstwa potu. - To taki wielki wstrząs... - Głos jej się załamał. Z wysiłkiem powstrzymywała łzy, które napłynęły jej do gardła. Jeśli teraz się rozplacze, nie będzie mogła przestać przez wiele dni. - Muszę wrócić na dół i rozejrzeć się za George'em - powiedziała.

- George'em?

- Przywiozłam go. Alice i ja zabrałyśmy go z lazaretu we Francji.

- George jest tutaj!

Na twarzy Victorii odmalowała się ulga. Widać było po niej, że spodziewa się znaleźć u starszego brata pomoc i pocieszenie - coś, czego nie oczekiwała raczej po siostrze o podrażnionym, twardym głosie i zimnych oczach.

Frances zgasiła jednak ten promyk światła w ciemności.

- George jest bardzo chory. Nie wolno go obciążać własnymi troskami. Słyszysz? On nie może udzielić pomocy, sam jej potrzebuje!

- Co mu jest? - spytała Victoria, szeroko otwierając oczy.

- Doznał ciężkiego urazu psychicznego - wyjaśniła Frances, a następnie zaczęła opisywać, co oznaczają dwa lata na froncie z wszelkimi jego okropnościami, lecz zaraz urwała. Na słodkiej, lalkowatej twarzy Victorii malowało się przerażenie - i w pewnym sensie brak zrozumienia. W jej bezpiecznym świecie, obejmującym spacer po parku w Daleview, długie wieczory spędzane na czytaniu przy kominku i sporadyczne odwiedziny innych kobiet, których mężowie przebywali we Francji, nie było miejsca na wyobrażanie sobie tego, co oznacza wojna.

Jeszcze najbliższej wojny Victoria była w Londynie, gdy brała udział w spotkaniach patriotycznych stowarzyszeń kobiecych, podczas których robiono na drutach skarpety dla walczących na froncie żołnierzy i nawijano bandaże. Ktoś zawsze pograł trochę na pianinie, była kawa i ciasto, a najświeższe plotki dostarczały tematów do przyjemnych rozmów.

Jak ona ma to zrozumieć? - pomyślała z pogardą Frances. Przecież ona nic nie przeżyła. W ogóle nic!

Pokój wypełniało teraz wilgotne, zimne powietrze. Victoria skuliła się z zimna i skrzyżowała ramiona.

- To straszne - jęknęła - ile nieszczęść spada na naszą rodzinę! Czy George jest... on jest nie całkiem zdrowy na umyśle?

- Jest zupełnie nieobecny duchem. Potrzebuje teraz bardzo dużo miłości, spokoju i zrozumienia.

Czy w ogóle będzie w stanie zrozumieć, że jego matka umarła? Frances przemogła się. Nie mogła stać tutaj bez końca i wpatrywać się w twarz Maureen. Musiała poszukać George'a i ojca.

- Victorio, zostaniesz tu dzisiaj na noc? - zapytała.

Siostra skinęła głową.

- Chciałabym czuwać przy mamie.

Frances prychnęła ze złością.

- Nikomu to nie pomoże. Lepiej się położyć do łóżka. Jesteś zupełnie szara z wyczerpania!

- Chcę zostać przy mamie i tak zrobię - odparła Victoria z niezwykłą u niej surowością; Frances nie знаła jej jeszcze od tej strony.

- Jak chcesz! - powiedziała zaskoczona i wyszła z pokoju.

George nie siedział już na schodach. Frances rozejrzała się, szukając go wzrokiem. W tym momencie Adeline wystawiła głowę z kuchni.

- Pan George jest tutaj u mnie, panno Frances - poinformowała. - Właśnie gotuję mu dobrą gorącą zupę. Biedaczek, sama skóra i kości.

- Dziękuję, Adeline. - Frances poczuła się trochę pocieszona naturalną, stałą obecnością Adeline. - Czy mój ojciec jest jeszcze w salonie?

- Owszem. Doktor też tam jest.

Frances zapukała do drzwi salonu i weszła do środka.

Obaj panowie stali pośrodku pomieszczenia. Doktor odwrócił się do Frances. Był to starszy mężczyzna o pomarszczonej twarzy i życzliwym wyrazie oczu.

- Och, panna Gray! Okropnie mi przykro z powodu Maureen i dziecka.

W ogóle nie zwracała na niego uwagi. Szukała wzrokiem tylko ojca. Popatrzyła na niego. Szary garnitur, łańcuszek od zegarka, jedwabny krawat, jak zawsze ubrany nienagannie. Jego ramiona ledwo zauważalnym ruchem pochyliły się do przodu. Dłonie, spoczywające na poręczach fotela, drżały lekko. Twarz wydawała się zgasła. Frances wystraszyła się, widząc niema udrękę w jego oczach.

- Ojczy! - zawołała bezradnie.

Pochowali Maureen trzy dni przed Bożym Narodzeniem na małym idyllicznym cmentarzu w Leigh's Dale, gdzie zmarli spoczywali w cieniu starych drzew o rozłożystych gałęziach.

Latem rosły tam wysokie trawy i paprocie, dopływ River Ure przepływał obok jako mały potok, pomiędzy mchu w szczelinach kruszącego się cmentarnego muru wyrastały fioletowe kwiaty. Człowiek miał ciągle wrażenie, iż porusza się po dzikim romantycznym ogrodzie, narażony na konfrontację z niepokojącymi myślami, jakie wzbudza zawsze takie miejsce.

Jednak tego grudniowego dnia w nagich gałęziach drzew świstał zimny wiatr, szare chmury zwieszały się nisko nad ziemią, otulając pagórki; cienka warstwa śniegu znikła, pozostawiając po sobie zgniecioną, pomieszaną z błotem trawę. Nad pozbawionymi kwiatów, nagimi grobami wznosiły się ciemne i ponure nagrobki. Parę wron poderwało się, kracząc, z drzew, kiedy grupa żałobników zbliżyła się do grobu. W powietrzu wisiała tylko drobna mżawka, ale wilgotny chłód przenikał z wolna każdego do szpiku kości.

Maureen i jej dziecko pochowano tuż obok Kate, w kącie cmentarza przeznaczonym dla mieszkańców wyznania katolickiego, lecz oprócz grobu Kate był tam tylko jeszcze jeden grób. Miejscowy anglikański duchowny udzielił Catherine chrztu *post mortem*, a mimo to pochowano ją przy matce katoliczce; z pewnością nikt nie uznałby rozdzielenia ich za słuszne. Frances udało się znaleźć katolickiego księdza, który musiał dostać się tu z Richmond i był w złym humorze, bo jego automobil utknął po drodze w błocie, a nie przejeżdżał akurat nikt, kto mógłby mu pomóc w odkopywaniu pojazdu.

W oczach Frances wszystko przypominało koszmarne sen: to, że stoi w tym miejscu, które znała od najwcześniejszego dzieciństwa, które zawsze przyciągało ją swym idyllicznym spokojem, i musi się przyglądać, jak trumna z matką w środku spuszczana jest do grobu. Chętnie przytrzymałaby się kogoś, ale ojciec jakby w oczywisty sposób wziął pod ramię Victorię i poszedł z nią przodem, a dla Frances został tylko George, który tego dnia był bezradny i zagubiony jak starzec. Stał zgarbiony i opierał się na niej. Co chwila zerkala na niego z boku zatroskanym wzrokiem. Czy wiedział, co się wokół dzieje? Jego spojrzenie jak zwykle błąkało się gdzieś w oddali.

Victoria przez cały czas szlochała i trzęsła się jak osika. Znowu była nieskazitelnie elegancka. Miała na sobie futro do kostek, a na głowie małą czarną futrzaną czapkę. Dłonie ukryła w rękawiczkach z cienkiej skóry. Z biżuterii założyła tylko pojedynczy sznur pereł. Jej delikatna twarz w dalszym ciągu była śliczna, choć napuchnięta od płaczu. Wydawało się, że nic w świecie nie jest w stanie umniejszyć jej wdzięku. Frances potrafiła sobie bardzo dobrze wyobrazić, że jej widok wzbudza w mężczyznach instynkty opiekuńcze i tkliwość. Wstydziła się, że spogląda na siostrę z rozdrażnieniem i zazdrością, nawet w takim momencie jak ten. Straciły Maureen. W jej myślach nie powinno być teraz miejsca na nic złego.

Zgromadzili się prawie wszyscy mieszkańcy wioski, żeby oddać Maureen ostatnią



posługę. Młodych mężczyzn nie było widać także tutaj - jeszcze jedno gorzkie przypomnienie, że trwa wojna.

Wiele kobiet płakało.

- Była taka miła, taka życzliwa - rzekła jedna z nich do Frances. - Dla każdego miała dobre słowo. Że też zawsze najlepsi muszą umierać tak wcześnie!

I tak niepotrzebnie, pomyślała Frances. Maureen była zdrową, silną kobietą. Mogła osiągnąć co najmniej taki wiek jak Kate. Gdyby nie pojawiła się jeszcze kwestia tego dziecka...

Frances popatrzyła na ojca, na jego poszarzałą, skamieniałą twarz. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że być może czyni sobie gwałtowne wyrzuty za to, co się stało. Dziecko nie było planowane. Owoc nieostrożności w równym stopniu jego, jak i Maureen. Pewnie w efekcie sobie przypisywał winę za jej śmierć.

Wreszcie późnym popołudniem wszyscy goście, którzy brali udział w pogrzebie, poszli sobie i nad Westhill zapadła znowu cisza. Victoria zaszyła się w kuchni u Adeline i płakała bez przerwy. George siedział na górze w swoim pokoju i głaskał Molly. Frances razem z Charlesem pożegnała ostatnich gości, a potem wróciła z nim do salonu. Ze względu na niego do tej pory panowała nad sobą, ale teraz potrzebowała czegoś, aby odpędzić bolesne myśli. Nalała sobie dużą whisky i zapaliła papierosa.

- I to w dniu, w którym odprowadziliśmy twoją matkę do grobu! - zauważył z dezaprobatą Charles.

- To pomaga, ojciec. Też powinieneś sobie łyknąć.

Charles pokręcił głową.

- Nie. Nie chcę.

Usiadł ciężko w fotelu. Siedział tu co wieczór, Maureen w fotelu naprzeciwko. Frances pamiętała ich rozmowy, ich śmiechy, ich zakochane spojrzenia.

Szybko wlała w siebie whisky. W przeciwnym razie wybuchnęłaby płaczem, a to w dalszym ciągu byłoby równoznaczne z zerwaniem tamy. Natychmiast napełniła szklaneczkę po raz drugi. Ciepło rozlewało się w jej członkach i łaskocząc, wypełniało jej ciało. Jej żołądek skurczył się na chwilę; prawie nic nie jadła i jej wnętrzności zaprotestowały gwałtownie przeciwko temu brutalnemu atakowi za pomocą wysokoprocentowego alkoholu. Szybko jej jednak przeszło, pozostało tylko uczucie odprężenia. Rzeczy utraciły trochę twardość, ich kontury rozmywały się.

- Skoro już nie chcesz nic pić, to może powinieneś się położyć - powiedziała. - To był

wyczerpujący dzień, ojciec, a przez ostatnie noce w ogóle nie spał. - Słyszała, jak chodził godzinami w swoim pokoju tam i z powrotem. - Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

- I tak bym nie zaznał spokoju - odparł Charles.

Przejechał dłonią po twarzy. Frances podeszła bliżej do niego. Nie śmiała usiąść w fotelu matki, dlatego zatrzymawszy się, stała dalej. Wyciągnęła rękę i przelotnie dotknęła ramienia ojca. Poczowała, jak twarde i napięte są jego mięśnie.

- Na pewno niedobre jest to, że śpisz nadal w tym pokoju, w którym... umarła - powiedziała łagodnie. - Możesz wziąć mój pokój. Ja przeniosę się do Victorii, choć ona pewnie tak czy owak wróci do Daleview.

- Nie wyprowadzę się z pokoju, który dzieliłem z Maureen prawie trzydzieści lat - odrzekł Charles, a jego uparty wyraz twarzy nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że na pewno nie da się przekonać.

- Jak chcesz. Tak tylko pomyślałam. Ojciec, powinniśmy porozmawiać o świętach.

- O świętach? Ty chcesz porozmawiać o świętach?

- Chodzi o George'a. - Przysunęła sobie obciążony aksamitem podnózek i usiadła na nim. Popatrzyła z naleganiem na ojca. - Nie jest z nim dobrze. Przeszedł okropne rzeczy. Teraz potrzebuje poczucia, że wrócił do domu. I z jego powodu musimy się teraz wszyscy wziąć w garść. Rozumiesz?

Po jego oczach poznała, że w tej chwili to wszystko w ogóle go nie interesuje.

George jest jego synem, pomyślała z rozdrażnieniem, nie może teraz aż tak zamykać się przed nim.

- Nie muszą to być wcale wesołe święta. Zresztą nie mogą. Ale powinniśmy zjeść indyka i przystroić wszystkie pomieszczenia. Mama... też by tego chciała.

- Zrób wszystko, jak uważasz - powiedział Charles.

Frances stłumiła westchnienie. Victoria, która nie mogła przestać płakać. I Charles, który siedział w fotelu niczym chory, stary człowiek i okazywał jedynie obojętność. Jak George ma tu wyzdrowieć?

Oboje milczeli przez chwilę. W całym domu panowała cisza, znikąd żadnych odgłosów. Zakłócał ją jedynie trzask szczap płonących w kominku. Frances nie pamiętała, żeby w Westhill kiedykolwiek było tak cicho. Zawsze zaszczekał jakiś pies, Maureen coś podśpiewywała, a Charles godzinami politykował. Victoria biegała po schodach tam i z powrotem. George wpadał do kuchni, żeby odebrać Adeline coś do jedzenia. Adeline zaczynała psioczyć, a po chwili przyłączała się do jej psioczenia babka Kate, która w tajemniczy sposób wiedziała o wszystkim, co się wokół działo. Gdzieś trzasnęły drzwi albo

ktos potknął się o jakiś leżący przedmiot. Dom wypełniały głosy, śmiechy, a czasem również otwarte kłótnie.

Ta grobowa cisza, jaka teraz zalegała, była nienaturalna. Nie pasowała do tego domu. Była głucha i paraliżująca. Frances znowu poczuła, że zaraz musi wstać i otworzyć okno. Opanowała się jednak. Może przeszkadzałoby to ojcu.

- Była moim życiem - odezwał się nagle Charles. Zabrzmiało to tak niespodziewanie, że Frances aż się wzdrygnęła. - Była moim życiem - powtórzył cicho. - A teraz wszystko się skończyło.

Żołądek Frances skurczył się ponownie, ale tym razem nie z powodu alkoholu.

- Nie wszystko się skończyło, ojcze - powiedziała. - Nie jesteś sam. Masz nas. Victorię, George'a i mnie. My też jesteśmy częścią ciebie i twojego życia.

Ból uczynił go bezlitosnym.

- Nie jesteście częścią mojego życia - odrzekł. - Chadzacie własnymi drogami.

- To naturalne. Ale należymy do siebie.

Nic na to nie odpowiedział, lecz jego milczenie mówiło więcej, niż byłyby w stanie wyrazić słowa.

Frances pochyliła się do przodu.

- Ojcze, jeśli nie potrafisz mi przebaczyć tego, że byłam w więzieniu i musiałeś mnie stamtąd wyciągać, to nic na to nie poradzę. Na pewno też nie będę cię błagać o przebaczenie. Ale ze względu na samego siebie nie powinieneś teraz odpychać swoich dzieci. I musisz przebaczyć George'owi, jeśli w dalszym ciągu uważasz, że popełnił taką niegodziwość, wybierając Alice Chapman. On walczył za ten kraj. A tym samym także za ciebie. I zasłużył na to, żeby przyjęto go teraz z otwartymi ramionami.

- Nic o nim nie wiem.

- A chcesz o nim coś wiedzieć?

- Nie.

Frances jednym ruchem zerwała się z miejsca.

- Ale ja wiem o nim dużo - oświadczyła ostrym tonem. - Byłam we Francji. W lazarecie, w którym leżał George. Tuż za frontem. Widziałam wojnę z bliska i czasami zadawałam sobie pytanie, jak człowiek może dalej żyć, gdy przeżył to piekło. Ludzie marli tam jak muchy. Konali na rękach lekarzy. Krzyczeli i jęczeli, i tarzali się we własnej krwi. Niektórzy błagali, żeby ich zastrzelić. Niektórzy stracili zmysły. Widziałam to. Wiem, o czym mówię.

Urwała. Mina Charlesa pozostała nieporuszona.

- George potrzebuje twojej pomocy - ciągnęła z naleganiem w głosie. - To chory człowiek. Jeśli dasz mu teraz odczuć, że został sam, może już nigdy nie wróci do zdrowia.

Przez cały czas omijał ją wzrokiem. Wreszcie spojrzął na nią.

- Nie chodzi o przebaczenie - powiedział. - Chodzi o to, że nie mam siły, by troszczyć się o kogokolwiek. Sam potrzebuję kogoś, na kim mógłbym się oprzeć. - Podniósł się z fotela, podszedł do okna i wpatrywał się w ciemność. - Jak to dobrze, że mam Victorię - mruknął. - Ona jest moją podporą.

Frances z trudem chwytiała powietrze. Czy ojciec powiedział to poważnie? Ta lalka, która ciągle jęczała, a teraz od wielu dni ryczała bez przerwy? Jak ona, na miłość boską, miałyby być podporą?

- Victoria? - spytała z niedowierzaniem, ale Charles nie wydawał się skłonny do udzielania wyjaśnień; milczał i nadal wpatrywał się w noc.

Naturalnie, ona zawsze robiła to, czego od niej oczekiwano, pomyślała Frances, czego on od niej oczekiwał. Dla niego jest osobą przewidywalną, dlatego czuje się przy niej pewnie.

Starła się stłumić w sobie złość. Tolerowanie u siebie nienawiści do własnej siostry akurat w dzień pogrzebu Maureen wydawało jej się nie na miejscu. Ale ta nienawiść bez wątpienia była w niej, zrodzona dawno temu, wcale nie pomniejszona przez poczucie winy, jaką obarczyła się, nawiązując romans z Johnem.

Wypiła resztę whisky i oparła się pokusie, żeby nalać sobie jeszcze trzecią. Gdyby opuszczając pokój, nie potrafiła iść prosto, utwierdziłoby to tylko ojca w złej opinii o niej.

Wdzięczna mała Vicky na pewno jeszcze nigdy się nie upiła, pomyślała z goryczą.

- W każdym razie - powiedziała - George musi na razie zostać tutaj. Nie ma innego miejsca, dokąd mógłby pójść. A poza tym chwilowo nie potrafi sam dbać o siebie. Zgadzasz się?

- Na co?

- Żeby tu został - powtórzyła cicho drżącym głosem.

Charles wzruszył ramionami.

- Dopóki jeszcze się da, może zostać. Ty także. Nie przeszkadzacie mi.

- Co to znaczy: dopóki jeszcze się da?

- Dopóki jeszcze mamy Westhill. Nie wiem, jak długo tak będzie.

- Co?

- Sprawy nie wyglądają dobrze. Spora grupa naszych dzierżawców jest na wojnie. Owce chorowały. Dużo zwierząt straciliśmy. Wielu dzierżawców zrezygnowało i się wyprowadziło.

- Jak bardzo jest źle? - spytała zaalarmowana.

Nie mogła wprost uwierzyć. Ojciec mówił tak, jakby nie chodziło o nic wielkiego. Tymczasem chodziło o w s z y s t k o.

- Nie wiem dokładnie, jak bardzo jest źle. Ale zostało nam niewiele pieniędzy.

- I co zrobisz?

Popatrzył na nią, jakby była obcą osobą, która ku jego zdziwieniu w ogóle nie rozumiała, o czym mówił.

- Nic - odpowiedział. - Nie zrobię nic. Nie mogę nic zrobić.

Minał ją i ciężkim krokiem wyszedł z pomieszczenia. Popatrzyła za nim nierozumiejącym wzrokiem, po czym opadła na fotel. Poinformował ją o poważnych trudnościach, jakie przeżywa Westhill, tak mimochodem i obojętnie, jakby powiedział tylko, że w święta będzie pewnie padał deszcz. Wyglądało na to, że nie obchodzi go, co będzie z nimi wszystkimi, lecz Frances miała ponure przeczucie, że nie można tego zmienić.

Charles wcale nie popadł w chwilową rezygnację, która sama zniknie, gdy ból stopniowo zelżeje. Charles nigdy nie zazna ukojenia, już nigdy nie nabierze nowych sił. W tych minutach, siedząc w tym cichym pokoju przed kominkiem, Frances uzmysławiała sobie z trudem gorzką prawdę: jej ojciec w ogóle nie ma sił, do których mógłby się kiedyś odwołać. Nigdy ich nie miał. Był słabym człowiekiem, a tę niewielką odrobinę, którą obdarzyła go natura, zużył wtedy, gdy zerwał ze swoją rodziną, żeby ożenić się z Maureen. A dokonał tego zresztą tylko dlatego, że piękna uparta irlandzka dziewczyna, której nic i nikt nie był w stanie pokonać, dawała mu większe oparcie niż jego rodzina.

Charles potrzebował człowieka, który wziąłby go za rękę i prowadził. Jeśli ktoś naruszał jego z trudem wywalczoną równowagę, jak uczynili to George i Frances, wycofywał się i robił wszystko, żeby nie zdarzyło się to po raz drugi. Mówił prawdę, kiedy stwierdził, że Maureen była jego życiem. Żył tylko dzięki niej.

Teraz, kiedy umarła, nic z niego nie pozostało.

## *Lipiec 1919 roku*

Różowe i żółte róże pięły się po kamiennych ścianach małego domku. Między nie wciskał się groszek pachnący, w słońcu błyszczała szafirowa ostróżka. Tu i ówdzie w wysokiej pierzastej trawie ogrodu zabłąkał się pojedynczy jasnoczerwony mak polny. Na sękatej pochyłej jabłoni, rozrośniętej rozłożyście pośród wiatrów wiejących od morza i częstych sztormów, którym musiała stawić czoła, czerwieniły się jabłka. Po otaczającym parcelę murze stapał czarno-biały kot. Poniżej skał, które przylegały do terenu z drugiej strony ogrodu, morze połyskiwało jasnym turkusowym błękitem, przetykanym białymi cętkami spienionych grzbietów fal. Zatoka Staintondale błyszczała tego dnia w jasnych promieniach słońca. Rozległy płaskowyż między Scarborough a North York Moors, zazwyczaj ponury z racji swej nieurodzajności i odludnego położenia, wydawał się dzisiaj, pod bezchmurnym niebem, przyjemny i kwitnący.

Trudno powiedzieć, ile lat mógł mieć mężczyzna, który wyszedł z budynku i zmrurył oczy oślepiiony słońcem. Włosy miał siwe, trochę za długie i dosyć zmierzwiłe. Jego twarz zakrywała również siwa broda. Opalona skóra była jednak gładka, tylko wokół oczu utworzyło się kilka zmarszczek. Musiał się schylić, żeby przejść przez drzwi. Był wysoki, niezgarbiony jeszcze, jak bywają często starzy mężczyźni.

Patrzył na zbliżające się dwie kobiety, które szły dróżką ogrodową porośniętą po bokach niezapominajkami. Niosły do spółki kosz. Mężczyzna nie uśmiechał się, ale nie spoglądał też niezyczliwie. Przypuszczalnie goście nie cieszyli go ani nie złościли.

Za mężczyzną pojawił się pies. On bez wątpienia był już dosyć stary, miał jasnoszary nos, a zasnuite niebieskawobiałym cieniem źrenice w oczach zdradzały, że prawie już nic nie widzi. Wiedział jednak, kto nadchodzi, gdyż z godnością i majestatycznie merdał ogonem.

- Dzień dobry, George - powiedziała Frances. Była ubrana w jasną letnią sukienkę i miała na głowie słomkowy kapelusz. Sukienka była zadrukowana niebieskimi kwiatami, które dodawały jej oczom trochę ciepła i barwy. - Jesteśmy dzisiaj później, niż sądziłyśmy, przepraszam. Złapałyśmy gumę, zaraz za Scarborough. Na szczęście przejeżdżali tamtędy dwaj młodzieńcy, którzy nam pomogli.

- I tak zapomniałem o czasie - odparł George. Wziął od nich kosz i postawił obok siebie na ziemi. - Ten kosz staje się coraz cięższy - stwierdził.

Alice odgarnęła z czoła zlepione potem włosy.

- O Boże, ale dzisiaj gorąco! Nawet tu na górze, u ciebie, nie ma żadnego ruchu

powietrza. Masz dla nas coś do picia?

- Zaczekajcie - powiedział George i zniknął wewnątrz budynku.

Alice usiadła na trawie, opierając się plecami o pień jabłoni. Wyglądała na zmęczoną i bladą. Na jej twarzy błyszczał pot.

- Myślałam, że już nigdy nie zjedziemy z tej wiejskiej drogi - mruknęła.

Frances patrzyła na Alice z mieszaniną rozdrażnienia i współczucia. Alice często narzekała. Było jej za gorąco albo za zimno, zbyt wietrznie albo zbyt duszno, za ciemno albo za jasno. Wciąż też cierpiała na jakieś tajemnicze choroby, których ani ona, ani nikt inny nie potrafił właściwie rozpoznać. Często skarżyła się na bóle brzucha, potem znowu było kłucie serca albo migrena. Ilekroć Frances przychodziło na myśl, że to ta sama krzepka, energiczna kobieta, którą poznała przed dziewięciu laty, nie mogła wręcz tego pojąć. Wiedziała, że pobyty w więzieniu uczyniły z Alice osobę chorą. Reszty dopełnił rozpad ruchu feministycznego, Alice musiała być świadkiem, jak idea, doścignięta przez współczesne wydarzenia, nagle zniknęła z centrum uwagi.

Przyznanie kobietom prawa wyborczego po zakończeniu wojny nie mogło jej już ucieszyć: zbyt wiele w jej sercu zebrało się goryczy. Ograniczenie dopuszczające kobiety do urn wyborczych dopiero od trzydziestego roku życia powinno było popchnąć ją na barykady, tymczasem Alice przyjęła je ze znużoną rezygnacją.

Po prostu nie służy jej to, że nie mieszka już w Londynie, pomyślała Frances, jest londynką duszą i ciałem. Życie tu, na północy, wzmaga tylko jej depresję.

Od półtora roku każda niedziela przebiegała według tego samego planu: Frances wsiadała do samochodu, przejeżdżała przez całe hrabstwo aż do Scarborough na wschodnim wybrzeżu i zabierała Alice, która mieszkała tam w nędznym hoteliku i zawsze czekała gotowa do drogi w jednej ze swych niemodnych już sukienek do kostek, blada na twarzy, z cisnącymi się zawsze na wargi skargami na wszelkie przeciwności, z którymi musiała tutaj walczyć: przede wszystkim narzekała na swoje zdrowie, ale także na ludzi w hotelu, ciekawskich i wrogo nastawionych, oraz na ciągły brak pieniędzy... A poza tym łóżko było za twarde, nikt nie potrafił upiec porządnego chleba, a miejscowy dialekt to była wprost bezczelność.

Czasami Frances powstrzymywała się tylko siłą, żeby jej nie zbesztać i kazać jej c h o ć r a z zamknąć się lub opowiedzieć coś p r z y j e m n e g o. Potem jednak uznawała, że nie ma się czemu dziwić: wiodąc takie życie jak Alice, każdy by zwariował. Siedziała w tym okropnym hotelu w nadmorskim mieście, którego nie lubiła, w regionie, z którym nie była w ogóle związana, a w dodatku nienawidziła miejscowego klimatu. Od rana do wieczora nie miała nic do roboty. Wydawała resztę swojej części spadku na pokój

hotelowy i skąpy posiłek raz dziennie. Z nikim nie nawiązała kontaktu. Na swój rygorystyczny, niezobowiązujący sposób gardziła każdą kobietą, która nie brała udziału w „walce”, a w Scarborough nie można było uświadczyc żadnej kombatantki. Czytała stopy książek, które wypożyczała z biblioteki. W hotelu często brakowało prądu, a wówczas Alice siedziała w długie ciemne zimowe wieczory przy świecy i przemęczała sobie oczy. Latem życie było prostsze, ale nie działo się więcej.

Kobieta, która uwielbiała dyskusje, która była namiętną, bezkompromisową bojowniczką, teraz całymi dniami nie odzywała się do nikogo słowem i wiodła egzystencję w najmniejszym stopniu nieodpowiadającą jej naturze.

A wszystko to od stycznia 1918 roku, gdy George wycofał się na zupełne odludzie, do Staintondale u stóp North York Moors.

George wyszedł z powrotem przed dom, w każdej ręce trzymał kubek z wodą. Jeden podał Frances, drugi Alice.

- Proszę. Naturalnie możecie dostać więcej.

Obie kobiety ugasiły pragnienie.

- W taką pogodę jest tu naprawdę pięknie - rzekła Frances. Popatrzyła na morze. Z góry wydawało się spokojne i gładkie, lecz wiedziała, że wcina się ostro w strome wybrzeże.

- Zawsze gdy jestem tutaj, wspominam nasze wakacje w Scarborough. Pamiętasz jeszcze?

- Tak - odpowiedział George, ani uszczęśliwiony, ani zasmucony. Od tamtego wojennego lata 1916 roku jego stan poprawił się o tyle, że mógł przynajmniej prowadzić rozmowy. Był wprawdzie lakoniczny i sam nigdy nie występował z inicjatywą, ale odpowiadał, kiedy go pytano, i nie pogrążał się już w bezbrzeżnym milczeniu, które z początku niweczyło każdą próbę zbliżenia się do niego.

Pozostała jednak obojętność. W pancerzu, który izolował go od świata, pojawiły się wprawdzie rysy, ale się nie rozbił. Jediną istotą, która wzbudzała w nim prawdziwe wzruszenia i uczucia, była stara suka Molly. Przyglądając mu się, jak ją głaszcze i przemawia do niej cicho, można było odnaleźć coś z dawnej siły i tkliwości, które leżały kiedyś w charakterze tego młodego człowieka. Albowiem w dalszym ciągu był młodym człowiekiem. Nie miał nawet trzydziestu lat.

- Nawiasem mówiąc, wygląda na to, że ojciec wreszcie czuje się lepiej - ciągnęła Frances. - Odzyskał wewnętrzną równowagę. Ładna pogoda dobrze mu robi.

- Miło to słyszeć - odparł uprzejmie George. - Chcesz jeszcze wody?

- Dziękuję. Teraz już nie. - Zauważyła, że jego wzrok spoczął na jej spalonych



słońcem, szorstkich, popękanych dłoniach, i zarumieniła się. - Kiedyś miałam ładniejsze ręce, wiem o tym. Ale tyle jest pracy... Gdybym sama nie wzięła się do roboty, nie moglibyśmy utrzymać farmy.

- Och... w ogóle nie patrzyłem na twoje ręce - rzekł George. - O czym właśnie mówiłaś?

- O niczym. Już dobrze.

- Jak tam twoje obrazy, George? - odezwała się Alice.

George wzruszył ramionami.

- Słońce jest teraz w ciągu dnia zbyt ostre. Niekorzystne.

- Ale malujesz nadal?

- Tak.

- Sprzedałeś coś ostatnimi czasy? - spytała Frances.

George pokręcił głową.

- Od dawna już nic.

Dla niego nie miało to jednak chyba znaczenia. Frances wiedziała, że wcale się nie starał sprzedawać swoich obrazów czy w ogóle zainteresować nimi kogokolwiek.

Mimo to czasem jeden czy drugi interesant znajdował drogę do domku na odludziu, na tym nagim, rozległym nadmorskim płaskowyżu. W wioskach na wschodnim wybrzeżu rozeszła się fama, że mieszka tam pustelnik, który maluje obrazy.

„Ma trochę pomieszane w głowie”, mówili ludzie, kiedy opowiadali o nim, i znacząco pukali się przy tym w czoło, „ale jest nieszkodliwy. Biedak, wojna go wykończyła. Teraz gada tylko ze swoim psem i maluje dziwaczne obrazy”.

Frances obiły się o uszy dwa, trzy zdania tego rodzaju i za każdym razem miała wrażenie, że serce jej się kraje. To przecież jej brat George, o nim tak mówili, George, który pocieszał swoje siostry, gdy płakały, który naprawiał im lalki i chodził z nimi na festyny i bale. George, który ukończył Eton ze znakomitym wynikiem.

A teraz... Młody mężczyzna patrzył na nią starymi oczami. Ilekroć napotykała jego spojrzenie, uświadamiała sobie, że życie nie dotrzymało żadnej ze swych obietnic. A może w ogóle niczego nie obiecywało. Może tylko Frances, sądząc po beztrósce, w jakiej rodzina żyła przez wiele lat, wyciągnęła wniosek, że zawsze musi być takie i toczyć się w harmonijny, niezmienny sposób. Dzisiaj wiedziała, że to, co uważała za bezpieczeństwo, nigdy nim nie było. Bezpieczeństwo w ogóle nie istniało, to takie proste. Wszystko mogło się zawalić, również to, co wydawało się niewzruszone jak skała. Wtedy pozostawała tylko walka o przeżycie, własne i tych, którzy sami nie dawali już rady.

- George, w koszu jest dużo żywności - powiedziała - która nie powinna stać na słońcu. Zanieś to do swojej spiżarni.

Posłusznie wziął kosz do ręki, a wtedy i Alice ruszyła się wreszcie.

- Pomogę ci wszystko ułożyć.

Posłała Frances spojrzenie, które mówiło, że chce być przez chwilę z George'em sam na sam.

Kiedy oboje zniknęli wewnątrz domku, Frances postanowiła przejść się po ogrodzie. Przypomniał jej ogród w Westhill - taki, jaki był za życia Maureen. Teraz dziczał w szybkim tempie, bo nikt nie miał czasu troszczyć się o niego jak trzeba. O ten ogród dbano jednak pieczołowicie i wkładano w to wiele serca. Jak wiele kwiatów posadził George! Kwitły wszędzie jeden na drugim, dzikie i kolorowe. Pszczoły brzęczały wśród gałęzi drzew owocowych. Kot, który poprzednio szedł po murze, zwinął się w kłębek na drewnianej ławce, otworzył sennie jedno oko, kiedy podeszła Frances, po czym zamknął je z powrotem. Frances przypomniała sobie, że należał do kogoś z wioski i przychodził tu codziennie. Zwierzęta kochały George'a i chętnie przebywały w jego pobliżu. Także on zdecydowanie wołał je od ludzi. W ich obecności wydawał się na jakiś czas zapominać o tym, co zwykle nieustannie prześladowało go i dręczyło.

Przynajmniej dobry znak, że stworzył sobie tutaj mały raj, pomyślała Frances. Wspomnienie kwiatów i drzew w jego ogrodzie było dla niej zawsze pocieszające, kiedy stała do głębi przerażona przed kolejnym obrazem, który namalował.

Malować zaczął zaraz po powrocie z Francji, a Frances utwierdzała go w tym i zachęcała, kupiła mu sztalugi, farby i płótno. Skoro malowanie przynosiło George'owi ulgę, powinien to, w imię Boże, robić jak najczęściej. Wszystkie jego obrazy były do siebie podobne: ponure kolory, wykrzywione grymasem twarze, ziejące ogniem potwory, które wydawały się pochodzić prosto z piekła. Z obrazów biła nienawiść i przemoc oraz wszechobecność straszliwej śmierci.

Frances ledwo mogła znieść myśl o tym, jak musi wyglądać dusza jej brata, skoro malował takie obrazy. W jakimś sensie ciągle miała nadzieję, że pewnego dnia namaluje kwiat albo ptaka, albo twarz dziecka, któremu świat nie zadał jeszcze cierpienia. Niezrażona zaopatrywała go więc nadal w farby i płótno. Poza tym kupowała dla niego i Molly żywność, którą przywoziła co niedzielę w koszyku. I potajemnie płaciła dwie trzecie czynszu za domek; umówiła się z właścicielem, że George nie będzie o tym wiedział. Będąc coraz bardziej oderwany od życia, w ogóle nie zwrócił uwagi na to, że koszty wynajmu nie mogą być tak niskie, aby był w stanie pokrywać je ze swojej renty wojennej.

Frances znacznie bardziej odpowiadałoby, gdyby został w Westhill, w jej pobliżu, pod jej nadzorem, ale George za nic w świecie nie chciał tam usiedzieć, i w końcu musiała ustąpić. Zbolała ją to tak, jakby wyrzekło się jej własne dziecko.

Odwróciła się, gdy usłyszała głosy. Popatrzyła w stronę domu. Słońce przesunęło się już dalej na zachód, więc Frances musiała zmrużyć oczy i osłonić je dłonią, żeby coś zobaczyć. Alice wyszła przed dom, za nią George. Frances pomyślała w pierwszej chwili, że Alice z nim rozmawia, lecz teraz zauważyła, że właśnie ją woła.

- Frances! Frances, idziesz?

Podeszła do obojga. Alice miała pionową zmarszczkę na czole i taką minę, jakby bolała ją głowa.

- Powinnyśmy się zbierać. Masz jeszcze kawał drogi przed sobą.

Frances skinęła głową. Delikatnie dotknęła ramienia George'a.

- Nie masz nic przeciwko temu, jeśli już sobie pójdziemy? Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś porozmawiać?

Z góry wiedziała, co odpowie.

- Nie, nie, dziękuję bardzo - odparł grzecznie George. - Nie mam nic przeciwko temu, że sobie pójdziecie.

Frances zastanawiała się czasem, czy tak naprawdę by zauważył, gdyby w ogóle nie przyszedł. Nie miałby wtedy chyba nic do jedzenia ani farb do malowania. Może po prostu usiadłby w kącie i powoli kurczył się coraz bardziej, a pewnego dnia zniknąłby zupełnie.

- Zobaczymy się w przyszłą niedzielę - powiedziała.

- Tak. W przyszłą niedzielę - odparł.

Kobiety wyszły z ogrodu. Przy bramie Frances odwróciła się jeszcze raz, ale George zniknął już z powrotem wewnątrz budynku. Opuszczony, zaczarowany, kwitnący ogród prażył się w popołudniowym słońcu.

Kiedy siedziały w aucie, jadąc wiejską drogą, Alice powiedziała nagle:

- Wracam do Londynu.

Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że podjęła nieodwołalną decyzję.

Frances spojrzała na nią z boku zaskoczona.

- Na pewno?

- Właśnie odbyłam jeszcze jedną rozmowę z George'em - odparła Alice. - To nie ma sensu. Jestem dla niego obcą osobą. Nie pamięta, albo nie chce pamiętać niczego, co było

wcześniej. Nie wierzę, żeby coś się mogło zmienić.

Frances też nie wierzyła.

- On żyje w swoim własnym świecie, który pomaga mu uciekać od wspomnień.

- Czasami zadaję sobie pytanie, czy miałabym szansę, gdybyś wtedy z nim nie uciekła.

Szansę dotarcia do niego.

- Alice...

Zaczynanie po raz setny tego samego sporu zupełnie nie miało sensu. Alice kłóciła się, płakała i krzyczała. To, że w pewnym momencie zrezygnowała z walki, należało przypisać jej osłabieniu i depresji, w jakiej żyła od lat. Frances wiedziała, że dawna Alice wydrapałaby jej oczy i poruszyła niebo i ziemię, żeby ściągnąć George'a z powrotem do Londynu. Obecna Alice przeprowadziła się do północnej Anglii, pragnąc być blisko niego, i zawarła układ ze swoją przeciwniczką, żeby złapać jeszcze choć odrobinę tego, co dawno straciła: bliskość i sympatię George'a.

Również teraz poprzestała na krótkiej uwadze, unikając dalszych zarzutów i oskarżeń.

- Wyjadę najszybciej, jak to będzie możliwe - powiedziała.

- Znów będziesz musiała poszukać sobie mieszkania.

- Na pewno coś znajdę. Na początek będę mogła zamieszkać u Hugh Selleya i wtedy się rozejrzę.

Hugh Selley, dozorca.

- Nie robiłabym tego na twoim miejscu - ostrzegła Frances - bo natychmiast to wykorzysta. Nie sądz, że kiedykolwiek zrezygnuje.

Dotarli do małego hotelu na górnym końcu nadmorskiej promenady w Scarborough. Brudne okna, spłowiałe firanki, odpadający jasnoniebieski tynk. Przed wejściem stało kilka niewiast, które gawędziły, lecz teraz przerwały rozmowę i gapiły się z nieukrywaną ciekawością na automobil i siedzące w nim kobiety.

- No to... - rzekła Alice i chciała otworzyć drzwi.

Frances przytrzymała ją za ramię.

- Spróbuj znowu uwierzyć w siebie trochę bardziej - poprosiła. - Zawsze byłaś taka silna. Nie potrzebowałaś nikogo. Przez wiele lat także George'a.

Alice uśmiechnęła się.

- Dobrze wiem, Frances, co myślisz. Że teraz spotyka mnie sprawiedliwa kara. Kiedy George walczył o mnie, miałam w głowie sto innych rzeczy, które były dla mnie ważniejsze. A teraz, kiedy jestem u kresu i czuję się opuszczona, kiedy go potrzebuję, jego dla mnie już nie ma. Gdyby odwrócił się ode mnie ze złości lub z powodu urażonej dumy, mogłabym go

odzyskać. Mogłabym mu wszystko wyjaśnić. Ale on jest chory. Choćbym robiła nie wiem co, już nigdy nie dotarłabym do niego. Los potrafi być bardzo perfidny, nie uważasz? Ma w zanadrzu takie wolty, z którymi nigdy się nie liczymy.

- Owszem - przyznała cicho Frances. - Czasem wszystko rzeczywiście wydaje się absurdalne.

Obie milczały przez chwilę. Kobiety przed hotelem gapiły się na nie w dalszym ciągu.

- Kiedy w przyszłą niedzielę pojedziesz znowu do George'a, pozdrów go ode mnie - poprosiła Alice i wysiadła.

- Zrobię to. I jeszcze jedno, Alice: nie sprzedaj się za tanio. Nie zawsze będziesz się czuć taka słaba i samotna, staniesz znowu na nogi. O własnych siłach. Nie trzymaj się niewłaściwego człowieka.

Alice skinęła głową. Frances patrzyła za nią, widząc, jak zbliża się do wejścia. Sprawiała wrażenie przygnębionej i zrezygnowanej.

Frances ruszyła z miejsca i tylko z trudem oparła się pokusie, żeby pokazać język gapiącym się kobietom.

Głos siostry słyszała już od drzwi. Brzmiał żałośnie i płaczkliwie jak zawsze. Od jakiegoś czasu wkradał się weń piskliwy ton, którego dawniej nie było, a który zdradzał przeczerzenie nerwowe i chroniczne niezadowolenie.

- Traktuje mnie gorzej niż psa. Nigdy nie powie życzliwego słowa. Nigdy nie wykona czulego gestu. I tak okropnie szybko wpada we wściekłość. Czasami naprawdę się go boję.

- Ale chyba nie posuwa się do rękoczynów?

To był głos Charlesa. Zmęczony jak zwykle. Ale także zatroskany. Victoria była jedyną osobą, która nadal potrafiła wzbudzić w nim najsilniejsze emocje.

- Nie, do rękoczynów się nie posuwa - odparła Victoria i po chwili milczenia dodała znacząco: - Na razie nie!

Frances, jeszcze w hallu, skrzywiła pogardliwie usta. To ciągle histeryzowanie jej siostry! W minionych latach zrobiła się z niej kobieta szukająca bez przerwy u innych współczucia. Jej problemy małżeńskie świetnie nadawały się do tego, by wszyscy jej żalowali, a zdaniem Frances Victoria przesadnie je wyolbrzymiała.

Jakby John kiedykolwiek mógł się zapomnieć do tego stopnia, żeby ją uderzyć! Działała mu na nerwy, to wszystko, a przybrał gburowaty ton, żeby trzymać ją na dystans. Co nic zresztą nie dawało. Im bardziej ją odpychał, tym uporczywiej biegła za nim i płakała bez przerwy.

- No tak, dziecino, jak mam ci pomóc? - dał się słyszeć znowu głos Charlesa, ale przebijający w nim ton troski i zmartwienia sprawił, że Frances poczuła wzbierającą wściekłość.

Dwa i pół roku po śmierci Maureen, Charles odzyskał wprawdzie w pewnej mierze wewnętrzną równowagę, lecz naturalnie nie był już tym samym człowiekiem co dawniej i nie mógł się pozbierać. Czy Victoria dodatkowo musiała mu zatruwać życie tym swoim lamentowaniem? Po prostu nie umiała sobie radzić sama ze swoimi kłopotami, a ojciec, taki jak obecnie, słaby i niezdolny do najłagodniejszej choćby krytyki pod jej adresem, nadawał się wyjątkowo dobrze do wysłuchiwania tych skarg. Potrafiła robić to godzinami, a on nawet się nie zniecierpliwiał. Jego Vicky, jego ulubienica!

Frances, która - zupełnie zdana na siebie - próbowała rozruszać farmę i z żelazną konsekwencją trzymała z dala od Charlesa każdy problem, czasami najchętniej chwyciłaby Victorię za ramiona i sprąła ją po twarzy. Ona miała na głowie znacznie większe troski. Victoria nie wyobrażała sobie nawet, jak często w ostatnich miesiącach Westhill stało na skraju bankructwa.

Gdyby miała takie trudności jak ja, ta mała głupiutka gęś dawno by się załamała, pomyślała surowo Frances.

- Ach, ojczy, najgorsze jest to, że n i k t nie może mi pomóc - mówiła Victoria. - John tak okropnie się zmienił, odkąd wrócił z wojny. Nie poznaję go.

- Podobny los spotkał wielu mężczyzn. Pomyśl tylko o George'u!

- Ale George przynajmniej nie jest agresywny. Odsunął się od wszystkich spraw, ale nigdy nie mówi nic złego.

Ach, i uważasz, że to jest lepsze? - szydziła w duchu Frances. Chciałabym wiedzieć, jak byś się denerwowała, gdyby to John siedział w jakiejś chacie i malował, i nie troszczył się już o ciebie. Lamentowałabyś jeszcze bardziej niż teraz!

- Może on po prostu potrzebuje czasu - podsunął Charles.

- Ile jeszcze? - spytała impulsywnie Victoria. - Niedługo minie rok, odkąd wojna się skończyła. Wrócił do domu jako zwycięzca. Co mu przeszkadza podjąć dawny tryb życia? Mógłby przecież wrócić do polityki. Ale nie, tego też nie chce. Jest tak cholernie...

- Vicky! - napomniął ją łagodnie Charles.

- Wiesz, ojczy, co czasami myślę? Myślę, że Johnowi w jakiś absurdalny sposób brakuje wojny. Wydaje się, jakby jeszcze raz za wszelką cenę chciał się tam wykazać. Jest taki niespokojny. Nie może odnaleźć pokoju w samym sobie, mimo że pokój zawarto już dawno.

Frances, która podkraǳła się na palcach korytarzem i podeszła do drzwi, żeby lepiej słyszeć, uznała to za zadziwiająco trafny opis stanu Johna - zadziwiający dlatego, że słowa te padły z ust Victorii, a ta zazwyczaj niewiele rozumiała z tego, co dzieje się w umysłach innych ludzi.

- Gdyby stracił na wojnie nogę albo rękę - ciągnęła Victoria - to mogłabym zrozumieć, że buntuje się przeciwko całemu światu. A tak... mogłoby nam być dobrze ze sobą!

- Kiedyś był naprawdę miłym chłopcem - rzekł Charles.

Głos Victorii stał się jeszcze odrobinę bardziej piskliwy.

- Był! Był! Czasami myślę, że życie składa się tylko z samych „kiedyś”. Kiedyś wszystko było dobre. Przed wojną. Kiedy mama jeszcze żyła. Kiedy byliśmy razem, kiedy wszędzie panowały spokój i beztroska!

Nie potrafi wziąć się w garść, pomyślała poirytowana Frances. Czy ona nie widzi, że rozgrzebuje też j e g o rany?

- Dobrze to pamiętam - zauważył ze smutkiem Charles.

- John był najczulszym, najtroskliwszym mężem, jakiego można sobie życzyć. Życie z nim było takie cudowne. Nigdy nie zapomnę naszego ślubu. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Miałam tyle marzeń...

Jej głos zafalował niebezpiecznie. Frances wyobraziła sobie bezradną minę ojca. Co zrobić z córką, która ciągle płacze? Z pewnością krajało mu się serce. Jego mała Victoria, jego ulubienica...

- Chciałam mieć dzieci. Prawdziwą rodzinę. Tak bardzo pragnęłam. - Rozpłakała się już na dobre. - Oddałabym wszystko, ojcze, gdybym mogła mieć dziecko!

- Jesteś jeszcze młoda - rzekł z zakłopotaniem Charles. W jego rozumieniu nie był to temat do rozmowy między ojcem a córką. - Masz czas. Pewnego dnia będziesz miała dziecko.

- Jak? - Zabrzmiało to ostro, niemal histerycznie. - Jak mam mieć dziecko, skoro John... odkąd wrócił z Francji, ani... ani razu ze mną... w ogóle mnie już nie dotyka!

Frances usłyszała, jak Charles wstaje i zaczyna chodzić po pokoju.

- Dobry Boże, Vicky! To nie są rzeczy... O tym nie ze mną powinnaś rozmawiać. O tym musisz porozmawiać ze swoim mężem.

- Próbowалаm przecież. Prawie codziennie. Ale tylko się wykręcał. Od jakiegoś czasu bardzo się złości, kiedy poruszam ten temat. Mówi, żebym dała mu spokój.

- Gdyby żyła jeszcze twoja matka... na pewno mogłaby ci coś poradzić.

- Po prostu nie wiem, co robić. On mnie już nie kocha. Czuję to. Wszystko, co kiedykolwiek do mnie czuł, wypaliło się.

- Może powinnaś porozmawiać o tym z Frances - zaproponował Charles, najwidoczniej dążąc do tego, by jak najszybciej odsunąć od siebie ten temat. - Jako kobieta na pewno...

Victoria zaśmiała się szyderczo. Jej lzy natychmiast wyschły.

- Jako kobieta! Ojczy, o czym ty mówisz? Akurat Frances nie ma o tych sprawach żadnego pojęcia. Kim ona jest? Starą panną bez najmniejszego doświadczenia!

- Nie powinnaś mówić o własnej siostrze z takim lekceważeniem!

- A jak mam o niej mówić? Proszę, nie wymagaj ode mnie, żebym miała dla niej miłe słowa. Czasem mam wrażenie, że jako jedyna z nas wcale nie uważa za złe tego wszystkiego, co się stało.

- Victorio, naprawdę się rozgniewam, jeśli dalej tak będziesz mówić o Frances - rzekł Charles. Faktycznie wydawał się wzburzony.

- Czy nie widzisz, że zagarnęła tutaj całą władzę - broniła swego twierdzenia Victoria.

- Udaje ważną, jakby to ona tutaj rządziła. Gdyby mama nie umarła, gdyby George... nie stał się taki dziwny, nigdy by się jej to nie udało. Przecież to ona decyduje o wszystkim, co się tutaj dzieje. To ona samowolnie obniżyła dzierżawę, żeby chłopci zostali. Prawie o połowę! Nie rozumiem, dlaczego patrzysz na to przez palce!

- Z tej przyczyny, którą przed chwilą sama wymieniłaś: żeby chłopci i robotnicy tu zostali. W przeciwnym razie nie moglibyśmy prowadzić farmy.

- Ona kupuje owce, woły, konie. Jeździ na targi i targuje się z handlarzami, jakby była chłopką. To wprost zawstydzające. W dodatku nauczyła się prowadzić samochód i teraz telepie się po okolicy, powinna czasem pomyśleć o tym, z jakiej rodziny pochodzi! Przecież ona swoim zachowaniem kompromituje nas wszystkich!

Stary skórzany fotel pod kominkiem zaskrzypiał. Widocznie Charles usiadł z powrotem.

- Już dawno musiałbym sprzedać Westhill, gdyby Frances nie pracowała tak ciężko. Sam nie dałbym rady. Ona zapewnia mi spokojną starość w domu, w którym byłem szczęśliwy z Maureen. I za to muszę jej być wdzięczny.

I za to muszę jej być wdzięczny... Frances za drzwiami zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w ciało. Że też jego chłód nadal dopiekał jej do żywego! Ojciec wciąż jeszcze jej nie wybaczył, ani na chwilę nie skrócił dystansu, jaki stworzył między nimi. Okazywał jej uprzejme uznanie, ale niczego więcej nie mogła się od niego spodziewać.

- W każdym razie wygląda już okropnie - wyrzuciła z siebie Victoria, nie mogąc się powstrzymać. - Widziałeś kiedyś jej dłonie? Szorstkie i popękane, jakby była robotnikiem



rolnym. Włosy ma bez połysku, a skórę spaloną słońcem. Poza tym strasznie wychudła na twarzy i przez to wydaje się starsza, niż jest.

- Zostaw ją w spokoju. Ona żyje swoim życiem, a ty swoim. Skoro tak jej nie lubisz, to powinnaś schodzić jej z drogi.

- I tak będę robić, ojczu. Muszę wracać do domu. Wkrótce kolacja. Prawdopodobnie i tak znowu będę siedzieć sama tylko z teściową, ale... - Victoria nie dokończyła zdania.

Kroki zbliżały się do drzwi. Frances błyskawicznie znalazła się przy schodach i pomknęła na górę. Stare deski naturalnie trzeszczały.

- Halo? - zapytała Victoria. - Jest tam ktoś? Adeline?

Frances wychyliła się za balustradę.

- Nie. To ja.

Rozkoszowała się przez chwilę wyrazem przerażenia, jakie odmalowało się na twarzy siostry, postanowiła jednak nie dać poznać po sobie, że usłyszała o wiele za dużo.

- Właśnie wróciłam od George'a.

Jej głos brzmiał tak naturalnie, że Victoria się odprężyła.

- Och, naprawdę? Jak on się miewa?

- Stosownie do okoliczności całkiem dobrze. Dzień dobry, ojczu!

- Dzień dobry!

Charles wyszedł za Victorią na korytarz. Ojciec i córka stali tuż obok siebie i patrzyli w górę na Frances. Poczuli ukłucie zazdrości, widząc znowu, jak śliczna jest Victoria. Zgodnie z najnowszą modą nosiła teraz włosy krótko obcięte, co bardzo ją odmładzało. Sukienka z jasnozielonego muślinu sięgała tuż poniżej kolan, miała głębokie wycięcie, a w talii ściągnięta była związaną z boku szarfą w zielono-białe paski. Na nogach miała eleganckie białe pantofle. Wydawała się bardzo delikatna i krucha. Razem z wytwornym Charlesem o srebrzystoszarych włosach i w pierwszorzędnym skrojonym garniturze stanowili piękny obraz.

Rzeczywiście muszę przy nich wyglądać jak nastroszony kot, pomyślała Frances.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała Victoria. - Frances, odwiedź nas kiedyś w Daleview!

Jej słowa brzmiały uprzejmie, ale na pewno nie tak, jakby naprawdę była zainteresowana tą wizytą.

- W porządku - odparła Frances równie niezobowiązująco. Odwróciła się do Charlesa.

- Ojczu, nie czekaj na mnie z kolacją. Muszę jeszcze raz wyjechać.

- A dokąd to? - zapytała Victoria.

- Mamy nowego dzierżawcę. Muszę z nim omówić parę spraw.

Victoria już tego nie skomentowała. Odprowadzana przez ojca, wyszła z domu. Frances pobiegła na górę do swego pokoju, żeby się przebrać. Straciła już zbyt wiele czasu, musiała się pośpieszyć.

W pół godziny później zaparkowała auto obok małego kamiennego domu. Budynek stał na płaskowyżu, który przylegał do lasu za dworem w Daleview, i również należał do majątku. Dom był stary; przy bliższych oględzinach dało się zauważyć, że spomiędzy kamieni wszędzie powypadała glina, a zamiast niej pieniły się w szczelinach mech i porosty. W dachu brakowało kilku gontów. Dom miał pewnie blisko sto pięćdziesiąt lat i musiał nazbyt długo stawiać czoła ostrym wiatrom, które hulały po płaskowyżu zwłaszcza wiosną i jesienią. Klimat był tutaj surowy i niegościnnie, nic więc dziwnego, że już od dawna nikt nie chciał w domku mieszkać.

Frances wysiadła. Panujący tego dnia upał sprawił, że również w tym miejscu zamarł wszelki ruch powietrza. Nie poruszyło się nawet jedno źdźbło trawy. Przygniatająca duchota zawisała nad górami. Frances poczuła się jednak jakby gorzej, choć zbliżał się wieczór, który powinien przynieść ochłodzenie. Wydawało jej się, że nie zdoła podnieść ręki, nie oblewając się potem.

Drzwi domku otworzyły się.

- Podejrzewam, że będziemy mieć burzę - rzekł John i wyszedł na zewnątrz.

Uśmiechnęła się do niego. Włożyła ładną sukienkę, uczesała włosy, zastanawiając się przy tym po raz setny, czy ich nie obciąć.

Może dzięki temu będę wyglądać młodziej, pomyślała, kiedy z z troskaniem przyglądała się swojej twarzy w lustrze.

„Szcupła twarz sprawia, że wydaje się starsza, niż jest” - powiedziała Victoria. Możliwe, że ma rację, ale - do diabła z nią! Zbyt wiele spraw miała na głowie, żeby zastanawiać się nad tym, co zrobić, żeby jej policzki wydawały się pełniejsze, a nos mniej spiczasty.

Wiedziała jednak, że t e r a z wygląda ładnie. Wiedziała, że John lubi, gdy jest opalona - prawdziwy cud, zważywszy na jej bladą cerę! Że lubi jej szorstkie dłonie i jej niesforne długie włosy.

Nie obetnę ich, zdecydowała, kiedy John przyciągnął ją do siebie, a jego dłonie zanurzyły się w jej włosach. Jego wargi dotknęły jej warg. Ukradzione pocałunki. Ukradzione godziny. A mimo to świat dookoła zmieniał swoje oblicze.

Złociste dni. Powróciło trochę z ich blasku.

## *Piątek, 27 grudnia 1996 roku*

Barbarę bolały oczy. Od ilu godzin siedziała już przy kuchennym stole i czytała? Uniósłszy głowę, omal nie krzyknęła z bólu. Ciało jej tak zdętwiało, że czuła ból we wszystkich kręgach od szyi w dół. Przypuszczalnie nie zmieniła pozycji od wielu godzin.

Zegar kuchenny pokazywał piątą. Za oknem było ciemno. Ogień w piecu palił się jedynie słabym płomieniem. W pomieszczeniu zrobiło się dosyć chłodno, poza tym Barbara uświadomiła sobie właśnie, że z głodu jest jej słabo.

Dobra okazja, żeby przerwać czytanie książki, gdyż jak się okazało, sama Frances Gray zdecydowała się na cesurę w tym właśnie miejscu. Włożona w środek kartka wskazywała, że odtąd zaczyna się druga część. Pierwsza część kończyła się zatem bez żadnego komentarza w małej chacie gdzieś na płaskowyżu za Daleview, w parny, burzowy wieczór w lipcu 1919 roku.

Frances i mąż jej siostry podczas jednego ze swych przypuszczalnie regularnych namiętnych spotkań. W tygodniach spędzonych w nadmorskiej miejscinie na północy Francji złamali tabu. John Leigh wrócił z wojny jako obcy mężczyzna. Był przekonany, że okazał się tchórzem, nie potrafił się z tym uporać, zgorzkniał. W odróżnieniu od George'a, który wycofał się na odludzie i wykrzykiwał nędzę swojej duszy w budzących zgrozę obrazach, John Leigh wybrał ucieczkę w chłodną obojętność, dbającą o to, żeby nic nie poruszało go głębiej. Nie interesowała go już własna kariera; pogardliwie odnosił się teraz do wszystkiego, czego chciał i pragnął dawniej, o co przecież walczył. Co taki człowiek miałby robić ze śliczną, pustą lalką, jaką była Victoria? Odrzucił skrupuły moralne, które dawniej powstrzymywały go od oszukiwania żony, a na dodatek ranienia jej bez przerwy swoim odpychającym zachowaniem. Życie pokazało mu swoje złośliwe oblicze; możliwe, że odczuwał satysfakcję, mogąc mu pokazać, że i on potrafi być złośliwy.

A Frances już dawno nauczyła się brać sobie to, co chciała mieć. Między siostrami panowała teraz otwarta wrogość, lecz Frances z całą pewnością nie psuła sobie tego pięknego okresu poczuwaniem się do winy.

Gdyby nie ten cholerny śnieg, pomyślała Barbara, pojechałabym sprawdzić, czy ta stara chata jeszcze stoi.

Wstała, dołożyła drewna do pieca i roznieciła na nowo omdlałe płomienie. Kilka minut posiedziała przed ogniem, grzejąc dłonie. Gdy w końcu wstała, zrobiło jej się ciemno

przed oczami, zawróciło jej się w głowie i musiała się przytrzymać oparcia krzesła. Jej żołądek wypełniał piekący, gorący ból. W ogóle nie wiedziała, że głód może być taki bolesny. W niedalekiej przyszłości jej układowi krążenia nieuchronnie groziła zapaść.

- Nie ma rady - powiedziała cicho do siebie. - Jedno z nas musi jutro wyruszyć i postarać się zdobyć coś do jedzenia.

Właśnie zastanawiała się, gdzie może być Ralph - nie pokazywał się przez cały dzień - gdy nagle zadzwonił telefon.

Barbara wzdrygnęła się, jakby usłyszała strzał z pistoletu, i przez moment stała w miejscu zupełnie osłupiała, niezdolna do żadnego ruchu. Mimo że byli odcięci od świata zaledwie od kilku dni, wydawało jej się, że minęła cała wieczność, odkąd po raz ostatni mieli styczność z przedmiotami codziennego użytku należącymi do zdobyczy cywilizacji, jak choćby telefon. Za sprawą zimna, głodu i powolnego upływu godzin czas, który naprawdę minął, wydawał się wielokrotnie dłuższy. W jakimś innym życiu istniały telefon, ogrzewanie podłogowe, pizza na telefon i kąpiel z pianą, ale to było dawno temu.

Przenikliwy dźwięk dzwonka odezwał się znowu i Barbara ruszyła wreszcie do aparatu. Świat jeszcze istnieje, pomyślała zelektryzowana, i nie zapomniał o nas!

Kiedy weszła do salonu, zobaczyła, że Ralph był szybszy. Stał przy małym stoliku pod oknem i trzymał słuchawkę przy uchu. Obok siebie postawił lichterz z czterema płonącymi świecami, które oświetlały pokój dostatecznie wyraźnie, żeby można było rozróżnić poszczególne meble. Na ścianach tańczyły groteskowe cienie.

- Na pewno bardzo się już pani martwiła, panno Selley - powiedział właśnie. Mówił po angielsku. - Ale w zasadzie wszystko jest w porządku poza tym, że utknęliśmy tu na dobre, nie mamy prądu, nie mamy ogrzewania, a do niedawna nie działał też telefon. - Słuchał przez chwilę, po czym rzekł uspokajającym tonem: - Nie, naprawdę, proszę się nie denerwować. Dom nie jest...

Znowu mu przerwano. Barbara podeszła bliżej. Nie mogła zrozumieć, co Laura mówi na drugim końcu przewodu, ale słyszała, że mówi szybko i zdenerwowanym głosem.

W końcu Ralph dostrzegł Barbarę, odwrócił się, wskazał wolną ręką słuchawkę i skrzywił się z udręczoną miną. „Laura” - poruszył bezgłośnie wargami. Barbara skinęła głową.

- Nie, z pewnością nie mówię tego tylko po to, żeby panią uspokoić - powiedział - ale jestem absolutnie przekonany, że nic w domu nie jest zepsute. Nie, dach też nie. Nie zeszła przecież na nas żadna lawina. Nie... nie, nie musi się pani tu fatygować. Zresztą nie dotarłaby pani do nas. Nie... tak, naturalnie. W każdej chwili może pani zadzwonić, oczywiście. Na

pewno. Pozdrowienia od mojej żony. Tak. Do widzenia, Lauro!

Odłożył słuchawkę.

- Mój Boże, miałem wrażenie, że jest bliska załamania nerwowego. Ale nie za bardzo interesowało ją, jak sądzę, to, że marzniemy i głodujemy. Wpadła w panikę, bojąc się, że coś może się stać domowi.

- Podejrzewam, że utrzymanie domu kosztuje ją dość dużo - rzekła Barbara. - A to prosta kobieta. Na pewno ma niewielką emeryturę i każdy konieczny remont wpędza ją przypuszczalnie w poważne kłopoty finansowe.

- Prawdopodobnie masz rację - zgodził się Ralph. Dygocząc z zimna, schował głowę w ramiona i sięgnął po świecznik. - Chodźmy do ogrzewanego pomieszczenia. Coraz gorzej znoszę ten ciągły chłód.

W kuchni, w porównaniu z nieogrzewanym prawie od tygodnia salonem, panowało wręcz przyjemne ciepło. Ralph wskazał leżące na stole rozsypane kartki.

- Pewnie nie możesz przestać, prawda? Przez cały dzień żadnego znaku od ciebie, ani widu, ani słyhu!

- Przepraszam! - rzekła Barbara, poczuwając się do winy.

Prawdopodobnie on rąbał drewno, kiedy ona zaspokajała swoją ciekawość. Pozbierała kartki, żeby zrobić na stole miejsce na kolację. Kolacja! Jedna kromka chleba i pół jajka gotowanego na twardo, odrobina sera, to, co miało dostać każde z nich, nie zasługiwało na określenie k o l a c j a.

- Wypróbowałem narty - poinformował Ralph. - Całkiem dobrze sobie na nich radzę i jutro wybieram się do Leigh's Dale.

- Ale teraz, kiedy telefon...

- Na razie niewiele nam to pomoże. Nie jesteśmy już zupełnie odcięci, ale żywności też nie mogą nam przysłać linią telefoniczną.

- Ale śnieg przestał padać. Wkrótce jakiś pług śnieżny oczyści drogi.

- Z pewnością. Nie wiem jednak, kiedy to nastąpi. Może potrwa to jeszcze trzy dni. Od jutra rana nie będziemy mieć nic do jedzenia oprócz jednego jajka, resztki sera i odrobiny marmolady. A ja absolutnie nie mam ochoty dłużej głodować.

- Zachowywałaś się jak ostatnia histeryczka - oświadczyła z niezadowoleniem Marjorie. - Idę o zakład, że okropnie działasz tym ludziom na nerwy.

- Przecież rozmawiałam z nim bardzo krótko - broniła się Laura.

Na policzkach miała ze zdenerwowania czerwone plamy.

- Mój Boże, mam zupełny mętlik w głowie. Naturalnie myślałam, że znowu nie uzyskam połączenia, i w ogóle nie mogłam pojąć, co się stało, gdy nagle ktoś się odezwał.

- Zachowujesz się jak człowiek, który pierwszy raz korzystał z telefonu. Naprawdę, Lauro, niedobrze z tobą. Do wszystkiego przywiązujesz zbyt wielką wagę.

- Nie rozumiesz mnie. Zresztą nie potrafisz nawet tego zrozumieć.

Laura ruszyła się wreszcie od stolika z telefonem w korytarzu; stała tam do tej pory, jakby nogi wrosły jej w ziemię. Weszła do kuchni, gdzie Marjorie siedziała przy stole i mieszała łyżeczką zimną kawę w filiżance.

- Mogę sobie wziąć troszkę sherry? - zapytała Laura. Sherry było jedynym napojem alkoholowym, jaki Marjorie miała w mieszkaniu.

Marjorie uniosła brwi.

- Sherry? Sądziłam, że zrobisz sobie teraz herbaty! Skoro sięgasz już po alkohol, musisz mieć nieźle zamażone w głowie!

Bładożółte wino popłynęło do kieliszka. Sherry było bardzo wytrawne i Laura mimo woli skrzywiła się, kiedy wypila pierwszy łyk.

- Jego głos brzmiał zupełnie normalnie - powiedziała. - Wygląda na to, że wszystko jest w porządku z wyjątkiem tego, że ich zasypało.

- Czasem miewasz, Lauro, bujną wyobraźnię! A co miałoby być tam nie w porządku?

Laura nie odpowiedziała na to pytanie. Popatrzyła na siostrę z lekkim politowaniem. Marjorie była zupełnie nieświadoma. Naturalnie miała dzięki temu więcej spokoju, ale jej życie upływało bez żadnych wydarzeń. Bez wlotów i upadków.

Czuła taką niewymowną ulgę. Tych dwoje nic nie znalazło. W przeciwnym razie ten Ralph jakiś tam nie rozmawiałby z nią tak naturalnym tonem. Trochę był poirytowany, tyle zauważyła. Uważał ją za starą dziwaczkę, która zdenerwowała się ponad wszelką miarę z powodu niespodziewanych obfitych opadów śniegu. Niech sobie myśli, co chce. Najważniejsze, że nic nie wie.

Sherry miało okropny smak, ale działało odprężająco, więc nie odmówiła sobie napełnienia kieliszka po raz drugi.

Marjorie obserwowała ją podejrzliwie.

- Wiesz, Lauro, kiedy na ciebie patrzę, wydaje mi się, że z nas dwóch to ja jestem starsza. Czasami zachowujesz się niemądrze jak małe dziecko. Chodzi mi o to, czemu się tak denerwujesz: dlatego, że te wielkie opady śniegu mogły spowodować jakieś uszkodzenie twojego domu? I tak musisz sprzedać Westhill, to chyba jasne? Znowu potrzebujesz pieniędzy, ale tym razem nie pomogę ci wybrnąć z tarapatów. Nie mogę. Oswój się wreszcie

z myślą, że musisz pozbyć się tych murów, zamiast ciągle przed nimi uciekać!

- Jeszcze się świat nie kończy! - rzekła z uporem Laura. Ulotniła się krótka euforia, jaka przepełniała ją po rozmowie z Ralphem. Pozostało otrzeźwienie.

Dlaczego Marjorie musi być zawsze taka, pomyślała, dlaczego tak lubi utrudniać innym życie?

- Będziesz musiała robić coraz więcej długów. A na zbyt duży kredyt bank się nie zgodzi. Możesz co najwyżej wziąć pożyczkę na hipotekę farmy. A potem będzie tylko kwestią czasu, kiedy ci ją odbiorą. Ja na twoim miejscu bym sprzedała, dopóki jeszcze ty wyznaczasz cenę!

- Może dam radę. Należy jeszcze do mnie trochę ziemi. Musiałabym wznowić działalność farmy. Dzięki temu Frances udało się ją uratować po pierwszej wojnie światowej. Tyle razy opowiadała mi o tym. Wtedy...

Marjorie prychnęła pogardliwie.

- Nie bierz mi tego za złe, Lauro, ale nie jesteś Frances Gray. Nie masz po prostu takiego formatu jak ona. Ona potrafiłaby jeszcze zmienić kurs, ale nie ty!

- Masz o mnie bardzo wysokie mniemanie.

- Wybacz, ale sama dobrze wiesz. Nie jesteś kobietą przedsiębiorczą. Do tego trzeba mieć odwagę, pomysły. Trzeba być zdecydowanym. Wiesz, że niewiele z tego można się doszukać u ciebie. Jesteś sympatyczną osobą, Lauro, i byłaś dla starej Gray dobrą damą do towarzystwa, niezłą kucharką i gospodynią. Ale że pójdziesz i uruchomisz znowu w Westhill farmę, która tam kiedyś była... nie, to przekracza twoje możliwości. I o tym także wiesz!

Laura wypila ostatni łyk sherry. Smak wina wydawał się jeszcze obrzydliwszy niż poprzednio. Była już zupełnie zdeprymowana. Przede wszystkim dlatego, że wiedziała, iż Marjorie ma rację.

- Pomijając wszystko inne - ciągnęła Marjorie - musiałybyś mieć choćby niewielki kapitał początkowy. Skąd chciałaś go wziąć?

- Nie wiem - wyszeptła Laura. Czy Marjorie nie mogła wreszcie przestać?

Ta jednak właśnie się rozkręciła.

- Najwyższy czas, żebyś sprzedała to domiszczce. Fernand Leigh i tak stoi już z bronią u nogi, gotów wcielić Westhill do własnego majątku. Wtedy będzie miał wreszcie to, czego zawsze chciał, a ty pozbędziesz się mnóstwa kłopotów. Co jedna kobieta miałaby robić w domu z tyloma pokojami? To niepraktyczne, tworzą się przeciągi. I ten pustynny krajobraz! W historiach sióstr Bronte ma to przynajmniej jeszcze jakiś urok, ale w rzeczywistości nie ma tam nic, dla czego opłacałoby się tam mieszkać.



- Marjorie...

- Dlaczego nie zrobisz w końcu jak ja? Niewielkie mieszkanie w domu czynszowym. Jak coś jest nie w porządku, troszczy się o to dozorca. Ty nie musisz się już o nic martwić!

Jest wobec siebie tak diabelnie bezkrytyczna, pomyślała Laura. Popatrzyła na siostrę. Ten zawzięty wyraz twarzy. Świdrujące spojrzenie. Bezbarwne włosy upięte na karku w ciasny kok. Wełniana sukienka przypominająca worek...

Marjorie wszystko było zupełnie o b o j ę t n e. Także mając niewiele pieniędzy, można było urządzić sobie przytulne mieszkanie i kupować coś lepszego do ubrania. Czy zaszkodziłoby jej, gdyby użyła kiedyś kredki do ust albo poszła do porządnego fryzjera? Nie należało przesadnie dbać o wygląd zewnętrzny i na pewno nie należało przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi, ale nie trzeba było się pogrążyć od razu w takim ponurym ascetyzmie, jak miało to miejsce w wypadku Marjorie.

Jak ona właściwie wpadła na to, że powinnam jej zazdrościć takiego życia, zastanawiała się Laura, stwierdzając z zaskoczeniem, że ogarnia ją wściekłość na siostrę: gwałtowna złość, jakiej nigdy dotąd nie czuła w stosunku do Marjorie, możliwe, że w ogóle do nikogo. Jako osoba nieśmiała i cicha zawsze starała się nie wzbudzać niezadowolenia innych osób, a na gniewne myśli o innych nie pozwalała sobie wcale. Im bardziej jednak czuła się przyciskana do muru, tym rzadziej udawało jej się reagować łagodnie na swoje otoczenie.

- Mam wszystko, czego potrzebuję - oświadczyła właśnie Marjorie - i żadne zbędne troski nie spędzają mi snu z powiek.

- Powiadasz, że masz wszystko, czego potrzebujesz? - zapytała Laura. - Jesteś pewna? Słowa te zabrzmiały tak ostro, że Marjorie aż się wzdrygnęła.

- No cóż... - zaczęła, ale Laura nie pozwoliła jej dokończyć.

- Nie masz nic, absolutnie nic - wybuchnęła. - Mieszkasz w mieszkaniu, które jest tak ponure, że człowiek popada w nim w przygnębienie. Przyjrzyj się tylko sobie, wyglądasz, jakbyś nie śmiała się co najmniej od dwudziestu lat. Naprawdę uważasz, że to takie wspaniałe co rano po przebudzeniu podchodzić do okna i patrzeć na brudne bloki naprzeciwko? Tutaj nie ma nawet nigdzie źdźbła trawy, drzewa ani kwiatka! Nie dostrzegasz tego, jak tu jest b r z y d k o?

- Lauro! - wydobyła tylko z siebie wstrząśnięta Marjorie.

- Tak, masz rację, mam zmartwienia, i to nawet mnóstwo. Nieraz chciałam, żeby moje życie potoczyło się zupełnie inaczej. Ale gdy ja wyglądam rano przez okno, to jak okiem sięgnąć, widzę łąki, pagórki i drzewa. Latem pachną kwiaty w moim ogrodzie. Budzi mnie

śpiew ptaków, a zimą wiewiórki przychodzą pod sam dom, siadają na parapecie za oknem kuchennym i pozwalają się karmić orzechami. - Przerwała. Marjorie wpatrywała się w nią bez słowa. - Do tego wszystkiego jestem przywiązana całym sercem - ciągnęła Laura spokojniejszym tonem - bez względu na to, czy ty to rozumiesz czy nie. Od ponad pięćdziesięciu lat kocham ten dom i ziemię, która go otacza. Bez walki tego nie oddam.

- Nie masz szans - rzekła cicho Marjorie. Jej słowa zabrzmiały niespodziewanie współczująco.

Laura usiadła obok niej przy stole i podparła głowę rękami.

Wieczorem zadzwonili rodzice Barbary i matka Ralpha, żeby złożyć mu życzenia urodzinowe i zapytać, jak to jest z tymi wielkimi opadami śniegu w północnej Anglii, o których pojawiały się relacje w telewizji i w gazetach. Na wypadek gdyby rodzina się zgłosiła, Ralph i Barbara uzgodnili, iż w miarę możliwości będą przedstawiać sytuację jako zupełnie niegroźną.

- Podobno całe miejscowości i pojedyncze gospodarstwa są od kilku dni odcięte od świata - mówiła matka Ralpha.

W jej głosie można było wyłowić ton wyrzutu. Była urażona, że syn postanowił obchodzić święta i akurat swoje czterdzieste urodziny bez niej, że zaszył się z żoną na jakimś przeklętym pustkowiu. A teraz proszę, co z tego wynikło. Wielkie opady śniegu i same nieprzyjemności.

- Tyle razy próbowałam się do ciebie dodzwonić. Potwornie się martwiłam.

- Linie telefoniczne były uszkodzone - odrzekł Ralph.

Zastanawiał się, dlaczego głos matki męczy go zawsze tak bardzo. Może dlatego, że ciągle zrzedziła. Nigdy nie zdawał sobie w pełni sprawy z kontekstu, lecz teraz nagle zrozumiał, że od lat męczy go wysłuchiwanie jej aluzyjnych zarzutów.

- Telefon działa znowu dopiero od paru godzin - powiedział.

- I to nie było dla ciebie dostatecznym powodem, żeby natychmiast do mnie zadzwonić i uwolnić mnie od niepokoju - skarżyła się jego matka, wzdychając.

Ralph miał już na końcu języka uwagę, że nie wypada w dniu własnych urodzin dzwonić do ludzi i poniekąd samemu odbierać od nich życzenia, ale się powstrzymał. Matka miała rację: w zaistniałej sytuacji powinien był zadzwonić. W ogóle jednak nie przyszło mu to do głowy, lecz naturalnie nie mógł jej tego powiedzieć. Wtedy lamentowałyby pewnie bez końca.

- Przez centralę ruchu turystycznego w Yorku dowiedziałam się, że telefony nie działają w wielu miejscowościach - mówiła. - I oni też mi powiedzieli, żebym się nie

denerwowała. Bo sytuacja wkrótce się poprawi.

Ralph uznał, że jego matka jest w pewnym sensie wzruszająca. Wiedział, że prawie nie mówi po angielsku i że gdy staje naprzeciwko Anglika czy Amerykanina, już zwyczajne „good morning” sprawia jej trudności i wprawia ją w zakłopotanie. Wyobrażał sobie, jak musiała się męczyć, żeby wypytać przez telefon całkiem obcą osobę o anomalie pogodowe i spowodowane przez nie uszkodzenia. Ale kiedy chodziło o syna, jej jedyne dziecko, potrafiłaby zdobyć wszelkie potrzebne informacje nawet po chińsku.

- Wierz mi, mamo, tylko w połowie jest tak źle, jak mówią - rzekł, siląc się na wesołość. - Mamy piękny, ciepły dom i jedzenia pod dostatkiem! - Stwierdził, że kłamstwa stosowane jedynie po to, aby uspokoić zdenerwowanego człowieka, właściwie nie są kłamstwami. - A teraz działa już też telefon! Tyle tylko że w tym momencie nie możemy się stąd ruszyć, ale i to minie za dzień lub dwa. Już dawno przestało padać.

Rodzice Barbary, którzy zadzwonili pół godziny później, również wydawali się dosyć zatroskani, ale przynajmniej nie czynili im wyrzutów. Kiedy złożyli życzenia Ralphowi, matka Barbary chciała też porozmawiać z córką.

- Mam nadzieję, że jakoś się znosicie - powiedziała na początek. - Gdybym miała pecha i gdzieś zasypałoby mnie razem z twoim ojcem, prawdopodobnie po trzech dniach rzucilibyśmy się na siebie z nożami.

- Ach, na to oboje jesteśmy zbyt rozsądni - odparła Barbara, po raz kolejny stwierdziwszy ze zdziwieniem, że jej matka zawsze orientuje się w ich sytuacji znacznie lepiej, niż sądziła. Nigdy nie rozmawiała z nią o kryzysie swego małżeństwa, a mimo to matka wiedziała najwidoczniej, że istnieją pewne trudności. Posiadała jednak tę cenną właściwość, że nigdy nie wtrącała się niepytana.

- Nawiasem mówiąc, ten twój pan Kornblum odebrał sobie życie - powiedziała - w pierwszy dzień świąt. Było dziś o tym w gazecie.

- O Boże! - zawołała wstrząśnięta Barbara. Ten poczciwy, trochę perwersyjny, ale zupełnie nieszkodliwy Peter Kornblum, którego dopiero co wyciągnęła z wielkich tarapatów! - Ale dlaczego? Jego niewinność była dowiedziona. Kiedyś przecież cała sprawa poszłaby w niepamięć!

- Ale jego kariera była skończona. Wydaje się jednak, że nie to było decydującym impulsem, który popchnął go do samobójstwa. Według relacji w prasie Kornblum przez święta robił wszystko, żeby pojednać się z żoną, ale okazało się to niemożliwe. Ona już mu nie wybaczyła.

- No cóż - mruknęła Barbara.

Zaraz potem zadała sobie pytanie, czy ona mogłaby przebaczyć Ralphowi, gdyby nagle dowiedziała się, że od lat obraca się w dzielnicy czerwonych latarni i utrzymuje intymne stosunki z prostytutką. Miała wątpliwości, czy zdobyłaby się na najmniejsze choćby zrozumienie tego faktu, nie mówiąc już o gotowości do przebaczenia.

- Wpakował sobie kulę w głowę - dodała matka. - Znalazło go jedno z jego dzieci.

Po tej rozmowie Barbara czuła się przygnębiona i mocno zdeprymowana. Wiedziała, że nie powinna aż tak bardzo brać sobie do serca tej historii. Kornblum był jej klientem, jednym z wielu. Zamknięta sprawa, w której dała z siebie wszystko i w końcu wygrała. Nie miała sobie nic do zarzucenia, nie ona była odpowiedzialna za późniejszą „opiekę” nad swymi klientami, nie mogła zresztą być. Jej praca polegała na wyciąganiu dla nich kasztanów z ognia na płaszczyźnie prawnej; z kosztami, jakie ponosili w sferze osobistej, musieli sobie radzić sami. Nie dręczyło jej jednak teraz poczucie winy. Było to raczej frustrujące uczucie, że na pozór zwyciężyła, ale koniec końców przegrała. Życie toczyło się według własnych praw, wyrok uniewinniający w sądzie mógł przy tym całkiem zblednąć i być zupełnie bez znaczenia. Tak czy owak, wcześniej czy później długi trzeba było spłacić. Również Kornblum tego nie uniknął.

Ralph stał w kuchni przy zlewie i próbował splukać złość na matkę za pomocą brandy. Natychmiast poznał po minie Barbary, że coś się wydarzyło.

- Co się stało? - zapytał.

Barbara wzięła kieliszek i również naląła sobie brandy.

- Kornblum się zastrzelił. Właśnie dowiedziałam się od swojej matki. Było o tym w gazecie.

Ralph musiał zastanowić się chwilę.

- Kornblum? Ach, Kornblum! Burmistrz, którego chciano zrobić w zabójstwo prostytutki!

- Tak, i oskarżenie zostało wycofane. Ale jego żona naturalnie nie była zachwycona tym, co mąż wyprawiał od lat. Gazeta sugeruje, że zastrzelił się dlatego, że jego żona absolutnie nie zgadzała się na pojednanie. - Milczała przez chwilę, po czym dodała cicho: - Ale to chyba nie powód, żeby się z a s t r z e l i ć...

- Dosyć się tym przejęłaś, prawda?

- Wiesz, że między adwokatem a klientem powstaje zawsze szczególny stosunek. Jeśli sprawa idzie jak trzeba, rodzi się przy tym duże zaufanie. - Zastanowiła się chwilę. - Z Kornblumem początek był bardzo trudny - przypomniała sobie. - Po prostu facet nie potrafił się przede mną otworzyć. Składał się wyłącznie ze strachu i nieufności. A potem nagle

przełamaliśmy pierwsze lody. Nie pamiętam już dlaczego; może rozumiał, że naprawdę byłam jedynym jego sojusznikiem i że mogę mu pomóc tylko wtedy, gdy będzie ze mną absolutnie szczery. Dzięki temu tamy puściły. Od lat przecież ciągle coś ukrywał, dla niego było to pewnie wyzwolenie, kiedy mógł wyrzucić z siebie wszystko, co mu leżało na wątrobie. Stał mi się bardzo bliski. Chodzi mi o to, że mogłam zrozumieć, co się z nim dzieje.

- Na dobrą sprawę reprezentował jednak dokładnie ten typ człowieka, jakim gardziłaś. Na zewnątrz urządzony zacny obywatel, a w głębi ducha dostatecznie perwersyjny, by spędzać wolny czas w burdelu. Normalnie gardzisz takimi ludźmi.

- To prawda. Ale kiedy ktoś opowiada ci wszystko o sobie, zaczynasz po prostu rozumieć również rzeczy, do których być może byłeś nastawiony negatywnie. On miał swoją historię, która pozwoliła wyjaśnić, dlaczego był taki, jaki był.

- W każdym razie - powiedział Ralph - nie musisz sobie absolutnie nic zarzucać. To co mogłaś dla niego zrobić, zrobiłaś. Dostał wyrok uniewinniający, niczego więcej nie mógł żądać. Jego rozbite małżeństwo to nie było już twoje zmartwienie.

- Niczego sobie nie zarzucam. Tylko że on mną... wstrząsnął. A może zawsze jesteśmy wstrząśnięci, gdy ktoś, kogo znamy, odbiera sobie życie? O wiele bardziej niż wtedy, gdy umiera śmiercią naturalną. Zadajemy sobie pytanie, jakie wielkie, jak potężne musiało być zwątpienie, które go ogarnęło. Nie sądzisz?

Popatrzył na nią w zamyśleniu; jak zawsze w jego spojrzeniu była tkliwość, która wzbudzała w niej poczucie winy.

- Na pewno tak jest - powiedział.

Oboje milczeli chwilę, po czym Barbara zapytała nagle:

- Czy na dobrą sprawę zawsze byłeś przekonany, że będziesz wykonywał swój zawód po wszystkie czasy?

- Jak to rozumiesz? - spytał zaskoczony.

- No wiesz, do czasu, gdy przejdiesz w stan spoczynku, w tym sensie. Że do tego czasu zawsze będziesz pracował jako adwokat.

- Nie nauczyłem się niczego innego.

- Przecież można też robić rzeczy, których człowiek się nie uczył.

- Naprawdę nie wiem, do czego zmierzasz. - Wydawał się zaniepokojony. - Chodzi mi o to, że akurat ty pytasz! Przecież dla ciebie twoja praca to całe życie. Nigdy nie było dla ciebie nic ważniejszego. Dlatego nigdy bym nie pomyślał, że pytanie, które mi właśnie zadałaś, może w ogóle błąkać się w twojej głowie.

- Po prostu czasem moja praca działa mi tylko na nerwy - odparła Barbara i w

następnym momencie, ku własnemu przerażeniu, rozpląkała się.

W przyjemnym ciepłym łóżku odnalazła powoli spokój, lecz pozostało uczucie przygnębienia. Przeląła prawdziwe potoki łez, szlochała i dygotała. Ralph był zupełnie bezradny.

- Co z tobą? Uspokójże się - powtórzył kilka razy, a w końcu wziął ją w objęcia, choć z początku nie miał pewności, jak Barbara na to zareaguje. Jednak płacz wstrząsał nią do tego stopnia, że wydawała się w ogóle nie zauważać, czy ktoś ją obejmuje czy nie. Nie mogła mówić, więc po prostu pozwolił jej płakać, głaszcząc ją łagodnie po włosach. Kiedy jej szloch trochę przycichł, zapytał:

- To z powodu samobójstwa Kornbluma?

- Ja... nie wiem - wydusiła z siebie, wiedząc jednocześnie, że to nieprawda. Choć nie uświadamiała sobie, dlaczego płacze, czuła przynajmniej, że to nie z powodu biednego Kornbluma. Jego samobójstwo przestraszyło ją, a strach wywołał załamanie nerwowe.

Ale dlaczego, dlaczego? - zadawała sobie pytanie, leżąc w łóżku skulona jak embrion. Może to, że siedzi tutaj zasypana, odczuwała o wiele boleśniej, niż sobie to uświadamiała. Może zagnieździło się w niej jakieś ukryte klaustrofobiczne uczucie, które teraz uutorowało sobie drogę. Może chaotyczne uczucia, jakie żywiła do Ralpha, przyprawiały ją z wolna o szaleństwo, a może to, że siedzieli już tutaj prawie od tygodnia i poza kilkoma wyjątkami nie znaleźli jeszcze wyjścia ze stanu niemocy. Ale co to miało wspólnego z jej pracą zawodową, z nagłą przemożną potrzebą ucieczki od wszystkiego?

Może to głód, pomyślała, jak zawsze starając się znaleźć racjonalne wytłumaczenie. Przez to ciągle uczucie pustki w brzuchu człowiek powoli wariuje!

Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio płakała. Wcale nie tak łatwo było to ustalić, gdyż płakała rzadko. Przypomniał jej się proces sprzed dwóch lat, w którym występowała jako obrońca; dosyć mętny przypadek seksualnego wykorzystywania dzieci, wzbudzający duże zainteresowanie i wyzwalający wiele emocji. Część złości skierowanej przeciwko podejrzanemu, a w końcu oskarżonemu dostała się także Barbarze jako jego obrońcy. Przegrała sprawę bardzo wyraźnie i przez wiele dni zasypywano ją w prasie drwinami i złośliwościami. W końcu pewnego ranka podczas lektury któregoś z piśmierek bulwarowych nerwy jej puściły i płakała gwałtownie przez blisko dwadzieścia minut: ze złości, z wściekłości, a także po prostu dlatego, że nie była przyzwyczajona do przyjmowania porażek.

Pojawiła się nowa myśl: Czy wtedy płakała też dlatego, że miała poczucie przegranej?

Czy samobójstwo klienta było ciosem wymierzonym w jej ego? Czy w ten sposób odebrał jej zwycięstwo - i czy wciąż jeszcze nie nauczyła się panować nad sobą, gdy sprawy wymykają się jej spod kontroli? Jak wiele miała w sobie z dziewczynki, którą kiedyś była i o której nie mogła już myśleć, jeśli po tego rodzaju historii ziemia usuwała jej się spod nóg?

Poprzednio, w kuchni, uwolniła się w pewnym momencie z objęć Ralpa i usiadła na jednym z krzeseł przy stole. Wiedziała, że pewnie wygląda jak zapłakane dziecko: blade policzki, zaczerwienione oczy i napuchnięte nos, rozczochrane włosy. Pociągała jeszcze trochę nosem i Ralph zrobił jej ślazowy napar, o którym jego matka zawsze twierdziła, że działa kojąco na nerwy. Następnie wyszukał w książce telefonicznej numer Cynthii Moore, właścicielki sklepu towarów mieszanych, i zniknął w salonie, żeby zadzwonić do niej i zapytać, jaka jest sytuacja w wiosce i od kiedy można liczyć na pomoc. Barbara popijała małymi łykami swoją herbatkę. Słyszała, jak Ralph rozmawia przez telefon, ale nie rozumiała, co mówi. W końcu wrócił do kuchni.

- Cynthia uważa, że jutro powinienem koniecznie wybrać się na nartach do wioski - oświadczył. - Nie radzą sobie z odśnieżaniem. Wozy pancerne odśnieżają główne drogi, ale nie mogą zajmować się każdą polną drogą, która prowadzi do jednego domu. Pozostaje nam zatem tylko to wyjście.

Barbara skinęła głową.

- Okay - powiedziała piskliwym głosem.

Ralph przyjrzał się jej z z troskaniem.

- Wszystko w porządku?

- Tak, już dobrze - odparła i natychmiast zaczęła od nowa płakać.

Ralph podniósł ją z krzesła zdecydowanym ruchem i wziął pod ramię.

- A teraz pójdziesz do łóżka - zdecydował - a ten przeklęty manuskrypt zostawisz tu na dole. To wielogodzinne czytanie przy słabym oświetleniu na pewno doprowadza cię z wolna do zupełnego szaleństwa.

Na górze pozwoliła mu, by pomógł jej się rozebrać, nie myśląc o tym, że od dawna unikała sytuacji, kiedy mógł oglądać ją nieubraną. Włożyła T-shirt i gruby sweter, a gdy leżała już w łóżku, Ralph przykrył ją troskliwie kołdrą. Uświadomiła sobie, że dobrze jej robi ten objaw troskliwości, choć dawniej zawsze się broniła, kiedy jej matka zabierała się do tego.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Podszedł do drzwi.

- Będę na dole, gdyby jeszcze coś się działo - rzekł, wychodząc.

Po godzinie stwierdziła, że nie usnie. Początkowo była wyczerpana płaczem, lecz

teraz opanował ją niepokój, który z każdą minutą wydawał się narastać.

Prawdopodobnie Ralph się pomylił, pomyślała, przewracając się w łóżku z boku na bok. Napar ślazowy wcale nie służy jako środek na uspokojenie, lecz ma działanie zdecydowanie pobudzające.

Na próbę pstryknęła wyłącznik, ale prądu nie było w dalszym ciągu. Zaczęła więc szukać po omacku na nocnym stoliku, w końcu znalazła zapalki i mogła zapalić świece w lichtarzu. Spojrzała na zegarek. Było tuż po dziesiątej. O wiele za wcześnie na takiego nocnego marka jak ona.

Pomyślała o kartkach leżących na kuchennym stole. Choć zdaniem Ralpha wielogodzinne czytanie było odpowiedzialne za zły stan jej nerwów, to jednak zdawała sobie sprawę, że bezsenność i przewracanie się w łóżku też jej na pewno nie pomogą. Zresztą dla Ralpha jej zaczytywanie się „dziennikiem” Frances, jak to nazywał, od początku było cierniem w oku. Ale to nie był dziennik! A z występujących w tych zapiskach osób i tak żadna już nie żyła!

Swędziały ją palce, żeby przynieść sobie drugą część zapisków i czytać dalej. W końcu wstała. Przemknęła się po schodach na dół, może Ralph niczego nie zauważy. Wprawdzie nie pozwalała mu sobą rządzić, ale w tym momencie nie chciała też wdawać się z nim w żadne dyskusje. Wcześniej był dla niej bardzo czuły. Co dziwne, uświadomienie sobie tego było trochę bolesne.

Na wszelki wypadek nie wzięła ze sobą świecy, gdyż blask światła niechybnie zwróciłby uwagę Ralpha. Stojąc w ciemnej i zimnej klatce schodowej, musiała poczekać dłuższą chwilę, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności na tyle, by mogła zejść po schodach. Stopnie zatrzeszczały dwa razy, lecz poza tym panowała cisza. A może Ralph od dawna już śpi, pomyślała.

W kuchni orientowała się bez trudu. Przez okno wpadało światło księżyca, oświetlało stojące na stole puste kieliszki po brandy, talerze, na których pozostały okruszki chleba, dzbanek na herbatę. W piecu żarzył się słabo ogień. Barbara pozbierała kartki i wymknęła się z kuchni równie cicho, jak przyszła.

Przechodząc korytarzem, zajrzała mimo woli przez otwarte drzwi do jadalni i zatrzymała się nagle.

W środku był Ralph.

Ściśle biorąc, widziała tylko jego sylwetkę na tle zimnego światła wdzierającego się z zewnątrz. Stał przy oknie zwrócony do niej plecami. Nie wiedziała, czy jej nie zauważył, czy jest mu obojętne to, że wbrew jego zakazowi kręci się tu na dole. Stał nieruchomo i wyglądał



na zewnątrz; coś w jego postawie - lekko podane do przodu ramiona, a może napięcie mięśni - zdradzało, że czuje się samotny. W niemej wymianie uczuć między nimi dwojgiem, jakiej nigdy nie przeżyli, nawet w najlepszych latach, gdy byli zakochani, Barbara odniosła wrażenie, że jest bardzo samotny, i ta samotność sprawia mu ból. W nagłym odruchu strachu szybko nabrała powietrza, a wtedy Ralph się odwrócił. Nie wydawał się zaskoczony, przypuszczalnie słyszał ją już przedtem.

- Nie możesz spać? - zapytał.

Podniosła manuskrypt i uśmiechnęła się przepraszająco.

- Nie. Potrzebuję czegoś do czytania.

Skinął głową.

- To czasem pomaga. Chodzi mi o to: kiedy nie można zasnąć.

- Ty też wybierasz się wkrótce do łóżka?

- Owszem. Ale jeszcze nie jest późno. - Wskazał głową okno. - Nieprawdopodobne jest to światło na zewnątrz.

- Wiem. Widziałam je już z kuchni.

- Nie masz nic na nogach - powiedział. - Nie powinnaś stać na zimnej posadzce.

Popatrzyła w dół na swoje gołe nogi. Palce u nóg podwinęła mimo woli do środka, żeby uniknąć chłodu bijącego od kamiennych płytek.

- Może jednak lepiej pójdę na górę - oświadczyła trochę zaniepokojona. - Dobranoc.

Popatrzyli na siebie.

Nagle Barbara uzmysłowiła sobie, dlaczego płakała. Płakała z tego samego powodu, dla którego Ralph stał tutaj i wpatrywał się w noc. Kiedyś, dzisiaj, ostatniej nocy albo w minionych dniach, oboje pojęli, że to koniec. Nie odnaleźli drogi do siebie. Prawdopodobnie ta droga już nie istniała, i to od dawna. Tylko że oni nie zauważyli tego albo nie chcieli zauważyć. A teraz ta prawda spadła na nich niczym cios i oboje stracili równowagę. Nie mogli już sobie niczym mydlić oczu ani uciekać przed czymś w tym odciętym przez śnieg domu, w którym dosłownie utknęli sam na sam ze sobą i z tym wszystkim, co było nie tak między nimi.

Barbara odwróciła się i wyszła po schodach na górę. Marznące stopy sprawiały jej ból. Energicznie zamknęła za sobą drzwi sypialni i szcękając zębami, wpełzła pod kołdrę. Ciepło otoczyło ją pocieszającą falą niczym uścisk ramion.

Nie będę się teraz zastanawiać, powiedziała do siebie, po prostu nie będę się teraz nad niczym zastanawiać.

W jej rękach zaszeleściły kartki papieru. Między nimi trwał nieco stęchły zapach

szopy. Barbarze wydał się on uspokajający. Odszukała stronę, którą czytała ostatnio.

„Złociste dni. Powróciło trochę z ich blasku”.

Przerzuciła tę kartkę. Na następnej widniał tylko napis „Część druga”, a potem przez kilka stron odręczne zapiski Frances Gray. Niebieski atrament wyblakł przez te wszystkie lata, pismo było koślawe. Barbara z trudem odczytywała tekst.

„W latach dwudziestych udało mi się na nowo rozruszać farmę, a nawet przeprowadziłam ją bez uszczerbku przez lata trzydzieste, na których odcisnął piętno światowy kryzys gospodarczy...”

## *Część druga*

W latach dwudziestych udało mi się na nowo rozruszać farmę, a nawet przeprowadziłam ją bez uszczerbku przez lata trzydzieste, na których odcisnął piętno światowy kryzys gospodarczy... Wrócili dzierżawcy, a po części przyszedli nowi, kiedy drastycznie obniżyłam czynsz dzierżawny. Naraziłam się przez to na ostrą krytykę ze strony Victorii, lecz w przeciwnym razie nie pozyskałabym ludzi, a co byśmy wtedy mieli z naszych łąk i pastwisk? Kiedy nastały lepsze czasy, mogłam powoli podnieść wysokość czynszu, ale nikogo to nie zabolalo. Hodowaliśmy owce i woły, a także - na mniejszą skalę - konie.

Konie zawsze były moją namiętnością, już jako mała dziewczynka galopowałam po polach razem z Johnem, który nauczył mnie jazdy konnej. Uwielbiałam wstawać wcześniej rano i jechać do stajni. Zbudowaliśmy nowe stajnie, choć musiałam wziąć na nie kredyt w banku, ale na szczęście ojciec zostawił mi zupełnie wolną rękę. Gdy przyjeżdżałam, żaden z opiekunów koni nie był jeszcze na nogach. Konie rżały cicho, widząc, jak się zbliżam. Natychmiast podchodziły do drzwi swoich boksów, bo wiedziały, że przyniosłam im jabłka i marchewki. Muskały swoim oddechem moją szyję i zanurzały w moich dłoniach nozdrza o miękkich, delikatnych chrapach.

Nigdy nie odczuwałam większego spokoju niż w takich chwilach, gdy stałam oparta o potężne ciało konia, wsłuchana w bicie jego serca. Zawsze uważałam, że zwierzęta są ważnym składnikiem miejsca, skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy. Zawsze żał mi było ludzi, którzy nie potrafią zrozumieć zwierząt, a takimi, którzy je dręczą, tylko gardziłam.

Lubiłam też nasze owce i woły, to były piękne stada. Zarabialiśmy dużo pieniędzy na wełnie i słynnym „Wensleydale Cheese”. Nowe owce kupowałam na targu w Skipton, który odbywał się tam co tydzień. Często wybierałam słabe, brzydkie zwierzęta, których nikt nie chciał i które dostawałam za śmiesznie niską cenę; wiedziałam jednak, co robię. Miałam dobrych ludzi. Każda z tych parszywych, niedużych mizerot wyrastała na okazałe, zdrowe zwierzę.

Naturalnie Victoria marszczyła nos na mój widok, gdyż chodziłam w spodniach i butach z cholewami i większość czasu spędzałam na końskim grzbiecie. Kiedyś powiedziała do mnie: „Zrobiła się z ciebie prawdziwa chłopka!”.

Zrobiła się? Zawsze nią byłam. Zawsze zrosnięta z naszą krainą na północy, z jej lasami, górami, torfowiskami, z zimnymi wiatrami, ze zwierzętami. W Londynie w ogóle nie

mogłam się zadomowić, choć tak mocno ciągnęło mnie do tego miasta, kiedy miałam siedemnaście lat. Ale gdy jesteśmy młodzi, często nie wiemy jeszcze, czego tak naprawdę pragnie nasze serce. Dręczy nas obawa, że przejdzie nam coś obok nosa, i choć mamy przed sobą całe życie, wydaje się, że czas przecieka nam przez palce. Boimy się, że jeśli nie zrobimy czegoś od razu, to nie zrobimy tego nigdy.

Ja przynajmniej mogę powiedzieć, że wykorzystałam czas swej młodości, przy czym nie wnikiem w to, czy zawsze wykorzystałam go rozsądnie i sensownie. W każdym razie nie chowałam się po kątach i byłam tam, gdzie dzieją się ważne rzeczy. Brałam udział w demonstracjach bojowniczek o prawa kobiet i siedziałam razem z nimi w więzieniu. Miałam romans z mężczyzną, który odebrał sobie potem życie. Byłam bojkotowana przez lepsze towarzystwo i żyłam w dotkliwej nędzy. Pojechałam do Francji i pomagałam łątać żołnierzy, którzy ledwo przypominali z wyglądu ludzi. I przez wiele lat miałam romans z mężem mojej siostry, z czym wiązały się, rzecz jasna, wielkie skrupuły, poczucie winy i strach przed karą niebios.

Biedna Victoria! W tamtych latach, w których uczyniłam z Westhill naprawdę dochodową farmę, tyle razy ze mnie szydziła, a nie wiedziała o niczym. To, że nie żywiła żadnych podejrzeń, było dla mnie czasem wręcz trochę obraźliwe, gdyż oznaczało, że w najmniejszym stopniu nie dostrzegала zagrożenia z mojej strony. Prawdopodobnie uważała, że John nie spojrzalby nigdy drugi raz na kobietę, którą otacza zawsze zapach stajni i zwierząt i która kieruje farmą jak mężczyzna, pertraktuje z bankami i targuje się z handlarzami bydła. Wtedy, jeszcze podczas wojny, kiedy martwiłam się o Johna, przez krótki okres miała pewne przeczucie... ale dawno się ulotniło.

Ach, Victorio! Naprawdę sądzisz, że nosiłam wyłącznie brudne buty z cholewami, chodziłam po stajniach wielkimi krokami i mówiłam twardym, ostrym głosem, bo w przeciwnym razie żaden z mężczyzn pracujących dla mnie nie traktowałby mnie poważnie?

To była jedna strona medalu. Ale po kryjomu sprowadzałam katalogi i wykroje strojów, a gdy nie było już takich kłopotów z pieniędzmi, kupowałam materiały w Leyburn albo w Northallerton i zносиłam do krawcowej. Zdumiałabyś się, gdybyś wiedziała, ile popołudni spędziłam na przymiarkach. Zdziwiłabyś się też, gdybyś wiedziała, ile pieniędzy wydawałam na perfumy i biżuterię. Zanim spotkałam się z twoim mężem, uwielbiałam stroić się długo i bez pośpiechu! Wybierając garderobę, preferowałam kolory granatowy i zielony, bo dobrze uwydatniały bladość mojej cery.

Musiałam maksymalnie wykorzystać swoje talenty, najdroższa siostrze, i na pewno było mi trudniej niż tobie, tak hojnie obdarowanej przez naturę. Zawsze musiałam odwracać

uwagę od swoich bladych oczu i kanciastych linii twarzy. Nie każdy ma rumiane policzki i dołeczki. Kompensowałam to głębokimi dekolcami i chętnie pokazywałam więcej nogi. A nogi miałam naprawdę ładne, pewnie one były najładniejszą częścią mego ciała. Lubiłam delikatne, cienkie pończochy, jakie nosiło się w latach dwudziestych, lekkie pantofle w kolorach pastelowych, lejące się materiały, z których szły się ubrania.

John nie był już tym mężczyzną, którym był kiedyś, i nigdy już nim nie został. Pił za wiele, potrafił być zgryźliwy i ranić słowami. Dawał mi jednak poczucie, że jestem godna pożądania, a przez całą jego szorstkość wyczuwałam coś w rodzaju niezmiennej miłości, którą żywił do mnie już od czasów naszego dzieciństwa.

Victoria była panią na Daleview, jej teściowa zmarła w 1921 roku. Dużo czasu spędzała sama, nudziła się i coraz częściej odwiedzała Charlesa, żeby narzekać i zrzędzić. W dalszym ciągu była bardzo ładna, lecz na jej twarzy gościło teraz wiecznie bolesne skrzywienie. Zrezygnowała z zamiaru urodzenia dziecka, co ostatecznie uczyniło z niej kobietę głęboko sfrustrowaną.

W tym, że nie mogą mieć dzieci, nie było zresztą winy Johna - wiedziałam o tym na długo przed przyjściem na świat jego syna Fernanda wiele lat później. Dwa razy byłam z Johnem w ciąży, w 1923 i 1925 roku. W obu wypadkach załatwiłam rzecz w Londynie, głównie ze względu na mojego ojca. Wyczerpałam cały swój kredyt u niego, a ściśle biorąc, znacznie go przekroczyłam przez swój pobyt w więzieniu wtedy przed wojną. Jako niezamężna matka dobiłabym go do reszty. Nie przyszło mi to tak łatwo, jak może się wydawać na podstawie tych słów, ale innego wyjścia nie było; przyzwyczaiłam się zresztą do tego, żeby nie skarżyć się na to, czego nie da się zmienić.

W marcu 1933 roku skończyłam czterdzieści lat. Był to okres ogólnoświatowego kryzysu, który odczuwaliśmy też tu, na północy. Wiele zmieniło się w świecie. Rosja była teraz republiką, w Moskwie rządził Józef Stalin. Rewolucja pochłonęła wiele ofiar i przyniosła ogromne cierpienia, a ludzie w Rosji nadal żyli w nędzy i strachu. U nas w Anglii zasiadał na tronie król Edward VIII, człowiek nieco słabowity i chwiejny, który w 1936 roku z powodu miłości do rozwiedzionej Amerykanki Wallis Simpson miał abdykować i przekazać władzę swemu bratu, księciu Yorku. W Niemczech Adolf Hitler został mianowany w styczniu kanclerzem Rzeszy, ale nikt jeszcze tu nie przeczuwał, jakie będzie to miało następstwa dla Anglii i całego świata.

Ukończenie czterdziestu lat przyjąłam obojętnie. Victoria popłakała się natomiast w moje urodziny, gdyż przypomniały jej, że wkrótce przyjdzie też kolej na nią. Bardzo źle wyglądała w tym okresie. Podejrzewam, że John rzeczywiście traktował ją jak wycieraczkę

do butów.

Przez wszystkie lata odwiedzałam nadal co niedziela mego brata George'a w domku pod Scarborough. Przywoziłam mu jedzenie i picie, farby i płótno. Czasem pozwalał, żebym trochę w środku posprzątała i pościerała kurze. Generalnie jednak sam dbał o porządek, a ogród coraz bardziej przekształcał w raj. Krzewy i drzewa, których mnóstwo zasadził, urosły w międzyczasie i tworzyły jedną wielką kwitnącą i pachnącą dziczą. Latem już od bramy ogrodu nie było widać domu. Zimą natomiast welony mgieł otulały nagie gałęzie, a fale Morza Północnego rozбивały się z głuchym hukiem o skaliste wybrzeże; zawsze wtedy bałam się o niego. Samobójstwo Phillipa w roku 1911 ciążyło mi na sumieniu przez całe życie, obawiałam się też, że pewnego dnia i George, pod wpływem samotności i ponurych myśli, może się zdecydować na identyczny krok.

Niepokoilo mnie, że jego obrazy nie stały się ani trochę radośniejsze. Dwadzieścia lat po wojnie nadal malował czarne wykrzywione twarze pod ciemnym niebem, takie same jak wtedy, po powrocie. Czyżby jego dusza miała już nie zaznać spokoju? Musiałam pogodzić się z tym, że jest chorym człowiekiem, który nigdy nie wyzdrowieje.

Suka Molly, jego ulubiony pies, zdechła w roku 1925, miała wtedy siedemnaście lat! George nie skomentował tego ani słowem, nie okazał żadnego wzruszenia, co wydało mi się niesamowite. Kilka tygodni po jej śmierci przywiozłam mu w koszyku kudłatego szczeniaka, ale George go nie chciał. Zabrałam więc psa z powrotem i zostawiłam dla siebie. Szczeniak wyrósł na pięknego dużego psa, najinteligentniejszego psa, jakiego kiedykolwiek znałam, i nadzwyczaj wiernego przyjaciela. Dla George'a byłby idealnym towarzyszem. Zawsze żałowałam, że nic z tego nie wyszło.

O ojcu należałoby powiedzieć, że żył swoim życiem w sposób cichy i melancholijny. Często odwiedzał grób naszej matki i spędzał tam całe godziny. Nie wiem, czy prowadził z nią nieme rozmowy, czy może marzył o minionych czasach, przywoływał w pamięci obrazy z tamtych lat, gdy oboje byli młodzi i szczęśliwi i wspólnie stawiali czoło reszcie świata.

Pewnego mroźnego dnia, było to w lutym 1929 roku, nie wracał do domu tak długo, że zaniepokojona poszłam go szukać. Tak jak się spodziewałam, odnalazłam go na cmentarzu. Był wieczór, ale dnia już przybywało, po jasnoniebieskim niebie pędziły długie poszarpane ciemne ławice chmur. Ojciec siedział na pniaku naprzeciwko grobu matki. Wydawało się, że w ogóle nie uświadamia sobie, jak jest zimno. Spoglądał w górę, w to niespokojne niebo wypełnione fantastycznym ostatnim blaskiem dnia. Nie słyszał, jak się zbliżam, więc wzdrygnął się, kiedy dotknęłam jego ramienia.

- Ojczy, już późno - poprosiłam cicho. - Chodź ze mną do domu.

Niechętnie wykrzywił twarz.

- Idź sama, Frances - powiedział. - Przyjdę później.

- Za zimno tutaj dla ciebie. Jeszcze...

Przerwał mi ze złością i rozdrażnieniem, od lat nie widziałam go w takim stanie.

- Zostaw mnie w spokoju! Nie masz prawa decydować o mnie! Pójdę do domu, kiedy będę chciała.

- Ojczy...

- Idźże wreszcie - rzekł niemal z błaganiem w głosie, a wtedy zrozumiałam, że nie ma sensu dalej nalegać, i ruszyłam sama w drogę powrotną do domu.

Ten dzień pamiętam tak dobrze również dlatego, że zastałam w domu list od Alice. Przyszedł już pewnie w południe, ale przez cały dzień miałam mnóstwo roboty i umknął mojej uwagi. Alice pisała mi, że pod koniec stycznia urodziła drugą córeczkę i że wszystko poszło dobrze.

Byłam nieźle przerażona. W ogóle nie wiedziałam, że znowu była w ciąży. Jej starsza córeczka miała niebawem skończyć trzy lata. Alice bowiem faktycznie wyszła za miłego wprawdzie, lecz po prostu **z u p e ł n i e n i e o d p o w i e d n i e g o n a m ęż a** Hugh Selleya wkrótce po tym, jak wyjechała wtedy ze Scarborough. Ledwo mogłam pojąć jej krok, choć czasami obawiałam się tego, a więc w jakimś sensie liczyłam się z tym.

Prawdopodobnie należało przyjąć jej wyjaśnienie: bała się, że zostanie sama, i zrobiłaby wszystko, byle uciec od samotności. Wariactwo polegało jedynie na tym, że coś takiego w ogóle nie pasowało do Alice - w każdym razie nie do tej Alice, którą kiedyś była. Kobieta, która dawno, dawno temu siedziała ze mną na murku ogrodu za domem, paliła cygaro i śmiała się, a później pocieszała mnie, gdy zwymiotowałam; kobieta, która spierała się z moim ojcem o prawo wyborcze kobiet, a później w Londynie brała udział we wszystkich demonstracjach w pierwszym szeregu walczących - ta kobieta wyszła w końcu z rozpaczki za sympatycznego wprawdzie, lecz chwiejnego mężczyznę, który nosił ją na rękach, ale nie mógł być dla niej odpowiednim partnerem.

O czym ona z nim rozmawiała? Co on rozumiał ze spraw, które ją poruszały i zajmowały? Ale może znalezienie człowieka, z którym mogłaby rozmawiać, nie było już dla niej wcale takie ważne. Może dziś potrzebowała ciepła, które mógł dać jej Selley, może uwielbienie, jakim ją darzył, głaskało jej duszę.

Chociaż z powodu George'a doszło między nami do poważnego rozłamu i nasza przyjaźń w zasadzie przestała istnieć, w dalszym ciągu przeżywałam boleśnie jej przemianę. W więzieniach skruszyli jej opór, naprawdę ją złamali. Najsilniejsza kobieta, jaką znałam,

stała się mała i słaba, zależna i bezsilna. A gdy dotarła do mnie wiadomość o narodzinach drugiego dziecka, pogrzebałam ostatecznie nadzieję na to, że wyzwoli się z tej sytuacji, opuści żalostnego Hugh i zacznie robić to, do czego miała zdolności - choćby pisać książki albo wydawać gazetę.

Zawsze wyobrażałam ją sobie w małej mansardzie gdzieś w centrum Londynu: włosy w nieładzie, papieros w ustach, obok niej szklaneczka whisky, a przed nią maszyna do pisania, na której stuka ze skupieniem na twarzy, zapominając o bożym świecie. Zamiast tego wycierała nosy swoim dzieciom i dbała o porządek w ponurym mieszkaniu Selleya. Choćbym chciała, nie mogłabym tego zmienić.

W sumie były to spokojne lata: moja miłość do ziemi, na której żyłam, pogłębiła się, a praca zarówno pochłaniała mnie, jak i dawała mi prawdziwą satysfakcję. Przycichł ból z powodu niemożności poślubienia mężczyzny, którego kochałam. Dzisiejszy John był o wiele bardziej znośny jako kochanek niż jako mąż. W pewnym sensie wyciągnęłam lepszy los - a zarazem i gorszy. Naturalnie uwłaczało mi to, że nasz związek musi pozostać w tajemnicy, choć ciągle próbowałam sobie wmawiać, że nie ma znaczenia, czy jesteśmy oficjalnie parą czy nie. Co Victoria miała z tego, że była „panią Leigh”? Mnie ludzie uważali za starą pannę, a ci, którzy wiedzieli o mojej aktywności w szeregach sufrażystek, pewnie stwierdzali w duchu z satysfakcją, że nie ma w tym nic dziwnego, iż „takiej” nie chciał żaden mężczyzna.

Niech sobie myślą, co chcą. Za to byłam pewna ich szacunku, choć czasem okazywanego z niechęcią. Wiedzieli, że zamożność Westhill Farm to moja zasługa. Kryzys gospodarczy w latach trzydziestych przetrwaliśmy lepiej niż wielu innych, czułam, że podziwiano mnie za to.

„Kopci jak smok i pije jak mężczyzna!” - mówiono o mnie. Nie mieli pojęcia, jaka potrafię być miękka, jaka czuła! Po Francji i po śmierci matki wydawało się, że opadła ze mnie wszelka delikatność, wrażliwość i uczuciowość. Tylko ja wiedziałam, że żyje jeszcze we mnie młoda Frances Gray i że czasami pojawia się znowu, jakby nigdy nie stało się nic złego, jakby nigdy nie widziała ciemnej strony świata.

Ale na horyzoncie zbierały się ciemne chmury i choć na ogół zajmowałam się krowami, owcami i końmi, nawet w zaspanej Leigh's Dale w północnym Yorkshire musiało dotrzeć do mnie, co szykuje się na kontynencie.

W marcu 1938 roku Niemcy wkroczyli do Austrii. We wrześniu podczas spotkania szefów czterech mocarstw, Niemiec, Anglii, Francji i Włoch, w Monachium zaakceptowano roszczenia Hitlera do Sudetów. W październiku wkroczyły tam wojska niemieckie. W marcu następnego roku Niemcy byli w Pradze. W Anglii zrobiło się nerwowo; w kwietniu 1939 roku



wprowadzono ponownie powszechny obowiązek obrony. Było tak samo jak w 1914 roku: wszyscy mówili o wojnie, a w całym kraju szerzył się osobliwy, wywołujący dreszcze niepokój. Ci, którzy zawsze ostrzegali przed Hitlerem, znajdowali potwierdzenie ponurych przeczuć, a ci, którzy do tej pory nie zastanawiali się nad tym, czuli, że już niedługo będą mogli zamykać oczy.

Dość egoistycznie myślałam wtedy przez cały czas tylko o jednym: Jak to dobrze, że John jest już za stary. Ponieważ miał pięćdziesiąt dwa lata, przynajmniej jego nie mogli wysłać na wojnę!

I po raz pierwszy naprawdę cieszyłam się, że nie mam dzieci, gdyż możliwe, że byłby wśród nich syn, a wówczas oszalałabym pewnie ze strachu.

Po prostu tak to już jest w życiu: radości i zmartwienia rzadko dzielą się po równo, przeważnie wszystko przychodzi naraz. Po 1918 roku nasze życie płynęło bez godnych wzmianki wzlotów i upadków. Dwadzieścia lat później złe moce sprzysięgły się znowu.

Pierwszego września 1939 roku Niemcy wkroczyli do Polski. Trzeciego września Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę.

Tego samego dnia Victoria zadała naszemu ojcu cios i jestem przekonana, że to on ostatecznie zabił Charlesa.

## *Wrzesień 1939 roku*

Owego trzeciego września nie było chyba w Anglii obywatela, który nie siedziałby od wczesnych godzin rannych przed odbiornikiem radiowym i podekscytowany nie słuchał nadawanych na okrągło komunikatów specjalnych.

Dwa dni wcześniej Niemcy napadli na Polskę. Świat nie mógł się dłużej przyglądać, jak Hitler bez żenady, nie mrugnawszy nawet okiem, realizuje swoje ekspansjonistyczne plany, nie zważając na żadne umowy i pakt. Wszystkie znaki wskazywały, że będzie wojna.

Premier Chamberlain podjął ostatnią próbę odwrócenia grożącego nieszczęścia. Rankiem trzeciego września angielski ambasador w Berlinie wręczył rządowi niemieckiemu ultimatum z żądaniem natychmiastowego wstrzymania działań wojennych w Polsce do godziny jedenastej. Mijały minuty i wszyscy zastanawiali się, czy Hitler się ugnie.

Frances nie miała dotąd czasu zająć się wydarzeniami w świecie, ale tego niedzielnego poranka usiadła przy radiu i nie ruszyła się z domu ani na krok. Czuła w sobie nerwowość, która przyprawiała ją niemal o chorobę. Domyślała się już, że wojna jest nieunikniona. Z jakiegoś powodu ani przez chwilę nie wierzyła w to, że Niemcy przyjmą ultimatum.

O dziesiątej zjawiała się zupełnie roztrzęsiona Victoria, widać było, że poświęciła toalecie znacznie mniej czasu niż zwykle. Wyglądała tak, jakby minionej nocy nie spała ani minuty, a ponieważ miała czterdzieści cztery lata, jej twarz musiała po prostu zdradzać brak snu. Po raz pierwszy Victoria wydawała się stara. Oczy miała spuchnięte, jakby płakała. Zmarszczki w kącikach ust pogłębiły się. Frances zdziwiła się, że takie wydarzenie, jak zbliżająca się wojna do tego stopnia wstrząsnęło jej pustogłową siostrą - jak w duchu tytułowała Victorię - iż ta nie uczesała się porządnie i nie nałożyła dość szminki, by ukryć ślady nieprzespanej nocy. Jak się jednak okazało, zdenerwowanie Victorii nie miało nic wspólnego z polityką międzynarodową.

- Gdzie ojciec? - zapytała gorączkowo, rozglądając się po kuchni. Frances i Adeline siedziały przy radiu: Frances paliła jednego papierosa po drugim, Adeline zaś piła mleko z miodem, żeby uspokoić nerwy. Mając na karku prawie osiemdziesiątkę, oświadczyła, że wydarzenia, jakie się teraz dzieją, są jednoznacznie ponad jej siły.

- Ojciec poszedł na grób - odpowiedziała Frances - ale mówił, że wróci przed jedenastą.

- Na pewno?

- Naturalnie - odparła z rozdrażnieniem Frances, gdyż z wolna przeczuwała już, że w głowie Victorii kołocze się coś innego niż ultimatum Chamberlaina. - Od jedenastej będziemy najprawdopodobniej w stanie wojny z Niemcami. Ojciec bardzo się martwi z tego powodu.

Wahał się nawet, czy w ogóle wychodzić, ale w niedzielne przedpołudnie odwiedzał Maureen już od dwudziestu trzech lat i akurat Hitler nie mógł mu w tym przeszkodzić.

- Zaczekam tutaj na niego - oświadczyła Victoria, usiadła na taborecie kuchennym i zaczęła płakać.

Adeline wstała, stękając, wyciągnęła z kredensu kubek i zdjęła z kuchni garnek z mlekiem.

- Dziecinko, proszę się najpierw napić smacznego gorącego mleka z miodem - powiedziała. - Na pewno pani pomoże. Wszyscy mamy dzisiaj trochę mętlik w głowie.

- Mnie nic nie pomoże, Adeline, absolutnie nic - szlochała Victoria.

Frances wyłączyła radio.

- Co się stało? - spytała.

- John... - wybuchnęła Victoria.

Frances przyskoczyła do siostry, chwyciła ją za przegub dłoni.

- Co z nim? Zachorował?

Victoria tak się wystraszyła, że przestała płakać i szeroko otworzyła oczy. Podjęła słabą próbę oswojenia się z uścisku Frances, lecz jej się nie udało.

- Nie, nie zachorował. On... Odchodzę od niego. Chciałam zapytać ojca, czy mogłabym tutaj mieszkać. Zamierzam się rozwieść.

Frances puściła rękę Victorii i powiedziała cicho:

- O Boże!

- Wielkie nieba! - mruknęła Adeline, zupełnie zapominając o włożeniu łyżeczki z miodem do mleka. Lepki płyn kapał teraz powoli z łyżeczki na podłogę.

- Ale dlaczego tak nagle? - spytała zszokowana Frances.

- Wcale nie tak nagle - odparła Victoria, usiłując wytrzeć twarz chusteczką do nosa. - Zastanawiałam się nad tym bez przerwy przez wszystkie ostatnie lata, tylko wydawało mi się, że nie mogę tego zrobić. Wiecie, co matka jako katoliczka sądziła o rozwodach.

Victoria energicznie oczyściła nos. W świetle przedpołudniowego słońca, które wpadało szeroką smugą przez jedno z okien, jej spuchnięta i zaczerwieniona od płaczu twarz wydawała się brzydka. W tym momencie nie można się było w niej doszukać żadnego wdzięku.

- A co właściwie się stało? - zapytała roztropnie Frances.

- Zeszłej nocy potwornie się upił. Bałam się go.

- Coś pani zrobił? - spytała Adeline z szeroko otwartymi oczyma.

Victoria pokręciła głową.

- Nie, ale miałam wrażenie, że niewiele brakowało.

Frances prychnęła lekceważąco.

- Wielkie nieba, Victorio, wydaje mi się, że znowu rozdmuchujesz błahą sprawę! Upił się. To się zdarza. Każdy może mieć kiepski dzień i wypić za dużo. Świat się od tego nie zawali.

- Ale on regularnie pije za dużo. Nie tak, żeby codziennie pił do nieprzytomności, ale też nie ma dnia, żeby w ogóle nie pił. I to już przed południem.

- Przeszedł w życiu trochę - wtrąciła łagodnie Adeline. Wreszcie zauważyła, że w jednej ręce trzyma kubek z mlekiem, a łyżeczkę w drugiej i że miód błyszczy na podłodze jako plama w kolorze bursztynowym. - O rany - westchnęła.

Oczy Victorii rozbliły.

- On przeszedł trochę? - zaperzyła się niezwykle gwałtownie. - A co takiego? Był na wojnie, tak samo jak tysiące innych. Uważa, że zostawił tego chłopaka na lodzie, ale czy miał czekać, aż jego samego zabiją lub wezmą do niewoli? Są mężczyźni, którzy stracili nogę albo wzrok. Mimo to po powrocie nie zamienili życia swoich rodzin w piekło. - Jej głos zafalował znowu, lecz tym razem powstrzymała łzy. - Próbowałam wszystkiego - dodała spokojnie i nagle nie wydawała się już postarzałym dzieckiem, tylko osobą naprawdę dorosłą. - Ale teraz już nie mogę.

- Biedna Vicky! - pocieszała ją Adeline. Postawiła przed nią mleko. - Proszę, niech pani to wypije!

Victoria wypiała ostrożnie kilka łyków, po czym ciągnęła dalej:

- Wiecie, to było piekło. Wytrzymałam to przez ponad dwadzieścia lat. Po wojnie praktycznie dla niego nie istniałam. Były okresy, kiedy tygodniami nie odzywał się do mnie słowem. Dla niego przestałam istnieć. Gdy próbowałam z nim rozmawiać, stawał się agresywny, rozdrażniony. Błagałam go, żeby mi powiedział, jak mogę mu pomóc, ale odpowiedział tylko, że mam go zostawić w spokoju i że przecież i tak bym go nie zrozumiała. A jaką dał mi szansę, żebym go zrozumiała? Skoro nigdy ze mną nie rozmawia! - Znowu upiła kilka łyków mleka. Wydawało się, że gorący napój dobrze jej robi i działa na nią uspokajająco. - A potem tak często go nie było. I zawsze siedziałam sama w tym wielkim ciemnym domu. Gdybym przynajmniej miała dzieci...

- Powiedziałaś mu już, że chcesz się rozwieść? - spytała Frances.

- Tak. Dzisiaj rano. Był w bardzo kiepskiej formie, przepity po ostatniej nocy. Mimo to powiedziałam mu.

- I co? Jak zareagował?

- Powiedział, że nie będzie mi rzucał kłód pod nogi. Był całkiem spokojny.

Oczy Victorii zdradzały, jak bardzo czuje się urażona. Mąż pokazał jej wyraźnie, że jest mu zupełnie obojętne, czy od niego odejdzie.

Frances próbowała zaprowadzić porządek wśród różnych odczuć, które spierały się teraz w jej sercu. Dlaczego ta wiadomość przestraszyła ją tak bardzo? Czyżby teraz, kiedy widziała Victorię w takim stanie - zrezygnowaną, smutną i z chaosem w głowie - ruszyło ją sumienie? Wiedziała, że wygasła miłość Johna do Victorii nie ma związku przyczynowego z nią, Frances; ale wiedziała również, że bez jej aktywnego udziału być może pojawiłaby się dla nich dwojga możliwość odzyskania choć trochę z tego, co łączyło ich przed wielu laty. Widząc tego ranka udękę w oczach Victorii, uświadomiła sobie, że sama nie jest tak całkiem bez winy.

Przez dziesiątki lat Frances nosiła w sobie, żywiła i pielęgnowała nienawiść do Victorii, lecz teraz zmieszana stwierdzała, że ta nienawiść rozpadła się i nie pozostało po niej nic oprócz gorzkiego smaku w ustach. Za co miałyby potępiać Victorię? Za to, że odebrała jej męża? Za jej kokieterię, naiwną afektację, wygłaszanie pogardliwych sądów o kobietach mających mniej urody niż ona? Za jej światopogląd, w którym zawsze chodziło tylko o piękne stroje, biżuterię i życie towarzyskie? Za jej zamiłowanie do herbatek w damskim gronie, wyścigów konnych i wieczornych balów? Za jej rumiane policzki i złociste włosy?

Wszystko to w jakimś sensie utraciło nagle znaczenie. Kobieta siedząca na kuchennym taborecie i popijająca mleko nie miała już rumianych policzków, a w tym momencie na pewno nie interesowała jej biżuteria, stroje i pojedynki słowne. Ta kobieta wyglądała na znękaną, zgorzkniałą i bardzo smutną. Frances nie udało się ożywić w sobie choćby odrobiny swojej złości.

- Powinnaś przemyśleć wszystko jeszcze raz na spokojnie - rzekła ze skrzepowaniem, przybierając znacznie łagodniejszy ton niż zwykle w rozmowach z siostrą.

Jednak Victoria, ta dziecinna, niezdecydowana Victoria, która chwiała się przeważnie jak źdźbło trawy na wietrze, tym razem widocznie naprawdę podjęła decyzję.

- Nie - odpowiedziała. - Nie mam się już nad czym zastanawiać. Ponad dwadzieścia lat walczyłam i cierpiałam. Gdyby istniała dla nas jakaś szansa, w tym czasie na pewno bym ją znalazła. Ale ona nie istnieje. A jeśli dalej będę się z nim męczyć, pewnego dnia to mnie zabije.

- Pani matka zrozumiałaby panią - wtrąciła Adeline. - Była dobrą katoliczką, ale własna rodzina była jej zawsze bliższa niż Kościół. Ona powiedziała, że nie powinna się pani dłużej zadręczać!

Victoria skrzywiła blade wargi w słabym, pełnym wdzięczności uśmiechu.

- Dziękuję, że to powiedziałas, Adeline. To dla mnie bardzo ważne.

Frances zrobiła kilka nerwowych kroków w stronę okna i z powrotem.

- Może pomogłoby ci, gdybym ja porozmawiała z Johnem - zaproponowała.

Victoria uśmiechnęła się ponownie, lecz tym razem jej uśmiech był gorzki.

- Możliwe, Frances, że masz teraz dobre intencje, ale jest już za późno. Wiesz od lat, że mi się w małżeństwie nie układa. I nie martwiło cię to ani trochę. Teraz przyszło ci na myśl, że mogłabyś mi pomóc. Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, nie wzięło się to wcale stąd, że nagle zaczęłam dla ciebie coś znaczyć. Obawiasz się o reputację rodziny, kiedy wyjdzie na jaw, że się rozwodzę. Dlatego chcesz podjąć się teraz roli pośredniczki.

- Pozwól - zaperzyła się Frances, lecz natychmiast wtrąciła się znowu Adeline.

- Koniec kłótni! Ani słowa więcej! Do niczego to nie prowadzi. Victorio, Frances na pewno miała dobre intencje. Obie chcemy pani dobra!

- Ty, owszem, Adeline - mruknęła Victoria, ale zaraz zamilkła.

Słowo Adeline nadal liczyło się w tym domu. To ona wychowywała dziewczęta, dawniej interweniowała, kiedy kłóciły się o lalki, interweniowała też dzisiaj, kiedy chodziło o inne problemy.

- Jest źle, ale to nie koniec świata - powiedziała.

- Przeciwnie - rozległ się od drzwi głos Charlesa. - To jest dokładnie to. Koniec świata.

Wszystkie aż podskoczyły ze strachu. Żadna nie słyszała, kiedy wszedł. Stał w drzwiach w ciemnym niedzielnym garniturze, który ostatnimi laty był już na niego za duży. Także kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli nie opinał już ciasno jego cienkiej pomarszczonej szyi.

- Ojcie! - zawołała Victoria. Wstała i przez moment wydawało się, że chce mu paść w ramiona, lecz coś powstrzymało ją i odebrało jej pewność siebie, pozostała więc na swoim miejscu.

- Może nie wszystko pan słyszał, sir - powiedziała Adeline. - Przed wydaniem sądu powinien pan dokładnie poznać okoliczności.

Na twarzy Charlesa odmalowało się zmieszanie.

- Co masz na myśli, Adeline?

- Wszystko ci wyjaśnię, ojciec - rzekła bezdźwięcznym głosem Victoria.

Frances pierwsza pojęła, że przypuszczalnie rozmawiają o dwóch różnych sprawach.

- Ojciec, co się stało? - spytała tknięta przecuciem.

- Premier podał to właśnie do wiadomości - odparł Charles. Bładość jego twarzy pogłębiła się. - Znajdujemy się w stanie wojny z Niemcami.

Zupełnie zapomniały włączyć z powrotem radio. Charles usiadł przed odbiornikiem w salonie. Termin ultimatum upłynął. Strona niemiecka się nie ugięła.

Victoria zrozumiała z wolna, że ojciec nie ją miał na myśli, mówiąc o końcu świata; zdradzał to przelotny odcień ulgi w jej rysach. Adeline stała osłupiała ze strachu.

- O, nie! - wyszeptała Frances.

- Boże, chroń Anglię! - powiedział Charles.

Victoria oświadczyła, że jej noga nie postanie już w domu Johna, i od razu wieczorem wprowadziła się z powrotem do swego pokoju w Westhill. Od Johna nie było telefonu przez cały dzień, a co dopiero, żeby zjawił się osobiście.

- Mogłam się też przecież rzucić do wody - rzekła z goryczą Victoria - ale on w ogóle się mną nie przejmuje. Nie próbuje nawet dowiedzieć się, gdzie jestem!

- Dla niego to przecież oczywiste, że jesteś tutaj - powiedziała Frances. - Zawsze biegłaś do domu, kiedy pojawiał się jakiś problem. Dlaczego tym razem miałabyś się topić?

Victoria popatrzyła na siostrę urażona.

- Czasami naprawdę bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego tak mnie bez przerwy nienawidzisz.

Frances pokręciła głową.

- Nie powiedziałabym, że cię nienawidzę. Dlaczego musisz od razu ujmować to tak dramatycznie? Jesteśmy po prostu bardzo różne, na tym polega problem. Nie rozumiemy się nawzajem.

- Miałaś mi za złe, że wyszłam za Johna. Choć sama go nie chciałaś, do innej też miał nie należeć.

- Bzdura!

- Teraz możesz triumfować. Straciłam Johna. Już przed wielu laty. Nie wyszło mi z nim.

- Nie użalaj się teraz nad sobą - rzekła z rozdrażnieniem Frances. - Idź do swojego pokoju i się połóż. Wyglądasz na zmęczoną jak pies!

Odwróciła się i odeszła, nie zwracając już uwagi na Victorię.

W pewnym sensie Victoria wybrała korzystny dzień do przekazania swej hiobowej

wieści, gdyż w ogólnym zamieszaniu spowodowanym przez wybuch wojny dramat rozwodowy zszedł zrazu, jak się wydawało, na dalszy plan. Charles powiedział tylko zmęczonym głosem: „Ach, dziecko!” i usiadł z powrotem przy odbiorniku radiowym w salonie. Przejął się jednak sprawą bardziej, niż początkowo dał po sobie poznać. Kiedy Frances zeszła w nocy na dół po szklankę wody, zastała ojca siedzącego w salonie. Nic nie robił, wydawał się jedynie wsłuchiwać w tykanie stojącego zegara, nadzwyczaj głośne wśród panującej ciszy.

Frances podeszła cicho do niego.

- Powinieneś pójść spać, ojcze. Niedobrze jest rozmyślać za dużo.

Podniósł na nią wzrok.

- W moim wieku człowiek nie potrzebuje już tak dużo snu.

- Ale nie jest tak jak podczas poprzedniej wojny. Nie musimy wysyłać nikogo z nas.

Dzięki temu, ojcze, jest nam łatwiej.

- Naziści są wielkim zagrożeniem. Chcą podbić cały świat. A Niemcy są silni, Frances. Kiedy chcą zwyciężyć, wykazują ogromną determinację. Jeśli wygrają tę wojnę, nie będzie już warto żyć na tym świecie.

- Ale gdy będziesz siedział tutaj i zmitręzysz noc, też niczego nie zmienisz. Spróbuj zapomnieć o Hitlerze na parę godzin.

- Szczerze mówiąc - rzekł Charles - to raczej twoja siostra spędza mi teraz sen z powiek.

- Ona jednak śpi spokojnie.

- Dlaczego musi mi to robić? Nam wszystkim. Rozwód! Dziś po raz pierwszy pomyślałam, że to dobrze, że wasza matka tego nie dożyła. Coś takiego złamałoby jej serce!

Frances zadała sobie w duchu pytanie, jak to możliwe, że ojciec tak fałszywie ocenia kobietę, z którą spędził pół życia i którą kocha bałwochwalczo jeszcze po jej śmierci. Maureen nie była człowiekiem, któremu coś takiego mogło złamać serce, mniejsza o to, z jakiego powodu. Nie trwałaby długo w rozpacz. Próbowalaby zrobić w tej sytuacji to, co się dało zrobić.

Choć nie miała zbyt ochoty wstawiać się za Victorią, czuła się w obowiązku wyjaśnić ojcu, że Victoria faktycznie ma za sobą długi okres cierpienia i że trzeba jej przyznać, iż próbowała oszczędzić rodzinie tej tragedii.

- John naprawdę obchodził się z nią źle - powiedziała. - W ciągu ostatnich dwudziestu lat musiała znieść niejedną udrękę.

Charles mimo woli zacisnął lewą dłoń, szczupłą dłoń starego mężczyzny z



pojawiającą się na skórze siatką żył i wieloma brunatnymi plamami.

- Wiem. Dobrze o tym wiem. Przychodziła tu przecież co parę dni i wyplakiwała się przede mną. Nie myśl, że mnie to nie ruszało. Jej widok, ten obraz nędzy i rozpacz, czasem omal nie rozdzierał mi serca. Ale człowiek - pochylił się do przodu, jego głos brzmiał teraz twardo i chłodno, mówił zresztą bardzo powoli i akcentując każde słowo - wytrzyma! Rozumiesz? Kiedy coś już zaczął, to wytrzyma. Nie robi uników. Trwa przy tym, na co się zdecydował.

- Okoliczności mogą się zmienić. Nikt nie ma obowiązku cierpieć przez całe życie.

Charles oparł się z powrotem o fotel. Otworzył zaciśniętą dłoń.

- Nie potrafisz tego zrozumieć. Możliwe, że całe twoje pokolenie nie potrafi tego zrozumieć. Żyjemy w czasach upadku wszelkich wartości. To bardzo smutne, że musimy na to patrzeć. Przyjrzyj się choćby rodzinie królewskiej! Lekkomysłny Edward - rezygnuje z tronu, żeby ożenić się z tą szemraną damą z Ameryki... Jego obowiązkiem, jego powinnością w tym życiu było panowanie jako król Anglii. Od tego się nie ucieka.

- Ty zrezygnowałaś z wielu przywilejów, żeby ożenić się z mamą. To ty powinieneś to rozumieć.

- Nie zostawiłem na lodzie całego kraju. Nikogo, kto mnie potrzebował.

- Chodzi o Victorię - przypomniała Frances. - I Victoria też nie zostawia nikogo na lodzie. A już na pewno nie Johna, który od lat traktuje ją jak powietrze. Ojciec - położyła rękę na jego dłoni - nie mam powodu, żeby brać ją w obronę, wiesz o tym. Nigdyśmy się nie lubiły. Ale Victoria ma prawo do odrobiny szczęścia w życiu, a z Johnem...

Przerwał jej bezpardonowo.

- Prawo? To właśnie wam zarzucam! Tobie i twojemu pokoleniu. Ciągłe szastanie na prawo i lewo tym pojęciem. Że macie prawo do tego i do czegoś innego, a jeśli wam się go nie przyzna, to sobie je weźmiecie, w ostateczności siłą. Na czym opierasz wszystkie te prawa? - Cofnął dłoń i podniósł się tyleż z wysiłkiem, co z wściekłością. - Mówię ci, zasadniczo nie masz w ogóle żadnych praw. Żadnych! Nawet prawa do życia. A tym bardziej do szczęścia. Kto, do cholery, mówi, że mamy prawo do szczęścia?

- A ty jakie masz prawo wyrokować o tym? - odparła zimno Frances.

Popatrzył na nią z wyrazem wściekłości i pogardy w oczach, po czym wyszedł z pokoju bez słowa.

Victoria obstawała przy tym, że jej noga nigdy więcej nie postanie w Daleview, ale po dwóch dniach zaczęła lamentować, że zostały tam wszystkie jej rzeczy osobiste: ubrania, bielizna,

buty. Nie zabrała nawet ciepłego żakietu, a przecież już teraz, na początku września, powietrze bywało chłodne.

- Przecież możesz sobie pożyczyć ode mnie wszystko, czego potrzebujesz - zaproponowała Frances. - Poza tym są jeszcze rzeczy po mamie!

Oczy Victorii natychmiast napełniły się łzami.

- Nie potrafisz zrozumieć, że chcę mieć swoje rzeczy? Ja... ja po prostu ich potrzebuję. W przeciwnym razie miałabym wrażenie, że już nic w moim życiu nie jest trwałe!

Słowa te rozdrażniły Frances, lecz Adeline okazała zrozumienie.

- Ona potrzebuje czegoś, co należy do niej. Straciła wszystko, co było jej życiem. Musi schronić się z powrotem w domu, bo w małżeństwie poniosła klęskę. Musi zatrzymać coś, co wiąże tylko z sobą.

Frances wyznała, że trudno jej zrozumieć, jak kobieta może lamentować z powodu ciuchów, kiedy jej kraj od kilku dni znajduje się w stanie wojny i na każdym kroku występują o wiele poważniejsze problemy. W końcu jednak oświadczyła, że jest gotowa pojechać z Adeline do Daleview i spakować walizkę z najważniejszymi osobistymi rzeczami Victorii.

- Nigdy ci tego nie zapomnę, Frances - rzekła Victoria ze szczerą wdzięcznością i głęboką ulgą w głosie.

- Już dobrze. Robię to, żeby skończyły się te twoje ciągłe lamenty - odparła Frances, a Victoria bez słowa tylko zacisnęła wargi.

W ten słoneczny wrześniowy dzień, promiennie jasny i bezchmurny, powietrze było świeże i chłodne niczym czysta woda źródłana.

Kiedy przyjechały do Daleview, Johna nie było w domu, a lokaj, który otworzył im drzwi, okazał się niezdolny do właściwej oceny sytuacji. Naturalnie znał Frances, znał też Adeline, ale nie wiedział, czy może je zaprowadzić do garderoby pani Leigh i pozwolić im spakować jej ubrania.

- Nie wiem - powiedział bezradnie. - Potem mogę mieć nieprzyjemności...

Zasięgnięto rady Sarah, pokojówki Victorii; ta zgodziła się w końcu pójść z obiema kobietami na górę. Jak się okazało, umierała wprost z ciekawości.

- Pani Leigh pewnie już nie wróci? - zapytała, poufale ścisząc głos i bardziej zwracając się do Adeline, która stała na tym samym co ona szczeblu drabiny społecznej.

Adeline nie widziała chyba powodu, żeby nie odpowiadać na to pytanie.

- Nie, pani Leigh nie wróci.

- Był strasznie pijany tej nocy, zanim odeszła! - W głosie Sarah nie można było nie dosłyszeć przyjemnego dreszczu. - W bibliotece rzucił krzesłem o ścianę, odłamały się przy

tym dwie nogi. Wrzeszczał na nią, że nie może już z nią wytrzymać. Biedna pani Leigh była całkiem blada. Próbowwała coś wtrącić, ale wtedy wrzasnął na nią, żeby się zamknęła, bo inaczej on nie ręczy za siebie! Czy to nie okropne?

Cudowne przedstawienie teatralne dla służby, pomyślała Frances.

Dotarły do przestronnej garderoby Victorii, oklejonej tapetą w róże i słoneczniki. Znajdowało się tam kilka szaf ściennych. Pośrodku pomieszczenia stała toaletka z lustrem o prześlicznie rzeźbionych ramach. Leżał na niej komplet srebrnych szczotek, grzebieni i lusterek, obok stały hebanowe kasetki na biżuterię wykładane kością słoniową.

- Najlepiej weźmiemy to wszystko ze sobą - postanowiła Frances. - Bez biżuterii i szminki Victoria jest przecież stracona.

Otworzyła jedną ze szkatulek i popatrzyła na błyszczące precjoza. Pewnie kiedyś Johnowi nic nie wydawało się za drogie dla żony. Było to jednak zbyt dawno, żeby zrobiło jeszcze na Frances jakieś wrażenie. Przez chwilę pomyślała - bardzo rzeczowo, w żadnym razie współczująco - że Victoria faktycznie upadła nisko i przeżyła twarde lądowanie, co było dla niej samej zupełnie niezrozumiałe.

- Na dobrą sprawę pan Leigh nie powinien mieć nic przeciwko temu - rzekła Sarah. Sądząc po jej głosie, czuła się jednak dość nieswojo. - Wszystkie te rzeczy należą przecież do pani Leigh.

- A to, co tu robimy, idzie na moje konto - oświadczyła Frances. - Niech pani się nie martwi, Sarah!

Jej spojrzenie prześlizgnęło się wzdłuż drzwi szaf. Victoria musiała mieć garderobę, która wystarczyłaby na całe małe miasto.

- Musi nam pani pomóc wybrać kilka rzeczy z garderoby - ciągnęła. - Nigdy w życiu nie zdołamy zabrać wszystkiego, zresztą nie miałybyśmy nawet gdzie tego schować u nas. Przyda się bielizna, pończochy, buty, parę rzeczy do noszenia na dzień, lżejszych, ale i cieplejszych, płaszcz, kurtka i kilka swetrów. I długie spodnie, jeśli Victoria ma coś takiego.

Długich spodni nie miała, ale Sarah oświadczyła, że mimo to wybierze wystarczającą ilość garderoby dla niej. Frances poleciła Sarah i Adeline zająć się pakowaniem, a sama usiadła na parapecie i zapaliła papierosa. Widziała, że Sarah otwiera już usta, by zaprotestować, lecz najwidoczniej nie odważyła się jednak nic powiedzieć, gdyż bez słowa zaraz je zamknęła.

Na sam koniec, składając swetry i umieszczając w torbie jedwabne pończochy, zapytała jakby mimochodem:

- Czy oni się rozwiodą: pan i pani Leigh?

Adeline popatrzyła na Frances, Frances wzruszyła ramionami.

- Wygląda na to, że to zrobimy - rzekł John, wchodząc do pokoju. Wskazał walizki i porozkładane części garderoby. - Co się tutaj dzieje?

Na twarzy Sarah pojawiły się natychmiast czerwone plamy.

- Panna Gray powiedziała... myślałam... że my - zaczęła się jąkać.

Frances zsunęła się z parapetu.

- Poleciłam Sarah, żeby nam pomogła. Victoria potrzebuje paru rzeczy.

- Naturalnie - powiedział John. - To przecież oczywiste.

Miał na sobie spodnie do jazdy konnej, wysokie buty i sweter. Podczas lata mocno opalił sobie twarz. Włosy zaczęły mu już siwieć na całej głowie. Tego ranka wydawał się zaskakująco odprężony, a przypuszczalnie jeszcze nic nie pił. W tym momencie wcale nie przypominał mężczyzny, o którym można by pomyśleć, że żona od niego odeszła, bo życie z nim stało się nie do zniesienia.

- W czasie gdy one będą tu pakować - zaproponował - my, Frances, moglibyśmy gdzieś porozmawiać.

Adeline obrzuciła go baczny spojrzeniem.

- W porządku - odparła obojętnie Frances i wyszła razem z nim z pokoju.

- Lepiej, że tak się ułożyło - powiedział John. - Lepiej dla Victorii. Odzyska wreszcie spokój.

Siedzieli na tarasie za domem, skąd rozciągał się widok na park. Frances bardzo dawno już tutaj nie była; jej spotkania z Johnem odbywały się w innych miejscach, poza tym wolała nie wchodzić do domu, w którym mieszkała jej siostra. Zauważyła, że park bynajmniej nie jest już tak zadbane jak w czasach, kiedy żyła jeszcze matka Johna i ona miała w domu decydujący głos.

Na początku małżeństwa Victoria z pewnością miała ambicję i energię, by pod każdym względem naśladować zmarłą w międzyczasie teściową. Jednak w ostatnich latach musiała się zmagać ze zbyt wieloma problemami natury osobistej, ażeby mogła troszczyć się jeszcze o dom i park.

Sam personel naturalnie nie robił nic więcej niż to absolutnie konieczne. Większość krzaków rozrosła się dziko, przez co niektórymi drózkami nie dało się przejść. Letnie burze poczyniły szkody wśród drzew, ale nikt nie zbierał połamanych gałęzi z trawników. Trawa była zbyt wysoka, chwasty na grządkach zasłaniały Nieliczne kwiaty, jakie ocalały. Frances zastanawiała się, czy John to zauważył i jest mu to obojętne, czy może w ogóle tego nie widzi.

Siedzieli na fotelikach wyplatanych z wikliny i popijali whisky. Frances podejrzewała, że jej pojawienie się w Daleview jest mu na rękę choćby dlatego, iż dzięki temu ma okazję i powód, by napić się whisky już przed południem.

Kiedy wychodzili, chciał ją pocałować w salonie, lecz mu nie pozwoliła.

- Nie teraz...

- Dlaczego?

- Po prostu nie wydaje mi się, żeby to było właściwe - powiedziała, na co on się roześmiał, ale pewnie zrozumiał, co dzieje się w jej wnętrzu.

Teraz zaś dodała:

- Parę dni temu zachowałeś się pewnie trochę niewłaściwie, wszyscy opowiadając o tym, mają strach w oczach. Victoria bała się ciebie, także Sarah myślała, że możesz nawet zrobić żonie krzywdę!

- Co za bzdury - odparł John, bębniąc ze złością palcami po poręczu fotela. - Za dużo wypilem, to wszystko. Nigdy w życiu nie zaatakowałem Victorii, przez te wszystkie dwadzieścia osiem lat. Ona ma okropną skłonność do dramatyzowania.

- Podobno połamałeś krzesło w bibliotece.

- Możliwe. A może nawet były dwa. Dobry Boże, kiedy człowiek jest pijany, robi rzeczy, za które wstydzi się nazajutrz rano, prawda? Ale na pewno nie dopuściłem się napaści na nikogo.

- Ciężko było jej z tobą w ostatnich latach.

- Wiem.

Jednym haustem opróżnił swoją szklaneczkę, po czym zajrzał do środka, jakby istniała szansa, że jeszcze coś w niej znajdzie. Frances wiedziała, że zastanawia się, czy byłoby bardzo nierozsądne, gdyby nalał sobie jeszcze jedną.

- Źle ją traktowałem, a ona na to nie zasłużyła - powiedział. - Kiedy wróciłem z wojny, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jej nie znoszę. Stałem się kimś innym, a ona była w dalszym ciągu taka urocza i uległa i patrzyła na mnie jak dawniej swymi dużymi oczyma, i sądziła, że możemy rozpocząć na nowo tam, gdzie przerwaliśmy. Nie zrozumiała nic z tego, co wydarzyło się w świecie w ciągu tych czterech lat.

- A jak miała zrozumieć? Siedziała tutaj w Daleview i całymi dniami i nocami zadrezczała się pytaniem, dlaczego nie może mieć dzieci. Z tego co działo się we Francji, prawie nic tutaj nie docierało.

- Frances, w wypadku Victorii nie to jest decydujące. Do niej nic nie może dotrzeć, bo jej nic nie interesuje. Oprócz mody i plotek towarzyskich. To jedyna rzecz, z

której trochę rozumie.

Frances uśmiechnęła się złośliwie.

- Wiedziałeś o tym, zanim się z nią ożeniłeś.

Posłał jej długie spojrzenie, obracając w rękach pustą szklaneczkę. Jeszcze tylko kilka minut, a nie zdoła się powstrzymać: wstanie i napełni szklaneczkę na nowo.

- Możesz mi wierzyć lub nie - powiedział - ale nie ożeniłem się z nią wtedy po to, żeby ci zrobić na złość. Przez jakiś czas naprawdę zamierzałem z nią żyć jak trzeba. Widziałem, że jest powierzchowna i niezbyt inteligentna, ale była bardzo rozbijająca i w pewnym sensie... przewidywalna. Ty natomiast w ogóle taka nie byłaś, i tego miałem dosyć. Może gdyby wojna nie wybuchła, gdybym nie popełnił we Francji tego okropnego błędu... Kontynuowałbym swoją karierę polityczną, a ona pomagałaby mi ze wszystkich sił. Wiedziałem, że zawsze mógłbym liczyć na jej lojalność. Wojna w jakimś sensie wyrzuciła mnie z orbity. Co prawda nie mieszkam w chacie jak twój brat i nie maluję obrazów przypominających koszmar senny, ale mnie to wykańcza. - Uniósł szklaneczkę, w której rozpuściła się właśnie ostatnia kostka lodu. - W ciągu ostatnich dwudziestu lat wypilem tyle, że codziennie dziwię się, że jeszcze żyję. Jestem też zdziwiony, że wszystko ciągle w miarę funkcjonuje tu, w Daleview. Mam dobrych ludzi. Sam nie mogę sobie przypisać nawet jednej zasługi, że wszystko działa jak trzeba.

Frances nic nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na park w dole, w którym dawniej o tej porze roku jesienne kwiaty tworzyły morze ognistych barw. Upadek był bardziej widoczny, niż przypuszczalnie John sobie uświadamiał. Spomiędzy kamieni na tarasie wyrastały grube poduszki mchu, a otaczającą taras balustradę pokrywały jakieś oślizgłe zielone porosty. Frances poczuła chłód i skuliła ramiona. Tego dnia powietrze tak czy owak było rześkie, pomimo słońca, ale tutaj, w cieniu ogromnego kamiennego domu, zrobiło się naprawdę zimno. Frances uprzytomniła sobie, że odkąd pamięta, te zimne dreszcze ogarniały ją zawsze wtedy, kiedy przebywała w Daleview.

- W pewnym momencie miałem jej dość - ciągnął John. - Miałem dość jej słodkiej buzi, jej dużych oczu i tego, że nie jest w stanie zrozumieć, co się ze mną dzieje... A może w ogóle wszystkiego miałem dość. Sam siebie już nie poznawałem. Sądzę, że alkohol wypala w człowieku to i owo, także to, co czyni cię tym, kim jesteś. Naprawdę cię zmienia. Nie jesteś już tą samą osobą. - Wstał. - Do diabła, przed tobą nie muszę udawać, prawda? Przyniosę sobie jeszcze jedną whisky. Też chcesz?

Pokręciła głową. Zresztą i tak tylko parę razy umoczyła usta, whisky w jej szklaneczce była prawie nietknięta. Popatrzyła za nim, jak znika w głębi domu. W minionych latach,

kiedy spotykała się z Johnem - czasami co tydzień, a potem znowu przez miesiąc lub dwa w ogóle - naturalnie nie ukryło się przed nią, że pije. Nie zauważyła jednak, że to już poważna c h o r o b a, a może tak skutecznie odsuwała od siebie tę myśl, iż rzeczywiście nigdy nie dotarło to do jej świadomości. Co dziwne, dopiero tego ranka pojęła, jak bardzo John jest uzależniony od alkoholu. Czuła się trochę oszołomiona i najchętniej zostałaby teraz sama.

Wrócił John. Kilka promieni słońca, które w międzyczasie dotarły nieśmiało na taras, roziskrzyło jak bursztyn whisky w jego szklaneczce. Napełnił ją zresztą po brzegi.

Teraz wstała także Frances.

- Przejdźmy się chwilę po parku - zaproponowała. - Jest mi okropnie zimno. Pakowanie zajmie Adeline jeszcze trochę czasu.

- Nie będę rzucał Victorii kłód pod nogi - oświadczył John, który z bladą twarzą wpatrywał się w alkohol przed sobą. - Dostanie rozwód najszybciej, jak to możliwe. Jakiegokolwiek inne zachowanie byłoby nie fair.

Usiadł z powrotem na swoim fotelu. Trochę whisky wylało się z naczynia na jego dłoń i znaczyło na niej wilgotny błyszczący ślad.

- Pytałam cię, czy pójdziemy do parku - przypomniała Frances z lekkim zniecierpliwieniem.

John zaczął pić, koncentrując się tylko na tej jednej czynności. Frances poczekała jeszcze chwilę, lecz wydawało się, że nagle zniknęła z jego świadomości. Zrozumiała, co miała na myśli Victoria, mówiąc: „Czasami po prostu nie istnieję dla niego”.

Zeszła po stopniach do parku. Po tym, jak zmarzła w cieniu, wydało jej się, że jest naprawdę ciepło. Słońce głaśkało jej nagie ramiona. Ruszyła szybciej, jakby mogła w ten sposób uwolnić się od niepokoju, który ścisnął jej serce. Za jej plecami został wysoki ciemny dom z wieloma oknami. Także mężczyzna siedzący na tarasie i pijący whisky. Zostało też za nią przerażenie tym, co było, i żal za tym, co mogło być.

## *Czerwiec - październik 1940 roku*

„Będziemy bronić swojej wyspy bez względu na koszty”, powiedział nowy premier Winston Churchill, „będziemy walczyć w zatokach, będziemy stawiać wrogowi zaciekły opór, gdziekolwiek natkniemy się na niego, będziemy walczyć na polach i na ulicach, i na wzgórzach; nigdy się nie poddamy!”

Cała Anglia siedziała przed odbiornikami radiowymi i słuchała słynnej później „litanii oporu” Churchilla, który dokładnie trafił z nią do ludzkich serc. Wyrwał swoich rodaków z letargu i rezygnacji w tych ponurych miesiącach wczesnego lata 1940 roku, kiedy Niemcy walczyli w Norwegii, zajęli Belgię, Luksemburg i Holandię i wkroczyli do Francji. Premier Chamberlain ustąpił po fali powszechnej miażdżącej krytyki, z jaką spotykała się jego polityka niedrażnienia Hitlera; na karb prowadzonej przez niego do 1939 roku polityki zagranicznej złożono teraz to, że wojska niemieckie rozlewają się po Europie z taką niepowstrzymaną mocą. Churchill, jego następcą, od razu zaczął mówić innym językiem, jasnym i jednoznacznym, i bez żadnego upiększania. Rządy narodowych socjalistów w Niemczech nazwał „niesamowitą tyranią, nienotowaną jeszcze nawet w najczarniejszym katalogu zbrodni ludzkości”.

„Pytacie, co jest naszym celem?”, grzmiał w Izbie Gmin. „Mogę to wyrazić jednym słowem: zwycięstwo, zwycięstwo za wszelką cenę, zwycięstwo mimo wszelkiego terroru. Zwycięstwo bez względu na to, jak długa i jak twarda będzie droga wiodąca do niego!”

W momencie gdy Anglicy drętwieli już z przerażenia przed zwycięską ofensywą Niemców, Churchill przywrócił swym rodakom wiarę w siebie, odwagę i zdecydowanie. Cały kraj ogarnął wielki entuzjazm po szczęśliwej ewakuacji 33000 brytyjskich i francuskich żołnierzy z okrajonej Dunkierki, gdzie będąc pod ostrzałem wojsk niemieckich, mieli za plecami tylko morze. Po kanale La Manche kursowało bez przerwy tam i z powrotem 860 statków i łodzi, przewożąc żołnierzy na bezpieczną wyspę. Mimo że lądowali na niej wyczerpani i stracili całą artylerię, witano i fetowano ich jak po zwycięstwie. Sprzątnięto ich Niemcom sprzed nosa. I pokazano Niemcom, że z Anglikami muszą się liczyć.

Wojna zaznaczyła swoją obecność nawet w Leigh's Dale, gdzie życie zawsze toczyło się sennie i reszta świata wydawała się odległa o spory kawałek. Większość młodych mężczyzn została powołana do wojska - z wyjątkiem nielicznych, którzy byli niezbędni na swoich farmach; ostatecznie należało w jakiś sposób zabezpieczyć zaopatrzenie ludności w żywność.



Leigh's Dale opłakiwało już jednego poległego: podczas oblężenia Dunkierki zginął od niemieckich bomb, tuż przed ewakuacją jego oddziału, syn pastora. Ojcu przekazano wprawdzie tylko zwłoki, lecz w każdym razie dzięki temu niespełna dziewiętnastoletni młodzieniec mógł zostać pochowany w rodzinnych stronach. W pogrzebie uczestniczyła cała wioska. Wszyscy wiedzieli, że opłakuje się tutaj pierwszą ofiarę, ale nie ostatnią.

Czternastego czerwca padł Paryż. Wobec katastrofalnej klęski nowo utworzony rząd Pétaina poprosił o zawieszenie broni. Generał Charles de Gaulle, któremu udało się uciec do Anglii, oświadczył, że nigdy nie uzna tej kapitulacji. W następnych latach miał popierać z wygnania ruch oporu we Francji i nieustannie wzywać swych rodaków do walki z niemieckim okupantem.

Nastąpiły pierwsze bombardowania różnych celów w hrabstwie Essex; Brytyjczycy odpowiedzieli nalotami na Hamburg i Bremę. Pod koniec czerwca Niemcy zajęli brytyjskie wyspy w kanale La Manche. W lipcu doszło do masowych ataków powietrznych na południowo-wschodnie rejony Anglii. Anglicy rozpoczęli nocne naloty na niemieckie miasta. W sierpniu pojawiła się w Leigh's Dale obca osoba, kobieta, której nikt nie znał, której nikt nigdy wcześniej nie widział. Naturalnie stała się natychmiast głównym tematem plotek i najbardziej nieprawdopodobnych przypuszczeń. Przez kilka dni mówiono nawet, że jest Niemką i zapewne szpiegiem, odezwały się też pierwsze głosy, żeby najlepiej wypędzić ją z wioski albo jej „pokazać, co robi się z taką, która wydaje Anglików Niemcom”. Bardziej roztropni zwracali od razu jak najsluszniej uwagę na to, że akurat w Leigh's Dale z całą pewnością nie ma czego szpiegować.

Potem okazało się, że młoda kobieta jest Francuzką, która wyemigrowała przed niemieckim okupantem. Zatrzymała się w gospodzie The George and Dragon Inn, w której wynajmowano także pokoje; zakwaterowała się w skromnej izdebce na poddaszu, gdzie z racji sierpniowych upałów musiało być nieznośnie duszno, w zimie zaś nie dało się jej dogrzać. Właściciel zajazdu opowiadał, że kobieta mówi całkiem porządnie po angielsku, choć z jednoznacznie francuskim, ale na pewno nie niemieckim akcentem, i że wylegitymowała się francuskim paszportem. Nazywa się Marguerite Brunet.

Frances nie zaprzętała sobie głowy zamieszaniem, jakie wywołało przybycie Marguerite Brunet. Miała dość własnych zmartwień, gdyż z powodu wojny straciła paru młodych pracowników i zauważyła już, że w wielu miejscach robota leży, bo nie ma jej kto wykonać.

- Ten przeklęty Hitler - rzekła z wściekłością do ojca. - Akurat wszystko szło tak dobrze. A on musiał rozpętać wojnę ze wszystkimi i przysporzyć nam kłopotów!

- Jak możesz być taką egoistką! - wtrącała się Victoria, która stała przypadkiem w pobliżu i wszystko słyszała. - Przecież nam powodzi się jeszcze całkiem dobrze. Pomyśl lepiej o tych biednych ludziach we Francji, Holandii albo w Polsce! Im jest o wiele ciężej!

- Ty nie masz o niczym pojęcia! - odparła gniewnie Frances. - Siedzisz tylko po całych dniach, pozwalasz się obsługiwać i biadolisz nad swoim rozbitym małżeństwem. Ty nie masz na głowie kłopotów, z którymi ja muszę się zmagać!

- Jesteś naprawdę wstrętna i bezkrytyczna! - odcięła się jadowicie Victoria. - Zawsze potrafisz tylko...

- Dziewczęta! - rzekł Charles znużonym głosem. Odkąd wiedział, że Victoria zamierza się rozwieść, jakby się jeszcze bardziej postarzał i zamknął w sobie. Widać było po nim, jak bardzo działają mu na nerwy ciągłe kłótnie córek.

- Ja w każdym razie zaprosiłam dziś Marguerite Brunet na popołudniową herbatę - oznajmiła Victoria. - Ktoś powinien zatroszczyć się trochę o nią. Sprawia wrażenie okropnie zagubionej. Musi być jej źle tak daleko od ojczyzny!

- Ach, jak szybko zmieniłaś front - zauważyła uszczypliwie Frances. - Jeszcze parę dni temu byłaś przekonana, jak większość ludzi tutaj, że jest niemieckim szpiegiem. A teraz z miejsca zapraszasz ją na herbatę?

Victoria wzruszyła ramionami.

- W tych czasach należy być ostrożnym. Ale teraz, kiedy jej tożsamość została ustalona, trzeba ją przyjąć jak gościa.

Frances była przekonana, że jej siostra zajmuje się Marguerite wyłącznie z nudów i ciekawości; później jednak uświadomiła sobie, że to samotność skłoniła Victorię do tego gestu przyjaźni. Victoria proponowała pomoc, a w rzeczywistości sama potrzebowała pomocy. Ostatecznie pozostało jej tylko jedno wyjście, rozwód z Johnem, lecz sama już niemal zwątpiła, że kiedykolwiek do niego dojdzie.

Prawie codziennie zjawiała się na śniadaniu z zapłakanymi oczyma, potem wypijała parę łyków kawy, a tost i jajko ledwo skubnęła. Jej blada twarz zdradzała, że bardzo rzadko zaznaje snu. Jej życie rozpadło się przed wielu laty, a ona zużyła wszystkie swoje siły, tocząc o wiele za długo walkę, która z góry była skazana na przegraną. Definitywna klęska była bolesna, a towarzyszyło jej głębokie wyczerpanie psychiczne; w takim stanie Victoria nie mogła się raczej bronić przed groźnym mrokiem, jaki panował w jej wnętrzu.

Nie miała nikogo, z kim mogłaby naprawdę porozmawiać. Ojciec w dalszym ciągu potępiał jej decyzję o zakończeniu małżeństwa z Johnem i nie chciał o tym słyszeć. Frances myślała tylko o farmie, wciąż była rozdrażniona i zdenerwowana i robiła taką groźną minę, że

nikt nie śmiał zanudzać jej swymi problemami osobistymi. Pozostawała tylko Adeline, ale była starą kobietą, która w dodatku nigdy nie miała męża i po prostu nie rozumiała wielu rzeczy, jakie Victoria opowiadała o Johnie.

Dopiero po latach Frances uzmysłowiła sobie, że powinna była zrozumieć, iż Victoria zabiega o przyjaźń nieznajomej Francuzki: wszak była to jej pierwsza próba wyciągnięcia się z bagna za własne włosy.

Ale w owym sierpniu 1940 roku nie potrafiła być wielkoduszna i irytowało ją, że Victoria narzuca na siebie płaszcz miłości bliźniego tylko po to, żeby pokazać, jaka jest ważna, i wtykać nos w prywatne sprawy innych ludzi.

- Czekam rozpaczliwie na jakąkolwiek wiadomość od mojego męża - powiedziała Marguerite Brunet.

Mówiła bardzo poprawną angielszczyzną z mocnym akcentem francuskim. Była ładną kobietą: ciemne włosy i ciemne oczy, drobnej budowy i mimo że miała na sobie skromną, znoszoną letnią sukienkę, odznaczała się ujmującą elegancją, która biła z jej postawy i ruchów. Victoria nie spuszczała z oczu jej warg, by nie uronić ani słowa. Słuchała jej również Frances, która zamierzała się tylko przywitać i wrócić od razu do swoich spraw, lecz potem jednak została w pokoju. Charles, w swoim starym fotelu, wydawał się bardziej ożywiony niż zwykle.

- Niemcy aresztowali go w dzień po tym, jak padł Paryż - ciągnęła Marguerite. - Przyszli wcześniej rano, kiedyśmy jeszcze spali. Nie pozwolili mu niczego wziąć ze sobą, nawet paru ciepłych rzeczy na okres, kiedy zrobi się chłodniej.

- Może pani mąż wróci, zanim nastanie jesień - rzekła Victoria.

Marguerite uśmiechnęła się smutno.

- Nie sądzę.

- Jaki był powód aresztowania? - spytała Frances.

- Fernand - mój mąż - prowadził od lat we Francji antynazistowską działalność. Był członkiem organizacji pomocy prześladowanym, która przerzucała ludzi z Niemiec do Francji przez granicę. Nigdy mi nic nie opowiadał, ale naturalnie zorientowałam się, że coś przede mną ukrywa i nocami nie wraca do domu. Myślałam już, że to inna kobieta... - Zagryzła wargi, po czym dodała cicho: - Dziś wołałabym, żeby tak było. Bolałoby, ale nie byłoby aż takie złe jak to, co stało się teraz.

- Pani mąż powinien był uciec, kiedy Hitler wkroczył do Francji - wtrącił Charles.

- Zaklinałam go, żeby to zrobił - rzekła Marguerite. - Powiedziałam mu, żeby

wyjechał z Francji najszybciej, jak to możliwe. Nie chciał. Nie dostrzegał niebezpieczeństwa. Był przekonany, że jest dla nazistów kimś anonimowym i może w dalszym ciągu ich zwalczać.

- Ale nie był dla nich kimś anonimowym - mruknęła Frances.

Marguerite skinęła głową.

- Podejrzewam, że ktoś go wydał. W każdym razie nie tracili czasu. Kiedy wychodził z nimi, był przeraźliwie blady. Widziałam, jak bardzo się boi.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Każdy pocieszający komentarz zabrzmiałby śmiesznie. Nawet dla naiwnej Victorii było jasne, że mąż Marguerite miał wszelkie powody, żeby się bać.

- Potem próbowałam zdobyć o nim jakieś informacje. Udało mi się dowiedzieć, że zabrali go do Niemiec. Do obozu koncentracyjnego pod Monachium. Nazywa się Dachau.

- Wie pani, w takim obozie przypuszczalnie jest ciężko, ale na pewno można przeżyć - powiedziała Frances. - Nawet Niemcy nie mogą zabić każdego, kto im nie pasuje. Kiedyś go zwolnią. A może to wszystko i tak szybko się skończy. Hitler nie może zawsze zwyciężać. Kiedyś cały ten koszmar minie.

- Niestety wiem, że sprawy przedstawiają się gorzej, niż ktokolwiek potrafi sobie wyobrazić - odrzekła Marguerite. - Mąż mi opowiadał. Oni w obozach systematycznie zabijają ludzi. Stałby się cud, gdyby udało mu się ostać przy życiu.

- Proszę nie mówić takich strasznych rzeczy! - zawołała Victoria.

Marguerite posłała jej dziwnie chłodne spojrzenie.

- Należy patrzeć faktom w oczy. W takim wypadku jak ten na pewno nie należy oddawać się całkiem rozpacz, ale nie wolno też czynić sobie zbyt wielkich nadziei. Staram się pozostawać gdzieś pośrodku.

- W każdym razie uważam za rozsądny krok, że wyjechała pani z Francji - wtrącił Charles.

- Naprawdę? Czuję się jak dezterka. W dwa tygodnie po tym, jak wywieźli mojego męża, odebrałam anonimowy telefon. Jakiś mężczyzna ostrzegł mnie, że następnego dnia mam zostać aresztowana. Do dzisiaj nie wiem, kto to był. Przez pół nocy się wahałam. Nie chciałam zostawiać męża w niebezpieczeństwie. Myślałam, że jeśli mnie aresztują, to może się z nim spotkam. Wtedy przynajmniej, będąc razem, przetrzymalibyśmy wszystko. Ale w końcu powiedziałam sobie, że nie mogę mieć pewności, czy trafię do tego samego obozu co on. A gdyby mnie aresztowano, nie mogłabym już w ogóle nic zrobić. Nad ranem spakowałam parę rzeczy i uciekłam do przyjaciół. A później przez Hiszpanię i Portugalię

dostałam się do Anglii.

- A jaki los rzucił panią akurat do Yorkshire? - spytała Frances.

- W Bradford mieszkała moja daleka krewna. Kuzynka mojej matki, trzeciego lub czwartego stopnia. Przypomniałam sobie o niej. Ale ona, jak się okazało, zmarła w międzyczasie. Pomyślałam więc, że skoro już jestem tu na północy, to równie dobrze mogę zostać. Chciałam poszukać sobie lokum w jakiejś małej wiosce, bo na wsi jest taniej. To, że trafiłam do Leigh's Dale, to kwestia przypadku. - Wzruszyła ramionami. - Tu jest równie dobrze jak gdzie indziej, prawda? Tyle że zostało mi już niewiele czasu na znalezienie jakiejś pracy. Pieniędzy mam jeszcze na mniej więcej cztery tygodnie. A może jednak to był błąd, że zdecydowałam się zamieszkać na wsi? Może w mieście miałabym więcej możliwości?

- Na pewno znajdziemy coś dla pani - rzekła Frances.

- W Paryżu uczyłam w szkole - oświadczyła Marguerite. - Studiowałam matematykę i biologię. Niestety, tutaj raczej mi się to nie przyda. Ale może mogłabym dawać dzieciom prywatne lekcje francuskiego?

Frances nie zdobyła się na to, by jej powiedzieć, że w całej okolicy nie ma przypuszczalnie żadnych dzieci, które uczyłyby się francuskiego. W jedynych dwóch miejscowych rodzinach, w których przywiązywano wagę do wykształcenia, a mianowicie w jej własnej i u Leighów, nie było dzieci. Poza tym mieszkali tu tylko chłopcy. A dla nich liczyły się inne umiejętności niż mówienie po francusku.

Victoria zaskoczyła wszystkich, oświadczając, że ona chętnie zgłosiłaby się na te lekcje. W szkole uczyła się francuskiego i był to przedmiot, w którym się wyróżniała.

- Ale... - zaczęła Frances, lecz Victoria przerwała jej z niezwykłą dla niej ostrością.

- Chcę odświeżyć swoją znajomość języka. O ile jeszcze w ogóle coś pamiętam. Od wieków nie mówiłam po francusku.

Później, kiedy Marguerite wyszła, powiedziała do Frances:

- Ona potrzebuje pomocy, a byłaby zbyt dumna, żeby po prostu przyjąć pieniądze. Będę więc brać lekcje, przynajmniej w ten sposób mogę jej trochę pomóc. To straszne, co ona musi teraz przeżywać, nie uważasz? Ja nie mogłabym znieść tej niepewności.

- Nie pozostaje jej nic innego - odparła Frances. Po czym dodała trochę niechętnym tonem: - Zdziwiasz mnie, Victorio. Nie wiedziałam, że potrafisz tak bardzo troszczyć się o innych ludzi. Marguerite pewnie ci się podoba?

- Uważam, że jest piękna i wykształcona. Poza tym... - Victoria zawahała się chwilę - poza tym jestem bardzo samotna. Potrzebuję trochę urozmaicenia. Dzięki lekcjom francuskiego miałabym przynajmniej coś, co przerywa codzienną monotonię.

- No cóż, w takim razie obie będziecie miały z tego korzyść - zauważyła Frances.

Uważała, że Marguerite jest sympatyczna i bardzo inteligentna, ale zastanawiała się, czy między nią a Victorią faktycznie może zrodzić się przyjaźń. Czy Marguerite poczuje sympatię do wiecznie narzekającej Victorii?

We wrześniu niemieckie samoloty bojowe bombardowały Londyn, powodując poważne zniszczenia w śródmieściu. Noc w noc ludzie uciekali do piwnic pod swoimi domami lub chronili się na stacjach metra. Płonęły całe rzędy budynków, oddziały strażaków gaszących pożary pracowały bez przerwy. Gruzy blokowały ulice. Wojna zbliżyła się niebezpiecznie, determinacja wroga była ogromna.

Hitler planował lądowanie niemieckich wojsk w Anglii, jednak przesunął operację „Lew Morski” z powodu niekorzystnej pogody. Royal Air Force udawało się regularnie zestrzeliwać bombowce wroga, pokazując Niemcom, że Anglicy będą im utrudniać to zadanie. Jednak zwłaszcza w stolicy i w okręgach przemysłowych wśród mieszkańców panował naprawdę duży strach. Bomby niszczyły nie tylko domy i ulice, lecz także osłabiały morale ludzi i zastraszały ich. Całonocne przesiadywanie w schronach przeciwlotniczych, któremu towarzyszył świst spadających bomb i huk detonacji, kosztowało wiele sił i nerwów. Reszty dopełniały, podsycając niepokój i strach, kursujące plotki o zbliżającym się lądowaniu wojsk niemieckich.

W ostatnim tygodniu września Frances odebrała z Londynu telefon od Alice. Był chłodny, przygnębiająco cichy jesienny dzień, mgła, która nie chciała się przerzedzić aż do południa, wydawała się pochłaniać wszelkie głosy i dźwięki. W powietrzu wisiał zapach gnijących liści i wilgotnej ziemi. Zapadał już zmierzch, Frances wracała właśnie ze stajni, gdzie od wczesnego ranka zajmowała się kłaczą, która miała kłopoty z wydaniem na świat źrebca. Teraz jednak mały ogier już się urodził, a matka i dziecko odpoczywali po tych trudach.

Frances była zmęczona i zmarznięta i marzyła o gorącej kąpieli. Kiedy weszła do domu, usłyszała z jadalni głosy Marguerite i Victorii rozmawiających po francusku. Marguerite właśnie się śmiała.

O Victorii można mówić, co się chce, ale jest naprawdę pomocą dla tej biednej kobiety, pomyślała Frances.

W salonie zadzwonił telefon.

- Rozmowa z Londynu - rzekła znudzonym głosem telefonistka, kiedy Frances odebrała.

W słuchawce rozległ się głos Alice. Brzmiał naprawdę okropnie. Był podenerwowany i piskliwy. Alice mówiła tak szybko, że wydawało się, iż lada chwila potknie się o własny język.

- Frances, to straszne. W nasz dom trafiła dziś w nocy bomba. Jest zupełnie zniszczony. W s z y s t k o jest zniszczone. Na szczęście piwnica wytrzymała, ale gdy z sufitu zaczęło się sypać wapno i kurz, myślałam, że już po nas. Hałas był jak w piekle. Naprawdę przerażający. Kiedy wyszliśmy z piwnicy, dookoła wszystko się paliło. Niebo było czerwone od wielu pożarów. Ludzie krzyczeli i...

- Alice - wtrąciła Frances zaklinającym tonem - uspokójże się. Czy komuś z was coś się stało?

- Nie. My jesteśmy cali i zdrowi.

- Gdzie jesteście teraz?

- Schroniliśmy się u znajomych męża. Z naszego domu nic nie zostało. Nie mamy nic oprócz ubrań, które nosimy na grzbiecie!

Alice znajdowała się na granicy hysterii, można to było wyczuć w jej głosie. Frances wyjrzała przez okno, za którym trwał cichy, mglisty dzień. Trudno sobie wprost wyobrazić, jakie sceny musiały się rozgrywać w Londynie minionej nocy. To co opowiadała Alice, pochodziło jakby z innego świata.

- Nie trać teraz nerwów, Alice. Wszystko będzie w porządku. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Możesz wziąć do siebie moje dzieci - odpowiedziała Alice.

Laura i Marjorie miały przyjechać do Northallerton jedenastego października. Deszczowy i wietrzny dzień, szary i ciemny, sztywny z pojęcia „złotej jesieni”. Co miała zrobić Frances?

- Teraz przymusowo ewakuują dzieci z Londynu - powiedziała wtedy jeszcze Alice - a ja boję się o moje dziewczynki. Wywieziono już dzieci zaprzyjaźnionej rodziny. I pewnego ranka siedziały z setką innych na jakimś polu pośród wzgórz Cotswold, a wtedy nadeszli tłumnie okoliczni chłopcy, żeby wybrać sobie dzieci, które chcieli zabrać. Rozdzielano bez żadnych skrupułów nawet rodzeństwa. Musiały się tam rozgrywać okropne sceny. Chcę oszczędzić tego swoim dzieciom, ale nie mogę ich zostawić tutaj, boby mi je odebrano. U ciebie mogłyby przynajmniej być razem.

- W jakim są teraz wieku? - spytała Frances. Niezbyt lubiła dzieci. Nie potrafiła też zajmować się nimi. Ale jeśliby powiedziała „nie”, zachowałyby się podle.

- Laura skończyła właśnie czternaście lat - odparła Alice - a Marjorie ma jedenaście.

Zupełnie są wytracone z równowagi po ostatniej nocy, zwłaszcza Laura. Ale to grzeczne dzieci. Na pewno nie będą ci sprawiać kłopotów.

Dwoje wytraconych z równowagi dzieci, przy czym jedno w trudnym wieku! Tego jej tylko brakowało. Powiedziała jednak „tak”, a potem pozwoliła sobie na podwójną whisky.

Czuła się dziwnie niespokojna, kiedy wyjeżdżała po dzieci na dworzec. Dzień był ponury, a ta ponurość zdawała się zwiastować jakieś nieszczęście. Charles wybrał się z samego rana na grób Maureen, mimo że był mocno przeziębiony i powinien raczej zostać w domu. Naturalnie znów nie pozwolił sobie nic powiedzieć. Victoria była zdenerwowana, bo Marguerite nie przyszła na umówioną o dziewiątej lekcję francuskiego.

- Nic z tego nie rozumiem - rzekła do Frances, kiedy ta zeszła na dół o wpół do dziesiątej, aby wyruszyć do Northallerton. - Zawsze była absolutnie niezawodna. To w ogóle do niej niepodobne, że tak po prostu się nie zjawiała.

- Na pewno jest jakieś wyjaśnienie - odparła z roztargnieniem Frances. - Posłuchaj, Victorio, nie pojechałabyś ze mną na dworzec? Może szybciej zyskałabyś zaufanie dzieci!

- Wolę poczekać na Marguerite. Może przecież zjawić się lada chwila.

Siedząc w samochodzie, przed pracującymi niezamordowane wycieraczkami, Frances zastanawiała się, co może być powodem tego, że czuje się tak nieswojo. Czyżby nie wierzyła we własne siły, że poradzi sobie z tym dwojgiem biednych dzieci? To śmieszne. Dawała sobie w życiu radę ze znacznie trudniejszymi sprawami. Ale gdzieś na tych pustych wiejskich drogach, między skapanymi w deszczu jesiennymi łąkami, targanymi wiatrem drzewami i zasnutymi mgłą pagórkami, kiedy ogarnął ją - niczym postępujący z wolna paraliż - niewyjaśniony smutek, zrozumiała, że po raz pierwszy w życiu czuje się stara i że rodzi się z tego zniechęcenie, które ją naprawdę martwi.

Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad starością, starzenie się odczuwała jako coś pozytywnego, nigdy nie chciała być znowu młoda. Młodość? Dziś była silniejsza niż dawniej, bardziej pewna siebie, znalazła swoje miejsce i szła swoją drogą. Dawniej ciągle czegoś pragnęła, chciała, szukała - teraz to minęło. Pogodziła się z samą sobą, ze wszystkim, co zostało jej dane, ale także ze wszystkim, czego los jej odmówił. Ileż to lat temu skarżyła się po raz ostatni, bo nie była tak piękna jak Victoria. I płakała z powodu Johna.

A dziś... Wiedziała, że wkrótce stanie naprzeciwko dzieci Alice. Dzieci, które bezlitośnie uprzytomnią jej upływ czasu - przez sam fakt swego istnienia. Dlaczego tak uparcie stawał jej w pamięci pewien obraz? Alice i ona na murku na końcu ogrodu, palące cygara, obie jeszcze bardzo młode; i dobiegające z domu głosy: Maureen, Kate, Charles i Victoria. George... nienaznaczony jeszcze piętnem wojny.



Może właśnie to tak boli, pomyślała. Nie starzenie się. Ale te straty. Rany. Ból nie słabnie z biegiem lat, tylko się nasila.

Pociąg miał spóźnienie, Frances musiała czekać na przyjazd trzy kwadranse. Na wietrznym peronie prawie nie było ludzi. W końcu weszła do dworcowej restauracji, popijała gorącą kawę i pocierała pod stołem jedną o drugą zmarznięte stopy. Za jej plecami jakaś kobieta narzekała, że od wybuchu wojny po prostu nic nie funkcjonuje, że dawniej pociągi były punktualne i że Anglia schodzi na psy. Mąż próbował ją uspokajać, ale to ją tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło, bo zachowywała się dosyć głośno i ordynarnie. Frances, rozbawiona, poczuła się trochę lepiej. Kazała sobie przynieść podwójną brandy, a gdy ją wypila, przyjechał pociąg.

Mimo że wysiadło sporo dzieci, natychmiast rozpoznała córki Alice. W każdym razie młodsza była bardzo podobna do matki. Obie dziewczynki miały na sobie identyczne szare płaszczyki, spod których wystawały granatowe plisowane spódniczki, grube szare pończochy i brązowe półbuty. Obie miały długie jasne włosy splecione w dwa warkocze. Trzymały się za ręce i dużymi oczami rozglądały dokoła.

Frances podeszła do nich.

- To wy jesteście Laura i Marjorie Selley? Ja jestem Frances Gray. Serdecznie witam w Yorkshire.

- Dziękujemy bardzo - wybąkała Laura.

Była o ponad głowę wyższa od siostry i trochę mocniej od niej zbudowana. Frances stwierdziła z ubolewaniem, że to dziecko wdało się raczej w ojca. Nie, żeby wprost była brzydka, ale jej niebieskie oczy patrzyły przed siebie nieco tępo, a twarz sprawiała wrażenie dość ospałej. Wyglądała jak miła, prostoduszna, nieśmiała dziewczynka.

- Na pewno będziecie się dobrze czuć na Westhill Farm - zapowiedziała Frances, starając się rozsiewać optymizm. Wzięła do ręki torbę podróżną, którą dziewczynki postawiły między sobą. - Dużo bagażu nie musiałyście dźwigać!

- Nie mamy nic więcej - wyjaśniła Marjorie. - Nasz dom został zniszczony przez bomby, a potem spłonął. To jest torba, którą wzięliśmy do piwnicy, dlatego ocalała.

- Naturalnie. Wasza mama mówiła mi przecież. No cóż, jeśli okaże się, że to nie wystarczy i będziecie potrzebować jeszcze czegoś, to po prostu kupimy, prawda?

Podeszły do auta.

- Lubicie konie? - spytała Frances.

- W Londynie nie ma tak dużo koni - odpowiedziała Marjorie.

- Ja boję się dużych zwierząt - dodała Laura.

Frances stłumiła westchnienie i rzekła, starając się nadać swoim słowom pogodne brzmienie:

- Zobaczymy, jak to będzie. Może zaprzyjaźnicie się z nimi. Mam nadzieję, że przynajmniej nie będziecie się nudzić. Bo tutaj jest o wiele spokojniej niż w Londynie.

- Dobrze, że tutaj nie będą spadać bomby - powiedziała Laura.

Jej poważna twarz była bardzo blada. Frances dostrzegła jeszcze w jej rysach ślady przerażenia, z którego Laura nie całkiem ochłonęła, co znów przywołało jej na pamięć, że te dziewczynki wiele przeszły. Co musiały czuć dzieci siedzące w ciemnej piwnicy, kiedy dom nad ich głowami walił się i stawał w płomieniach? I choć same uszły z tego piekła, wiedziały przecież, że ich rodzice nadal znajdują się w strefie zagrożenia. Na pewno tęskniły za domem i czuły się samotne. Co dziwne, to Laura, starsza, wydawała się cierpieć bardziej niż młodsza, Marjorie. Mimika Marjorie zdradzała pewne zainteresowanie i ciekawość nowego otoczenia. Laura zaś sprawiała wrażenie, jakby zamknęła się w sobie.

Podczas jazdy żadna z dziewczynek się nie odzywała. Chcąc przerwać przygniatającą ciszę, Frances powiedziała w końcu:

- Macie pecha, że dziś jest tak mokro i zimno. Kiedy świeci słońce, jesień tutaj jest naprawdę piękna. Jeszcze się przekonacie.

- Podoba mi się tutaj - rzekła grzecznie Laura.

- Na pewno brakuje wam rodziców, prawda? Będą mieszkać u tych znajomych, do których poszłicie tamtej nocy?

- Zamierzają poszukać sobie czegoś osobnego - odpowiedziała Laura. - Ale będzie trudno. W Londynie jest wiele zniszczeń. A tata nie ma pracy.

- Nie ma? Od dawna już?

- Od dwóch lat.

- Był przecież dozorcą w waszym domu.

- Lokatorzy ciągle skarżyli się na niego. - Laura zniżyła głos. - Po prostu nie nadążał z naprawami i takimi rzeczami, więc go zwolnili.

- Lauro! - napomniała ją ostro Marjorie. - Mamusia powiedziała, że nikt nie powinien tego wiedzieć!

- Ale pani Gray jest przecież przyjaciółką mamusi!

- Och... mówcie do mnie Frances, dobrze? Znam waszą mamę od bardzo dawna. Kiedyś byliśmy naprawdę blisko zaprzyjaźnione.

- Sama słyszysz - powiedziała Laura do siostry.

Frances pomyślała o Hugh Selleyu podczas poprzedniej wojny. O wiele za rzadko

udawało mu się zdobywać materiał opałowy i lokatorzy przeważnie marzli. Po prostu był zbyt nieśmiały, w pewnym sensie wręcz niezaradny życiowo. Niezbyt ją więc zdziwiło, że w końcu stracił pracę. Teraz wszystko spoczywało na barkach Alice.

- Wasza mama zarabia pieniądze? - zapytała.

- Pracuje w biurze. U adwokata - wyjaśniła Laura.

Pozostanie to pewnie jedną z nierozwiązanych zagadek w moim życiu, pomyślała z rezygnacją Frances, dlaczego Alice wyszła za Hugh, tego nieudacznika. Nigdy tego nie zrozumie.

Kiedy przyjechały do Westhill, deszcz tak się już nasilił, że na krótkim odcinku od samochodu do drzwi domu wszystkie przemokły do suchej nitki. Frances zobaczyła, że dziewczynki dygoczą z zimna i są zupełnie wykończone. Przez całą noc były w podróży i pewnie nie zmrużyły oka, a w poprzednie też nie spały z powodu alarmów lotniczych. Wydawały się u kresu sił, nawet żywsza Marjorie stawała się w oczach coraz bardziej apatyczna.

- Teraz weźmiecie gorącą kąpiel - zdecydowała - a potem położycie się do łóżka. Obie wyglądacie na potwornie zmęczone. Adeline przyniesie wam coś do jedzenia.

- Proszę nie robić sobie kłopotu - powiedziała Laura.

- Bzdura! Zaraz... - Urwała na widok Adeline, która wyszła właśnie z kuchni. - Adeline! Adeline, to nasi goście. Laura i Marjorie Selley. Dziewczynki, to jest Adeline. Pokaże wam wasz pokój i napełni wody do wanny. Prawda, Adeline?

- Przyszła pani Marguerite - rzekła cicho Adeline. - Jest z Victorią w salonie.

- A więc jednak się zjawiała! Victoria martwiła się już o nią. Od razu mówiłam, że... - Po raz drugi urwała, uświadomiwszy sobie wyraz twarzy Adeline. - Coś jest nie w porządku?

- Zaprowadzę dziewczynki na górę - powiedziała śpiesznie Adeline.

Frances skinęła głową.

Wiedziała, że tak będzie. Od rana, kiedy tylko wstała, wiedziała, że ten dzień przyniesie tylko nieszczęście. Była zdeprimowana i niespokojna i ciągle czuła w powietrzu jakieś zagrożenie. A teraz stała w salonie naprzeciwko Marguerite, która siedziała w fotelu Maureen, blada jak śmierć, patrząc nieruchomo przed siebie dużymi oczami. Wyglądała jak ptak, który wypadł z gniazda. Obejmowała dłońmi filiżankę z herbatą tak mocno, że zbieleły jej kostki palców. Filiżanka była jeszcze pełna, nie zdołała bowiem wypić dotąd ani łyka, ale trzymała ją na wysokości piersi, jakby z jakiegoś powodu zamarła nagle w bezruchu. Victoria stała w pewnej odległości za nią, elegancka jak zwykle i również bardzo blada.

- Czy aby to na pewno prawda? - spytała Frances.

Victoria wzruszyła ramionami.

- To było oficjalne pismo do jego matki. Z Niemiec. Że Fernand Brunet zmarł niestety na zapalenie płuc.

- I że może dostać urnę z jego prochami. - Błede wargi Marguerite ledwo poruszały się przy mówieniu. - Tak napisali. Wówczas musi jednak pokryć koszty doręczenia.

- Ale pani, Marguerite, nie widziała tego listu?

Nagle Marguerite jakby przypomniała sobie o filiżance, którą w dalszym ciągu trzymała w rękach. Odstawiła ją z cichym brzęknięciem. Herbata wylała się na blat stołu.

- Nie ma powodu wątpić w istnienie tego listu - oświadczyła. - Matka Fernanda opowiedziała o nim moim przyjaciołom z Paryża, którzy pomogli mi w ucieczce. To oni do mnie napisali. Dlaczego wszystko miałoby się nie zgadzać? Kto miałby korzystać z tego, gdyby rzecz była zmyślona?

Frances nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Marguerite miała rację.

- Mój mąż nie żyje - rzekła Marguerite wśród ciszy, jaka zapadła. Zabrzmiało to tak jasno i chłodno, że wszyscy się wzdrygnęli. - Wiedziałam od razu, kiedy dostałam rano ten list. Możliwe nawet, że wiedziałam przez cały czas.

- Och, Marguerite, tak mi przykro! - zawołała Victoria odrobinę zbyt teatralnie.

- Już dobrze - odpowiedziała Marguerite. Jej oczy błyszczały gorączkowo, lecz pozostały suche. Nie będzie płakać, Frances wiedziała to instynktownie. Marguerite była wewnątrz twarda jak stal. - Chciałabym tylko wiedzieć, czy prawdziwa jest ta wersja z zapaleniem płuc - ciągnęła dalej. - Wręcz mam taką nadzieję. Gorzej by było, gdyby go zabili. Gdyby zmarł wskutek tortur.

Kiedy wypowiadała ostatnie zdanie, jej głos zafalował nieco.

- Z nazistami nigdy nie wiadomo - wtrąciła nieopatrznie Victoria.

- E tam! Jeśli naziści piszą: zapalenie płuc, to było zapalenie płuc! - rzekła szorstko Frances. - Dlaczego mieliby owijać w bawełnę?

- To bestie - oświadczyła Marguerite - a mimo to próbują zachowywać resztki pozorów. Gdyby napisali w liście: zamęczyliśmy na śmierć pana Bruneta, zrobiłoby to złe wrażenie! Zapalenie płuc brzmi na pewno lepiej. - Wstała. - Może nigdy nie dowiem się prawdy. Jak wyglądały ostatnie minuty jego życia?

Nikt nic nie powiedział. Co zresztą można było powiedzieć? Cokolwiek rozegrało się w ostatnich minutach życia Fernanda Bruneta, z pewnością były to trudne i ciężkie chwile. W niemieckim obozie koncentracyjnym tak czy owak nie umierało się lekko. Wszyscy o tym wiedzieli i nie miało sensu wmawianie Marguerite, że jest inaczej.

- Co pani teraz zrobi? - spytała w końcu Frances.

Marguerite wzruszyła ramionami.

- A co mam zrobić? Na razie mogę tylko zostać tutaj. Powrót do Paryża byłby zbyt ryzykowny. Na pewno jestem jeszcze na liście poszukiwanych u nazistów.

Sięgnęła po płaszcz, który rzuciła niedbale na oparcie krzesła, i po torebkę.

- Victorio, jeśli to pani odpowiada, nadrobimy dzisiejszą lekcję francuskiego jutro lub pojutrze. Obawiam się, że w tej chwili nie mogłabym się skoncentrować.

- Naturalnie. Po prostu proszę przyjść wtedy, kiedy poczuje się pani lepiej.

- Może napiłaby się pani brandy przed wyruszeniem w drogę powrotną? - zapytała Frances.

Marguerite pokręciła głową.

- Dziękuję. Nie piję alkoholu. - Jej spojrzenie wybiegło za okno, w deszczowy dzień. - Właśnie ktoś nadchodzi - powiedziała. - Dwóch mężczyzn.

Victoria podążyła wzrokiem w tym samym kierunku, a jej oczy zaczęły nerwowo migotać.

- To John - wyszeptała.

Frances wcale już nie zdziwiło - i poniekąd było to ukoronowanie złego dnia - że John przyprowadził do domu jej ojca, który miał gorączkę i kaszlał. Charles nie był w stanie iść ani stać o własnych siłach i opierał się ciężko na zięciu. Przy każdym oddechu z jego piersi wydobywało się rżenie. Jego czoło było gorące w dotyku. Od deszczu przemókł na wylot i dygotał z zimna.

Jak się okazało, John spacerował właśnie po cmentarzu - mimo przerażenia stanem ojca Frances znalazła jednak czas, aby bezradnie zadać sobie pytanie, dlaczego John robił coś tak dziwnego - i przy okazji natknął się na Charlesa, który siedział na ławce przed grobem Maureen zupełnie oklapnięty, powoli rozmiękczony przez deszcz, i niebezpiecznie kaszlał. John zagadnął go kilka razy, lecz nie otrzymał odpowiedzi, więc w końcu postanowił po prostu zaprowadzić go do domu. Niełatwo było doprowadzić Charlesa do samochodu, bo nie opierał się wprawdzie, ale wisiał na ramieniu Johna jak mokry worek, a jego stopy wlokły się po błotnistej ziemi.

- Powinnyście wezwać lekarza - poradził John. - Nieładnie to wygląda.

- Jak to dobrze, że go znalazłeś! - zawołała Frances. - Pomożesz nam zanieść go na górę?

Wspólnymi siłami udało im się zataszczyć Charlesa na górę, trochę wlokąc go po

schodach. Kiedy położyli go wreszcie na łóżku, Frances odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję, John - powiedziała.

John oddychał ciężko.

- Nie ma za co.

Uśmiechnął się. Co dziwne, tego poranka wydawał się trzeźwy.

- Jak się miewasz, Frances? - zapytał.

- Mamy dokwaterowanie. Dwoje dzieci przyjaciółki z Londynu. Ich rodzice chcieli umieścić je w bezpiecznym miejscu, gdzie nie spadają bomby.

Pokiwał głową.

- To straszne. W Londynie musi się dziać bardzo źle. Powinniśmy się cieszyć, że mieszkamy tu na północy.

- O, tak...

Stali niezdecydowani naprzeciwko siebie. John był przemoczony do nitki, więc Frances w końcu rzekła:

- Powinieneś pójść do domu i się przebrać, bo jeszcze się rozchorujesz.

Popatrzył po sobie.

- Pewnie wyglądam jak zmokła kura, prawda? W porządku, masz rację, lepiej sobie pójść. - Przelotnie dotknął jej ramienia. - A tak swoją drogą, zobaczymy się znowu?

Zerknęła szybko na ojca. Charles miał oczy zamknięte i oddychał z trudem. Przypuszczalnie nie docierało doń nic z tego, co działo się dokoła.

- Nie wiem. - Mimo woli zniżyła jednak głos do szeptu. - Kiedyś powinniśmy z tym skończyć. Nie uważasz?

- Wkrótce będę rozwiedziony. Po raz pierwszy nikogo byśmy nie oszukiwali. A ty chcesz położyć temu kres?

- Może właśnie dlatego, John. Dlatego, że zbliża się wasz rozwód. Zastanawiam się, jaką część winy za rozbitcie waszego małżeństwa ponoszę ja, a przez to wszystko nabiera dla mnie trochę gorzkiego smaku.

- Ty nie ponosisz żadnej winy. - Wyciągnął ręce i przygarnął ją do siebie. - Nie wmawiaj sobie tego. Problemy między Victorią a mną leżą gdzie indziej. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

Czuła jego oddech nad swoim uchem. Kiedy ją obejmował, czuła bijące od niego ciepło, mimo że ociekał wodą. Zawsze lubiła być w jego objęciach, lubiła to także teraz. Jak miała mu wyjaśnić, że gdy czasem uważała, iż lepiej będzie skończyć te namiętne spotkania w jakichś chatach pośród łąk i pól, to wiązało się to również z wiekiem ich obojga?

Za trzy lata będzie mieć pięćdziesiątkę. Wcale jednak nie uważała, że nie ma już prawa do przyjemności erotycznych. Dużo trudniej było jednak pogodzić się z formą uzyskiwania tych przyjemności. Wymykać się na potajemną schadzke z mężczyzną, kiedy ma się trzydziestkę, to jednak coś innego niż robić to w wieku pięćdziesięciu lat. W wieku trzydziestu lat było to coś romantycznego. Z pięćdziesiątką na karku trudno się było pozbyć uczucia, że człowiek przegapił jakiś decydujący zakręt w życiu. Czy w wieku osiemdziesięciu lat nadal będą się tarzać w starej chacie, a potem wyciągać sobie z siwych włosów pajęczynę albo żdzbla słomy?

Rozwód czy nie rozwód, jako była szwagierka Johna także teraz nie mogła tak po prostu zjawić się w Daleview i pójść z nim do łóżka na oczach zdziwionej służby. Zanim zdążyliby policzyć do trzech, wiedzialoby o tym całe hrabstwo. Jej ojca by to zabiło, a Victoria podejrzewałaby, że działo się tak od lat, i odegrała dramat, którego rozmiary trudno było sobie wprost wyobrazić.

Nie, ich spotkania będą musiały na zawsze pozostać w konspiracji i na myśl o tym było jej coraz bardziej przykro. John nie rozumiałby tego, że a d e n mężczyzna nie rozumiałby tego, lecz pewną rolę odgrywały również powody zupełnie prozaiczne. Dziś o wiele bardziej niż dawniej wołałaby leżeć w prawdziwym łóżku, własnym albo jego, ale na pewno nie na tym rozlatującym się ze starości wyrku w chacie, na którym całe pokolenia robotników rolnych płodziły potomstwo. Marzyła o bieżącej ciepłej wodzie potem, miała już dosyć zakładania swoich rzeczy, gdy czuła się cała lepka. Nieraz porozmawiała by też chętnie z Johnem, wypaliła z nim kilka papierosów, a nie tylko z nim spała.

Jednak to, że widywali się tak rzadko, wywierało na nią presję; ponieważ nigdy nie wiedzieli, kiedy nadarzy się następna sposobność, wydawało im się marnotrawstwem nie pójść ze sobą do łóżka. Przez to zaś brakowało im znowu czegoś innego. Ściśle biorąc, brakowało tego Frances. John - takie miała wrażenie - był absolutnie zadowolony z sytuacji.

Wyzwoliła się z jego objęć. Wiadomo to, może jednak do Charlesa docierało coś pomimo gorączkowych majaczeń? Cofnęła się o krok.

- Potrzebuję trochę czasu. W tej chwili nie wiem za bardzo, co... czego naprawdę chcę. Pokiwał głową.

- Nie śpiesz się, Frances. Ale nie zwlekaj za długo. Nie będziemy już młodszy.

Och, jak bardzo ma rację, pomyślała z goryczą, patrząc na siwe kosmyki w jego włosach równie bezlitośnie, jak rano przyglądała się w łazience własnym.

- Wraz z wiekiem rośnie poczucie, że pozostało niewiele czasu - powiedziała. - Ale rośnie także determinacja, aby nie robić już tego, czego się naprawdę nie chce. Mamy za sobą

wiele dobrych chwil, John. Muszę się jeszcze zastanowić, jak ma wyglądać przyszłość.

John jeszcze raz wyciągnął rękę, lecz musnął tylko przelotnie policzek Frances.

- Ciebie nigdy nie będę miał całej - rzekł cicho. - Tak było dawniej i tak jest teraz. Tak będzie zawsze.

- Frances, nie mogę spać - rozległ się od drzwi dziecięcy głos.

Frances wzdrygnęła się. Do pokoju weszła Marjorie, boso, w piżamie. W rękę trzymała podobnego do oskubanego kurczaka pluszowego misia, któremu brakowało nogi i oka.

- Marjorie! Myślałam, że jesteście już w łóżku!

- Laura jest w łóżku i śpi jak zabita - odparła Marjorie. - A ja nie mogę zasnąć. - Z zaciekawieniem zmierzyła Johna wzrokiem od stóp do głów, po czym jej oczy spoczęły na Charlesie, który wydawał jej się pewnie dziwny, bo leżał na łóżku kompletnie ubrany i oddychał z wysiłkiem.

- Kto to jest?

- To mój ojciec. Charles Gray. Niestety, jest bardzo chory. John i ja przynieśliśmy go właśnie na górę.

Zastanawiała się, od jak dawna ta mała stoi w drzwiach. Czy świadomie zakradła się do pokoju? Czy też po prostu jej nie słyszeli?

Opanowała zmieszanie i dokonała wzajemnej prezentacji dwóch pozostałych osób:

- John Leigh, nasz sąsiad. John, to jest Marjorie Selley. Jedna z tych dziewczynek z Londynu.

- Dzień dobry, Marjorie - powiedział John.

- Dzień dobry, proszę pana.

Czy Frances tylko sobie wmawiała, czy też w głosie, w spojrzeniu Marjorie rzeczywiście coś się czało? Prawdopodobnie tak jej się tylko wydawało.

- Marjorie, powinnaś przynajmniej się położyć. Odpoczynek na pewno dobrze ci zrobi, nawet jeśli nie będziesz spać. John, zejdźmy na dół i powiedzmy Adeline, jaka jest sytuacja. Teraz ona musi się o niego troszczyć.

- Nie mogę spać - upierała się Marjorie, nie spuszczać oczu z Johna.

Ta dziewczynka będzie mi sprawiać kłopoty, pomyślała Frances. Na głos zaś powiedziała:

- Chcę, żebyś się położyła, Marjorie. W ostateczności weź sobie książkę i poczytaj, gdybyś naprawdę nie mogła zasnąć. Masz za sobą mnóstwo trudów, a tutaj ja jestem za ciebie odpowiedzialna, rozumiesz?



I teraz zrobisz to, co ci mówię, dodał już tylko wyraz jej twarzy.

Marjorie zrozumiała. Westchnęła z egzaltacją i odmaszerowała powoli razem ze swoim misiem. Jej wzrok nie zapowiadał niczego dobrego.

- Nie lubi mnie - rzekła Frances. - Zauważyłam to już na dworcu. Od razu była od niej jakaś wrogość.

- Sądzę, że coś sobie wmawiasz - odparł John. - To tylko mała dziewczynka! Dlaczego miałaby być wrogo nastawiona do ciebie? Po prostu jest wystraszona, dla niej wszystko jest tutaj nowe i obce!

- Ona nas widziała, John - rzekła Frances. - Widziała, jak mnie obejmowałeś, i słyszała, o czym rozmawialiśmy. Widziałam to po jej minie.

- A jeśli nawet! Naprawdę sądzisz, że potrafi sobie poskładać to w jakąś całość? Frances, dobrze wiem, że nie przepadasz za dziećmi, ale nie musisz też dostrzegać w nich małych potworów!

Jedno obok drugiego zeszli po schodach. Na dole stały Adeline, Victoria i Marguerite. Victoria trzymała się z tyłu; widząc po raz pierwszy od paru tygodni swojego ciągle jeszcze męża, najwidoczniej nie była w stanie sprostać emocjonalnie tej sytuacji, gdyż na przemian czerwieniła się i bladła.

- Och... dzień dobry, Victorio! - powiedział uprzejmie John, na co Victoria odwróciła się i zniknęła w salonie.

- Co się stało? - spytała Marguerite. W dalszym ciągu była bardzo blada.

- Moja żona jest dla mnie obecnie niezbyt łaskawa - odparł John.

- Jak się czuje pan Gray? - chciała wiedzieć Adeline. - Może powinnam do niego zajrzeć!

- Byłoby to miłe z twojej strony, Adeline!

Frances czuła się skępowana dobiegającym z salonu płaczem Victorii, który słychać było wyraźnie. Że też nawet raz nie potrafi wziąć się w garść, pomyślała z rozdrażnieniem, naprawdę powinna choć trochę wziąć przykład z Marguerite!

Adeline wyglądała przez moment na niezdecydowaną, czy zajrzeć najpierw do „dziecka”, czy do pana Graya, lecz postanowiła jednak pójść na górę.

Kiedy zniknęła, Frances zwróciła się do Marguerite.

- Deszcz nasila się coraz bardziej. Marguerite, niech pani zostanie jeszcze chwilę. Przemoknie pani do nitki, zanim dotrze pani do wioski!

- Chce się pani dostać do Leigh's Dale? - spytał John. - Mógłbym przecież panią podrzucić.

- Och, proszę nie robić sobie kłopotu z mojego powodu! - zaprotestowała Marguerite.
- Na pewno musi pan jechać w zupełnie innym kierunku.
- Samochodem do Leigh's Dale to tylko dwa kroki. Proszę ze mną, panno...
- Pani Brunet.
- Jestem John Leigh. Naprawdę to dla mnie żaden kłopot.
- Ona mu się podoba, pomyślała Frances, dawno już nie okazywał takiego zapału.
- Radziłabym przyjąć tę propozycję, Marguerite - powiedziała. - John nie należy do ludzi szczególnie uprzejmych. Nie zaproponowałby tego, gdyby naprawdę nie chciał.
- Byłoby to bardzo miłe z pańskiej strony - odezwała się cicho Marguerite.
- John otworzył drzwi.
- Chodźmy. Frances, gdyby były problemy z Charlesem i potrzebowałabyś pomocy, to zadzwoń do mnie.
- Dobrze. Dziękuję.

Popatrzyła za nimi, jak biegną do samochodu, a przy tym nie są w stanie omijać olbrzymich kałuż na podwórzu. Deszcz sływał teraz z nieba niczym szara gruba ściana. Z wolna podniósł się także wiatr i szarpał ociekające wodą gałęzie drzew. Mokre liście zaścielały ziemię. Frances poczuła zimny dreszcz. Zamknawszy drzwi, usłyszała zawodzenie Victorii, które przypominało skargę chorego zwierzęcia.

Ktoś powinien zatroszczyć się o nią, pomyślała, poczuwając się do winy.

Ale teraz po prostu nie mogła. Nie chciała niczego więcej widzieć ani słyszeć. Teraz wycofa się do swego pokoju i przez resztę dnia nie będzie jej dla nikogo.

## *Listopad 1940 - lipiec 1941 roku*

Wszyscy się dziwili, że Charles przeżył zimę. Nabawił się ciężkiego zapalenia płuc i przez wiele tygodni gorączkował.

W listopadzie lekarz, który zaglądał codziennie do pacjenta, powiedział:

- Najgorsze, że tak niewiele jest w nim woli życia. On nie walczy. A to zmniejsza jego szanse.

Frances robiła dla ojca, co tylko mogła, także Victoria czuwała przy jego łóżku przez całe noce. Wpadała jednak w panikę, ilekroć słyszała od kogoś o ewentualnej śmierci Charlesa lub kiedy jego stan pogarszał się dramatycznie.

- On nie może umrzeć! Nie wolno mu umrzeć! - wołała wtedy.

- Jest już stary - mówiła Frances. - I od prawie dwudziestu pięciu lat oplakuje mamę. Może dla niego byłoby najlepiej, gdyby mógł umrzeć.

Victoria zrobiła się na twarzy blada jak kreda.

- Jak możesz mówić takie rzeczy? - ofuknęła siostrę.

Frances potrafiła sobie wyobrazić, co dzieje się w jej wnętrzu: wprawdzie Charles nie wybaczył Victorii fiaska jej małżeństwa, lecz mimo to był dla niej jedynym człowiekiem, jakiego miała. Była jego małą dziewczynką, mimo że sprawiła mu zawód. Trzymał nad nią parasol ochronny, chociaż psioczył i okazywał niezadowolenie. Victorię strach ogarniał na myśl o tym, że zostanie w Westhill sama z Frances, akurat z siostrą, tym członkiem rodziny, który był dla niej ostatnim partnerem do rozmów. Frances wiedziała, że Victoria boi się jej chłodnych oczu i ostrego tonu głosu.

Ona nigdy nie dorośnie, myślała czasem pogardliwie, ale zdarzały się też momenty skruchy, kiedy starała się być miłą dla Victorii. Owe próby kończyły się przeważnie niepowodzeniem, ponieważ do Victorii docierał tylko nieco szorstki ton, a nie życzliwa w zamyśle treść tego, co mówiła Frances. Za każdym razem w ostatecznym rozrachunku nie rozumiały się kompletnie, a na koniec kłóciły się znowu.

Rok 1941 zaczął się szaro i nieprzyjemnie, a poza tym wszyscy byli zdeprymowani, bo z areny działań wojennych docierały tylko złe wiadomości. Z wyjątkiem sporadycznych niepowodzeń Niemcy zwyciężali bez przerwy na wszystkich frontach. Niektórzy ludzie przepowiadali, że tym razem Niemcy przebrali miarę i pasmo zwycięstw nie może trwać wiecznie, lecz póki co wyglądało na to, że Hitler wykupił patent na szczęście.

W listopadzie jego bombowce zaatakowały położone niedaleko Birminghamu miasto Coventry i zniszczyły je niemal doszczętnie. Był to najcięższy nalot w dotychczasowych dziejach wojen. Cała Anglia przez wiele tygodni pozostawała w szoku. I również teraz niemieccy lotnicy bombardowali angielskie wielkie miasta, przede wszystkim Londyn. Znaleźli jednak twardego przeciwnika w Royal Air Force.

„Nasi chłopcy zestrzelili co drugiego z nich”, mówiono z patriotyczną dumą i choć nieco przesadzano, to liczba strąconych przez Brytyjczyków niemieckich samolotów była faktycznie imponująca.

Tej bezśnieżnej, błotnistej i chłodnej zimy życie w Westhill toczyło się zwykłym trybem. Wyglądało na to, że dziewczynki zaaklimatyzowały się jako tako - o ile Frances mogła to ocenić, gdyż obie nadal były bardzo zamknięte w sobie. Laura mówiła jeszcze mniej niż Marjorie. Za to o każdej porze dnia potrafiła rzucać się na jedzenie, jakby to był jej ostatni posiłek. Na początku października przyjechała jako osóбка wprawdzie już trochę krępa, lecz jeszcze o dziecięcych kształtach; do marca następnego roku przytyła dziesięć kilo, rozrosła się w biodrach, a jej piersi wypychały sweterki i kołysały się przy każdym kroku.

Frances uważała apetyt Laury za dobry znak, również Adeline wprost pęczniała z dumy, gdyż pochlebiało to jej sztuce kulinarnej. Jednak pewnego dnia Marguerite poprosiła Frances o rozmowę.

- Martwi mnie Laura - powiedziała.

Tymczasem Marguerite przychodziła już codziennie do Westhill. Frances wpadła na pomysł, żeby zatrudnić ją jako nauczycielkę obu dziewczynek. Ani ona, ani Alice nie zastanawiały się nad kwestią, gdzie miałyby uczęszczać do szkoły. Alice zależało tylko na tym, żeby jej dzieci znalazły się w bezpiecznym miejscu, gdzie nie spadają bomby; wobec tego bezpośredniego zagrożenia zdrowia i życia w ogóle nie pomyślała o czymś tak zwyczajnym jak edukacja szkolna. Frances uświadomiła sobie jednak szybko, że Laura i Marjorie koniecznie potrzebują stałego planu dnia, zwłaszcza w zimie, kiedy były przykute do domu i od rana do wieczora plątały się beczynn timer po pokojach. Wydawało się jej jednak, że nie ma raczej sensu posyłanie ich do wiejskiej szkoły w Leigh's Dale, w której uczono chłopskie dzieci podstaw czytania, pisania oraz rachunków i niczego więcej. Do większej szkoły w Aysgarth Village było natomiast za daleko, żeby jeździć tam co rano.

Codziennie zjawiała się więc Marguerite i uczyła dzieci aż do południa. Przeważnie uczestniczyła potem w rodzinnym obiedzie, a później, gdy dzieci odrabiały zadania domowe, Marguerite i Victoria siadały z filiżanką herbaty przy kominku i odbywała się lekcja francuskiego. Frances wiedziała, że Alice nigdy nie będzie w stanie zwrócić jej pieniędzy za

naukę dzieci, ale w Westhill Farm radzili sobie finansowo całkiem dobrze, więc bez trudu mogła przeznaczać na to odpowiednie kwoty. Poza tym ułatwiało to życie Marguerite.

I dawało dziewczynkom zajęcie! Frances płaciłaby nawet dwa razy więcej, byle tylko nieprzyjemna Marjorie, która według niej swoim wyglądem przypominała zawsze szczura, nie mogła ciągle skradać się za nią i jej podsłuchiwać. Sądząc po wyrazie oczu, podejrzewała, że ta mała to przebiegła sztuka. Od czasu do czasu przywoływała się jednak do porządku, mówiąc sobie, że to niepoważne, by dostrzegać tyle złośliwości w małej dziewczynce.

Mimo to była zdziwiona, gdy Marguerite powiedziała, że martwi ją Laura. Laura? Przecież ona nie sprawiała żadnych kłopotów, była trochę powolna i o ciężała, ale dobroduszna i zawsze grzeczna.

- Martwi panią Laura? Nie Marjorie?

- Z Marjorie jest chyba wszystko w porządku - odparła Marguerite - natomiast Laura...

Nie rzuciło się pani w oczy, jak niewiarygodnie przytyła? I nadal przybiera na wadze?

Frances popatrzyła na nią zaskoczona.

- I to panią niepokoi? Według mnie to dobry znak. Przypuszczam, że świeże powietrze i spokój służą jej i pobudzają jej apetyt!

Marguerite pokręciła głową.

- Obawiam się, że to nie takie proste. To co widzimy u Laury, to nie zdrowy apetyt dorastającego człowieka. Ona pochłania bez wyboru wszystko, co tylko jej wpadnie w ręce. Frances, to nie jest normalne. Moim zdaniem kryje się za tym chorobliwa żarłocność, a to z kolei wskazuje na poważne problemy psychiczne.

- Naprawdę pani tak uważa?

- Nie jestem psychologiem i dlatego muszę być ostrożna w diagnozach. Z drugiej strony od lat uczę młode dziewczęta i mogłam wiele zaobserwować. W okresie pokwitania często występują zaburzenia w odżywianiu się. Jedne dziewczynki odchudzają się nadmiernie, w ogóle nie jedzą albo po każdym posiłku sztucznie wywołują wymioty. Inne bez opamiętania przybierają na wadze - jak Laura.

- Ach, wielki Boże - westchnęła Frances.

- Domyślam się, że problemy Laury wiążą się ze zmianą warunków życia - rzekła Marguerite. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, Frances: dba pani o nie bardzo dobrze. Ale obie z całą pewnością doznały szoku podczas nocnych bombardowań. Dom, w którym mieszkały, zawalił się nad ich głowami, kiedy siedziały w piwnicy; musiały tam poznać bezpośredni strach przed śmiercią. A potem, w dodatku z dnia na dzień, zostają oddzielone od rodziny i trafiają do obcych ludzi, w strony, których nie znają. To na pewno nie jest przyjemne! Do

tęgo dochodzi fakt, że pewnie ciągle martwią się o rodziców, którzy bądź co bądź nadal są narażeni na niemieckie bombardowania. - Zamilkła na moment. - Ja w każdym razie wiem bardzo dobrze, jak to jest - dodała. - Znam to wszystko: tę morderczą tęsknotę za domem. Strach o ukochanego człowieka. Poczucie, że jest się petentem. Ale ja mam trzydzieści lat, nie czternaście. Potrafię się z tym obchodzić inaczej niż Laura.

- A co ja mogę zrobić? - spytała bezradnie Frances.

- Może powinna pani z nią porozmawiać. Ja już próbowałam, ale zablokowała tę próbę.

Frances pomyślała, że tylko tego jej brakowało. Miała nadzieję, że Alice zadzwoni, żeby mogła omówić z nią sprawę, jednak Alice meldowała się tylko sporadycznie, a sama była nieosiągalna. Razem z Hugh zamieszkali w jakiejś nędznej mansardzie w Mayfair, „zbyt ciasnej, żeby obrócić się wokół własnej osi”, jak opowiadała Alice, i nie mieli tam telefonu. Alice straciła pracę, ponieważ budynek, w którym znajdowała się kancelaria adwokacka, został trafiony bombą, a sam adwokat uciekł do Devon. Brała teraz dorywcze prace i starała się od czasu do czasu dzwonić do Westhill.

Okazja do rozmowy z Laurą nadarzyła się pewnej nocy, kiedy Frances tuż przed pierwszą przyłapała dziewczynkę w spiżarni. Siedziała w salonie nad swoją buchalterią i w ogóle nie zauważyła, że zrobiło się tak późno. Była wietrzna noc marcowa, chłodna, lecz w powietrzu czuć było już pierwsze oznaki wiosny. Wiatr potrzasał szybami w oknach, czyniąc trochę hałasu, mimo to Frances wzdrygnęła się ze strachu, gdy usłyszała dźwięk, którego nie potrafiła przyporządkować. Brzmiało to jak człapanie bosych stóp na kamieniach.

- Dobry Boże, ależ zrobiło się późno - mruknęła do siebie.

Wstała i wyszła z pokoju. Przez szczelinę w przymkniętych tylko drzwiach kuchennych padał snop światła na ciemny korytarz.

Laura włączyła małą lampę przy oknie i zostawiła szeroko otwarte drzwi do spiżarni, żeby przynajmniej widzieć, co je. Kiedy Frances podeszła do niej, klęczała na podłodze, boso, w białej koszuli nocnej, która zrobiła się na nią za ciasna i dosłownie pękała w szwach. Przed nią stał półmisek z puddingiem czekoladowym, który Adeline ugotowała już na następny dzień. Spuściła nad nim głowę jak pies nad swoją miską z żarciem i wpychała w siebie pudding samymi rękami. Długie włosy co chwila opadały jej do przodu i były już usmarowane czekoladą.

- Lauro! - zawołała zszokowana Frances. - Co ty tutaj robisz?

Laura odwróciła się gwałtownie i wpatrywała w nią szeroko otwartymi oczami. Wyglądała groteskowo z pomazaną twarzą i polepionymi włosami, z grudkami puddingu

między wszystkimi palcami. Nie wydobyła z siebie nawet słowa.

- Pochłaniasz jedzenie, jakbyś umierała z głodu! - stwierdziła zmieszana Frances. - I to w dodatku rękami! Nie mogłaś przynajmniej wziąć sobie łyżki?

Laura podniosła się nieporadnie.

- Ja... to działo się zbyt szybko - wyjąkała.

- Co działo się zbyt szybko?

Laura spuściła głowę.

- Nie miałam czasu iść po łyżkę. To było... to jest... wtedy nie mogę już czekać...

Frances przypomniała sobie, że Marguerite użyła terminu „chorobliwa żarłoczność”. Najwidoczniej utrafiła w sedno. W zachowaniu Laury objawiało się bowiem absolutnie chorobliwe uzależnienie.

Wzięła dziewczynkę za ramię i wyprowadziła ze spiżarni do kuchni, po czym posadziła ją na ławce przy kuchennym stole.

- No to na razie usiądź sobie, Lauro. - Zniknęła w korytarzu i wróciła po chwili z pantoflami domowymi, które ktoś zostawił pod wieszakiem. - Włóż je, bo jeszcze zachorujesz jak Charles! - Wyjęła z kredensu talerz i łyżkę, a w końcu przyniosła ze spiżarni półmisek z puddingiem i postawiła wszystko na stole przed Laurą. - No. Jesteś przecież dużą dziewczynką, prawda? Nie musisz rzucać się na żywność po kryjomu ani pochłaniać jedzenia na kolanach. Teraz jedz, proszę, jak normalny człowiek. A jutro rano najpierw umyjesz sobie włosy. Są całkiem polepione!

Wyglądało jednak na to, że Laura straciła apetyt. Nie tknęła niczego, siedziała na ławce niczym wystraszony królik, nie śmiała nawet podnieść oczu.

Frances usiadła naprzeciwko niej.

- Lauro, naprawdę nie musisz się bać - rzekła z naciskiem. - Nie jestem zła na ciebie tylko dlatego, że opróżniasz w nocy spiżarnię. Ale mówiąc szczerze, martwię się o ciebie. To nienormalne jeść tak dużo. Naprawdę nie żałuję ci jedzenia, nie o to chodzi. Mnie samą też dopadał czasem w nocy wilczy głód i zanim się opamiętałam, znajdowałam się w kuchni. Tyle że ja zawsze miałam dość czasu, żeby przynajmniej wziąć sobie łyżkę. A poza tym... nie zdarzało się to zbyt często.

Urwała. Laura w dalszym ciągu z nieszczęśliwą miną wpatrywała się w blat stołu.

- W twoim wypadku to zdarza się częściej, prawda? - spytała ostrożnie Frances.

Laura skinęła głową. Od jej rzęs oderwało się kilka łez, które spływały bezgłośnie po tłustych policzkach.

Ależ ta dziewczyna jest brzydka, pomyślała współczująco Frances. Jej oczy

przypominają oczy ryby. Przy bliższym przyjrzeniu się człowiek odkrywał, że ma długie gęste rzęsy, ale ponieważ miały taką samą jasną barwę jak włosy, jej oczy przynajmniej na odległość wydawały się ich pozbawione. Ciało wisiało na kuchennej ławce jak niezgrabny, bezkształtny worek. Małe usta o wąskich wargach niemal ginęły między pulchnymi policzkami.

- Tak mi przykro - wydusiła z siebie. - Wiem, że zachowałam się niewłaściwie. Pani była taka miła, przyjmując nas tutaj, a ja ciągle panią okradałam. Nie mogę przestać jeść.

Zaczęła gwałtownie szlochać. Jej ciało trzęsło się i drżało.

- Ależ, Lauro, nie zadręczaj się z powodu jedzenia! - poprosiła Frances. - Nie na tym polega problem. Po prostu martwi mnie to, bo przypuszczam, że jesteś nieszczęśliwa. Co cię tak gnębi?

- Nie wiem!

- Boisz się o rodziców? Że może im się coś stać?

- Nie wiem...

- Często jeszcze myślisz o bombach? O tej nocy, kiedy płonął wasz dom?

- Naprawdę nie wiem - płakała Laura. W międzyczasie zaczęło jej także cieknąć z nosa; otarła śluz rękawem nocnej koszuli.

Frances stłumiła w ostatniej chwili protest, który miała już na końcu języka.

- Nie wiem. To nie jest tak, żebym ciągle musiała o czymś myśleć... oprócz jedzenia. W każdej minucie, w dzień i w nocy, myślę tylko o jedzeniu. To niedobrze, prawda? Powinnam myśleć o rodzicach. Oni tam siedzą w Londynie, gdzie spadają na nich bomby, i jakoś muszą sobie radzić. Może nawet nie mają co jeść... - Urwała, po czym nagle roześmiała się, lecz był to śmiech rozpaczliwy. - I znów to samo! Jedzenie! Prawdopodobnie moi rodzice mają zupełnie inne zmartwienia, ale kiedy myślę o nich, zadaję sobie przede wszystkim pytanie, czy mają dość jedzenia.

Frances zastanowiła się chwilę, po czym powiedziała:

- Lauro, w tym momencie nie wiem jeszcze, jak mogę ci pomóc, ale pomyślę nad tym, obiecuję ci to. Na razie chcę cię prosić o jedno: nie rób tego po kryjomu. Nie musisz. Dobrze? Może będę ci mogła pomóc, ale musisz być ze mną szczerą. Spróbujesz?

Laura skinęła głową i otarła łzy. Twarz miała czerwoną i zapuchniętą.

- Spróbuję. Dziękuję, Frances.

- Czy Marjorie wie o twoim problemie?

- Tak. Ale z tego powodu robi mi tylko wymówki. Ciągłe mi powtarza, że jestem tłusta i obrzydliwa.



- Porozmawiam z nią. - Frances podniosła się z krzesła. - Powinniśmy teraz iść spać. Chyba że chciałabyś jeszcze coś zjeść?

- Nie.

Laura również wstała. Frances przyjrzała się jej krytycznie.

- Musimy ci kupić coś nowego do ubrania. Ze starych rzeczy... wyrosłaś. Poczujesz się lepiej, gdy będziesz mieć coś ładnego, nowego.

- O, tak - odpowiedziała Laura. Brzmiało to potulnie i mało przekonująco.

- Idź teraz na górę.

Frances popatrzyła za Laurą, jak stąpając ciężko, wychodzi z kuchni z gracją ciężarnej owcy. Nagle poczuła się, jakby uszła z niej cała energia, i usiadła z powrotem. Ze wstrętem wpatrywała się w pudding, przypomniała sobie palce Laury, które w nim grzebały. Była prawie trzecia nad ranem, gdy wreszcie się przemogła: wyrzuciła całą zawartość półmiska do wiadra na odpadki, wstawiła półmiskę do zlewu, zgasiła światło i poszła spać.

Następnego ranka zażądała wyjaśnień najpierw od Adeline, a następnie od Marjorie.

- Zeszłej nocy przyłapałam Laurę w spiżarni - powiedziała do Adeline. - Właśnie pochłaniała wszystko, co jej wpadło w ręce. Porozmawiałyśmy. Przyznała się, że często dochodziło do takich nocnych ekscesów. Musiałaś to zauważyć, Adeline. I nie opowiadaj mi, że nie wiedziałaś, kto po nocach wykrada żywność! Gdybyś faktycznie nie wiedziała, lamentowałabyś bez końca i dołożyłabyś wszelkich starań, żeby znaleźć winowajcę. Wiedziałaś, że to Laura, i kryłaś ją!

- Boże, a co miałam robić! - jęczała Adeline. - Donieść pani na biedactwo? Ona tak wiele przeszła! Cieszyłam się, że smakuje jej moje jedzenie, więc chętnie przymykałam oko!

- Ale w ten sposób nie zrobiłaś jej żadnej przysługi. Laura jest chora. Potrzebuje pomocy, powinnaś więc była koniecznie ze mną porozmawiać.

Adeline nic nie odpowiedziała, tylko zacisnęła wargi. Jej mina zdradzała, że to, co mówiła Frances, uważa za nowomodną bzdurę. Chora! Dziecko miało zdrowy apetyt i trochę przy tym przesadziło. No i co z tego? Na pewno samo się ułoży, kiedy Laura wejdzie w wiek, w którym będzie chciała podobać się chłopcom.

Wobec Marjorie Frances uderzyła w ostrzejszy ton.

- Słyszałam, że wyśmiewasz się z siostry. Mówisz, że jest tłusta i obrzydliwa. Czy to prawda?

Marjorie zrobiła nieprzystępną minę i milczała.

- Chcę wiedzieć, czy to prawda - powtórzyła Frances.

Marjorie podniosła wzrok i popatrzyła na nią hardo.

- A nie jest? - zapytała wyzywająco. - Czy nie jest tłusta i obrzydliwa i się obżera? Proszę powiedzieć, co p a n i o niej sądzi!

- Marjorie, wystarczy tego! Jeśli będziesz bezczelna, możesz mnie poznać od bardzo nieprzyjemnej strony, rozumiałaś?

W oczach dziewczynki pojawiła się nieskrywana wrogość.

- Chce mnie pani zbić? Nie wolno pani!

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak mało przejmuję się na ogół tym, czy coś mi wolno czy nie! W każdym razie radzę ci nie sprawdzać tego na własnej skórze!

Marjorie nic nie odpowiedziała.

- A więc od tej pory zostawisz Laurę w spokoju - ciągnęła Frances. - Żadnych złościwości, słyszysz? I pamiętaj o tym, że bacznie ci się przyglądam. Nie próbuj więc mnie oszukiwać!

- Czy mogę już odejść?

- Tak, jeśli doszliśmy do porozumienia.

Marjorie odwróciła się i wyszła z pokoju bez słowa.

W kwietniu przed wkraczającymi wojskami niemieckimi skapitulowali Grecy. Anglicy, którzy pośpieszyli im na pomoc, musieli się wycofać. Po raz pierwszy od objęcia stanowiska premiera przez Winstona Churchilla rozległy się głosy krytyki; zarzucano mu, że nie ma wytyczonej jasnej linii politycznej, że wprawdzie wygłasza wspaniałe przemówienia, lecz poza tym nie może się jak dotąd pochwalić większymi sukcesami w wojnie z Niemcami. W maju niemieckie bomby zburzyły budynek Izby Gmin. Wiele osób odebrało to jako zły omen.

W tym okresie uwagę Frances w mniejszym stopniu zaprzętały myśli o ewentualnej niemieckiej inwazji; o wiele bardziej zaczęła niepokoić się o Alice, która od ponad trzech miesięcy nie dawała znaku życia. To było niezwykle i zdaniem Frances nie mogło raczej oznaczać nic dobrego. Napisała dwa razy na ostatni adres. Na pierwszy list nie dostała żadnej odpowiedzi. Na drugi zareagowała w końcu właścicielka domu. W liście, w którym roilo się od błędów ortograficznych, informowała Frances, że Selleyowie wyprowadzili się w marcu i przenieśli gdzieś do Bethnal Green we wschodniej części miasta, bo pan Selley dostał tam znowu pracę w charakterze dozorca. Ona nie zna jednak ich nowego adresu.

Wiadomość ta zaniepokoiła Frances jeszcze bardziej. Nie wyobrażała sobie, że Alice mogła zmienić mieszkanie, nie podając własnym dzieciom nowego adresu. Starła się ukrywać swoją troskę przed Laurą i Marjorie, a one same również o tym nie mówiły. Ale pewnego dnia Frances, wszedłszy na górę, stała się mimo woli świadkiem głośnej rozmowy

między dziewczynkami.

- Założę się, że nie żyją, oboje - powiedziała właśnie Marjorie. W jej głosie pobrzmiwała pogarda.

- Naprawdę? To dlaczego piszesz list do mamusi? - spytała Laura. Jak zawsze jej głos wydawał się płaczliwy.

- Bo po prostu mam ochotę. Dlatego!

- Nie możesz go nawet wysłać. Nie znamy przecież adresu.

- Nie mogę go wysłać dlatego, że oni nie żyją!

- Przestań! Przestań to ciągle powtarzać! - zawołała Laura. - To nieprawda! Nie możesz tego wiedzieć!

- Lauro, bywasz tak strasznie naiwna! A przecież jesteś nawet starsza ode mnie. Po prostu nie potrafisz zliczyć do trzech!

- Mamusia wkrótce zadzwoni - upierała się nadal Laura.

Marjorie roześmiała się hałaśliwie.

- Pewnie wierzysz też jeszcze w Świętego Mikołaja! Już nigdy nie zobaczymy mamusi. A najgorsze jest to, że tkwimy tutaj. Ale oni prawdopodobnie nie zatrzymają nas u siebie, tylko wsadzą do sierocińca!

Laura załkała głośno.

- Wystarczy tego - mruknęła do siebie Frances.

Chciała wejść do pokoju, ale ledwie zdążyła cofnąć się przed zapłakaną Laurą, która wypadła na korytarz i zniknęła w łazience, zatraskując za sobą drzwi. Zazgrzytała zasunięta właśnie zasuwka.

- Marjorie! - rzekła surowo. - Przypadkiem słyszałam, jak...

Marjorie zrobiła się blada jak ściana.

- Ach! Znowu mnie pani atakuje! A przecież mam rację! Dobrze pani wie! Mamusia i tatuś nie żyją! Nie żyją i nigdy po nas nie przyjadą!

Z tymi słowami na ustach również ona wypadła z pokoju, zanim Frances zdołała ją powstrzymać. Jej kroki ucichły na schodach.

Frances wzniosła oczy ku niebu. Jej wzrok padł na arkusz papieru listowego leżący na stole przy oknie. Czyż Laura nie pytała, dlaczego Marjorie pisze list do matki?

Zaciekawiona podeszła bliżej. Wiedziała, że nie wypada go czytać, dwunastoletnia dziewczynka również miała prawo do tajemnicy korespondencji. Korciło ją jednak, żeby się dowiedzieć, co Marjorie pisze do matki o życiu w Westhill.

„Kochana Mamusiu”, widniało na papierze, „tutaj jest okropnie. Nie wyobrażasz

sobie, jaka zła jest Frances. Ma zimne oczy i surowy, mocny głos. Mnie nie cierpi, lubi tylko Laurę. Laurze wszystko wolno. Nawet zreć bez przerwy, chociaż jest tłusta jak świnia. Frances powiedziała, że mnie zbije, jeśli powiem jeszcze raz, że Laura jest tłusta. Wolno jej to zrobić? Mamusi, czy nie możemy wrócić do Londynu, do Ciebie i tatusia? Czy Niemcy nadal zrzucają tyle bomb? Jeśli mnie szybko stąd nie zabierzesz, to ucieknę. Właśnie...”

W tym miejscu ktoś musiał przeszkodzić dziewczynce, gdyż list urwany był w połowie zdania.

Frances odsunęła się od stołu. Wiedziała, że Marjorie jej nie lubi i że źle się czuje w Westhill. Mimo to była mocno dotknięta. Nie sądziła, że Marjorie nosi się nawet z myślą o ucieczce.

Bardzo bym chciała, żeby Alice wreszcie zadzwoniła, pomyślała z niepokojem, po prostu odpowiedzialność za jej dzieci staje się dla mnie powoli zbyt duża.

W następnych tygodniach przyglądała się bacznie Marjorie, lecz nie odkryła niczego, co pozwoliłoby wyciągnąć wniosek, że dziewczynka planuje ucieczkę. Tyle że ta teraz nie zadawała już sobie najmniejszego trudu, by ukrywać nienawiść do Frances, natomiast Frances w dalszym ciągu łamała sobie głowę, próbując odgadnąć, czym wzbudziła w niej taką nienawiść. Bo ona po prostu była już wtedy na dworcu w Northallerton. Nienawiść od pierwszego wejrzenia, równie niewyjaśniona jak miłość od pierwszego wejrzenia. Instynktowna, impulsywna niechęć, jaka zdarza się wśród psów, które z nieodgadzionych powodów skaczą sobie do gardła, mimo że nic się nie stało.

Frances mówiła sobie, że wojna się kiedyś skończy, a wtedy ona i Marjorie zapomną o sobie. Córki Alice były tylko epizodem. Za kilka lat pewnie nie będzie nawet o nich pamiętać.

Dwudziestego drugiego czerwca Niemcy wkroczyli do Rosji. Wielu Anglików było przerażonych, gdyż w pierwszej chwili uznali, że optymizm Hitlera, z jakim ten rzucał się na nieosłabionego przeciwnika, na potężny, ogromny kraj, przemawia za tym, iż Niemcy faktycznie są jeszcze silniejsi, niż dotychczas myślano - i że muszą posiadać niewyobrażalne rezerwy. Czy w przeciwnym razie podjęliby takie ryzyko?

Tylko nieliczni przewidywali, że przez napaść Hitlera na Rosję szczęście wojenne opuści Niemców. Premier Churchill już kilka miesięcy wcześniej przepowiadał, że Niemcy uderzą na Wschód, i teraz okazało się, że miał rację. Należał do tych, którzy reprezentowali pogląd, iż Hitler posunął się za daleko i zaczął przygotowywać własną klęskę.

Na razie jednak niemieckie czołgi wdzierały się coraz dalej w głąb Rosji, prac naprzód szybko i niepowstrzymanie, do czego już wszyscy zdążyli się przyzwyczaić.

- Wydaje się, jakby nic nie było w stanie ich zatrzymać - rzekł Charles, siedząc przy radiu i słuchając najnowszych meldunków wojennych. - Zdaje się, jakby cały świat kapitulował przed manią wielkości tego narodu.

- Nie, świat nie kapituluje - zaprotestowała Frances - tylko zupełnie przeoczył wszelkie znaki ostrzegawcze i potrzebował zbyt wiele czasu, żeby ochłonąć z zaskoczenia. Ale od tej pory Hitler będzie miał coraz więcej kłopotów, i to większych kłopotów, niż potrafi to w tej chwili ocenić.

Była przekonana, że Hitler połamie sobie zęby na Rosji. Charles jednak, będąc z zasady pesymistą, nie podzielał jej poglądu i przepowiadał koniec świata.

W tych letnich miesiącach 1941 roku stał się cieniem samego siebie. Przetrwiał zimę i wyszedł jakoś z zapalenia płuc, lecz teraz wydawał się umierać codziennie po trochu wskutek powolnego ubytku sił. Każdego ranka wyglądało na to, że jest go odrobinę mniej niż poprzedniego dnia. Kiedy Frances pytała go, jak się czuje, odpowiadał tylko:

- Całkiem dobrze, moje dziecko, całkiem dobrze.

Każdy z domowników miał wrażenie, że zbliża się jego koniec, ale nikt o tym nie mówił, także sam Charles powiedział tylko raz:

- Cieszę się, że nie dożyję dwóch rzeczy: zwycięstwa narodowego socjalizmu nad światem i rozwodu Victorii.

Był to jedyny raz, gdy w obecności Frances i Adeline wspomniął o własnej śmierci.

Frances odpowiedziała wtedy zszokowana:

- Jak możesz wierzyć, że narodowy socjalizm zwycięży?

A Adeline zawołała równocześnie z przerażeniem:

- Sir, tylko żeby pan nie mówił głośno takich rzeczy przy Victorii. Biedactwu i bez tego jest wystarczająco ciężko!

Dopiero wtedy zapewniły Charlesa zgodnie, że są przekonane, iż dojdzie do siebie i będzie jeszcze długo żył.

- Dzisiaj, ojczu, wyglądasz dużo lepiej niż wczoraj - rzekła Frances, ale Charles posłał jej tylko długie, ironiczne spojrzenie, po czym podniósł się z trudem i człapiąc, ociężałym krokiem wyszedł z pokoju.

Charles się pomylił. Nie udało mu się umrzeć, zanim Victoria się rozwiedzie prawomocnym wyrokiem sądu. Nikt w domu nie poinformował go o tym - nikt się nie o d w a ż y ł - że Victoria i John pragnęli uzyskać rozwód z powodu rażącej dolegliwości i dlatego nie musieli dotrzymywać zwyczajowych terminów.

Victoria uzasadniła pośpiech „psychicznym okrucieństwem”, jakie mąż okazywał jej przez dwadzieścia lat praktycznie bez przerwy, John zaś przyznał się do tego bez oporu. Potem Victoria nie spała po nocach i w beznadziejnej rozpacz płakała w poduszkę; sądziła bowiem, że John będzie przeciwny szybkiemu rozwodowi i w ten sposób stworzy szansę pojednania. Była głęboko urazona, kiedy stwierdziła, że woli on wziąć całą winę na siebie (choć jej zdaniem faktycznie tak było), niż choćby dzień dłużej niż to konieczne pozostawać z nią w związku małżeńskim. Nie spierał się nawet o pieniądze. Wydawało się, że gotów jest dać jej to, co ma, jeśli tylko w ten sposób będzie wreszcie wolny. W swoim cierpieniu Victoria szukała pociechy u Marguerite, ale ta reagowała zniecierpliwieniem i rozdrażnieniem.

W końcu nadszedł dwudziesty trzeci lipca, dzień, w którym John i Victoria prawomocnym wyrokiem sądu przestali być małżeństwem. Zgryzota i rozczarowanie nadwreżyły w znacznym stopniu poczucie taktu i dyplomatyczne zdolności Victorii. Zamiast delikatnie i ostrożnie przybliżyć ojcu stan rzeczy, wyrwała się ze swą nowiną podczas kolacji zupełnie zniechęta.

- Ojcie, nawiasem mówiąc, John i ja przestaliśmy być dzisiaj małżeństwem - powiedziała w trakcie niewinnie płynącej rozmowy na temat chłodnego lata. Następnie rzuciła na stół swoją serwetkę i wyszła z jadalni.

Charles zrobił się błydy jak kreda.

- Co? - zapytał powoli. Ręka, w której trzymał widelec, drżała.

- Ojcie, wiedzieliśmy przecież, że ten moment nadejdzie - rzekła Frances. - Tyle tylko że nastąpił trochę szybciej. Cieszymy się, że mamy już to wszystko za sobą.

- Moja córka jest rozwódką - mruknął Charles.

Jego starcza twarz wydawała się w jednej chwili jeszcze bardziej zapadnięta. Frances przeklinała w duchu bezwzględność Victorii, która roztrąbiła tę wiadomość prosto z mostu. Laura otworzyła szeroko oczy.

- Victoria jest r o z w ó d k ą? - zapytała. - To coś złego, prawda? Choć właściwie nie wypada przecież tak...

- Lauro, obawiam się, że nic z tego nie rozumiesz - przerwała jej ostrym tonem Frances.

Laura zacisnęła wargi.

- Chcę wrócić na górę do swojego pokoju - powiedział cicho Charles. Pragnął wstać, lecz mu się nie udało. Frances i Adeline musiały go podpierać i prawie nieść po schodach. W swojej sypialni apatycznie pozwolił, żeby go rozebrały. Frances była przerażona, gdy

zobaczyła ciało ojca. Chudy jak szkielet, wystające żebra i kości miednicy. Pokryte zmarszczkami ramiona były cienkie jak u małego dziecka. Na zapadniętej piersi płożo się kilka żałosnych siwych włosów.

- Jutro koniecznie musi przyjść znowu lekarz - oświadczyła Frances. - Ojciec wygląda gorzej, niż kiedy miał zapalenie płuc.

Charles otworzył oczy.

- Nie potrzebuję lekarza.

- Tylko cię obejrzy. I powie nam, jak cię podkarmić. Koniecznie musisz przytyć.

- Po co? - spytał Charles.

Zmarł dwa dni później, w swoim łóżku, we śnie. Nie wstał już od tamtego wieczoru, a lekarz po zbadaniu go zrobił zafrasowaną minę.

- Jest bardzo słaby - stwierdził. - Prawie już nie ma sił. Ciężka choroba minionej zimy zupełnie wycieńczyła jego organizm. Jego serce w ogóle mi się nie podoba. Nie wolno mu się denerwować. Żadnego wysiłku. Poza tym właściwie nie można nic zrobić.

Ostatnie zdanie, jakie Charles powiedział do Frances, brzmiało:

- Uważaj na Victorię!

Wypowiedział je po tym, jak nakarmiła go bulionem, ugotowanym specjalnie dla niego przez Adeline, i chciała go zostawić samego na popołudniową drzemkę.

- Skąd ci to teraz przyszło do głowy, ojczu? - zapytała.

Powtórzył tylko:

- Uważaj na Victorię! - i zamknął oczy. Chciał spać.

Frances zaczekała jeszcze parę minut, wsłuchiwała się w jego oddech, który wydawał się silny i równomierny. Zostawiła go samego, jego serce musiało więc przestać bić w ciągu następnej półtorej godziny, bo gdy zajrzała do niego wczesnym popołudniem, już nie żył.

Leżał tak samo, jak go zostawiła, ale już nie oddychał. Usta miał lekko otwarte. Jedną ręką zwisała bezwładnie z boku łóżka.

- Ojczu! - zawołała Frances.

Musiała to zrobić głośno i była też pewnie wystraszona, gdyż w pokoju zebrały się natychmiast wszystkie obecne w domu osoby, łącznie z Marguerite. Frances wzięła Charlesa za rękę: była sztywna i lodowata.

- Nie żyje - powiedziała.

Victoria jęknęła cicho.

- O Boże - wyszeptała.

Adeline wydała cichy okrzyk strachu. Na twarzy Laury malowało się przerażenie, mina Marjorie zdradzała delikatną żądzę sensacji. Marguerite nie okazywała żadnych emocji, ale w jej ciemnych oczach można było dostrzec wyraz współczucia.

- To moja wina - oświadczyła Victoria. - To moja wina! To...

- Bzdura! - prychnęła Frances.

W rzeczywistości była jednak przekonana, że to Victoria ponosi odpowiedzialność za śmierć ojca. To wprawdzie nie jej wina, że tak bardzo wziął sobie do serca jej rozwód, lecz ona dokładała się do tego ciągłymi lamentami i skargami, a jej nieprzemyślane wystąpienie dwa dni wcześniej mocno go zdenerwowało, choć powinien był tego unikać. Kiedyś wygarnie Victorii to wszystko, ale nie teraz, nie przy łożu śmierci ojca.

- Wezwij lekarza, Adeline - rozkazała - żeby przyszedł i wypisał akt zgonu.

- A na co umarł? - zapytała Marjorie.

- Sądzę, że jego serce nie wytrzymało - odparła Frances. - Chodźcie, dzieci, popatrzcie na niego i pożegnajcie się!

Laura posłusznie podeszła bliżej, lecz Marjorie pokręciła tylko gwałtownie głowę, odwróciła się i wypadła z pokoju. Słychać było jej kroki na schodach, potem trzask zamykanych drzwi.

- Kiedy wróci, niech ma się na baczności - oświadczyła gniewnie Frances.

- Jest jeszcze za młoda - rzekła spokojnie Marguerite. - A to tutaj to ponad jej siły.

- Biedny pan Gray - wybąkała Laura. Wpatrywała się w wychudzonego starego człowieka. Jej grube palce zaciskały się na oparciu krzesła. - Kiedy będzie pogrzeb?

- Porozmawiam z pastorem - odpowiedziała Frances, lecz zaraz przyszła jej do głowy pewna myśl, więc dodała: - Ach, i jakoś muszę zawiadomić i przywieźć George'a. Tym razem będzie musiał opuścić swoją pustelnię.

George wcale nie musiał i ani myślał zrezygnować choćby na dzień z wybranej przez siebie samotności. Jak zresztą miałby nagle stanąć naprzeciwko obcych ludzi, gdy od ćwierć wieku widywał się tylko z własną siostrą?

Frances pojechała do Staintondale, żeby zawiadomić go o śmierci Charlesa i zabrać od razu ze sobą, ale powiedział, że z nią nie pojedzie. Był przy tym tak spokojny, jakby nie miał wątpliwości, że siostra go zrozumie, albo jakby mu to było obojętne. Frances nie udało się stwierdzić, czy śmierć Charlesa go obeszła. Kiedy się dowiedział, wyraz jego twarzy w ogóle się nie zmienił. Wydawał się oderwany od świata tak jak zawsze, zamknięty w kokonie, który go oplatał i chronił przed szaleństwem.



- Musisz jechać ze mną - nalegała Frances, ale nie odpowiedział, tylko patrzył przez okno na morze, jak robił to już wcześniej, zanim weszła i zakłóciła jego spokój. - Jeśli cię nie przywiozę, nikt tego nie zrozumie - rzekła zaklinającym tonem, a dźwięk jej głosu sprawił, że odwrócił się jeszcze raz od okna i po jego twarzy przemknął wyraz zdziwienia: dziwił się temu, że sądziła, iż jego interesuje to, czy ktoś go rozumie; dziwił się także temu, że ją to interesuje.

Zawstydzona spojrzała w bok, wstała i oświadczyła:

- No cóż... Może musisz pożegnać się z nim na swój sposób.

Do samego końca miała nadzieję, że może jednak przyjedzie, zjawi się nad grobem i osobiście pożegna ojca. Fakt, że tego nie zrobił, był dla niej bolesny, bo wiedziała, że byłby bolesny dla Charlesa. Wszyscy przyszli na pogrzeb, tylko jego jedyny syn się nie zjawił.

Cała wioska zgromadziła się na cmentarzu w tamten wietrzny, lecz słoneczny lipcowy dzień. W cieniu drzew panował chłód, ale porywisty wiatr ciągle szarpał obrośnięte gęsto liśćmi gałęzie, przez które przebijały się błyszczące, ciepłe promienie słońca, malując jasne plamy na mchu i starych kamieniach. Ludzie stali w milczeniu wokół grobu, na większości twarzy można było wyczytać szczerzy smutek.

Charles Gray nigdy nie był jednym z nich, pochodzenie i wykształcenie wyniosły go znacznie ponad stan chłopski, jednak na swój spokojny, powściągliwy sposób nigdy nie dawał im odczuć, że uważa się za kogoś lepszego. Życzliwie pozdrawiał każdego i zawsze był uprzejmy. Poza tym było powszechnie wiadomo, że zrezygnował z życia w zbytku i luksusie, żeby ożenić się z kobietą, którą kochał, i już to otwierało przed nim ludzkie serca.

- To był wytworny pan - powiedziała ze łzami w oczach chłopka, która składała Frances kondolencje. - Naprawdę wytworny pan!

Frances nie zapłakała przez cały pogrzeb, wiedziała bowiem, że śmierć była dla Charlesa wybawieniem, że dobiegło końca powolne umieranie, które zaczęło się przed dwudziestu pięciu laty. Charles znalazł wreszcie spokój. Ale te niewypłakane łzy paliły ją w środku i zniechęcona myślała, że teraz już definitywnie nic nie będzie takie jak przedtem, nigdy już nie będzie.

Już nigdy nie będzie mogła czuć się dzieckiem w Westhill ani być świadoma jego opieki. Mimo że od dawna wszystkie decyzje podejmowała sama i od dawna troszczyła się o rodzinę i farmę, Charles był w dalszym ciągu jakby instancją nadrzędną, patriarchą, który wycofał się z codziennych spraw, ale na jego mądrość i doświadczenie zawsze można było liczyć, kiedy były potrzebne.

Teraz została sama. Sama ze swoją odpowiedzialnością za dom i ziemię, ze swoją

troską o dwoje dzieci i o nieszczęśliwą Victorię. W dodatku była wojna i Bóg jeden pewnie wiedział, co jeszcze czekało ich wszystkich.

Odetchnęła głęboko, jakby to mogło rozluźnić obręcz, która ścisnęła jej pierś.

- Ziemia ziemi, popiół popiołom, proch prochowi... - mówił właśnie pastor.

Podniosła wzrok i powiodła spojrzeniem po zebranych, w dalszym ciągu nie tracąc nadziei, że nagle pojawi się George. Widziała Johna, który wyglądał bardzo wytwornie w czarnym garniturze i tego dnia najwidoczniej jeszcze nic nie pił, gdyż policzki miał blade, a jego splecione dłonie drżały lekko. Było z nim coraz gorzej: jeszcze kilka miesięcy wcześniej był w nie najgorszej formie, kiedy nie pił, teraz bez alkoholu czuł się naprawdę podle. Zauważyła, że i on rozgląda się dokoła; pomyślała, że szuka jej wzrokiem, i ta pocieszająca myśl uśmierzyła na moment ból.

Ale już w chwilę później stało się dla niej jasne, że wcale nie musi jej szukać, gdyż ona i Victoria stoją przy samym grobie i są dobrze widoczne dla wszystkich. Zobaczyła, że John się uśmiecha, choć prawie niezauważalnie, a gdy podążyła za jego wzrokiem, odkryła, komu przesyła ten uśmiech: Marguerite zmarszczyła odrobinę czoło, jakby uważała wymianę uśmiechów podczas pogrzebu za niestosowne zachowanie, lecz równocześnie wydawała się wzruszona.

Frances stała jak rażona piorunem. O tym nie miała najmniejszego pojęcia. Między Johnem a Marguerite zadzierzgnęła się nić sympatii, z pewnością jeszcze cienka, ale nie można jej już było nie zauważyć.

Jak mogła tak długo tego nie dostrzegać?

## *Sobota, 28 grudnia 1996 roku*

Barbara czytała prawie do rana. Dopiero około czwartej zgasła świeca, położyła się na plecach i prawie natychmiast zasnęła.

Zbudziło ją jasne światło, które ją oślepiało, ledwo otworzyła oczy. Zdezorientowana pomyślała: Na pewno jest już późno, skoro słońce tutaj zagłada!

Zaraz jednak zauważyła, że to nie słońce ją zbudziło, tylko lampka obok łóżka. W poprzednich dniach pstrykała wyłącznik pewnie ze sto razy i na koniec najwidoczniej pozostała już włączona. Jeśli działało też znowu ogrzewanie, to mieli teraz światło, ciepło i telefon - tyle że w dalszym ciągu nic do jedzenia.

Za oknem panowały jeszcze ciemności, jak stwierdziła przez szparę między zasłonami. Rzut oka na zegarek uzmysłowił jej, że spała niespełna trzy godziny. Obok niej na podłodze leżały dwa stosy kartek: znacznie wyższy z nich stanowiła część, którą już przeczytała, niższy - pozostała jej do przeczytania. Pewnie będzie musiał poczekać jeszcze chwilę. Potrzebowała trochę snu.

Wyłączyła światło. Dziwne uczucie: tak już się przyzwyczaiła do zdmuchiwania świec, że paląca się lampka wydawała jej się rzadkim luksusem.

Opadła z powrotem na poduszki i czekała, aż ponownie ogarnie ją sen, ale nic się nie działo. Choć piekły ją oczy i głowę miała otepiała ze zmęczenia, była całkowicie rozbudzona i przytomna. Bolał ją żołądek, miała wrażenie, że jej wnętrzności się skurczyły. Nie wiedziała, że głód może sprawiać taki ból. Dla kobiet z jej pokolenia, a więc urodzonych pod koniec lat pięćdziesiątych, głód był stanem i tak praktycznie nieznanym, w każdym razie prawdziwy głód. Miała wprawdzie za sobą radykalne kuracje odchudzające lub po ciężkim dniu pracy bywała bardzo głodna, ale uczucia ciągłego głodu przez wiele dni po prostu nie znała, nie znała go z własnego doświadczenia, lecz tylko z opowieści rodziców i dziadków.

Zwariowana ta cała sytuacja, pomyślała, po prostu zwariowana.

Próbowała myśleć o książce, żeby zapomnieć o głodzie. Przyszła jej na myśl Laura, dziewczynka cierpiąca na ataki obżarstwa. Mimo woli uśmiechnęła się: to typowe, że - wobec burczenia w żołądku - w pamięci pozostał jej akurat nocny napad na półmisek z puddingiem. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że pomyślała o Laurze nie tylko z powodu głodu, lecz i dlatego, że opis dziewczynki wywołał w jej pamięci głęboko ukryte obrazy, do których nie chciała już wracać.

Barbara pomyślała o sobie jako młodej dziewczynce, i te myśli wcale nie były przyjemne.

Dziś łatwo mogłaby opowiadać każdemu, że jako nastolatka była za gruba - i tak nikt by jej nie uwierzył. Nie tylko z powodu jej szczupłej figury, ale dlatego, że w ogóle pod każdym względem wyglądała teraz perfekcyjnie. Jej ubrania i buty, jej biżuteria, fryzura, makijaż - wszystko zawsze było bez zarzutu, nawet najbardziej krytyczne oko nie mogłoby stwierdzić jakiegokolwiek skazy. Kiedy ubierała się niedbale, jej niedbałość była dokładnie wystudiowana, i tak samo było, kiedy występowała w eleganckich strojach. Uchodziła za bardzo zdyscyplinowaną kobietę sukcesu, która w pełni świadomie kształtuje własne życie. Barbara za gruba? Wykluczone!

Nie klęczała wprawdzie w nocy przed miskami i nie wylizywała zabronionych przysmaków, ale jadła i jadła bez przerwy, przy każdej okazji, nieustannie. Przede wszystkim chipsy, od których w końcu było jej niedobrze i na dodatek wyskakiwały jej pryszcze. Ale nie mogła przestać. Wpychała w siebie wszelkie kolorowe słodkie pocieszenia: żelki, czekoladę i cukrowane orzeszki ziemne. Była przekonana, że robi to dlatego, iż jest bardzo nieszczęśliwa z powodu swego wyglądu. Im grubsza spoglądała na siebie z lustra, tym szybciej musiała coś zjeść, żeby złagodzić swoje zmartwienie. Straszliwe błędne koło, w którym przyczyna i skutek zlewały się w jedną wielką katastrofę.

Dopiero znacznie później zaczęła się zastanawiać, czy jej niezaspokojony głód ma głębszą przyczynę, i choć nie miała skłonności do uprawiania psychologii na własny użytek, wpadła na to, że powodem mogła być rywalizacja z młodszym bratem. Zawsze miała dobre stosunki z matką, ale wiedziała, że ta gorąco pragnęła urodzić syna.

„Dla ciebie nie wymyśliliśmy nawet imienia”, opowiadała czasami Barbarze, „taka byłam pewna, że będziesz chłopcem!”.

Kiedy upragniony syn przyszedł na świat prawie osiem lat po Barbarze, matka wprost nie posiadała się ze szczęścia. Wprawdzie zawsze starała się traktować oboje jednakowo, jak musiała uczciwie przyznać Barbara, mimo to było coś - jakaś więź pomiędzy nią a synem, niewidzialna pępowina, która nigdy nie została przecięta, porozumienie bez słów.

Barbara nie pamiętała, czy w sposób o d c z u w a l n y cierpiała z tego powodu, ale pewnie tliło się to ukryte w jej wnętrzu. Czasami pojawiała się nagle uczucie, na pozór bez powodu, że zimno jej od środka, a gdy potem jadła i jadła, powoli wracało ciepło. Możliwe, że działo się tak z winy brata, a może też chodziło o coś zupełnie innego. W pewnym momencie rzecz zaczęła toczyć się zgodnie z własną dynamiką. Barbara napychała się, płakała na widok swego odbicia w lustrze, po czym napychała się znowu, żeby łyzy

obeschły.

I naturalnie żaden chłopiec się nią nie interesował - ani jeden!

Barbara odwróciła się niespokojnie na bok, przeszłość dopadła ją i trzymała w żelaznym uścisku. Poczowała na twarzy falę gorąca, gdy przypomniały jej się szkolne zabawy, których nienawidziła, a na które jednak musiała chodzić. Należało się bawić, wesołość była najważniejszym przykazaniem. Przypomniały jej się ciasne pomieszczenia piwniczne z mrocznym oświetleniem, po części porywająca, a po części nastrojowa muzyka, zapach potu, perfum, sałatki z makaronem i majonezem oraz alkoholu, chociaż alkohol był zakazany. Pary podskakiwały na parkiecie albo - w późniejszych godzinach - ciasno przytulone, wręcz sczepione ze sobą, posuwały się krok do przodu i krok do tyłu, a na ogół wydawało się, że stoją w miejscu, wymieniając pieszczoty.

Barbara siedziała zazwyczaj obok sprawującego nadzór nauczyciela i starała się usilnie nawiązać i podtrzymywać rozmowę, by wyglądało na to, że jest zbyt mocno zaangażowana w drążącą jakiś temat konwersację, ażeby interesować się tańcem. Koniec końców i tak nikt jej nie wierzył, a Barbara, rumieniąc się ze wstydu, musiała wciąż przeżywać dręczące minuty, kiedy nauczyciel, przypominając sobie o swych pedagogicznych obowiązkach, wyławiał jakiegoś chłopaka i ze słowami: „Zatańcz teraz z Barbarą!” popychał go w stronę pietruszkującej koleżanki. Chłopiec wznosił przeważnie oczy do nieba i niechętnie krzywił usta, a Barbara bezradnie bąkała: „Właściwie nie zamierzałam teraz wcale tańczyć...”, ale rzut oka na stanowczą minę nauczyciela przekonywał ją, że ten nie pozwoli jej się wyłgać.

Dobrnawszy jakoś do końca okropnego tańca, w którym jej partner zazwyczaj nawet nie starał się ukrywać swojej niechęci do niej, uciekała do toalety - ale i tam napotykała gromadkę dziewcząt, które tłoczyły się przed lustrami, chichotały i wygłupiały się, wymieniały się kredką do ust i przechwalały swoimi przygodami.

- Nie uwierzycie, Frank chwycił mnie za biust!

O tego rodzaju zaczepkach Barbara mogła tylko pomarzyć.

Naturalnie była jeszcze dziewicą, kiedy poszła na uniwersytet, i wciąż miała ponure wyobrażenie, że widać to po niej już z daleka. Przez pierwsze dwa semestry pozostała autsajderką, którą zawsze była, a korzystając z tego, że jest poza nawiasem, rzuciła się z całą energią na studia i skoncentrowała tylko na nich. Uświadomienie sobie, że posiada bystry umysł i zdolność niezwykle szybkiego pojmowania, było dla niej pierwszym przeżyciem prawdziwego sukcesu i znacznie podbudowało jej pewność siebie.

A potem również jej koledzy zauważyli, że mają w swoim gronie intelektualistkę,

która zbiera najlepsze oceny i cieszy się wysokim poważaniem u profesorów. Niektórzy byli zazdrośni, lecz z drugiej strony pomoc i rady Barbary przydawały się w rozwiązywaniu skomplikowanych problemów, toteż nagle okazało się, że ma ona całe mnóstwo przyjaciół. Zaczęła odkrywać, że może być lubiana, że potrafi zyskiwać podziw i uznanie.

To dało jej decydujący impuls. Od tej pory zrezygnowała z „frytek z majonezem” i zapisała się na zajęcia gimnastyczne. Kiedy na którymś seminarium poznała Ralpha, wciąż jeszcze była tęgawa, ale o całe niebo szczuplejsza niż przedtem. To, że zainteresował się nią wreszcie mężczyzna, a w dodatku tak przystojny jak Ralph, dodało jej jeszcze bodźca do działania. Głodziła się i ćwiczyła zapamiętane, aż osiągnęła swą idealną wagę, z pomocą fryzjera nadała złocisty połysk włosom, które miały kolor spłowiałej słomy, przekonała się, że lubi eleganckie stroje i posiada niezawodny gust.

Bezwzględnie odsunęła od siebie jak najdalej wszystko, co przypominało dawną Barbarę, ukryła rany i blizny za fantastycznymi ocenami i znaczącymi osiągnięciami, za krzykliwą kredką do ust i szykownymi ciuchami, za pewnością siebie, o której wiedziała, że wydaje się czasami wymuszona, lecz bądź co bądź spełnia swój cel, a mianowicie, że inni ludzie traktują ją z respektem i zabiegają o jej względy.

Zmieniła, przeobraziła się zupełnie, ale tak, że sama tego właściwie nie zauważyła, i ani razu nie wzięła pod uwagę, że Ralph mógłby nie uznać jej metamorfozy za fantastyczną.

Dziś, tego ranka, kiedy opadły ją wspomnienia, które już całe wieki nie śmiały się nasunąć, przyszło jej nagle na myśl, że Ralph zakochał się w innej kobiecie niż ta, którą stała się obecnie. I może wcale go to nie uszczęśliwiło tak, jak ona z góry przyjęła za oczywiste.

Usiadła na łóżku i odrzuciła kołdrę. Unikała skutecznie tych wszystkich myśli i obrazów niczym jakiejś zaraźliwej choroby, więc i teraz nie zacznie ich rozpamiętywać. W żadnym wypadku nie może dłużej zostać w łóżku. Musi wstać i czymś się zająć, najlepiej dalszymi losami Frances Gray i...

Na dole zadzwonił telefon.

Dokładnie tego potrzebowała w tym momencie - odwrócenia uwagi. Wskoczyła z łóżka, wypadła z pokoju i zbiegła po schodach, i dopiero na dole zorientowała się, że jest boso i chłód przeszywa jej stopy niczym ostre noże. Zobaczyła, że drzwi do piwnicy są uchylone: w głębi pomieszczenia paliło się światło, Ralph gdzieś tam hałasował, pewnie starał się uruchomić ogrzewanie. Barbara miała ogromną nadzieję, że mu się uda. Dygotała już na całym ciele, gdyż w pośpiechu zapomniała nawet narzucić szlafrok.

- Słucham? - zgłosiła się trochę zadyszana.

- Barbara? Mówi Laura. Mam nadzieję, że nie zbudziłam pani?

- Nie, byłam już... - Barbara urwała. L a u r a?

- Jest tam pani jeszcze? - dopytywała się poirytowana Laura.

- Tak... tak, naturalnie. Przepraszam.

Rzeczywiście, idiotka z niej. Dziś w nocy podczas czytania była zmęczona, a teraz rano nadal zaspana i do tej chwili jeszcze nie pojęła, że Laura, która wynajęła im dom, i biedna gruba Laura z opisów Frances to jedna i ta sama osoba.

Laura Selley, naturalnie! Urodzona w 1926 roku, a więc mająca obecnie siedemdziesiąt lat, czyli dosyć dokładnie w takim wieku, na jaki Barbara oceniała właścicielkę Westhill. Z trudem wyobraziła sobie chudą starą kobietę jako żarłocznego podlotka, ale czy ktoś potrafiłby sobie wyobrazić, że ona sama, Barbara, też była taka? Czyż dopiero wczoraj nie uspokoiła sumienia z powodu niedyskretnego grzebania w zapiskach Frances Gray, stwierdzając, że wszyscy protagoniści tej autobiograficznej powieści już nie żyją?

Jak bardzo można się mylić. Laura żyła i obie stały już nawet naprzeciw siebie. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła czytać tę pozostającą tak długo w ukryciu historię, zrozumiała, co Ralph miał na myśli, kiedy chciał ją przed tym ostrzec. Nagle poczuła się jak podglądacz.

Nie słuchała uważnie, co mówi Laura, więc nie złapała wątku.

- ...ale Marjorie uważa, że i tak tam nie dotrę, więc chciałabym wiedzieć, co pani o tym sądzi?

- Przepraszam, Lauro, tego właśnie nie dosłyszałam. O co chodzi?

- Czy coś jest nie w porządku? - W głosie Laury pobrzmiwały niepokój i nieufność. - Barbaro, mówi pani tak jakoś dziwnie! Coś jest nie tak?

- Wszystko jest w porządku, naprawdę. Tylko ja jestem jeszcze trochę zmęczona.

- Właśnie powiedziałam, że zamierzałam wrócić do domu czwartego stycznia. Tego dnia planowali państwo wyjechać, prawda?

- Owszem. Tak było uzgodnione.

- Marjorie, moja siostra, mówi, że prawdopodobnie nie dam rady dotrzeć na miejsce, a państwo nie zdołają wyjechać. Chciałam więc usłyszeć, co pani o tym myśli.

Marjorie. Krnąbrna młodsza siostra, która nie ukrywała wrogości wobec Frances...

Muszę się wreszcie skoncentrować na rozmowie z Laurą, pomyślała Barbara.

- Sądzę, że do czwartego stycznia opanują tutaj sytuację - powiedziała. - Od dłuższego czasu śnieg już nie pada. Cynthia Moore mówi, że główna szosa została dawno odsnieżona. Tylko my tutaj jesteśmy jeszcze odcięci.

- I naprawdę wszystko jest w porządku? - spytała jeszcze raz Laura.

- Naprawdę. I z nami, i z domem.

Barbara zastanawiała się, czy Laura może wiedzieć o istnieniu zapisków Frances Gray. Czy sama Laura ukryła je pod deskami w szopie? Czy może zrobiła to jeszcze Frances - która potem zabrała tajemnicę do grobu?

- Proszę się nie martwić, Lauro - powiedziała. - Do tego czasu możemy przecież zawsze się zdzwonić. Będę panią informować na bieżąco.

- Byłoby to bardzo miłe z pani strony - rzekła Laura. - Do widzenia, Barbaro. Sprawy jakoś się znowu unormują, prawda?

Po tych słowach odłożyła słuchawkę. Barbara patrzyła w zamyśleniu na aparat telefoniczny, zastanawiając się, co Laura miała na myśli, wypowiadając ostatnie zdanie. Sprawy jakoś się znowu unormują... Czy mówiła o śniegu, czy chodziło o coś innego, o wiele więcej?

- Dziwna była - relacjonowała rozmowę Laura - jakaś inna. Poirytowana. Myślami gdzie indziej... a jednocześnie zupełnie przytomna. To zastanawiające.

- Przecież prawie nie znasz tej kobiety - rzekła Marjorie. - Po czym miałabyś w ogóle poznać, czy jest i n n a? Widziałaś ją raz w życiu i krótko z nią rozmawiałaś. Skąd miałabyś wiedzieć, jaka ona jest n o r m a l n i e?

- Kiedy innemu człowiekowi coś chodzi po głowie, to się to po prostu czuje - upierała się Laura. - Aby to wiedzieć, wcale nie trzeba go znać. Kiedy się zgłosiła, jej głos miał jeszcze zupełnie naturalne brzmienie. I nagle... tak, dokładnie to. Nienaturalne. Nagle brzmiał nienaturalnie.

- Coś sobie uroiłaś - burknęła Marjorie.

Siedziała przy kuchennym stole i studiowała gazetę. Wyglądała na dość niewyspaną. Laura słyszała w nocy, że ciągle wstawała i chodziła do kuchni, skąd przynosiła sobie zapewne jedną szklankę wody po drugiej. Naturalnie odczuwała z tego powodu najcięższe wyrzuty sumienia. Zbyt ostro potraktowała siostrę wczorajszego dnia. Określiła mieszkanie, osiedle i całą okolicę jako brzydkie. Powiedziała Marjorie, że wygląda tak, jakby nie śmiała się od lat. Wściekła się i podniosła głos, obrażała ją. Teraz wstydziła się swego zachowania.

- Zadzwoiłaś tam o wiele za wcześniej! - powiedziała Marjorie. - O siódmej rano. Tak nie wypada.

- Nie miała zaspanego głosu - odparła Laura. Usiadła przy stole naprzeciwko siostry. - Marjorie - powiedziała cicho - chciałam cię przeprosić... za wczoraj. Byłam zbyt porywcza. To przez te zmartwienia...



- Już dobrze. Nie musimy już o tym mówić.

- Ale przepraszam, że...

- Lauro! - rzekła ostro Marjorie. - Przestań! Jeśli raz w życiu naprawdę się wściekasz i mówisz, co myślisz, to nie powinnaś już następnego dnia wszystkiego cofać. Na Boga, nie wypieraj się swojej złości i tego wszystkiego, co cisnęłaś mi prosto w twarz!

- Ja...

- Lauro, jesteś tak przerażająco dobrym człowiekiem. Może nie uwierzysz, ale to może wykończyć niejednego. Zawsze sympatyczna. Zawsze miła. Zawsze uprzejma, nawet jeśli ktoś wchodzi ci na głowę. Zawsze taka byłaś. Wiesz, do czego prowokujesz ludzi takim zachowaniem? Do tego, że traktują cię coraz gorzej. Bo można tylko oszaleć, gdy ma się do czynienia z takim uosobieniem dobroci. I chce się po prostu sprawdzić, jak daleko można się posunąć. Przez cały czas człowiek myśli sobie: do cholery, ona chyba w końcu się zezłości! Zacznie przeklinać i wymyślać, i zatrzśnie drzwi z całej siły! Chyba w końcu nie pozwoli się już kopać! A tymczasem nic się nie dzieje. Otwierasz szeroko oczy, robisz smutną minę, chowasz głowę w ramiona, patrzysz jak zbity pies i nic nie mówisz!

Laura czuła, jak blednie. Nie była przygotowana na ten zarzut. Nagle poczuła suchość w ustach.

- W ogóle nie zauważasz, jak ludzie tobą pomiatają - ciągnęła bezlitośnie Marjorie. - Myślisz, że cię lubią, bo zawsze tak miło się uśmiechasz i zgadzasz się na wszystko, co ci proponują. W rzeczywistości uważają, że jesteś dosyć nudna. Nawiasem mówiąc, Frances Gray nie była tutaj wyjątkiem.

- Marjorie! - wyszeptała zszokowana Laura.

- Możliwe, że na początku miała dla ciebie jeszcze coś w rodzaju współczucia. Byłaś przecież dzieckiem, a do dzieci przykłada się inną miarę. Ale potem byłaś coraz starsza i starsza - i z czasem zaczęła cię traktować jak szmatę!

- To nieprawda!

- Lauro, przestań ciągle okłamywać samą siebie! Taka kobieta jak Frances Gray szukała ludzi, z którymi mogła się ścierać i mierzyć, a nie takich, których można było przesuwać jak ścianę ze styropianu. Z tobą rzecz jasna było jej wygodnie. Robiłaś wszystko, co było w domu do zrobienia, i starałaś się ze wszystkich sił, żeby ją zadowolić. W długie samotne wieczory gawędziłaś z nią i dbałaś o to, żeby czas jej się nie dłużył w wielkim pustym domu. Robiłaś jej rano kawę, taszczyłaś whisky, którą piła wiadrami, i znosiłaś wszelkie jej humory. A za to wszystko ona tobą gardziła.

- Za to wszystko odziedziczyłam Westhill.

Marjorie roześmiała się.

- No i co z tego? Musiała to komuś zapisać, a oprócz ciebie nikogo nie było. W zasadzie uwiązała ci tylko kulę u nogi, zmusiła cię do walki, którą na koniec przegrasz.

- Skończyłaś? - spytała Laura bezdźwięcznym głosem.

- Właściwie chciałam jeszcze tylko powiedzieć, że moim zdaniem byłaś wczoraj wieczór całkiem dobra - rzekła Marjorie, a jej głos zabrzmiał nagle łagodniej, niemal ustepliwie. - Przedtem w ogóle nie wiedziałam, że potrafisz być taka porywca.

Porywca? Laura nie znajdowała już w sobie ani śladu wczorajszego gniewu. Czuła się bezwładna jak szmaciana lalka, której dyndają ręce i nogi.

- Nic nie wiesz o Frances Gray i o mnie - rzekła znużonym głosem. - Nic o tym, co nas łączyło, absolutnie nic.

- Dziś w nocy zastanawiałam się nad tym, co powiedziałaś, i w niektórych punktach masz rację. Moje życie jest dosyć smętne i monotonne. Sądzę, że mogłybyśmy gdzieś pójść w sylwestra.

Oślupiała Laura wytrzeszczyła oczy na siostrę. To, że Marjorie chce pójść gdzieś w sylwestra, było mniej więcej tak samo zaskakujące, jak gdyby królowa zapowiedziała, że zamierza wstąpić do katolickiego klasztoru i pozostać w nim do końca życia.

Palce Marjorie przesuwają się wzdłuż różnych szpalt leżącej przed nią gazety.

- Sprawdziłam, co mają jeszcze do zaproponowania trzydziestego pierwszego. Jest tu w pobliżu hotel, Whitestone House. Organizują tam bufet i występy na scenie. Można jeszcze kupić bilety.

Laura знаła Whitestone House z okien autobusu. Brzydki brązowy budynek, któremu z niedocieczonych powodów nadano nazwę Whitestone. Wewnątrz mogło być jednak całkiem przyjemnie.

- Zadzwoń tam? - spytała Marjorie.

Poczucie bezsilności wciąż jeszcze nie ustąpiło. W tej chwili nie udało jej się skupić myśli na propozycji siostry.

- Nie wiem - odpowiedziała bezradnie.

Z piwnicy wyszedł Ralph, miał brudne ręce i nieuczesane włosy. Granatowy golf, który na początku podróży wyglądał bardzo elegancko, teraz, po wielodniowym odśnieżaniu i rąbaniu drewna, wydawał się dosyć wybrudzony i sfilcowany. W każdym razie tego ranka Ralph był znowu ogolony i prezentował się schludniej niż z pokrywającą policzki szarą szczecina.

- Ogrzewanie znowu działa - zakomunikował. - Odkręciłem już wszędzie termostaty

przy kaloryferach. Naturalnie potrwa to chwilę, aż dom się ogrzeje, bo jest bardzo wychłodzony, ale w ciągu dnia na pewno zrobi się całkiem przyjemnie. A kiedy wrócę...

- Naprawdę się wybierasz? - zapytała Barbara.

Stali w korytarzu i Barbara przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, ponieważ miała wrażenie, że jej palce u nóg zamieniają się powoli w sople lodu.

- Nie mamy wyboru - odpowiedział Ralph. - W całym domu nie ma już nic do jedzenia. Sytuacja robi się z wolna trochę krytyczna. Jak długo mamy jeszcze głodować?

- Boję się tylko, że zabłądzisz.

- Nie martw się. Na pewno natknę się na jakieś ludzkie domostwa, gdzie w ostateczności będę mógł zapytać o drogę.

- Czegoś takiego jak droga w ogóle już nie ma.

- Ale jest kierunek. - Ruchem głowy wskazał telefon. - Kto to był przed chwilą?

- Laura Selley. Wyobraź sobie, właśnie o niej...

Barbara połknęła resztę zdania. Akurat Ralph, który nie krył swoich zastrzeżeń, nie musiał wiedzieć, że odnalazła Laurę w opisach Frances.

- Wyobraź sobie, że już teraz martwi się podróżą powrotną planowaną na czwartego stycznia - zmieniła szybko rozpoczęte zdanie. - Ta kobieta to istny kłębek nerwów. Chyba naprawdę wierzy, że w ciągu paru dni doprowadzimy ten dom do zupełnej ruiny.

- Ten dom jest wszystkim, co ma - przypomniał Ralph. Popatrzył na zegarek. - Idź, załóż coś i wypijemy jeszcze razem kawę. A potem ruszam w drogę.

Po śniadaniu - które składało się z kawy i ostatnich dwóch kawałeczków sera - Barbara odprowadziła Ralpha do szopy, gdzie trzymał narty. Była ósma, blade słońce wspinało się dopiero nad zaśnieżony horyzont na wschodzie. Od strony wzgórz wiał ostry, zimny wiatr. Chmury wisiały nisko na niebie, które nie było już jasne i błękitne jak w oba ostatnie dni, tylko wydawało się ponure i groźne.

Barbara popatrzyła z z troskaniem w górę.

- Wiesz, nie chcę krakać - ale wygląda na to, że znowu zaczną padać śnieg, nie uważasz?

Ralph pokiwał głową.

- Możliwe. Ale może wiatr przepędzi chmury. W każdym razie powinienem prędko wyruszyć. Tym szybciej będę z powrotem.

Przytrzymała go za ramię.

- A może powinieneś zostać tutaj. Wydaje mi się, że to zbyt ryzykowne. Wyobraź sobie, że przyjdzie znowu taka śnieżycyca jak na początku. Wtedy możesz się znaleźć w bardzo

nieprzyjemnej sytuacji.

- Potrzebujemy czegoś do jedzenia, Barbaro. I to najlepiej za nim ewentualnie znowu nas tu zasypie. - Uśmiechnął się uspokajająco. - Nie martw się. Wiesz przecież, że świetnie biegam na nartach.

Przynieśli narty pod drzwi domu, gdzie śnieg piętrzył się niemal na wysokość metra. Ralph z trudem umocował w wiązaniach swoje zimowe buty: miał nadzieję, że wytrzymają. Buty narciarskie, które były w domu, okazały się na niego za małe i nie mógł z nich skorzystać.

- Naprawdę odetchnę z ulgą, kiedy wrócisz! - powiedziała Barbara.

Ogarniał ją coraz większy niepokój. Od początku niezbyt była zachwycona jego planem, ale nie mieli innego wyjścia, a do wczoraj wydawało się, że pogoda się poprawia. Teraz jednak sytuacja wyglądała nagle znowu groźnie i Barbara z lękiem myślała o czekającym ją długim dniu: jej samej nic nie groziło i była bezpieczna w ciepłym domu, ale Ralph gdzieś na śnieżnej pustyni zdany był na swój zmysł orientacji - on, mieszcuch, który nie potrafiłby nawet posługiwać się kompasem, gdyby oczywiście go posiadał.

W każdym razie miał, jak twierdził, jakie takie - Barbara zastanawiała się, co w tym wypadku oznacza „jakie takie” - wyobrażenie o tym, w którym kierunku powinna znajdować się główna szosa. Jeśli do niej dotrze, wszystko będzie w porządku. Z jednej strony miała być, według Cynthii Moore, odśnieżona i może nawet podrzuci go jakieś przejeżdżające auto. A poza tym będzie wtedy obojętne, w którą stronę Ralph się zwróci, nawet gdyby nie trafił dokładnie do Leigh's Dale. Przy szosie było kilka wiosek, w najgorszym wypadku będzie musiał przejść kawałek. Ale jednak...

- Droga powrotna - rzekła z z troskaniem - będzie bardzo ciężka.

Cały czas pod górę, przez metrowy śnieg. I wtedy nie będzie już chodziło o to, żeby odszukać drogę, na którą w jakimś miejscu, chcąc nie chcąc, musiało się trafić. W drodze powrotnej trzeba będzie znaleźć Westhill - pojedynczy samotny dom.

- Na pewno dam radę - powiedział.

- Obiecaj mi jedno - poprosiła. - Jeśli dotrzesz do wioski zbyt późno i zacznie się ściemniać, to już nie ruszaj, na miłość boską, w drogę powrotną! Na pewno będziesz mógł tam przenocować. Do jutra nie umrę z głodu, a w każdym razie bezpieczniej będzie, gdy spróbujesz pokonać ten odcinek za dnia.

- Obiecuję - przyrzekł Ralph.

Upewnił się, że plecak jest dobrze ułożony. Potrzebował go na zakupy; chwilowo znajdowały się w nim jego portmonetka, latarka kieszonkowa i termos z gorącą herbatą.

- Poproś gdzieś, żeby ci zrobiono świeżej herbaty na drogę powrotną - dodała Barbara.

Czuła się jak nadmiernie troskliwa matka, która wysyła dziecko do szkoły, udzielając mu tysięcy napomnień. Ralph nie był dzieckiem. Ale i nie miał przed sobą drogi do szkoły. Był to jeden wielki sprawdzian wytrzymałości - dla mężczyzny, który był znakomitym adwokatem, ale nienadzwyczajnym sportowcem, tylko przeciętnym, także w biegach narciarskich, który nigdy nie ćwiczył wytrzymałości i nie miał jakiegóż rewelacyjnej kondycji.

Pocałował ją w policzek, jego wargi były zimne w dotyku. Patrzyła za nim, jak oddala się trochę nieporadnie na sztywnych nogach - lub raczej: jak przedziera się i przebija przez zaspę. To tutaj to nie był piękny, gładki zjazd jak podczas zimowego urlopu. Jego wysoka, trochę niezgrabna sylwetka zniknęła zaraz we mgle i mrocznym świetle dnia.

Kiedy całkiem straciła go z oczu, odwróciła się i weszła do domu, który powitał ją jasny i przytulny.

Bardzo powoli robiło się ciepło. W rurach centralnego ogrzewania rozlegało się bulgotanie i inne hałasy. Barbara zrobiła sobie jeszcze jedną kawę i siedziała w salonie, opierając się plecami o kaloryfer, wciąż w szlafroku, leniwa i niemal odprężona, odsuwając od siebie myśli o wszelkich niebezpieczeństwach, jakie czyhały na Ralpha. Małymi łykami raczyła się gorącym napojem. Ciepło przepływało przez całe jej ciało niczym rosnąca w siłę życiodajna rzeka. Kiedy zamykała oczy, widziała przed sobą Ralpha, który wrócił i rozpakowywał plecak na stole kuchennym. Ciekawe, co przyniesie.

Będą stać razem w ciepłej kuchni i gotować jakieś cudowne danie, a potem nakryją stół w jadalni białym obrusem i elegancką porcelaną, i może też rozpalą w kominku, ale wyłącznie w celu stworzenia przytulnej atmosfery, kominek nie będzie już jedynym źródłem ciepła, wokół którego musieliby się gromadzić jak marznące koty. Może Ralph przyniesie nawet butelkę wina. I Barbara będzie jeść, aż...

Zaburczało jej w żołądku głośno i wyraźnie. Myśl o jedzeniu sprawiła, że znów skurczył się boleśnie. Barbara otworzyła oczy. Jeszcze parę minut, a ślina zacznie jej cieknąć z ust niczym psu. Do wieczora musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby o tym nie myśleć.

Była jedenasta. Wyglądało na to, że na dworze chyba w ogóle się nie rozjaśni. Nisko wiszące szare chmury spowijały krajobraz delikatną, pochłaniającą światło mgielką. I zapowiadały śnieg, całe mnóstwo śniegu.

Nad tym nie będę się teraz zastanawiać, rozkazała sobie Barbara, przecież jeszcze nie pada!

Poszła na górę do łazienki i puściła wodę do wanny, żeby przygotować sobie gorącą

kąpiel. Zajrzała do szafki nad umywalką i znalazła staroświecki, zatykany korkiem flakonik, w którym znajdował się olejek rozmarynowy. Wlała go sporo do wody i patrzyła z zadowoleniem, jak tworzy się piana. Po wyrzeczeniach, które musiała ponosić w minionym tygodniu, ta kąpiel i ten wspaniały zapach wydawały jej się niesamowitym luksusem.

Kiedy zanurzyła się w wodzie, odetchnęła głęboko i z błogością. Dobrą stroną takich nieprzewidzianych problematycznych sytuacji jak ta, w której się znaleźli, było to, że człowiek znajdował - przynajmniej na krótko - nowe nastawienie do rzeczy właściwie banalnych. Gorąca kąpiel należała wcześniej do najzwyklejszych spraw w jej codziennym życiu. Gdyby nie pech, który chciał, że zasypało ich tu, w północnej Anglii, nigdy by nie wiedziała, jakim szczęściem może być taka kąpiel.

Zamknęła oczy i zupełnie się odprężyła; leżała tak, dopóki woda nie zaczęła się robić chłodna. Wycierając się, przyglądała się sobie w lustrze. Z zachwytem wpatrywała się w wyraźnie wystające kości biodrowe i mocno zapadnięty brzuch pomiędzy nimi. Jak większość osób, które kiedyś cierpiały na nadwagę, potrafiła wręcz upajać się swoją szczupłością. Jej brzuch był w dotyku twardy i jędrny.

- Bardzo dobrze - stwierdziła z zadowoleniem.

Umyła sobie jeszcze włosy i wysuszyła je suszarką. Wreszcie poczuła się znowu czysta i zadbana. W domu było teraz dostatecznie ciepło, nie musiała już zakładać kilku warstw ubrań tylko po to, żeby nie trząść się z zimna. Włożyła legginsy i bluzę i lekkim krokiem zbiegła na dół po schodach. Dochodziła pierwsza. Kiedy weszła do salonu, zauważyła, że za oknem pada śnieg.

Do tej pory nie zwracała na to uwagi, teraz zważyło się to na nią jak cios. Wprawdzie płatki nie padały zbyt gęsto, raczej sypały się dość leniwie, ale to był dopiero początek. Mogło być gorzej.

- O cholera - mruknęła pod nosem.

Podbiegła do telefonu. Na leżącym obok aparatu bloczku widniał numer telefonu Cynthii Moore, który Ralph zapisał naprędce jeszcze poprzedniego wieczoru. Barbara wybrała numer i czekała. Zniknęło odprężenie, które ogarnęło ją po kąpieli. W rękach i nogach czuła nerwowe mrowienie.

Cynthia zgłosiła się zdyszana.

- Tak?

- Cynthia? Mówi Barbara. Z Westhill Farm, na pewno pani pamięta.

- Oczywiście. Witam, Barbaro. Jak się pani miewa?

- Szczerze mówiąc, niezbyt dobrze. Martwię się o męża. Pojawił się u pani?

- Naprawdę wybrał się w drogę? - W głosie Cynthii pobrzmiewało lekkie zdziwienie. - Chciałam powiedzieć... jeszcze wczoraj wieczór sama mu to radziłam, ale dzisiaj... Nagle zaczęło znowu padać!

Barbara pomyślała, że jeszcze chwila, a serce przestanie jej bić.

- Nie dał się od tego odwieść - powiedziała. - A teraz bardzo się niepokoję.

- Moim zdaniem nie powinna się pani denerwować - rzekła Cynthia. Szybko odzyskała dawną pogodę ducha. - Tutaj na pewno dotrze. A wtedy zaproponuję mu nocleg w swoim pokoju gościnnym i wyślę w drogę powrotną dopiero jutro rano. Wytrzyma pani jeszcze jedną noc bez żywności?

- Oczywiście. Nie o to zresztą w tej chwili chodzi. Nie chciałabym tylko, żeby jemu coś się stało.

- Nie stanie się. Zadbam o to.

- Wie pani - podjęła Barbara - problem w tym, że ja nie wiem, czy on rzeczywiście zjawi się u pani. Próbuje dostać się do szosy do Askrigg, a potem dotrzeć jakoś do najbliższej miejscowości, jeżeli nie trafi do Leigh's Dale. Wtedy mógłby też wylądować w Askrigg albo...

- ...albo w Newbiggin, albo w Woodhall. Ale przecież mogę zadzwonić do sklepów, w których mógłby robić zakupy, zwłaszcza że jest ich niewiele. Znam tych ludzi. Powiem im, żeby go nie puszczali z domu, jak już się zjawi.

Po tej rozmowie Barbara poczuła się trochę lepiej, lecz tak naprawdę nie uspokoiła się wcale. Znała Ralpha. Pewnie byłby bliski szaleństwa, wiedząc, że ona tkwi tutaj i głoduje. Pewnie nie zgodziłby się tak bez wahania czekać do rana z wyruszeniem w drogę powrotną. A może w ogóle by się nie zgodził.

Wiedziała, że snucie takich rozmyślań nic teraz nie da. Musiała się czymś zająć. Oszalałaby, gdyby przez cały czas wyglądała przez okno.

W końcu poszła do swojej sypialni i zabrała stos pozostałych do przeczytania kartek. Przeczyta dzisiaj do końca historię Frances Gray. I niezłomnie będzie wierzyć w to, że w tym czasie Ralphowi nic się nie stanie.

Usiadła w sypialni, bo najlepiej jej się czytało przy dużym stole. Przerzuciła kilka kartek, przeskoczyła kawałek - pierwszy okres po śmierci Charlesa Graya, potem przystąpienie USA do wojny w grudniu 1941 roku po japońskim ataku na Pearl Harbor, ostra zima...

Zaczęła od roku 1942.

## *Styczeń - kwiecień 1942 roku*

W styczniu 1942 roku zniknął George. Naprawdę tak było: nagle domek opustoszał.

Frances nie była u niego w trzy kolejne weekendy, bo śniegu napadało zbyt dużo i nie próbowała nawet uruchomić auta. Na szczęście tuż przed Bożym Narodzeniem, kierując się jakimś instynktem, zawiozła mu dość żywności, by mu starczyło na dłużej. Jednak przez cały czas nie opuszczało jej złe przeczucie. Kiedy w połowie stycznia większość dróg została odśnieżona, natychmiast wybrała się w drogę, mimo że nie była to nawet obowiązkowa niedziela.

Domek był pusty i w pierwszej chwili Frances pomyślała, że nie ma się czemu dziwić, gdyż w ciągu tygodnia George nie liczył się z jej przyjazdem i mógł po prostu pójść na spacer. Potem jednak rzuciło jej się w oczy parę niezwyklej okoliczności: George zawsze utrzymywał swój dom w czystości, teraz jednak na wszystkich meblach leżał kurz, a kąty zarosły pajęczynami. W spiżarni pleśniała żywność, którą Frances przywiozła mu w grudniu. Farby olejne wyschły, najwidoczniej nie używał ich od tygodni. Jego obrazy - ciągle malował jeden na drugim, w przeciwnym razie zabrakłoby mu miejsca dla jego dzieł - leżały zrzucone byle jak na stos tuż obok drzwi do kuchni. Na płótnach te same co zawsze wykrzywione twarze, usta otwarte w niemym krzyku, kolorowe języki ognia, które przypominały jej czyściec. Swoich licznych pędzli George nie oczyścił jak zwykle starannie w terpentynie, tylko zostawił je powalane farbami, przez co były teraz sztywne i sterczące jak szczecina. Wszystko wskazywało na to, że George, odchodząc, nie zamierzał wrócić. Ale dokąd miałby pójść?

Frances przemierzyła drogę, którą George chodził czasem na spacer. Górą przez łąki wzdłuż stromego wybrzeża, a potem karkołomną ścieżką w dół do morza, tworzącego małą zatokę z kamienistą plażą. Panował lodowaty chłód, woda miała ołowianoszarą barwę, a po niebie pędziły posępne chmury. Frances przedzierała się między skałami, omijając przedmioty wyrzucone przez fale na brzeg, i wołała imię George'a, ale wiatr i huk kipieli tłumiły jej głos. Zupełnie przemoczona od piany i prawie zeszywniała z zimna w końcu zawróciła.

Czekała w chacie George'a do wieczora, dygocząc z zimna i wsłuchując się w napięciu w każdy odgłos. Słyszała jednak tylko wycie sztormu i krzyki mew. Kiedy zrobiło się późno, ruszyła wreszcie w drogę powrotną. Zatrzymała się na chwilę u najbliższych



sąsiadów George'a, chłopskiej rodziny, która mieszkała w odległości prawie dwóch mil. Ci przyglądali się jej nieufnie, ale w końcu przypomnieli sobie, że widzieli ją już parę razy w okolicy. Nie, od dawna nie widzieli tego dziwaka ze Staintondale, ale nie musiało to nic znaczyć, bo czy on w ogóle gdzieś się pojawiał?

- Gdybyście coś o nim słyszeli, moglibyście mnie powiadomić? - Frances rozejrzała się z nadzieją po niskiej izbie, przegrzanej od ognia płonącego w kominku i przeładowanej sznurowatymi bibelotami. - Mają państwo telefon?

Naturalnie nie mieli. Ale w Staintondale mieszkał ktoś, kto miał.

- Zostawiam państwu swój numer - rzekła Frances.

Zapisała go na karteczce, którą wyrwała z bloczka i wręczyła chłopce. Ta wpatrywała się w cyfry nieufnie, jakby podejrzewała, że kryje się za tym jakaś diabelska sztuczka.

- Jak coś usłyszemy, damy znać - powiedziała nosowo.

W następnych tygodniach Frances jeździła wielokrotnie na wybrzeże i szukała brata. Czasami towarzyszyła jej nawet Victoria, która również bardzo martwiła się o George'a. Lęk o niego zjednoczył na krótko obie siostry, przestały się kłócić, usiłowały nawzajem dodawać sobie otuchy.

Przeczesały całe Scarborough i przedzierały się przez ciemne gęste lasy wokół Staintondale. Pojechały do Robin Hood's Bay, małej malowniczej miejscowości nadmorskiej z wąskimi uliczkami i wieloma schodami pomiędzy domami. Miasteczko przyciągało wielu artystów, więc Frances pomyślała, że może i George wybrał je sobie, by tu malować. Pytały u drzwi prawie każdego domu, pokazywały nawet jeden z obrazów George'a, w nadziei że ktoś może go zidentyfikować na podstawie stylu. Ludzie cofali się wystraszeni na widok malowidła i zapewniali, że nie znają nikogo, kto miałby aż tak czarną duszę, aby można go było posądzać o tworzenie takich dzieł. Podobnie było w Whitby.

Frances wędrowała nawet przez odludne wysokie torfowiska na północy, gdzie mgła tłumiła każdy dźwięk wokół, nie pozwalając nic widzieć i tylko czasem nagle otwierał się widok na jakąś dolinę lub górę albo kilka owiec, które pojawiały się bezszelestnie, po czym znikwały.

- Może pojechał do południowej Anglii - rzekła Victoria któregoś dnia pod koniec lutego, gdy ruszały w drogę do domu wyczerpane dwudniowymi poszukiwaniami, które zawiodły je aż do Nortumbrii. - Może szukamy w całkiem niewłaściwym kierunku.

Frances pokręciła głową.

- Nie sądzę. George pragnie samotności. A im dalej na południe, tym większa gęstość zaludnienia. To już raczej wyobrażam sobie, że wywędrował aż do Szkocji.

Wyobraziła go sobie w ciszy i dzikości Hebrydów, na wypełnionej hukiem sztormu zimowej plaży. To by do niego pasowało.

- O ile jeszcze żyje - rzekła ponuro Victoria, po czym znużonym głosem dodała: - Nie mogę dłużej szukać, Frances. Po prostu nie dają już rady.

Tym razem Frances nie odpowiedziała jej opryskliwie, tym razem nie czuła gniewu. Rozumiała Victorię. Sama też już nie mogła.

Pomimo troski o George'a Frances nie przestawała obserwować podejrzliwie Marguerite i Johna, tyle że nie uzyskała żadnej konkretnej poszlaki przemawiającej za tym, że łączy ich romans. Była pewna, że wtedy na pogrzebie Charlesa wzrok jej nie mylił, ale od tamtej pory nic więcej nie rzuciło jej się w oczy.

Marguerite w dalszym ciągu przychodziła codziennie do Westhill, żeby uczyć Laure i Marjorie. Ani razu nie wspomniała nawet słowem o Johnie, ale też ani razu nie mówiła już o swym mężu, który zmarł w obozie koncentracyjnym. Wydawało się, że za nic w świecie nie życzy sobie, aby przypominać jej o przeszłości.

Pewnego razu Victoria zaczęła mówić o okropnych przeżyciach, jakie ma za sobą Marguerite, i o poniesionej przez nią stracie, lecz ta przerwała jej ostro:

- Nie chcę o tym słyszeć! To minęło! Proszę, nie wspominaj więcej o tym!

Victoria zamknęła otwarte ze zdumienia usta i umilkła obrażona.

Frances niezbyt potrafiła rozszyfrować osobowość młodej Francuzki. Marguerite otoczyła się pancierzem, od którego odbijały się wszelkie próby rzeczywistego zbliżenia się do niej. Była uprzejma wobec wszystkich i uśmiechała się często, lecz w osobliwy sposób wydawała się przy tym nieszczerą. Jej uśmiech wydawał się twardy jak stal i przez to pozbawiony ciepła. Czy zawsze była taka? Czy też do tego stopnia zmieniła ją ucieczka, śmierć męża i życie na obczyźnie? Jej samotność była wręcz namacalna dla każdego, kto stanął naprzeciw niej. Jedynym człowiekiem, któremu okazywała pewną serdeczność, była Laura: za nią czuła się przypuszczalnie odpowiedzialna i chciała jej pomóc.

Kiedy rano nadchodziła stromą drogą od strony Leigh's Dale, wydawała się jedynym człowiekiem pośród bezkresnej dali. Frances widywała ją czasami, kiedy wyjrzała przez okno. Odkąd śnieg zaczął topnieć, wszystkie drogi tonęły w błocie, więc Marguerite z trudem brnęła przed siebie. Po obu stronach drogi ciągnęły się tylko nieurodzajne łąki, trawa po zimie była jeszcze brązowa i wygnieciona, oraz wiele kamiennych murków rozdzielających pastwiska. Jak okiem sięgnąć, żadnego domu oprócz Westhill, i jeszcze żadnej zapowiedzi wiosny w chłodnym wietrze. Dla Frances to była ojczyzna, strony rodzinne. Często jednak

zastanawiała się, jak muszą one oddziaływać na kogoś, kogo los pozbawił korzeni i rzucił daleko od wszystkiego, co było dlań swojskie.

Gdyby Marguerite znalazła sobie kogoś, na kim mogłaby się oprzeć, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyż Victoria, choć bardzo się starała, nie mogła przypuszczalnie być tym człowiekiem. Pod względem intelektualnym dzieliła je przepaść. Ale akurat John... Ze swoją skłonnością do alkoholu, swoim cynizmem, swoją nieobliczalnością? Jakim sposobem akurat on miałby dawać oparcie skrzywdzonej przez los kobiecie?

Pewnego ranka na początku kwietnia Marguerite po raz pierwszy nie przyszła sama. Frances zobaczyła ją już przez okno i była zdziwiona, widząc obok niej drugą osobę. Była nią kobieta, siwowłosa i trochę pulchna, ubrana w brązowy płaszcz. Najwyraźniej z trudem dotrzymywała kroku energicznej Marguerite. Frances natychmiast ogarnęło dziwne uczucie, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

Zeszła na dół i stanęła przed drzwiami domu. Niedługo potem pojawiły się obie kobiety. Po Marguerite jak zwykle nie było widać wysiłku, tylko policzki lekko się zaróżowiły, a wiatr potargał jej włosy. Starsza kobieta podążała zdyszana pięć kroków za nią i wyglądała na zupełnie wykończoną.

- Mój Boże - wydusiła. - Z dołu wcale nie wygląda na to, że jest tutaj tak stromo!

Otarła pot z czoła. Frances stwierdziła, że wcale nie jest pulchna, jak wydawało się z daleka, tylko nie najlepiej skrojony płaszcz wywoływał takie wrażenie. Kobieta była nawet dosyć szczupła, a zmęczenie na jej twarzy nie pochodziło zapewne jedynie od uciążliwego marszu; wryło się głęboko w jej rysy i musiało trwać już od dawna.

- Pani Parker - przedstawiła Marguerite - Frances Gray. - Zwróciła się do Frances. - Pani Parker udało się znaleźć w Wensley kogoś, kto zabrał ją z dworca samochodem do Leigh's Dale.

- A w tym samochodzie same owce - wtrąciła pani Parker. - Obawiam się, że czuć jeszcze ten zapach ode mnie.

- Kiedy zeszłam na dół, pytała akurat właściciela The George and Dragon Inn o drogę do Westhill Farm, więc zaproponowałam jej, żeby od razu wybrała się ze mną. To było dla niej dosyć męczące.

Frances zwróciła uwagę, że Marguerite nie wspomniała ani słowem o tym, kim właściwie jest pani Parker i co ją tu sprowadza. Niedobre przeczucie przybrało na sile.

- Napije się pani kawy, pani Parker? - zapytała.

- Wolalabym szklanek wody, jeśli nie sprawi to pani kłopotu - odpowiedziała pani Parker, która wreszcie uznała za wskazane wyjawic coś więcej niż swoje nazwisko. - Jestem z

organizacji opieki nad młodzieżą, panno Gray. Przyjechałam wczoraj z Londynu.

- W takim razie przyjechała pani w sprawie Laury i Marjorie Selley?

Pani Parker skinęła głową.

- Tak. I niestety przywożę złe wiadomości.

Frances poprosiła gościa do jadalni, gdyż w salonie Marguerite prowadziła lekcje z dziećmi. Nie powiedziano im jeszcze, że ktoś z Londynu przyjechał w ich sprawie.

Pani Parker rzeczywiście przywiozła bardzo złą wiadomość: Alice nie żyła.

- Pani Selley zmarła już prawie rok temu - rzekła. - Zginęła podczas bombardowania w maju 1941 roku. Nie było jej wtedy w domu, przebywała w małym sklepie z pamiątkami przy Tower, w którym pracowała. Był późny wieczór i robiła jeszcze księgowość dla właściciela sklepu, żeby zarobić dodatkowo parę funtów. Dom po sąsiedzku został trafiony bombą. Wstrząs był tak duży, że zawalił się sufit w sklepie, zabijając panią Selley.

- Przeczuwałam to - wybąkała Frances. - Było dla mnie oczywiste, że musiało się coś stać. Takie nagłe zamilknięcie nie pasowało do niej.

- Jej mąż, którego zawiadomiono o jej śmierci, słowem nie wspomniał, że są jeszcze dwie córki ewakuowane do Yorkshire. Między nami - pani Parker zniżyła głos - dziwny z niego człowiek. Nie to, żeby był przestępcą lub coś w tym rodzaju... Ale to chwiejny charakter i osobnik pozbawiony wszelkiej inicjatywy.

Dokładnie tak odbierała zawsze Hugh Selleya również Frances.

- Obecnie jesteśmy trochę zawałeni pracą - podjęła pani Parker. - Tyle zgonów, tyle sierot. Dostyć późno doszliśmy do tego, że jest jeszcze dwoje dzieci. Potem znowu upłynęło sporo czasu, zanim udało nam się po raz drugi wytropić pana Selleya, bo z ostatniego mieszkania wyrzucono go z powodu notorycznego niepłacenia czynszu. Mieszka jednak nadal w Bethnal Green, w domu przeznaczonym do rozbiórki. Nie mam pojęcia, z czego się utrzymuje. W każdym razie powiedział, że owszem, ma dwie córki, które już dawno wyjechały z powodu nalotów. I podał pani adres, panno Gray. Tym sposobem jestem tutaj.

Odchyliła się na oparcie krzesła i pociągnęła łyk wody.

- Biedna Alice - powiedziała Frances cichym głosem - nie żyje. Wie pani, kiedyś byliśmy bliskimi przyjaciółkami.

- Okropna ta wojna - stwierdziła pani Parker, lecz ponieważ ciągle była świadkiem takich historii, nie potrafiła zbyt długo nad nimi ubolewać. - Jest pytanie: co teraz będzie z dziećmi?

Frances poczuła na sobie natarczywe spojrzenie gościa i wzięła się wreszcie w garść. Przed oczyma stanęła jej właśnie Alice - ta Alice, którą pragnęła zachować w pamięci, młoda

silna kobieta, wierząca w siebie i zdecydowana. O późniejszej Alice wołała nie myśleć. Tak samo jak nie chciała myśleć o ojcu i George'u takich, jacy byli na końcu.

Bywały dobre czasy i ich obrazy pragnęła zachować w pamięci.

- Tak - powtórzyła. - Co teraz będzie z dziećmi? Ojciec...

- Ojciec powiada, że ich powrót w chwili obecnej jest zupełnie ponad jego siły, a moim zdaniem posyłanie teraz dziewczynek do niego byłoby katastrofą. Oczywiście mógłby obstawać przy tym, a my nie moglibyśmy nic zrobić, żeby temu zapobiec, ale on jest tym absolutnie niezainteresowany. Nie mam też pojęcia, jak w tej norze, która stanowi jego lokum, miałyby mieszkać dwoje dzieci.

Frances uświadomiła sobie, że zabrnęły w ślepy zaułek. Jeśli dzieci nie mogły wrócić do ojca, pozostawał tylko sierociniec - chyba że zdecydowałyby się zatrzymać je na razie przy sobie. Przy czym nie było pewne, jak długo potrwałyby to „na razie”. W ten sposób nastąpiłoby dokładnie to, czego się zawsze obawiała: nie pozbyłaby się tych dziewczynek.

- Może mogłyby zostać - podjęła z nadzieją w głosie pani Parker - przynajmniej do końca wojny? A wtedy się zobaczy, co dalej. Domy dziecka są w tej chwili przepełnione.

I co mam teraz powiedzieć? - zadawała sobie pytanie Frances, szczerze oburzona. Jeśli odmówię, będę człowiekiem bez sumienia!

- To dla mnie nie takie łatwe - powiedziała skrepowana. - Nie jestem już najmłodsza. W przyszłym roku skończę pięćdziesiąt lat. I nie mam doświadczenia w zajmowaniu się dziewczynkami w młodym wieku.

- No cóż...

- Zwłaszcza z Marjorie są ciągle problemy. Groziła już, że ucieknie. Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo jej się tu nie podoba.

- Może należałoby pozwolić dzieciom zdecydować - zaproponowała pani Parker.

Frances skapitulowała.

- Dobrze, w porządku. Pozwólmy dzieciom zdecydować.

Porozmawiała z nimi wieczorem. W południe zawiozła panią Parker do Leigh's Dale, która wzięła pokój w The George and Dragon Inn i tam chciała poczekać na to, co powiedzą dzieci. Frances wiedziała, że pani Parker ma nadzieję, iż zdecydują się zostać w Westhill, ona natomiast pragnęła z całego serca, żeby tego nie zrobiły. Sama nie potrafiła ich odesłać, nie zrobiłaby tego choćby ze względu na Alice.

Przez całe popołudnie odwlekała tę rozmowę. Poinformowała o wszystkim Victorię i Adeline, które wytracone całkiem z równowagi zachowywały się odtąd tak nienaturalnie, że

Laura i Marjorie zauważyły, iż coś jest nie w porządku, i ciągle pytały, co się stało. Pod wieczór Frances z ciężkim sercem udała się na górę, poszła do pokoju dziewczynek i powiedziała im, że ich matka nie żyje.

- A skąd pani wie? - spytała natychmiast ostrym tonem Marjorie, a jej mina mówiła, że nie wierzy Frances ani trochę.

- Ta pani, która była dziś rano, pracuje w organizacji opieki nad młodzieżą - wyjaśniła Frances. - Wasz ojciec opowiedział jej o was. A teraz ona musi jakoś uregulować sprawę waszej przyszłości.

- Od dawna wiedziałam, że mamusia nie żyje - oświadczyła Marjorie. - To nic nowego!

Mówiła bardzo rezolutnie, lecz zrobiła się blada jak kreda.

- Wiem, że to wszystko jest dla was straszne - rzekła Frances. - Żałuję, że nie mogę wam zwrócić matki. - Popatrzyła na Laure, która usiadła na swoim łóżku i jakby w szoku wpatrywała się nieruchomo w przeciwległą ścianę. - Lauro...

Laura nie zareagowała.

- Chciałabym wrócić do ojca - powiedziała Marjorie.

- Waszemu ojcu... nie powodzi się obecnie zbyt dobrze. Mieszka w swego rodzaju piwnicy w Bethnal Green. To nie to, że on was nie chce, ale aktualnie nie za bardzo może się o was troszczyć. Dlatego pani Parker, ta dama z opieki, umieściłaby was na razie w sierocińcu...

- Nie!

Był to okrzyk rozpacz. W chwilę później Laura zerwała się na nogi i rzuciła w ramiona Frances, której omal nie przewróciła swym ciężarem, a było tego bez mała sto kilo.

- Nie! Proszę, nie! Frances, proszę, niech pani pozwoli nam tutaj zostać! Niech pani nas nie odsyła! Będziemy robić wszystko, co pani powie, tylko niech pani pozwoli nam zostać!

Szlochała gwałtownie, drżała na całym ciele.

- Mój Boże, Lauro - zawołała wstrząśnięta Frances - nie bój się aż tak! Nikt nie chce cię odesłać!

- Lauro, ty chyba oszalałaś - sztychła Marjorie. - To niemożliwe, żebyś z własnej woli chciała mieszkać w tej zapadłej dziurze!

Laura podniosła głowę wtuloną w ramię Frances. Twarz miała zalaną łzami.

- Ja chcę tutaj zostać! Nie chcę wracać do ojca, a tym bardziej nie chcę do sierocińca. Błagam, Frances! Tu jest mój dom!

- Naprawdę tak to odczuwasz? - spytała osłupiała Frances.

Oczywiście wiedziała, że Laura, w przeciwieństwie do Marjorie, nigdy nie odżegnywała się od życia w Westhill, lecz nie była świadoma tego, iż dziewczyna zapuściła tu już korzenie. Choć była londyńskim dzieckiem na odludnej owczej farmie w północnej części Yorkshire, z dala od wszystkiego, co dla niej swojskie - to jednak nazwała to swoim domem!

Potem przyszło jej do głowy, że Laura wcale nie ma za sobą pięknego dzieciństwa, z chwiejnym ojcem, ciągle pracującą ponad siły, głęboko rozczarowaną życiem matką, a to wszystko w jednej z najbrzydszych dzielnic robotniczych we wschodniej części Londynu. Może piękny duży dom, rozległy widok, świeże powietrze i wiele zwierząt rzeczywiście wydawało się jej rajem.

- Pani i Victoria, i Adeline jesteście wszystkim, co jeszcze mam - szlochała Laura. - Jest nas pięć... i przecież dobrze nam tutaj!

Frances nie mogła wyjść ze zdumienia. Nigdy nie wyobrażała sobie zbyt dokładnie, co odczuwa Laura. Wyglądało na to, że dziewczyna lubi życie w tym domu z trzema bardzo różnymi kobietami, między którymi ciągle były tarcia; wydawało się, że znajduje tutaj swego rodzaju ciepło rodzinnego gniazda.

Była więc zaskoczona i wzruszona. Zamierzała przedstawić Laurze i Marjorie życie w sierocińcu w najjaśniejszych barwach, ale jej plan spełził w jednej chwili na niczym.

- Jeśli masz ochotę, Lauro, to możesz tutaj zostać, jak długo chcesz - powiedziała.

- Laura boi się, że w domu dziecka nie będzie miała dość żarcia! - sęczyła jad Marjorie.

Frances popatrzyła na nią zimno. Przecież ta dziewczynka dowiedziała się właśnie, że straciła matkę - ale do diabła z tym!

- Marjorie, mówię ci od razu, że nie będziesz mieć szansy na zostanie tutaj, jeśli nadal będziesz taka złośliwa wobec swojej siostry - oświadczyła. - Własnoręcznie wsadzę cię do sierocińca, możesz być tego pewna!

- Marjorie też ma tutaj zostać - łkała Laura.

- Muszę się jeszcze nad tym zastanowić - powiedziała Marjorie, ale jej niewzruszony spokój był udawany, gdyż w następnych dniach Frances słyszała wielokrotnie, jak płacze, a jej oczy były ciągle zaczerwienione i zapuchnięte.

Pani Parker wyjechała z lekkim sercem, gdy było już pewne, że dzieci zostaną u Frances.

- Cieszę się z tego - oznajmiła Victoria. - Bez nich dom byłby taki pusty.

- Za to mielibyśmy o wiele mniej kłopotów - mruknęła Frances. - I mniej wydatków!  
Prywatne lekcje u Marguerite już są obciążeniem!

- Ale mamy dwie dziewczynki - rzekła Victoria, a Frances pojęła, że jej siostra w duchu już dawno adoptowała te dzieci.

Nie oponowała już, gdyż w jednym punkcie Victoria miała rację: Laura i Marjorie wносиły wiele życia. A gdy wieczorem wszystkie siedziały przy stole w jadalni - razem z Marguerite, która często była gościem, w sumie sześć osób - wydawało jej się, że w pewnym stopniu jest tak jak dawniej.

Bo były wtedy jak rodzina.



## *Sierpień 1942 roku*

- Frances, czy mogę z panią chwilę porozmawiać? - spytała Marguerite.

Pojawiła się tak nagle w ogrodzie wśród krzaków i drzew, że Frances, która klęczała przy grządce z jarzynami, wzdrygnęła się ze strachu. Podniosła głowę.

- Och, Marguerite! W ogóle nie słyszałam, jak pani nadchodzi! - Odgarnęła z czoła mokre włosy. Dzień był gorący, niemal parny, więc co chwila oblewał ją pot. - Co nowego?

- Jeśli ma pani na myśli wojnę, to nic dobrego. - Marguerite usiadła na murku. - Rommel stoi już pod Kairem. A Anglicy wycofali się poza granice Egiptu.

- Wiem. Ale Churchill mówi, że Anglicy nie oddadzą już ani piędzi ziemi. I wygląda na to, że atak na Rosję może się skończyć dla Niemców katastrofą. To wszystko nie powinno już długo potrwać.

- Zawsze tak mówimy. Ale Hitler jest silniejszy, niż ktokolwiek się domyślał. A jeśli jednak zwycięży? Kto powiedział, że zło zawsze musi przegrać? Pewność można mieć tylko w bajkach.

Frances popatrzyła na nią w zamyśleniu.

- Marguerite, mam wrażenie, że jest pani dzisiaj dość zdeprymowana. Czy to z powodu złych wiadomości z Afryki? Czy może coś innego zaprzęta pani uwagę?

Wydawało się, że Marguerite szuka właściwych słów, co było do niej raczej niepodobne. Zazwyczaj mówiła, co myśli, bez owijania w bawełnę.

- Mam problem - odpowiedziała w końcu. - Z Victorią. To znaczy, ona nic jeszcze o tym nie wie, ale...

- O co chodzi?

Marguerite starała się nie patrzeć na nią.

- John i ja zamierzamy się pobrać.

Frances upuściła małą łopatkę, którą trzymała w ręku.

- Wiem, że to bardzo zaskakujące - ciągnęła śpiesznie Marguerite. - Nikomu nie mówiliśmy o tym i nikt niczego nie zauważył.

Hola, pomyślała Frances, czy ty się aby nie mylisz! Pierwszy szok powoli minął. Zastanawiała się, co czuje, ale nie potrafiła tego ustalić. Ogarnęła ją dziwna pustka.

- Victoria zawsze była wobec mnie bardzo miła - rzekła Marguerite. - Naturalnie bardzo się różnimy i... no cóż, czasami działa mi na nerwy. Ale była pierwszym człowiekiem,

który zatroszczył się o mnie. Wtedy to było dla mnie ważne. Niezbyt przepadam za Victorią, ale nie chciałabym jej sprawić bólu.

Głupia sytuacja, co? - pomyślała Frances. Z pustki w jej wnętrzu wykrystalizowało się z wolna inne uczucie: gorycz.

Znowu. Znowu stoję i przyglądam się, jak inna wychodzi za mąż.

- Wiem, że nie przeboleła jeszcze rozstania z Johnem - ciągnęła Marguerite. - Prawdopodobnie nigdy tego nie przeboleje. Wszystko co się stało, odbiera jako bolesną klęskę. I o ile mogę to ocenić, nigdy nie podniesie się z tej klęski. A kiedy się teraz dowie, że John i ja...

Nie dokończyła tego zdania. Wydawała się szczerze zmartwiona i bezradna.

Frances miała wrażenie, że musi wreszcie coś powiedzieć.

- Jest pani całkowicie pewna? Chodzi mi o to, czy pani i John jesteście pewni? Nic się już nie zmieni?

- Będę miała dziecko, Frances - rzekła spokojnie Marguerite.

Frances usiadła na ziemi pośrodku swojej grządki i podparła głowę dłońmi.

Chciała natychmiast pójść do Johna i porozmawiać z nim, ale nakazała sobie spokój: musi zachować zimną krew, a nie zachowywać się jak obrażona dzierlatka. Do kogo ostatnio powiedziała, że wkrótce będzie obchodzić pięćdziesiąte urodziny? Ach tak, do tej biednej zdyszanej pani Parker. Kiedy się ma pięćdziesiątkę na karku, wypada reagować z godnością na kryzysy życiowe. Patrząc w lustro, stwierdzała, że na jej głowie dominują już siwe włosy.

Z tyłoma siwymi włosami na głowie, mówiła sobie szyderczo, nie biega się do Daleview tak jak dawniej. Wyglądałoby to śmiesznie. To on powinien przyjść i wszystko mi wyjaśnić.

I przyszedł. Zjawił się nagle po południu w burzowy dzień pod koniec sierpnia, kiedy człowiek, zwierzę i każde źdźbło trawy tęskniło za wyzwalającą burzą po wielotygodniowych upałach. Frances natychmiast pojęła, że jego przyjście poprzedził starannie obmyślony plan: Marguerite namówiła Victorię na zakupy i przechadzkę w Leyburn, a Adeline, jak zapowiadała to już od wielu dni, pojechała w odwiedziny do swojej siostry w Worton. Frances miała być sama, tylko z Laurą i Marjorie, aż do wieczora. Obiecała, że zajmie się kolacją, więc z poczucia obowiązku siedziała właśnie w kuchni i obierała ziemniaki.

- Dzień dobry - powiedział John, wchodząc. - Przepraszam, że tak po prostu wparowałem, ale nikt nie zareagował, gdy zapukałem do drzwi wejściowych.

Frances na chwilę tylko podniosła wzrok.

- Ja nic nie słyszałam.

- No tak - rzekł John.

Niezdecydowanie zatrzymał się pośrodku kuchni. Ubrany był w popielaty garnitur i krawat. Frances wiedziała, że w starej niebieskiej bawełnianej spódnicy wygląda przy nim jak uboga krewna. Gdyby był pijany, mogłaby mimo wszystko czuć swoją wyższość nad nim, ale najwidoczniej był trzeźwy. Elegancki i trzeźwy. Zapomniała już, jaki jest przystojny, gdy nie ma worków pod oczami, a na czole nie perlą mu się grube krople potu.

- Gdzie dziewczynki? - zapytał.

Frances wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Myślę, że na dworze. Nie widziałam ich ani nie słyszałam już od paru godzin. - Wskazała krzesło stojące naprzeciwko niej przy stole. - Może usiądziesz... Niestety, muszę dalej obierać ziemniaki, w przeciwnym razie nie będziemy mieć co jeść na kolację.

- Nie przeszkadzaj sobie - rzekł John.

Usiadł. W garniturze wyglądał trochę nie na miejscu w sąsiedztwie kupki obierków.

- Marguerite powiedziała mi, że rozmawiała z tobą. Naturalnie uważa, że problem jest z Victorią.

- A nie jest?

- Dla mnie nie ma.

- Powinieneś pomyśleć o niej trochę więcej. To będzie dla niej straszny cios.

- Na Boga, Frances, jesteście rozwiedzeni! Ona chciała rozwodu tak samo jak ja. Nie może ode mnie oczekiwać, że będę sam do końca życia. Ja przecież też nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby powtórnie wyszła za męża. Czy to moja wina, że zagrzebała się tu, na tej farmie, i nie widuje już innych ludzi?

- Ach, John, teraz zaczynasz coś tworzyć, i dobrze o tym wiesz. Ona tak naprawdę nigdy nie chciała się z tobą rozwieść. To ty traktowałeś ją tak źle, że w końcu nie pozostało jej nic innego. To ją wykończyło. Naturalnie nikt nie wymaga od ciebie dożywotniej wstrzeźliwości, ale nie powinieneś też przedstawiać spraw w uproszczeniu. Jeśli chodzi o Victorię, twoja wina jest ewidentna.

Skrzywił ze złością twarz.

- A twojej może nie ma? Przez całe lata...

- Wiem. Ale w odróżnieniu od ciebie nie próbuję się teraz wybielać. Przyznaję się do swojej części winy.

John bębnił niecierpliwie palcami po blacie.

- W każdym razie chciałem ci wyjaśnić...

- Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

- Boże, wiem, że nie jestem. A mimo to chciałem ci to wytłumaczyć.

Zdała sobie sprawę, że stanowczo zbyt nerwowo skrobie ziemniaki. Jeśli nie będzie uważać, jeszcze sobie poobcina palce. Starła się więc pracować wolniej i spokojniej.

- Mam wrażenie, że otrzymałem jeszcze jedną szansę - rzekł John. - I chcę ją wykorzystać.

- Ta szansa ma na imię Marguerite?

- Byłem dość wykończony. Samotny, zgorzkniały. I byłem pijakiem. Jeszcze parę lat, a zapiłbym się na śmierć.

- Wyrzekłeś się alkoholu?

Skinął głową. Po jego twarzy przemknął wyraz dumy.

- Tak. Sądzę, że mi się udało. Nie chcę, żeby moje dziecko, gdy przyjdzie na świat, zobaczyło najpierw pijanego ojca.

Wzdrygnęła się. Wiedziała o tym. Ale poczuła bolesne ukłucie, słysząc, jak mówi o dziecku. Dziecko było atutem Marguerite.

Przypomniała sobie, że John nie był pijany już rok temu na pogrzebie Charlesa. Wtedy miał wyraźne objawy odwykowe, dygotał i był szary na twarzy. Dziś nie było po nim nic widać. Najgorsze miał już pewnie za sobą. Może rzeczywiście tego dokonał. Wiedziała, że powinna się cieszyć. Ale nie zdołała się przemóc, choć z tego powodu uznała, że jest zła i małostkowa. Dla Marguerite przestał pić. Dla niej nie.

Ale czy kiedykolwiek walczyłaś o to? - zapytał natychmiast wewnętrzny głos. Było ci przecież dosyć obojętne, czy on pije czy nie. Czy nie chodziło ci przede wszystkim o zakasowanie Victorii? Wiedziałaś, że ona ciągle go krytykuje z powodu alkoholu. Byłaś więc uosobieniem tolerancji, człowiekiem, przy którym mógł być taki, jaki chciał być, i nie musiał wysłuchiwać zarzutów. Nigdy nie zadałaś sobie pytania, czy w ten sposób naprawdę wyświadczasz mu przysługę.

Jej odpychająca, nieprzystępna postawa załamała się. Nie zamierzała okazać mu nawet iskierki uczucia, lecz jej duma nagle jakby okulała i kuśtykała gdzieś daleko za nią.

- Bardzo kochasz Marguerite? - zapytała cicho.

Zastanowił się chwilę, po czym odpowiedział:

- Ona nadaje sens mojemu życiu.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- W pewnym sensie jest. Nie sądzę, żebym ją naprawdę kochał. Nie tak, jak ciebie kocham i zawsze kochałem. Może nawet moje uczucie do Victorii na samym początku było

bardziej intensywne niż jest dzisiaj do Marguerite. Ale nie sądzę też, żeby Marguerite czuła do mnie to, co czuła do swojego męża. Powiedziałbym raczej, że... potrzebujemy się nawzajem. Dajemy sobie oparcie.

- Tego oparcia pewnie nigdy nie znalazłeś u mnie - rzekła Frances.

Miała jeszcze do obrania dwa ziemniaki. Pracowała teraz bardzo wolno. Nie wiedziała, co powinna zrobić z rękami i oczami, kiedy skończy skrobanie.

- Ty nigdy nie dzieliłaś mojego życia - powiedział John. - Kiedy poprosiłem cię o to po raz pierwszy, wyjechałaś do Londynu i w bardzo osobliwy sposób próbowałaś odnaleźć siebie. A potem, gdy rozwiódłem się z Victorią, uważałaś, że nie można upubliczniać tego, co robiliśmy po kryjomu przez te wszystkie lata. Przypuszczalnie miałaś zresztą rację. Tyle że dla mnie - zamknął oczy i znużonym gestem przejechał ręką po twarzy - oznaczało to życie dość samotnicze. Może nie potrafisz sobie tego właściwie wyobrazić, bo nigdy tego nie przeżyłaś. Zawsze miałaś wokół siebie ludzi. Także teraz, Frances, mimo ciosów losu, jakie spadły na twoją rodzinę, w twoim domu tętni życie. Te dwie dziewczynki, ty, Victoria, Adeline - na pewno działacie sobie często na nerwy, ale nikt nie jest sam. Cały ten dom ma w sobie bardzo wiele ciepła.

Rozejrzał się po kuchni, powiódł wzrokiem po wzorzystych zasłonach w oknach, po dywanie z łatek na flizach i garnkach z ziołami na półce przy ścianie.

- Ma w sobie bardzo wiele ciepła - powtórzył.

Obrała ostatniego ziemniaka; gdyby skrobała go dalej, stałby się pewnie zupełnie mały. Wstała, podeszła do zlewu i nalała wody do garnka. Następnie odwróciła się i niezdecydowanie stała oparta o zlew.

- Sama wiesz, jak jest w Daleview - powiedział John. - Nie bez powodu zawsze bałaś się tam mieszkać. Te ogromne, wysokie pomieszczenia. Wszędzie ciemne boazerie, przez które wszystko wydaje się takie ponure. Niekończące się amfilady pokoi. A pośród tego ja ze staroświeckim lokajem i paroma służącymi idiotkami; przecież z tymi wszystkimi ludźmi nie mnie nie łączy. Czasem naprawdę miałem wrażenie, że można to wytrzymać tylko dzięki wódce. - Popatrzył na Frances. - Rozumiesz mnie?

- Tak, tak sądzę.

Jego twarz złagodniała. W jego rysach pojawiła się tklivość, którą miał zawsze w zanadrzu dla Frances, tklivość powstająca na gruncie długoletniej zażyłości. Ogarnął wzrokiem całą jej postać.

Co on widzi? - zastanawiała się z niepokojem Frances. Prawie pięćdziesięcioletnią kobietę w poplamionej sukience, wycierającą bez przerwy ręce o fartuch, mimo że już dawno

są czyste. Kobiętę o zmierzwiionych włosach, w których dominuje już siwizna. Kobiętę o zbyt szczupłej i zbyt ostro zarysowanej twarzy, aby mogła uchodzić za ładną. Ale żadnej innej twarzy nie zna tak dobrze.

- Tak bardzo cię kocham - rzekł cicho. - Tak bardzo zawsze będę cię kochał... W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że przez lata, jakie mi jeszcze pozostały, moje życie nie może się toczyć między pustką mojego domu a sporadycznymi spotkaniami z tobą w opuszczonej chacie. Na to jestem za stary.

- Wiem - odpowiedziała. Nie tak dawno pomyślała dokładnie to samo.

- Chciałem czegoś więcej. Chciałem kobiety, która będzie ze mną dzielić moje życie. Nie takiej jak Victoria, z którą nie mogłem rozmawiać o niczym. Nie takiej jak ty, która zawsze podarowywała mi swój czas i swoje ciało na kilka godzin, a potem odchodziła. Chciałem, żebyś była dla mnie tą kobietą, ale...

Uniół ręce i opuścił je w geście rezygnacji. Po co jeszcze raz rozgrzebywać to wszystko?

- Może mielibyśmy dzisiaj pięcioro dzieci i już pierwsze wnuki - rzekła Frances.

John roześmiał się.

- Bylibyśmy dużą, hałaśliwą, szczęśliwą rodziną. Ty byś robiła na drutach skarpety dla nowo narodzonych dzieci i radziła naszym córkom w problemach małżeńskich.

- A ty chodziłbyś na wódkę z naszymi synami. I okropnie byście się wodzili za łby, gdyby reprezentowali inne niż ty poglądy polityczne.

- Nasi synowie prawdopodobnie nie siedzieliby teraz tutaj. Zginęliby na wojnie z Hitlerem.

- Lepiej, że nie mamy synów.

- Owszem - zgodził się John, po czym wstał, obszedł stół, zatrzymał się przed Frances i ujął jej dłonie. Popatrzyła na jego palce. Jak często te palce dotykały jej czule. - Chciałbym, żebyś coś wiedziała - powiedział. - Chciałbym, żebyś wiedziała, że cię kocham. Wcale nie mniej niż wtedy nad rzeką Swale, kiedy musiałem przyjechać i cię pocieszać. Nic się nie zmieniło. Bez względu na to, co ja robię. Bez względu na to, co ty robisz. Obojętne, ile włosów nam tymczasem posiwało i ile ran sobie zadaliśmy. Nic z tego nie jest ważne. I nic nas nie rozdzieli.

Skinęła głową, lecz jego nagła fizyczna bliskość wzbudziła w niej uczucia, które czyniły ją bezradną, a już w następnej chwili wezbrał w niej jad zazdrości.

- Dlaczego Marguerite? - zapytała. - Dlatego, że jest taka ładna? I prawie dwadzieścia lat ode mnie młodsza?

Pokręcił gniewnie głową.

- Frances! Myślałem, że znasz mnie lepiej. Marguerite jest młoda i ładna, ale bardzo ładną żonę już miałem i nam nie wyszło. Marguerite wiele dla mnie znaczy, bo mnie naprawdę rozumie. Jest czymś więcej niż tylko głupią lalką z miłym uśmiechem i długimi rzęsami. Moje życie wypadło z kursu po poprzedniej wojnie. Także życie Marguerite zostało całkowicie wyrzucone z orbity. W straszliwy sposób utraciła męża i ojczyznę. Miała koszmary nocne, tak jak ja miałem. Rozumie, kiedy milczę, i rozumie, kiedy chcę mówić. A ja rozumiem takie chwile u niej. Gdy człowiek nie jest już młody, może bardziej niż namiętności szuka właśnie tego: zrozumienia. W każdym razie ja tego szukam.

Pokiwała głową, a gdy przyciągnął ją do siebie i wziął w objęcia, przepędziła dręczące obrazy i myśli, które plątały się jej w głowie. Podała się jego uspokajającym słowom, także dlatego, że czuła, iż powiedział prawdę, przynajmniej prawdę zgodną z własnym odczuciem. Oparła głowę o jego ramię.

Tylko na moment, pomyślała, tylko na ten jeden moment.

- Boże, jak ja cię kocham - usłyszała tuż przy swoim uchu. Otworzyła oczy i ponad jego ramieniem popatrzyła na drzwi: prosto w złośliwą, przebiegłą twarz Marjorie Selley.

Marjorie zapewniała później, że za nic w świecie nie chciała podsłuchiwać. I że wcale się nie podkraśla. Weszła do domu z u p e ł n i e n o r m a l n i e.

- Ale dlaczego? - zapytała Frances głosem drżącym od tłumionej złości.

- Co dlaczego? - odpowiedziała pytaniem Marjorie.

- Dlaczego w ogóle przyszedłeś do domu?

- Chciało mi się pić. Chciałam sobie wziąć szklanek wody z kuchni. A wtedy...

- Co wtedy?

- Zobaczyłam panią i Johna Leigha. Stał tuż przed panią i trzymał panią za rękę.

Powiedział, że panią kocha.

- I nie przyszło ci wtedy głowy, żeby zwrócić uwagę na swoją obecność?

- Stałam jak wryta - twierdziła Marjorie. - Nie potrafi pani tego zrozumieć? Byłam bardzo, bardzo zaskoczona. Nie miałam pojęcia, że pani i John Leigh...

Oczywiście, że je miałaś, fałszywa mała bestio, pomyślała Frances, już pierwszego dnia tutaj przy łóżu Charlesa zobaczyłaś więcej, niż powinnaś.

Rozmowa ta odbyła się wiele godzin po tym, jak Marjorie weszła do kuchni, i godzinę po nieprzyjemnym incydencie podczas kolacji. Frances po raz pierwszy uległa gorącemu pragnieniu, które nosiła w sobie już od dawna: otóż spoliczkowała Marjorie, co przyniosło jej

wprawdzie pewną ulgę, lecz poza tym nie zdołało niczego uratować.

Kiedy ujrzała Marjorie wtedy w kuchni, odsunęła Johna od siebie i głosem, który obco brzmiał w jej uszach, zapytała:

- Marjorie! Co tutaj robisz?

- A co pani robi?

- Witaj, Marjorie - powiedział John.

- Pytałam cię, co tutaj robisz - syknęła Frances.

Marjorie odwróciła się bez słowa i wybiegła z kuchni. Jej białe stopy plaskały na kamiennych płytach w korytarzu. Potem zatrzasnęły się z hukiem drzwi wejściowe. Frances chciała pobiec za nią, lecz John przytrzymał ją za ramię.

- Nie. Jeśli zrobisz jej teraz scenę, tylko niepotrzebnie wszystko rozdmuchasz.

- Nie ma tu nic do rozdmuchiwania. Ona wie wszystko.

- Nie wie, co było wcześniej.

- Jesteś pewien? Może stała przy drzwiach już całą wieczność!

- Frances, teraz musisz zachować spokój. Każda inna reakcja tylko pogorszy sprawę.

Puścił jej ramię.

Frances odgarnęła włosy z czoła, zaczesując je do tyłu obiema rękami.

- Ale jak ty możesz stać tak spokojnie? Wyobraź sobie, że opowie Marguerite o scenie, której była świadkiem!

Wzruszył ramionami.

- Wtedy Marguerite i ja będziemy musieli się zastanowić, jak rozwiązać tę sytuację. W każdym razie nie będę biegał za trzynastoletnią dziewczynką i błagał jej, żeby nic nie mówiła.

Wiedziała, że John ma rację, a mimo to nie znajdowała spokoju, nie potrafiła uwolnić się od przeczucia, że zbliża się do niej coś złego. Po wyjściu Johna kontynuowała przygotowania do kolacji, lecz zdawała sobie sprawę ze swojego zdenerwowania: ciągle coś wypadło jej z rąk, a najprostsze czynności nie udawały się. Co chwila podnosiła głowę, nasłuchując, w nadziei że Marjorie wróci do domu, zanim przybędą inni. Może udałoby się przynajmniej wybadać, jakie dziewczynka ma plany.

Tymczasem zrobiło się duszno prawie nie do wytrzymania. Gęste granatowoczarne chmury kłębiły się na niebie, zrobiło się tak ciemno, że Frances musiała zapalić w domu światło. Burza, na którą się zanosilo, wydawała się złym znakiem. Kiedy wreszcie usłyszała, że otwierają się drzwi, zawołała z nadzieją w głosie:

- Marjorie?

To jednak tylko Laura wsunęła się do kuchni.



- To ja - powiedziała. - Nie wiem, gdzie jest Marjorie. Jakiś czas temu wchodziła do domu i od tamtej pory jej nie widziałam. - Podeszła bliżej. - Będzie wkrótce coś do jedzenia?

- Za godzinę. Posłuchaj, jeśli przed kolacją zobaczysz się z Marjorie, przyślij ją, proszę, do mnie, dobrze?

Pół godziny później wróciła Adeline, cała spocona, gdyż od przystanku autobusowego szła na piechotę i była zupełnie wycieńczona upałem. Wkrótce potem zajechała Victoria, a w tym samym momencie spadły pierwsze ciężkie krople deszczu.

- O Boże, co za dzień! - jęknęła. - Był taki upał, że nie dało się wręcz oddychać!

- Zaraz będzie burza - przepowiedziała Adeline.

- Nie przywiozłaś Marguerite? - spytała Frances.

- Wysadziłam ją w Leigh's Dale pod gospodą. Zapraszałam ją na kolację, ale nie chciała. Wyglądała na dość wypompowaną.

Owszem, bo jest w ciąży, pomyślała jadowicie Frances, i to z twoim eksmężem, prostoduszna gąsko!

Victoria zajrzała do jednego i drugiego garnka.

- Co będzie na kolację?

- Ziemniaki i jarzyny. Możesz już nakryć do stołu. Widziałaś może Marjorie gdzieś koło domu?

- Nie. A nie ma jej?

- Nie. Zaczniemy jednak jeść bez niej. Jeśli się spóźni, po prostu nic nie dostanie.

Kiedy usiadły w jadalni, uderzył pierwszy piorun, a niebo przecięły błyskawice. Deszcz szumiący za oknem przypominał ścianę. Laura zrobiła minę jak wystraszony królik.

- Ciekawe, gdzie się podziewa Marjorie! Mam nadzieję, że nic się jej nie stanie, jeśli jest jeszcze na zewnątrz!

- Na pewno gdzieś się schowa - uspokoiła ją Frances.

- Lauro, kiedy widziałaś ją ostatni raz? - spytała Adeline.

- Wracałyśmy od koni i chciałyśmy pójść do ogrodu. To było późnym popołudniem, tak sędzę. Gdy przechodziłyśmy przez podwórze, Marjorie powiedziała nagle: „Tam przecież stoi auto pana Leigha!”. I nie oglądając się na mnie, pobiegła do domu. Poszłam więc sama do ogrodu, bo pomyślałam, że i ona na pewno zaraz przyjdzie; może chce tylko zapytać o coś pana Leigha albo coś w tym rodzaju. Ale ona potem już się nie pojawiła.

Victoria wzdrygnęła się i upuściła na talerz kęs, który zamierzała właśnie wsadzić do ust.

- John był tutaj? - zwróciła się do siostry. - I nawet o tym nie wspomniałaś!

- Zupełnie wyleciało mi z głowy. Nie zamierzałam tego ukrywać.

Victoria wyglądała niczym uosobienie nieufności połączonej z napięciem.

- A czego on tutaj chciał?

- Eee, przyszedł... - zaczęła Frances, zastanawiając się rozpaczliwie, co odpowiedzieć.

Szczęknięty drzwi otwierane od zewnątrz, niemal równocześnie huknął następny piorun.

- Marjorie! - zawołała Laura.

Do jadalni weszła Marjorie. Była tak mokra, że bardziej już nie można. Woda spływała jej z włosów, kapiała z rzęs, wyciekała z butów, ubranie lepiło się do ciała. W miejscu, gdzie stała, błyskawicznie utworzyła się kałuża.

- Wielki Boże, dziecko! - zawołała Adeline. - Natychmiast musisz włożyć suche rzeczy!

Marjorie podeszła bliżej, zostawiając za sobą mokry ślad.

- Przepraszam, że się spóźniłam - powiedziała cicho.

Przez pokój przebiegł ognisty błysk. Światło lampy elektrycznej nad stołem zamigotało.

- Gdzie byłaś? - spytała Laura. - Frances już cię szukała!

Marjorie podniosła głowę. Jej spojrzenie napotkało wzrok Frances. Frances próbowała czytać w oczach dziewczynki. Czy to była nienawiść? Złośliwa satysfakcja? Zadowolenie? Nie była w stanie tego rozszyfrować.

Marjorie na powrót spuściła głowę. Taka przemoczona wydawała się jeszcze mniejsza i szczuplejsza niż w rzeczywistości, a w dodatku wzbudzała współczucie.

- Byłam... byłam taka wytrącona z równowagi... - powiedziała. W dalszym ciągu mówiła tak cicho, że wszyscy obecni musieli nadstawiać uszu, żeby zrozumieć jej słowa.

- Chciałam być sama. Ja... nawet nie zauważyłam, że... że zaczęło padać.

- A co cię tak wytrąciło z równowagi? - spytała Adeline.

- Uważam, że Marjorie powinna najpierw wziąć gorącą kąpiel, a potem pójść od razu do łóżka - wtrąciła Frances. - Jeśli dłużej będzie tak tutaj sterczeć, jeszcze skończy się to tragicznie.

Odsunęła swoje krzesło i wstała.

- Chodź, Marjorie. Zaprowadzę cię na górę.

- Chwileczkę! - Victoria również wstała. Była bardzo blada. - Marjorie, co cię tak wytrąciło z równowagi?

Czasami nawet ona potrafiła dośpiewać sobie to i owo.

- Nie można by przełożyć tego wypytywania na jutro? - zapytała Frances.

- Nie wiem, czy mogę to powiedzieć - wybąkała Marjorie.

- Możesz powiedzieć wszystko - zachęcała ją Victoria.

Znów zamigotały błyskawice, rozjaśniając pokój żółtym światłem koloru siarki.

- Jutro Marjorie będzie miała grypę - ostrzegła Frances.

- John i Frances... - pisnęła Marjorie.

Te dwa imiona i sposób, w jaki je wypowiedziała, obiecywały coś gorszego, niż było w stanie wyrazić całe zdanie. W pomieszczeniu zawisło jakieś ponure przeczucie, dzikie podejrzenie. Twarz Victorii stała się jeszcze bardziej blada, o ile to w ogóle możliwe. Adeline otworzyła usta, lecz zaraz zamknęła je z powrotem. Oczy Laury wydawały się ogromne.

- On wczepiał się w nią - ciągnęła Marjorie. - Powiedział... powiedział, że ją kocha... Nie mogłam uwierzyć... - Popatrzyła na Victorię. Miała łzy w oczach. - On przecież był p a n i m ę ż e m, Victorio - dodała.

Frances podeszła do niej w kilku szybkich krokach i uderzyła ją w twarz z jednej i z drugiej strony. Ktoś krzyknął głośno. Światło nad stołem zamigotało i zgasło.

Następnego dnia Marjorie oświadczyła, że koniecznie chce wrócić do ojca do Londynu, a Frances uznała to za świetny pomysł.

- Marjorie, nie ma sensu ciągnąć tego dłużej. Nie dojdziemy ze sobą do ładu.

- A więc wyrzuca mnie pani - rzekła Marjorie, choć minutę wcześniej sama zapowiedziała, że wyjeżdża. - Muszę odejść dlatego, że zobaczyłam coś, czego nie powinnam zobaczyć.

- Moim zdaniem to ty chcesz odejść. Czy nie chciałaś tego od samego początku?

- To prawda. I bardzo się cieszę, że i pani to wreszcie pojęła.

Laura siedziała z podkurczonymi nogami na łóżku, a jej twarz była szara jak deszczowy dzień za oknem.

- Frances, niech pani nas nie odsyła! - jęknęła. - Mamy tylko panią!

Marjorie odwróciła się gwałtownie i łypnęła na siostrę z wściekłością.

- Mamy jeszcze ojca, nie zapominaj o tym! Nasza mamusia nie żyje, ale tata żyje i on...

- On nie może troszczyć się o nas, Marjorie - zaprotestowała cicho Laura.

- Ty możesz przecież zostać! Ty przecież tak bardzo kochasz tutaj wszystko! I w końcu zawsze zachowywałaś się bez zarzutu, jeśli nie liczyć twojego obżerania się po nocach!

- Marjorie! - rzekła ostro Frances. - Możesz sobie darować te złośliwości! Między

nami wszystko jasne, prawda?

- Wszystko jasne - potwierdziła Marjorie.

Laura zaszlochała głośno.

- Lauro, przestań płakać - rozkazała Frances.

Czuła się wyczerpana i rozdrażniona. Miała wyrzuty sumienia; wewnętrzny głos mówił jej, że nie powinna spełniać życzenia Marjorie. A równocześnie nie miała najmniejszej ochoty zmuszać dziewczynki do pozostania. Przeciwnie. Powinna poczuć ulgę, wiedząc, że nie ma jej już w pobliżu.

- Nie mogę stąd odejść - szlochała Laura. - Nie mogę. Nie mogę!

- Możesz zostać, Lauro, jak długo zechcesz - powiedziała Frances.

- Ale nie mogę jej przecież pozwolić, żeby odeszła sama!

- Oczywiście, że możesz - odparła chłodno Marjorie. - Świetnie dam sobie radę, możesz być pewna! - Zwróciła się do Frances. - Każdy tutaj będzie myślał, że pani mnie wyrzuca. To wygląda jak przyznanie się do winy. Tak jakbym rzeczywiście trafiła w sedno. Jak to się mówi? - Przemądrzała zmarszczyła czoło. - Trafiony pies szczeka!

- Nie łam sobie głowy z tego powodu. Lepiej jeszcze raz zastanów się dobrze nad tym, co chcesz zrobić. Naprawdę chcesz wrócić do ojca?

- Tak. A jeśli się pani nie zgodzi, to ucieknę.

- W takim razie spakuj swoje rzeczy. Jutro rano wyjeżdżamy do Londynu.

- Pojadę sama do Londynu.

- O nie, nie zrobisz tego. Twoja matka przeniosła na mnie odpowiedzialność za ciebie i dlatego możesz być pewna, że nie pozwolę ci jeździć samej po świecie. Oddam cię albo twojemu ojcu, albo pani Parker z opieki nad młodzieżą, i dopiero wtedy moja misja będzie zakończona!

Odwróciła się i wyszła z pokoju, czując na plecach nienawistny wzrok Marjorie i mając w uszach płacz Laury.

Na dole przy schodach stała Adeline. Jej mina zdradzała oburzenie.

- Nie może pani tego zrobić, panno Gray! Nie może pani pozwolić dziecku odejść!

- Ona chce odejść. Ma prawo do decyzji, że będzie mieszkać razem z ojcem.

- Jest za mała, żeby podejmować takie decyzje. Przecież mówi to teraz tylko ze złości i przekory! Jej ojciec to nicpoń. Jej matka na pewno by nie chciała, żeby...

- Wolę odwieźć ją do ojca, niż czekać na to, że ucieknie i wtedy rzeczywiście narazi się na niebezpieczeństwo. No a teraz nie chcę już o tym słyszeć. - Frances odetchnęła głęboko. - Gdzie jest Victoria?

- Nie przyszła na śniadanie. Pewnie jest jeszcze w swoim pokoju.

Adeline wydawała się wcieleniem dezaprobaty. Znowu bardzo było jej nie w smak, że biedna mała Vicky cierpi. I wyglądało na to, że zaprzęta ją również los Marjorie.

O mnie znowu nikt nie pomyśli! - stwierdziła ze złością Frances.

- Będę teraz w jadalni - powiedziała - robić księgowość. Bądź co bądź oprócz tego wszystkiego muszę jeszcze prowadzić farmę, nie mogę zajmować się wyłącznie dramatami rodzinnymi.

Blokowała pokój przez cały dzień, rozłożyła na stole papiery, książki i segregatory, zmuszając innych, by zjedli obiad w kuchni. Sama się nie zjawiała, zakopała się w pracy, poprosiła tylko Adeline, żeby przyniosła jej kawy, ale nawet nie podniosła wzroku, kiedy stara kobieta weszła z tacą. Na dworze padało bez przerwy. Wieczorna burza zakończyła wielotygodniową duchotę. Po otwarciu okna do środka wpływało świeże, wilgotne powietrze.

Późnym popołudniem zjawiała się Laura z oczami zapuchniętymi od płaczu. Jak się okazało, boleśnie przeżywała rozdarcie, bo z jednej strony sądziła, że powinna odejść razem z Marjorie, z drugiej zaś strach przed opuszczeniem Westhill przyprawiał ją niemal o szaleństwo.

- Frances, nie mogłaby pani jeszcze raz przemówić jej do rozsądku - poprosiła. - Ona już pakuje swoje rzeczy. To moja młodsza siostra. Nie mogę jej przecież zostawić na lodzie.

- Ona wcale nie jest taka potrzebująca pomocy, jak sądzisz - odpowiedziała Frances. - Całkiem dobrze daje sobie radę. A poza tym nie chciała być tutaj od samego początku. Prawdopodobnie podoba jej się wszędzie, tylko nie tutaj.

- Nie rozumiem jej! Tutaj jest przecież jedyny dom rodzinny, jaki mamy!

- Ty tak to odczuwasz, Lauro. Marjorie nigdy tak na to nie patrzyła.

- Jest pani na nią okropnie zła, prawda?

- Ach, Lauro, w tym momencie wcale nie o to chodzi. - Frances odłożyła ołówek i potarła oczy, które piekły ją ze zmęczenia. - Oczywiście, że jestem na nią zła. Ale przede wszystkim boję się o to, co jeszcze może się zdarzyć, jeśli przekonam ją teraz do pozostania tutaj. Marjorie od samego początku buntowała się przeciwko Westhill. Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie chciała tutaj być i swoją złość z tego powodu skierowała przeciwko nam wszystkim. To po prostu nie ma sensu. Koniec końców nie można zmuszać człowieka do robienia czegoś, czego nie chce robić, a jeśli mimo wszystko się próbuje, kończy się to źle dla wszystkich. Marjorie wielokrotnie groziła, że ucieknie, po raz ostatni dziś rano. Możliwe, że to uczyni. Co więc mam zrobić? Po prostu jest tak... - Frances odchyliła się na oparcie

krzesła. - Po prostu jest tak, że nie mam już ochoty martwić się ciągle tym, co jeszcze może się zdarzyć. Ta odpowiedzialność jest dla mnie za duża. Spróbuj też to zrozumieć.

Laura skinęła głową. Grzbietem dłoni otarła łzy z twarzy.

- Ale ja mogę zostać? - upewniła się jeszcze raz.

- Nie ma kwestii. Oczywiście. Zresztą ty zawsze tu wszystko bardzo lubiłaś, prawda?

- Ja to kocham - rzekła Laura z powagą. - Kocham ten dom i tę ziemię bardziej niż swoją siostrę. W przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłabym jej odejść samej.

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Jak na Laurę było to niezwykle dramatyczne wyznanie, które wprowadziło Frances w najwyższe zdumienie, ale nie miała czasu zastanowić się nad tym, gdyż ledwo dziewczynka zniknęła, zjawiała się Victoria. Frances przypuszczała, że stała za drzwiami i czekała, aż Laura wyjdzie. Ona nie była zapłakana, co wydawało się dziwne w wypadku kobiety, która zwykle płacze na zawołanie. Bez ogródek przeszła do sedna.

- Odsyłasz tę dziewczynkę? Mogę więc wyciągnąć z tego wniosek, że to, co mówiła wczoraj wieczór, jest zgodne prawdą?

- Nie odsyłam jej. Sama chce odejść.

- A tobie jest to bardzo na rękę, nieprawdaż? W każdym razie nie wygląda na to, żebyś zamierzała nakłaniać ją do pozostania.

- Jest szereg przyczyn, dla których również ja uważam, że lepiej będzie, jeśli Marjorie nas opuści.

Oczy Victorii przypominały teraz wąskie szparki.

- Co jest między tobą a Johnem?

- Nic.

- Nic? W takim razie Marjorie wszystko zmyśliła?

- Nie. Mimo to między nami nic nie ma. John przyszedł do mnie, żeby mi o czymś powiedzieć, i pewnie na moment ogarnęły nas wspomnienia dawnych czasów. Może to z powodu burzy, która wisiała w powietrzu, nie wiem.

- Wasze „dawne czasy” to zamierzchła przeszłość.

- Owszem. I dlatego nie odgrywają już żadnej roli.

Victoria wsparła dłonie na oparciu krzesła. Zmarszczki biegnące od kącików ust w stronę podbródka rysowały się tego dnia szczególnie ostro.

- Czasami zastanawiałam się - powiedziała - czy kiedykolwiek to przebolełaś. Ty i John byliście przecież jak jedno. Nierozłączna para. A potem ty wyjeżdżasz, a on żeni się z twoją siostrą. Wtedy niewiele się nad tym zastanawiałam. Byłam taka zakochana. Taka

szczęśliwa. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl wątpić w coś lub w kogoś.

Oczywiście, że nie, pomyślała Frances, wątplenie nigdy nie było twoją silną stroną. Zauważyła, że siostra patrzy na nią wyczekująco. Rzekła więc jakby mimochodem:

- Na Boga, po co to teraz mówisz? Co chcesz usłyszeć?

- Czy to był dla ciebie ciężki cios? Przyjechać do domu i zastać mnie z Johnem jako młodą parę?

Frances wzdrygnęła się i zauważyła, że o sekundę za późno zdołała ukryć na twarzy swoje uczucia. Poznała to po minie Victorii. Jej siostra zrozumiała. Czy to był ciężki cios, tak zapytała. I w oczach Frances wyczytała odpowiedź: To była rana, która mnie pali do dziś. Bolesna jak pierwszego dnia.

- Tak - przyznała Frances, gdyż nic innego nie mogła teraz powiedzieć. - Tak, to był ciężki cios. I czuję go do dzisiaj.

Siostry wpatrywały się w siebie: Victoria ze zdumieniem, bo nie spodziewała się szczerzej odpowiedzi, Frances wyczekująco.

W końcu Victoria powiedziała:

- Aha. W takim razie wszystko jasne.

- Nie wiem, co teraz miałyby być jasne.

- Prawdopodobnie jeszcze w latach naszego małżeństwa byłaś... - Victoria nie dokończyła zdania. To było zbyt niesamowite, niewyobrażalne i niewypowiadalne.

Tym razem Frances była przygotowana. Popatrzyła siostrze prosto w oczy.

- Nie. Nic nie było w latach waszego małżeństwa. Absolutnie nic.

Nawet się nie zarumieniła.

Na twarzy Victorii walczyły ze sobą nieufność i chęć uwierzenia w to zapewnienie. Zanim nieufność zdążyła wziąć górę, Frances zagrała swą kartę atutową. Kiedyś trzeba będzie to powiedzieć, dlaczego więc nie teraz, gdy mogło to uratować jej skórę?

Wstała, tłumiąc przy tym jęknięcie, bo od długiego siedzenia bolały ją plecy. Od rana prawie się nie ruszyła. Ostrożnie podeszła kilka kroków do okna. Na zewnątrz mżyło, a Frances wiedziała, że mętne światło postarza jej twarz.

- O tym, co było między Johnem a mną - powiedziała - tak czy owak możesz zapamiętać. Nie wiesz przecież, po co w ogóle wczoraj przyszedł.

- A po co przyszedł?

Mówiąc, patrzyła przez okno tak, jakby było tam coś ciekawego do zobaczenia oprócz mokrej trawy i mokrych drzew w ogrodzie oraz chmur zasłaniających pagórki. Prawie mimochodem powiedziała:

- On i Marguerite zamierzają się pobrać. Przyszedł, żeby mi o tym powiedzieć. Marguerite spodziewa się dziecka.

Victoria nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Frances odwróciła się. Jej siostra była blada jak kreda. Poruszyła bezgłośnie popielatymi wargami.

- Wyświadczyć mi przysługę - rzekła Frances ostrzej, niż zamierzała - i nie rozplacz się teraz. Laura beczy przez cały dzień. Po prostu nie jestem w stanie znieść tylu łez.

W bursztynowych oczach Victorii coś zgasło. Słaby blask, który dodawał im życia.

- Przecież wcale nie płaczę - powiedziała. Jej głos brzmiał szorstko, nie było w nim słychać ani śladu szloch.

Następnego dnia Frances i Marjorie wyruszyły w drogę z samego rana. Victoria już się nie pokazała, nie przyszła ani na kolację, ani na śniadanie. Również Laura pozostała w pokoju, który do tego dnia dzieliła z siostrą.

Adeline wypełniła prowiantem cały koszyk.

- To dla ciebie, dziecko - powiedziała do Marjorie - żebyś miała co jeść w Londynie. Podobno ciężko tam z powodu racjonowania żywności. Upiekłam ci też babkę marmurkową, którą tak lubisz.

- Dziękuję, Adeline - mruknęła Marjorie.

- Musimy już iść - napomniała Frances, ignorując gniewne spojrzenia Adeline.

Czuła się jednak gorzej, niż dała to poznać po sobie, a kiedy wreszcie Marjorie i ona siedziały w samochodzie, powiedziała:

- Posłuchaj, Marjorie, jeśli chcesz się jeszcze zastanowić, to...

- Na pewno nie chcę się już nad tym zastanawiać - przerwała jej dziewczynka. - Cieszę się, że nareszcie stąd wyjeżdżam!

To była dawna Marjorie: bezczelna, opryskliwa, zachowująca się obraźliwie. Frances włączyła silnik.

- W porządku - powiedziała.

Samochodem dojechały do Northallerton, a następnie wsiadły do pociągu. Był to pociąg dalekobieżny do Londynu, więc nie musiały się przesiadać w Yorku. Ponieważ podróżowało wiele osób, Frances i Marjorie ledwo zdobyły dwa miejsca siedzące. Wszyscy rozmawiali tylko o wojnie, o kampanii rosyjskiej wojsk niemieckich, którą jedni uważali za początek końca, inni zaś oceniali jako rozprzestrzenianie się narodowosocjalistycznej katastrofy. Frances nie brała udziału w tych rozmowach. Od czasu do czasu obrzucała Marjorie baczny spojrzeniem z ukosa. Dziewczynka przybrała wyniosłą minę i okazywała



trochę nienaturalną wesołość.

W Wensleydale padał deszcz, lecz później pokazało się niebo - wprawdzie jeszcze zachmurzone, ale było sucho, a począwszy od Nottingham, świeciło słońce.

- To też jeden z powodów, dla których nie chciałabym mieszkać w północnej Anglii - rzekła Marjorie. - Tam zawsze pada deszcz. Na południu pogoda jest o wiele lepsza.

- Z a w s z e nie pada - zaprotestowała Frances, już w następnym momencie zła na siebie, że znowu dała się sprowokować. Po co miałyby się z nią spierać o pogodę w Yorkshire? Niech sobie myśli, co chce. I niech mówi, co chce. Ona, Frances, ma wystarczająco wiele lat, żeby być ponad to.

Londyn powitał je smutny i ponury pomimo ostrego słońca i letniego upału. Frances obserwowała z przerażeniem, jak bardzo miasto ucierpiało wskutek bombardowań. Wszędzie zniszczone domy. W niektórych wyleciały tylko szyby w oknach, które prowizorycznie zatykano tekturą lub zabijano deskami. Inne budynki straciły dachy. Ale z wielu pozostała jedynie kupa gruzów i wypalony, poczerniały od sadzy szkielet w postaci resztek murów i zwęglonych wieżyczek, które ciemne i martwe sterczały nad miastem na tle błękitnego nieba.

Zanim różnymi autobusami dotarły wreszcie do Bethnal Green, upłynęła cała wieczność, deprymująca wieczność, w której na każdym kroku natykały się na obrazy zniszczeń. Tu i tam przemykali biednie ubrani ludzie, przeważnie bardzo szczupli i bardzo bladzi, starając się mimo wszystko żyć w miarę normalnie. Częściej niż dawniej do uszu Frances wdzierały się dźwięki obcych języków, których nie rozumiała wcale lub znała w nich tylko pojedyncze słowa. W Londynie mieszkało wielu emigrantów z Niemiec i krajów europejskich zajętych przez nazistów; na widok ich rozpaczy krajało się serce. Wojna rzuciła ich tutaj, a teraz toczyli bezwzględną walkę o dach nad głową, jedzenie i pieniądze - a przeciwko własnemu przygnębieniu, które było chyba największym ich wrogiem.

Po raz kolejny Frances uświadomiła sobie, jak bardzo Leigh's Dale stanowi szczęśliwą wyspę. Tak naprawdę wojna nigdy tam do nich nie dotarła. Los Marguerite bardzo ich wszystkich poruszył i zaprzętał - a tutaj spoglądała w szare twarze setkom takich Marguerite, o które nikt się nie troszczył, ponieważ występując masowo, stawały się anonimowe.

Autobusy w ogóle nie trzymały się rozkładów jazdy, kiedy więc Frances i Marjorie dotarły do Bethnal Green, było już dosyć późno. Zniszczenia wojenne nie mogły właściwie pogłębić przygnębiającego wrażenia, jakie ta smętna dzielnica we wschodniej części Londynu wzbudzała już wcześniej: brudnobrązowe domy, odrapane bloki, ciasne ulice, po których włóczyli się zaniedbani młodzi ludzie, od czasu do czasu ogródek za domem, gdzie wznosiły

się sterty śmieci, a stłoczone w drucianych klatkach króliki pędziły smętną egzystencję. Na maleńkich ponurych balkonach, na które nigdy nie docierał nawet jeden promień słońca, wisiały rozpięte sznurki do suszenia bielizny, a tu i ówdzie walczyła o przeżycie jakaś rachityczna roślina doniczkowa.

Panujący w ciągu dnia upał doskwierał w Bethnal Green jeszcze bardziej niż w śródmieściu. We wszystkich mieszkaniach szeroko pootwierano okna - o ile w ogóle ocalały - więc daleko słyhać było huczące gramofony, głosy z radia, krzyki dzieci i dzikie kłótnie między małżonkami, którzy uwięzieni w ciasnych mieszkaniach i pętach nędzy społecznej, czuli do siebie jedynie niechęć.

- Tutaj na pewno nie jest tak nudno jak w Leigh's Dale - zauważyła Frances.

Wyrzebała z torebki karteczkę, na której zanotowała adres podany jej przez panią Parker. Była już zupełnie wykończona, cała mokra od potu i czuła klucie w głowie. Co za okropny dzień, pomyślała.

Miała nadzieję, że przynajmniej nie zostanie pana Selleya w stanie, który uniemożliwiłby pozostawienie mu dziecka - mógł być przecież pijany albo z dziwką w łóżku. Koniec końców musiała rzecz jasna liczyć się z tym, że w ogóle nie będzie go w domu. W ostateczności była jeszcze pani Parker, ale wówczas trzeba by znowu przejechać pół miasta, żeby do niej dotrzeć. Frances modliła się w duchu, aby zostało jej to oszczędzone.

Pytając wiele razy o drogę, po półgodzinnym błądzeniu i kluczeniu stanęły wreszcie przed budynkiem, w którym mieszkał Hugh Selley. „Dom do rozbiórki”, tak określiła go pani Parker, i nie przesadziła.

Na pięciopiętrowym budynku brakowało pół dachu, w ocalałej części widniały wyraźnie duże dziury w miejscach, z których zniknęły cegły. Pośrodku sterczał zwęglony komin. Wyglądało na to, że pożar szalał także na dwóch najwyższych piętrach; w oknach brakowało szyb, a mury poczerniały od sadzy. Niżej przypuszczalnie mieszkali jeszcze ludzie, wskazywała na to bielizna wisząca na sznurkach przed oknami, a tu i ówdzie kawałek brudnej firanki. Wydawało się, że wszystko tutaj grozi zawaleniem, było dziurawe i chore. Zimą panowały pewnie w tych mieszkaniach lodowaty chłód i wilgoć. Latem prędzej dało się w nich wytrzymać, choć wcale nie były wtedy mniej ponure.

- Marjorie... - zaczęła Frances, ale dziewczynka natychmiast jej przerwała, zmierzwszy zrujnowany budynek zdecydowanym spojrzeniem.

- Nie wiem, na co czekamy.

Przy bramie nie było tabliczek z nazwiskami, wisiała jedynie karteczka informująca, że domokrażcy są niepożądani. Frances zadała sobie pytanie, czy jakiś domokrażca próbował

już kiedyś coś tutaj sprzedać.

Drzwi były tylko przymknięte. Weszły do mrocznej klatki schodowej, w której posadzkę stanowiła czarno-biała mozaika ułożona w dzikie spiralne wzory. Wskazywała na to, że budynek ma pewnie za sobą lepsze czasy; tymczasem jednak w wielu miejscach brakowało kamiennych kostek, a białe elementy prawie nie odróżniały się od pozostałych z powodu brudu. Na ścianie pomalowanej na kremowo wisiał szereg metalowych skrzynek na listy, z których większość nie miała już drzwiczek. W żadnej nie było poczty. Strome drewniane schody prowadziły na zawrotne wysokości. Była wprawdzie balustrada, ale i w niej co kawałek brakowało sporych fragmentów poręczy, a sterczące pręty przypominały obłamane wykałaczki. Czyżby ten dom padł ofiarą wandalii, zastanawiała się Frances, czy po prostu nadgryzł go już ząb czasu, czy też nikt nigdy nie miał czasu, pieniędzy i energii, żeby powstrzymać rujnację?

Na jednym ze stopni siedziała podstarzała kobieta - wyciągnęła przed siebie grube nogi pokryte żyłakami, tak iż bez trudu można było oglądać jej spraną bieliznę. Podwinęła jej się wypłowiała zielonoszara podomka, odsłaniając uda. Kobieta miała włosy do ramion, na twarz opadały jej ciągle pojedyncze kosmyki, które za każdym razem niecierpliwym ruchem zakładała za uszy. Śmierdziało alkoholem, lecz Frances nie była pewna, czy jego odór pochodzi od kobiety.

- Przepraszam - powiedziała. - Czy mieszka pani tutaj?

Kobieta wytrzeszczyła na nią oczy.

- A po co to pani wiedzieć?

- Szukam kogoś. Pana Hugh Selleya. Pomyślałam, że może mi pani powiedzieć, gdzie go znajdę.

- Hugh? - Na twarzy kobiety pojawił się wyraz nieufności, nadając jej osobliwie brutalny wyraz. - Skąd Hugh miałby znać kogoś takiego jak pani?

Frances uzmysłowiła sobie, że w tym domu musi sprawiać wrażenie ciała obcego. Miała na sobie płócienny kostium w kolorze karmelowym i włożyła perły odziedziczone po Maureen. Mimo że była spocona i czuła się wymięta, jej powierzchowność odcinała się wyraźnie od otoczenia.

- Gdzie go znajdę? - zapytała, ignorując pytanie nieznajomej.

- Jestem jego córką - oświadczyła Marjorie.

Kobiecie oczy omal nie wyskoczyły z orbit.

- Jego córka? Dobry Boże!

Stękając, podniosła się. Sukienka wreszcie zsunęła się jej na dół. Kobieta wcale nie

była taka gruba, jak się w pierwszej chwili wydawało, miała jedynie gąbczaste ciało.

- Skąd się tu wzięłaś? Córka Hugh? To przecież niemożliwe!

- Gdzie jest mój tata?

Kobieta ciężko zeszła do nich po schodach.

- Pójdę przodem. Dość się tu nasiedziałam, bo na dole czasami nie można już wytrzymać, rozumie pani? Ciemna nora.

- Przepraszam panią - powiedziała Frances tknięta ponurym przecuciem - ale kim pani właściwie jest?

Kobieta wyciągnęła do niej rękę. Teraz, z bliska, można już było stwierdzić, że nie czuć od niej alkoholu. Wydawało się, że odór wisi w tych murach.

- Jestem pani Selley. Gwen Selley.

- Pani jest...

- Pobraliśmy się w lutym, Hugh i ja. Nie wiedziała pani o tym?

- Nie miałam pojęcia - przyznała Frances wstrząśnięta.

Marjorie aż zaniemówiła z wrażenia.

- Czy on nie miał dwóch dziewczynek? - spytała Gwen.

- Starsza siostra chce nadal mieszkać w Yorkshire. Ale Marjorie postanowiła... wrócić do ojca.

Z pewnością Gwen Selley wydawała się mało zachwycona tym pomysłem.

Nic dziwnego, pomyślała Frances. Właśnie złowiła sobie wdowca i nawet udało jej się zaciągnąć go przed ołtarz, a tu nagle zjawia się jego dorastająca córka i oświadcza, że chce z nim zamieszkać. Komu byłby na rękę taki rozwój sytuacji?

Była przerażona, że Hugh Selley ożenił się z taką kobietą. Flądra, zwyczajna prostytutka. Po takiej kobiecie jak Alice! Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Hugh zawsze był człowiekiem ograniczonym i Frances, jak wiadomo, niezbyt go lubiła - ale jak to się stało, że upadł tak nisko? Czy mogła zostawić tutaj Marjorie, u tej kobiety?

Gwen ruszyła na dół po ciemnych schodach prowadzących do piwnicy. Upał nie był w stanie przeniknąć aż tutaj. Stęchłe, chłodne powietrze uderzyło ich w nozdrza. Poczuli zapach nieświeżego powietrza i pleśni. Gwen włączyła światło, które dawała nieosłonięta żarówka pod sufitem.

- Hugh! - zawołała. - Ktoś do ciebie!

Za drzwi rozległ się cienki głos:

- Kto?

- Szlag cię pewnie trafi - przepowiedziała Gwen. Otworzyła drzwi. - Twoja córka!

Weszły do kwadratowego pomieszczenia, w którym panował półmrok, tak iż w pierwszej chwili prawie nic nie widziały. Potem oczy przyzwyczyły się do ciemności. Naprzeciwko drzwi dostrzegły okienko piwniczne, a za nim studzienkę, światło wpływało przez nie do środka jako wąska smuga i wsiąkało gdzieś w głębi pomieszczenia.

Skąpe umeblowanie składało się z łóżka z rozgrzebanymi poduszkami i kocami, dwóch foteli obitych podartym zielonym materiałem oraz niskiej ławy, na której piętrzył się stos gazet i czasopism. Hugh Selley siedział w jednym z foteli i wpatrywał się uważnie w twarze wchodzących.

- Co? - zapytał.

Frances wystąpiła krok do przodu.

- Panie Selley, nie wiem, czy mnie pan jeszcze pamięta. Mieszkałam wtedy w budynku, w którym był pan dozorcą. Byłam przyjaciółką pańskiej żony, pańskiej pierwszej żony - poprawiła się szybko.

W jego oczach pojawił się słaby błysk - rozpoznał ją i przypomniał sobie, kim ona jest.

- Frances Gray...

- Przywiozłam panu Marjorie, panie Selley. Pańską młodszą córkę. Chętnie wróciłaby do pana.

Pociągnęła do przodu Marjorie, która nieśmiało, co do niej niepodobne, zatrzymała się w drzwiach.

- Tatusiu! - powiedziała Marjorie. Ton jej głosu zaskoczył Frances. Pobrzmiewało w nim coś, czego nie знаła dotąd u Marjorie. Wzruszenie? Ból? Dziwna powaga. Ze zdziwieniem stwierdziła po raz pierwszy, że w Marjorie mieszkają również takie uczucia. Ona tęskniła za domem, przez cały czas.

Hugh wstał. Musiał się przy tym wesprzeć niczym starzec na poręczy fotela. Nie miał pewnie jeszcze sześćdziesiątki, a sprawiał wrażenie człowieka siedemdziesięcioletniego.

- Marjorie! - wyszeptał z niedowierzaniem.

Gwen przyglądała się tej scenie z kwaśną miną.

- Moim zdaniem to dziwne tak po prostu się zjawić i słowa wcześniej nie powiedzieć - mruknęła.

- Naturalnie nie jest to szczególnie grzeczne - zgodziła się z nią Frances - ale wszystko rozstrzygnęło się w bardzo krótkim czasie.

Gwen mruknęła coś niezrozumiale pod nosem. Hugh wyciągnął obie ręce. Dłonie mu

drżały.

- Marjorie! - wyszeptał znowu. Córka pochwyciła jego rękę. Ojciec przyciągnął ją do siebie i objął, wprost zamknął w uścisku. - Marjorie!

Odsunął ją od siebie kawałek i przyglądał się jej.

- Wyglądasz jak moja Alice. Jak moja Alice!

Po raz drugi w ciągu kilku minut zdziwiła Frances intensywność uczuć, w których istnienie zawsze wątpiła. Wiedziała, że Hugh ubóstwiał Alice, ale czasami podejrzewała, że otaczając ją taką czcią, zaspokaja przede wszystkim swe własne ego; uwielbianie kogoś górującego nad nim dawało mu być może wrażenie podnoszenia w pewnym stopniu własnej wartości. Teraz, w tej sekundzie, stało się dla niej jasne, jak bardzo Hugh naprawdę kochał Alice. W jednej chwili uprzytomniła sobie cały bezmiar samotności, w jakiej pogrzyła go jej śmierć. Uprzytomniła sobie jego cierpienie. Zrozumiała, dlaczego ożenił się z Gwen. W takim stanie był nie lada gratką dla takiej kobiety jak ona.

- Dlaczego do nas nie napisałeś, kiedy mamusia umarła? - spytała Marjorie. - Dlaczego nie powiedziałaś, żebyśmy do ciebie przyjechały?

Znużonym gestem wzruszył ramionami.

- Nie mogłem. W ogóle nic już nie mogłem. Wszystko było takie puste...

- Nie mamy tutaj miejsca - rzekła Gwen. - Nie mam pojęcia, gdzie umieścimy tę małą!

Stała jak smok, zdecydowana bronić swego świata przed każdym intruzem. Było jasne, że zupełnie zdominowała męża. I nie ma najmniejszej ochoty tracić swoich wpływów tylko dlatego, że nagle pojawiła się jakaś krewna - córka Alice, która w dodatku przypominała z wyglądu Alice.

- Mają państwo tylko ten jeden pokój? - zapytała Frances.

- Mamy jeszcze kuchnię i łazienkę - rzekł Hugh, a w jego słowach pobrzmiwała niemal duma.

Począł do drzwi w głębi pomieszczenia, których Frances nie zauważyła do tej pory. Za nimi znajdowała się kuchnia - swego rodzaju boks, do którego światło również wpadało przez okienko piwniczne ze studzienką, urządzone prymitywnie, z żelaznym piecykiem na węgiel, chwiejącą się szafą bez drzwi i drewnianym cebrażnikiem. Nie było stołu i Frances zastanawiała się, gdzie w takim razie przygotowuje się posiłki. A może wszystko odbywa się na blasze?

Z kuchni prowadziły kolejne drzwi do łazienki, przy czym pojęcie „łazienka” niewątpliwie używano tu na wyrost. W tym pomieszczeniu w ogóle nie było okna, a zatem nawet śladu dziennego światła, miejsca zaś tak mało, że ledwo można się było obrócić wokół

własnej osi. Od kamiennej posadzki bił lodowaty chłód. Był klozet i zawieszona na ścianie małeńka krzywa umywalka, którą zaopatrywał w wodę zardzewiały kran.

- Woda bieżąca - wyjaśnił Hugh.

W sumie lokum wydawało się wprawdzie ciemne i ubogie, lecz było raczej utrzymane w czystości. Wyglądało na to, że flejtuchowata Gwen przynajmniej regularnie zmywa naczynia i ściera posadzki - a może robił to Hugh?

- Już widzę, Marjorie, że nie będziesz mogła tutaj mieszkać - powiedziała Frances. - Nie ma tutaj dość miejsca.

- Właśnie tak - przytaknęła natychmiast Gwen. - Dla nas wszystkich byłoby tu o wiele za ciasno.

- Łatwo moglibyśmy wstawić jeszcze jedno łóżko do dużego pokoju - wtrącił szybko Hugh.

- Panie Selley, to jest... Musi pan przecież rozumieć, że tak się nie da - rzekła Frances, nie kryjąc skrepowania. Jak on sobie to wyobrażał? Czy mieli we troje spać w jednym pomieszczeniu, co ani chybi oznaczałoby, że Marjorie słyszałaby wszystko, co rozgrywa się między Hugh i Gwen?

- Dlaczego miałyby się tak nie dać? - zdziwił się Hugh.

Gwen domyśliła się, co miała na myśli Frances, i uśmiechnęła się zjadliwie.

- Co do tego, to nie musi się pani obawiać, panno Gray. U mojego Hugh nie ma już mowy o tych sprawach!

- Och... problemem jest także to, że to mieszkanie nie za bardzo nadaje się dla dziecka - wtrąciła szybko Frances. - Nie chcę powiedzieć, że nie jest ładnie urządzone. Ale to piwnica. Zimą jest tu na pewno dość chłodno i wilgotno.

Hugh wskazał żelazny piecyk stojący w rogu pokoju.

- On grzeje bardzo dobrze. Zimą mamy tu ciepłutko jak w uchu.

Gwen zmierzyła Frances chłodnym wzrokiem.

- Nie rozumiem pani, panno Gray. Przecież wcześniej na pewno pani wiedziała, że Hugh wiedzie się nieszczególnie - mam na myśli sytuację finansową. W końcu miała pani adres. Bethnal Green to podła dzielnica. Czego pani się spodziewała? Teraz udaje pani taką zatroskaną, ale wcześniej odbyła pani długą drogę z Yorkshire na południe, żeby pozbyć się tego dziecka. Bo przecież tak było, prawda? Ta mała działa pani na nerwy, więc tak czy owak jest pani zdecydowana zostawić ją tutaj. Teraz tylko zgrywa się pani trochę, żeby uspokoić swoje sumienie, a potem i tak wcześnie nam pani dziewczynę i zniknie!

- Może powinna pani... - zaczęła z oburzeniem Frances.

Marjorie wpadła jej jednak natychmiast w słowo:

- Ja nie wrócę do Yorkshire, pani... - Najwidoczniej trudno jej było zwracać się do macochy po nazwisku, gdyż zawahała się chwilę, po czym dokończyła: - pani Gwen. Zostanę tutaj.

- Naturalnie, że zostaniesz tutaj - potwierdził natychmiast Hugh.

- To jakaś ukartowana gra - krzyknęła Gwen.

Frances ujęła Marjorie za ramię.

- Marjorie, chodźmy na górę. Chciałabym porozmawiać z tobą chwilę w cztery oczy.

Marjorie niechętnie podążyła za nią po schodach. Po stęchłym powietrzu w piwnicy nawet nieznośny upał na ulicy wydał się Frances oazą. Odetchnęła z ulgą, kiedy promienie słońca pogłaskały jej skórę.

- Marjorie, posłuchaj - rzekła z naciskiem. - Możliwe, że obie działałyśmy trochę za szybko. Co się zdarzyło przedwczoraj wieczór... Nie powinnam była cię spoliczkować. Ale i ty nie powinnaś...

Zauważyła, jak ponownie wzbiera w niej wściekłość. Dlaczego mówi w ten sposób? Przecież wcale nie myśli tego, co mówi. W najmniejszym stopniu nie było jej przykro, że spoliczkowała Marjorie, co najwyżej żałowała, że nie stało się to wcześniej. Powinna powiedzieć sobie otwarcie, że chce się pozbyć dziewczyny. Przeklinała w duchu nieudolnego Hugh Selleya za to, że nie jest w stanie poszukać sobie porządnego lokum i że ożenił się z tą nieodpowiednią kobietą, której nie można raczej powierzyć młodej dziewczyny. Denerwowało ją własne rozdarcie między chęcią pozbycia się Marjorie a wyrzutami sumienia, jakie odczuwała wobec zmarłej Alice.

- W każdym razie, Marjorie, nie możesz mieszkać tutaj. Chodzi mi o to, że widziałas tę norę na dole. Naprawdę wyobrażasz sobie, że mogłabyś tam mieszkać? Bez światła dziennego, w tym stęchłym powietrzu? W Gwen na pewno masz wroga. Ona nie chce dzielić się z tobą twoim ojcem. Będzie ci uprzykrzać życie, jak tylko będzie mogła.

- Nie wrócę do Yorkshire - oświadczyła niewzruszenie dziewczynka.

- W takim razie będę musiała zawieźć cię do pani Parker. Każdy sierociniec jest lepszy niż to tutaj!

- Może mnie pani zawieźć do pani Parker. Ale i ona nie może mnie wsadzić do sierocińca wbrew woli mojego ojca. A mój ojciec mnie kocha. Jutro byłabym z powrotem tutaj.

- Ale dlaczego? - zapytała z uporem Frances. - Dlaczego?

- Jest moim ojcem.



- Ale nie potrafi troszczyć się o siebie. Spójrz na niego!

- Jest stary i biedny. Jest rozzarowany życiem! - odparowała porywczo Marjorie. - Ale jest moim ojcem!

Patrzyły na siebie, obie wzburzone, obie urażone, nie wiedząc dokładnie czym i dlaczego.

- Tak. Rozumiem - oświadczyła w końcu Frances.

Zorientowała się, że wciąż jeszcze ma przy sobie torbę z garderobą Marjorie, że wzięła ją na dół, a potem z powrotem na górę. Postawiła torbę na ulicy.

- No cóż, w takim razie rozejrzę się za jakimś hotelem - rzekła w końcu zrezygnowanym tonem. - Jutro przekażę ci adres. Zostanę tam trzy dni, do pierwszego września. Potem pojedę do domu. Gdybyś zmieniła zdanie, możesz jechać ze mną. A gdyby później pojawiły się jakieś trudności... Westhill jest dla ciebie zawsze otwarte.

- Co za wspaniałomyślność! - odparła pogardliwie Marjorie. - Ale pani nie chodzi przecież wcale o mnie. Ma pani mnie powyżej uszu i byłaby pani bardzo szczęśliwa, gdyby nie musiała mnie już nigdy oglądać. Ale lubiła pani moją matkę i dlatego jest pani teraz głupio. Nie musi być pani głupio. Dam sobie radę!

Wzięła do ręki torbę i nie zaszczyciwszy już Frances spojrzeniem, weszła z powrotem do budynku. Frances wyobraziła sobie, jak zanurza się w mroku piwnicy i wbrew oporom zgrzytającej zębami Gwen stawia na swoim i zostaje.

Powinnam ją wziąć za kark i zabrać ze sobą, powinnam ją wyciągnąć z powrotem za włosy. Powinnam...

Kiedy tak jeszcze myślała, oddalała się powoli, idąc tyłem, od domu, w końcu odwróciła się i ruszyła szybciej i jeszcze szybciej, a wreszcie niemal puściła się biegiem, co uświadomiła sobie dopiero, słysząc własny zdyszany oddech, gdy stała już na przystanku i czekała na autobus.

## *Sobota, 28 grudnia 1996 roku*

Czytała i czytała, próbując w ten sposób zagłuszyć w sobie strach. Ale przez ostatnie pół godziny szło jej coraz gorzej. Nie mogła się dłużej oszukiwać. Obawa podchodziła coraz wyżej, przypominała o sobie stanowczo przyspieszonym biciem serca i wilgotnieniem dłoni. W końcu Barbara nie była w stanie się skupić. Po raz kolejny podniosła wzrok i poczuła mdłości na widok płatków śniegu za oknem. Śnieg padał już na dobre, prawie tak gęsty jak w Boże Narodzenie.

Odłożyła stos kartek, jaki pozostał jej jeszcze do przeczytania. Do wieczora powinna skończyć. Było wpół do czwartej i już zaczynało się zmierzchać: jeszcze pół godziny, a będzie musiała znowu włączyć światło.

Podeszła do telefonu i wybrała numer Cynthii, choć wiedziała, że Cynthia nie ma nic nowego do powiedzenia, bo w przeciwnym razie sama by zadzwoniła. Potrzebowała jednak pociechy, jaką mógł dać ludzki głos.

Cynthia zgłosiła się dopiero po dłuższej chwili.

- Och, Barbara, to pani - powiedziała. - Przykro mi, że musiała pani czekać. Byłam w piwnicy.

- Nic nie szkodzi, Cynthia, mam nadzieję, że nie działam pani na nerwy, ale trochę się martwię o męża. Już dawno powinien gdzieś dotrzeć.

W głosie Cynthii pobrzmiwał optymizm. A może tylko starała się mu nadać optymistyczne brzmienie? - zastanawiała się nieufnie Barbara.

- Na pewno wylądował w którejś z wiosek. A może telefony nie wszędzie jeszcze działają. To chyba możliwe, nie sądzi pani?

- Owszem, ale... moim zdaniem to mało prawdopodobne.

- Teraz i tak nie może pani nic zrobić. Proszę się nie niecierpliwić, bo to nic nie da. Pani mężowi na pewno nic się nie stanie.

- Ale śnieg pada coraz mocniej!

- Jest dorosłym mężczyzną. Widziałam go tylko chwilę, ale wydaje mi się, że jest dość wysoki i silny. Na pewno da sobie radę.

- Tak, może.

Sama zauważyła, że zabrzmiało to bardzo żałośnie. Cynthia nie знаła Ralpha, a ona nie potrafiła jej wytłumaczyć, na czym polega problem. Cynthia wychowała się wśród

farmerów, mieszkała w tej surowej, mało urodzajnej krainie, w której ludzie nauczyli się stawiać czoło przyrodzie i opierać burzom i nawałnicom. W świecie Cynthii wręcz nie można było sobie wyobrazić wysokiego, zdrowego mężczyzny, który nie potrafiłby poradzić sobie ze śniegiem i chłodem, ciemnością i bezdrożem. Co ona wiedziała o ludziach, którzy praktycznie całe życie spędzali za biurkiem, którzy nie mieli pojęcia o rąbaniu drewna ani o orientacji w terenie w ciemności, a na dodatek przy gęsto padającym śniegu?

- Barbaro, musi się pani rozerwać - napomniała ją stanowczo Cynthia. - Może jest coś dobrego w telewizji? Albo znajdzie pani jakąś zajmującą książkę?

Zajmująca książka. Pomyślała o kartkach rozsypanych w jadalni. Rozerwać się...

- A tak właściwie znała pani Laurę i Marjorie Selley, kiedy były jeszcze dziećmi? - zapytała.

- Laurę i Marjorie? Naturalnie. Byłam jeszcze dosyć mała, kiedy tu przyjechały, wtedy podczas wojny. Ewakuowano je z Londynu.

- Ale Marjorie nie została zbyt długo.

- Ach, pewnie rozmawiała pani przez telefon z poczciwą Laurą? - spytała zaskoczona Cynthia. - Opowiedziała pani o tym?

- Owszem, długo rozmawiałyśmy ze sobą...

- Nikt nie uronił łzy po wyjeździe Marjorie. One nieczęsto się bawiły z nami, dziećmi z wioski, ale gdy już to robiły, to za każdym razem nieuchronnie dochodziło do kłótni z Marjorie. To była naprawdę wredna bestia. Po prostu nie dawała innym spokoju. Myślę, że nie potrafiła dojść do ładu z samą sobą. Laura była zupełnie inna. Ciągle bała się, żeby kogoś nie urazić, bo to może doprowadzić do tego, że ją odeślą. Była wtedy niesamowicie gruba, wyobraża sobie pani? Ta szczupła Laura! Wtedy ważyła na pewno ze sto kilo.

- Marjorie nigdy tu nie wróciła?

- O, nie! Nigdy. Także później. Przeniosła się wtedy do Londynu do swojego ojca. Matka już nie żyła, ale ojciec ożenił się po raz drugi. Laura napomknęła kiedyś, że Marjorie w końcu wygryzła tę drugą żonę ojca. Wcale mnie to nie dziwi. Marjorie mieszkała potem zawsze z ojcem i pielęgnowała go aż do śmierci. No cóż, w ten sposób na pewno naprawiła to i owo. Teraz mieszka sama, gdzieś na południu.

- A Laura tutaj zapuściła korzenie - rzekła w zamyśleniu Barbara.

- Zapuścić korzenie to jeszcze niewiele powiedziane - oświadczyła Cynthia. - Ona jest bałwochwalczo przywiązana do Westhill. Tak było już wtedy. Człowiek miał zawsze wrażenie, że uchwyciła się farmy jak tonący brzytwy. Cóż, była zresztą biednym stworzeniem, trzeba przyznać. Sądzę, że nie otrząsnęła się jeszcze z szoku po tamtych

bombardowaniach Londynu. A później śmierć jej matki... Kiedyś powiedziała mi, że dla niej Westhill to jedyne bezpieczne miejsce wśród wrogiego świata. Jest osobą okropnie strachliwą. Ciągle wietrzy jakieś nieszczęście. Nic dziwnego, że trzyma się pazurami tego, co zna.

- Ciągle tu wydzwania, bo pewnie się boi, że może się zdarzyć jakaś katastrofa. Wielokrotnie zapewnialiśmy ją, że w domu wszystko w porządku, ale wygląda na to, że nie za bardzo nam wierzy.

- Podobno ma duże kłopoty finansowe - podjęła Cynthia, rozkoszując się swoją opowieścią jak człowiek, dla którego plotka jest eliksirem życia. - Nic dokładnego nie wiadomo, ale... no cóż, utrzymanie tego niepraktycznego starego domiszcza pochłania na pewno sporo pieniędzy, a do tego dochodzą jeszcze podatki. A Laura może mieć tylko minimalną rentę. No bo kim ona była? Damą do towarzystwa Frances Gray! Trudno wtedy zgromadzić jakieś bogactwa!

- Chyba nie należy już także do niej cała niegdysiejsza ziemia, prawda?

Cynthia roześmiała się.

- Z pewnością nie. Większą część swoich gruntów sprzedała Fernandowi Leighowi. Dla niego to oczywiście wspaniała gratka. Westhill Farm spowodowała, jak wiadomo, rozdrobnienie własności ziemskiej Daleview. Teraz te kawałki są z powrotem scalane.

Barbara przypominała sobie o umowach kupna-sprzedaży odnalezionych w sekretarzyku w salonie. Nie chciała przyznawać się przed Cynthią, że tam grzebała; w przeciwnym razie chętnie by ją zapytała, jak wyjaśnić śmiesznie niską cenę, jaką Laura dostała za ziemię. Barbara niezbyt się orientowała w cenach gruntów, przede wszystkim w Anglii, ale było dla niej jasne, że Laura dostała od Fernanda Leigha raczej swego rodzaju symboliczną zapłatę, żeby w ogóle można było oficjalnie mówić o kupnie. Nieoficjalnie zaś mówiło się, że sprzedała mu tyle mil kwadratowych pastwisk wprost za bezcen. Dlaczego? Czy znajdowała się w aż tak złej sytuacji, że musiała brać to, co jej oferowano, nawet jeśli było tego tyle co nic? Może tu, na północy, niełatwo było znaleźć kupca? Może zainteresowany był tylko Fernand Leigh - i stosownie do tego dyktował ceny.

W bezwzględny, niemal obrzydliwy sposób wykorzystał trudną sytuację starej kobiety. A może ocenia go niesprawiedliwie? Może miało miejsce oszustwo podatkowe? Może pieniądze przekazano pod stołem, a prostoduszna, bojaźliwa Laura wcale nie była taka prostoduszna i bojaźliwa?

W pewnym sensie ten drugi obraz pasował lepiej, do obojga. Laura była urodzoną ofiarą. A Fernand urodzonym sprawcą. Barbara pomyślała o nieśmiałej kobiecie z podbitym

okiem.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie jasno, że Fernand musi być synem Marguerite, francuskiej emigrantki. I po raz pierwszy od wielu dni stanął jej znowu w pamięci sen śniony pierwszej nocy w Westhill. Ona i Fernand... Poczwała, jak twarz zaczyna jej płonąć.

No tak, pomyślała, starając się pozbyć tej myśli, skoro ogólna sytuacja Laury jest taka trudna, to przynajmniej wiadomo, dlaczego tak bardzo martwi się o dom.

- To po prostu zdziwaczała stara panna - powiedziała właśnie Cynthia, i były to dokładnie te same słowa, których użyła, aby opisać Laurę, już podczas rozmowy z Ralphem i Barbarą zaraz po ich przybyciu do Leigh's Dale.

Barbara zastanawiała się, dlaczego ludzie używają przeważnie określenia „stara panna” w tak pejoratywnym sensie i tak pogardliwie. Od pewnego wieku panieństwo wydawało się uchodzić za poważną wadę u kobiet - i służyło za wytłumaczenie wszelkich dziwnych zachowań. Prawie nie zadawano już sobie trudu wyjaśniania przywar i słabostek, jakie miewają wszyscy ludzie, czymkolwiek innym niż dziewictwem, które miało się przytrafiać tym kobietom jak choroba.

- Nigdy nie było żadnego mężczyzny w jej życiu? - spytała dociekliwie Barbara.

Cynthia zastanowiła się chwilę.

- Jeśli mnie pani pyta, to nie! Ale krążyły plotki, że jako młoda dziewczyna... No, że podobno był wtedy jakiś mężczyzna. Czy rzeczywiście coś ją z nim łączyło? Prawdą jest, że w tym okresie zaczęła się głodzić i w końcu naprawdę zeszczupłała. Jak mówiłam, byłam jeszcze dzieckiem, ale pamiętam, jak moja matka mówiła: „Idę o zakład, że Laura Selley jest zakochana. Po dziewczynie po prostu to widać. Nie je już jak dawniej bez przerwy, ładnie się czesze, a poza tym ma taki blask w oczach”. Tak mówiła moja matka. Czy było coś na rzeczy - kto to wie!

- Kiedy to mniej więcej było?

- To musiało... tak, to musiało być jeszcze podczas wojny. W czterdziestym drugim albo czterdziestym trzecim roku. To wtedy ludzie twierdzili, że jakiś mężczyzna bywa często w Westhill. Tak na marginesie, nikt nie używał już wtedy nazwy Westhill, wszyscy mówiliśmy o nim tylko „dom sióstr”. Ale przecież mieszkały tam jeszcze Laura i stara gospodyni. W każdym razie same kobiety. I wtedy ktoś nagle powiedział, że w domu sióstr bywa czasami jakiś mężczyzna. Domyśla się pani, jak w wiosce zawrzało od plotek!

- A może wrócił brat Frances, George - podsunęła nieostroźnie Barbara, gdyż Cynthia natychmiast podchwyciła, nie kryjąc zdumienia:

- Laura opowiedziała pani naprawdę bardzo wiele! Wie pani nawet o biednym

George'u? Musiałycie rozmawiać przez telefon godzinami!

Barbara zagryzła wargi. Powinna bardziej uważać, bo Cynthia gotowa jeszcze zauważyć, że miała jeszcze inne źródło informacji.

- Nie, nie, to na pewno nie był biedny George - rzekła Cynthia, która najwidoczniej, jak stwierdziła Barbara, lubiła dodawać innym ludziom atrybut „biedny”... przypuszczalnie po to, by siebie dowartościować. - Jego nikt już nie widział. To była dla Frances prawdziwa zgryzota. Ilekroć ktoś wspominał o jej bracie, miała zawsze takie smutne oczy, nawet gdy była już starą kobietą.

- Może to o tym nieznanym mężczyźnie to też była tylko plotka - zauważyła Barbara, przymierzając się do końca rozmowy.

Chętnie by ją przedłużyła, choćby dlatego, że mówiąc, nie myślała o swoich zmartwieniach, ale uprzytomniła sobie, że pilnie powinna zwolnić linię telefoniczną. Możliwe, że Ralph od dawna próbuje się dodzwonić. Kątem oka wyjrzała przez okno. Śnieg padał i padał.

- Może - powtórzyła w zamyśleniu Cynthia, po czym bardziej już do siebie dodała: - W każdym razie to było tuż przed zniknięciem Victorii Leigh.

Barbara zmarszczyła czoło.

- Ona też zniknęła?

- Tak. Sądzę, że to było w 1943 roku. Tajemnicza historia. Jak kamień w wodę. Frances Gray nikomu nic nie mówiła, ale w końcu ludziom rzuciło się w oczy, że nikt już nie widuje biednej Victorii.

Znowu ktoś, kto miałby być biedny, pomyślała Barbara.

- John Leigh ożenił się po raz drugi. Z Francuzką, która uciekła przed nazistami. Z tego co się słyszało, Victoria przeżyła to bardzo ciężko. A potem od razu urodziło im się dziecko! John Leigh miał już pewnie wtedy blisko pięćdziesiąt pięć lat i niektórzy uważali, że nie wypada zostawać ojcem w takim wieku. Jego żona była dosyć młoda, tak koło trzydziestki. W każdym razie to dobiło Victorię do reszty. Moja matka opowiadała mi, że ona sama chciała mieć dzieci i nie mogła. A teraz to! Według Frances Gray nie potrafiła się z tym uporać. Nie chciała dłużej mieszkać tutaj - w bezpośrednim sąsiedztwie nowej rodziny Leighów, w której wreszcie pojawił się syn. Syn, którego ona nie mogła urodzić. Dlatego wyjechała. Gdzieś na południe.

W jej głosie pobrzmiwało lekkie powątpiewanie. I Barbara słyszała ten ton.

- A potem wszelki słuch o niej zaginął?

- Owszem. Praktycznie tak samo jak o George'u. I w jakimś sensie... Chodzi mi o to,

że to jednak dziwne, gdy w jednej rodzinie znikają bez śladu dwie osoby, prawda? W wypadku George'a nikogo to nie zdziwiło. Ja już go nie znałam, ale wszyscy, którzy widywali go jeszcze przez jakiś czas, gdy wrócił z wojny, zanim przeniósł się do Scarborough, mówią, że był naprawdę chory. Psychicznie. Człowiek, któremu życie wymknęło się spod kontroli. Żył we własnym świecie, nie czuł się z nikim związany. Dlaczego nie miałby pewnego dnia wyruszyć w świat?

- A Victoria była inna?

- Zupełnie inna. Miałam wtedy dziewięć lat i mimo że byłam jeszcze dzieckiem, wyobrażałam ją sobie dość wyraźnie, na pewno zresztą pod wpływem opowieści rodziców i innych ludzi z wioski. O Grayach zawsze dużo mówiono, tak samo jak o Leighach. Oni byli po prostu jacyś inni.

- A Victoria... - przypomniała Barbara.

- Victoria była typem mazgaja - orzekła Cynthia bez cienia litości, ale po tym wszystkim, co Barbara już wiedziała, utrafiła dokładnie w sedno. - W dzieciństwie pewnie okropnie ją rozpieszczano. Była najmłodsza, a oprócz tego stała się ulubienicą ojca. Lubiła użalać się nad sobą, a po rozwodzie była przekonana, że wszystkie nieszczęścia świata zwały się na jej barki. Narzekała na każdym kroku, gdziekolwiek się ruszyła. Jej głos brzmiał cierpiętniczo, ledwie powiedziała „dzień dobry”.

- W takim razie nie ma w tym nic nieprawdopodobnego, że odeszła stąd, kiedy miała już wszystkiego dosyć!

- Nie znała jej pani. Tak po prostu odejść, zostawić wszystko za sobą, poniekąd wyrzucić za burtę całe dotychczasowe życie, dom, rodzinę, znajomych - zerwać radykalnie ze wszystkim i zacząć gdzieś od nowa - to wymaga mnóstwo zdecydowania. Do tego potrzeba siły. Przecież nie przeniosła się po prostu do innego miasta i pozostała w kontakcie z rodziną, otóż nie, ją jakby ziemia pochłonęła. W dodatku trwała jeszcze wojna, czasy były ponure i niepewne, nikt nie wiedział, jak to wszystko skończy się dla Anglii. A Victoria nie była już najmłodsza, czterdzieści osiem albo czterdzieści dziewięć lat. Nie - nawet nie widząc Cynthii, można się było domyślić, że właśnie pokręciła głową - nie, wszystko wydawało się takie absurdalne. Po prostu nie trzymało się kupy.

- Z drugiej strony - powiedziała Barbara - co takiego miałyby się stać?

Cynthia westchnęła.

- No właśnie. Co miałyby się stać? Dlatego było tylko trochę gadania, a w końcu także plotki ustały. Bądź co bądź mieliśmy dość innych zmartwień. Choćby wojnę... A z czasem cała historia i tak poszła w niepamięć.

Z czasem cała historia i tak poszła w niepamięć... Czy rzeczywiście poszła w niepamięć, czy też znajdowała się na ostatnich stronach relacji Frances Gray? Barbara przeszła do jadalni, popatrzyła na leżący na stole stos niewinnych z wyglądu, gęsto zapisanych kartek. Korciło ją, by sprawdzić zastrzeżenia Cynthii co do wersji o rozpoczęciu przez Victorię nowego życia „gdzieś na południu”. Nie na darmo specjalizowała się w prawie karnym. Podejmowała trop, gdy coś miało dziwny zapach.

Potem jednak powiedziała sobie, że Cynthia to plotkarka i na pewno namiętnie rozsiewa plotki i rozdmuchuje różne rzeczy, żeby wydawały się ciekawsze. Według opisu Frances Victoria faktycznie cierpiała męki, kiedy John odszedł i ożenił się po raz drugi. Przyjście na świat małego Fernanda musiało być dla niej wręcz traumatycznym przeżyciem, wszak dotyczyło jej bolesnego problemu: bezdzietności. Może rzeczywiście spakowała swoje rzeczy i wyjechała, zostawiając wszystko za sobą.

Barbara odsunęła od siebie myśli o tym. Miała zupełnie inne rzeczy na głowie. Potem szybko skończyła rozmowę z Cynthią, bo chciała zwolnić linię dla Ralpha. A teraz od dziesięciu minut wpatrywała się w aparat, jakby potrafiła go zahipnotyzować i tym samym sprawić, żeby zadzwonił. Ale telefon bezlitośnie milczał. Był kwadrans po czwartej. Śnieg padał bez przerwy, za niespełna pół godziny na zewnątrz zrobi się ciemno.

- Co ja mogę zrobić - jęknęła cicho. - Co ja mogę zrobić!

Pobiegła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę. Sam widok lodówki - pustej - wzbudził w niej tak gwałtowne uczucie głodu, że na kilka sekund zakreśliło jej się w głowie. Żołądek skurczył się znowu boleśnie, a to - w połączeniu ze strachem - sprawiło, że nagle łzy napłynęły jej do oczu. Od młodości nie wiedziała, co to bezradność, w ogóle nie dopuszczała do siebie tego uczucia. Tak długo wbijała to sobie wtedy do głowy, aż jej mózg to przełknął: Jestem silna. Potrafię sobie pomóc. Nie boję się.

A teraz się bała. I - co najgorsze - czuła się zupełnie bezradna. Bezradna jak małe dziecko. Bezradna jak gruba młoda dziewczyna, którą kiedyś była i o której istnieniu gdzieś głęboko w jej wnętrzu tak chętnie by zapomniała.

Wtem przyszedł jej do głowy pomysł. Błyskawicznie obiegła wszystkie pokoje, w każdym zapalając światło. Wśród panujących ciemności Westhill musiało teraz formalnie eksplodować jasnością. Jeśli Ralph wyruszył w drogę powrotną faktycznie jeszcze dzisiaj i błąka się gdzieś w okolicy, będzie mógł przynajmniej orientować się według tego światła.

W kuchni gwizdał czajnik. Barbara zbiegła na dół. Bieganie po domu zagłuszyło na kilka minut jej rozpacz, ale ta szybko zaczęła ogarniać ją na nowo, kiedy stanęła przy stole i czekała, aż zaparzy się herbata. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie wybiec z domu i



nie szukać Ralpa, bo wszystko wydawało się lepsze od siedzenia tutaj i czekania, lecz mimo wszystko rozsądek okazał się silniejszy. Nie miała szans na odnalezienie go, sama tylko by się zgubiła. W dodatku nie miała nawet nart. Posuwałyby się w żółwym tempie, przy każdym kroku zapadając się po pas w śniegu.

Wzięła herbatę i wróciła do jadalni. Było dla niej jasne, że musi się jakoś rozerwać, jeśli nie chce z czasem zupełnie stracić nerwów.

Usiadła przed kominkiem. Bez specjalnego zapachu sięgnęła po ostatni stos kartek. Była pewna, że jest zbyt zdenerwowana, ażeby skoncentrować się na lekturze, lecz postanowiła się zmusić. Lepiej już czytać, niż rozmyślać.

Siedziała więc w rzęście oświetlonym domu, walczyła o to, żeby nie zawładnął nią niepokój, i czytała dalej - już nie z ciekawości jak na początku, ale z rozpacz.

## *Wrzesień 1942 - kwiecień 1943 roku*

Tamtego pierwszego września, powróciwszy do Westhill, Frances zauważyła natychmiast, że coś jest nie tak. Dom, podwórze i ogród otoczone soczystą zielenią łąk zalegała cisza. Przestało padać, lecz wyglądało na to, że nie wróci upał, jaki panował jeszcze w Londynie. Niebo pokrywały szare chmury, powietrze było jednak ciepłe, wiał lekki, łagodny wietrzyk.

Coś było nie w porządku, Frances nie potrafiła jednak powiedzieć, co zwróciło jej uwagę. Spokój, który ją powitał, miał w sobie coś ciężkiego, przytłaczającego. Wprawdzie hałas też rzadko panował na farmie, odkąd w domu nie mieszkało już tyle osób, lecz tym razem jakby cała posiadłość wstrzymała oddech.

Sceneria wydawała się dobrze znajoma - było to niemal przeżycie w rodzaju *déjà vu*. Po chwili Frances uzmysłowiła sobie, co jej to przypomina. Już dwa razy po powrocie z Londynu powitała ją w Westhill ta dziwna, złowieszcza cisza i w obu przypadkach kryła się za tym jakaś katastrofa. Za pierwszym razem jej siostra sprzątnęła jej właśnie przed nosa mężczyznę, którego ona kochała, i zamierzała go poślubić. Za drugim zastała dwa trupy: matkę i swą nowo narodzoną siostrę. A teraz, za trzecim razem...

Do trzech razy sztuka, pomyślała ze swego rodzaju cyniczną rezolucją, która miała jej pomóc opanować niepokój ściskający jej pierś i utrudniający oddychanie.

Potem nagle przyszło jej na myśl, że może to ma jakiś związek z Marjorie.

Sprawy nie ułożyły się pomyślnie. Coś okropnego wydarzyło się w londyńskiej piwnicy i powiadomiono już telefonicznie Westhill. A teraz wszyscy czekali ze strachem na powrót Frances.

Weźże się w garść, powiedziała do siebie ze złością. Tylko dlatego, że masz wyrzuty sumienia, podejrzewasz od razu jakąś katastrofę. A przecież wcale nie musisz mieć wyrzutów sumienia! To Marjorie nie chciała inaczej. Miałaś zatrzymać tutaj dziewczynę wbrew jej woli?

Zaparkowała samochód, wysiadła, podeszła do domu i uderzyła się boleśnie w ramię, bo drzwi wejściowe, wbrew jej oczekiwaniom, nie dały się otworzyć. Jęknęła cicho.

- Cholera! Kto tu zamyka w środku dnia?

Nie był co prawda środek dnia, tylko godzina piąta, lecz przed zapadnięciem ciemności nikt dotąd nie ryglował drzwi wejściowych. Obawy Frances jeszcze się wzmogły. Nie omyliła się. Z całą pewnością coś było tu nie w porządku.

Zapukała energicznie i zawołała kilkakrotnie „Halo!”. W końcu usłyszała szept po drugiej stronie drzwi.

- Kto tam?

- To ja, Frances! Co, u diabła, się tutaj dzieje?

Drzwi otworzyły się i Adeline wyjrzała ostrożnie na zewnątrz.

- Jest pani sama?

- Naturalnie. Co się stało? - Frances weszła do środka i stwierdziła ze zdumieniem, że Adeline natychmiast zamknęła za nią drzwi. - Telefon z Londynu? - spytała rozgorączkowana.

- Telefon? Nie. Dlaczego?

- Myślałam tylko... Chodzi mi o to: czy macie jakieś wieści od Marjorie?

Tym razem Adeline zrobiła zdziwioną minę.

- To pani przecież z nią jechała!

- No tak, ale... ach, wszystko jedno! - Zniecierpliwiona szybko zostawiła ten temat, najwidoczniej jej obawy okazały się zupełnie chybione. Choć nie wiedziała, co czeka ją zamiast tego, poczuła ulgę. - Adeline, co się tutaj dzieje? Dlaczego zamykacie się od środka? Dlaczego tutaj tak cicho?

- Proszę za mną - powiedziała Adeline.

Zmieszana Frances podążyła za nią po schodach. Kiedy weszły do dawnego pokoju George'a, Frances zauważyła najpierw tylko Victorię i Laurę: obie stały przy łóżku. W następnej chwili usłyszała cichy jęk i jej wzrok padł na postać leżącą na łóżku. Podeszła bliżej.

- Kto to jest? - zapytała.

Był to mężczyzna, najbrudniejszy, najbardziej zaniedbany i obdarty mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. W pierwszym momencie poczuła radość, która przeszła ją niczym błyskawica: George! George wrócił!

Ale potem stwierdziła, że to nie on, widać to było wyraźnie przez wszystkie warstwy brudu. Mężczyzna był wyższy od George'a i znacznie młodszy - mimo że pod wielodniowym zarostem i opadającymi na twarz splątanymi włosami prawie nie dało się rozpoznać jego rysów.

- Kto to jest? - powtórzyła pytanie.

- Laura go znalazła - odpowiedziała Victoria. Brzmiało to tak, jakby Laura odnalazła stary but albo zgubiony napastrzek. - W pomieszczeniu dla owiec.

- Bardzo blisko Bolton Castle - wyjaśniła Laura.

- Co z nim?

- Jest poważnie ranny w nogę.

Kiedy Adeline odwinęła kołdrę, Frances aż się wzdrygnęła na widok wielkiej, brzydko wyglądającej rany, która mocno krwawiła i ropiała. Bijący od niej odór był tak okropny, że aż ją zatkało.

- Mój Boże! - powiedziała.

Adeline przykryła z powrotem mężczyznę.

- Ostry stan zapalny. Cały jest rozpalony od gorączki.

- No dobrze, ale dlaczego nie wezwiecie lekarza? - zawołała Frances. - Dlaczego zamykacie się tu razem z nim i każecie mu po prostu tak leżeć?

Wszystkie trzy milczały przez moment. W końcu przemówiła Adeline:

- Gada w gorączce. Dlatego wiemy, że to nie Anglik.

- Nie Anglik?

- To Niemiec - rzekła Victoria.

Frances wpatrywała się w leżącego mężczyznę. Miał na sobie cywilne ubranie: jasne spodnie, niebieską koszulę. Na przegubie lewej ręki zegarek z popękany szkieletem osłaniającym cyferblat. Francuska marka, jak stwierdziła Frances.

- Jesteście pewne?

- Miałam w szkole trochę niemieckiego - oświadczyła Victoria. - Ja jestem pewna.

Wszystkie patrzyły na leżącego. Ruszał się niespokojnie. Na jego twarzy widać było drgające pod skórą nerwy. Otworzył oczy, które były ciemne i nienaturalnie błyszcząco.

- Wody - powiedział po niemiecku.

- Co powiedział? - spytała Frances.

- Chce wody - przetłumaczyła Victoria.

Sama sięgnęła już po filiżankę stojącą obok łóżka, odrobinę uniosła głowę rannego i ostrożnie przytknęła naczynie do jego ust. Mężczyzna wypił kilka łyków, łapczywie, lecz z wysiłkiem. Potem osunął się z powrotem na poduszkę i natychmiast zapadł z powrotem w niespokojny sen. Jęczał coś, czego nikt nie rozumiał. W każdym razie nie były to słowa angielskie.

- Naprawdę jesteś pewna, że to Niemiec? - spytała Frances, ponieważ z wolna dotarło do niej, jakie może to mieć konsekwencje.

- Jestem pewna, że m ó w i po niemiecku - odparła Victoria - i przypuszczam, że mającąc w gorączce, człowiek używa zawsze języka ojczystego, nieprawdaż?

- Miał przy sobie jakieś dokumenty?

- Nie. Tylko to. - Adeline wyciągnęła z kieszeni fartucha pistolet i podała go Frances. -  
Był zatknięty za pasek.

- Kiedy go znalazłaś, Lauro?

- Dziś przed południem. Byłam... nieszczęśliwie się czułam... z powodu Marjorie i tak dalej... Chciałam być sama i po prostu szłam przed siebie, nie wybierałam się do żadnego konkretnego miejsca, ale w pewnej chwili zorientowałam się, że jestem w pobliżu Bolton Castle. Szłam na skos przez pastwiska dla owiec... i nagle usłyszałam jakby bolesne skamlenie z jednej z małych owczarni. Pomyślałam, że to może ranne zwierzę, i weszłam do środka, żeby sprawdzić. I wtedy go zobaczyłam: leżał w kącie na belach słomy. Wyglądał okropnie i miał chyba potworne bóle. Byłam... - Laura urwała na chwilę - byłam przerażona i w pierwszym odruchu chciałam uciec, ale zawołał, żebym została. Że potrzebuje pomocy.

- Wtedy mówił po angielsku?

- Tak. Ale był jeszcze w miarę przytomny, nie to co teraz. Pewnie miał już gorączkę, ale jeszcze nie bredził. „Jestem ciężko ranny”, powiedział, „może mi pani pomóc?”. Odparłam, żeby zaczekał, to sprowadzę lekarza, ale błagał mnie, żebym w żadnym wypadku tego nie robiła. „Żadnego lekarza”, wołał, „żadnego lekarza!”. Powiedziałam, że nie wiem, co w takim razie mam zrobić, a on zapytał, czy mogłabym go wziąć ze sobą i przechować w domu przez jeden dzień. Powiedział, że potrzebuje tylko łóżka na jedną noc, chciałby też dostać coś do jedzenia i picia, a jutro pójdzie sobie dalej.

- Co do tego ostatniego, to myli się gruntownie - zauważyła trzeźwo Adeline.

- Okropnie ciężko było zatańczyć go tutaj - rzekła Laura.

Dopiero w tej chwili Frances zwróciła uwagę na to, że dziewczyna wygląda na zupełnie wyczerpaną. Nic dziwnego! Laura była pewnie półżywa, gdy przyprowadziła tutaj spod Bolton Castle tego wysokiego, silnie zbudowanego mężczyznę, cały czas go podpierając.

- Uwiesił się mojego ramienia, z każdym krokiem wydawał mi się cięższy. Czuł się coraz gorzej. Gorączka rosła, zaczął mówić w jakimś obcym języku. Czasami upadał i wtedy ledwo mogłam postawić go z powrotem na nogi. - Na wspomnienie wielogodzinnych mąk Laurze stanęły łzy w oczach. - Był tak potwornie ciężki! A poza tym ciągle myślałam, że może umrzeć gdzieś pośrodku pastwiska i wtedy ja będę winna, bo nie sprowadziłam jednak lekarza. Wydawało mi się jednak, że wpadł w panikę, kiedy wspomniałam o lekarzu, więc...

Bezradnie podniosła ręce i opuściła je z powrotem.

- Zrobiłaś wszystko jak należy - powiedziała Frances - i muszę przyznać, Lauro, że jestem z ciebie dumna. Zatańczyć ciężko ранego mężczyznę spod Bolton Castle aż tutaj!

Nie znam nikogo, kto by nie ustał po drodze!

Laura zarumieniła się ze szczęścia. Zażenowana zaczęła skubać brzeg sukienki.

- Prawdopodobnie ma wszelkie powody po temu, żeby się ukrywać - mruknęła Frances.

Victoria popatrzyła na nią.

- Tylko dlatego, że jest Niemcem? Przecież mógłby też być uciekinierem...

Frances pokręciła głową.

- Kryje się za tym coś więcej. Ktoś, kto ukrywa się z tak poważną raną w pomieszczeniu dla owiec, zamiast szukać pomocy, musi mieć jakiś powód do obaw. W dodatku ma przy sobie załadowany pistolet. To nie jest nieszkodliwy uciekinier.

- Sądysz, że on jest... nazistą? - spytała Victoria, szeroko otwierając oczy.

Frances wzruszyła ramionami.

- Zapytamy go, kiedy da się z nim znowu rozmawiać. Myślę, że do tego czasu uszanujemy jego życzenie i nikomu nie będziemy o tym mówić.

- A jeśli nas w nocy pozabija?

Przypuszczalnie Victoria widziała już siebie w kałuży własnej krwi.

- Jak można opowiadać takie bzdury! - zdenerwowała się Adeline. - W tej chwili nie potrafiłby skrzywdzić nawet muchy! Oczyszczę mu tę ranę i zaparzę ziół na obniżenie gorączki.

I zaaferowana śpiesznie opuściła pokój.

- Przede wszystkim otworzymy z powrotem drzwi wejściowe - oświadczyła Frances - bo inaczej każdy natychmiast zauważy, że coś jest tutaj nie tak. Ja ukryję teraz tę broń w swoim pokoju, a potem się przebiorę. Podróż była naprawdę męcząca.

Chciała już ruszyć do drzwi, gdy Laura pociągnęła ją nieśmiało za rękaw.

- Jak było w Londynie? - spytała. - Jak... jak się miewa Marjorie?

- Och, myślę, że miewa się dobrze. Wasz ojciec bardzo się ucieszył na jej widok. On...  
- Zawahała się, lecz kiedyś przecież Laura musiała się dowiedzieć, że Hugh ożenił się po raz drugi, równie dobrze mogła to jej powiedzieć od razu. - Wyobraź sobie, że ożenił się po raz drugi!

Laura pozostała z otwartymi ustami.

- C o?

- No tak, my też byliśmy bardzo zaskoczone. Ale w zasadzie to nic złego. Marjorie jest w wieku, w którym dziewczyna potrzebuje kontaktu z inną kobietą.

- Jaka ona jest?

- Kto?

- Ta nowa... żona taty.

Frances zdecydowała się na miłosierne kłamstwo.

- Sympatyczna. Prosta, miła kobieta.

Laura popatrzyła na nią jeszcze przez chwilę, po czym wybiegła z pokoju. Dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami.

- Nie sądzisz, że można było powiedzieć jej to w oględniejszy sposób? - spytała Victoria.

- Wtedy musiałabym ją najpierw okłamać, a później i tak powiedzieć jej prawdę. I tak już dość nałgałam. Żona Hugh Selleya to flądra, osoba z marginesu społecznego. Była przerażona pojawieniem się Marjorie. Jestem prawie pewna, że będą drzeć koty, ale Marjorie nie chciała inaczej.

- A tobie to jest na rękę.

- Owszem - potwierdziła chłodno Frances. - Jest mi to na rękę. Nie jest chyba tajemnicą, że Marjorie i ja się nie lubiliśmy.

I wyszła z pokoju, zanim Victoria zdążyła coś odpowiedzieć. Pistolet, który trzymała w ręku, był zimny i ciężki. Ukryła go w komodzie głęboko pod stosem bielizny. Kiedy to zrobiła, poczuła się spokojniejsza.

Nieznajomy miał coraz wyższą gorączkę aż do późnego wieczora, mimo różnych tajemniczych ziół, jakie parzyła mu i jakimi poila go Adeline. Nadal mówił chaotycznie i niezrozumiale; nawet Victoria nie potrafiła już niczego przetłumaczyć. Siedziała przez cały czas obok niego i chłodziła mu czoło chustką zmoczoną w zimnej wodzie. Adeline umyła go, oczyściła ranę i założyła opatrunek. Uczesała mu włosy i ubrała go w piżamę po Charlesie. Nie wyglądał już na tak bardzo zaniedbanego, ale jego stan nadal był bardzo poważny.

- Jeśli gorączka nie spadnie do jutra, wezwiemy jednak lekarza - oświadczyła Frances.

- Bez względu na to, co się stanie.

- A co miałyby się zdarzyć? - spytała Victoria.

- Nie wiem. Tak bardzo się bał, więc może jest szpiegiem. Nie mam pojęcia, co się z takimi robi.

- Wiesz się - podpowiedziała Adeline, która weszła właśnie do pokoju, niosąc świeżą wodę.

- W takim razie nie możemy wezwać lekarza! - zawołała Victoria. - Nie możemy przecież dopuścić do tego, żeby go powieszono!

- Nagle taka współczująca? Jeszcze niedawno podejrzewałaś, że to nazista i w nocy pozabija nas w łóżkach.

- Ale może to nie nazista.

- To Niemiec - powiedziała Frances. - Przypuszczalnie przebywający w Anglii z wrogą misją. Pracuje dla Hitlera. Nie powinniśmy za bardzo się nad nim litować.

- A może to jest ktoś taki jak ten... Jak on się nazywał? Rudolf Hess - podsunęła Victoria. - Może i on wylądował tutaj awaryjnie i chce nawiązać kontakt z naszym rządem. Rudolfa Hessa też nie powieszono. Wzięto go tylko do niewoli.

- Tak czy owak, na pewno nie umrze na moich rękach, tyle jest pewne - zauważyła rezolutnie Adeline, zbliżając się do łóżka. - A teraz zróbcie mi miejsce! Chcę przyjrzeć się jeszcze raz jego nodze.

Noga pod opatrunkiem wyglądała gorzej, rana ropiała jeszcze mocniej niż po południu.

- Podejrzewam, że może to być rana postrzałowa - rzekła Adeline. - A jeśli tak jest, to kula tkwi jeszcze w nodze. I trzeba ją wyciągnąć, bo w przeciwnym razie...

Nie dokończyła tego zdania, ale dla obu pozostałych kobiet było jasne, że sytuacja nieznajomego będzie kiepska, jeśli kula pozostanie w nodze.

Frances podniosła się zdecydowanym ruchem.

- Jadę do Aysgarth po lekarza. Musimy...

- Nie! - zaprotestowała Victoria.

- Co nagle, to po diable! - napomniała równocześnie Adeline.

- Powinniśmy dać mu okazję, żeby nam wszystko wyjaśnił - dodała Victoria.

Frances wskazała jęczącego mężczyznę.

- Czarno to widzę. Umrze prawdopodobnie dziś w nocy!

- Musimy wyciągnąć kulę - powtórzyła Adeline.

Obie z Victorią popatrzyły na Frances.

- O, nie! - Frances uniosła ręce w odmownym geście. - Nie potrafię czegoś takiego! I tego nie zrobię!

- Przecież pracowałaś w lazarecie we Francji - przypomniała Victoria. - Musiałaś widzieć dziesiątki takich operacji!

- Owszem, w i d z i e ć. Ale sama ich nie wykonywałam.

- Tam przecież też odbywało się to w najprymitywniejszych warunkach - powiedziała Adeline. - W każdym razie tak pani zawsze opowiadała. Nie mieli tam do dyspozycji lepszych narzędzi niż my tutaj. A warunki higieniczne na pewno były gorsze.



- Ale to byli lekarze! Oni przynajmniej wiedzieli, co robią. Przecież ja nie mam w ogóle pojęcia, jak to się robi!

Popatrzyła na mężczyznę, którego policzki płonęły.

- Mogłabym go przy tym uśmiercić!

- Moim zdaniem - rzekła Adeline - on nie ma w zasadzie nic do stracenia.

- Sprowadzę lekarza - powtórzyła jeszcze raz Frances, a w chwilę później przeklęła głośno, bo wiedziała, że nie zdobędzie się na to, by skazać go na niepewny los.

Około drugiej w nocy zaczęły operować, choć pojęcie „operacja” w tych warunkach brzmiało raczej cynicznie. Wysterylizowały nóż we wrzątku i przygotowały całe stosy ręczników i opatrunków. Victoria musiała trzymać lampę nad łóżkiem, gdyż ani lampa pod sufitem, ani lampka na nocnym stoliku nie dawały dość światła. Victoria była tak blada, że Frances obawiała się, iż w każdej chwili może się przewrócić. Nie mogła jednak tak po prostu wyprawić jej z pokoju, bo Adeline potrzebowała jej potem, żeby trzymała rozchylone brzegi rany. Położyły pacjentowi na ustach i nosie nasączoną eterem chusteczkę. Kiedy zapadł w niespokojny sen, na wszelki wypadek przywiązały mu jednak pasami do łóżka ręce i nogi. Zraniona noga została podwiązana tuż poniżej biodra, żeby maksymalnie ograniczyć utratę krwi.

Butelka z eterem stała w zasięgu ręki; Adeline miała za zadanie podsunąć mu natychmiast pod nos świeżo nasączoną chusteczkę, gdyby zaczynał się budzić.

Laurze nie wspomniały o swoim zamierzeniu. Leżała teraz w swoim łóżku i spała.

„Nie potrzebujemy tutaj rozhisteryzowanej młodej dziewczyny”, stwierdziła Frances, ale tymczasem ogarnęły ją wątpliwości, czy nawet Laura nie byłaby bardziej opanowana od Victorii.

- Powinniśmy zaczynać - naciskała Adeline.

Frances pomyślała o wielu źrebiętach, którym pomogła przyjść na świat, o tym, że niejednokrotnie asystowała przy opatrywaniu zranionych owiec.

Wyobraź sobie, że to owca lub koń, pomyślała, po czym zamknęła na sekundę oczy, otworzyła je, przystawiła nóż i wykonała zdecydowane głębokie cięcie, ignorując opór, jaki stawiała jędrna młoda tkanka.

Znieczulenie okazało się za słabe. Pacjent wrzasnął tak przeraźliwie, że wystraszone psy na dole głośno zaskomlały, jakiś ptak na zewnątrz zaczął wydawać piskliwe ostrzegawcze okrzyki, a niedomyślająca się niczego Laura oczywiście się obudziła, przyszła do nich boso w nocnej koszuli i rozszerzonymi ze strachu oczyma patrzyła na przejmującą zgrozą scenę.

- Co wy tutaj robicie? - zawołała. - Przecież go zabijecie!

- Wynoś się! - ofuknęła ją Frances. I odwracając się do Adeline, syknęła: - Eter! Więcej eteru, do cholery!

Laura uciekła z pokoju. Pacjent wił się i jęczał jak zdychające zwierzę. Adeline naląła na chustkę eteru i zdecydowanym ruchem przycisnęła mu ją do twarzy. Ranny wydał bulgoczący dźwięk i zapadł w głębokie omdlenie.

- Teraz szybko! - rzekła Adeline.

Gołymi rękami rozchyliła płaty skóry. Na łóżko buchnął strumień krwi.

Frances zaczęła szukać kuli, czyli dość gorączkowo grzebać w ranie. Zastanawiała się, jak człowiek może przeżyć taki zabieg. Mężczyzna w ogóle przestał się ruszać. Victoria drżała jak osika, światło lampy, którą trzymała, migotało dziko na wszystkie strony.

- Chyba muszę wymiotować - wydusiła z siebie.

- Mam ją! - krzyknęła Frances.

Triumfalnym gestem podniosła w górę pomazany krwią kawałek ołowiu. Victoria upuściła lampę i wymiotowała na fotel stojący przy oknie, lecz Adeline skinęła Frances z uznaniem.

- Dobra robota - powiedziała.

Nazywał się Peter Stein i był ze Stralsundu w Meklemburgii. Później dowiedziały się, że pochodzi z jednej z najbogatszych rodzin kupieckich w tamtejszej okolicy. Miał dwadzieścia dziewięć lat i był porucznikiem Luftwaffe. Wraz z dwoma kolegami zeskoczył na spadochronie nad północną Anglią. Od ponad dziesięciu dni przedzierał się, ciężko ranny, przez lasy.

Opowiedział to wszystko płynną angielszczyzną bez obcego akcentu dwa dni po owej dyletanckiej operacji, której omal nie przypłacił życiem, po której jednak, bo w cudowny sposób ją przeżył, dochodził do siebie w zadziwiająco szybkim tempie. Poprosił o przybory do golenia i o swoje ubranie.

- Coś do golenia może pan dostać - odparła Adeline - ale pańskie rzeczy wyrzuciłam. To były same strzępy.

Wyglądał na trochę poirytowanego.

- A mogę dostać coś innego do ubrania?

- Później. Na razie zostanie pan w łóżku. Miał pan bardzo wysoką gorączkę, młody człowieku. Jest pan bardziej osłabiony, niż pan sądzi.

Ogolił się, siedząc w łóżku. Victoria trzymała mu lusterko. Po tym wysiłku był zlany

potem i zupełnie wyczerpany.

- Rzeczywiście, całkiem opadłem z sił - stwierdził ze zdumieniem i złością, oddychając ciężko. - W ogóle nie znam siebie od tej strony!

- Był pan bliżej śmierci niż życia - podsunęła pod rozwagę Victoria. - Stracił pan mnóstwo krwi i miał naprawdę straszną gorączkę. Ale dojdzie pan do siebie!

Oparł się o poduszki. Teraz, kiedy zniknął zarost, widać było, jak bardzo zapadły mu się policzki i jak ostro rysują się kości jarzmowe. Ale piękna letnia pogoda, jaka panowała w ostatnich tygodniach, sprawiła, że był mocno opalony i dzięki temu nie wyglądał na tak chorego i osłabionego, jakim był w rzeczywistości.

- Prawdopodobnie pora, żebym się przedstawił - powiedział.

Wszystkie zebrały się w pokoju: Frances, Victoria, Laura i Adeline.

- Wiemy, że jest pan Niemcem - rzekła Frances.

- Podejrzewam, że mnóstwo gadałem - stwierdził z rezygnacją.

Następnie podał nazwisko i stopień służbowy oraz opowiedział o tym, jak wyskoczył ze spadochronem.

Frances zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Niekoniecznie powszechnie przyjęty sposób podróżowania do Anglii, prawda?

- Owszem - przyznał i zamilkł.

- Kiedy pana znalazłam - powiedziała Laura - powtarzał pan bez przerwy, żebym nie sprowadzała lekarza. Dlaczego?

Peter Stein objął niemal czułym spojrzeniem jej tęgą, niezbyt okazałą postać.

- To pani? Pani była tą dzielną młodą kobietą, która zataszczyła mnie do domu taki kawał drogi?

Laura zarumieniła się. Nigdy dotąd nikt nie określił jej mianem „młodej kobiety”. Zmieszana przytaknęła tylko i spuściła głowę. Peter uśmiechnął się. Zaraz jednak spoważniał.

- Nie będę paniom mydlił oczu - oświadczył. - Moich kolegów i mnie zrzucono na spadochronach z zadaniem zdobycia informacji wojskowych. Przede wszystkim w dziedzinie marynarki.

- Scarborough - powiedziała Frances.

- Tak. To był nasz cel. Niestety... wszystko poszło nie tak.

Wskazał swoją zranioną nogę.

- Ale to się nie stało podczas skoku - stwierdziła Victoria. - Moja siostra wyjęła panu z nogi kulę.

Z zaciekawieniem popatrzył na Frances.

- Jest pani lekarką?

- Nie. Kiedyś byłam pielęgniarką. Ale ktoś musiał to zrobić, w przeciwnym razie by pan umarł. A ponieważ nie chcieliśmy sprowadzać lekarza...

- Dość szybko musiały panie stwierdzić, że jestem Niemcem. A więc wrogiem Anglii. Dlaczego mimo to nie wezwały panie ani lekarza, ani policji?

- Chcieliśmy najpierw wysłuchać, co pan ma do powiedzenia - odrzekła Frances. - A poza tym...

- Tak?

- Był pan zupełnie bezbronny. Uznałyśmy, że w tym stanie nie wypada skazywać pana na niepewny los.

Peter powoli pokiwał głową.

- Rozumiem. Problem w tym, co będzie teraz.

- Skąd pan ma tę ranę postrzałową? - odpowiedziała pytaniem Frances.

- Wskoczyliśmy w środku nocy. Niespełna dwa tygodnie temu. Było nas trzech. Ja i jeszcze jeden wylądowaliśmy bez szwanku, ale nasz kolega miał pecha, upadł nieszczęśliwie i złamał sobie nogę. Naturalnie nie mogliśmy go tak zostawić, więc zanieśliśmy go do najbliższej wioski. Byliśmy zaopatrzeni w angielskie paszporty i mieliśmy nadzieję, że nikt nie odkryje naszej prawdziwej tożsamości. - Skrzywił twarz w geście ubolewania. - Niewiele brakowało, żeby nam się powiodło. Ludzie w wiosce byli bardzo nieufni, ale nie podejrzewali, że jesteśmy Niemcami. Nasz kolega znalazł schronienie u pastora. My dwaj powinniśmy byli natychmiast się ulotnić, ale byliśmy wykończeni i przyjęliśmy propozycję jednego z chłopów, żeby przenocować u niego w stodole. Tylko się domyślałam, co w tym czasie wydarzyło się u pastora. Najwidoczniej pastor chciał jeszcze raz obejrzeć dokumenty swego gościa, a temu wówczas puściły nerwy. Czuł się bardzo kiepsko i po prostu stracił głowę. Wyjawiał pastorowi swoją tożsamość, bo jak przypuszczam, miał nadzieję, że duchowny go nie zdradzi. Ale pastor podbuntował całą wioskę. I wszyscy ruszyli od razu do tej stodoły, żeby schwytać nas dwóch, w pełni sprawnych. Na szczęście nie spałem, więc usłyszałem, jak nadchodzą. Mimo to na ucieczkę było już za późno. Zaczęli do nas strzelać. Mój kolega został trafiony, zginął na miejscu. Ja mogłem tylko spróbować ucieczki, ostrzeliwując się.

Zrobił przerwę. Jego oczy zdradzały, że ma znowu przed sobą upiorną scenerię tamtej nocy: stodoła, ciemność, pochodnie, które pojawiły się nie wiadomo skąd, rozjuszeni chłopci z żądzą krwi w oczach. Mężczyzna obok niego osunął się martwy na ziemię. A on wiedział, że jeśli schwytają go żywcem, to go powieszają. Zbyt wielka była w Anglii nienawiść do

Niemców.

- Kiedy się pan ostrzeliwał podczas ucieczki - zapytała Frances - zranił pan kogoś?

Popatrzył na nią.

- Zabiłem kogoś.

W pokoju zapanowało grobowe milczenie: wszyscy zdawali sobie sprawę z konsekwencji, jakie wynikają z tego faktu.

- Jest pan pewien? - spytała w końcu Laura.

- Trafiłem go w głowę - odparł Peter - i widziałem, jak... no, wszystko jedno, co widziałem. Na pewno nie żyje.

- To była obrona konieczna - rzekła Victoria.

Uśmiechnął się.

- Niemiecki szpieg i obrona konieczna? Nie. Jeśli mnie schwytają, zostanę skazany za zabójstwo.

- O cholera! - zakląła Frances.

Posłał jej długie spojrzenie.

- Nawiasem mówiąc, miałem jeszcze przy sobie broń...

Frances odwzajemniła jego spojrzenie.

- Zabrałam ją. Uważam, że na razie tak będzie lepiej.

- Pewnie muszę to zaakceptować - powiedział Peter, lecz widać było po nim, że nienawidzi sytuacji, w jakiej się znalazł: ranny, zmuszony do leżenia w łóżku, niezdolny chodzić ani stać o własnych siłach, a w dodatku nieuzbrojony, niebędący w stanie się bronić.

- Broń miał pan jeszcze przy sobie - rzekła Frances - ale dlaczego nie miał pan dokumentów?

- Pewnie je zgubiłem. Ostatecznie ja też zostałem trafiony i upadłem na ziemię. Prawdopodobnie wtedy wysunęły mi się z kieszeni.

- W takim razie mają pańskie zdjęcie - wywnioskowała Frances.

- Owszem. - Skinął głową. - Co powinno bardzo ułatwić poszukiwanie mojej osoby.

- To cud, że udało się panu uciec - mruknęła Adeline.

W jednej chwili stał się całkiem poważny.

- Tak. Gęste zarośla. Ciemność. I pewnie Bóg miał w planie pozwolić mi pożyć jeszcze chwilę. - Popatrzył po kolei na kobiety stojące kręgiem wokół jego łóżka. - Obawiam się, że właśnie przysporzyłem paniom ogromnych kłopotów.

- Musimy szybko zdecydować, co robimy - rzekła Frances - bo z każdym upływającym

dniem same wplątujemy się coraz bardziej w tę historię. I na końcu wszystkie wylądujemy przed sędzią.

Posiedzenie kryzysowe odbywało się w salonie. Peter spał na górze. Rozmowa zmęczyła go ponad wszelką miarę. W jednej chwili zapadł w głęboki sen.

Frances pozwoliła sobie najpierw na podwójną whisky. Była zła.

Zupełnie niepotrzebny problem, pomyślała. Dlaczego Laura musiała znaleźć i przyprowadzić tutaj tego mężczyznę?

Wydawało się, że Laura, która siedziała przy oknie z nieszczęśliwą miną, odgaduje jej myśli.

- Nie mogłam tak po prostu zostawić go tam - mruknęła przygnębiona.

- Oczywiście, że nie mogłaś - potwierdziła natychmiast Adeline - postąpiłaś bardzo słusznie.

- Jesteśmy z ciebie dumne - dodała Victoria.

- Ale mamy wielki problem - podsumowała Frances. - Ukrywamy człowieka, który popełnił morderstwo i który przypuszczalnie jest już poszukiwany w całym kraju.

- To właściwie nie było morderstwo - zaprotestowała Victoria i powtórzyła to, co powiedziała już przy łóżku Petera. - To była obrona konieczna!

- Ale nie w tej sytuacji - poprawiła ją Frances - ani w zaistniałych okolicznościach. Przecież przybył do Anglii jako szpieg, a na dodatek zabił angielskiego obywatela, żeby uniknąć schwytania.

- Ci ludzie chcieli go złapać - nie zgodziła się z nią Victoria. - Chcieli go zlinczować.

- On tak uważa.

- Zastrzelili przecież jego przyjaciela!

- Victorio, to będzie wszystkim najzupełniej obojętne. On miał szpiegować na rzecz nazistów! Dlatego tutaj przybył. Nikt nie będzie zainteresowany stosowaniem wobec niego okoliczności łagodzących. Bo cała ta wojna jest zbyt okrutna, żeby je stosować. I zbyt wielu Anglików poległo. I zbyt okropne rzeczy robią Niemcy!

- On też jest przecież częścią systemu i nie może tak po prostu od niego uciec - zauważyła Victoria.

Frances uznała, że to zadziwiająca myśl, zważywszy na to, że poza tym Victoria pływała zazwyczaj po powierzchni.

- Ja tam nie wiem, jak pani na to patrzy - rzekła Adeline - ale ja nie potrafię tak po prostu wydać tego młodego chłopca w ręce jego oprawców. To przecież jeszcze prawie dziecko!

- Dla ciebie, Adeline, dzieckiem jest każdy poniżej sześćdziesiątki - zauważyła Frances. - To „dziecko” na pewno nie jest naiwne i niedoświadczone, w przeciwnym razie nie wybrano by go do tej akcji.

- Podkarmimy go, a potem niech znika - zaproponowała Adeline. - Postawimy go z powrotem na nogi, ale dalej będzie musiał sam sobie radzić.

- To niemożliwe! - zaprotestowała Laura. - Nie ma dokumentów, nie wydostanie się z Anglii. A prawdopodobnie szukają go na podstawie jego zdjęcia. Nie będzie mógł nigdzie pójść, kiedy go odprawimy. Jak on ma żyć?

- To niekoniecznie nasz problem - rzekła Frances.

Laura i Victoria popatrzyły na nią z oburzeniem.

- Może odłożymy tę sprawę do czasu, kiedy wróci do zdrowia - zaproponowała Adeline. - Wtedy będziemy mogły też wysłuchać jego zdania. Czy ustalamy, że nie podejmujemy na razie żadnych kroków i nikomu o nim nie wspominamy?

- Tak - odpowiedziały niemal równocześnie Victoria i Laura.

- Tak - przyłączyła się z wahaniem Frances. Dopiła swoją whisky i wstała. - Najpóźniej od tej chwili stajemy się współwinne. Wszystkie musicie mieć pełną jasność, że może się to dla nas bardzo źle skończyć. Możemy wylądować w więzieniu, a w najgorszym razie stracimy farmę.

Laura zbladła.

Jeszcze w trakcie mówienia Frances uznała w duchu, że pewnie oszalała. Dlaczego robi coś tak z w a r i o w a n e g o?

- Nie wolno wspominać o tym nikomu - ciągnęła z naciskiem. - Absolutnie nikomu! Lauro, żeby nie przyszło ci do głowy napisać o tym w liście do Marjorie!

- Oczywiście, że nie przyjdzie! - odparła Laura urażonym tonem.

Frances odetchnęła głęboko.

- Ta historia w taki czy inny sposób wyjdzie nam bokiem - powiedziała Frances tknięta przecuciem, a w następnej chwili pomyślała: Szczęście, że przynajmniej nie ma Marjorie! Gdyby ona jeszcze tutaj była, musiałabym spisać testament!

Przez cały wrzesień jego zdjęcie wciąż pojawiała się w gazetach. Nie ulegało wątpliwości, że to on i każdy mógłby go szybko zidentyfikować. Jego dokumenty, jak pisano, opiewały na nazwisko Frederic Armstrong, ale prawdopodobnie już dawno przybrał nową tożsamość. Został ranny podczas wymiany strzałów i przypuszczalnie korzystał z pomocy lekarskiej. Jest Niemcem wysłanym do Anglii w celach szpiegowskich. Żeby uciec, zastrzelił

osiemnastoletniego syna pewnego chłopa.

- Osiemnastolatek! - powiedziała Frances. - To nie upraszcza sprawy!

- Wolałbym, żeby to się nie stało - odparł Peter.

Doszedł już do siebie, odzyskał siły i zdrowie. Uprzejmie i dyskretnie starał się być pożyteczny w sprawach domowych i pomagać kobietom, gdzie tylko mógł. Naprawił balustradę schodów, pomalował okna, umocował luźne deski w podłodze na pierwszym piętrze, przetkał odpływ w łazience.

Frances była zafascynowana jego zręcznością.

- Pochodzi pan z rodziny, w której do takich rzeczy na pewno jest służba - zauważyła.

- Skąd pan to wszystko umie?

Właśnie zbił z desek regał, którego Adeline zażyczyła sobie w kuchni. Wyprostował się i patrzył na swoje dzieło.

- Mój ojciec miał kilka żelaznych zasad - wyjaśnił. - Jedna z nich brzmiała, że nawet jeśli ma się służbę do wszystkiego, koniecznie trzeba być w stanie zrobić te rzeczy samemu. Od małego przekazywał moim braciom i mnie wszelkie umiejętności rzemieślnicze, jakie sam posiadał, a było tego niemało.

- Było?

- Mój ojciec nie żyje. Od 1938 roku. Rak płuc.

- A pańscy bracia? Ilu ich pan ma?

- Miałem dwóch. Starszy zginął pod Moskwą. Młodszy nie wrócił z Francji.

- W takim razie pańska matka ma tylko pana?

- Mam jeszcze młodszą siostrę. W wieku Laury. W tej chwili tylko ona pozostała matce.

Odłożył młotek. Stali w przylegającej do kuchni małej komórce, w której Peter zbijał regał. Przez małe okienka wpadało niewiele światła. Był wieczór, na zewnątrz kończył się jeden z ostatnich ciepłych dni roku.

Popatrzyła na jego silne opalone ramiona, potem jej wzrok powędrował w górę, ku jego twarzy. Odkąd przybył, jego policzki stały się trochę pełniejsze. Jego oczy, jak już zaobserwowała, czasami błyszczały, a wargi rozciągały się w rozbrajającym uśmiechu. Często spadał mu na czoło ciemny kosmyk; miał zwyczaj odrzucania go niezwykle gwałtownie niecierpliwym ruchem dłoni. Jego dłonie...

Zmusiła się do tego, aby nie myśleć o jego dłoniach. I tak już irytowało ją, że tak świadomie odbiera jego atrakcyjną powierzchowność.

Jesteś już w takim wieku, że mogłabyś być jego matką, powiedziała sobie surowo.



- Peter, taki sympatyczny z pana chłopak - rzekła, doborem słów celowo podkreślając różnicę wieku między nimi. - Jakoś nie potrafię pogodzić tego z tym, że...

- Że jestem Niemcem?

- W zasadzie nie powinniśmy się temu dziwić, prawda? Dwa narody toczą ze sobą wojnę i nagle trzeba się oswoić z pojęciem wroga. Ale potem spotyka się kogoś z tego drugiego narodu i stwierdza, że to zupełnie normalny człowiek i można się z nim bez trudu porozumieć. Przez to wszystko staje się takie absurdalne!

- Na dobrą sprawę wojna też jest absurdalna.

- Ale tę wojnę wszczęli naziści, a pan...

- Nie jestem nazistą - oświadczył. - Nie jestem w partii.

- Walczy pan w imię ideologii tych ludzi. Dwaj pańscy bracia nawet za nią zginęli. Służy pan nazistom, a w takim wypadku nie ma już wielkiej różnicy, czy jest pan jednym z nich, czy nie jest.

- Służę swojemu krajowi. A Niemcy, czy tego chcę, czy nie, są moim krajem. W jakimś sensie kraj i jego mieszkańcy przynależą do siebie zarówno w dobrych czasach, jak i złych. Nie można tak po prostu trzymać się z daleka.

- Nawet wtedy gdy... gdy „wielki Führer” rozkazuje rzeczy, które mają doprowadzić do zguby pół świata?

Trochę ociężałe usiadł na jakiejś skrzynce. Po tym, jak wyciągnął przed siebie prawą nogę, Frances domyśliła się, że w dalszym ciągu odczuwa lekki ból.

- Patrzy pani na sprawę z punktu widzenia kogoś z zewnątrz - powiedział. - Co jest zresztą zupełnie naturalne. Ale ja jestem w to wplątany. Trzymanie się z daleka od wojny - o ile byłoby w ogóle możliwe - oznaczałoby dla mnie w pierwszej kolejności wypowiedzenie posłuszeństwa Führerowi. Oznaczałoby zostawienie innych na lodzie. Pozostawanie samemu w bezpiecznym miejscu, podczas gdy inni mieliby nadstawiać karku. Bracia, przyjaciele... oni mieliby umierać w okopach, a ja siedzieć w domu jak u Pana Boga za piecem?

- Pan robi więcej, niż pan musi. Ta wyprawa do Anglii...

- Ja też próbuję zapomnieć o paru sprawach - przerwał jej prawie szorstko. - Uporać się z kilkoma rzeczami.

Wiedziała, że mówi o swoich braciach.

- Czasami - rzekł cicho - całe życie wydaje mi się jednym gorzkim fatum. Człowiek wikła się ciągle i coraz bardziej.

W jego oczach dostrzegła smutek, na który był właściwie za młody.

- Tak - powiedział. - Taka jest natura fatum. Nie można przed nim uciec. - Nagle

popatrzył jej w oczy. - Ja też w pewnym sensie jestem dla pani takim fatum, nieprawdaż? Dla was wszystkich. Jestem pewien, że wolałaby pani, aby tamtego pierwszego wrzeźnia Laura nie znalazła mnie w tej owczarni i nie przyprowadziła tutaj!

- Co się stało, to się nie odstanie. Nie można zostawić człowieka w pomieszczeniu dla owiec i pozwolić mu umrzeć. Nie miałyśmy wyboru, a więc nie musimy tego roztrząsać.

- Mogła mnie pani wydać od razu.

- Nie zrobiliśmy tego, a teraz i tak byłoby na to za późno. Byleby tylko cała sprawa nie wyszła na jaw.

- Boi się pani!

To było stwierdzenie, nie pytanie, i Frances skinęła głową, bo wypieranie się strachu wydało jej się niedorzeczne.

- Czasami tak. Czasami też po prostu nie myślę o tym, co może się wydarzyć. Ważne, żeby wszyscy trzymali język za zębami, a sądzę, że będą trzymać. - Zastanowiła się chwilę, po czym ciągnęła dalej: - Najbardziej martwiłam się o Laure. Po niej można było spodziewać się tego, że wyjawi wszystko siostrze w jakimś liście. A ta zaszkodziłaby mi z największą przyjemnością.

Peter uniósł brew.

- Naprawdę?

- Nienawidzi mnie. Nie mam pojęcia dlaczego. W przeddzień pańskiego pojawienia się tutaj wróciła do Londynu do swego ojca. Gdyby nie to, ukrywanie pana w ogóle nie wchodziłoby w rachubę. Ona na pewno by nas zdradziła.

- Wydaje mi się, że między wami wszystkimi kipi mnóstwo emocji.

- Tak pan sądzi?

- No cóż... Naturalnie nie chcę się wtrącać, ale uważam, że można wyczuć maksymalne napięcie pomiędzy panią a pani siostrą. Mam wrażenie, że do wybuchu wystarczyłaby przysłowiowa iskra.

- Pewnie wie pan już o nas to i owo?

- Victoria opowiedziała mi, że jej były mąż zamierza się wkrótce ożenić po raz drugi i że ona bardzo cierpi z tego powodu.

- Naprawdę? Wygląda na to, że ma do pana wielkie zaufanie!

- Jest jej źle. Mam wrażenie, że ciągle szuka człowieka, któremu może się zwierzyć.

A wówczas wybiera akurat niemieckiego szpiega ukrywającego się u nas, pomyślała Frances. Życie chadza często naprawdę dziwnymi drogami.

- Cztery kobiety, jeszcze kilka tygodni temu nawet pięć, mieszkające pod jednym

dachem na wiejskim ustroniu i stykające się na co dzień ze sobą - powiedziała w zamyśleniu.  
- To rodzi przypuszczalnie ciągłe konflikty.

Pokiwał głową, a wówczas po jego minie poznała, że wszystkie cztery już nieraz zaprzętały jego myśli.

A potem nagle pomyślała: Cztery kobiety na takim odludziu, to faktycznie oznacza mnóstwo punktów zapalnych - zwłaszcza gdy na dodatek pojawi się mężczyzna.

Trzydziestego września John i Marguerite wzięli ślub. Trwała wojna i dla obojga było to drugie małżeństwo, toteż po ceremonii ślubnej odbyło się tylko małe przyjęcie. Także do Westhill dotarło zaproszenie; pomimo całej pikanterii sytuacji John musiał przestrzegać etykiety. Victoria natychmiast oświadczyła, że oczywiście nie pójdzie. Nie chciała oglądać ani Johna, ani Marguerite. O tej ostatniej mówiła, że nigdy dotąd nie spotkała takiej zdrajczyni i nie zamierza się jej przyglądać, jak będzie rozkoszować się swoim triumfem.

- Jak możesz ciągle tak przesadzać! - powiedziała Frances. - Poza tym nikt od ciebie nie żąda, żebyś tam szła!

Sama też najchętniej zostałaaby w domu, lecz Marguerite uznałaby to pewnie za dosyć dziwne. Czy John opowiedział jej o epizodzie w kuchni? Jeśli tak, to tym bardziej powinna się zjawić. Do Daleview pojechała więc z Laurą, wdzięczna dziewczynie za towarzystwo.

- Tylko żebyś nie wygadała czegoś o Peterze! - ostrzegła ją jeszcze w samochodzie.

Laura była szczerze urażona.

- Nie jestem taka naiwna, jak pani zawsze sądzi! Najpierw pani uważa, że natychmiast wypaplam wszystko Marjorie, a teraz boi się, że roztrąbię to podczas wesela. Pewnie w dalszym ciągu uważa mnie pani za małą dziewczynkę!

- Nikt nie uważa cię za małą dziewczynkę! - Frances westchnęła. Ostatnio Laura wydawała jej się coraz bardziej drażliwa. - Mówię to tylko dlatego, że zdaję sobie sprawę, iż sama muszę bardzo uważać. Ostatnimi czasy Peter stał się niemal... członkiem rodziny, nie sądzisz? A w takiej sytuacji łatwo może się zdarzyć, że któraś z nas mimo woli wymieni jego imię.

To wyjaśnienie udobruchało chyba trochę Laurę.

- Frances... ale on nie jest nazistą, prawda? - zapytała po kilku minutach milczenia.

- Nie jest - odparła Frances, choć sama niezupełnie była pewna, kiedy można kogoś określić mianem nazisty - po prostu jest żołnierzem, który walczy za swój kraj.

- I szpieguje - dodała z ciężkim sercem Laura.

Frances popatrzyła na nią.

- Dla mnie to też problem - przyznała. - To bardzo trudne. Jest miły i chętny do pomocy. A poza tym... bardzo przystojny, prawda?

Laura zrobiła się czerwona jak indyk.

Patrzcie no, pomyślała Frances.

W Daleview po raz drugi w ciągu trzydziestu lat była świadkiem, jak John Leigh składa innej kobiecie przysięgę małżeńską. Marguerite ubrana była w kostium barwy piaskowej i kapelusz z woalką zasłaniającą twarz. Mimo że miała buty na wysokich obcasach, sięgała Johnowi tuż powyżej ramienia. Nie było jeszcze widać po niej ciąży. Nadal przypominała drobną, pełną wdzięku sylfide.

John wydawał się spięty i skoncentrowany. Choć wcale nie wyglądał na nieprzytomnie zakochanego w Marguerite, odnosił się do niej z szacunkiem i uprzejmością, o jakiej Victoria mogła tylko marzyć.

Sama zaskoczona własnym wewnętrznym przekonaniem, Frances pomyślała: Dobrze im będzie ze sobą. To co ich łączy, przetrwa. John postępuje właściwie.

Podczas obiadu - przy stole zasiadło około dwunastu osób - Frances po raz pierwszy zauważyła świadomie, że Laura prawie nic nie je. Wprawdzie w towarzystwie dziewczyna zawsze starała się nie dać poznać po sobie, że najchętniej zjadłaby wszystko, co tylko znajdowało się w jej zasięgu, ale nigdy nie potrafiła ukryć swej żarłoczności: zawsze pochylała się trochę zbyt nisko nad talerzem, zawsze jadła zbyt szybko, wciąż sprawiała w pewnej mierze wrażenie kogoś, kto nie potrafi się kontrolować. Tym razem wręcz nie śmiała zbliżyć się do swego talerza, pogrzebała tylko w podawanych potrawach, przełknęła najwyżej parę kęsów. Deseru nawet nie tknęła. Frances uzmysłowiła sobie nagle, że Laura nie je nic już od tygodni, a w każdym razie je tak mało, że wystarczyłoby tego dla dziecka. Nie schudła jeszcze od tego w widoczny sposób, ale wyglądała na trochę zabiedzoną.

W drodze powrotnej poruszyła ten temat.

- Rzuciło mi się w oczy, że prawie nic już nie jesz. Nie czujesz się dobrze ostatnimi czasami?

Laura obgryzała nerwowo paznokcie.

- Przeciwnie. Czuję się dobrze.

- Ale nic już ci nie smakuje?

- Przeciwnie. To tylko... pomyślałam sobie... mam teraz szesnaście lat. I może byłaby pora trochę schudnąć.

Budzi się w niej z wolna kobieca próżność, pomyślała Frances. Nie powinno jej to zaszkodzić. Może wówczas poczuje się trochę lepiej we własnej skórze i nie będzie już

krążyć po domu jak chmura gradowa.

- Niezły pomysł - powiedziała na głos - ale zabieraj się do tego powoli, dobrze? Nie jest dobrze dla organizmu, gdy każe mu się zupełnie odwyknąć od pokarmu z dnia na dzień.

- W ogóle nie bywam już głodna. Nie odczuwam nawet potrzeby jedzenia.

Z przygnębieniem popatrzyła po sobie: ogromne ciężkie piersi, wystający brzuch. Gąbczaste uda, które wydawały się rozpluwać pod lekkim materiałem odświeżonej sukienki. Masywne łydki sprawiające wrażenie jeszcze grubszych za sprawą robionych na drutach skarpet i bezkształtnych brązowych butów na nogach. Poza tym jej nogi pokrywało gęste czarne owłosienie.

- Upłynie dużo, bardzo dużo czasu, zanim będę szczupła - rzekła ze smutkiem. - Nic jeszcze nie widać!

- To musi potrwać, Lauro, ale kiedyś dopniesz swego. I wtedy będziesz mogła być z siebie dumna.

Laura wzięła do ręki swoje warkocze i zaczęła nimi wymachiwać.

- Moje włosy też mi się nie podobają. Nie sądzi pani, że mogłabym je ściąć?

Frances przyjrzała się grubej, nieładnej twarzy Laury. Krótkie włosy nie poprawią niczego, ale prawdopodobnie niczego też nie pogorszą. U Laury właściwie nie można było już nic popsuć.

- Naturalnie, możesz to zrobić, Lauro, jak uważasz. Ale zastanów się dobrze. Kiedy nie będziesz miała włosów, niczego nie da się już zmienić.

- Z warkoczami wyglądam jak mała dziewczynka. Chcę, żeby mnie wreszcie traktowano poważnie.

- Przecież wszyscy traktujemy cię poważnie! Ale rozumiem cię, kiedy byłam w twoim wieku, niesamowicie mi się śpieszyło do dorosłości. Później człowiek zauważa, że życie przez to wcale nie staje się lżejsze.

- A więc mogę ściąć włosy?

- Tak. Ale prześpij się jeszcze z tą sprawą.

Zdecydowana mina Laury zdradzała, że nie ma już nic, z czym należałoby się przespać.

Po powrocie zastały w kuchni Adeline, Victorię i Petera, którzy siedzieli przy stole i grali w karty. Frances oczekiwała, że Victoria będzie cała we łzach lub zabarykaduje się w swoim pokoju. Zdziwiła się, że siostra zachowała godną postawę. Była wprawdzie bardzo blada, ale zaskakująco opanowana.

- Jesteście z powrotem - powiedziała. Jej głos brzmiał nieco ochryple.

- Owszem - odparła nieporadnie Frances.

Uważała, że nie wypada opowiadać o szczegółach uroczystości weselnej, więc przez kilka minut panowało przygnębiające milczenie.

W końcu Adeline odzyskała normalny ton głosu, oświadczając:

- Peter nauczył nas niemieckiej gry w karty. Tyle że Victorii i mnie za bardzo to nie wychodzi.

- To zupełnie naturalne, że teraz mam przewagę - rzekł Peter. - Gdybyśmy potem zegrali w brydża, prawdopodobnie byście mnie pokonały.

- Bo Peter chciał też zagrać z nami w brydża - wyjaśniła Victoria. - Potrzebujemy tylko czwartego.

Frances przyjrzała się z zainteresowaniem Peterowi.

- Umie pan grać w brydża? To jest... chciałam powiedzieć, że to przecież typowo angielska gra!

Bardzo poważnie - pewnie dlatego, że wiedział, iż to drażliwy temat - odpowiedział:

- Proszę nie zapominać, że zostałem doskonale wyszkolony, żeby uchodzić tutaj za stuprocentowego Anglika. I nie chodziło przy tym wyłącznie o język. Angielskie życie codzienne, angielski system szkolnictwa, angielskie nawyki i zwyczaje, preferencje, swoiste cechy charakteru, określone sposoby myślenia - tego wszystkiego musiałem się uczyć bardzo intensywnie. Gry karciane, jak brydż, należały jeszcze do najprostszych ćwiczeń.

Przez chwilę wszystkie milczały trochę zmieszane. Co miały powiedzieć, będąc - po raz kolejny - konfrontowane z faktem, że ten sympatyczny młody mężczyzna, który wydawał im się już niemal członkiem rodziny, w dokładnie przemyślany sposób został przygotowany do szpiegowania w Anglii na rzecz Niemców.

W końcu Adeline zapytała:

- Chcielibyście jeszcze coś zjeść?

Frances uniosła ręce w geście przerażenia.

- Ja nie! Na przyjęciu najadłam się tyle, że chyba zaraz pęknę. A ty, Lauro?

- Nie, dziękuję.

Adeline popatrzyła na nią z dezaprobatą.

- Za mało jesz ostatnimi czasy, moja panno. Coś ci dolega?

Laura posłała Frances ostrzegawcze spojrzenie. Naturalnie nie życzyła sobie, żeby jej problemy z figurą były dyskutowane w obecności wszystkich domowników.

- Daj jej spokój, Adeline - poprosiła Frances. - Młode kobiety czasem jedzą, a czasem nie jedzą. Niech robi, jak uważa.

Adeline mruknęła coś pod nosem.

- Proszę się do nas przysiąść, Lauro - rzekł Peter - i zagrać z nami w brydża. To znaczy, jeśli ma pani ochotę.

Laura w jednej chwili spąsowiała na twarzy i wpatrywała się w niego z zachwytem w oczach.

- Ja... nie, ja... chciałabym teraz pójść spać.

- Już teraz? - zdziwiła się Victoria.

- Tak... jestem dosyć zmęczona!

Laura wręcz uciekła z kuchni.

- Czy powiedziałem coś niewłaściwego? - spytał zbaraniały Peter.

Po prostu za bardzo jej się podobasz, pomyślała Frances.

- Nie - odparła. - Dziewczyny w tym wieku... nigdy tak naprawdę nie wiadomo, co się z nimi dzieje.

- Jest bardzo wrażliwa - rzekł Peter. - Zawsze przypomina mi małego ptaszka, który wypadł z gniazda. Nigdy nie spotkałem bardziej samotnego człowieka. Ona chwyta się Westhill rękami i nogami. Jak desperat. O wiele za mocno, zbyt rozpaczliwie. To wszystko tutaj jest jej jedynym oparciem.

Trzy kobiety popatrzyły na niego ze zdumieniem. Nie spodziewały się, że może wyciągnąć tego rodzaju wnioski.

- Laura nie jest samotna - zaprotestowała Frances. - Ma nas!

Popatrzył na nią w zamyśleniu, a jego spojrzenie mówiło: Znasz to przecież. Wiesz, co mam na myśli!

- Istnieje wewnętrzna samotność, która sprawia, że człowiek czuje się samotny także wśród ludzi - powiedział. - Laura cierpi na taką samotność już od dawna. Mam nadzieję, że nie będzie jej ona towarzyszyć przez całe życie.

W jakimś sensie wszystkie poczuwały się trochę do winy. Nigdy nie zastanawiały się należycie nad problemami Laury. Miały wobec dziewczyny więcej obowiązków, a nie tylko zadbać o to, żeby miała dach nad głową i jedzenie w wystarczającej ilości.

I właśnie wyrzuty sumienia skłoniły Frances do tego, żeby następnego dnia pojechać z Laurą do Northallerton, pójść z nią do fryzjera i kupić jej kilka nowych rzeczy do ubrania.

- Nie mogę tego przyjąć - zaprotestowała w pierwszej chwili Laura. - Ma pani przeze mnie wystarczająco wiele wydatków, choć w zasadzie wcale nie jest pani za mnie odpowiedzialna!

- Bzdura. Cieszę się, Lauro, że jesteś u nas, i od czasu do czasu chętnie spełnię jakieś

twoje życzenie. A więc naprawdę chcesz ściąć włosy?

Laura pozostała przy swoim zamiarze. Fryzjer przyjrzał się jej okrągłej twarzy o pyzaty policzkach i próbował jej wyperswadować to życzenie, ale nic nie wskórał. Ostrzygł ją więc na pazia, daremnie starając się nadać jej cienkim włosom jaką taką puszystość.

- Pani włosy są miękkie i cienkie jak włosy niemowlęcia - orzekł. - Prawdopodobnie zawsze będzie pani mieć z nimi problemy. Ale nie da się nic zrobić!

Laura przejrzała się w lustrze. Jej twarz wydawała się jeszcze pełniejsza niż poprzednio. Jednak ona sama, co dziwne, była z siebie zadowolona.

- Teraz wreszcie nie wyglądam już jak uczennica - stwierdziła.

W gazetach przestało się pojawiać zdjęcie Petera, nikt nie zajmował się już tym tematem, lecz one wiedziały, że to jeszcze nie powód, by uznać, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Nie było szans na to, żeby Peter wydostał się z Anglii, tak samo nie mógł ryzykować wyjazdu do jakiejś wioski czy miasta i poszukania sobie pracy.

- W każdej chwili ktoś może pana rozpoznać - ostrzegła Frances. - A nawet jeśli do tego nie dojdzie, jak miałby pan mieszkać i pracować w Anglii bez dokumentów? Jeszcze przez jakiś czas musi się pan ukrywać!

- Ja oszaleję - powiedział. - Przeze mnie grozi wam ciągle niebezpieczeństwo!

- Proszę o tym nie myśleć. Chętnie przechowujemy pana u siebie.

Tak rzeczywiście było: nie potrafiły wręcz wyobrazić sobie życia bez niego. Pomagał, gdzie tylko mógł. Jego wdzięk i wesołość rozjaśniały im ponure dni. Własne troski ukrywał, zawsze starając się okazywać radosną twarz. Tylko czasami Frances widziała, że jest mu ciężko na sercu: kiedy siedział przed radiem i słuchał wiadomości o przebiegu działań wojennych. Jego twarz wydawała się wtedy wąska i szara ze zmartwienia, a na czole tworzyły się dwie pionowe zmarszczki, które go postarzały. Sytuacja Niemców nie wyglądała dobrze. Szczęście wojenne, które było przy nich w pierwszych latach, odwróciło się. Ludność cierpiała podczas nocnych alianckich bombardowań, płonęły miasta, wiele osób zginęło. Na frontach mnożyły się operacje mające osłaniać odwrót. W Stalingradzie, wielkim mieście nad Wołgą, toczyła rozpaczliwy bój cała niemiecka armia.

- Powinni zaprzestać walki - rzekł Peter - i skoncentrować się na tym, żeby wydostać się ze Stalingradu! Ale Hitler znowu będzie się od nich tylko domagał, by wytrzymali za wszelką cenę.

Często krytykował teraz Führera. Kiedyś Frances słyszała, jak mówił do Victorii:

- Sądzę, że pewnego dnia przejdzie do historii ludzkości jako wielki zbrodniarz.



- Może... jeśli teraz zrezygnuje...

- On nie zrezygnuje, Victorio. Taki człowiek jak Hitler się nie poddaje! Im gorzej będzie, tym głośniej będzie krzyczał o ostatecznym zwycięstwie. Prędzej doprowadzi do zguby cały naród, niż zawróci na swojej drodze fanatyzmu.

- Sądzi pan, że to się źle skończy dla Niemiec?

Upłynęła chwila, zanim odpowiedział:

- To się źle skończy - potwierdził. - Sądzę, że to będzie koniec świata.

- Jak to dobrze, że jest pan tutaj bezpieczny - rzekła z zapalem Victoria.

Roześmiał się bez przekonania.

- Ach, Victorio, prawdopodobnie nie rozumie pani tego. To właśnie przez to nie mogę spać po nocach. Tam są moja matka i siostra. Prawdą jest, że to Niemcy chciały tej wojny. To my ponosimy winę. A jednak to jest m ó j k r a j. I ten mój kraj czeka klęska. Nie mogę o tym nie myśleć. A ja siedzę tutaj... i nic nie robię. N i c!

Nastał grudzień i Peter był coraz bardziej zdeprimowany. Jego uprzejmość, jego życzliwość pozostały bez zmian, lecz wydawało się, że coraz trudniej mu okazywać radosną twarz. Często zagrzebywał się w książkach, które stały w salonie, przeważnie dzieła klasyków, i chyba znajdował w nich pewną pociechę. Dwa razy szykował się już do opuszczenia Westhill; powiedział, że jakoś przebije się do Francji, a potem wróci do Niemiec. Ale cztery kobiety tak długo go przekonywały, że w końcu ustąpił. No bo jak, na wszystko na świecie, zamierza przepłynąć się przez kanał La Manche? Statki pasażerskie przecież już nie kursują, choćby z uwagi na zagrożenie ze strony U-Bootów. Statkiem marynarki wojennej? Bez dokumentów?

- I proszę z góry o tym zapomnieć, jeśli zamierza pan przepłynąć na drugi brzeg łodzią rybacką - ostrzegła Frances. - Na morzu panują teraz zimowe sztormy. Jeśli nie zostanie pan zastrzelony, to pan utonie.

Zrozumiał, że Frances ma rację, lecz jego niepokój rósł, zdawał więc sobie sprawę, że nie zdołają go już długo zatrzymać. W pewnym momencie nie zniesie bezczynności, podejmie ryzyko, nawet gdyby miał zginąć, bo wyda mu się to lepsze niż perspektywa spokojnego czekania na koniec wojny na odludnej farmie w północnej Anglii - a według jego ponurych prognoz będzie to koniec tego świata, który zna.

Zbliżało się Boże Narodzenie i wszystkie postanowiły, że urządzią mu szczególnie piękne święta. Opowiadał im o tradycji niemieckiej Wigilii, której nie znano w Anglii, gdzie wręczanie prezentów odbywało się rankiem dwudziestego piątego grudnia. Tym razem już dwudziestego czwartego grudnia ubrały ściętą przez niego małą jodłę, a Adeline ugotowała

święteczną wieczerzę - pomimo racjonowania żywności, które coraz wyraźniej dostrzegało się także na wsi. Zachomikowała wystarczającą ilość ingrediencji na olbrzymi pudding ze śliwkami, naturalnie był też indyk, kilka sałatek i mnóstwo słodczy.

Peter był wzruszony.

- Nie powinniście rezygnować ze swojej tradycji akurat na rzecz zwyczajów niemieckich! - powiedział.

- W dzisiejszy wieczór na pewno myśli pan szczególnie mocno o swojej matce i siostrze - rzekła cicho Victoria. - Chciałyśmy to panu troszkę ułatwić.

Na początku kolacji Frances zaproponowała, żeby tego wieczoru nie słuchać wiadomości; w pewnym momencie zgromadzili się jednak wokół radia. Spiker mówił o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znajdowała się hitlerowska Szósta Armia w Stalingradzie, okrążona w zniszczonym mieście, wystawiona na śmierć z głodu i zimna. Hitler odrzucił możliwość kapitulacji.

- W ten sposób ich zabije, co do jednego - stwierdził Peter ze skamieniałą twarzą.

Nie zauważył, że kosmyk włosów opadł mu znowu na czoło. Wyglądał młodo i wydawało się, że nadzwyczaj łatwo go zranić. Laura patrzyła na niego z takim zachwytem, jakby ukazał się jej Duch Święty.

- Nikt nie pozwoli umrzeć całej armii - zaprotestowała Frances. - Nawet Hitler!

Peter pokręcił głową.

- On nie zawróci z tej drogi. Dostanie amoku.

Płomienie świeczek na choince migotały. Victoria wstała raptownie.

- Dziś nie chcę już słyszeć o wojnie! - zawołała. - Ani o Hitlerze! Zaczniemy wreszcie wręczanie prezentów.

Na dworze padał śnieg, w kominku płonął ogień. Kiedy umilkł głos z radia, na dom zstąpił pokój. Wszyscy siedzieli zgodnie i rozpakowywali prezenty. Victoria podarowała Peterowi książkę.

- Wiersze Roberta Burnsa - przeczytał. - Cudownie. Dziękuję, Victorio!

Victoria była ubrana w czarną aksamitną sukienkę, na której jej jasne włosy połyskiwały niczym płynny miód. Policzki miała czerwone, w ogóle dawno już nie wyglądała tak młodo i nie była tak odprężona.

- To wiersze miłosne - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- A na początku umieściła pani przepiękną dedykację. Naprawdę bardzo się cieszę.

Frances wyciągała szyję, żeby przeczytać dedykację, lecz z odległości nie mogła nic

odszyfrować. Popatrzyła podejrzliwie na siostrę: czy nie za bardzo podobał jej się Peter?

Największe wrażenie wywarła swym prezentem Laura. Zrobiła dla Petera sweter na drutach, obszerny ciepły golf z wełny w kolorze antracytu: czarny z szarym odcieniem o metalicznym połysku. Wszyscy byli zupełnie zaskoczeni, gdyż nikt nie widział Laury z drutami w ręku.

- Kiedy to robiłaś? - spytała Frances.

- Przeważnie w nocy - wyjaśniła Laura. - Po kryjomu w swoim pokoju.

- Jeszcze nikt dotąd nie zrobił dla mnie swetra na drutach - rzekł Peter. - A teraz moja wybawczyni, która uratowała mi życie, robi mi taki prezent! To przezię z pani strony, Lauro!

Podszedł do niej i pocałował ją lekko w policzek. Laura zbladła jak ściana i padła zemdlna na podłogę.

Nastąpiło zamieszanie, wszyscy się wystraszyli, zaczęli potrząsać Laurą, próbując przywrócić ją do przytomności. W końcu Peter wziął ją na ręce i położył na sofie. Tam otworzyła oczy i rozejrzała się zmieszonym wzrokiem dokoła.

- Co się stało? - zapytała.

- Też chcielibyśmy to wiedzieć - odparł Peter; przyglądał się jej z zmartwieniem. - Po prostu nagle upadła pani na podłogę!

- Och! - Usiadła. W dalszym ciągu była trupio blada. Ręce jej drżały. - Prawdopodobnie osłabienie krążenia...

- Peter cię pocałował, a ty straciłaś przytomność - rzekła Victoria - niczym dziewczica w epoce wiktoriańskiej!

- Choć bardzo by mi to pochlebiało, nie sądzę, żeby zemdlała dlatego, że ją pocałowałem - powiedział Peter. Po czym dodał zamyślony: - Bardzo źle pani wygląda, Lauro. Zawsze pani miała takie podkrążone oczy?

Teraz wszyscy przyjrzeni się Laurze uważnie i ta w końcu wybuchnęła płaczem.

- Nie wiem, dlaczego płaczę - wydusiła z siebie. - Mówię szczerze, nie wiem!

- Dziecinko, nie ma w tym przecież nic złego. Czasem płacze się tak po prostu, bez powodu! - Adeline usiadła na brzegu sofy i wzięła Laurę w objęcia, przytuliła ją mocno. Wtem wyraz jej twarzy zmienił się i odsunęła trochę dziewczynę od siebie. - Lauro, ty przecież okropnie schudłaś - zawołała wystraszona.

- Naprawdę? - zapytała Frances.

Laura miała na sobie jedną z nowych sukienek, które Frances kupiła jej w Northallerton: była ona równie obszerna jak jej stare rzeczy, więc dziewczyna wyglądała tak

samo nieforemnie jak zawsze. Ale teraz i Frances zwróciła uwagę na brązowe cienie pod oczyma, zauważyła też, że podbródek jej się wyostrzył, a policzki wyszczuplały.

- Wyczułam to w dotyku - rzekła Adeline. - Schudła o wiele za dużo.

- Jestem gruba - szlochała Laura. - W dalszym ciągu jestem gruba!

Pozostali skonsternowani wpatrywali się we wstrząsaną płaczem dziewczynę, gdy na zewnątrz ktoś zapukał głośno do drzwi wejściowych. Wszyscy aż się wzdrygnęli.

- Kto to może być? - zawołała zmieszana Victoria.

- Peter, szybko na górę - syknęła Frances. - Miejmy nadzieję, że nikt nie zaglądał przez okno!

Peter zniknął błyskawicznie na górze. Adeline podeszła do drzwi i otworzyła.

- Państwo Leighowie! - zawołała, a pozostali usłyszeli. - Co za miła niespodzianka!

Do salonu weszli John i Marguerite z zarumienionymi od mrozu policzkami. Byli opatuleni w płaszcze i szale, na ich włosach topniały pojedyncze płatki śniegu.

- Mówiąc szczerze, miałem wątpliwości, czy dojedziemy autem pod sam dom - rzekł John - ale cały podjazd jest pięknie odśnieżony. Kto z was ma tyle siły?

Peter, pomyślała Frances, lecz na głos powiedziała:

- Wszystkieśmy pracowały.

John pocałował ją w oba policzki. Jego wargi były zimne w dotyku. Następnie odwrócił się do swej byłej żony.

- Victorio...

Pocałował również ją.

Victoria przyjęła to ze zdumiewającym spokojem. Zdobyła się nawet na podanie ręki Marguerite, która pozbywszy się płaszcza, zaprezentowała już wyraźnie zaokrąglony brzuch.

A ja już się obawiałam, że Victoria jako następna wyląduje zemdlona na sofie, pomyślała Frances.

- Co tutaj robicie? - spytał John, rozejrzawszy się po pokoju. - Zapaliłyście już świece na choince i rozpakowałyście prezenty!

- W Niemczech tak robią - wyjaśniła Marguerite.

- No cóż, nie przypuszczam, żeby Frances zamierzała wprowadzić w Westhill niemieckie obyczaje - powiedział John i się roześmiał.

Kobiety zawtórowały mu śmiechem, jakby udał mu się naprawdę dobry żart; Frances miała jednak wrażenie, że każdy musiał zauważyć napięcie i nienaturalne brzmienie ich głosów.

Tymczasem Marguerite odkryła Laurę siedzącą na sofie z zaczerwienionymi oczami i

policzkami mokrymi od łez.

- Co ci się stało? - zawołała.

- Laura zemdląła niespodziewanie - wyjaśniła Frances. - Przypuszczalnie osłabienie krążenia.

- Nic dziwnego - oświadczyła przerażona Marguerite - przecież ona dramatycznie schudła!

- Tak właśnie mówiłam - potwierdziła Adeline.

- W ogóle tego nie zauważyłam - przyznała Frances, poczuwając się do winy.

- Trudno to zauważyć, kiedy widuje się kogoś codziennie - rzekła Marguerite - ale ja nie widziałam jej na oczy od trzech miesięcy i według mnie widać to przerażająco wyraźnie.

Znowu spojrzenia wszystkich obecnych zwróciły się ku Laurze, która natychmiast ponownie zaczęła walczyć z płaczem.

- Jednego nie rozumiem: Laura przez cały czas jadła w zasadzie normalnie - powiedziała Frances. - Chciała schudnąć i oczywiście nie jadła tyle co dawniej, ale nie aż tak mało, żeby wydało mi się to niebezpieczne.

Laura schowała twarz w dłoniach i płakała niepokonanie.

- Obawiam się - rzekła cicho Marguerite - że ma własną metodę pozbywania się jedzenia.

- Jaką?

Marguerite podeszła do płaczącej Laury i łagodnie oderwała jej dłonie od twarzy.

- Lauro, to nie jest coś, czego musiałabyś się wstydzić - powiedziała z naciskiem - ale musisz wyznać prawdę. Wymiotujesz po każdym posiłku, prawda? Dbasz o to, żeby wszystko zaraz z powrotem z siebie wyszło?

- To przecież niemożliwe! - zawołała wstrząśnięta Frances.

- To jest choroba. I to wcale nie taka rzadka. - Marguerite ujęła Laurę za ramiona i potrząsnęła nią leciutko. - Tak właśnie jest, prawda, Lauro? Robisz to w ten sposób?

Laura skinęła głową. Łzy płynęły jej już strumieniem.

- Jestem taka gruba - szlochała. - Taka obrzydliwie gruba!

- W ten sposób jej organizm nie otrzymuje, rzecz jasna, całego mnóstwa koniecznych do życia substancji - wyjaśniła Marguerite - i to już od miesięcy. Nic dziwnego, że dziewczyna się po prostu przewraca.

Victoria roześmiała się histerycznie.

- Dobry Boże, a myśmy myślały, że to dlatego...

Frances posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Victoria zaczerwieniła się jak burak i w

ostatniej chwili zamknęła usta.

Ona jest i pozostanie po prostu idiotką, pomyślała ze złością Frances.

- A coście myślały? - spytał John.

- Nic - odpowiedziała Frances. - Nic żeśmy nie myślały.

Brzmiało to tak nieprzystępnie, że John przestał dociekać.

- Wiecie - zaczęła Marguerite - poza tym, że chcieliśmy się zobaczyć z wami jeszcze przed Bożym Narodzeniem, zajrzeliśmy też przede wszystkim z powodu Laury. Po naszych, Johna i moich... zaręczynach nagle przerwałam lekcje. Uważam jednak, że należałoby je podjąć na nowo. Najlepiej, gdyby Laura przychodziła do mnie do Daleview, bo ja już niedługo - przejechała dłonią po brzuchu - nie będę mogła za bardzo się ruszać. A tam nikt nam nie będzie przeszkadzał. Oprócz nauki, Lauro, mogłybyśmy też czasem porozmawiać o twoich problemach. Jak sądzisz?

Laura skinęła głową i wciągnąwszy głośno powietrze przez nos, sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

- A wy - dodała Marguerite - uważajcie na nią. I jak najrzadziej zostawiajcie ją samą. Skorzysta z każdej okazji, żeby wsadzić sobie palec do gardła.

Wszyscy milczeli przygnębieni. W końcu Frances wzięła się w garść i powiedziała:

- Przepraszam was, jesteśmy bardzo niegościnnie! Przychodźcie do nas, a my zamiast wam coś zaproponować, serwujemy tylko swoje problemy. Może byście usiedli? Napijcie się czegoś?

- Chętnie - odparła Marguerite - ale zostaniemy naprawdę tylko chwilę. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, żeśmy wam przeszkodzili. Pewnie zjawiliśmy się w najmniej stosownym momencie.

Zaczął się rok 1943. Już w ostatnich tygodniach poprzedniego roku przetrucano stopniowo przez Atlantyk do Anglii coraz więcej amerykańskich żołnierzy, uzbrojenia, amunicji i sprzętu wojennego. W tamtym okresie ludność jeszcze nie wiedziała, że są to pierwsze kroki w ramach akcji „Overlord” - czyli przygotowania do planowanego lądowania aliantów w Normandii.

Frances starała się w tym czasie ignorować wszystko, co wiązało się z wojną. W racjonowaniu żywności wprowadzano kolejne obostrzenia, życie codzienne wymagało wiele sił i trudu. Nie miała czasu, by troszczyć się o cokolwiek innego poza rzeczami, które musiały być koniecznie zrobione. Ignorowała jednak nie tylko wojnę, lecz także problemy wewnątrzrodzinne i pojawiające się na horyzoncie komplikacje. To ona była żywicielką

rodziny; inni zdawali się na nią, ufając, że wszystko będzie funkcjonować.

Większość czasu spędzała w stajniach. Całymi nocami czuwała przy ciężarnej klaczy, której groziła utrata źrebięcia. Była zmęczona i rozdrażniona. Wskutek chorób straciła wiele owiec. Nic tak naprawdę nie szło, jak trzeba. Czy miała jeszcze na dodatek odgrywać psychiatrę i leczyć dusze osób w swoim otoczeniu?

Laura chudła coraz bardziej, lecz Frances w pewnym sensie złożyła ten problem w ręce Marguerite, pocieszając się, że ona na pewno wszystko uporządkuje. Laura chodziła wprawdzie codziennie do Daleview, lecz Frances nie uwzględniała w swoich kalkulacjach tej okoliczności, że dziewczyna nie może rozmawiać z Marguerite o tym, co wywołuje jej chudnięcie, a mianowicie o swej rozpaczliwej miłości do Petera, i że w związku z tym Marguerite nie zna najważniejszych faktów. Zresztą sama Frances nie traktowała serio tej „miłości”. Ot, typowe, młoda dziewczyna zadurzyła się w przystojnym mężczyźnie. Taki etap w życiu Laury, nic więcej. Pewnego dnia minie.

Frances nie dostrzegała tego, że w życiu Laury nic nie jest t y p o w e. Dusza dziewczyny została zraniona zbyt boleśnie, ażeby potrafiła spokojnie przyjmować to, co niesie życie, i amortyzować rozczarowania. Laura nigdy nie uporała się z traumatycznym przeżyciem, jakim były bombardowania, nigdy też nie przeboleła śmierci matki. Cierpiała z powodu rozłąki z siostrą, do której pisała bardzo długie listy, mimo że Marjorie rzadko na nie odpowiadała. Laura uczepliła się idei wielkiej miłości do Petera z takim samym fanatycznym zapalem, z jakim przywiązała się do Westhill.

Peter lubił Laurę i wiedział, że zawdzięcza jej życie; dla niego jednak była dzieckiem i traktował ją jak starszy brat małą siostrzyczkę. Głodząc się, ubierając w nowe stroje i wzbudzając w sobie nagle zainteresowanie ambitną literaturą, Laura starała się zyskać w jego oczach i uchodzić za dorosłą kobietę. Wszystko w jej życiu zależało teraz od Petera i jego miłości do niej. I była na najlepszej drodze, żeby się zagłodzić.

Victoria natomiast oscylowała między euforią a letargiem. Albo siedziała w kącie bez słowa, albo popadała w tak egzaltowaną wesołość, że Frances stwierdzała w duchu, że dłużej chyba tego nie wytrzyma. Victoria mówiła wtedy jak nakręcona, śmiała się głośno i piskliwie i wciąż odrzucała głowę do tyłu, aż włosy się jej rozwiewały. Zazwyczaj nosiła je teraz zresztą rozpuszczone, jak młoda dziewczyna. Frances uważała to zachowanie za wyjątkowo dziecinne, choć zarazem musiała przyznać, że Victoria nadal jest atrakcyjną kobietą. Dobiegała jednak pięćdziesiątki i obserwowanie jej afektacji, jej wyzywającego podnoszenia oczu na rozmówcę, jej przebudzonej na nowo namiętności do biżuterii i szminki oraz głęboko wyciętych sukni działało na Frances odpychająco. Nagle zakładała rzeczy, których nie nosiła

od lat: jedwabne i koronkowe kreacje, które w prostym domu na farmie wydawały się zupełnie nie na miejscu, a pochodziły jeszcze z czasów, kiedy daremnie próbowała odzyskać miłość Johna Leigha.

Przydałoby się trochę godności, myślała zde gustowana Frances, trochę godności, nie więcej!

Ale czasami... czasami wcale nie była zde gustowana. Bywały także chwile, kiedy odczuwała coś z dawnej zazdrości, dawnej rywalizacji. Bo gdy Victoria akurat nie przesadzała i nie wyglądała jak obwieszona świecidelkami choinka, gdy jej piersi nie wyskakiwały wręcz z dekoltu i nie robiła takiego wrażenia jak zazwyczaj, to wyglądała naprawdę uroczo. Wtedy drobne zmarszczki na twarzy czyniły ją interesującą, a włosy błyszczały jak jedwab. Frances zaś wyćwiczonym spojrzeniem człowieka zazdrosnego dostrzegała wtedy również to, że Peter zdaje sobie sprawę z urody Victorii i nie pozostaje na nią obojętny. Często zatrzymywał na niej wzrok chwilę dłużej, niż powinien, a na jego twarzy zachodziły zmiany świadczące wymownie o tym, że Victoria wzbudza w nim pożądanie.

Frances odczuwała wściekłość, która ją przerażała. Szukała w sobie przyczyny tak gwałtownej reakcji, lecz nie udało jej się ustalić, czy powodem była jej odwieczna zazdrość o urodę Victorii, czy też ona sama zbyt intensywnie dostrzegała w Peterze mężczyznę. Przecież już od lat nie dotykała mężczyzny. Ale gdy tylko jej myśli podążały w tym kierunku, natychmiast nakazywała sobie powściągliwość. Nie przyłączy się jako trzecia do tego śmiesznego współzawodnictwa między Victorią a Laurą. Tylko tego brakowało, żeby w szranki stanęła osiemdziesięcioletnia Adeline. Czyżby wszystkie straciły głowę?

Doszła do wniosku, że jej odczucia muszą być wynikiem dawnej wrogości pomiędzy nią a Victorią; innej możliwości nigdy by nie zaakceptowała.

A potem nastąpił siódmy kwietnia 1943 roku. Pogodny i ciepły dzień wiosenny. Na łąkach rozpościerał się puszysty jak piana dywan żółtych narcyzów falujących delikatnie na lekkim wietrze. A pośród nich, gdziekolwiek spojrzeć, owce i jagnięta. Na niebie nie było nawet jednej chmurki.

Laura, która rano jak zwykle poszła na lekcje do Daleview, wróciła późnym przedpołudniem do domu mocno zdenerwowana. Biegła pewnie całą drogę, bo nie mogła złapać tchu. Sukienka wisiała na niej jak worek, mimo że Adeline zwięzała ją już dwa razy. Wyglądało na to, że nic nie jest w stanie powstrzymać jej powolnej śmierci głodowej. Jej oczy na wychudłej, spiczastej twarzy wydawały się ogromne.

- Marguerite zaczęła rodzić! - oznajmiła. - Będzie miała dziecko!



Wpadła z tą wiadomością do salonu, gdzie wszyscy domownicy siedzieli wokół odbiornika radiowego. W Afryce sytuacja Niemców wyglądała niewesoło, najwidoczniej aliancom udało się okrążyć wojska niemieckie. Żadna z obecnych w pomieszczeniu kobiet nie komentowała hymnów pochwalnych spikera na cześć brytyjskiego generała Montgomery'ego, a to ze względu na Petera, który wydawał się wyjątkowo spięty.

- No, nareszcie! - zawołała Adeline, usłyszawszy nowinę z ust Laury. Termin przyjścia na świat dziecka Marguerite był wyliczony na koniec marca, minął więc przed dziesięcioma dniami. - Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Ta drobna, delikatna kobieta nie będzie miała łatwo.

Victoria wstała i wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Wszyscy aż się wzdrygnęli.

- Myślałam, że już się z tym pogodziła - zdziwiła się Frances.

- To będzie dla niej ciężki dzień - zauważyła Adeline. - Z niektórymi sprawami człowiek nigdy nie potrafi się pogodzić.

Frances podniosła się z miejsca i wyłączyła radio, z którego rozbrzmiewał właśnie hymn narodowy.

- Adeline, powinniśmy pomyśleć o obiedzie. Lauro, masz jakieś życzenie? Co byś chętnie zjadła?

- Nie chcę nic jeść.

- M u s i s z coś jeść. Zaczynasz mi już działać na nerwy.

Kąciki ust Laury zadrżały.

- Nie mogę nic jeść. Jestem gruba!

- Popatrz na siebie! Wyglądasz prawie na zagłodzoną!

Tym razem popłynęły już łzy.

- Frances, niech pani mnie nie zmusza, proszę!

- Powiem ci, co zrobię - odrzekła twardo Frances. - Jeszcze przez tydzień będę ci się dokładnie przyglądać. A potem zaciągnę cię do lekarza, który zarządzi przymusowe karmienie. Wiesz, jak to jest? Ja wiem dość dokładnie, bo ze mną też to robiono. I zapewniam cię, że takiego piekła jeszcze nie przeżyłaś. Kładą cię na plecach i...

- To nic nie da, Frances - przerwał jej Peter. - Jeszcze tylko pogorszy pani sprawę.

Popatrzyła na niego z wściekłością.

- Tak pan uważa? A co pańskim zdaniem powinnam zrobić? Czekać, aż kiedyś padnie martwa? Dlaczego dla odmiany p a n nie zrobi czegoś w tej sprawie? Przecież cały ten dramat rozgrywa się z pańskiego powodu!

- Frances! - napomniała ją z z troskaniem w głosie Adeline.

Peter był kompletnie zaskoczony.

- Co?

- Jeśli naprawdę pan tego nie wie, to jest pan ostatnią osobą w tym domu, która niczego nie zauważyła! - Wściekła się już na serio. - A jak wy, Niemcy, chcieliście właściwie wygrać tę wojnę? Marzeniami? Dziewczyna głodzi się dla pana jak ostatnia idiotka! Dla p a n a próbuje być piękna i szczupła, i godna pożądania. Chce...

Laura wydała tylko jęk przerażenia i uciekła z pokoju.

Peter pobladł.

- Powinna pani powiedzieć mi to wcześniej! - zaatakował Frances. - Ale nie tak! Nie w jej obecności! Dlaczego musiała ją pani skompromitować?

I podążył śladem Laury, a drzwi po raz drugi zamknęły się z trzaskiem.

- To było naprawdę bardzo niezręczne - orzekła Adeline.

- Teraz jeszcze ty! Chodźmy do kuchni. Powoli zacznym mieć dosyć tych wszystkich problemów dookoła!

Oprócz Adeline i Frances nikt nie zjawił się na obiedzie. One też zresztą nie miały raczej apetytu i pogrzebały tylko w talerzach. Adeline postanowiła skorzystać z pięknej pogody i odwiedzić po południu swoją siostrę, która chorowała już od pewnego czasu. Wyruszyła zaraz po zmyciu naczyń. Frances siedziała nadal przy kuchennym stole nad filiżanką kawy, nie czując w sobie żadnego bodźca do zrobienia czegoś pożytecznego. Obojętnie obserwowała muchę, która uporczywie brzęczała przy szybie okiennej.

W końcu zjawił się Peter. Wyglądał na dosyć znękanego.

- Był pan u Laury? - spytała Frances. - Gdzie ona jest?

Usiadł przy stole naprzeciwko niej.

- Jest w swoim pokoju. I mam nadzieję, że wreszcie przestanie płakać.

- Co pan jej powiedział? Nawiasem mówiąc, napije się pan kawy?

- Dziękuję. Nie byłoby to złe. - Przyglądał się jej, kiedy wstała i wyjęła z kredensu drugą filiżankę, którą postawiła przed nim. - A co jej miałem powiedzieć? Powiedziałem jej, że bardzo ją lubię. Że nigdy nie zapomnę, iż zawdzięczam jej życie. Powiedziałem jej, że jest ładną dziewczyną, ale na miłość boską powinna w końcu zacząć znów normalnie jeść, bo w przeciwnym razie za jakiś czas przestanie w ogóle być podobna do kobiety. Ja... - zrezygnowany machnął ręką - ech, gadałem tak dużo, ale to nie było to, co chciała usłyszeć.

- Teraz niech pan się napije kawy. I nie przejmuj się za bardzo.

Wypił dwa łyki, po czym odstawił filiżankę i spojrzął z powagą na Frances.

- Wyjeżdżam z Westhill. I to już jutro.

- Dlaczego? Z powodu Laury?

- Z powodu w s z y s t k i e g o. Także z powodu Laury. Ale przede wszystkim dlatego, że jestem tu już o wiele za długo i stawiam wszystkich mieszkańców Westhill w trudnej i niebezpiecznej sytuacji. Jeśli zostaną tutaj odkryty, możecie stracić wszystko, co macie. Nie wolno nam dłużej ryzykować.

- Nie da pan rady dostać się do Niemiec. To, co pan zamierza, to czyste szaleństwo. Niech pan zostanie! Nikt pana tutaj nie znajdzie.

- Nie ma gwarancji, że tak będzie. Muszę się wynieść. Proszę to zrozumieć.

W jego oczach dostrzegła zdecydowanie.

- Ach, Peter - westchnęła.

- Muszę wrócić do swojej matki i siostry. Na pewno mnie potrzebują - powiedział.

- Ale nie potrzebują martwego syna i brata. Wróci pan, kiedy wojna się skończy.

Pokręcił głową.

- Wtedy będzie za późno. Dla mnie, dla mojej rodziny. Dla pani. Dla wszystkich.

Zarazona jego wyczuwalnym niepokojem, rzekła śpiesznie:

- No dobrze. Nie będę pana zatrzymywać. Kiedy chce pan wyruszyć?

- Jutro z rana - odpowiedział.

Dlaczego nagle ten pośpiech? Wtem sprawiał wrażenie kogoś, kto pragnie wręcz na łeb na szyję zrobić to, z czym zwlekał i nad czym zastanawiał się miesiącami. Czyżby ogarnęło go jakieś przeczucie? Czyżby zwiertzył coś z tego, co się miało stać?

Tuż po wpół do czwartej zadzwonił telefon. W ciszy, która zalegała dom, ostry dźwięk dzwonka zabrzmiał jak sygnał alarmowy. Frances pośpieszyła po schodach na dół, ale gdy weszła do salonu, Victoria podnosiła właśnie słuchawkę.

- Victoria Leigh. - Słuchała przez chwilę, po czym powiedziała: - Dziękuję za telefon.

Głos miała lekko ochrypły. Skończyła rozmowę i odwróciła się. Była blada jak ściana.

- Victorio? - Frances podeszła bliżej. - Wszystko w porządku?

- W porządku? - Roześmiała się przenikliwym, nienaturalnym śmiechem. - Oczywiście, że wszystko jest w porządku. Powiedziałabym wręcz: w najpiękniejszym porządku. Mają zdrowego syna. John i Marguerite. Czy to nie cudowne? Ma mieć na imię Fernand, po nieżyjącym mężu Marguerite.

Zaśmiała się znowu.

- To właśnie John dzwonił przed chwilą?

- Jasne, że on. Szczęśliwa matka nie może jeszcze telefonować, najpierw musi dojść do siebie po trudach porodu. Taki poród jest wyczerpujący, prawda? Ach, powinniśmy się zastanowić, co podarować młodej rodzinie z okazji szczęśliwego wydarzenia. To powinno być coś pięknego, naprawdę pięknego!

- Victorio - rzekła ostrożnie Frances - tylko żeby ci teraz nie odbiło. Wiedziałyśmy już od miesięcy, że Marguerite urodzi dziecko. Z tego tylko powodu nie wolno ci popadać w szaleństwo.

- Ależ ja wcale nie popadam w szaleństwo! Przeciwnie, cieszę się za oboje! Nie widzisz, jak się cieszę?

- Victorio, przestań! Dobrze wiem, że to dla ciebie bolesne. Ale zniosłeś już jakoś ślub Johna z Marguerite. Wytrzymaj więc jeszcze i to!

W oczach Victorii pojawił się dziwny, twardy blask.

- Gdybym wtedy urodziła dziecko, do dzisiaj bylibyśmy razem - powiedziała.

- Wiesz, to już naprawdę śmieszne. Wasze problemy nie mają z tym absolutnie nic wspólnego.

- A ty skąd niby wiesz o naszych problemach?

- W każdym razie wiem tyle, że zrobiłaś ze swojej bezdzietności tak wielką tragedię, której nikt w świecie nie potrafi pojąć. Tak sobie nabiłaś tym głowę, że za wszystko, co w twoim życiu poszło nie tak, winisz ten jeden fakt, że nie mogłaś mieć dzieci. To absurd. Kiedyś powinnaś popatrzeć na sprawy tak, jak naprawdę wyglądają.

- Skończyłaś?

- Chcę tylko, żebyś...

- Więc mogę odejść?

- Gdzie się wybierasz?

- Wyobraź sobie, że jeszcze nie wiem! - prychnęła Victoria i wypadła z pokoju.

- Naprawdę jej odbiło - stwierdziła Frances.

A więc Johnowi i Marguerite urodził się zdrowy syn. Prędko odpędziła od siebie myśl o tym, jakie odczucia to w niej budzi.

„Może mielibyśmy dzisiaj pięcioro dzieci - powiedział - i bylibyśmy głośną, radosną rodziną!”.

Trudno, nie byli nią. Widocznie tak miało być. Dalsze zastanawianie się nad tym mijało się z celem.

Poszła na górę i zapukała ostrożnie do drzwi pokoju Laury.

- Lauro?

Nie usłyszała żadnego odgłosu. Cicho otworzyła drzwi. Laura leżała na łóżku w ubraniu i spała. Usta miała lekko otwarte, a na policzkach ślady łez, które wyschły. Wyglądała, jakby miała najwyżej dwanaście lat. Jak mała zapłakana dziewczynka.

Jaka ona nieszczęśliwa, pomyślała Frances, jaka nieszczęśliwa i samotna.

I wyszła z pokoju.

O szóstej zadzwoniła Adeline i powiedziała, że jej siostra źle się czuje, więc czy nie mogłaby zostać u niej na noc i wrócić dopiero następnego dnia przed południem.

Frances oczywiście się zgodziła. Poszła do kuchni, żeby przygotować kolację, lecz po chwili zadała sobie pytanie, dla kogo właściwie miałaby gotować. Czy był w ogóle ktoś, kto chciał jeść? W domu panowała grobowa cisza. Nawet psy wydawały się niespokojne i snuły się z kąta w kąt.

Poszła więc znowu na górę i zajrzała do pokoju Laury. Laura spała w dalszym ciągu, zupełnie wyczerpana zmartwieniami i głodem. Wydawało się, jakby w ogóle się nie poruszyła w ciągu minionych kilku godzin.

Frances zapukała do drzwi pokoju Victorii, ale nie usłyszała żadnych odgłosów. Weszła więc do środka. Siostry nie było. Nie było też Petera, do którego pokoju potem zajrzała. W pewnym sensie wydało się to jej podejrzane, choć mówiła sobie, że na pewno niepotrzebnie się martwi. Znow zeszła na dół, zajrzała do salonu i jadalni. Wszędzie pusto i cicho. Kiedy otworzyła drzwi piwnicy, ziała stamtąd tylko czarna czeluść. Mimo to zawołała:

- Victoria? Peter?

Oczywiście nikt nie odpowiedział, więc ironicznie zadała sobie pytanie, co mieliby robić we dwoje na dole w lodowatej ciemności.

Wróciła do kuchni, gdzie powoli, bulgocząc, gotowała się zupa jarzynowa. Kiedy wyjrzała przez okno na ogród, zauważyła, że drzwi małej szopy są na wpół otwarte. Możliwe, że ktoś po prostu zapomniał je zamknąć. Trzeba będzie pójść i sprawdzić.

Wieczór był jasny i łagodny, niebo miało miękką, szaroniebieską odcień. Trawa w ogrodzie była tak wysoka, że prawie zarosła wąską ścieżkę prowadzącą od drzwi kuchni do szopy.

Poproszę Petera, żeby wykosił, pomyślała i dopiero w następnej chwili uzmysłowiła sobie, że od jutra już go nie będzie. Sama będzie musiała chwycić za kosę. Będzie bardzo pusto, pomyślała nagle - bez Petera!

Głosy usłyszała już, kiedy od szopy dzielił ją jeszcze spory kawałek. Jeden, wysoki i piskliwy, należał do Victorii. Drugi, Petera, brzmiał cicho i uspokajająco.

- Przecież widziałam, jak na mnie patrzyłeś przez cały czas! - To była Victoria. - Nie spuszczałeś ze mnie oczu. Gapiełeś się na moje nogi, czułam, jak mnie pożadasz!

- Możliwe, że patrzyłem na twoje nogi. Masz bardzo ładne nogi, Victorio. W ogóle jesteś piękną kobietą. Każdy mężczyzna chętnie by na ciebie patrzył.

- Mamałeś mnie, sugerując, że coś do mnie czujesz!

- Nigdy nic nie mówiłem.

- Ale ja zauważyłam!

- Ach, Victorio, coś sobie teraz wmawiasz. Jeśli chodzi ci o ten jeden wieczór...

- W październiku. Tak, chodzi mi o ten wieczór.

- Przykro mi, jeśli posunąłem się wtedy za daleko.

- Pocałowałeś mnie. I to, Bóg mi świadkiem, wcale nie tak, jak brat całuje siostrę!

- Chciałaś do tego doprowadzić, i stało się. Ale potem starałem się skorygować wrażenie, jakie być może powstało wskutek tego pocałunku.

Victoria roześmiała się. Był to taki sam piskliwy śmiech, jakim po południu zareagowała na wiadomość o przyjściu na świat małego Fernanda.

- Jak ty się wymyślnie wyrażasz! Starałeś się skorygować wrażenie! W ten sposób, że co wieczór prawie mnie rozbierałeś wzrokiem, tak?

- Nie robiłem tego.

- Oczywiście, że robiłeś! Nie udawaj teraz niewiniątka! Gapiełeś się na mnie i myślałeś sobie przy tym: Przyjemnie byłoby mieć taki mały romans z Victorią! Jak miło byłoby znowu sypiać z kobietą!

Frances na zewnątrz wciągnęła głośno powietrze. Ta pruderyjna Victoria! Taki sposób wyrażania się nie pasował do niej, zdradzał jednak skalę jej frustracji.

- Czego ode mnie chcesz, Victorio? - spytał Peter. Jego głos brzmiał bardzo łagodnie. Najwidoczniej starał się nie dopuścić do zaostrzenia sytuacji.

- Czego chcę? Chcę ci powiedzieć, jaką podłą gierkę ze mną prowadziłeś! Najpierw mnie całujesz, całujesz dziko i namiętnie, i co wieczór patrzysz na mnie tak, jakbyś najchętniej rzucił się na mnie, a potem...

- Victorio, ty...

- ...a potem nagle coś zauważasz! Tak, zauważasz grubą, brzydką Laureę, która niespodziewanie przestała być taka gruba. Zauważasz, jak patrzy na ciebie z uwielbieniem swoimi rozmarzonymi krowimi oczami! Jak czeka na każde słowo z twoich ust! Jak cię podziwia za najmniejsze, nawet banalne słowo, jakie wypowiadasz. Jak nagle zaczyna kołysać swoim grubym tyłkiem, kiedy idzie przed tobą...

- Wcale tak nie robiła!

- A ty myślisz sobie: Aha, to przecież jeszcze jedna kandydatka! Co prawda nie taka ładna jak Victoria, ale za to cholernie młoda! Ledwo szesnastoletnia. Młoda niewinna dziewczyna, która praktycznie o każdej porze dnia daje ci wyraźnie do zrozumienia, że dla ciebie z największą ochotą rozłożyłaby nogi!

- Wielki Boże, Victorio! - mruknęła Frances zupełnie wytrącona z równowagi.

- Tylko tak dalej, Victorio - rzekł spokojnie Peter.

- Korciło cię, przyznaj się! Cholernie cię korciło, żeby ją gdzieś przelecieć i także pod tym względem pokazać jej, jakim jesteś fantastycznym mężczyzną!

- Aha. A dlaczego jednak tego nie zrobiłem?

- Bo wiedziałeś, że gdyby Frances się o tym dowiedziała, wydrapałaby ci oczy wszystkimi dziesięcioma pazurami! I to mi się właśnie w tobie, Peter, nie podoba: to, że jesteś takim okropnym tchórzem! W rzeczywistości brak ci odwagi, żeby spełniać swoje brudne fantazje!

- Czy to już wszystko?

Jego opanowanie doprowadzało ją z pewnością do szału.

- Przyznaj się! - syknęła. - Chcę, żebyś się przyznał!

- Nie przyznam się, bo to nieprawda. Ale nie chcę się też z tobą kłócić. Myśl sobie o mnie, co chcesz. Może w ten sposób zakończymy wreszcie tę rozmowę.

- Zostaniesz tutaj!

- Przepuść mnie, Victorio. Chcę wyjść.

- Dobrowolnie cię nie przepuszczę. Ale możesz mnie zabić. Ostatecznie wy, Niemcy, jesteście przecież z tego znani!

- Victorio, możesz sobie oszczędzić dalszych prób. Nie uda ci się mnie sprowokować.

Frances podeszła po cichu jeszcze bliżej. Uchylone drzwi zasłaniały ją przed spojrzeniami osób wewnątrz szopy.

- Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo tęsknię za tym, żeby mi ktoś pomógł! - Victoria ściszyła głos, w którym słychać było teraz udrękę. - Moje życie jest takie szare, takie monotonne! Jak ja nienawidzę tego domu! Tej przeklętej owczej farmy! Tej nieurodzajnej ziemi! Czy na dodatek mam jeszcze tutaj umrzeć?

- Victorio, sądzę po prostu, że masz dziś bardzo zły dzień, bo...

- Bo co? Powiedz to! Bo mój były mąż został ojcem! Bo inna kobieta dała mu to, czego ja nie mogłam mu dać!

- Przestań od rana do wieczora umartwiać się z tego powodu! Musisz z tym wreszcie

skończyć! M u s i s z! W przeciwnym razie kiedyś przez to zwariujesz!

- Peter, potrzebuję pomocy! Gdybyś...

- Nie mogę być dla ciebie tym, czego szukasz. Przykro mi.

- Dlaczego nie możesz?

- Bo... - Wydawał się bezsilny, bezradny. - Może po prostu dlatego, że to niewłaściwy moment.

- Dlatego, że jest wojna?

- Wojna? To, co się tam rozpętało, to piekło! Victorio, nie masz w ogóle pojęcia, jak niewiele z tego dociera tutaj. Ty nic nie wiesz, absolutnie nic! Narzekasz, że wprowadzono racjonowanie benzyny i nie możesz już wszędzie jeździć, i że codziennie jest na obiad jagnięcina, bo nie można dostać innego mięsa, i że w ogóle wszystko stało się jakoś trudniejsze - i to wszystko składa się na twój obraz wojny. Czasami parę abstrakcyjnych wiadomości z radia o poległych żołnierzach i zatopionych statkach. Ale nie wiesz, co to wszystko tak naprawdę oznacza.

- I co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć, że przynajmniej w tym momencie nie potrafię myśleć o tym, czy wiązać się w jakikolwiek sposób z kobietą. Nie mam spokojnej głowy, żeby się nad tym zastanawiać. Zaprzątają mnie zupełnie inne rzeczy.

Powinnam się wynieść, pomyślała Frances, poczuwszy się nieswojo, to wszystko na pewno nie jest przeznaczone dla moich uszu.

Minęło kilka sekund, w końcu Victoria powiedziała bardzo miękko:

- Zapomnij o tym. Tylko na chwilę. Zapomnij o wojnie i o wszystkich okropieństwach. Zapomnij, że jesteś Niemcem, a ja Angielką. Po prostu daj nam odrobinę czasu. Odrobinę życia.

- Ja nie mam czasu, Victorio. Powiedziałem już Frances, że jutro opuszczam Westhill.

- Co?

- Spróbuję przebić się do domu. Jakoś to będzie.

Znowu milczenie.

- To szaleństwo - rzekła w końcu Victoria.

Po raz pierwszy, odkąd stała na zewnątrz i podsłuchiwała, Frances przyznała siostrze rację. Wyperswaduj mu to, Victorio, poprosiła w duchu, choć ta nie mogła jej słyszeć.

- Szaleństwo czy nie, muszę spróbować. Nie mogę po prostu dłużej tutaj siedzieć z założonymi rękami. I tak już zwlekałem za długo.

- Nie dasz rady. Zginiesz!



- Nie jest tak, żebym w ogóle nie miał szansy. I lepiej dla mnie, żebym z tej szansy, choćby najmniejszej, skorzystał, niż powoli tracił wszelki szacunek dla samego siebie. Może rozumiesz mnie choć trochę.

- Nie rozumiem, jak można samemu pchać się na rzeź.

- Przykro mi, Victorio, ale nie zmienię swojej decyzji.

- Dlaczego znaczę dla ciebie tak mało? Czy jest w Niemczech jakaś inna kobieta?

Westchnął.

- Są dwie kobiety. Moja matka i moja siostra. W tej chwili to jedyne kobiety, jakie mnie interesują.

- Ale... tak nie może być! Twoja matka i twoja siostra? Przecież jesteś mężczyzną! Twoja matka i twoja siostra nie mogą dać ci tego, co ja mogę ci dać. Dlaczego tego nie chcesz? Czy mam tak małą wartość w twoich oczach? Ja...

- Victorio...

- Pewnie uważasz, że jestem zwyczajną chłopką, co? Rozumiem. Musisz czuć się tutaj okropnie. Tylko owce i konie, i samotność... ale ja też nienawidzę tego, wierz mi. Nie jestem taka, jak myślisz. Ja też nie zawsze mieszkałam tylko tutaj. John i ja mieszkaliśmy w przepięknym domu w Londynie. Wtedy, kiedy był posłem do Izby Gmin. Urządzaliśmy przyjęcia, a od czasu do czasu wydawaliśmy bale. Bywał u nas premier. Moimi gośćmi były najważniejsze osobistości życia politycznego. Ja...

- Victorio! Dlaczego opowiadasz mi to wszystko? Co, według ciebie, musisz mi udowodnić? Że jesteś kobietą interesującą, obytą w świecie? Wiem to i bez tego. Prawdopodobnie mam o tobie dużo lepsze zdanie niż ty sama. I nigdy nie uważałem cię za chłopkę. A ten kawałek Anglii jest moim zdaniem prześliczny. Wydaje mi się wyspą spokoju pośród smaganego sztormem oceanu. Sądzę tylko, że z tego miejsca nie potrafisz raczej wyobrazić sobie, jak okropna jest w rzeczywistości wojna. I dlatego pewnie trudno ci zrozumieć, dlaczego chcę wrócić.

Victoria nic nie odpowiedziała. Pośród milczenia słychać było świergot ptaków i beczenie owiec na pastwisku po drugiej stronie ogrodu. Frances zastanawiała się właśnie, czy kaszlnięciem zwrócić na siebie uwagę i udać, że akurat nadeszła od strony domu, kiedy Victoria wykonała następny krok.

- Chcesz się ze mną kochać? Teraz?

Brzmiało to jak prośba dziecka. Frances wyobraziła sobie udręczoną minę Petera, jakby dosłownie stał tuż przed nią.

- Victorio, co to znaczy? Po co?

- Potrzebuję tego. O Boże, Peter, potrzebuję tego! Potrzebuję tego, żeby mężczyzna mnie dotykał. Żeby mnie pożądał. Ja... - Rozpląkała się. - Czuję się taka pozbawiona wartości - szlochała. - Taka ponizona. Ona urodziła dziecko! Ona dostała mojego męża. Och, Peter, proszę, chcę tylko raz poczuć się znowu kobietą! Zwróć mi to uczucie... że jestem młoda i piękna...

- To nie ma sensu.

- Peter, tylko dla ciebie to znosiłam. Te okropne miesiące, odkąd się pobrali, odkąd wiedziałam, że ona jest w ciąży... Bo byłeś ty i patrzyłeś na mnie... I nie czułam się już taka mała. Taka słaba. Taka przegrana.

Ciekawe, czy weźmie ją teraz w objęcia, zadała sobie w duchu pytanie Frances.

- Victorio, nie jestem kimś, kto miałby ci nadać wartość! - Jego głos brzmiał łagodnie i uspokajająco, jakby był ojcem albo starszym bratem. - Jak on mógł tak cię zranić? Nikt nie może odebrać ci wartości, nikt nie może cię upokorzyć. Nie wmawiaj sobie tego.

- Chcę cię, Peter. Teraz. Na podłodze tej nędznej szopy. Chodź! - Głos miała zdyszany, ochryply. - Rozbierz się! Dotknij mnie. Tutaj! Czujesz, jak...

- Nie! - Chyba po raz pierwszy naprawdę się wściekł. - Nie, Victorio! Przestań! To co teraz robisz, poniża cię naprawdę. Nie musisz błagać mężczyzny, żeby się z tobą przespał, więc nie rób tego!

- Peter...

- Nie! Nie chcę!

Głos Victorii, przed chwilą jeszcze nabrzmiały łzami, lecz równocześnie kuszący i uwodzicielski, zmienił się nagle. Stał się piskliwy i pospolity jak głos przekupki.

- Do cholery, Peter, ale z ciebie świnia! - krzyczała. - Ale z ciebie podły, drobny niemiecki łajdak! Robisz do kobiety piękne oczy, a gdy już doprowadziłeś ją do tego, że okazuje ci swoje uczucia, odpychasz ją, jakby to była zabawa! I pewnie wydaje ci się, że jesteś w tym dobry, co? Jak naprawdę fantastyczny facet, za którym uganiają się wszystkie kobiety! Jakże nędzny jesteś, stosując takie metody! Będę cię nienawidzić po wszystkie czasy, do końca swego życia!

Przy ostatnich słowach głos odmówił jej posłuszeństwa. W chwilę później wypadła z szopy, zalana łzami, blada jak ściana. Omal nie zderzyła się z Frances, która nie zdążyła się dość szybko oddalić.

- Co tutaj robisz? - krzyknęła. - Czemu, do diabła, tutaj stoisz?

- Kolacja będzie zaraz gotowa - odpowiedziała Frances.

Z szopy wyszedł Peter. On również był blady i sprawiał wrażenie wyczerpanego.

Victoria odwróciła się gwałtownie jak rozdrażniona kocica. Wskazała na Petera.

- On chciał mnie zgwałcić! Tutaj, w szopie, przed chwilą! Niemal mu się udało.

Ledwo zdołałam uciec!

Peter nie odezwał się.

- Niestety, Victorio, słyszałam to i owo - rzekła Frances. - Dlatego oszczędź nam swoich kłamstw.

- Ale to, co mówię, to prawda!

Peter minął je bez słowa i zniknął w głębi budynku.

- Nie pociągniesz go do odpowiedzialności? - krzyknęła Victoria na siostrę. - Pozwolisz mu się wywinąć bezkarnie?

- Ja nie gram w twoją grę, Victorio. Przykro mi, jeśli usłyszałam zbyt wiele. Wołałabym nie być świadkiem tej żalosnej sceny. Zachowałam się poniżej krytyki. Nie spotkałam jeszcze kobiety, która miałaby tak mało dumy i godności. Jak mogłaś tak się zapomnieć?

Victoria wrzasnęła przeraźliwie i uniosła dłonie, chcąc wbić w twarz Frances paznokcie wszystkich dziesięciu palców. Jakby straciła zmysły - do głębi upokorzona, rozdrażniona niczym ranne zwierzę. Frances w ostatniej chwili zdołała chwycić ją za nadgarstki i odsunąć jej ręce od swojej twarzy.

- Chyba straciłaś rozum - wydyszała. - Opamiętaj się wreszcie!

Walczyły ze sobą - jak dwóch uczniów, pomyślała bezradnie Frances, a przecież obie miały około pięćdziesiątki!

Wydawała się sobie taka śmieszna, że najchętniej wypuściłaby Victorię, ale nie była pewna, jak zachowałyby się wtedy jej siostra. Miała jedynie nadzieję, że Laura nie obudzi się akurat w tym momencie i nie wyjrzy przez okno na ogród, gdyż widok dwóch dojrzałych kobiet w trakcie swego rodzaju walki zapaśniczej na pewno by ją zaszokował.

W końcu Victoria zdołała się wyrwać. Wyglądała na zupełnie odmienioną z bladą twarzą, bezkrwistymi wargami, nastroszonymi włosami, które opadały jej bezładnie na czoło. Odmienioną i niebezpieczną. Taką, do której nie docierają słowa, do której w ogóle nic nie dociera.

- Ty szcurze - powiedziała cicho. - Ty nędzny, zazdrosny, zawistny mały szcurze!

Co za dziwne uczucie: nie słyszeć nagle krzyku Victorii. I dokładnie tak jak poprzednio, gdy rozmowa w szopie cichła na kilka sekund, tak i teraz wzmógł się znowu świergot ptaków. Tyle że niespodziewanie zabrzmiał groźnie. Wydawało się, jakby łagodny wiosenny wieczór utracił nagle swe ciepło. Od trawy bił teraz chłód i Frances poczuła zimny

dreszcz.

- Szczur? - powtórzyła pytającym tonem, jakby miała trudności ze zrozumieniem tego słowa.

- Przecież ciągle upokarzanie mnie zawsze sprawiało ci przyjemność! - Głos Victorii stał się odrobinę mocniejszy. - Bo mam tyle rzeczy, których ty nie masz. Peter mnie całował. Był bardzo namiętny. Wzbudziłam w nim to, czego ty nigdy nie mogłaś wzbudzić w żadnym mężczyźnie.

Poczuła pierwszy, jeszcze lekki zawrót głowy.

- Wracam do domu - powiedziała. - Nie będę tego słuchać.

Victoria ruszyła za nią bez pośpiechu.

- Ale nie chodzi wcale o Petera, mam rację?

- Nie słucham cię już, Victorio!

Weszła do kuchni. Na płycie kuchennej przypalała się zupa jarzynowa. Nie zwracała na nią uwagi, przemierzyła pomieszczenie, wyszła na korytarz. Victoria podążała za nią krok w krok, jak bezszelestny, złośliwy cień.

- Wiesz, Frances, co cię zatruwa, co cię zatruwało przez te wszystkie lata? Myśl o Johnie. To dlatego odmawiasz mi też Petera.

Skąd przyszło jej do głowy c o ś t a k i e g o, zastanawiała się Frances. Ona kompletnie zwariowała.

- Bo po raz drugi musiałabyś się przyglądać, jak ja dostaję coś, czego ty nie możesz mieć.

- Oszczędź sobie tych bredni.

Zajrzała do jadalni, do salonu. Miała nadzieję, że napotka gdzieś Petera. Gdzie on się podziewa? Czyżby opuścił Westhill aż tak pośpiesznie?

- Nigdy nie przebolełaś tego, że sprzątnęłam ci go sprzed nosa. Do dziś prześladują cię koszmary senne. Nadal widzisz mnie w białej sukni ślubnej. I jego obok mnie. A on się do mnie uśmiecha.

Zawrót głowy przybierał na sile. Przestań, Victorio, radzę ci, przestań!

Powoli wstępowała po schodach na górę.

- Musiało ci być bardzo ciężko. Przecież zostały rozdrapane dawne rany. Ojciec kochał mnie bardziej niż ciebie. A potem jeszcze i John. Pewnie odchodziłaś od zmysłów, Frances, wtedy, tamtej nocy. Nie spałaś ani sekundy, prawda? Przez cały czas wyobrażałaś sobie, co robimy we dwoje. Jak on dotyka mojego ciała. Bawi się moimi włosami. Wyobrażałaś sobie, jak jego dłonie obejmują moje piersi?

To było tak dawno temu. Od tego czasu upłynęło całe życie!

Trucizna rozprzestrzeniała się w niej powoli. Stopniowo wpływała w każdy zakątek jej ciała. Zniknęła przewaga, jaką czuła w ogrodzie, słysząc wrzeszczącą Victorię. Tylko dlaczego tak jej się kręci w głowie? Przez to czuła się słaba wobec tej cichej, wściekającej się osoby.

- Czasami zadaję sobie pytanie, jak to znosiłaś przez te wszystkie lata. Wiedząc, jak żyjemy ze sobą. Rozmawiamy. Śmiejemy się. Jak on co noc przychodzi do mnie do łóżka!

- Peter! - zawołała Frances.

Była zaskoczona, że jej głos ma jeszcze takie mocne brzmienie. Nikt nie odpowiedział. Zajrzała do każdego pokoju, na końcu do jego. Nigdzie go nie było. Ale przed jego łóżkiem stała jeszcze para butów, starych butów George'a, które dała mu Frances.

- Potrafił być bardzo czuły - rzekła Victoria.

Jej oczy błyszczały. Mówiła tak łagodnie, jakby jej słowa zawierały miód, a nie truciznę.

Frances otworzyła gwałtownie szafę na ubrania. Wisiały tam nadal rzeczy, które nosił - również te po George'u - ale pewnie i tak by ich nie zabrał. Otworzyła drugie drzwi szafy. Na półkach leżały równo poskładane koszule, kilka swetrów. Czy miał to być znak, że wróci?

- Sądzę, że najbardziej podobały mi się jego dłonie - podjęła po chwili Victoria. - Od samego początku, jego dłonie, które mnie...

Zawrót głowy minął w jednej chwili. Miała wrażenie, że rozdarła się jakaś zasłona, która ją zakrywała i chroniła. Ukazała się rzeczywistość - w jaskrawym i bezlitosnym świetle. Miękki głos Victorii, jej słowa były nożem, który zagłębił się w ranie i z lubością był w niej obracany.

Wewnętrzny głos jeszcze ją ostrzegał. Ostrzegał, żeby nie dała się sprowokować i zachowała ostrożność. Ona zmierza przecież do tego, żeby straciła panowanie nad sobą. Nie bądź głupia!

- Mój Boże, Victorio - powiedziała obojętnym i trochę znudzonym tonem. - To naprawdę zdumiewające, że ktoś może być tak ślepy przez tyle lat! Ale to się zdarza, kiedy ktoś koniecznie chce być ślepy. Są prawdy, którym niechętnie patrzy się w oczy.

Cień niepewności przemknął po twarzy Victorii. Uśmiech zastygł.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.

Frances wzruszyła ramionami.

- Chcę powiedzieć, że marnujesz czas, opisując mi zalety Johna jako kochanka. To

zbyteczne.

Uśmiech zniknął zupełnie.

- Nie rozumiem - rzekła Victoria.

Frances zaśmiała się krótkim, nieszczerym śmiechem.

- Myślę, że rozumiesz bardzo dobrze - odparła.

Oczy Victorii zwęziły się.

- Nie mogłabyś wyrażać się jaśniej?

- A jak jasno byś sobie życzyła? Chcesz dokładnie wiedzieć, kiedy się spotykaliśmy?

Gdzie? Co robiliśmy?

Stężale rysy Victorii odprężyły się.

- Kłamiesz - oświadczyła chłodno. - Chcesz mi dokuczyć i wymyślasz niestworzone historie. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Więc daj sobie z tym spokój.

Frances odwróciła się, chcąc zamknąć z powrotem drzwi szafy. Peter oczywiście wróci. Ale zdenerwowałby się, gdyby się dowiedział, że grzebała w jego szafie.

Pistolet wystawał spod swetra i w pierwszej chwili tylko wpatrywała się weń ze zdumieniem. Dlaczego on t u t a j leży? Przecież ukryła go w swojej komodzie, głęboko pod bielizną. Tylko jedna osoba mogła przynieść broń tutaj, i tą osobą był Peter. Chciał mieć pistolet znowu przy sobie. W jakimś sensie potrafiła to zrozumieć, ale była zawiedziona. Musiał go przecież poszukać. Zirytowała ją sama myśl o tym, że szperał w jej pokoju.

Mógł przecież zapytać, pomyślała.

- John nigdy by się nie spotykał z taką kobietą jak ty - stwierdziła pogardliwie Victoria. - Pamiętam, jaki był wściekły, kiedy udzielałaś się w ruchu sufrażystek i byłaś w więzieniu. Uważał, że jesteś wyłącznie żenująca!

- Jak ci mówiłam, możesz sobie myśleć, co chcesz. - Skończ w tym punkcie, ostrzegł znowu wewnętrzny głos, ona ci nie wierzy! Ciesz się i poprzestań na tym! - Przypomnij sobie jednak Marjorie - dodała po chwili. - I co opowiadała o mnie i o Johnie.

Twarz Victorii była odbiciem szybko zmieniających się sprzecznych uczuć i domysłów.

- Marjorie? - zapytała.

- W zeszłym roku. W sierpniu. Chyba nie zapomniałaś tego wieczoru. Zaskoczyła w kuchni mnie i Johna i naturalnie musiały roztrąbić, co słyszała.

- Powiedziałaś...

- Nie chciałam kłótni. Faktem jest - odwróciła się i popatrzyła na siostrę - że przez

ponad dwadzieścia lat mieliśmy ze sobą romans.

Victoria pobladła jeszcze bardziej.

- Od kiedy? - wyszeptwała.

- Od 1916 roku. Zaczęło się we Francji. W wiosce nad Atlantykiem. On był tam na rekonwalescencji, a ja...

- To nieprawda.

- Możesz mi wierzyć lub nie.

Z gardła Victorii wydobył się bulgoczący dźwięk, przycisnęła dłoń do ust i wydawała się dławić. Zamknąwszy oczy, zwalczyła odruch wymiotny. Kiedy z powrotem otworzyła oczy, była w nich najczystsza nienawiść.

- Pójdę teraz - powiedziała spokojnie - i złożę doniesienie na policji. Zgłoszę, że od przeszło pół roku ukrywaliśmy tutaj niemieckiego szpiega, który w dodatku popełnił morderstwo.

- Nie zrobisz tego - odparła Frances. - Nie wydasz Petera na pewną śmierć.

- Mylisz się.

Odwróciła się do drzwi.

- Ty też jesteś w to wplątana, Victorio! Nie bądź głupia. Aresztują cię tak samo jak nas wszystkich.

Victoria uśmiechnęła się.

- Ja przecież nie mam nic do stracenia.

- Masz swoją wolność.

Victoria pokręciła głową.

- Wolność nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

I zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju.

W tym momencie Frances odzyskała całkowitą jasność umysłu. Jedna myśl goniła drugą. Czy Victoria naprawdę pójdzie na policję? Peter mógł wrócić i wpaść w objęcia policjantów. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że nie odszedł na zawsze, nie mógł przecież bez broni, a poza tym...

Pistolet! Odwróciła się gwałtownie, chwyciła broń i wypadła z pokoju. Victoria schodziła właśnie po schodach. Poruszała się jak lunatyczka.

- Nie rób głupstw, Victorio! - zawołała Frances, wychyliwszy się poza balustradę.

Victoria szła dalej.

Nie narazi przecież nas wszystkich na pewną zgubę, pomyślała Frances zupełnie wytrącona z równowagi.

Pobiegła za siostrą po schodach.

- Victorio! - krzyknęła.

Wydawało się, że Victoria w ogóle jej nie słyszy. W końcu Frances dogoniła ją i złapała za ramię.

- Victorio! Niszcząc teraz życie nas wszystkich, nie zmienisz tego, co się stało! Niczego nie zmienisz!

Victoria strząsnęła jej dłoń niczym uciążliwego owada.

I w tym momencie Frances uświadomiła sobie, że ona naprawdę gotowa to zrobić. Gotowa pójść na policję. Poznała to po jej wyprostowanej sylwetce, po tym, jak trzyma ramiona, po nienaturalnej sztywności karku, po chorym blasku oczu. Ten dzień zadał Victorii śmiertelny cios: dziecko Johna przyszło na świat, Peter ją odrzucił, Frances twierdziła, że miała romans z Johnem. Było jej obojętne, co się teraz stanie. Nie bała się tego, że będzie musiała pójść do więzienia. Nie bała się, że stracą Westhill. Zupełnie złamana zbliżała się do drzwi wejściowych.

Frances stała u stóp schodów.

- Victorio, ostrzegam cię, zatrzymaj się! Natychmiast się zatrzymaj!

Victoria otworzyła drzwi.

Kiedy strzeliłam, nie zrobiłam tego z rozmysłem. Nie sędzę nawet, żebym cokolwiek myślała, kiedy wcześniej brałam broń z szafy Petera. Czułam się jak zwierzę, któremu instynkt podpowiada, żeby ratowało życie. Którym powoduje wyłącznie nagi strach o własną egzystencję. W tym momencie nic we mnie nie chciało zabijać Victorii. Nie odczułam żadnej satysfakcji. Choć zawsze jej nienawidziłam, choć mogłam być zawistna i zazdrosna - kiedy stałam w półmroku hallu i strzeliłam, nie było we mnie żadnego z tych prastarych, złych i destrukcyjnych uczuć. Gdzie podziała się nienawiść do mojej siostry, posiana tamtego dnia dawno temu, kiedy nasz ojciec nadał jej imię królowej? Ta nienawiść rozplynęła się. Nie pamiętałam już też, co to zazdrość. Zawieść schowała się gdzieś i po raz pierwszy w moim życiu nie uśmiechała się do mnie szyderczo. Wszystko było wymazane, kiedy przeszła przede mną fala powodzi, zabrała ze sobą wszelki balast i mnie wyzwoliła.

Jedyną rzeczą, jaka we mnie istniała, była myśl: Nie pójdę do więzienia. Adeline i Laura też nie pójdą. Nie dopuszczę do tego, żeby powiesili Petera. I nie pozwolę sobie odebrać Westhill. Za nic w świecie! To jedyna rzecz, jaką mam, i prędzej zabiję, niż ją oddam.

Kula trafiła ją w plecy. Upadła na kolana i w takiej pozycji pozostała przez kilka



sekund. Wyglądało to tak, jakby klęczała w kościele i odmawiała modlitwę.

Dopiero po chwili upadła powoli głową naprzód, a ponieważ już wcześniej otworzyła drzwi wejściowe, jej głowa spoczęła na stopniach prowadzących na podwórze, ciało natomiast leżało w hallu. Przeszyły ją drgawki - i to był właśnie moment jej śmierci.

Wpatrywałam się w nią i zadawałam sobie pytanie, dlaczego jej stopy są tak dziwnie odgięte. Miała żyłki na łydkach, już widoczne, choć niezbyt wyraźnie. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Ale jej postać była tak samo delikatna i szczupła jak zawsze. Miała na sobie ładną sukienkę. Włosy spłynęły niczym złota fala powodzi na kamienie wokół głowy.

Nie było krwi, ani śladu krwi. Tylko ciemna plama na plecach w miejscu wlotu kuli, ale żadnych śladów na podłodze ani na ścianach.

Pistolet wysunął mi się z dłoni i stuknął o posadzkę. Pomyślałam: Gdzie to teraz ukryć, gdzie? A miałam na myśli zwłoki mojej siostry.

Zwłoki mojej siostry.

Zanim poczułam miękkość w kolanach i mogłam poddać się impulsowi, żeby osunąć się na ziemię, usłyszałam odgłos z góry. Powoli odwróciłam głowę.

Ponad balustradą wychylała się Laura. Nigdy nie zapomnę przerażenia w jej oczach. Ani widoku otwartych ust, które ułożyły się w niemy krzyk.

## *Sobota, 28 grudnia 1996 roku*

Barbara wpatrywała się w ciemność za oknem, choć nie widziała nic poza nią. Zgasiła światło w pokoju, toteż nie mogła nawet rozpoznać swego odbicia w lustrze. Dopiero gdy w końcu wstała i podeszła do samego okna, zobaczyła śnieg, który błyszczał jasno w blasku światła padającego z wszystkich innych pomieszczeń. Zauważyła już, że przestało padać. Noc była spokojna i cicha.

Przecież to wcale jeszcze nie noc, skorygowała swoje myśli. Spojrzała na zegarek. Za kwadrans siódma. Pora kolacji. O Boże, tylko nie myśleć o jedzeniu!

Czuła się zszokowana i miała mętlik w głowie. Kiedy czytała o śmierci Victorii - o jej e g z e k u c j i, jak pomyślała w pierwszej chwili, gdyż jej zdaniem przypominało to opis egzekucji - poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę.

Relację o tym, co nastąpiło potem, tylko przebiegła wzrokiem: jak Frances i Laura zawlokły zwłoki przez podwórze do garażu, po czym zabrały się za zmywanie krwi, która jednak zaczęła płynąć. Jak w końcu wrócił Peter i z przerażeniem w oczach wysłuchał, co się stało. Pomógł obu kobietom pogrzebać Victorię na torfowisku Whitaside, gdzieś w pobliżu Old Lead Mines. Była akurat jasna, ciepła noc, więc nie musieli zabierać latarni. Żeby przewieźć Victorię samochodem, zawinęli ją w koce.

Wtedy, w 1943 roku, można było działać tak po dyletancku. Dzisiaj, pomyślała Barbara, wszczęto by pewnie dochodzenie, gdyby ktoś zniknął bez śladu. I naturalnie znaleziono by w aucie jakieś nitki i włosy, podobnie w garażu, gdzie zwłoki leżały przez cały wieczór. Ale w tamtych czasach nie było jeszcze zbyt wyrafinowanych metod zabezpieczania śladów. A poza tym nie doszło do żadnego śledztwa.

Jak mówiła Cynthia? „Mieliśmy dosyć innych zmartwień. Choćby wojnę... A z czasem i tak cała historia poszła w niepamięć”.

Od jej rozmowy z Cynthią na ten temat minęło zaledwie parę godzin. Teraz знаła tajemnicę, a mimo to nie mogła wręcz uwierzyć.

Victoria nie wyjechała. Victoria została zamordowana. W kwietniowy wieczór 1943 roku, tu, w tym domu, na tym odludziu, gdzie można było zastrzelić człowieka i nikt tego nie zauważył.

Spalili cały stos bielizny i garderoby Victorii, gdyż jeszcze tej samej nocy uzgodnili wersję, że Victoria po prostu wyjechała, zabierając ze sobą walizkę, w której były

najniezbędniejsze ubrania. W dniu, w którym urodził się syn Johna. Każdy wiedział, jak bardzo cierpiała z powodu swej bezdzietności.

Trzy osoby wiedziały o zbrodni.

- Frances, Laura i Peter - mruknęła do siebie Barbara w ciemności.

Peter wyruszył tydzień później w drogę powrotną do Niemiec. Nigdy więcej o nim nie słyszały.

„Żadnej kartki po zakończeniu wojny, żadnego telefonu, nic”, pisała Frances, „wiele przemawia za tym, że nie dotarł do domu żywy”.

Sama Frances też już nie żyła. Opisała wszystko, co leżało jej na sercu, a potem umarła. Barbara pomyślała o ostatnich zdaniach jej zapisków:

„Często myślę o Victorii, która leży tam, na torfowisku. Zawsze kiedy przychodzi znowu wiosna, kiedy wszystko robi się żółte od wspaniałych narcyzów, kiedy na łąkach pełno jest młodych jagniąt, wtedy zadaję sobie pytanie, czy to było konieczne. Może było inne wyjście. Wiem, wówczas wierzyłam, że inaczej nie zdołam powstrzymać mojej siostry. Ale może, gdzieś głęboko w swoim wnętrzu, nie chciałam wierzyć w nic innego.

Peter zapomniał zabrać książkę, którą Victoria podarowała mu wtedy na Gwiazdkę 1942 roku. Podziękował jej za dedykację, którą mu wpisała na pierwszej stronie. Teraz ją przeczytałam. To słowa wiersza George’a Augustusa Moore’a:

*W sercu każdego człowieka jest jezioro...*

*a on słucha jego monotonnego szeptu*

*rok w rok z coraz większą uwagą,*

*aż w końcu traci siły.*

Zagadkowa Victoria! Jeśli ten wiersz poruszył ją tak głęboko, że wpisała go mężczyźnie, który tyle dla niej znaczył - a mianowicie ratował ją przed wewnętrzną samotnością - to było w niej coś, o czym ona nie wiedziała.

Ale czyż nie ma tego w każdym człowieku? Czegoś, o czym nikt nie wie, co być może objawia się tylko w tej jednej chwili, gdy odpadają z niego zewnętrzne warstwy. W chwili wielkiego smutku. Zwątpienia. Tęsknoty. Albo w chwili miłości.

Staram się myśleć o swojej siostrze Victorii z miłością.

Czasem mi się udaje”.

Żył tylko jeden świadek zbrodni. Laura. Lękliwa i płochliwa stara Laura.

Nie tylko świadek, poprawiła się Barbara. Można ją było nawet oskarżyć o współudział. Pomagała usunąć zwłoki, zacierała ślady. Z drugiej strony miała wtedy szesnaście lat, była niezrównoważona psychicznie...

W duchu zaczęła już przygotowywać mowę obrończą, zaraz jednak odpędziła te myśli. Nie o to przecież chodziło. Laura nie stała przed sądem. Po przeszło pięćdziesięciu latach byłoby to zresztą absurdalne wyobrażenie. Ta poczciwa, mocno podstarzała kobieta. I morderstwo!

W każdym razie Frances dobrze ją wynagrodziła. Przekazała jej w spadku wszystko. Ale z drugiej strony komu innemu miałyby to dać?

Barbara odwróciła się od okna i włączyła z powrotem światło w pokoju. Nagle poczuła się nieswojo, i zirytowało ją to. Tylko dlatego, że wiedziała teraz, iż przeszło pół wieku temu została w tym domu zastrzelona kobieta - i to p r a w i e w akcie obrony koniecznej. Wyobraziła sobie, jak sędzia i prokurator zmarszczyliby czoło, gdyby powiedziała, że to była obrona konieczna. W świetle prawa karnego nie do utrzymania. Zaśmiała się i wystraszyła hysterii, która pobrzmiwała w jej śmiechu.

R a l p h, pomyślała.

Wolałaby nie być sama w tym wielkim domu. W tej zupełnej, odciętej od świata samotności. Uklękła przed kominkiem, pozbierała rozsypane kartki i złożyła je porządnie na stos.

No, czego się obawiasz? - zapytała szyderczo samą siebie. Że duch Victorii powstanie z torfowisk i przyjdzie tutaj, żeby trochę postraszyć?

Wstała i wyszła z pokoju. Kiedy przemierzała korytarz w drodze do kuchni, ogarnął ją zimny dreszcz: podniosły się jej wszystkie włoski na ciele. To pewnie od lodowatego powietrza, które wpełzało do środka przez szpary w starych drzwiach domu. No bo od czego innego?

Odwróciła głowę. Tam, u stóp schodów, stała wtedy Frances. A tutaj, tuż przed otwartymi drzwiami, Victoria. Tam na górze - popatrzyła w górę - błada ze strachu Laura wychylała się za balustradę.

- To było ponad pięćdziesiąt trzy lata temu - powiedziała na głos Barbara.

Poszła śpiesznie do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że herbata jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, i wyłączyła palnik. Wzięła z półki butelkę brandy i pociągnęła spory łyk. A potem drugi. W jej wyposzczonym żołądku alkohol palił jak ogień. Przez chwilę myślała, że zrobi jej się niedobrze, ale uczucie mdłości

natychmiast minęło. Poczowała lekki, przyjemny zawrót głowy.

Kiedy rozległ się ostry dźwięk telefonu, omal nie wypuściła butelki, bo tak się wystraszyła. Ręce jej drżały.

- Dobry Boże! - zawołała ze złością. - Okropne z ciebie strachajło, Barbaro. To na pewno Ralph!

Pośpieszyła do salonu, w dalszym ciągu trzymając w ręku butelkę brandy.

- Tak? - zgłosiła się zdyszana. - Ralph?

- Mówi Marjorie Selley - odezwał się chłodny głos. - Jestem siostrą Laury Selley.

O tak, oczywiście, to pani jest M a r j o r i e - mało brakowało, żeby tak powiedziała, lecz przypomniała sobie, że w zasadzie nie powinna nic wiedzieć o tej kobiecie.

- Tak, panno Selley?

- Przypuszczam, że to pani wynajmuje jej dom. Dzwonię tylko dlatego, że martwię się o siostrę.

- To nie ma jej u pani?

- Dziś przed południem wyjechała. Chciała wrócić do domu.

- Ale wynajęliśmy przecież dom na jeszcze jeden tydzień.

- Wiem o tym. Ale Laura okropnie się martwi z jakiegoś powodu.

- Z powodu śniegu? W domu nic nie jest zepsute - zapewniła Barbara. - Tutaj wszystko w porządku!

Poza tym, że mój mąż błąka się po okolicy i nie mam od niego znaku życia, dodała w myśli.

- Wie pani, moja siostra po prostu źle to znosi, kiedy jest daleko od domu - rzekła Marjorie, a w jej głosie słychać było wyraźnie brak zrozumienia i dezaprobatę. - Za każdym razem kiedy musi wynająć Westhill, siedzi tutaj jak kupka nieszczęścia. Ale tym razem... była, nawet jak na nią, nieprawdopodobnie zdenerwowana. Na pewno wiązało się to także z opadami śniegu.

- Pewnie trudno jej będzie dotrzeć tutaj - zauważyła Barbara. - Śniegu naprawdę napadało niesamowicie dużo. Jesteśmy zupełnie odcięci od świata, choć muszę przyznać, że czuję się lepiej, odkąd działają znowu telefon i ogrzewanie.

- Okropne stare domiszcze - burknęła impulsywnie Marjorie Selley, choć winy za brak prądu nie można było zwać na wiek budynku. - Ciągle się zastanawiam, dlaczego Laura trzyma się go pazurami.

- Westhill to chyba wszystko, co ma - podsunęła Barbara.

Marjorie prychnęła pogardliwie.

- Proszę pani! Dom! Farma! W tej okropnej okolicy! I ta samotność... Jeszcze dziś się cieszę, że swego czasu wyrwałam się stamtąd!

- Pani też tu kiedyś mieszkała? - spytała przytomnie Barbara.

- Ech, to było wieki temu. Podczas wojny, kiedy byłam dzieckiem. Ale zaraz wróciłam do Londynu. Nie czekały mnie tam, rzecz jasna, luksusy, ale zawsze to było lepsze niż Westhill... - Marjorie miała zapewne ochotę mówić dalej, lecz widocznie uzmysłowiła sobie, że przymierza się właśnie do zwierzeń przed zupełnie obcą osobą. - No cóż - oświadczyła - wkrótce pewnie i tak skończy się Laurze to Westhill.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Utrzymanie domu za dużo kosztuje. Tak mówi! Nie bardzo rozumiem, dlaczego to dla niej taki problem. Chodzi mi o to, że nad jej głową ta buda na pewno się nie zawali. Dlaczego więc miałyby utrzymywać wszystko w takim wspaniałym stanie? Dla kogo? Ostatecznie nie ma dzieci. Koniec końców wszystko dostaną Leighowie, a dla kogo, jak dla kogo, ale dla nich naprawdę nie powinna odejmować sobie od ust!

- To najbogatsza rodzina w tych stronach, prawda?

- No cóż, to wielkie bogactwo to też już przeszłość. Dawniej owszem, byli „panami” okolicy, tak to się nazywało. Mają olbrzymi dom i należą do nich praktycznie wszystkie grunty i cała Leigh's Dale. Westhill Farm zawsze była dla nich cierniem w oku, bo dosłownie rozrywała ich posiadłości. Leżała sobie, syta i zamożna, pośrodku. Ale w międzyczasie i tak już wyciągnęli od Laury prawie wszystko.

Barbara przypomniała sobie o umowach kupna.

- Pani siostra powinna mieć właściwie mnóstwo pieniędzy - podsunęła ostrożnie - jeśli odstąpiła Leighom tyle ziemi.

- Wtedy też bardzo mnie to zdziwiło! - podchwyciła Marjorie, w której głosie pojawiło się nagle niemal ożywienie. - Powiedziałam jej: Lauro, teraz masz chyba wreszcie dość pieniędzy! Przecież sprzedawałaś Fernandowi Leighowi wiele akrów najlepszych pastwisk! Wie pani, czasami wydaje mi się, że ona tak lamentuje, bo taką ma naturę. Z drugiej strony wygląda na to, że naprawdę lada chwila będzie musiała sprzedać dom. Chyba że mydli mi oczy.

- To byłaby dla niej tragedia.

- Dla Laury zawsze wszystko jest tragedią! Ale dajmy już temu spokój - Marjorie zmieniła nagle ton głosu, przechodząc od poufalej pogawędki do chłodnej konstatacji - rozmowy telefoniczne są dosyć drogie. Muszę kończyć. A więc, jak powiedziałam, Laura wybrała się w drogę do domu. Jeśli wbrew oczekiwaniom rzeczywiście dotrze do Westhill

przez tę śnieżną pustynię, to niech do mnie krótko zadzwoni. Chcę wiedzieć, czy dotarła na miejsce.

Po odłożeniu słuchawki Barbara zamyśliła się i przeszła do jadalni. Uważała, że cała sprawa jest trochę tajemnicza. Najwidoczniej Laura nie wspomniała siostrze, że odstąpiła Fernandowi Leighowi swoją ziemię za bezcen. Jeśli rzeczywiście popełniła oszustwo podatkowe (akurat Laura?), można to było zrozumieć; nikt nie rozgłasza publicznie takich spraw. Ale w takim wypadku powinna gdzieś **f a k t y c z n i e** mieć te pieniądze, a poza tym dlaczego, będąc u Marjorie, wspomniała, że będzie musiała sprzedać Westhill?

I dlaczego teraz wyruszyła w drogę do Leigh's Dale? To było szaleństwo. Zupełnie abstrahując od tego, że jeśli zjawi się nagle tutaj, naruszy warunki umowy najmu, musiała sobie też jasno uświadamiać, iż wobec mas śniegu raczej nie uda jej się dotrzeć do farmy. Co wzbudziło w niej takie zdenerwowanie i taki niepokój, że mimo wszystko podjęła tę próbę? Czy tylko to, że wyobraziła sobie szkody, jakie śnieg może spowodować w jej domu?

Nie. Barbara pokręciła głową. Możliwe, że Laura, ta wieczna mała skrzywdzona dziewczynka w ciele starej kobiety, jest fanatycznie przywiązana do Westhill, i możliwe, że bardzo się martwi, iż mogło się tam coś stać; ale mimo całego swego zdziwienia i oderwania od życia nie mogła przecież przypuszczać, żeby burza śnieżna, choćby najgwałtowniejsza, zdmuchnęła jej dom albo zrównała go z ziemią. Zwłaszcza że rozmawiała przez telefon z Barbarą i z Ralphem i nie usłyszała żadnych hiobowych wieści.

Jej wzrok padł na stos kartek na podłodze przed kominkiem. Gęsto zapisane strony: kronika życia, kronika morderstwa. Barbara zadała sobie pytanie, czy Laura wie, że Frances pozostawiła ten dokument. Nie wyobrażała sobie jednak, by wiedząc o jego istnieniu, Laura go nie spaliła, jeśli już nie całego, to przynajmniej zakończenia.

Zabójstwo Victorii obciążało także ją. Laura na pewno nie miała żadnego doświadczenia w kwestiach prawnych i prawdopodobnie nie domyślała się, że za to przestępstwo nie można jej już pociągnąć do odpowiedzialności.

I może też myślała, że co najmniej odbiorą jej dom, jeśli historia wyjdzie na jaw. Laura reagowała histerycznie prawie na wszystko; mało więc prawdopodobne, żeby akurat tutaj okazała opanowanie.

Pewnie nie wie o istnieniu tej relacji, stwierdziła w duchu Barbara, a może jednak?

Przypomniała sobie, że sama znalazła manuskrypt w zupełnie przypadkowy sposób. W skrytce pod deskami podłogi w szopie. W miejscu, do którego normalnie nikt się nie zbliżał.

Wtem przysła jej do głowy zupełnie nowa myśl: Laura wie o istnieniu tych zapisków.

Ale nie udało jej się ustalić, gdzie zostały ukryte. To by tłumaczyło jej chorobliwą nerwowość. Marjorie powiedziała, że Laura zamieniała się w istną kupkę nieszczęścia, ilekroć musiała wynająć i opuścić Westhill.

Nic dziwnego! Siedziała jak na rozżarzonych węglach. Gdzieś w domu leżała ukryta relacja, która oprócz wielu innych zdarzeń opisywała także jej pomoc w usunięciu zwłok. Na pewno cierpiała straszliwe męki, bojąc się, że któryś z gości może coś znaleźć.

A tym razem jest szczególnie źle, myślała Barbara. Burza śnieżna! Ona wie, że nie wyściubiamy nosa, tylko siedzimy w domu kamieniem. A wskutek tego mamy jeszcze więcej czasu i okazji niż inni, żeby myszkować i wtykać nos w sprawy, które nie powinny nas wcale obchodzić - i dokładnie tak zresztą zrobiliśmy.

Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie na myśl, że Laura mogłaby nagle dosłownie wpaść jak - śnieżna - burza. Ciekawe, czy potrafiłabym się wtedy zachowywać naturalnie, przemknęło jej przez głowę.

Nie będę się wtrącać, postanowiła, nie wiem o niczym. Odłożę te papiery z powrotem do schowka, a potem o wszystkim zapomnę. Od tego morderstwa minęło przeszło pół wieku. Ono nie ma już znaczenia.

Im dłużej patrzyła na stos kartek, tym bardziej pilna wydawała jej się konieczność ich ukrycia. Ta historia nie powinna trafić w ręce jeszcze kogoś innego. Na razie zanieś je na górę i umieści pod swetrami w swojej szafie na ubrania, a jutro odnieś cały pakunek na dawne miejsce w szopie. A może jednak powinna tam pójść od razu? Dreszcz ją przejął na myśl o chłodzie i ciemności, ale gdyby Laura w końcu - co było bardzo mało prawdopodobne - przyjechała jeszcze w nocy, to następnego dnia nie byłoby już okazji. Powinna więc...

Jakiś łoskot wyrwał ją z tych rozmyślań, a serceomal nie przestało jej bić na kilka sekund. To było łomotanie do drzwi domu. Ktoś zastukał głośno, a po chwili otworzył drzwi. Barbara przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi na klucz. A w tym momencie odgłosy przypominały otrzepywanie śniegu z butów.

Laura! Pomyślała.

Natychmiast jednak pojęła, że to nie może być Laura. Nie w tak krótkim czasie. Nie w taką pogodę.

- Ralph! - zawołała i wybiegła na korytarz.

Przed nią stał Fernand Leigh.

Policzki miał zaróżowione z zimna. Sprawiał wrażenie mocno wyczerpanego, oddychał ciężko. Ubrany był ciepło: w czapkę, szalik, skafander i rękawiczki. Na nogach miał buty



narciarskie, do których nadal lepiło się mnóstwo śniegu, chociaż już je otrzepał. Śnieg odrywał się od nich drobnymi grudkami i topniał na flizowej posadzce.

- Przepraszam, że robię tutaj małą powódź - powiedział - ale to na zewnątrz rzeczywiście przypomina śnieżną pustynię.

Tylko się w niego wpatrywała, wciąż zbyt wystraszona, żeby wydobyć z siebie jakieś słowo.

- Nie powinienem był pakować się tutaj tak bez zapowiedzi - stwierdził i zaczął się rozbierać. Zdjął z głowy czapkę i odgarnął dłonią do tyłu ciemne włosy. - Drzwi były otwarte, więc...

Zdanie pozostało niedokończone, jakby w tych niewielu słowach podał wystarczające wyjaśnienie swojej wizyty. Zdjął z ramion duży plecak, którego Barbara w pierwszej chwili w ogóle nie zauważyła. Z ulgą postawił go na podłodze.

- Dobry Boże, ależ to waży! - powiedział.

Wreszcie Barbara odzyskała mowę.

- Skąd pan właściwie się tutaj wziął? - zapytała.

- Z domu. Przyjechałem na nartach. Na szczęście pani dom jest oświetlony jak choinka, więc miałem punkt orientacyjny dobrze widoczny już z daleka. W sumie jednak droga zajęła mi co najmniej trzy razy więcej czasu niż latem, kiedy przychodzę na piechotę.

- Dlaczego?

- Dlaczego zajęło mi to tyle czasu? No cóż, jest...

- Nie to mam na myśli. Dlaczego odwiedza nas pan w taką okropną pogodę?

Wskazał ręką plecak.

- Pamięta pani nasze krótkie spotkanie przed świętami w sklepie Cynthii? Zauważyłem wtedy, że kupiliście ledwo tyle, żeby starczyło dla wróbla. A zaraz potem zasypał nas śnieg. Poza tym znam poczciwą starą Laurę Selley. Wyjeżdżając, nigdy nie zostawiłaby zapasów żywności. Pomyślałem więc sobie, że pani i pani mąż jesteście już na pewno nieźle wygłodzeni.

Barbara poczuła nagle miękkość kolan. Wskazała plecak.

- Chce pan powiedzieć, że jest tu coś do jedzenia? - zapytała ochryplym głosem.

- Dosyć, żeby nasycić drużynę piłkarską - odparł Fernand Leigh z niejaką dumą.

Powiesił swój skafander na wieszaku. Okazało się, że pod okryciem ma na sobie biały sweter z grubej owczej wełny i stare jak świat dzinsy. Przyjrzał się Barbarze, wyciągnął rękę i leciutko dotknął jej podbródka.

- A co pani sobie tu zrobiła?

Zapomniała, że jej podbródek wciąż jeszcze mieni się wszystkimi kolorami tęczy.

- Upadłam - wyjaśniła.

W jego oczach dostrzegła wyraz niedowierzania. Przypomniała sobie, że dokładnie tak brzmiała zwyczajowa wymówka jego żony, kiedy ta próbowała wyjaśniać, skąd się wzięły siniaki i blizny na jej twarzy.

- To nie był mój mąż - powiedziała nieco z przekąsem. - Ja naprawdę upadłam.

Fernand Leigh roześmiał się.

- A czy ja podejrzewałem pani męża? Mam małe pytanie, Barbaro, czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, gdybym odpoczął tutaj godzinę? Mówiąc szczerze, jestem nieźle zmachany.

- Może pan zostać, jak długo pan chce. Nie przeszkadzałoby panu, gdybyśmy poszli od razu do kuchni...?

Teraz, kiedy perspektywa jedzenia pojawiła się w bezpośredniej bliskości i Barbara nie musiała odsuwać od siebie każdej myśli o pożywieniu, głód rzucił się na nią niczym wróg, którego nie sposób kontrolować. Jej żołądek kurczył się wściekle, dopominając się o swoje prawa. Serce zaczęło jej bić szybciej, wprawiając ciało w wibracje. Drżącymi z łapczywości palcami rozpakowywała plecak, a czuła się przy tym jak człowiek, przed którym nieoczekiwanie otwiera się raj. Nigdy wcześniej z taką wyrazistością nie zdawała sobie sprawy z tego, że pragnienia człowieka mogą zostać zredukowane do zaspokojenia jednej tylko potrzeby: jedzenia. Gotowa byłaby wręcz całować stopy Fernanda.

Na stole kuchennym piętrzyły się chleb, masło, ser i szynka, jaja, zimna pieczeń, kilka konserw z różnymi gotowymi daniami, duża główka sałaty, pomidory, awokado, orzechy i owoce oraz pudding ze śliwkami. Na koniec Barbara wyciągnęła jeszcze dwie butelki wina.

- Wielkie nieba, ale skarby - powiedziała z uznaniem.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Powinniśmy przygotować wszystko naprawdę ładnie - zaproponował. - Gdzie są talerze i sztućce?

Nie mogła się powstrzymać i też się zaśmiała.

- Przed chwilą pewnie pan zauważył, że najchętniej rzuciłabym się na jedzenie z zębami i pazurami, prawda?

- Mniej więcej - potwierdził. Zdjął z półki świecę i postawił ją na stole. - A gdzie właściwie pani mąż? - zapytał mimochodem.

Z jakiegoś powodu wołała od razu nie mówić mu, że jest sama. Teraz jednak musiała powiedzieć prawdę - zresztą własne zastrzeżenia wydały jej się nagle dziecinne.

- Mój mąż wyruszył dzisiaj rano do Leigh's Dale - wyjaśniła - żeby kupić żywność. Nie mogliśmy przecież przypuszczać, że...

Wykonała ręką ruch, którym objęła stół z wszystkimi wspaniałościami, jakie na nim leżały.

- Warunki na dworze są takie - rzekł Fernand - że dziś raczej już nie wróci.

- Gdybym przynajmniej wiedziała, czy w ogóle gdzieś doszedł! Nie miałam o nim żadnych wieści. Cynthia Moore obiecała mi, że natychmiast do mnie zadzwoni, kiedy Ralph zjawi się u niej. Wygląda jednak na to, że do tej pory się nie zjawił.

Jak głupio może się w życiu układać, pomyślała. Ralph błąka się gdzieś na zewnątrz, a ja siedzę tutaj przed górą jedzenia. Gdyby został w domu... Ale kto mógł przypuszczać?

- Kiedy nasypało tyle śniegu, trudno jest trzymać się kierunku, zwłaszcza komuś, kto nie zna okolicy - oświadczył Fernand. - Nawet ja omal nie zabłądziłem po drodze, a mieszkam tutaj od urodzenia.

Siódmego kwietnia 1943 roku, pomyślała mechanicznie Barbara.

- Mało prawdopodobne, że pani mąż trafi akurat do Cynthii - ciągnął Fernand. - Pewnie wylądował gdzie indziej.

- Ale tak czy owak zadzwoniłby do mnie.

- Barbaro, tutaj wszędzie telefony nie działały przez wiele dni. Z pewnością są farmy, które nadal nie mają połączenia ze światem. Prawdopodobnie nie miał możliwości i po prostu nie mógł zadzwonić.

- Mam nadzieję, że przynajmniej nic mu się nie stało.

- Na pewno. Nasza okolica jest co prawda diabło odludna, ale nie jest to też zupełna pustynia. Z pewnością znalazł jakieś miejsce, gdzie będzie mógł spędzić noc.

- Bardzo źle czuję się z tym, że ja sobie siedzę tutaj w ciepłe i mam co jeść.

- Przypuszczalnie on też siedzi w ciepłe i je - a jego z kolei dręczą wyrzuty sumienia, bo sądzi, że to pani musi znowu głodna iść do łóżka. Rozsądniej byłoby, gdybyście oboje cieszyli się tym, co macie.

Jaki on miły, pomyślała Barbara. Przyglądała mu się, gdy szybko i zgrabnie nakrył stół, położył obok sztuczków serwetki, a przyniesione jedzenie umieścił na kilku tacach i półmiskach. Na koniec otworzył jedną z butelek wina i zapalił stojącą na stole świecę.

- No - powiedział - a teraz życzę pani smacznego!

Nie dała się dwa razy prosić. Zanurzyła się w morzu rozkoszy podniebienia. Z początku jadła śpiesznie, łapczywie, tak jakby się bała, że ktoś może jej w każdej chwili odebrać to wszystko. Potem zwolniła tempo, jadła spokojniej, bardziej oddając się zmysłowej

przyjemności. Oprócz tego mogła wsłuchiwać się w wycie zimnego wiatru za oknem i wbijać wzrok w ciepły płomień grubej czerwonej świecy, która stała przed nią na stole. Przez cały czas nie wypowiedziała ani słowa.

Dopiero gdy skończyła i odchyliła się na oparcie krzesła, oświadczyła z głębokim zadowoleniem:

- Nie wiedziałam, że coś może być takie dobre.

On też nie odzywał się wcześniej, tylko wciąż ją obserwował.

- Podoba mi się pani sposób jedzenia - rzekł w końcu.

- No... to niezupełnie mój normalny sposób jedzenia. Zazwyczaj nie pałaszuję w takim tempie.

- Szkoda. Podobała mi się pani taka... taka szukająca przyjemności i łapczywa.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Teraz, kiedy zaspokoila głód, potrafiła znowu myśleć jasno - w każdym razie częściowo jasno, gdyż wino szumiało jej lekko w głowie.

Fernand Leigh. Syn Johna Leigha. Syn mężczyzny, od którego Frances Gray nie potrafiła się uwolnić, ale i odwrotnie: mężczyzny, który nigdy nie wyrzekł się Frances. Czy John też tak wyglądał? Fernand Leigh był wysoki, takiego wzrostu jak Ralph, ale szerszy w barach i silniej zbudowany. Czarne włosy i ciemnobrązowe oczy miał pewnie po Marguerite, swej francuskiej matce. Twarz miał szczupłą, poraną zmarszczkami w sposób typowy dla ludzi, którzy przez całe życie dużo przebywają na świeżym powietrzu. Nie wyglądał ani młodziej, ani starzej niż na swoje lata, czyli pięćdziesiąt trzy. Cynthia mówiła, że pił za dużo, najwidoczniej był to w rodzinie problem dziedziczny. Barbara pomyślała o jego żonie i poczuła wzbierającą irytację, gdy spróbowała wyobrazić go sobie jako pijaka, który bije tę kobietę. Kiedy tak przed nią siedział, wydawał się spokojny i opanowany. I jakie to było miłe z jego strony, że pofatygował się i przyniósł im jedzenie.

„Powinniśmy przygotować wszystko naprawdę ładnie” - powiedział i nakrył do stołu. Zwróciła uwagę na jego zręczność manualną. Na ręce, którymi w tamtym śnie...

Czym prędzej usiadła prosto na krześle.

- Trochę tu ciepło, nie uważa pan? - zapytała.

- Moim zdaniem jest całkiem przyjemnie, bo dzięki temu zaczynam powoli tajać. Jeszcze trochę wina?

Skinęła głową. W czasie gdy jej dolewał, wstała i podeszła do okna. Odsunęła zasłonę i wyjrzała na zewnątrz. Wiatr przybrał na sile i huczał jeszcze głośniej.

- Co za noc! - powiedziała przejęta nagłym dreszczem. - Ale przynajmniej śnieg przestał padać!

Mimo że w kuchni było ciepło i przytulnie, czuła wręcz panujący na zewnątrz lodowaty chłód. Wiedziała, że musi zaproponować Fernandowi, aby został w Westhill do następnego ranka.

Głupia sytuacja, pomyślała nerwowo.

Teraz, kiedy czuła, że jej żołądek jest już pełny i ciężki, wspomnienie głodu stało się mgliste. Jeszcze godzinę temu uściskałaby Fernanda z wdzięczności, teraz wołałaby nie być w sytuacji, w jakiej się znalazła. Wołałaby być znowu sama. Albo żeby Ralph był z nią.

Czego ty się właściwie boisz? - zadała sobie pytanie. Sądziysz, że on nagle rzuci się na ciebie?

Wewnętrzny głos podpowiadał, że nie, i zamierzał właśnie udzielić jej odpowiedzi, lecz Barbara wcale nie chciała go słuchać. I bez tego wiedziała, czego się boi: boi się samej siebie.

Szybko odwróciła się od okna.

- Myślę, że dziś wieczór nie powinien pan już wracać do domu - powiedziała rzeczowo. - Może pan tu przenocować, a rano wyruszyć w drogę powrotną.

Fernand skinął głową.

- Chętnie przyjmę pani propozycję. Przedzieranie się teraz z powrotem przez śnieg jeszcze raz trzy godziny - to dość niemiła perspektywa.

- A więc załatwione. Chce pan zadzwonić do żony, żeby ją powiadomić?

- Na pewno sama się domyśli. - On również się podniósł. - Wie pani, co? Pani usiądzie sobie teraz wygodnie przed telewizorem, a ja pozmywam naczynia.

- To nie wchodzi w rachubę. Zrobimy dokładnie na odwrót.

- Możemy też razem pozmywać.

- Mam jeszcze lepszy pomysł - oświadczyła Barbara. - Zostawimy naczynia niemyte i pozmywamy je jutro rano.

Pochowali żywność do lodówki i wzięli drugą butelkę wina do salonu, gdzie usiedli przed telewizorem i obejrzelik jakąś amerykańską komedię. Barbarze nie udało się tak naprawdę odprężyć, jednak wino sprawiło, że jej nerwowość została przytłumiona. Przez cały czas miała gorącą nadzieję, że Ralph zadzwoni - teraz nie chodziło jej aż tak bardzo o jakiś znak życia, tylko o to, by poczuć jego obecność, usłyszeć jego głos, upewnić się, że żyje. Ale przez cały wieczór panowała cisza.

W pewnym momencie Fernand powiedział:

- Chyba pójdę już spać.

Ona natychmiast podniosła się również i oświadczyła:

- Pokażę panu pański pokój i gdzie znajdzie pan pościel.

- Dziękuję - odrzekł i ruszył za nią po schodach na górę.

Otworzyła pierwsze drzwi po prawej stronie. Jeden z mniejszych pokoi, także tutaj paliło się światło, bo przecież włączyła każdą lampę w domu, żeby wskazać mężowi drogę.

- Na szczęście naprawdę nie brakuje tutaj sypialni - powiedziała i zaśmiała się nerwowo - a pościel panu...

- Nie wiem, co szczęśliwego ma być w tym, że jest tu tyle sypialni - rzekł cicho. Ujął ją za ramię i obrócił do siebie.

- Tak nie można - zaprotestowała zupełnie bez przekonania.

- A niby dlaczego nie? - zapytał i pocałował ją.

Później myślała, że jej hormony w jakiś fatalny sposób musiały oszaleć. A może to było normalne po półtora roku zupełnej wstrzemięźliwości seksualnej, choć nigdy nie uznawała jej za coś negatywnego. Zbyt była zajęta, żeby przynajmniej od czasu do czasu zastanowić się nad tym, czy jej, jej ciało, może czegoś brakować. W jakimś sensie zawsze uważała, że seks ma coś wspólnego z brakiem dyscypliny. Nie prowadził do niczego, a więc można było zeń zrezygnować i zamiast tego szlifować mowę obrończą na następny dzień albo przestudiować jakieś akta.

A jednak coś musiało do tej pory umknąć jej uwagi.

Nie pamiętała, jak pozbyli się swoich ubrań. Pamiętała tylko, że prawie nie mogła wytrzymać z niecierpliwości. To było dokładnie to samo odczucie co wcześniej w kuchni, kiedy najchętniej wbiłaby zęby w szynkę i gołymi rękami rozrywała pieczeń na kawałki, a następnie zapychała sobie nimi usta. To była taka sama żądza, taki sam głód. Kulturalna, opanowana Barbara zniknęła gdzieś w tyle. Pozostała tylko istota, która nie pragnęła już niczego oprócz natychmiastowego wybawienia.

Szeptala mu do ucha niemieckie słowa, bo opuściła ją jej angielszczyzna, a mimo to Fernand wydawał się je rozumieć. Padli na łóżko, w którym miał sam spędzić noc, i kochali się na gołym materacu pod puszystą pierzyną, gdyż na powleczenie pościeli nie starczyło im czasu. W pewnym momencie Barbarze przemknęło przez głowę, żeby zapytać Fernanda, czy pamiętał o zamknięciu na klucz drzwi domu, wcale bowiem nie można było wykluczyć, że Ralph jednak jeszcze się zjawi. Ale pytanie to dawno poszło w zapomnienie i Ralph dołączył do spraw, które nie miały już w tej chwili żadnego znaczenia.

Nigdy dotąd nie poznała swego ciała od tej strony. Nie podejrzewała nawet, że zdolne jest do takich odczuć. Nie wiedziała, jak to jest rozpląnąć się w rozkoszy i przez kilka sekund

nie bać się nawet śmierci. Być bezwstydną i wymagającą, na przemian błagać, a potem znowu napawać się chwilą, kiedy to on błaga. Obojętny jej był własny wygląd i co on o niej myśli, nie interesowało jej, czy pobrudzą łóżko. Pragnęła seksu łagodnego i przymilnego, pragnęła seksu ostrego i pozbawionego wrażliwości, pragnęła seksu we wszelkich odmianach. A przede wszystkim chciała, żeby trwał bez końca.

W końcu oboje już nie mogli.

Leżeli obok siebie, jakby skoszeni przez kule, i dyszeli głośno. Barbara miała wrażenie, że boli ją całe ciało, ale to był ból, którym się napawała, bo oznaczał, że żyje. Wydawało jej się, że serce bije jej tak mocno, iż łóżko powinno drżeć. Twarz miała mokrą od potu. W ciągu ostatniej godziny straciła kontrolę nad sobą, a więc stało się to, czego się najbardziej obawiała.

Ku jej zaskoczeniu nie było jednak tak źle. Świat się nie skończył, i ona też nie umarła. Wydawało się raczej, że życie zalało ją nową falą, że natura wzięła sobie to, co ona jej odebrała, i było to przyjemne uczucie. Jakże cudowne uczucie! A ona znów stała się jego częścią. Płynęła z prądem, a nie pod prąd. Miała wrażenie, że skończyła się długa wyczerpująca walka. I poczuła taką ulgę, że aż jęknęła cicho.

Fernand źle zrozumiał jej jęknięcie i niemal z błaganiem w głosie powiedział:

- Tylko nie znowu! Jeszcze krótka przerwa!

Przywarła mocniej do niego. Leżała przytulona plecami do jego piersi, on otaczał ją mocno ciepłym ramieniem.

- Nie ma obawy - szepnęła. - Na razie ja też jestem dosyć wykończona!

Zaśmiał się cicho.

- Nic dziwnego. Nigdy dotąd nie spotkałem takiej kobiety jak ty. Jesteś jak wulkan, wiesz o tym?

- Zawsze sądziłam, że jestem oziębła.

- Dobry Boże! - Wydawało się, że na chwilę faktycznie go zatkało. - Kto wmówił ci coś takiego?

- Nikt. Po prostu tak sądziłam.

- Jeśli ty jesteś oziębła, to należałoby sobie życzyć, żeby na świecie roiło się od oziębłych kobiet. Nigdy nie słyszałaś, że jeśli kobieta nie znajduje przyjemności w seksie, to może tak być z winy mężczyzny?

Jak na macho z sielskiego Yorkshire, uznała Barbara, wygłasza zadziwiająco postępowe sądy.

- W moim przypadku nie było to chyba takie proste - odparła w zamyśleniu.

Jego dłoń pieściła czule jej ucho.

- Opowiedz mi o sobie. Nic przecież o tobie nie wiem. Kim jesteś, Barbaro?

- Niewiele jest do opowiadania - odparła.

Tej nocy opowiedziała mu to, czego wcześniej nie mówiła nikomu: że była gruba i brzydka, że żaden chłopak nigdy na nią nie spojrział. Fernand w dalszym ciągu obejmował ją ramieniem i słuchał spokojnie. Czowała na karku jego ramię, a na plecach bicie jego serca. W pewnym momencie zaczęła płakać, ale jemu nie przeszkadzały nawet jej łzy. Pozwolił jej się wypłakać.

Nikomui dotąd nie zwierzyła się tak szczerze, nawet Ralphowi. W jego obecności, a także w kręgu przyjaciół, kiedy rozmowa schodziła czasem na temat okresu, gdy mieli po kilkanaście lat, mówiła: „Byłam wtedy pulchnym stworzeniem, z którym nikt nie chciał tańczyć!”. Ale śmiała się przy tym i po twarzach innych widziała, że uważają to za kokieterię i przesadę, wydawało się bowiem niepodobieństwem, żeby tej szczupłej Barbarze, pięknej, eleganckiej, odnoszącej sukcesy i godnej pożądania Barbarze kiedykolwiek było naprawdę źle.

Gdy któraś z przyjaciółek wołała wtedy: „Ty byłaś kiedyś puszysta i niepozorna? Nie wierzę!”, Barbara cieszyła się ogromnie, gdyż chciała sprowokować dokładnie taką reakcję. A mimo to w głębi duszy pozostawała chłodna i samotna, bo nikt nie dostrzegł w niej i nie pocieszał skrzywdzonego dziecka.

Opowiedziała też Fernandowi o samobójstwie swojego klienta. Rozryczała się przy tym na nowo i Fernand musiał w końcu wstać z łóżka i poszukać dla niej chusteczki, żeby mogła oczyścić nos.

- Na pewno nie spodziewałeś się tego - stwierdziła na koniec. - Kobiety w swoich ramionach, która w dodatku tylko beczy!

- Nie prosiłbym cię, żebyś opowiedziała mi o sobie, gdybym był zainteresowany tylko twoją fasadą - odparł. - Możesz mówić tak długo, jak chcesz. I możesz płakać tak długo, jak chcesz.

Nagle w przyjemny i napęlniający zadowoleniem sposób poczuła się zmęczona.

- Myślę, że teraz będę już spać - mruknęła.



## *Niedziela, 29 grudnia 1996 roku*

Laura przez całą noc nie zmrzyła oka, co pół godziny zapalała światło, żeby zobaczyć, która godzina. Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Drżała z niecierpliwości, żeby móc wreszcie jechać dalej. Bądź co bądź zdołała dotrzeć do Leyburn, czyli dalej, niż przepowiedziała jej Marjorie: „Dojedziesz najwyżej do Northallerton! Tylko nie wyobrażaj sobie, że o tej porze odchodzi stamtąd jakiś autobus!”.

Okazało się, że jeszcze złapała autobus. Droga była całkiem porządnie odśnieżona, choć jak opowiadał kierowca, w międzyczasie śniegu napadało na nowo. Jednak Laura od początku wiedziała, że problemem nie będzie główna szosa. Problemem był odcinek między Leigh's Dale a Westhill Farm.

Autobus skończył jazdę w Leyburn. Był późny wieczór i nie miała już możliwości dalszej podróży. Najchętniej poszłaby na piechotę, lecz zmusiła się do opamiętania. Zasięgnęła informacji, kiedy odjeżdża pierwszy autobus następnego ranka - niestety, jak się okazało, nie wcześniej niż o dziesiątej, bo była to niedziela - i przystąpiła do szukania noclegu. Znalazła pensjonat ze śniadaniem otwarty między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, pokoje były jednak dosyć zaniedbane i brudne, a jedyna jego zaleta polegała na tym, że nocleg kosztował tylko dziesięć funtów. To tam położyła się w końcu na noc, rozmyślała i czekała na świt.

O wpół do siódmej wstała. Na zewnątrz panowały jeszcze egipskie ciemności. Otworzyła okno i wystawiła głowę na zewnątrz: obawiała się, że znowu zacznie padać śnieg. Powietrze było jednak zimne i suche. W świetle latarni ulicznych widziała potężne zwały śniegu piętrzące się po obu stronach ulic. Dawały jej przedsmak tego, co ją czekało, kiedy wysiądzie w Askrigg z autobusu i - jeśli nie znajdzie okazji dalszej jazdy - będzie się przedzierać najpierw do Leigh's Dale, a potem do farmy. Lepiej na razie w ogóle o tym nie myśleć. Problemy pojawią się same wystarczająco wcześnie.

Ubrała się i zastanawiała, czy mogłaby już zejść na śniadanie. Nie słyszała w budynku żadnych odgłosów. Właścicielka na pewno jeszcze śpi i byłaby zła, gdyby Laura ją zbudziła.

Przecież mój autobus tak czy owak odjeżdża dopiero o dziesiątej, pomyślała Laura i westchnęła głęboko, wyobraziwszy sobie, jak długo jeszcze będzie musiała czekać. Usiadła na jedynym krześle w pokoju - starym jak świat szkaradzieństwie, które nawet pod jej niewielkim ciężarem ugięło się, skrzypiąc, niemal do podłogi - i zaczęła się zastanawiać.

Ta kobieta z Niemiec, ta Barbara, tak jakoś dziwnie mówiła. Laura była całkowicie pewna, że się nie myli, choć nie potrafiła dokładnie nazwać tego, co wydawało jej się takie dziwne w jej głosie. Sprawiała wrażenie nieobecnej, zamyślonej. Jakby koncentrowała się w duchu na czymś, co bardzo zaprzęta jej uwagę.

Naturalnie możliwe, że coś chodziło jej po głowie, problemy małżeńskie lub kłopoty zawodowe, ale instynkt podpowiadał Laurze, że to ona sama była przedmiotem irytacji Barbary. Wiedziała, że Marjorie powiedziałyby jej teraz, że to co uważa za swój instynkt, to nic innego jak obsesja, która każe jej odnosić wszystko do siebie i do własnych problemów. Że w ogóle nie potrafi już sobie wyobrazić, że ludzie zajmują się czymś innym oprócz niej. A jednak...

Dotarła do takiego punktu w swoim życiu, w którym ciągle istniała groźba poddania się zwątpieniu. Od śmierci Frances bez przerwy walczyła o utrzymanie Westhill, a kłopoty wyczerpały ją i odebrały jej siły. Czasami czuła się jak kawałek mięsa, z którego wyciekła cała krew.

Wraz ze śmiercią Frances wyszło źródło siły i pewności, z którego Laura czerpała jeszcze jako mała dziewczynka. Wraz ze śmiercią Frances utraciła po raz drugi matkę, odtąd była bezradna i pozostawiona samej sobie. I nie miała w rękach nic oprócz domu. Dręczyło ją, że musi odstępować Fernandowi Leighowi ziemię kawałek po kawałku, za każdym razem pocieszała się jednak tym, że i tak nie prowadzi na farmie żadnej działalności i dlatego nie ma znaczenia, czy posiada kilka pastwisk mniej czy więcej.

Od tego czasu nie potrafiła jednak spojrzeć bez wstydu na fotografię Frances. Wiedziała, że Frances kręciłyby głową. Ona nie miała zrozumienia dla słabości, nigdy go nie miała. Laura wyobrażała sobie wprost, że słyszy ją, jak mruczy: „Co mnie podkusiło, że zostawiłam wszystko małej Laurze, tej pustej głowie, w dodatku podszytej strachem? To okropne, że nie było innej możliwości! Teraz roztrwoni wszystko, co kiedyś należało do mnie!”.

- Obiecuję ci, że domu nie oddam - wyszeptała Laura.

Ale Leigh chciał domu, wiedziała o tym. Od samego początku go chciał. Znała go jako człowieka, który bezwzględnie dąży do celu, kiedy już nabił sobie czymś głowę.

Znów poczuła, jak z wolna ogarnia ją panika. Całe ciało zaczęło ją swędzieć. Tylko spokojnie, napomniała samą siebie, spokojnie.

Z pewnym wysiłkiem wygramoliła się z wysiedzianego fotela. Ten grat to śmiertelne zagrożenie dla jej trapionych reumatyzmem stawów! Za długo w nim siedziała; na zewnątrz zrobiło się tymczasem jasno. Bładoszary zimowy poranek. Chmury, które zapowiadały nowe

opady śniegu. Mętne, zimne światło.

Najpierw musi ustalić, co wie ta Barbara. Potem zabierze się do sprawy Fernanda Leigha. Najpierw jedno, potem drugie. A na samym początku śniadanie. Filiżanka gorącej herbaty...

Przeczuwała jednak, że herbata jej dziś nie pomoże.

Barbara spała długo i mocno, a kiedy się przebudziła, z początku kręciło jej się w głowie i nie była w stanie jasno myśleć. Na dworze było już widno - nie wiadomo, czy tego dnia w ogóle będzie jaśniej - a ponieważ zasłony nie były zasunięte, w pokoju dało się rozpoznać wszystkie sprzęty. Szafa i komoda, lustro, tkany dywan na ścianie - to nie był jej pokój! Leżała sobie rozkosznie i ciepło pod grubą pierzyną, ale jak się teraz okazało, pierzyna nie była powleczone, podobnie zresztą jak poduszka i materac.

W chwili kiedy zmieszana obrysowywała palcami wyblakły wzór na materacu, załapała ją nagle fala wspomnień, przynosząc ze sobą wyraźne obrazy. Przez kilka sekund Barbara leżała w łóżku oniemiała i oszołomiona, żywiąc w duchu rozpaczliwą nadzieję, że może to tylko sen, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Ale zamiast tego przed jej oczyma pojawiało się coraz więcej obrazów minionej nocy. Zakręciło jej się w głowie. Obcy mężczyzna. Poszła do łóżka z zupełnie obcym mężczyzną, o którym prawie nic nie wiedziała, a to, co o nim wiedziała, powinno ją bezwarunkowo odstraszyć. Nic jednak jej nie odstraszyło, przeciwnie, oddała mu się pięć albo sześć razy z rzędu, w ogóle nie mogła przestać, dała z siebie wszystko aż do zupełnego wyczerpania. To łóżko, w którym leżała, musiało być przesiąknięte potem i spermą; bo w swej lubieżności - pomyślała to słowo świadomie i z pewną brutalną satysfakcją - nie zdobyła się nawet na odrobinę przyzwoitości, która nakazywała skorzystać przynajmniej z własnego łóżka. Poza tym powierzyła temu mężczyźnie cały szereg swoich najskrytszych tajemnic i opowiadając mu wszystko, czuła się dobrze. W ogóle, jak pamiętała, przez cały czas czuła się dobrze. Wyzwolona. Od uczucia wstydu, od niechęci, od swej klinicznej sterylności.

A teraz?

Bardzo dobrze, Barbaro, powiedziała sobie. Wszyscy macho na świecie byliby tobą zachwyceni. Wreszcie żywy przykład potwierdzający prymitywny pogląd, że jedyną rzeczą, jakiej potrzebuje kobieta w złym humorze, jest dobre rżnięcie, a wtedy świat wygląda zupełnie inaczej!

Wcale tak jednak nie było. Ona w dalszym ciągu była sobą. Dostrzegła u siebie stronę, której dotąd nie знаła, lecz nie stała się przez to kimś innym. Od wczorajszego wieczoru

Ziemia obróciła się o kolejny kawałek, znowu był dzień, a Barbara była Barbarą. Nie wiedziała, co w nią wstąpiło. Zdradziła męża, kiedy ten wyruszył w drogę w nadzwyczaj trudnych warunkach, żeby zdobyć dla nich coś do jedzenia. I Fernand Leigh zdradził swoją żonę, która i bez tego miała z nim krzyż pański. Nie lubiła bardzo wielu rzeczy u mężczyzny, z którym się przespała. A teraz poczuła pilną potrzebę, żeby postać, i to długo, pod gorącym prysznicem.

Wstała z łóżka i pozbierała leżące w różnych miejscach części swojej garderoby. Gdy wyszła na korytarz, poczuła bijący z dołu zapach smażonego boczku i kawy. Przypomniało jej się, że kiedyś podczas lektury relacji Frances Gray wyobraziła sobie dokładnie tę atmosferę: chłodny zimowy poranek, zapach kawy i smażonego boczku, rodzina w dobrych humorach gromadząca się na śniadaniu.

Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby na dole czekała na nią rodzina: rodzeństwo, z którym można by się kłócić, matka, której można by opowiadać złe sny. Ale zamiast rodziny czekał tam na nią mężczyzna, o którym wiedziała z coraz większym przekonaniem, że wolałaby go nigdy nie spotkać.

Wzięła długi prysznic, po czym poszła do swojego pokoju i włożyła świeże rzeczy. Umalowała się starannie, nie kierując się jednak chęcią spodobania się Fernandowi, tylko potrzebą zbudowania pewnej nieprzystępności, jaką stwarza maska. Widok własnej twarzy w lustrze, pięknej, lecz sprawiającej trochę sztuczne wrażenie, pomógł jej odzyskać równowagę. Na szyi i na piersiach odkryła kilka czerwonych śladów mogących ją zdemaskować, toteż ucieszyła się, że zasłonił je granatowy golf, który zdecydowała się włożyć. Znowu była zdyscyplinowaną, odnoszącą sukcesy adwokatką. Teraz musi zadbać o to, żeby Fernand opuścił dom przed powrotem Ralpa.

Kiedy Barbara zeszła na dół, kuchnia była pusta. Na stole - nakrytym talerzykami i filiżankami, ozdobionym świecą i gałązkami jodły - stały trzy podgrzewacze, a na nich przykryte miski. Barbara zajrzała do środka. Jajecznicza na boczku, gorące kiełbaski, smażone pieczarki z pomidorami. Wtyczka tostera była już w gniazdku, obok leżało kilka kromek pszennego chleba. W termosie musiała być gorąca kawa.

- Jest bezbłędny - mruknęła z uznaniem Barbara.

Rozejrzała się w nadziei, że znajdzie karteczkę z informacją, że Fernand już wyszedł, ale nic takiego nigdzie nie odkryła. Poza tym jego nakrycie, podobnie jak jej, było nieużywane. Najwidoczniej miał zamiar zjeść z nią śniadanie i raczej nie mogła mu tego zabronić.

Zastała go w jadalni. Pół siedział, pół opierał się o parapet, wyciągnawszy przed siebie długie nogi. W bladym świetle tego poranka nie miał już w sobie tyle nieprzepartego uroku co poprzedniego wieczoru przy blasku świecy. Twarz pod oczami wydawała się trochę nabrzmiała, co wskazywało na nadmierne spożycie alkoholu. Jego rysy zdradzały napięcie.

- Dzień dobry, Barbaro - powiedział.

Wcześniej zatrzymała się w drzwiach, teraz niepewnie podeszła krok bliżej.

- Dzień dobry, Fernandzie. Przykro mi, że tak długo spałam.

- Dlaczego miałyby ci być przykro?

- Dlatego, że musiałeś sam zrobić śniadanie.

- Daj spokój - odparł lekceważąco. - To przecież nie była praca!

Jak obcy mogą być sobie ludzie po takiej nocy, pomyślała Barbara.

Otworzyła już usta, żeby wezwać go, by przeszedł z nią do kuchni, gdy po raz pierwszy tego ranka spojrzała na jego ręce. Zwinął kilka kartek w rulon i przesuwając go powoli w górę i w dół. Nagłym ruchem odwróciła głowę w kierunku stosu kartek, który w dalszym ciągu leżał przed kominkiem. Chciała go wynieść wczoraj wieczór, ale w końcu niespodziewanie zjawił się Fernand i zupełnie o tym zapomniała.

Spojrzała na niego. Jej oczy zaiskrzyły się wściekłością.

- Szperasz w moich rzeczach?

Podniósł się z parapetu, podszedł do stołu i położył na nim trzymane w ręku kartki. Uśmiechnął się.

- Z tego co widzę, to ty szperałaś w rzeczach Laury!

Próbowała odgadnąć po jego minie, co zdążył przeczytać. Oczywiście niemożliwe, żeby wszystko. W najmniejszym stopniu nie wydawał się zszokowany czy wstrząśnięty. Nie mógł wiedzieć o morderstwie Victorii - pierwszej żony jego ojca.

- To, co ja robię - rzekła chłodno - nie powinno cię obchodzić.

Przyjrzał się jej w zamyśleniu.

- Gdzie to znalazłaś? Pocziwa Laura szukała tego bezskutecznie przez szesnaście lat. Tyle że Laura nie jest zbyt bystra. I nawet w przybliżeniu nie taka mądra jak ty.

A jednak wiedział wiele, i irytowało to Barbarę. Pewnie już od lat wiedział o istnieniu tych zapisków. Wiedział też, że Laura - jak zresztą Barbara sama już wykombinowała - szukała ich rozpaczliwie. Czy wiedział też d l a c z e g o?

- Odkryłam to przez przypadek - wyjaśniła krótko. - W szopie pod deską w podłodze. Deska się złamała, kiedy na niej stanęłam. To był właśnie ten wypadek. - Dotknęła swego posiniałego podbródka.

Fernand skinął głową.

- Rozumiem. Ale dość szybko powinnaś była zauważyć, że nie jest to raczej przeznaczone dla ciebie.

Zastanawiała się, co on sobie właściwie wyobraża. Stał przed nią jak sędzia śledczy i pytał o rzeczy, które nie powinny go w ogóle obchodzić.

- Przed tobą nie muszę się tłumaczyć - odpowiedziała.

- Dokąd doczytałaś?

- Od początku do końca.

- Ja przeczytałem tylko koniec. Chciałem wiedzieć, czy to rzeczywiście zrobiła.

- Czy kto co zrobił?

- Frances. Właściwie chciałem się dowiedzieć, czy zrobiła jedno i drugie: zastrzeliła własną siostrę, a potem na dodatek to opisała. Laura bała się tego jak ognia.

- Wiedziałaś o tym?

- Dlaczego tak cię to dziwi?

- Nie sądzę, żeby Laura opowiedziała to komukolwiek. Wygląda na to, że nawet jej siostra Marjorie nie wie o niczym. Nie przypuszczałam, że ty jesteś jej powiernikiem.

Fernand się roześmiał.

- Ja jej powiernikiem! A to dobre. Jej powiernikiem to ja na pewno nie jestem.

Barbara zmarszczyła czoło.

- Ale opowiedziała ci wszystko?

Z rękami w kieszeniach spodni podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Sweter trochę opinał jego szerokie bary.

- Niczego mi nie opowiedziała - oświadczył. - Nigdy nie przyszłoby jej to do głowy. Mogłaby być prawie moją matką! W zasadzie uważała mnie zawsze tylko za małego chłopca z sąsiedztwa.

- W takim razie Frances ci opowiedziała?

- O, nie! Frances nie była gadatliwa. To co miała do powiedzenia, przelała na papier. Jej błąd polegał na tym, że tego nie zniszczyła - choć niewiele by to zmieniło sytuację Laury.

- Mógłbyś przestać mówić zagadkami?

Odwrócił się do niej i mierzył ją chłodnym wzrokiem. Z jego oczu zniknęła wszelka delikatność.

- Co zamierzasz? - zapytał. - Co zrobisz z informacjami, które zdobyłaś?

Wzruszyła ramionami.

- A niby co mam z nimi zrobić? Sprawa jest przedawniona, a sprawczyni nie żyje.

- Żyje jeszcze jej pomocnica.

- Laura? Wcale nie jestem pewna, czy można by ją pociągnąć do odpowiedzialności za współudział. Nie znam się jednak na angielskim prawie karnym.

- Tym lepiej znasz się za to na niemieckim. Odkąd opowiedziałas mi zeszłej nocy, że jesteś wziętą adwokatką, mam dla ciebie jeszcze większe poważanie. Jesteś bardzo inteligentna, Barbaro. Uważam, że inteligentne kobiety mają wielkie oddziaływanie erotyczne.

Erotyka była tematem, którego Barbara w tej chwili absolutnie nie chciała poruszać.

- Przejdźmy do rzeczy - rzekła niecierpliwie. - Uważam, że...

- Nie jest takie ważne, czy Laura była współwinna czy nie - przerwał jej Fernand. - Faktem jest, że od tamtego dnia ona w i e r z y, że jest tak samo winna jak Frances.

- A kto jej to wmówił?

- Przypuszczam, że ona sama. I domyślam się, że Frances Gray w każdym razie robiła niezbyt wiele, aby wyprowadzić ją z błędu. Bądź co bądź chodziło o to, żeby Laura trzymała język za zębami. A w takich sytuacjach strach jest niezłym środkiem do celu.

- Koniec końców nie zatrzymała jednak tego dla siebie, prawda?

- Nie mogła się uporać z tą sprawą. To cała Laura, nigdy nie potrafi się z niczym uporać do końca. Ta kobieta jest tak okropnie słaba. Znam ją przecież, odkąd żyję. Miała szesnaście albo siedemnaście lat, kiedy się urodziłem, a więc była jeszcze młoda. Ale, co dziwne, w mojej pamięci nigdy nie występuje jako młoda osoba. Zawsze wyglądała na taką stroskaną, prawie się nie śmiała, zachowywała się ciągle tak, jakby dźwigała na swoich barkach cały świat. Matka opowiadała mi, że miała uraz z wojny, bo przeżyła bombardowanie. No cóż. Biedna staruszka.

- Komu więc się zwierzyła?

- Nie domyślasz się?

Barbara pokręciła głową.

- Nie.

- Mojej matce, wszystko opowiedziała mojej matce.

- Marguerite!

- Ja byłem przecież jeszcze niemowlęciem, więc nie przeżywałem tego okresu świadomości. Ale matka opowiedziała mi później o tym. Laura przychodziła do niej wtedy regularnie i brała prywatne lekcje. Cierpiała na bulimię - to dziś bardzo znana choroba, a dzięki księżnej Walii nawet akceptowana w towarzystwie, ale w latach czterdziestych wiedziano o niej bardzo mało, a już w ogóle nie słyszano tutaj, na wsi. Nie sądzę, żeby Laura

spotykała się u Frances z dużym zrozumieniem, choć Frances na pewno się starała. Frances nie była jednak typem kobiety wyrozumiałej wobec dziewczyny, która na przemian obzera się i rzyga. Przypuszczam nawet, że takie zachowanie Laury irytowało ją przede wszystkim.

Barbara przyznała mu w duchu rację. Pod względem materialnym Frances z pewnością dbała o Laurę i poczuwała się do obowiązku, lecz chyba nigdy nie rozumiała chorego, lęklivego dziecka. Marguerite natomiast...

Przypomniała sobie pewne miejsce z relacji Frances: „...Jedynym człowiekiem, któremu Marguerite okazywała pewną serdeczność, była Laura: za nią czuła się przypuszczalnie odpowiedzialna”. Marguerite uczyła kiedyś w Paryżu młode dziewczęta. Z wykształcenia była pedagogiem. W bardzo profesjonalny sposób wiedziała, co musi się dziać z Laurą.

- Moja matka postawiła sobie za zadanie pomagać Laurze - mówił Fernand. - Dużo z nią rozmawiała, coraz bardziej zyskiwała jej zaufanie. Po tajemniczym zniknięciu Victorii Laura była w gorszej niż kiedykolwiek formie psychicznej, co naturalnie rzuciło się w oczy mojej matce. Wiązała to z nieobecnością Victorii, uważała, że Laurze trudno się pogodzić ze stratą osoby ze swojej nowej rodziny. Bądź co bądź trzęsła się ciągle ze strachu, że kogoś straci. Co chwila powracała w rozmowach do Victorii - i w końcu się załamała. Opowiedziała jej wszystko.

- O Boże - wyrwało się Barbarze.

Fernand się roześmiał.

- To samo powiedziała pewnie moja matka. Była przerażona i oburzona, przede wszystkim dlatego, że Frances zapewniła schronienie Niemcowi. Jej pierwszy mąż, jak pewnie wiesz, stracił życie w niemieckim kacecie. Dla niej postępek Frances był zdradą. Czasem myślę nawet, że tę historię z Niemcem uważała za coś znacznie gorszego niż zabójstwo Victorii.

- Ale nie poszła na policję.

- Przede wszystkim ze względu na Laurę. Zniszczyłaby jej dom, który dziewczyna tak bardzo kochała. A poza tym poczuwała się chyba do pewnej lojalności wobec Frances. Ona jej pomogła, gdy przyjechała do Leigh's Dale i żyła biednie jako emigrantka. Matka po prostu nie zapomniała jej tego.

- Ale powiedziała Frances, że wie o sprawie?

Fernand pokręcił głową.

- Nie. Po prostu tylko dystansowała się od niej coraz bardziej. Nie mam pojęcia, czy Frances w ogóle to zauważyła. Ona i tak żyła własnym życiem. Razem z Laurą były tu



przecież całkiem same, kiedy potem umarła też stara gospodyni.

- Laura była młodą kobietą. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby jedyną perspektywą, jaką miała w życiu, było mieszkać z Frances tutaj, na farmie.

- Nie chciała innego życia. Pamiętam, że Frances w pewnym momencie uznała, że Laura musi zdobyć jakieś wykształcenie zawodowe i trochę się usamodzielić. Wysłała ją do szkoły sekretarek w Dalington i wynajęła jej tam pokój. To było kompletne fiasko. Laura na koniec rozchorowała się z tęsknoty za domem i trzeba było zabrać ją z powrotem do Westhill.

- Wydaje mi się - rzekła w zamyśleniu Barbara - że Laura to taki człowiek, który jakby nigdy nie żył.

- W pewnym sensie - zgodził się z nią Fernand - rzeczywiście nigdy nie żyła. Gnębiło ją tyle różnych lęków, że w ogóle nie mogła się rozwinąć. Ale ja jako dorastający młodzieniec naturalnie nie zastanawiałem się nad tym wszystkim. Laura była po prostu częścią inwentarza Westhill Farm: istotą w nieokreślonym wieku, która wciąż miała taką minę, jakby przed chwilą zobaczyła ducha. Zawsze była bardzo miła. Potem skończyła jednak szkołę gospodarstwa domowego w Leyburn i nauczyła się całkiem przyzwoicie gotować. Często wtykała mi coś ukradkiem, kawałek ciasta albo resztki deseru. Okropnie zależało jej na tym, żeby robić wszystko zgodnie z życzeniem Frances, bo panicznie bała się, że ta może ją odprawić. Sądzę, że Frances poczuwała się do odpowiedzialności za nią i pewnie jej też współczuła, ale serwilizm Laury potwornie działał jej na nerwy. Często nie wytrzymała i besztala biedaczkę, a potem Laura przez wiele dni chodziła zupełnie przybita.

- Często bywałeś tutaj jako dziecko?

Skinął głową, a w jego rysach, które były takie chłodne tego ranka, pojawił się znowu wyraz ciepła.

- Bardzo często. Lubilem Frances Gray. Miała w sobie tyle dumy. Miała wojowniczą naturę. Czy w swojej książce napisała, że jako młoda dziewczyna siedziała w więzieniu z sufrażystkami? Miała odwagę i siłę. Hodowała konie i nauczyła mnie jeździć. Czasami pozwalała mi tu przenocować. Kochałem ten dom. Daleview wydawało mi się zawsze zimne i ponure. Sądzę, że ciągle tam marzłem. Marznę tam do dzisiaj.

Dokładnie to samo napisała o tym domu Frances, pomyślała Barbara, i to odczuwała też Victoria. Może jest coś takiego: dom, w którym po prostu nikt nie może być szczęśliwy.

- Kiedy Marguerite opowiedziała ci o tamtym... zdarzeniu podczas wojny? - zapytała.

- Bardzo późno. Kiedy ojciec od dawna nie żył, a i ja byłem już po ślubie. Moja matka zmarła w 1974 roku, sześć lat przed Frances Gray, choć była od niej znacznie młodsza. Nigdy tak naprawdę nie zadomowiła się w tych stronach. Sądzę też, że nigdy nie przeboleła

straszliwej śmierci swojego pierwszego męża. Jej związek z moim ojcem to było małżeństwo z rozsądku, najlepsze wyjście dla biednej emigrantki. Całkiem dobrze zgadzali się ze sobą, ale... no cóż, jej serce należało do zmarłego, a serce ojca... Kochał Frances Gray od dzieciństwa, pewnie przeczytałaś o tym w tej książce, i nic się w tym względzie nie zmieniło aż do jego śmierci.

Barbara pokiwała głową.

- Matka zachorowała na raka i po jakimś czasie wiedziała, że zbliża się koniec. Miałem wtedy trzydzieści jeden lat. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego powierzyła mi tę starą historię na trzy dni przed śmiercią. Moja matka była katoliczką, może gnębiło ją to, że może stanąć na progu wieczności, zachowując dla siebie wiedzę o nieodpokutowanej zbrodni. Możliwe, że powiedzenie mi tego było dla niej swego rodzaju pokutą, ale na pewno byłoby lepiej, gdyby wezwała prawdziwego księdza. - Umilkł na moment. - Dopiero osiem lat później powiedziałem Laurze, że wiem o wszystkim - podjął po chwili. - Była przerażona, spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Na pewno nigdy by nie pomyślała, że Marguerite powierzy tę tajemnicę akurat swemu synowi nicponiowi.

- A jesteś nicponiem? - zapytała Barbara.

Podszedł bliżej.

- A jak ty byś mnie określiła?

- Niewiele o tobie wiem - odparła Barbara i cofnęła się o krok. - Cynthia mówiła, że pijesz za dużo. Poza tym maltretujesz swoją żonę. Wtedy, tuż przed świętami w sklepie Cynthii, wyglądała okropnie. Nie wiem, czy pojęcie „nicpoń” oddaje istotę tego, jaki jesteś.

- Więc wymień pojęcie, jakiego ty byś użyła!

- Nieopanowany - rzekła Barbara. - Popędliwy. Brutalny.

Zamarkował ironiczny ukłon, lecz w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Bardzo dziękuję za uroczą charakterystykę!

- Sam mnie o to spytałeś.

- Poszłaś więc do łóżka z nieopanowanym, popędliwym, brutalnym facetem. I mam wrażenie, że sprawiało ci to cholerną frajdę.

Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał mocno i stanowczo.

- Nie mówmy już o tym.

- Aha. Znowu to co poprzednio! - Błyski w jego oczach przybrały na sile. - A chciałabyś wiedzieć, jak ja ciebie widzę? Perfekcjonistka. Totalna samokontrola. Żeby nikt nie zauważył, jak wiele z tak często krzywdzonej grubej dziewczyny jeszcze w tobie drzemie.

- Przynajmniej nikomu nie szkodzę.

- Nikomu - oprócz siebie samej!

- To moja sprawa.

Wziął w dłoń jeden z jej długich jasnych kosmyków i przepuszczał go między dwoma palcami.

- Podziwiam cię - rzekł cicho. - Podziwiam tę żelazną konsekwencję, z jaką pokazujesz światu ten piękny obraz absolutnie perfekcyjnej kobiety. Tę konsekwencję podziwiałem też u Frances Gray. Przypominasz mi ją, Barbaro. Stwierdziłem to już w sklepie Cynthii, gdy pierwszy raz spojrzałem na ciebie, choć jesteś od niej o wiele piękniejsza. Frances jeszcze po osiemdziesiątce galopowała po okolicy na swoich koniach, chociaż cierpiała na zwyrodnienie stawów, a kiedy sądziła, że nikt jej nie obserwuje, widać było, z jakim trudem przychodzi jej każdy ruch. Ale wolałaby odgryźć sobie język, niż przyznać się do tego, zresztą do samego końca nie wolno było nawet przytrzymać jej strzemienia przy wsiadaniu. - Zaśmiał się cicho do swego wspomnienia starej upartej kobiety. - Czasami, kiedy zjawiałem się z wizytą, a ona siedziała w ogrodzie i jeszcze mnie nie zauważyła, zdarzało mi się pochwycić jej smutne, zamyślane spojrzenie skierowane gdzieś w jej przeszłość. Ledwo jednak podszedłem bliżej, zmartwienie zniknęło z jej rysów i znów była jak Indianin, który nie wie co to ból. Była wspaniałą kobietą. - Po czym dodał ciszej: - Ty jesteś wspaniałą kobietą!

- Nie. - Cofnęła się jeszcze o krok i stała już niemal w korytarzu. - Nie mówmy o mnie, Fernandzie. Byliśmy przy twoim charakterze. Nie pochwalam tego, co robisz. Jesteś przystojnym, silnym, zdrowym mężczyzną. Życie rodzinne w czasach twojego dzieciństwa na pewno było trochę skomplikowane, ale nie była to też katastrofa. Odziedziczyłeś dość dóbr, żeby żyć w dobrobycie. Nigdy nie musiałeś walczyć na wojnie, która mogłaby wyrzucić cię z orbity, jak stało się to w wypadku twojego ojca. Po prostu nie ma powodu ani wytłumaczenia tego, że pijesz i traktujesz żonę pięściami. Nie podoba mi się, że to robisz. Szkoda, że wczoraj wieczór po prostu nie pomyślałam o tym.

- Rzadko ci się to zdarza, prawda? Że przestajesz myśleć? Sądzę nawet, że mogę być wręcz dumny z tego, że tak cię podnieciłem i zupełnie zapomniałaś o tym, że facet, który cię pieprzy, to zły, bardzo zły chłopiec!

- Już ci powiedziałam, że nie będziemy o tym rozmawiać.

- Och!

Znów podszedł bliżej i stał przed nią jak ściana. Oparła się impulsowi, żeby cofnąć się jeszcze raz. Nie chciała, by zauważył, że się go przestraszyła.

- Już mi powiedziałaś? I zawsze dzieje się tak, jak mówisz?

Nic nie odpowiedziała.

- Czy to funkcjonuje w przypadku twojego męża? On pozwala ci na taki ton? Pewnie podwija ogon i siada na ziemi, kiedy wydajesz rozkazy.

- Chcę, żebyś sobie poszedł - rzekła chłodno.

- Dokładnie tak go oceniłem podczas naszego pierwszego spotkania - ciągnął niewzruszenie Fernand. - Mięczak. Nic dziwnego, że nie potrafił cię rozruszać. Dla mnie było jasne jak słońce, że wystarczy, gdy raz cię dostanę w swoje ręce, a odpalisz jak rakietą.

Zmrużyła oczy.

- Wiedziałaś, że jestem sama, prawda? Dlatego wczoraj wieczór zjawiłeś się tak nagle?

Przez moment wydawało się, jakby chciał zaprzeczyć, ale w końcu skinął głową.

- Owszem. Wiedziałem. Moja żona rozmawiała przez telefon z Cynthią, a ta jest pierwszą plotkarą w okolicy. Natychmiast opowiedziała, że siedzicie na farmie na wpół zagłodzeni i że twój mąż właśnie wyruszył zorganizować coś do jedzenia, że nie masz od niego wiadomości i bardzo się martwisz. No cóż, wtedy pomyślałem...

- Pomyślałeś, że gdy zjawisz się przed biedną, głodną Barbarą z plecakiem pełnym jedzenia, z czystej wdzięczności natychmiast pójdzie z tobą do łóżka - dokończyła z goryczą Barbara.

Była na niego wściekła, ale coraz bardziej była też wściekła na siebie. Możliwe, że jego wyrachowanie było obrzydliwe, lecz potrzeba było dwojga, żeby jego przewidywania się spełniły, a ona połknęła haczyk aż nazbyt ochoczo. Prawdopodobnie triumfował w duchu przez cały ten czas.

- Dokładnie już nie pamiętam, co myślałem - rzekł z powagą. - Pamiętam tylko, że chciałem być z tobą sam na sam. Nie mogłem przestać myśleć o tobie od naszego pierwszego spotkania.

Znów uniósł dłoń i chciał ją zanurzyć w jej włosach, lecz tym razem odchyliła w porę głowę.

- Teraz zjemy śniadanie - powiedziała - a potem wybierzesz się w drogę powrotną do domu.

- Dziękuję, że pozwolisz mi jeszcze wypić filiżankę kawy, zanim mnie wyrzucisz - zauważył ironicznie.

Zignorowała tę uwagę, przycisnęła się obok niego do pokoju i złożyła na stos kartki leżące w dalszym ciągu na stole.

- Zaniosę to z powrotem tam, gdzie to znalazłam. Laura nie musi się dowiedzieć, że znam tajemnicę.

Pokiwał głową.

- Bardzo rozsądnie.

Barbara zawahała się chwilę.

- Z drugiej strony... ona żyje w ciągłym strachu, że ktoś odnajdzie te zapiski. Panicznie boi się, że zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za tę historię. Nie wiem, czy słuszne jest pozostawianie jej w tym strachu do końca życia.

- Nie powinnaś, Barbaro, zastępować przeznaczenia - rzekł Fernand.

- Ale to przecież przeznaczenie kazało mi dosłownie potknąć się o całą tę historię - upierała się Barbara. - W jakimś sensie mam poczucie, że tym sposobem na mnie także spadła część odpowiedzialności.

- To przecież bzdura!

- Ta biedna stara kobieta! Czy przynajmniej w ostatnich latach życia, jakie jej pozostały, nie zasłużyła na to, żeby zaznać trochę ciszy i spokoju?

- Chcesz jej powiedzieć, że nie ma się czego obawiać?

- Moim zdaniem prawie nieludzkie jest pozostawianie jej nadal w tym panicznym strachu z powodu przestępstwa, które po pierwsze, uległo już przedawnieniu, a poza tym zawsze trudno byłoby udowodnić jej współudział. Nie rozumiem - z wściekłością uderzyła grubym plikiem kartek w stół - dlaczego nigdy nie zasięgnęła rady jakiegoś prawnika! Przez te wszystkie lata!

- Laura jest człowiekiem, którym zawsze i we wszelkich kwestiach życiowych rządzi jedynie strach, a strach to kiepski doradca. Zresztą przypuszczalnie nie dowierzałyby żadnemu prawnikowi, obawiałyby się, że ją wyda.

- Jak można być tak oderwanym od życia! Adwokat ma obowiązek dochowania tajemnicy zawodowej. Mogłaby... - Barbara urwała w połowie zdania. W jej szeroko otwartych oczach pojawiło się zrazu nieme pytanie. Przez chwilę wpatrywała się w twarz Fernanda. - Dlaczego ty jej nie uświadomiłeś? Znałeś przecież tajemnicę. Wiedziałeś, że jest chora ze strachu i że ten strach jest niepotrzebny. Dlaczego jej tego nie powiedziałeś?

Milczał, wytrzymał jej spojrzenie, nie mrugnawszy okiem. I nagle Barbara pojęła. Wśród milczenia, które zaległo między nią a Fernandem, pojawiła się prawda, stanęła w końcu w całej okazałości jasno i wyraźnie zarysowana. Elementy układanki ułożyły się i dały odpowiedź na wszystkie pytania.

- Szantażujesz ją - oświadczyła Barbara. - Naturalnie. Nie masz żadnego interesu w tym, aby się dowiedziała, że nic jej nie grozi. Idę o zakład, że przy każdej okazji podsycasz jeszcze w niej strach, co na pewno nie było trudne w wypadku tej starej neurotyczki, która

przecież już wcześniej, jak z pewnością słusznie przypuszczałeś, trzymana była w swoistej niepewności przez Frances Gray. Bo dla Frances sprawa mogła przybrać niebezpieczny obrót, a musiała mieć pewność, że świadek będzie trzymał język za zębami. - Chwyliła się za głowę. - Mój Boże, gdzie ja miałam rozum! Teraz wszystko jasne! To dlatego Laura ma ciągle takie koszarne problemy finansowe. Byłam świadoma, że nie może mieć zbyt dużo pieniędzy, ale nie mogłam się domyślić, dlaczego ma aż takie trudności. Ale skoro ty ciągle żądasz od niej pieniędzy za milczenie, to ona nigdy nie zdoła się wygrzebać.

Zastanowiła się chwilę.

- Prawdopodobnie wytłumaczyłeś jej też, że pójście do adwokata jest zbyt niebezpieczne. Na pewno coś wymyśliłeś: na przykład, że w przypadku morderstwa adwokat nie ma obowiązku dochowania tajemnicy zawodowej albo że ten obowiązek może być zniesiony, jeśli służy udaremnieniu kary, lub coś podobnego. A jeśli Laura słyszała kiedykolwiek o przedawnieniu, to na pewno wymyśliłeś dla niej jakąś bajeczkę - coś w tym rodzaju, że co prawda nie można jej pociągnąć do odpowiedzialności za przestępstwo, ale za to dom nie będzie już należał do niej, bo problematyczne jest, czy Frances, która weszła w jego wyłączne posiadanie dzięki morderstwu, mogła legalnie zostawić jej ten dom w spadku!

- Od razu poznać wytrawną adwokatkę. Już ci mówiłem, Barbaro, że jesteś mądrą kobietą.

- Twoja matka zmarła w 1974 roku. Należy przyjąć, że Frances stworzyła swoją relację po tym fakcie, gdyż prolog, który napisała na końcu, a potem umieściła go na początku swoich zapisków, datowany jest na rok 1980, a więc powstał tuż przed jej śmiercią. Laura zaczęła się tak naprawdę bać dopiero wtedy, gdy usłyszała o istnieniu tej książki - i naturalnie także później, gdy dowiedziała się, że jest jeszcze ktoś, kto wie o wszystkim, a mianowicie ty. Ale wtedy było już za późno. Jedyne człowiek, do którego mogłaby się zwrócić i który mógłby ją uspokoić, nie żył: Marguerite. Ona nie mogła jej już pomóc.

Fernand nic nie odpowiedział.

- Sprzedała ci za bezcen prawie całą swoją ziemię - ciągnęła Barbara. - Chciałeś mieć tę ziemię, a ona musiała ci ją oddać. Śmiesznie niska suma, jaką za to dostała, służyła jedynie za dowód tego, że w ogóle odbyła się jakaś transakcja. Naturalnie wszystko to rozgrywało się stopniowo, w ciągu wielu lat, żeby za bardzo nie rzucało się w oczy. Nikogo nie dziwiło, że Laura sprzedaje pastwiska, a co miała z nimi zrobić, przecież nie prowadziła już farmy. Jej siostra dziwiła się, że mimo to ciągle skarżyła się na brak pieniędzy, lecz Laura właściwie ciągle skarżyła się z jakiegoś powodu. Znano ją tylko z tej jednej strony: w posepnym, pesymistycznym nastroju. Na końcu przyszłoby kolej na dom, a wtedy dokonałbyś tego, co

nie udało się twojemu ojcu ani dziadkowi: posiadłbyś całą ziemię Grayów. Tak, i o mały włos rzeczywiście ci się to udało. Laura musiałaby się przeprowadzić do siostry lub dokądkolwiek. Na pewno potrafiłbyś jej przekonująco wmówić, że jeśli nie będzie milczeć jak dotąd, może to mieć dla niej zgubne skutki.

Słuchał jej spokojnie - aż za spokojnie, jak stwierdziła. Teraz jednak zapytał:

- Skąd wiedziałas, że sprzedawała mi ziemię za niewielkie pieniądze?

- Znalazłam umowy. Ogrzewanie w domu nie działało, więc szukałam papieru na rozpałkę. I przy okazji wpadły mi w ręce wasze kontrakty. Byłam dosyć poirytowana, ale nie odkryłam prawdy.

- Czy twoja matka nie nauczyła cię, że nie należy szperać w cudzych rzeczach? - spytał cicho.

Jego głos zabrzmiał groźnie w swojej łagodności. Zmienił się także wyraz jego twarzy. W oczach pojawiło się coś, od czego Barbara dostała gęsiej skórki. Zrozumiała, dlaczego jego żona wyglądała na taką wystraszoną. Nagle miała przed sobą mężczyznę, od którego biła, niczym nieprzyjemny zapach, gotowość użycia przemocy. Nic już nie przypominało kochanka z minionej nocy, który tak dobrze rozumiał jej uczucia, ani troskliwego sąsiada, który przyniósł jedzenie, nakrył do stołu i przyglądał się jej z uśmiechem, jak pochłania wszystkie te pyszności. Teraz był jedynie wrogiem, nieobliczalnym i pełnym tłumionej wściekłości. A ona była tu z nim sama, sama jak palec.

Instynktownie wiedziała, że słabość go nie wzrusza, siła natomiast robi na nim wrażenie. Kiedy mówił o swym uwielbieniu dla Frances Gray, jego słowa brzmiały szczerze. Postanowiła więc nie okazywać nawet śladu strachu.

- Fernandzie, wsadzę cię do więzienia - powiedziała. - Przez tyle lat szantażowałeś Laurę w nikczemny sposób. Nie ma chyba sędziego, który z największą chęcią nie wytoczyłby ci procesu. A jeśli miałbyś teraz ochotę spróbować szantażowania m n i e, to możesz sobie to darować. Nie masz w ręku nic, żeby mnie zastraszyć.

Jego pięść wystrzeliła tak nagle, że Barbara nie zdążyła się uchylić. Poczula okropny ból w ustach, miała wrażenie, że powylatywały jej wszystkie zęby. W następnej chwili poczuła smak krwi. Zatoczyła się do tyłu i przewróciłaby się, gdyby nie stół, który stał na drodze. Błat uderzył ją w prawe biodro, co przypominało drugi cios, lecz zahamowało jej upadek. Ostrożnie podniosła rękę do ust, obmacała wargi. Popatrzyła na swoje palce i stwierdziła, że są całe we krwi.

Spojrzała na Fernanda, który stał przed nią i przyglądał się jej z podstępym, czyhającym uśmiechem. Brzmienie jego głosu było niemal uprzejme, kiedy powiedział:

- Ty cholerna mała bestio!

Przechadzając się tam i z powrotem w małym pokoju na górze, w którym spędzili noc, zastanawiała się, co Fernand, na miłość boską, zamierza z nią zrobić. Wcześniej w jadalni chwycił ją za ramię, nie brutalnie, ale wystarczająco mocno, żeby dać jej odczuć, iż próba ucieczki nie ma sensu. Potykając się, szła przed nim po schodach. Na górze wepchnął ją do pokoju i zamknął od zewnątrz drzwi na klucz.

- Zaczekasz tutaj - usłyszała jeszcze jego głos, a zaraz potem odgłos oddalających się kroków na schodach.

- Co to ma znaczyć? - krzyknęła, łomocząc pięściami w drzwi. - Natychmiast mnie wypuść!

Nie było odpowiedzi. W końcu zrezygnowała i odwróciła się od drzwi. Dygotała z zimna, lecz po chwili wpadła na pomysł, żeby podkręcić mocniej ogrzewanie. Starła się nie patrzeć na rozgrzebane łóżko, w którym kochali się z Fernandem aż do wyczerpania. Potem spojrzała w lustro wiszące nad komodą i przestraszyła się swojego widoku. Jej podbródek mienił się nadal w kolorze sinozielonym, lecz teraz dodatkowo spuchła jej dolna warga, a w kącikach ust została skrzepla krew.

- Psiakrew - mruknęła.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że mówienie sprawia jej wielki ból. Przedtem, kiedy wrzeszczała, taka była wściekła i oburzona, że w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Szok jednak już ustąpił i ilekroć poruszyła ustami, bolały ją mięśnie, o których istnieniu nie miała dotychczas pojęcia. Poza tym usta bolały ją także wtedy, gdy nimi nie poruszała. W głowie jej huczało, łomotało w skroniach, wydawało jej się, że z każdą minutą czuje się gorzej.

- A to, panie Leigh, pociągnie za sobą dodatkowy wymiar kary za uszkodzenie ciała - szepnęła żądna zemsty.

W najwyższej szufladzie komody znalazła kilka białych, elegancko złożonych chusteczek do nosa, wzięła jedną, otworzyła okno i zebrała trochę śniegu z parapetu. Przy okazji wychyliła się na zewnątrz i oceniła szanse ewentualnej ucieczki. Wynosiły one zero. Mimo głębokiego śniegu nie mogła zaryzykować skoku z tej wysokości; w dodatku nie miała płaszcza ani butów. Na zewnątrz czekałaby ją śmierć.

Cofnęła się w głąb pokoju, owinęła chusteczką zlepioną bryłę śniegu i przyciskała ją do ust, a co jakiś czas również do czoła. Obmacawszy językiem górną i dolną szczękę, stwierdziła z ulgą, że Fernand przynajmniej nie wybił jej żadnego zęba.

W pokoju nie było krzesła ani fotela, tylko łóżko, a na nim Barbara nie chciała usiąść.



Chodziła więc tam i z powrotem jak tygrys w klatce. Bóle nasiliły się już do tego stopnia, że czasami nie mogła się powstrzymać i jęczała. Przypuszczalnie doznała lekkiego wstrząsu mózgu.

Poczuła palące pragnienie, toteż ponownie zebrała zza okna trochę śniegu i lizała go. Nie miała naczyń, w którym mogłaby go stopić. Na dole w kuchni jaja i kiełbaski stawały się niejadalne, a kawa stygła; ale i tak zresztą nie mogłaby pić niczego gorącego, a o jedzeniu spuchniętymi ustami nie mogła nawet myśleć.

Była prawie pierwsza, gdy Barbarze przyszło na myśl, że Fernanda może już nie ma. W całym domu nie słyszała żadnych odgłosów. Prawdopodobnie się ulotnił. Na co miałyby jeszcze tutaj czekać? Na to, że Ralph wróci, a potem oboje zawiadomią policję? Fernand zamknął ją tu, na górze, żeby chwilowo wyłączyć ją z walki i żeby zyskać czas na ucieczkę. Ucieczkę?

Zastanawiała się, czy Fernand Leigh rzeczywiście zostawiłby wszystko, co posiada, żeby uniknąć grożącego mu aresztowania. Jego sytuacja była poważna. Naturalnie trudno będzie udowodnić mu szantaż, ale były dwie kobiety, które mogły zeznawać przeciwko niemu: Laura i Barbara. Laura mogła pokazać umowy sprzedaży, które w każdym powinny wzbudzić nieufność. Fernand nie mógł być pewien, czy wyjdzie z tej sprawy obronną ręką. Ale nie był przecież jakimś obdartym włóczęgą, któremu jest obojętne, jak, w jakim mieście i pod jakim nazwiskiem będzie żył w następnych latach. Dla którego czymś oczywistym jest utrzymywanie się z dorywczych zajęć i wynajmowanie ponurej nory u jakiejś wiecznie niezadowolonej gospodyni.

Fernand miał trochę do stracenia. Dwór znajdujący się w rękach rodziny od stuleci. Grunty. Status najbogatszego człowieka w okolicy - mimo że to bogactwo nie pochodziło z aż tak dawnych czasów. Gdyby uciekł, musiałby zrezygnować ze zbyt wielu rzeczy, a tego nie robi.

I tak samo nie będzie chciał pójść do więzienia.

Nagle ogarnął ją strach. Ponownie zaczęła walić pięściami w drzwi i krzyczeć najgłośniejszym głosem, jak mogła, choć przy każdym ruchu ból niczym nóż przeszywał jej usta. W końcu wyczerpana, oparta plecami o drzwi, osunęła się na podłogę i tak siedziała. Była idiotką, sądząc, że Fernand Leigh pozwoli jej pomaszerować spokojnie na policję i pozbawić go podstaw egzystencji. Nie czuła się poważnie zagrożona, lecz w tym momencie uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie znajdowała się w większym niebezpieczeństwie. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: ma do czynienia z człowiekiem pozbawionym skrupułów.

Fernand latami wykorzystywał strach i niewiedzę starej kobiety, żeby się wzbogacić.

Nie był taki jak jego ojciec, mężczyzna, którego kochała Frances Gray. Możliwe, że John Leigh miał trudny charakter i biedna Victoria na pewno cierpiała z powodu jego obojętności i chłodu, a także alkoholizmu, lecz nigdy nie można mu było odmówić pewnego poczucia przyzwoitości. Co więc stało się z jego synem?

Może Marguerite, kobieta z bolesną przeszłością, kobieta, która nigdy tak naprawdę nie zadomowiła się w Anglii i pozostała kimś obcym do samego końca, może ona za bardzo ubóstwiała to jedyne dziecko, za bardzo je kochała i nigdy nie zdobyła się na pokazanie mu określonych granic. Zarządziła, żeby syn miał na imię tak jak jej pierwszy mąż, który został zamordowany przez nazistów. Możliwe, że było to dla Fernanda obciążeniem, do którego nie dorósł. Pod koniec życia powierzyła mu tajemnicę Laury: to nietypowe zachowanie dla tej inteligentnej kobiety, która musiała wiedzieć, że mądrzej byłoby zachować dla siebie wiedzę o tym, co stało się siódmego kwietnia 1943 roku. Sam Fernand powiedział: „Lepiej, gdyby zwierzyła się księdzu...”.

Ale ona wszystko opowiedziała synowi, który mówił o sobie, że jest „nicponiem”. Niemożliwe, żeby jego braki charakterologiczne uszły uwagi Marguerite, ale może nie chciała ich dostrzegać. Prawdopodobnie Fernand był jedynym człowiekiem, wobec którego była ślepa, miękka jak wosk i pobłażliwa aż do oszukiwania samej siebie. Co wyrosło z dziecka, które miało taką matkę?

Nie, Barbara pokręciła głową, psychologizowanie nie miało sensu, nic nie dawało. Fernand był, jaki był, a jego motywy nie miały dla niej znaczenia. Utkwiła w diabelskim bagnie i przede wszystkim musiała pomyśleć o tym, jak wyjść obronną ręką z całej tej sytuacji.

Gdy usłyszała kroki na schodach, aż podskoczyła i oddaliła się kawałek od drzwi. W domu było wcześniej tak cicho, że wystraszyła się mocno. Przez chwilę kielkowała w niej nadzieja, że może to Ralph wchodzi na górę. On jednak by ją wołał. Nie poruszałby się po domu cicho i bez słowa.

Do pokoju wszedł Fernand Leigh. Sprawiał wrażenie trochę zdenerwowanego. Był jednak po kieliszku, wyczuła to, i może dlatego wydawał się taki opanowany, pomimo trudnej, skomplikowanej sytuacji, w której bądź co bądź on też się znajdował.

Popatrzyła na niego: nie rozumiała już, dlaczego uznała go za tak atrakcyjnego mężczyznę. Był przystojny, owszem, ale i nieprzyjemny. Dała się nabrać na prymitywne połączenie wdzięku i brutalności, gdyby i bez tego tak bardzo nie bolała jej głowa, najchętniej sprąłaby się porządnie po twarzy.

- No, to załatwione - powiedział. - Zapiski Frances Gray już nie istnieją. Spaliłem je.

- Po co?

- Myślisz, że mam ochotę, żeby stało się jeszcze raz to samo co z tobą? Żeby jeszcze raz jakieś ciekawskie stworzenie, które nie nauczyło się trzymać łap z daleka od rzeczy innych osób, zaczęło tutaj węszyć i potknęło się o tę historię? A potem może wycisnęło z Laury całą prawdę, dowiedziało się wszystkiego o mnie, wyjaśniło starej, że nie ma się czego obawiać, a na koniec zagroziło mi policją? Z całą pewnością nie zamierzam ryzykować.

- Ale teraz ty sam zniszczyłeś dowód tamtego morderstwa.

- Ale Laurze tego nie powiem. Nie musi wiedzieć, że zapiski zostały odnalezione, a teraz już nie istnieją. Niech nadal się boi, że pewnego dnia mogą się pojawić.

Barbara wyprężyła ramiona.

- Zapominasz, że ja wiem o wszystkim - powiedziała.

Jej głos wydawał się trochę płytki, bo mówienie sprawiało jej ból, mimo to próbowała okazać choćby skromną pewność siebie.

Przyglądał jej się z lekkim zalem w oczach.

- Owszem. Tylko ty.

Najwidoczniej zapomniał na moment, że również Ralph może wiedzieć o istnieniu relacji, choć nie zna szczegółowo jej treści. Barbara postanowiła nie naprowadzać go na razie na tę myśl. Dopóki sama nie wie, jakie są jego zamiary, powinna unikać narażania na niebezpieczeństwo także Ralpha.

- Co zamierzasz ze mną zrobić? - zapytała.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Zawsze w ofensywie! Idę o zakład, że odstawiałaś pierwszorzędne występy przed sądem!

- Chciałabym wiedzieć, co zamierzasz - obstawała Barbara, nie dając się zbić z tropu.

- A przy tym nadal jesteś małą wrażliwą osóbką - ciągnął dalej. - Zdziwiłaś mnie zeszłej nocy, kiedy płakałaś z powodu samobójstwa swojego klienta. Nie jesteś taka cool, jak wciąż udajesz. Niestety.

- Mówiąc szczerze, nie mam najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie tych analiz mojego charakteru. Są one zresztą zupełnie nieistotne. Ja...

- A m n i e interesuje twój charakter - przerwał jej łagodnie. - Mnie interesują twoje głębie, Barbaro. Ty mnie interesujesz. W zasadzie jesteś kobietą, która ciągle próbuje stać ponad rzeczami. Której nie ma się to, co dręczy nas, normalnych śmiertelników. A mimo to zauważyłem, że od pierwszej chwili leciałaś na mnie. Na pewno był to dla ciebie wstrząs, kiedy poczułaś taki prymitywny impuls. W każdym razie dzięki temu byłaś zeszłej nocy w

siódmym niebie, o którego istnieniu przedtem nawet nie wiedziałaś.

Zaśmiała się nieszczerze.

- Nie przechwalaj się tak. Było pięknie, ale nie myśl sobie, że z tego powodu będę leżeć u twoich stóp. Jeśli już zdarza mi się tracić rozum, to na krótko.

Na dole zadzwonił telefon. Chciała natychmiast minąć Fernanda stojącego na drodze do drzwi, ale przytrzymał ją za ramię.

- Nie! Zostaniesz tutaj!

- Puść mnie! To może być Ralph!

- Telefon dzwonił już parę razy. Ktokolwiek to jest, zadzwoni znowu.

Barbara próbowała wywinąć się z jego uścisku, lecz jej się nie udało.

- Skoro dzwonił już parę razy, to na pewno Ralph. Będzie zdziwiony, jeśli się nie zgłoszę!

- No i co z tego? To po prostu będzie zdziwiony. Sądzisz, że mnie to jakoś szczególnie interesuje czy wręcz zasmuca?

Zaczekał jeszcze chwilę. W końcu telefon umilkł. Puścił Barbarę, która cofnęła się o krok i powstrzymała jednak od potarcia bolącego ramienia.

- To co będzie dalej? - zapytała. - Mam pozostać zamknięta w tym pokoju, gdy ty z pomocą alkoholu będziesz próbował zapomnieć o swej pogmatwanej sytuacji?

Jego wzrok był bardzo poważny.

- Szkoda, że jesteś tak wrogo do mnie nastawiona. Mielibyśmy mnóstwo możliwości, gdybyś chciała współpracować.

Nic nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na niego pogardliwie.

- No cóż, myślałem - zaczął Fernand - że oboje...

Urwał. Na dole ktoś otworzył drzwi i wszedł z hukiem do hallu, otrzepywał głośno buty.

- Barbaro! - To był głos Ralpha. - Barbaro, gdzie jesteś? Wróciłem!

- To Ralph! - oświadczyła Barbara. Ponownie chciała wyjść z pokoju, lecz Fernand chwycił ją znowu za ramię.

- Zostaniesz grzecznie tutaj - szepnął.

- Ralph, jestem tu, na górze! - zawołała.

- Przykro mi, że trwało to tak długo. Wczoraj po prostu nie dałem już rady wrócić. To nieprawdopodobne, ile śniegu napadało! A na dodatek zablądziłem w zadymce. Wyobraź sobie, że wylądowałem na jakiejś odległej farmie i tam przenocowałem! Ale nie mieli, niestety, telefonu. Mam nadzieję, że nie martwiłaś się za bardzo...? Barbaro?

- Odpowiedz mu - rozkazał cicho Fernand.

- Coś takiego sobie właśnie pomyślałam - zawołała Barbara.

Stwierdziła, że jej głos przy ściśniętym gardle brzmi dziwnie i nieszczerze, zwłaszcza że przeszkadzało jej skaleczenie ust. Wydawało się jednak, że Ralph nie zwrócił na to uwagi.

- Dali mi za to mnóstwo dobrych rzeczy - zawołał z dołu. - Założę się, że prawie zwariowałaś z głodu! Nie zejdziesz do kuchni, żeby obejrzeć to wszystko?

- Każ mu przyjść na górę - syknął Fernand.

W dalszym ciągu ścisnął ją za ramię. Gdyby jednak nawet udało jej się wyrwać - co by to dało? Dokąd miałyby uciec?

- Przyjdź na górę! - zawołała.

To najwidoczniej zdziwiło Ralpa.

- Dlaczego ty nie zejdziesz? Nie chciałabyś od razu czegoś zjeść?

- Ty przyjdź na górę! - powtórzyła Barbara, ale tym razem pobrzmiwało w jej głosie coś, co natychmiast skłoniło Ralpa do tego, że ruszył biegiem po schodach.

Był zaskoczony obrazem, jaki ukazał się jego oczom. Barbara stała w drzwiach; wyglądała upiornie z posiniaczonym podbródkiem i mocno spuchniętą, pękniętą wargą. Obok niej stał Fernand Leigh i trzymał ją za ramię.

- W każdym razie Ralph nie mógł dzwonić przed chwilą - rzekł właśnie.

Ralph zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów.

- Masz gościa? - spytał zdziwiony.

Wyrwała ramię z uścisku Fernanda.

- Owszem, ale właśnie chciał wyjść.

- Czy nie wspominałaś coś o śniadaniu? - spytał Fernand.

- To było parę godzin temu. Zanim mnie pobili i zamknęli w tym pokoju.

- Co? - spytał Ralph. Czuł się tak, jakby wylądował w jakiejś groteskowej sztuce teatralnej.

Fernand popatrzył na niego z drwiącym uśmiechem.

- Zatroszczyłem się trochę o pańską żonę. Była przecież zupełnie sama w tym wielkim domu... i bardzo głodna!

Ralph miał wrażenie, że Barbara ledwo trzyma nerwy na wodzy.

- Pan Leigh pojawił się tu niespodziewanie wczoraj wieczorem - wyjaśniła śpiesznie. - Dowiedział się od Cynthii, że głodujemy od wielu dni. Był... tak miły i przyniósł nam trochę żywności. Przykro mi, Ralph. Gdybyśmy domyślali się tego, mógłbyś oszczędzić sobie

całego trudu.

- W takim razie zupełnie niepotrzebnie martwiłem się o ciebie - rzekł Ralph. - Wczoraj wieczór, kiedy siedziałem przy wspaniałej kolacji, miałem okropne wyrzuty sumienia, bo myślałem, że ty w dalszym ciągu głodujesz.

- A nie mówiłem! - wtrącił Fernand.

Coś w całej sytuacji nie spodobało się Ralphowi. Napięcie między Fernandem i Barbarą czuć było tak wyraźnie, że niemal paraliżowało jego zmysły. Dlaczego Fernand trzymał Barbarę za ramię? Dlaczego oboje byli na górze? Dlaczego Barbara nie chciała zejść na dół? I co powiedziała? Dopiero w tym momencie dotarło do niego znaczenie jej słów: „Zanim mnie pobiełeś i zamknąłeś tutaj...”. Czyżby to był żart? A jej usta...

Uciekł się do konwencji, w nadziei że zdoła w ten sposób ukryć niepewność i zmieszanie.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, panie Leigh, że zadał pan sobie tyle trudu - powiedział. - Moja żona i ja jesteśmy panu bardzo wdzięczni.

Fernand z uśmiechem machnął ręką.

- Pańska żona okazała mi już wdzięczność w całkiem ładny sposób - odparł uprzejmie.

Zabrzmiało to dwuznacznie. Ralph zajął mimo niego w głąb pokoju. Jego wzrok zatrzymał się na rozgrzebanym łóżku. Naturalnie Barbara musiała mu zaproponować nocleg w Westhill; po nowych opadach śniegu poprzedniego wieczoru nie mogła wysłać go po ciemku w drogę powrotną.

Zadał sobie jednak pytanie, dlaczego ten mężczyzna jest tutaj nadal w p o ł u d n i e, dlaczego on i Barbara są akurat w małej sypialni. Obudziło się w nim coś ciemnego, ponurego, jakieś przeczucie, które natychmiast rozpaczliwie od siebie odsunął. To niemożliwe, to absurd. Widzi duchy, bo jest zupełnie padnięty i wyczerpany. Z zimna bołą go stopy. Cieszył się już, że weźmie gorący prysznic. Potrzebował relaksu, snu.

- Fernandzie, chciałabym porozmawiać z moim mężem sam na sam - powiedziała Barbara.

Fernand nie ruszył się z miejsca.

- A ja chciałbym być przy tym - odparł.

Ten facet posuwa się zdecydowanie za daleko, pomyślał Ralph, budząc się ostatecznie z letargu. Jest bezczelny. Przyniósł Barbarze coś do jedzenia, ale nie ma prawa zachowywać się jak u siebie w domu.

- Słyszał pan, co powiedziała moja żona - rzekł Ralph. Nawet w jego uszach własny głos zabrzmiał ostro. - To miłe, że przyniósł jej pan coś do jedzenia, ale uważam, że teraz

powinien pan już sobie pójść.

Fernand uśmiechnął się znowu.

- Nie sądzę, żeby pańska żona n a p r a w d ę chciała, bym sobie poszedł.

- Przeciwnie, tego właśnie chcę - sprostowała Barbara. - Chcę, żebyś zniknął, i to natychmiast.

- Zaczynasz mieć trochę pietra. Bo twój mąż nagle się pojawił. O ile pamiętam, jeszcze niedawno przechwalałaś się, że wszystko mu powiesz. Chętnie bym wysłuchał twojego wyznania. Ciekaw jestem twoich wykretów i wyjaśnień. Ostatecznie jako pani adwokat masz wprawę w usprawiedliwianiu nieuczciwych zachowań.

Ralph pokonał ostatni stopień schodów.

- Niech pan się wynosi! - powiedział cicho. - W tej chwili niech pan się wynosi. Nie wiem, co tu się wydarzyło, ale na pewno to ustalę. Jeśli zrobił pan jakąś krzywdę mojej żonie, będzie pan odpowiadał przed sądem za uszkodzenie ciała, już teraz mogę pana o tym zapewnić.

Tym razem o n chwycił F e r n a n d a za ramię. Fernand popatrzył w dół na dłoń zaciśniętą na jego ramieniu.

- Niech pan mnie puści - powiedział równie cicho jak Ralph. - Niech pan natychmiast zabierze rękę.

Ralph pozostawił rękę tam, gdzie była.

- Zejdzie pan teraz ze mną na dół i opuści ten dom.

- Powiedziałem, żeby zabrał pan rękę - powtórzył Fernand.

Ralph wiedział, że fizycznie jest słabszy od tego mężczyzny, lecz uważał za wykluczone, iż może dojść do bójki. Problemy usuwało się werbalnie lub podczas postępowania sądowego. Pięści i bijatyki nie należały do jego stylu życia ani do metod załatwiania sporów z innymi ludźmi.

I dlatego był kompletnie nieprzygotowany na to, co nastąpiło.

Fernand jednym szarpnięciem uwolnił ramię, a równocześnie wystrzeliła do przodu jego druga ręka. Jego pięść trafiła Ralpa w pierś. Ten zatoczył się do tyłu i szukając oparcia, wyciągnął rękę ku balustradzie schodów.

Usłyszał krzyk Barbary:

- Nie! Ralph!

W następnej chwili pięść Fernanda trafiła go po raz drugi, i znowu w pierś. Próbując rozpaczliwie złapać oddech, stracił równowagę. Jego stopy znalazły się nagle w powietrzu i runął do tyłu na schody. Koziołkując w dół, uzmysłowił sobie ze zdziwieniem, że nie czuje

bólu, w każdym razie nie podczas spadania, tylko pierś go bolała i w dalszym ciągu miał kłopoty z oddychaniem. Głową uderzył kilkakrotnie w twarde krawędzie stopni, potem otoczyła go noc. Tracąc świadomość, usłyszał jeszcze raz krzyk Barbary.

Kiedy Laura dotarła do Leigh's Dale, było wpół do pierwszej. Miała wrażenie, że nie zdoła już przejść ani kroku, a mimo to wiedziała, że najtrudniejszy odcinek jeszcze przed nią. Długa, dla niej stroma droga pod górę, do Westhill...

Muszę zrobić sobie małą przerwę, pomyślała, po prostu małą przerwę, wtedy na pewno dam radę. Po prostu mając siedemdziesiątkę na karku, człowiek nie jest już taki sprawny.

Zaspana wioska tonęła w śniegu. Wszystkie dachy miały grube śniegowe czapy, wydawało się niemal, jakby załamywały się pod tym ciężarem. Leigh's Dale, które w deszczowe dni mogło sprawiać wrażenie smutnej i szarej osady, nabrało nagle malowniczości. Wyglądało jak baśniowa wioska, jakby wyskoczyło właśnie z kalendarza adwentowego. Brakowało jedynie złotych włosów anielskich i pucułowatego Świętego Mikołaja, który wynurzyłby się zza zakrętu w saniach zaprzężonych w renifery.

Laura musiała pokonać pieszo całą drogę z Askrigg do Leigh's Dale, bo w niedzielę nie jechał żaden autobus. Na szczęście szosę w dużej części odśnieżono, dzięki czemu posuwała się bez większych przeszkód. Teraz będzie inaczej. Pod górę do Westhill będzie musiała przedzierać się przez głębokie zasy, a przecież już teraz była bardzo zmęczona...

Wlokła się szosą prowadzącą przez wieś, aż w końcu doszła do sklepu Cynthii. Cynthia miała w zasadzie zawsze otwarte, także w niedziele i święta. Nawet jeśli oficjalnie zamykała sklep, każdy mógł zawsze przyjść do niej. Cynthia potrzebowała sklepu i plotek z innymi mieszkańcami wioski. Zwariowałyby, gdyby na cały dzień musiała wycofać się do prywatnych pomieszczeń, położyć nogi na stole i nie mieć okazji usłyszenia od któregoś z klientów, co nowego wydarzyło się w okolicy.

Także tym razem drzwi sklepu otworzyły się, a równocześnie rozległ się jasny dźwięk dzwonka. Laura weszła do środka i natychmiast klapnęła na jedno z krzeseł, zawsze stojących tutaj dla ludzi, którzy podczas długich rozmów z Cynthią nie mogli się już utrzymać na nogach.

- Uff! - jęknęła, znużonym ruchem ściągając z głowy włóczkową czapkę. - To była długa droga!

Cynthia wychynęła z kąta, gdzie pochylona nad skrzynką sortowała na nowo jakieś towary.



- Laura! - zawołała zaskoczona. - Skąd przybywasz?

- Wczoraj przyjechałam z Londynu i przenocowałam w Leyburn - wyjaśniła Laura trochę jeszcze zdyszana. - Chcę jakoś dojść do Westhill.

- Teraz nie dojdiesz - odpowiedziała natychmiast Cynthia. - To wykluczone! Farma jest kompletnie zasypana. Nie dasz rady.

- Jakoś dam sobie radę. Muszę tylko chwilę odetchnąć. Cynthia, mogłabym dostać filiżankę herbaty?

- Właśnie zrobiłam świeżą. Mój Boże, ależ z ciebie wariatka! - Cynthia pośpieszyła do sąsiedniego pomieszczenia, wróciła z kubkiem i dzbankiem herbaty. - Jesteś zupełnie zdyszana - stwierdziła. - Z Askrigg szłaś na piechotę, prawda?

Laura skinęła głową. Dużymi łykami piła herbatę. Co prawda poparzyła sobie przy tym język, lecz równocześnie poczuła, jak budzą się w niej na nowo pierwsze siły życiowe.

- Muszę zajrzeć do Westhill, zobaczyć, czy wszystko w porządku. Barbara - ta, która wynajęła mój dom - tak dziwnie mówiła przez telefon.

- A kiedy z nią rozmawiałeś? W tej chwili jej głos na pewno nie brzmi normalnie. Martwi się o swojego męża. Wczoraj rano wyszedł, żeby zorganizować coś do jedzenia, a potem wszelki śluch o nim zaginął. Okropnie martwi się o niego.

- Rozmawiałam z nią wczoraj z samego rana. Wtedy nie mogła jeszcze się martwić. Jej mąż na pewno nawet jeszcze nie wyszedł.

- W takim razie niepokoiła się już dlatego, że c h c i a ł właśnie wyruszyć! Dobry Boże, Lauro, chyba nie przyjechałaś specjalnie z Chatham tylko dlatego, że Barbara d z i w n i e mówiła przez telefon?

Laura zignorowała to pytanie. Co ludzie tam wiedzą? Miała już dość tego, że każdy ciągle tylko kręcił głową.

- Mąż Barbary jeszcze nie wrócił? - spytała, zamiast odpowiedzieć.

- Nie wiem. - W słowach Cynthiai przebijał jednak ślad z troskaniem. - Wcześniej dzwoniłam już dwa razy do Westhill. Nikt się nie zgłasza.

- Nikt się nie zgłasza? - Laura opuściła filiżankę. - To niemożliwe!

- No cóż, obawiam się, że Barbara wyruszyła na poszukiwanie męża. A to by znaczyło, że oboje teraz blakają się gdzieś po okolicy. Odradzałam jej stanowczo wychodzenie z domu. Ale... naprawdę była bardzo zdenerwowana. Możliwe, że nie wytrzymała.

- Mogę jeszcze raz spróbować?

- Proszę! - Cynthia wskazała aparat stojący na ladzie sklepowej. - Jeśli uważasz, że

będziesz miała więcej szczęścia...

Laura wybrała numer i czekała. Telefon dzwonił tam chyba całą wieczność. Nikt nie podniósł słuchawki.

- Nie rozumiem tego! - powiedziała.

- Jeśli nie zgłoszą się do jutra, musimy zacząć ich szukać - postanowiła Cynthia.

Laura klapnęła z powrotem na krzesło. Nogi miała jak z waty. Była kompletnie wyczerpana... To irytujące, że człowiek nie jest już młody! Wszystko natychmiast bywa ponad jego siły!

- Wypiję do końca herbatę i odpocznę kwadrans - powiedziała - a potem ruszam w drogę.

- To szaleństwo, Lauro. Nawet człowiek młodszy i silniejszy od ciebie miałby ogromne trudności z dotarciem tam na górę. A ty i tak jesteś już u kresu sił. W pół drogi ustanieś, jestem pewna. Zostań tutaj. Spokojnie możesz przespać się u mnie.

- Cynthio, nie przyjechałam z Chatham do Yorkshire po to, by kłaść się do łóżka tutaj, w Leigh's Dale - oświadczyła Laura. W jej głosie pobrzmiwała determinacja, jakiej Cynthia nigdy u niej wcześniej nie zauważyła. - Muszę dostać się do Westhill! Chcę dostać się do Westhill! I dopnę swego!

- Padniesz trupem!

Laura nic nie odpowiedziała. Wydawało się, że całkowicie koncentruje się na swojej herbacie - i na czymś we własnym wnętrzu, co miało jej dodawać sił.

Cynthia bezradnym gestem rozłożyła ręce. Co miała zrobić? Jacy uparci są starzy ludzie, którzy przeceniają swoje możliwości i ciągle obstają przy tym, co sobie postanowili, nawet gdy wszystko przemawia przeciw temu i mogą tylko zrobić sobie krzywdę. Starczy upór - tak to nazywano. Cynthia obserwowała to dawniej u własnej matki, to samo mogła powiedzieć o wielu starych mężczyznach i kobietach z wioski.

Jednak tym razem u Laury zaskoczył ją ten upór. Laura nigdy nie obstawała przy czymś, co sobie postanowiła, gdy tylko ktoś inny wniósł sprzeciw. Według Cynthii Laura w ogóle nie p o t r a f i ł a upierać się przy czymś. Była chorągiewką na wietrze, człowiekiem tak bardzo uzależnionym od zdania innych, że nie wiedziała nawet dokładnie, czego sama chce, a co dopiero mówić o posiadaniu odwagi do przeforsowania tego.

Laura ciągle pytała: „Jak sądzisz? Jak myślisz? Jak uważasz?”. A kiedy człowiek jej wyłuszczył, co sądzi, myśli, uważa, chowała głowę w ramionach i mówiła: „Tak, masz rację!”. I natychmiast rezygnowała z zamierzenia, które wcześniej może w niej kiełkowało jako pierwszy, słaby załążek decyzji.

Do niej po prostu nie pasowało robienie nagle czegoś zupełnie zwariowanego i niesłuchanie innych, kiedy ktoś jej coś odradzał. Ściśle biorąc, nawet nie zapytała Cynthii o zdanie. To jeszcze bardziej do niej nie pasowało. W ogóle jej nie interesowało, co myśli Cynthia. Siedziała na krześle zajęta tylko sobą, zamiast innymi, siorbała herbatę i miała taki wyraz twarzy... Tak, Cynthii wydawało się, jakby ten wyraz twarzy mieścił w sobie całą nieustępliwość świata. Cynthia mogła mówić, cała wioska mogła mówić, każdy mógł pukać się w czoło - a Laura Selley i tak dopije swoją herbatę i wyruszy w drogę do Westhill.

To było niezwykle i przerażające. Coś w obrazie świata Cynthii zaczęło się chwiać. Jeśli Laura nie była już Laurą - to na co w ogóle można się jeszcze zdać?

Kilka minut po pierwszej na ladzie sklepowej Cynthii zadzwonił telefon. Kiedy Cynthia zorientowała się, że z Laurą nie da się rozmawiać, zajęła się na powrót ustawianiem towarów spożywczych na półkach. Laura zaś, dla regeneracji sił, odbyła pięciominutową drzemkę na siedząco. Gdy rozległ się ostry dźwięk dzwonka, wystraszona podniosła głowę i rozglądała się dokoła zmieszonym wzrokiem.

- Już idę - powiedziała Cynthia.

Podniosła słuchawkę.

- Halo?

Słuchała przez chwilę.

- Kto? Ach, Lilian! W pierwszej chwili w ogóle nie poznałam pani po głosie! Brzmi tak jakoś dziwnie!

Na dźwięk imienia „Lilian” wzrok Laury stał się w jednej chwili trzeźwy i jasny. Wstała z krzesła.

- Lilian Leigh? - zapytała.

Cynthia skinęła głową. Słuchała przez jakiś czas, po czym powiedziała:

- Lilian, niechże pani się uspokoi! Co takiego się stało? Czy Fernand znowu... W ogóle go nie ma?... Gdzie... Ach! Kiedy?... Wczoraj wieczór?... Tak, w takim wypadku naturalnie tam spał... Ale on przecież nigdy nie dzwoni, taki już jest... Mówiąc szczerze, dla mnie to uspokajająca wiadomość. Myślałam już, że Barbara wyruszyła na poszukiwanie męża, ale Fernand nigdy by do tego nie dopuścił... Tak, to rzeczywiście zastanawiające... My też nie możemy się dodzwonić... Tak, niech pani sobie wyobrazi, Laura Selley jest tutaj... Tak... Chce dostać się do Westhill... Też dokładnie nie wiem, pewnie się jej wydaje, że dom zniknął z powierzchni ziemi lub coś w tym rodzaju...

Cynthia roześmiała się.

- Co się stało? - spytała Laura.

- Lilian, jemu na pewno nic się nie stało - rzekła uspokajającym tonem Cynthia. - Wie pani, co myślę? Barbara namówiła go, żeby razem z nią wyruszył na poszukiwanie jej męża... Co?... Nie, o to nie musi się pani martwić, Fernand zna przecież okolicę jak własną kieszeń. Niepokoiłabym się tylko wtedy, gdybym wiedziała, że Barbara sama błąka się po bezdrożach... Naturalnie. Kiedy ktoś się zgłosi, natychmiast powiadomię... Tak. Z całą pewnością. Niech się pani nie denerwuje. Na razie, Lilian!

Odłożyła słuchawkę.

- Dobry Boże - powiedziała - ale ta Lilian jest nerwowa! Już znowu beczy, bo nie wie, gdzie podziewa się Fernand! Powinna się przecież cieszyć, gdy nie ma go czasem w domu! Bo wtedy jest przynajmniej czas, żeby zbladła jej śliwa po ostatnim biciu.

- Fernand jest w Westhill? - spytała zaalarmowana Laura.

- W każdym razie wybrał się tam wczoraj wieczorem. W pewnym sensie to moja wina, bo powiedziałam Lilian, że ci dwoje tam nie mają nic do jedzenia. A wtedy Fernand koniecznie chciał im coś zanieść - przynajmniej Barbarze, bo Ralpha przecież nie było. A więc, muszę powiedzieć, że to mnie naprawdę wzrusza! - Cynthia przybrała zadowoloną minę. - Moja matka zawsze twierdziła, że w każdym człowieku tkwi coś dobrego. I teraz widać, jak bardzo miała rację! Pomyślałabyś, że Fernand Leigh jest taki skory do pomocy?

- I do tej pory nie wrócił do domu?

- No cóż - Cynthia uśmiechnęła się przebiegle. - Naturalnie nie chciałam Lilian tego mówić, ale przebywanie w towarzystwie ładnej Barbary na pewno sprawia mu frajdę. Nie, żebym uważała... eee, że robią coś niewłaściwego. Ale pewnie mu nieśpieszno wracać do domu do zahukanej Lilian.

- Lilian też była kiedyś bardzo ładna - przypomniała Laura.

- Tak, ale teraz jest tylko cieniem samej siebie. W każdym razie moim zdaniem Fernand na pewno będzie się przystawiał do tej Barbary.

- Mimo to mogliby przecież podejść do telefonu - rzekła Laura.

Wydawała się okropnie spięta i jeszcze bardziej niż poprzednio zdenerwowana. Cynthia zastanawiała się, co tym razem znowu się z nią dzieje.

- Przecież mówiłam już Lilian, że może wyruszyli na poszukiwanie męża Barbary - powiedziała. - W takim wypadku Barbarze na pewno nic się nie stanie. Naprawdę mi ulżyło, gdy się dowiedziałam, że Fernand jest przy niej.

- Mam bardzo dziwne przeczucie - wyszeptwała Laura, która była bliska płaczu.

- Z powodu Fernanda? Na pewno nie zrobi Barbarze nic złego! Wobec Lilian traci

czasem panowanie nad sobą, ale nie w stosunku do obcej kobiety. Nie wyobrażam sobie tego.

Laura zrobiła parę kroków tam i z powrotem, kurczowo splatając dłonie. Kiedy przedtem wchodziła do sklepu, miała policzki czerwone z zimna. To już minęło. Teraz była blada jak trup.

- Lauro... - próbowała ją uspokoić Cynthia.

Laura sięgnęła po swoją czapkę i zdecydowanym ruchem naciągnęła ją na uszy.

- Idę - powiedziała. - Natychmiast wyruszam do Westhill!

- Oszalałaś! Powiedz mi przynajmniej, na miłość boską, d l a c z e g o!

- To długa historia - odparła Laura - i bardzo stara.

Włożyła rękawiczki i owinęła szyję szalem.

- Dziękuję za herbatę, Cynthia. Zapłacę innym razem.

- To było gratis, Lauro - ale jeśli teraz wyjdiesz, może już nie być następnego razu!

Laura jej nie słuchała. Otworzyła drzwi sklepu, dzwoneczek zabrzmiał srebrzyście i radośnie. Cynthia popatrzyła za nią, widziała, jak maszeruje szosą przez wieś. Nawet od tyłu widać było po niej determinację. Nigdy wcześniej nie nosiła głowy tak wysoko i nie trzymała ramion tak prosto. Energiczna osoba, cała ubrana na czarno.

- W końcu chyba rzeczywiście dopnie swego - mruknęła Cynthia.

- Barbaro - jęknął z wysiłkiem Ralph - bardzo chce mi się pić!

Barbara siedziała skulona na krześle, podkurczywszy nogi, teraz podniosła głowę.

- Mogę ci znowu dać tylko śniegu - powiedziała.

- To daj. Lepszy śnieg niż nic.

Podeszła do okna, zebrała z parapetu na zewnątrz garść śniegu i stanęła obok Ralpha, który leżał na kocu na ziemi. Miał bóle, widać to było po jego twarzy.

- A jak się teraz czujesz? - spytała Barbara.

Spróbował się uśmiechnąć, lecz próba zupełnie się nie powiodła.

- Do kitu. Mam wrażenie, że głowa pęknie mi lada chwila.

Barbara roztarła mu na wargach trochę śniegu, który wpadł mu do ust.

- Na pewno masz wstrząs mózgu. Kiedy się staczałeś, niejeden raz uderzyłeś głową o schody. W żadnym wypadku nie wolno ci się teraz ruszać.

- Nie ma obawy. Nie mógłbym, nawet gdybym chciał.

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Byli w jadalni, a więc mieli pod ręką filiżanki i szklanki. Wzięła z kredensu trzy duże kubki, ponownie otworzyła okno i napełniła je śniegiem, a następnie postawiła naczynia pod kaloryferem.

- No - powiedziała - teraz będziemy mieć przynajmniej prawdziwą wodę do picia. -  
Wyjrzała przez okno. - Bez trudu mogłabym wyleźć.

Ralph wykonał przeczący ruch ręką.

- Nie. Nie masz płaszcza, butów, niczego. Bez nart nie dotrzesz do Leigh's Dale. A po drodze zamarzniesz.

- Co za łajdak - powiedziała z pasją Barbara. - Cholerny łajdak!

Kiedy przedtem zobaczyła Ralpha, jak leżał u stóp schodów dziwnie skręcony i skulony, w pierwszej chwili była przekonana, że nie żyje.

- Zabiłeś go! - krzyknęła. - Na miłość boską, zabiłeś go!

Tym razem Fernand nie zdołał jej powstrzymać. Niczym łasica zbiegła po schodach i klękła obok Ralpha. Leżał na brzuchu, więc obróciła go bardzo ostrożnie na plecy. I wtedy wreszcie zauważyła, że oddycha.

- Natychmiast musimy wezwać pogotowie - oświadczyła, wstając.

Tymczasem również Fernand zszedł na dół.

- Jaki by to miało sens? - zapytał. - Karetka i tak by nie dojechała.

- No to co? Wtedy będą musieli wysłać przodem pług śnieżny. Albo przylecieć helikopterem. Na pewno znajdą jakiś sposób.

Popędziła do salonu. Ledwo jednak wzięła do ręki słuchawkę, Fernand, który podążył za nią, przycisnął widełki.

- Nie - powiedział.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Co znaczy „nie”? On może umrzeć! Możliwe, że ma obrażenia wewnętrzne albo...

- I sądzisz, że dam sobie przypisać winę za to?

- W tej chwili jest mi to dokładnie obojętne! - wrzasnęła.

Fernand zachował całkowity spokój.

- Ale nie mnie. Pomóż mi, zaniesiemy go do jadalni.

- Do jadalni? Tam nie ma nic, na czym mógłby leżeć. A tu, w salonie...

- ...stoi telefon. Pewnie by ci to pasowało. A teraz chodź ze mną. Chyba że wolisz, żeby leżał dalej na zimnych kamieniach?

Nie miała wyboru, musiała wyjść za nim na korytarz. Nieprzytomny Ralph jęczał, kiedy go podnieśli i taszczyli do jadalni. Położyli go na ziemi. Fernand przyniósł jeszcze wełniany koc, który rzucił Barbarze, po czym wyszedł z pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Zrobiła mu posłanie najlepiej, jak potrafiła, i po chwili, która wydawała się wlec w nieskończoność, ocknęła się wreszcie z omdlenia. W międzyczasie na przemian modliła się i

przeklinała, chodziła po pokoju i miała wrażenie, że lada chwila straci rozum.

W salonie obok wiele razy dzwonił telefon. Zastanawiała się, kto to mógł być. Naturalnie ktoś z rodziny. Albo Cynthia, która chciała się dowiedzieć, czy Ralph wrócił. Albo Lilian, która w końcu kiedyś powinna uświadomić sobie nieobecność męża. Obie dziwiły się pewnie, że nikt się nie zgłasza. Ale czy z tego powodu od razu zawiadamiałyby policję? A gdyby tak zrobiły - czy policja uznałaby za konieczne fatygować się z tego powodu aż do Westhill, co zajęłoby mnóstwo czasu i kosztowało немало?

Potem przypomniała sobie jeszcze coś: Laura była w drodze do domu. Pytanie tylko, czy zdoła dojść. Siedemdziesięcioletnia kobieta... Ale jeśli by nawet odnalazła drogę do Westhill, nie stanowiła najmniejszej pomocy. Przeciw Fernandowi nie mogłaby nic wskórać. Najwyżej jako trzecia wpadłaby w pułapkę i utknęła tu razem z nimi.

Możliwe, że próbowała się dodzwonić także Marjorie, na pewno bardzo się już niepokoi o siostrę.

Uczepiła się myśli, że po pewnym czasie najprawdopodobniej już trzy osoby będą musiały zauważyć, że w Westhill dzieje się coś dziwnego. Ale jak długo to potrwa, zanim faktycznie podejmą jakieś kroki?

Nie bardzo znała się na medycynie, lecz wewnętrzny głos podpowiadał jej, że Ralph pilnie potrzebuje pomocy. Nie było po nim nic widać, co najwyżej na jego ciele pojawiały się następne sine plamy. Ale zbyt długo już był nieprzytomny, poza tym wciąż jeszcze miała w uszach głuchoe odgłosy, gdy jego głowa uderzała o krawędzie kolejnych stopni schodów. W najlepszym razie okaże się, że to tylko wstrząs mózgu. Ale możliwe było też pęknięcie podstawy czaszki. W takim wypadku Ralph musiał trafić jak najszybciej do szpitala. Mogło dojść do wewnętrznych krwotoków, które gdyby ich natychmiast nie powstrzymano, bardzo prędko oznaczałyby śmierć.

O trzeciej Ralph wciąż jeszcze był nieprzytomny. Barbara natarła mu czoło śniegiem w nadziei, że chłód pozwoli mu się ocknąć, ale nie zareagował. Po długim szukaniu odnalazła jego puls: wydawał jej się normalny. Także oddech był miarowy. Rozważała wszelkie możliwości ucieczki, ale żadna nie miała szans powodzenia. Wiele razy wołała Fernanda, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Podobnie jak przed południem, także teraz przez wiele godzin w domu panowała cisza. Można było przypuszczać, że go nie ma, ale zorientowała się już, że przez dłuższy czas potrafi zachowywać się zupełnie cicho.

Jeśli Fernand do piątej nie da znaku życia, pomyślała, wyjdę przez okno, wybiję szybę w salonie i zadzwonię na policję.

Siedząc przy stole, wpatrywała się w kupkę popiołu wewnątrz kominka. Gdzieś tliła

się jeszcze iskra. Zapiski Frances. Spalone i zniszczone. Żałowała, że nie posłuchała rady Ralpa, żeby nie czytać tego wszystkiego. Albo gdyby była przynajmniej na tyle mądra i od razu schowała cały ten stos kartek, kiedy zorientowała się, że kryje on w sobie niebezpieczną tajemnicę. Kto mógł jednak przypuszczać, że ta historia nie jest jeszcze zamknięta? Że toczy się dalej tyle lat po śmierci Frances Gray?

Nic nie minęło, nic nie dobiegło końca. Nie odpokutowane morderstwo Victorii wymagało wyjaśnienia. Wyglądało na to, że dopóki to nie nastąpi, świadkowie i uczestnicy tamtych tragicznych wydarzeń nie zaznają spokoju.

Tuż po czwartej Ralph ocknął się z omdlenia i po raz pierwszy zażądał wody. Barbara sądziła, że w pierwszej chwili może być oszołomiony i nie będzie wiedział, gdzie i kim jest; ale natychmiast zorientował się w sytuacji i dokładnie pamiętał, co się stało.

- Co, u diabła, wstąpiło w tego Fernanda Leigha? - zapytał po nieudanej próbie podniesienia się, gdy z jęknięciem musiał się od razu z powrotem położyć. Jego wargi były równie blade jak twarz.

Barbara przekazała mu w skrócie przebieg wydarzeń. Zreferowała sprawę morderstwa Victorii Leigh, które miało miejsce tak wiele lat temu, dodała też, że Laura żyje odtąd w przekonaniu, iż może być za to pociągnięta do odpowiedzialności i stracić wszystko, co posiada. Opowiedziała, że Fernand Leigh wiedział o tym i wykorzystywał swoją wiedzę, szantażując starą kobietę przez wiele lat. Że ona sama przejrzała go na wskroś, lecz była na tyle głupia, że zagroziła mu policją.

- On jest teraz w cholernie trudnej sytuacji - powiedziała. - Ja, a teraz także ty wiemy o wszystkim i ewentualnie możemy wpakować go do więzienia. A atakując ciebie, dopuścił się na dodatek ciężkiego uszkodzenia ciała. Dla niego gra idzie już o bardzo wysoką stawkę.

- Czy ty wiesz, co mówisz? - spytał z wysiłkiem Ralph. - W zasadzie to on nie ma wyboru i powinien nas zabić.

- Ale nie śpieszy się z tym. Jest czwarta. Siedzimy tutaj zamknięci od trzech godzin. Zastanawiam się, co zamierza. Kiedyś zacznie go szukać żona. Cynthia zrobi się podejrzliwa. I on o tym wie. W sąsiednim pokoju dzwoni bez przerwy telefon. - Zniżyła głos. - Poza tym Laura Selley jest w drodze do domu!

- A to dlaczego?

- Podczas rozmowy przez telefon zauważyła coś w moim głosie, jestem absolutnie pewna. Zapewne jest przekonana, że znalazłam zapiski, o których wie, że istnieją, i których rozpaczliwie szukała od lat. Okropnie się martwi, że jeśli jest w nich coś o morderstwie, to



pójdę na policję.

- Nie da rady dotrzeć tutaj - rzekł Ralph, po czym dodał: - W każdym razie należy jej życzyć, żeby nie dotarła. W przeciwnym razie jeszcze i ona wpakuje się w tę niebezpieczną sytuację.

Wkrótce potem zasnął znowu, a za kwadrans piąta obudził się ponownie i po raz wtóry poprosił o wodę. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno. Barbara zapaliła małą lampę stojącą w kącie pokoju. Światła pod sufitem nie włączała, gdyż obawiała się, że jasność może nasilić ból głowy u Ralpha.

- Poprzednio coś postanowiłam - powiedziała. - O piątej chciałam spróbować dostać się z zewnątrz do salonu i zadzwonić na policję.

- Leigh nie dopuści do tego.

- Jeśli tam jeszcze jest. Nie słyszałam go od wielu godzin.

- Lepiej nie ryzykuj, Barbaro - rzekł Ralph.

W ciągu ostatnich minut pobladł jeszcze bardziej. Barbara przyjrzała mu się z zatroskaniem.

- Wyglądasz coraz gorzej.

- Czuję się dosyć kiepsko. Obawiam się, że za chwilę zwymiotuję.

- To normalne przy wstrząsie mózgu. Ale ja... ja powinnam teraz naprawdę spróbować dostać się do telefonu.

Mówienie sprawiało Ralphowi dużą trudność.

- Nie... niedobrze... go prowokować.

Znowu spróbował się uśmiechnąć.

- Zafundowaliśmy sobie piękny urlop, co?

- Cudowny. Obiecuję ci, Ralph, że na pięćdziesiąte urodziny подарuję ci coś bezpiecznego: komputer albo samochód...

- W samochodzie też można mieć wypadek.

- Nie za każdym razem musi się to źle kończyć.

Spróbował odrobinę unieść głowę. Pod wpływem bólu jego twarz pokryła się bruzdami. Wydawało się, jakby nagle przybyło mu lat.

- Ty... spałaś z nim, prawda? - zapytał w końcu. - To miał na myśli Fernand Leigh... gdy robił te aluzje?

Nie było sensu się wypierać. Do tego przynajmniej, do uczciwości, Ralph miał prawo, a ona była mu ją winna.

- Tak. Zrobiłam to. I nigdy w życiu nie wstydziałam się za coś aż tak bardzo.

- Dlatego że... okazał się łajdakiem?

- Dlatego że zawsze nim był. I dlatego, że wiedziałam to już przedtem. A mimo to... nie potrafiłam się oprzeć.

Opuścił z powrotem głowę.

- Dlaczego? - zapytał głosem, który z wyczerpania brzmiał wyjątkowo ciężko.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Musisz przecież wiedzieć!

- To takie trudne...

Odgarnęła włosy do tyłu, zauważyła przy tym, że nie wie, co zrobić z rękami. Zaraz zaczęła obgryzać paznokcie jak mała dziewczynka. Usiadła i położyła dłonie na kolanach.

- Wszystko, co bym teraz powiedziała, musiałyby zabrzmieć w twoich uszach jak wykrety. A ja nie chciałabym się wykrecać. Stało się. Przykro mi.

- Zakochałaś się w nim?

- W Fernandzie? Po tym wszystkim, co...

- Mam na myśli... wczoraj w nocy. Czy był moment, w którym... sądziłaś, że go naprawdę kochasz?

- Nie. - Zabrzmiało to jasno i spontanicznie. - Nie, takiego momentu nie było.

- A jeśli... to wszystko by się nie stało... z książką Frances Gray... Chodzi mi o to, gdyby nie szantażował Laury, gdyby mu teraz nie odbiło... czy wtedy chciałabyś z nim zostać?

- To zupełnie hipotetyczne pytanie, Ralph. On jest takim człowiekiem, jakim jest. Nawet gdyby nie zdarzyło się to wszystko z Laurą, pozostawałby fakt, że pije i znęca się nad żoną. Przynajmniej to przypominałabym sobie najpóźniej następnego ranka. - Milczała przez chwilę, po czym dodała: - I to przypominałam sobie tego ranka. O całej reszcie jeszcze wtedy nie wiedziałam. Ale zastanawiałam się już, jak mogłam to zrobić.

- To by się nie stało, gdyby między nami wszystko było w porządku.

- Nie wiem. - Dopiero teraz popatrzyła na niego. - Może to by się stało także wtedy. To było... Straciłam kontrolę. Wydaje mi się, że nie miało to wcale tak wiele wspólnego z Fernandem Leighem. Równie dobrze mogło się zdarzyć coś innego. To... - Rozpaczliwie szukała właściwych słów. Jak miała mu wyjaśnić, co czuła, skoro sama jeszcze nie bardzo to rozumiała? - To było tak, jakby coś we mnie pękło. Czułam się jak ktoś, kto przez długie lata nie żył tak naprawdę. I kto nagle robi coś zwariowanego, absurdalnego, coś zakazanego i w ten sposób zdaje sobie sprawę z tego, że życie w nim nie wygasło. Ach, Ralph! - Ponownie

wstała. - To co mówię, musi być dla ciebie bolesne. A zarazem tak, jakbym szukała wykrętów... jakbym przedstawiała prymitywną historię w piękniejszych barwach, żeby nie wyjść po prostu... na zwykłą cudzołożnicę. Porozmawiamy o tym później, Ralph. Kiedyś, gdy będziesz czuł się lepiej. Kiedy zdążysz się zastanowić nad tym wszystkim. Wtedy zobaczymy, jak dalej będzie.

- A wierzysz w to, że będzie jakiś dalszy ciąg?

Uklękła obok niego.

- Nie teraz. Proszę, Ralph. W tej chwili chodzi o to, żebyśmy przeżyli. Na całą resztę przyjdzie czas później. Dobrze?

Dotknęła lekko jego policzka. Oczy miał zamknięte.

Dziesięć minut później zaczął wymiotować. Musiała go podpierać, trzymać mu głowę. Z bólu aż pojękiwał.

Zrozumiała, że jeśli nic nie zrobi, Ralph może nie przetrzymać nocy.

Było już po szóstej, kiedy zdecydowała się zostawić go samego. Postanowiła wejść do salonu z zewnątrz i zadzwonić na policję; musiała jednak poczekać, chciała się najpierw upewnić, że nie będzie już wymiotował. Bez jej pomocy nie mógł się ruszać i byłby się przy tym udusił. Po dwudziestu minutach, kiedy się nie ruszał ani nie zbierało mu się na wymioty, uznała, że nadszedł właściwy moment.

Musiała działać szybko, to najważniejsze. Po pierwsze dlatego, że nie mogła zostawić długo Ralpa samego. A po drugie, Fernand mógł nadal wyłonić się nagle z jakiegoś zakamarka domu. Okno musiała wybić za pierwszym uderzeniem, natychmiast wejść do środka i w kilka sekund znaleźć się przy aparacie.

Rozglądała się za przedmiotem, którym mogłaby stłuc szybę. Najlepiej nadawałoby się do tego jakieś polano, lecz obok kominka nie leżało już żadne. W szafkach znajdowały się tylko szkło i porcelana. Czy miała zabrać ze sobą całe krzesło?

Jej wzrok ślizgał się po ścianach i suficie i zatrzymał na twarzy młodej Frances Gray. Jej uwagę zwróciły ciężkie pozłacane ramy. Wzięła obraz do ręki. Materiał był w dotyku zimny i w jej rękach wydawał się ciężki. Frances uśmiechała się ironicznie.

- Może tym by się dało - mruknęła Barbara.

Jeszcze raz zajrzała do Ralpa. Oddychał płytko i był zupełnie szary na twarzy, lecz nadal nie zanosilo się na następny atak wymiotów.

- Zaraz sprowadzę pomoc - szepnęła do niego. - Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Kiedy otworzyła okno, buchnęło jej w twarz lodowate powietrze. Na wieczornym

niebie nie było chmur, tu i ówdzie widziała już migoczące gwiazdy. Wąski sierp księżyca dawał skąpe, zimne światło, w którym zaśnieżone pola dookoła przybierały niebieskawy odcień. Panowała kompletna cisza, nieprzerywane żadnym dźwiękiem, niepowtarzalne milczenie zimowej nocy. Piękno scenerii wzruszyło Barbarę na moment, mimo koszmaru, w jakim się poruszała. Oddychała głęboko chłodem i ciemnością. Nigdy wcześniej nie rozumiała z taką intensywnością, dlaczego Frances Gray tak bardzo kochała te strony. A teraz, w tej straszliwej chwili, odczuwała miłość jako bolesne rwanie w swoim wnętrzu. Mocniej zacisnęła palce na ramie obrazu.

- Jeśli jakoś możesz, to pomóż mi teraz - poprosiła cicho.

Śnieg skrzypiał jej pod nogami, nie był już świeży i właśnie zamieniał się w lód na nocnym mrozie. Barbara przemknęła wzdłuż ściany budynku i dotarła do okna salonu. Ze środka nie padało żadne światło.

Podniosła wzrok. Także inne okna były ciemne.

Nie ma go, pomyślała. Jestem pewna, że go nie ma. Uznał, że sprawa jest zbyt niebezpieczna. Jestem idiotką, że tak długo czekałam. Ale właśnie na to liczył. Że minie kilka godzin, zanim podejmiemy jakieś kroki, i że do tej pory będzie miał mnóstwo czasu, by się ulotnić.

Zrezygnowała z pierwotnego planu wybicia okna. Nie musiała niczego niszczyć. Mogła wejść do środka głównymi drzwiami.

Podkradała się dalej, aż dotarła do drzwi domu. Ostrożnie nacisnęła klamkę. Naturalnie nie były zamknięte na klucz. Przynajmniej w tej okolicy nigdy nie zamykało się drzwi.

Nie włączyła światła, ponieważ nie mogła być całkiem pewna, że Fernanda nie ma gdzieś w pobliżu. Drzwi domu zostawiła szeroko otwarte, żeby choć trochę bladej księżycowej poświaty sączyło się do środka i rozjaśniało korytarz. Po omacku minęła garderobę, omal nie potknęła się przy tym o but leżący na podłodze. Przez niedomknięte drzwi zajrzała do kuchni. Również tam było zupełnie ciemno.

W salonie też nie włączyła światła. I bez tego wiedziała, gdzie stoi telefon. Przypomniała sobie, jak poprzedniego wieczoru siedziała tutaj obok Fernanda na sofie i popijając wino, oglądała telewizję. Od tamtej pory nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, a wydawało jej się, jakby w tym czasie upłynęło całe życie.

Stłukła sobie boleśnie kolano o stół, ale nie zwracała na to uwagi. Po omacku odszukała telefon. Jej palce zacisnęły się na słuchawce.

W tym momencie rozblęskło światło. Odwróciła się gwałtownie. Za nią stał Fernand.

- Wiedziałem - powiedział trochę przeciągle. - Wiedziałem, że kiedyś się tu zjawisz. Czekałaś dłużej, niż sądziłem.

W pierwszej chwili nie przyszło jej do głowy nic innego oprócz zupełnie zbędnego pytania:

- Jeszcze tutaj jesteś?

- Jak widzisz. Tam - wskazał za siebie, na fotel stojący obok drzwi. - Czekałem na ciebie.

Pokonała strach, starając się nadać swemu głosowi stanowcze brzmienie.

- Czego chcesz, Fernandzie? Co ma znaczyć ta zabawa w kotka i myszkę?

- Czego ty chcesz? - odpowiedział pytaniem.

- Ja chcę zadzwonić po pogotowie. Mój mąż czuje się bardzo źle. Na pewno ma ciężki wstrząs mózgu, a może nawet pęknięcie podstawy czaszki. Sądzę... - z trudem przyszło jej wypowiedzenie tego, co w myśli stwierdziła już dawno - sądzę, że umrze, jeśli pogotowie nie zjawi się szybko.

- Tak? Mówisz, że umrze? Jesteś pewna?

- Fernandzie, pozwól mi zadzwonić po pogotowie. Jeśli on umrze, będziesz miał morderstwo na sumieniu. Z wszystkiego, co stało się dotychczas, wykręcisz się tanim kosztem. Ale morderstwo to inna sprawa.

- No cóż - wydawał się usilnie zastanawiać. - Może się jednak zdarzyć, że wezwiesz lekarza, a twój mąż mimo to umrze, nieprawdaż? Wtedy też miałbym morderstwo na sumieniu.

- Zabójstwo. Albo uszkodzenie ciała ze skutkiem śmiertelnym. Nie wiem, ale w angielskim prawie karnym istnieje chyba jakieś rozróżnienie, prawda? A to przekłada się na wymiar kary, wierz mi!

- Ach, słusznie! Ciągle zapominam, z kim mam do czynienia. Jest pani przecież supermądrą prawniczką, pani Barbaro! Odnoszącą sukcesy adwokatką. No to jak: chciałabyś mnie bronić?

- Tutaj nie jestem przecież nawet dopuszczona do wykonywania zawodu - odrzekła głosem drżącym z niecierpliwości i zdenerwowania.

Miała wrażenie, że nie przemawiają do niego argumenty rozumowe. Czy w ogóle dotarło do niego cokolwiek z tego, co mówiła? Tak dziwnie się zachowywał. Siedział tu przez wiele godzin i czekał na nią. Dlaczego nie uciekł?

- Zadzwonię teraz po pogotowie - powiedziała i podniosła słuchawkę.

W dwóch krokach znalazł się przy niej. Chwycił ją za nadgarstek i zmusił do

odłożenia słuchawki na widełki.

- Nie! - powiedział ostro. - Nie będzie teraz telefonowania, pani adwokatko! Właśnie rozmawiamy. Twój rodzice, Barbaro, sporo zaniedbali w twoim wychowaniu. Już wczoraj stwierdziłem, że nie nauczyli cię, że nie należy wtykać nosa w cudze sprawy. A teraz widzę, że również twoje maniery pozostawiają wiele do życzenia. Nie zaczyna się po prostu telefonować, kiedy ktoś inny z tobą rozmawia!

Barbara wyczuła wionący z jego ust zapach alkoholu.

- Sądzę, że dużo wypiełeś - powiedziała.

Roześmiał się.

- Owszem. Nie wiedziałaś dotąd, że jestem pijakiem? Jestem pewien, że któraś z wielu miłych plotkarek, jakich nie brakuje w okolicy, powiedziała ci już o tym. No cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Mój ojciec też potrafił zawsze sporo wypić!

- Skąd wzięłeś alkohol? Przecież już nie było.

- Zadbalem o to wcześniej. W plecaku miałem jeszcze piękną buteleczką whisky. Wyjątkowo piękną. Frances na pewno chętnie by łyknęła. Od whisky po prostu nie potrafiła się odczepić. Ale nie chcę jej traktować taką samą miarką jak siebie. Frances nigdy się nie upijała. Nigdy nie piła więcej, niż tolerował jej organizm. Frances umiała panować nad sobą. Jak ty. Tak, też była taka chłodna. Czasem jednak zastanawiam się...

Puścił jej nadgarstek, lecz nadal obserwował ją z napięciem. Barbara wiedziała, że nie ma sensu próbować sięgnąć drugi raz po słuchawkę.

- Tak, czasem zastanawiam się, czy ona w łóżku z moim ojcem też tak się zatracala jak ty ze mną! To ciekawe, nie uważasz? Píše coś o tym w swojej książce? Przecież ją czytałaś?

- Nie pamiętam. Fernandzie, ja...

- Temat ci nie odpowiada, co? Wyobrażam sobie. Tuż obok leży twój ciężko ranny mąż i może umrze, a wtedy będziesz musiała jakoś uporać się z tym, że go zdradziłaś w ostatnią noc jego życia. Nie, oczywiście rozumiem. Ja też nie chciałbym być w twojej skórze!

Nic nie odpowiedziała. Był zbyt pijany, żeby mogła apelować do jego rozsądku. A jednocześnie nie był na tyle pijany, żeby dał się łatwo pokonać jako przeciwnik.

Ale nie jest typem mordercy, pomyślała, gdyby chciał, miał wiele godzin na to, by raz na zawsze zamknąć nam usta. Nie wie, co dalej. Jest w kropce i nie ma pojęcia, co powinien teraz zrobić. Najgorsze, że w ten sposób skazuje Ralpa na śmierć! Tyle może zrobić. Kazać mu tam leżeć, ignorować go, dopóki nie skona.

- Czekałem i patrzyłem, jak powoli zapada zmierzch - powiedział. - Tak samo jak

dawniej, kiedy często siedziałem tutaj. Mówiłem ci już, że lubiłem przychodzić do Westhill, prawda? Nieraz siedzieliśmy tutaj razem: Frances, Laura i ja. Frances mówiła o swoim dawnym życiu. Ale nie tak, jak robią to często starzy ludzie - opowiadają nudne, zakurzone historie i w taki sposób, że słucha się ich jedynie przez grzeczność. Ona była dowcipna i miała poczucie humoru, potrafiła zaskoczyć celną pointą. Miała też niewiarygodny talent do samoironii. Czasami słuchałem jej dosłownie z zapartym tchem. Przeżyła bardzo wiele, przede wszystkim w początkowych latach ruchu feministycznego i podczas pierwszej wojny światowej. Dla mnie to był inny świat, świat, którego nie znałem. Byłem zafascynowany. Tymi historiami - i tą kobietą...

- Wyobrażam sobie - rzekła Barbara. - Naprawdę. Ale teraz, Fernandzie, muszę koniecznie...

- Naturalnie nie pociągała mnie jako kobieta w sensie erotycznym - kontynuował. - Była już za stara. Miała siedemdziesiąt lat, kiedy ja miałem dwadzieścia. Ale erotyka to nie jedyna rzecz, jaka łączy mężczyznę i kobietę. Możliwe, że do Frances czułem więcej niż do niejednej innej kobiety, z którą spałem i której piękne młode ciało podobało mi się. Potrafisz to sobie wyobrazić?

- Kochałeś ją.

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Tak. Myślę, że ją kochałem.

Może w tym punkcie, pomyślała, dałoby się złapać byka za rogi.

- Nie sądzę - powiedziała - żeby Frances akceptowała dzisiaj to, co robisz. To, że pijesz i od lat szantażujesz Laurę. Na pewno uznałaby też za niedobre, że każesz teraz mojemu mężowi...

Po twarzy Fernanda przemknął cień pogardy.

- Ach, Barbaro! To przecież tani chwyt. Sądzisz, że przekabacisz mnie w taki dziecinny sposób? Spodziewałem się po tobie więcej psychologicznego wyczucia i lepszego stylu!

- To była próba.

- Najprymitywniejsza z możliwych. Odniosłem niemal wrażenie, że w ogóle nie interesuje cię to, co mówię. Co najwyżej o tyle, że starasz się ukreślić mi stryczek z moich słów. Poza tym jest ci wszystko jedno.

Czuła, jak jej nerwy wibrują. Aż się w niej zagotowało. Co za drań! Miał rację, nie interesowało jej to. Swoją gadaninę powinien sobie zachować dla kogoś innego. Zdała sobie sprawę, że za chwilę się rozplacze, że zmęczenia, z tego całego napięcia, ze strachu.

Wybuchnęła tak niespodziewanie, że Fernand aż się wzdrygnął.

- Nie! - wrzasnęła. - Masz rację! Gównu mnie obchodzi, co czułeś do Frances albo do kogoś innego! Nie wzruszają mnie wszystkie te twoje refleksje na temat przeszłości! Rzygać mi się chce, kiedy słucham tej sentymentalnej gadaniny! Następnie zaczniesz opowiadać o swojej trudnej młodości i że wcale ci nie było łatwo z matką, którą pożerała nostalgia za krajem ojczystym, i z ojcem, który z racji wieku mógł być twoim dziadkiem, a jego serce było zawsze dla innej kobiety! I jakie to wszystko było ponure, to Daleview, które jak się już zorientowałam, wpędzało w depresje i alkoholizm całe pokolenia swych mieszkańców! I że szukałeś tutaj ojczyzny i znalazłeś ją, w Westhill i przy Frances Gray, która była dla ciebie uosobieniem siły i bezpieczeństwa i dawała ci to, czego nie dostawałeś nigdzie indziej, i za to ją kochałeś i potrzebowałeś jej. Opowiesz mi też, że właśnie z tego powodu koniecznie chcesz posiąść Westhill. I że nie chciwość czy żądza posiadania, ale miłość każe ci pragnąć tego, co należało kiedyś do Frances - i mogę ci tylko powiedzieć, że również to nie interesuje mnie ani trochę, bo tuż obok leży mój mąż, człowiek, którego kocham, i jest ciężko ranny, a ja chcę, żeby pozostał przy życiu! Rozumiesz? Chcę, żeby ż y ł!

Łzy zalewały jej twarz, lecz nie zwracała na nie uwagi. Wykrzyczała to wszystko z siebie ostatkiem sił, teraz była pusta i nie broniła się, kiedy Fernand przyciągnął ją do siebie.

- Rozumiesz mnie - wyszeptał. - Choć mówisz, że cię to nie interesuje, rozumiesz mnie. Po Frances jesteś jedynym człowiekiem, który mnie zrozumiał. Jesteś równie silna jak ona, Barbaro. I jesteś bardzo piękna.

Chętnie powiedziałaaby mu, jaka słaba czuje się w tym momencie, wystarczająco słaba, by pozwolić mu, żeby ją objął, i wcisnąć twarz w jego ramię. Fernand był jej wrogiem - lecz jako człowiek był na tyle wrażliwy i wewnętrznie rozdarty, że nie mogła go nienawidzić. Wydawało jej się, że nie jest w stanie niczego więcej odczuwać, niczego prócz bezbrzeżnego zmęczenia.

Głaskał ją bez przerwy po włosach i szeptał słowa, które przemykały obok niej i których nie rozumiała; nie miała jednak wrażenia, żeby liczyło się jeszcze, czy je rozumie czy nie. Jedyne, czego jeszcze pragnęła, to zasnąć i obudzić się kiedyś, by stwierdzić, że ma za sobą długi chaotyczny sen.

Znużonym gestem uniosła głowę. Coś usłyszała. Coś innego niż ten cichy, czuły głos przy jej uchu. Drzwi. Kroki.

Obudziła się. Nie było to przebudzenie, do którego tęskniła, przebudzenie, które sprawia, że bledną złe sny. Ten sen był rzeczywistością, a ona znajdowała się w samym jej środku.



Kroki zbliżały się. Powolne, niepewne kroki. Nieskończenie ciężkie. W drzwiach salonu pojawiła się postać: chwiejąca się postać okutana w czarną szatę.

Laura.

- Laura! - zawołała, a jej ciało spoczywające ciężko i bezwolnie w ramionach Fernanda wyprężyło się.

Laura zatoczyła się. Poruszyła wargami, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Ruszyła w kierunku fotela, w którym siedział wcześniej Fernand i czekał na Barbarę - lecz wydawało się, że nie ma już prawie sił, by do niego dotrzeć, i lada chwila może zważyć się na ziemię.

Fernand puścił Barbarę i obrócił się gwałtownie. Miał taką minę, jakby zobaczył zjawę.

- Lauro! Co pani tutaj robi? Skąd się pani tu wzięła?

Laura ponownie poruszyła zsiniałymi wargami, ale znów nie wydobyła z siebie słowa.

Fernand oprzytomniał w jednej chwili. Ostрым tonem powtórzył pytanie:

- Chcę wiedzieć, skąd nagle się pani tu wzięła!

Laura osunęła się na fotel. Dyszała ciężko. Przedstawiała przerażający widok, kiedy tak rozpaczliwie starała się coś powiedzieć.

Fernand stał teraz odwrócony plecami do Barbary. Ta stwierdziła nagle, że trzyma w dłoni ciężki metal. Nie był już w dotyku taki zimny jak na początku, miał temperaturę jej dłoni, od której pobrał ciepło. Przez cały ten czas nie wypuszczała go z ręki.

Nie zawahała się, nie czekała, aż sparaliżują ją skrupuły. Ta chwila była jedyną szansą, jaką miała. Jedyną szansą, jaką miał Ralph.

Podniosła rękę i zadała cios. Ciężka połączana rama uderzyła z trzaskiem w potylicę Fernanda. Posypało się rozbite szkło. Wydawało się, że Fernand chce się obrócić do niej, i na moment obleciał ją strach, że cios był zbyt słaby, zbyt niezdecydowany, taki jak pierwszego dnia u Ralpa, kiedy zabrał się do rąbania drzewa w szopie. Ale już w następnej chwili Fernand zamarł w bezruchu i osunął się na ziemię.

Upadł jakby w zwolnionym tempie i leżał nieruchomo na podłodze.

Barbara postawiła zniszczoną ramę, a w niej obraz uśmiechającej się Frances, obok telefonu.

- Lauro - powiedziała. - Natychmiast zatroszczę się o panią. I o Ralpa. Zaraz też zadzwonię po lekarza. Najpierw jednak muszę zataszczyć Fernanda do kuchni i zamknąć go tam na klucz, rozumie pani, prawda? Potem natychmiast wracam do pani.

Laura ponownie poruszyła wargami i po dwóch nieudanych próbach zdołała wreszcie

coś powiedzieć.

- Czy mogę dostać filiżankę herbaty? - zapytała.

## *Środa, 1 stycznia 1997 roku*

Trzy kobiety siedziały w kuchni i jadły śniadanie. Było jeszcze wcześnie rano, lecz horyzont na wschodzie rozjaśniała różowa poświata, zapowiadając słoneczny dzień. Pokryte zlodowaciałym śniegiem pola spoczywały ciągle w cieniu, ale już niedługo będą się skrzyć i błyszczeć, i odbijać światło słoneczne w tysiącach małych kryształów.

Laura zaproponowała, żeby zaprosić do Westhill na sylwestra biedną, wytrąconą z równowagi Lilian Leigh, a Barbara zgodziła się, z początku wahając się trochę, gdyż czuła pewne skrepowanie w stosunku do tej kobiety. W końcu jednak powiedziała sobie, że Lilian nie pozna po niej, iż spała z Fernandem, a poza tym nie pora teraz na małostkowe myślenie. Zbyt wiele się wydarzyło. Całe jej życie wypadło z rytmu, zmienił się podział na sprawy ważne i błahe.

O północy spełniły toast szampanem, a potem Lilian płakała, Laura zaś wpadła w euforię, ponieważ Marjorie zadzwoniła i złożyła jej życzenia noworoczne.

- N i g d y d o t ą d tego nie zrobiła! W ogóle nigdy by na to nie wpadła, żeby być tak długo na nogach. A już na pewno nie wydałaby pieniędzy, jakie musi kosztować taka rozmowa!

Laura była dwa dni na obserwacji w szpitalu; lekarze stwierdzili wyziębienie, totalne wyczerpanie i poważną arytmie serca. Chcieli ją zostawić na co najmniej tydzień, lecz ona pragnęła koniecznie wrócić na sylwestra do domu, i tak długo o to walczyła, aż ordynator oddziału w końcu ustąpił.

- A choćbym chciał stanąć pani okoniem, jak się do tego zabrać? - zapytał. - No bo co miałyby powstrzymać siedemdziesięcioletnią kobietę, która pokonuje taką drogę przez takie śniegi. Z góry byłbym skazany na przegraną!

Po tym zdumiewającym oświadczeniu Laura na kilka minut zaniemówiła.

Ralph nie mogli jednak wypuścić do domu. Miał leżeć w szpitalu przez kilka tygodni; także o przetransportowaniu go do Niemiec nie było na razie co myśleć. Oprócz ciężkiego wstrząsu mózgu doznał podwójnego pęknięcia podstawy czaszki. Lekarze mówili, że miał ogromne szczęście. Upadek był bardzo groźny i łatwo mógł się skończyć śmiercią.

W sylwestra Barbara zamierzała zostać przy nim w szpitalu, ale trzydziestego pierwszego grudnia przyjechała niespodziewanie z Niemiec jego matka, którą Barbara w poczuciu obowiązku poinformowała o tym, co się stało. Matka Ralph'a nie ruszała się od jego

łóżka i kłóciła się ciągle z Barbarą, którą obarczała winą za całe nieszczęście. Ralph, leżąc w łóżku, był zbyt chory i obolały, żeby interweniować. W końcu Barbara wycofała się. Ona i Ralph będą mieli jeszcze dość czasu, żeby rozmawiać i zastanawiać się nad przyszłością. Na razie mogła oddać pole staremu smokowi.

Fernand siedział w areszcie śledczym. Okazało się, że oprócz wielkiego guza na potylicy nie odniósł żadnych obrażeń. Barbara ucieszyła się z tego. Chciała go jedynie wyłączyć z walki, a nie rozbić mu czaszkę, i to się jej udało. Nie żywiła uczucia zemsty, mimo że omal nie zabił Ralpha. Po tym wszystkim, co się stało, pozostała w niej dziwna gotowość do rozumienia i wybaczenia. Może dlatego, że tak dobrze знаła dzieje wszystkich uczestników wydarzeń.

Uważała, że trudno potępiać człowieka, kiedy się zna i w pewien, jakkolwiek dość abstrakcyjny, sposób potrafi zrozumieć jego motyw.

Osobliwy widok przedstawiały owego ranka te trzy zupełnie różne kobiety, które posadził przy jednym stole kaprys losu.

Barbara, rzecz jasna, wyglądała pięknie i perfekcyjnie, była starannie umalowana, jej włosy błyszczały; panowała nad sobą i nad sytuacją, jakby to, co wydarzyło się wcześniej, nie zrobiło na niej głębszego wrażenia. Tak się prezentowała, a że obraz nie odpowiadał prawdzie, wiedziała tylko ona. Uważała, że absolutnie ma prawo do tajemnicy.

Lilian sprawiała wrażenie kobiety, której świat legł w gruzach, tyle że w tym przypadku to nie był obraz, lecz rzeczywistość. Wciąż jeszcze nie mogła do końca zrozumieć związku między poszczególnymi faktami, mimo że Laura próbowała jej wszystko wyjaśnić. W ciągu ostatnich lat zawsze wyglądała na starszą, niż była, lecz teraz wydawała się jeszcze bardziej postarzała. Nie wiedziała, co będzie. Jeśli Fernand zostanie skazany na więzienie - co wtedy z nią będzie? Nie miała pojęcia, jak zarządzać Daleview, nie wiedziała, jaka jest jej sytuacja majątkowa. Ponieważ przez wszystkie lata małżeństwa chodziła na palcach koło Fernanda i starała się wysondować jego humor, żeby w razie potrzeby zdążyć uciec w bezpieczne miejsce, zapomniała, na czym polega życie jako takie. Jej świat ograniczał się jedynie do męża, jego alkoholizmu i jego gwałtownych wybuchów gniewu. Cała reszta poza granicami tego ciągłego bezpośredniego zagrożenia przestała się liczyć, zbladła do niepoznania. Nagle Lilian musiała zmierzyć się z różnymi wymaganiami i nagłymi potrzebami, o których istnieniu zapomniała. Cofała się przed nimi niczym koń przed pojawiającą się nieoczekiwanie wysoką przeszkodą. Na razie uciekała we łzy i paniczne reakcje.

Kiedy się już wypłaczę, pomyślała Barbara, może zrozumie, że los dał jej wielką

szansę, z której powinna skorzystać i ułożyć sobie życie na nowo.

Laura nadal wyglądała na mocno wyczerpaną, w dodatku ciągle kaszłała i miała rozpalone gorączką, suche oczy. Droga z Leigh's Dale do Westhill pod górę przez śnieg zajęła jej sześć godzin i kosztowała ją mnóstwo sił. Laura będzie potrzebować dużo czasu, żeby po tym wszystkim dojść do siebie. Policjanci i załoga karetki pogotowia, którzy tej ostatniej niedzieli dotarli w końcu do Westhill z pomocą pługów odśnieżnych, nie mogli wprost uwierzyć, gdy usłyszeli, że ta stara kobieta doszła do farmy na piechotę.

- Może pani mówić o szczęściu, że nie przewróciła się pani po drodze i nie zamarzła! - oświadczył jej z powagą jeden z dwóch lekarzy. - To co pani zrobiła, to było czyste szaleństwo! Jak mogła pani wpaść na taki zwariowany pomysł?

W dalszym ciągu miała ogromne kłopoty z mówieniem, choć dostała już gorącej herbaty.

- Wiedziałam, że coś się tutaj nie zgadza, i to bardzo - wychrypiała. - A to jest mój dom. Musiałam sprawdzić, co się dzieje.

Lekarz bez słowa pokręcił głową.

Wydarzenia w „domu sióstr” były naturalnie głównym tematem rozmów w Leigh's Dale, choć większość mieszkańców nie znała jeszcze wszystkich szczegółów. To, czego nie wiedzieli, po prostu zmyślali, toteż od dawna krążyły najbardziej nieprawdopodobne plotki.

Rankiem trzydziestego pierwszego grudnia Barbara pojechała do wioski na zakupy; droga była wszak odśnieżona, a policjanci pomogli jej odkopać i uruchomić samochód oraz założyć łańcuchy. Kiedy weszła do sklepu Cynthii, w środku było pełno ludzi, którzy mówili jeden przez drugiego, lecz na widok Barbary umilkli, jakby nożem uciął. Rozstąpili się na boki, robiąc jej przejście, dzięki czemu Barbara nie musiała nawet stać w kolejce, tylko natychmiast została przepuszczona na początek.

Cynthia zachowywała się bardzo poufale, chcąc zademonstrować wszystkim, że zna Barbarę bardzo dobrze i dlatego była tak blisko wszystkich wydarzeń. Kiedy Barbara wychodziła ze sklepu, usłyszała jeszcze, jak Cynthia oznajmia szeptem swoim klientkom słuchającym jej z największą uwagą:

- ...tak, a podobno Victoria Leigh wtedy wcale nie wyjechała, tylko Frances Gray trzymała ją w piwnicy swego domu, a w końcu...

Barbara wyobraziła sobie, jak głośno Frances Gray śmiałyby się z tego.

Ale ten noworoczny poranek był spokojny i cichy, nie zakłócały go żadne plotki ani krwawe historie. Cicho pobrzękiwały filiżanki, szczękały sztucce.

- Barbaro, wybiera się pani dzisiaj do męża do szpitala? - zapytała Laura.

Barbara skrzywiła się.

- Bardzo bym chciała. Ale prawdopodobnie nadziałabym się znowu na teściową. Ona uważa, że to ja ponoszę winę za wszystko, choćby dlatego, że cała ta podróż to był mój pomysł. A o n a od początku mówiła, że powinniśmy zostać w domu.

- Domyślam się, że Yorkshire obrzydło pani raz na zawsze - wtrąciła Lilian. Jej ciemne oczy na tle szczupłej twarzy wydawały się ogromne. - Na pewno już nigdy pani tu nie przyjedzie.

Barbara uznała, że to reakcja typowa dla Lilian.

- Z całą pewnością przyjadę tutaj znowu - odpowiedziała. - Chętnie poznałabym te strony również latem. Rozumiem, dlaczego Frances Gray tak bardzo kochała to wszystko. I chciałabym wiedzieć o tym dużo więcej.

- No nie, tego to ja nie rozumiem - pisnęła Lilian.

Laura odchrząknęła.

- Chętnie zaproponowałabym pani znowu mieszkanie w Westhill, ale to niemożliwe.

- Dlaczego? Na pewno przecież wybierze się pani kiedyś znów w odwiedziny do siostry?

- Ja... - Na policzkach Laury wykwitło kilka gorączkowych czerwonych plam. - Wyprowadzam się stąd. Zamierzam sprzedać Westhill.

Barbara i Lilian wytrzeszczyły na nią oczy, obie zupełnie zaskoczone.

- C o? - spytała Barbara.

- Ale przecież... - zaczęła Lilian.

- Lauro, ale dlaczego? - spytała Barbara, nie ochłonawszy jeszcze ze zdumienia. - Latami dawała się pani szantażować. Latami żyła pani w strachu. Co tylko pani miała, wtykała pani w paszczę Fernanda Leigha, byle nie pozbawił pani tej własności! A teraz, kiedy wszystko ułożyło się dobrze, kiedy może pani żyć tutaj w szczęściu i pokoju, chce pani wyrzec się wszystkiego d o b r o w o l n i e?

- Na pewno trudno to zrozumieć - rzekła Laura, która znów wyglądała na wystraszoną prawie tak samo jak dawniej. - Nie wiem, jak to wyjaśnić. Kiedy brnęłam tutaj przez śnieg i myślałam, że padnę i umrę, kiedy ciągle mi się wydawało, że po prostu już nie dam rady, ale wiedziałam, że muszę iść dalej, bo zapadły ciemności i robiło się coraz chłodniej, i było dla mnie jasne, że jeśli usiądę i zasnę, to skończy się to niechybnie moją śmiercią... a więc wtedy wytrzymałam tylko dlatego, że z każdym krokiem narastała we mnie wściekłość. Na koniec byłam taka wściekła, że... że pomyślałam, że nie m o g ę przecież umrzeć, bo nikt nie może umrzeć, kiedy jest taki wściekły.

- A na kogo była pani taka wściekła? - zapytała Barbara.

- Na siebie. Wyłącznie na siebie.

- Ale... to przecież Fernand był wszystkiemu winien! - rzekła zmieszana Lilian, znów walcząc ze łzami, bo jej mąż był takim łotrem.

Laura posłała jej pogardliwe spojrzenie.

- Lilian, ciągle szukanie winy u innych miewa zgubne skutki, bo wtedy nigdy nic się nie zmienia. Cokolwiek zrobił mi Fernand... Zawsze muszą być do tego dwie osoby. Jedna, która coś robi, i druga, która na to pozwala. A mnie tak rozwścieczyło właśnie to, że zawsze pozwalałam innym robić ze sobą wszystko. Przez całe życie. Przez siedemdziesiąt lat.

Barbara pokiwała głową. Rozumiała to.

- Najpierw Frances, potem Fernandowi. Marjorie w zupełności miała rację: Frances nigdy nie traktowała mnie zbyt dobrze. Ale ja pozwalałam na to, tak jak potem pozwalałam się szantażować Fernandowi. Byłam całkowicie zdana na ich łaskę, bo trzymałam się czegoś, z czego już dawno powinnam była zrezygnować. Naprawdę dawno! A mianowicie Westhill. Gdybym zrezygnowała, byłabym wolna i oni wszyscy nie mogliby mi już zaszkodzić.

- Ale teraz jest już chyba za późno - rzekła Lilian.

Oczy Laury zabłyśły.

- Za późno? Bo mam siedemdziesiąt lat? Nie zamierzam umrzeć w najbliższych dwóch latach!

- Nie... bo przecież Fernand tak czy owak nie może już nic zrobić. A Frances od dawna nie żyje. Teraz naprawdę nic już nie da, jeśli rozstaniesz się z Westhill!

- Prawdopodobnie nie potrafisz tego zrozumieć, Lilian - westchnęła Laura. - Muszę to zrobić dla siebie. To ważne. Chcę się tego pozbyć. Naprawdę chcę wyrzucić łańcuchy za burtę!

- Sądzę, Lauro, że robi pani to, co trzeba - rzekła Barbara. - Czy ma pani już pomysł, dokąd chce się pani przenieść?

- Gdzieś na południe, może Somerset. Jako dziecko byłam raz w Somerset i bardzo mi się tam podobało. Ze względu na mój reumatyzm to na pewno lepsze niż długie chłodne zimy tu na północy i wiele mglistych dni jesienią, i burze na wiosnę...

Zagryzła wargi.

Ona to kocha, pomyślała Barbara, kocha to w dalszym ciągu. Ale czasami człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak rozstać się z tym, co kocha. Może mnie i Ralphowi też nie pozostanie nic innego. Zobaczymy.

Wstała.

- Chodźcie, sprzątniemy ze stołu. Mam ochotę na spacer. Na dworze jest tak pięknie. Przynajmniej na dół do wioski i z powrotem, droga jest odśnieżona.

- Ja wolałabym zostać tutaj - oświadczyła natychmiast Lilian. Po wszystkim, co się stało, panicznie bała się spotkania z kimkolwiek z mieszkańców wioski.

- Lauro?

- Ja też tu zostanę. Tyle jest do roboty. Niech pani idzie sama, Barbaro. Na pewno pani też musi sobie przemyśleć to i owo.

Zgodnie posprzątały ze stołu, pozmywały naczynia i pochowały je do kredensów i szuflad. Potem Lilian poszła na górę do pokoju, który Laura oddała jej do dyspozycji. Barbara włożyła płaszcz i buty. Kiedy sięgała już po rękawiczki, cicho jak cień pojawiła się za jej plecami Laura.

- Barbaro, jeszcze chwileczkę...

Wzięła ją pod ramię i pociągnęła za sobą do salonu.

- O co chodzi? - spytała Barbara.

Laura miała zmieszana minę.

- To tylko... chciałam tylko o coś panią spytać - powiedziała. Zniżyła głos, jakby obawiała się, że ktoś trzeci może być świadkiem ich rozmowy. - Pewnie uzna pani, że to głupie z mojej strony, ale...

- O co chodzi?

- No cóż... te zapiski Frances Gray... nie ma ich już. Nikt już nie może ich przeczytać. Jest pani jedyną osobą, która je zna.

- Tak?

- No to chciałabym dowiedzieć się od pani... - Laura mięła w palcach rąbek fartucha - no więc chciałabym wiedzieć, czy... Powinno mi być przecież wszystko jedno. Chcę zacząć nowe życie i w tym celu muszę też przestać tak idealizować Frances i być do niej tak bardzo przywiązana. I postaram się to zrobić. Marjorie naprawdę miała rację, wie pani, powiedziałam to nie tylko tak sobie. Frances na pewno czasem mną... gardziła...

Barbara wzięła starą kobietę za rękę i przytrzymała jej dłoń.

- Co chce pani wiedzieć, Lauro?

- Może mi pani powiedzieć - szepnęła Laura - co napisała o mnie? Czy wyrażała się tylko z pogardą, czy... pochwaliła mnie też za to i owo?

Po wyrazie jej oczu Barbara poznała, że od odpowiedzi na to pytanie zależy spokój duchowy Laury - bez względu na to, jak ważna będzie prawda, o którą się wzbogaci. Postanowiła podarować jej ten spokój duchowy. Ale jeszcze w tej samej chwili, kiedy



udzielała jej odpowiedzi, zrozumiała, że nawet nie musi kłamać. To co uważała za miłosierdzie, było prawdą.

- Ona panią kochała, Lauro - powiedziała. - Na swój szczególny sposób panią kochała.

Laura uśmiechnęła się i Barbara stwierdziła, że w tym momencie na pewno wygląda na szczęśliwą.